





83176.



318049

# DZIEŁA JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE,  
POD KIERUNKIEM REDAKCYI „KŁOSÓW“.

843-84

TOM IV.

Tadeusz Besimienny. — Wdowiec.

~~DOBRA KSIĄZKA  
DŁA WSZYSTKICH  
Wypolyczna  
w Boernerowie~~

~~1873  
30/000  
BIBLIOTEKA  
K. INW.~~

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem S. Lewentala, wydawcy „Kłosów“.

1871.



474383



Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 16 (28) Декабря 1871 г.

DOBRA KSIĄŻKA  
DLA WSZYSTKICH  
Wszystko w

269

~~Wypoczątki Książek.  
Spółdz. Wyd. „Czytelnik”.  
Warszawa, ul. Wilejska 14~~

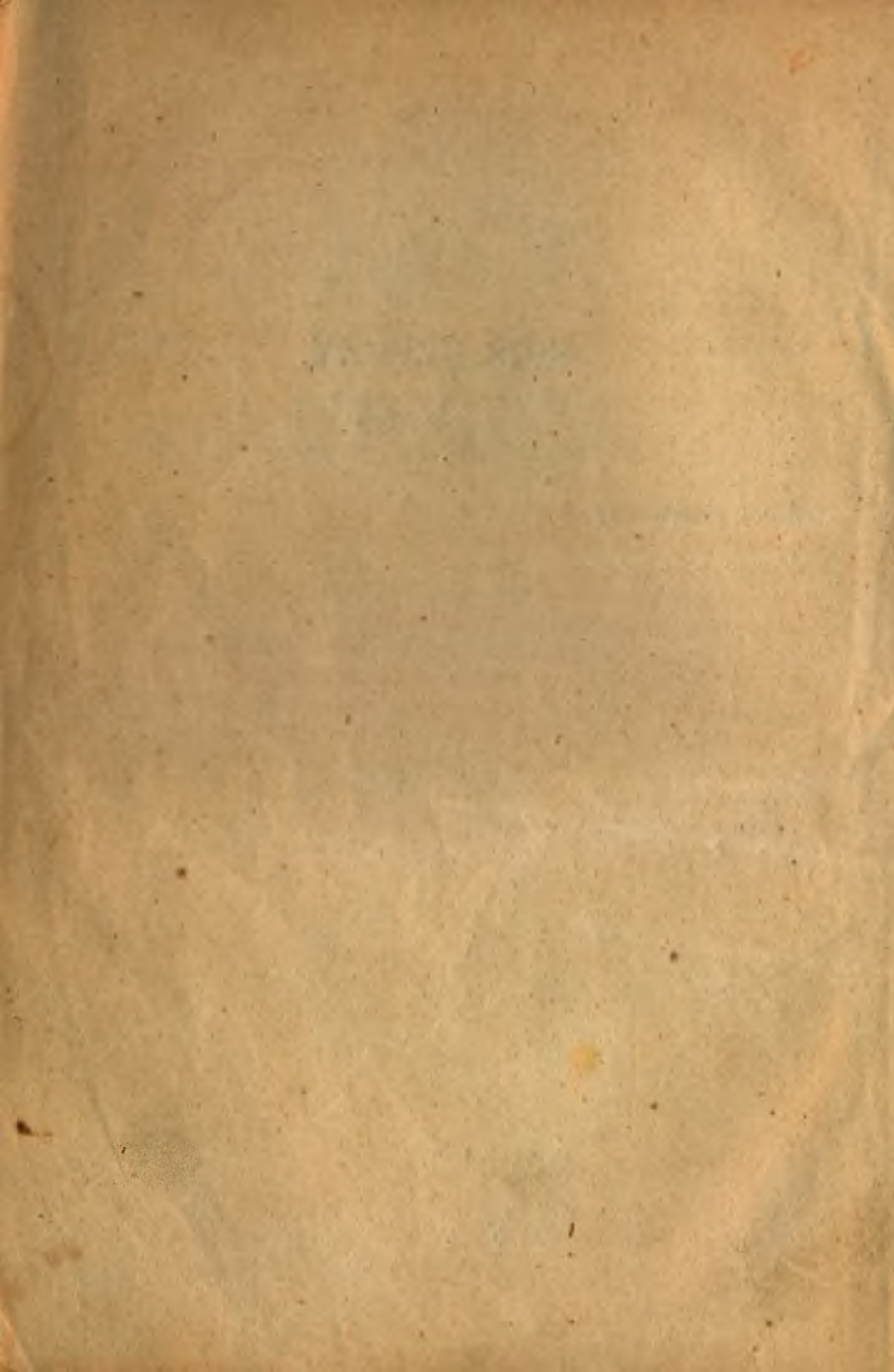


# SPIS RZECZY.

~~1783~~

Tadeusz Bezimienny . . . . .	<i>Str.</i> 1
Wdowiec . . . . .	269

---





# Tadeusz Bezimienny.

—o—o—o—

## I.

Dnia 17 września 1814 roku, do miasteczka S\*, jednego z najustronniejszych w Rowieńskim powiecie, którego wszakże wyraźnie wymieniać pewna nie pozwala nam okoliczność, biegła niezwykłym pędem bryczka pocztowa. Dzwonek rozlegał się szeroko po polach wołyńskich, a dzielna trójka, popędzana przez usłużnego żydka, który za pocztyliona służył, podnosiła tuman kurzawy, którą wiatr ostry i silny na bok odnosił. W bryczce siedział średniego wieku mężczyzna, w szaraczkowym płaszczu, z czarnym kołnierzem, w czapeczce ciemnozielonej, z czarną aksamitną obwódką, i czerwoną na niej wypustką. Z ubrania zdawał się być pułkowym lekarzem, a twarz jego i ruchy okazywały niepokój i niecierpliwość. Co moment trącał żyda ręką po ramieniu, jakby mówił:—prędzej, prędzej, poganiaj!—I za każdą razą żyd zacinął konie, i gdzie tylko droga była równa i gładka, puszczał się galopem, od którego bryczka podskakiwała i migąła się tak, że ktoby z boku patrzył, ani twarzy jadącego, ani sprych w kołach nie byłby w stanie rozróżnić.

Nareszcie, na zakręcie drogi z za pagórka, wyjrzało miasteczko, i po przebyciu długiej i błotnistej grobli, na której podróźny jeszcze wyraźniejsze znaki niecierpliwości objawiał, gdyż nie można było inaczej jechać, jak stępo, wbiegła zgrzana trójka na twardszą ulicę, potem puściła się dobrym kłusem, nie do poczty, ale na plac duży, gdzie było kilka zajezdnych domów, i przed jednym z nich, najpokaźniejszym ze wszystkich, stanęła.

Charakterystycznym jest odgłos pocztowego dzwonka, i rozmaitym swym dźwiękiem oznacza różny bieg koni, które ożywia i do szybkości pobudza. Flegmatyczne jego, leniwe i jakby kulawe uderzenia oznaczają, że konie idą stępo, że poczta wraca do stacyi, i pocztarz, upiwszy się na pół drogi, w uprzywilejowanej na to karczemce wywrócił

się do góry brzuchem na bryczce, i śpi, jak zabity. Przerywane, prędkie, raz głośniejsze, raz ledwo dosłyszane dźwięki jego, dają znać, że leci kuryer, lub pędzi oficer remontjer w skarbowym interesie, i przypominając co chwila kazionną podorożną, gifesem od szpady bije w kark woźnicę, co tenże nahajką oddaje z procentem koniom. Jest to jazda pijana i szalona, to téż i pulsa dzwonka uderzają, jakby w gorączce, raz wolniej, znowu szybko, raz ciszej, znowu głośno, a zawsze nieregularnie i niewyraźnie. Kłus dopiero, który jest normalnym biegiem koni, daje dzwonekowi właściwe jego echo. Serce jego uderza wówczas z równą mocą w oba boki, wydaje dźwięk silny, regularny i rozchodzący się daleko, i jak puls w człowieku zdrowym, żadną nie miotanym namiętnością, oznacza naturalny i zwyczajny ruch jego życia, tak i dźwięk ten dzwonka oznacza jazdę rozsądną, posuwającą się naprzód, ale nie pędzącą na złamanie karku i pogruchoianie w sztuki powozu. Mieszkańcy miasteczek, gdzie jest poczta, rozumieją dokładnie ten język, którym do nich bryczka pocztowa za pośrednictwem dzwonka przemawia. Wiedzą, kiedy poczta wraca na stację, i wtedy nikogo to nie interesuje, żaden chłopak nie wybiegnie przed dom, żeby się przypatrzeć, żaden żydziak przed domostwo, żeby przyjezdnego do siebie zaciągnąć. Nikt także nieciekawym, kiedy dzwonek zaledwie się odzywa słabemi i przerywanemi jęki, bo każdy wie, że to kuryer, że to ktoś, co się śpieszy, co pędzi prosto na pocztę, przepęże konie i ruszy dalej. Ale kiedy w ulicę miasteczka wchodzi konie kłusem, kiedy dzwonek brzmi regularnie, mocno, i ogłasza, że wiezie pana, co może przemocować, da co utargować, lub da się na czémkolwiek oszukać, wtedy we wszystkich oknach widne twarze ciekawe, pełno chłopaków przededrzwiami, a przed każdym domem zajezdnym jest już gospodarz i gospodyni; dalej na forpocztach stoją żydki posługacze, a z boków zbliżają się z pośpiechem i faktorzy, z gotowością narajenia, to tego, to owego, i żydzi z cybuchami i fajkami, i żydówki z pudełkami, w których są rozmaite drobiazgi, dające im lichy zarobek, a podtrzymujące nędzny i próżniacki ich żywot.

Takim odgłosem pocztowego dzwonka, i tym razem wywołane zostało miasteczko S\*, a wszyscy jego mieszkańcy, którzy w przybyciu nowego gościa mogli mieć jaki interes, znajdowali się na stanowisku. Gdy się bryczka zatrzymała, wysiadł z niej podróżny, odpędził gniewnie zgraję, która go oskoczyła, zapowiedział, że mu nic nie potrzeba, i wyjąwszy z bryczki niewielki skórzany tłómczek, rzekł do pocztyliona:

— Oto masz pół rubla na wódkę. Ale pamiętaj, żebym jutro o godzinie piątej rano miał konie napowrót do waszej stacyi. To moja podorożna, oddaj ją na poczcie.

Żyd woźnica uklonił się, poskrobał się w głowę i poruszał plecami.

mi z radości, bo rzeczywiście był to tryngielt niepospolity; wsiadłszy zaś na bryczkę, dodał:

— Niech jasny pan będzie spokojny, już ja tam zakazę, wszystkiego będzie gotowe.

To powiedziawszy, zaciął konie i ruszył wykrzykując, gwizdząc i udając wszystkie ruchy i zacięcia prawdziwego ruskiego zwoszczyka. Jest-to pretensya tak w swoim rodzaju naturalna i niewinna, jak każda inna, przez którą ludzie pragną wyjść ze swojej skóry i uchodzić za coś wyższego, niż są w istocie.

Podróżny tymczasem, trzymając tłómaczek swój w rękę, obejrzał się w około, jakby egzaminował zajezdne domy, które go otaczały. Zapraszania gospodarzy, zachęty gospodyń, wyliczania różnych dogodności, które mu robione były przez posługaczów, kłócących się z sobą i szkalujących nawzajem gospody swoich przeciwników, wszystko to zdawało mu się obojętne. Po chwili dopiero zwrócił się ku bramie tego domu, przed którym stanął, i zapytał:

— Kto gospodarz tego domu?

— Ja—odpowiedział żyd poważny, z siwą brodą, w rozpiętym kaptanie i z fajką w rękę.

— Czy dużo masz dzieci? — zapytał znowu podróżny.

— Jakto, czy dużo dzieci? — odpowiedział żyd z zadziwieniem. — Co to ma do tego, czy ich dużo, czy nie dużo? U mnie są osobne stancye.

— Nie o to idzie — fuknął przyjezdny, jakby się gniewał na siebie, że w rozstargnieniu nie wiedzieć o co zapytał.

— A o cóż idzie? — rzekł żyd ruszając ramionami, i wyprostowawszy się, położył na tył cybuch, który obiema rękami trzymał.

— A jest tu u was apteka? — zapytał oglądając się przyjezdny.

— Apteka? — odpowiedział żyd, mierząc od stóp do głów pytającego. — Dla czego ona nie ma być? U nas tu i horodniczy jest, nietylko apteka.

Zmarszczył się podróżny na te słowa, rzucił swój tłómaczek pod nogi, i odpiął haftkę od płaszcza. Gdy się poły jego odchyliły, postrzegli obecni zielony surdut z herbowymi guzikami, z czarnym aksamitnym kołnierzem, mającym czerwone wypustki, a przy dwóch pętlicach czerwone wstążeczki, jako znak dwóch znaczniejszych orderów. Widok ten naprowadził ich na drogę i wytlómaczył kwestyę o aptecę. „Jakis rewizor przyjechał z nienacka“, pomyśleli sobie, i domysł ten, wymówiony po żydowsku, przebiegł jak raca oświecająca po całej ciekawej grupie, która podróżnego otaczała. Gospodarz domu, który był przychylny aptekarzowi, bo targował u niego za wino, szepnął parę słów żonie, ta inną żydówce, ta żydkowi posługaczowi,

i w mgnieniu oka pobiegł poseł do apteki ze zbawienném ostrzeżeniem.

Tymczasem podróżny rzekł do gospodarza:

— Wiele tu masz pokoi?

— Gościnnych dwa, ale bardzo duże pokoje.

— A gdzie sam mieszkasz?

— Nu! tam ja sam mieszkam — odpowiedział żyd z powagą.

— Ale wieleż tam jest? — fuknął podróżny.

— Jakto, wiele mnie potrzeбно. — Ale widząc niecierpliwosć podróżnego i chęć odejścia do drugiego domu, gdzie go zapraszano, wyliczano wszystkie izby i komórki, dodał: — U mnie jest trzy piękne pokoje i czwarta izba dla czeladzi.

— Czy chcesz całkiem wyprowadzić się z tego domu? — zapytał podróżny.

— Wyprowadzić? jakto się wyprowadzić? — rzekł żyd z coraz większém zadziwieniem, a żona dodała z wykrzyknikiem: — aj waj! co to jest? na co tu się wyprowadzić!

— To widać, że nie chcecie zarobić — mówił przyjezdny, i podejmując tłómaczek, gotował się iść dalej. — Ja zapłacę dobrze, ale za cały dom.

— Niech jasne pan wejdzie i zobaczy pierwój — mówiła żydówka, która, czy łakomsza od męża, czy zręczniejsza, zmiarkowała, że to coś na dobry zarobek zakrawa. — Może i te pokoje, co dla gości, będzie dla jasne pana dosyć. Oni bardzo duży i piękni. Niech tylko jasne pan pofatyguje się — ja każe zanieść tłóмок jasne pana — i zaczęła łajać żydka służącego, że stoi jak malowany i jasne pan nie usługuje.

Wziął żydek tłómaczek, a gospodyni, łajac po żydowsku innych, którzy go ciągnęli do siebie i targ jej psuli, poprowadziła do domostwa i kazała czém prędzej bramę zamknąć.

W godzinę potem pootwierano w domu wszystkie okna, słudzy zamiatali, wietrzyli pokoje, żydówki biegały i sprowadzały zewsząd żydów i parobków do wynoszenia rzeczy, które tymczasem stawiano przed domem; gospodyni zaś nakrywszy głowę chustką, pobiegła na miasteczko szukać dla siebie i familii swój czasowego pomieszkania. Widać, że dom zdał się dogodnym podróżnemu, że umowa stanęła, i, że nie żałowano pieniędzy.

Jeszcze tego samego wieczora, gospodarstwo wynieśli się z dziećmi i piernatami, ze wszystkimi gospodarskimi sprzętami, z całym przyborem kuchennym i z meblami, które podróżnemu wydały się niepotrzebne, były najbrudniejsze i najbardziej zdezolowane. Całą noc najęte kobiety oczyszczały wszystkie kąty i myły podłogi, okurzały ściany, a podróżny, który nie kładł się wcale, sam wszystkiego doglądał

i dyrygował całym tym zakrętem. O godzinie piątej rano przyszła gospodyni, odebrała pieniądze i polecenia na zrobienie zapasów najpotrzebniejszych do spiżarni, na zakupienie drzewa, na najęcie porządnego stróża do noszenia wody i posługi. Podróżny oddał jój klucze, kazał, aby okna były otwarte dla wilgotnych jeszcze podłóg, aby z największą troskliwością obejrzała jeszcze wszystkie kąty, aby wszędzie było czysto i porządnie; aby stróż był na miejscu, a nadewszystko, aby trzymała język za zębami, i nie paplała wszystkim, ile jój zapłacono, i co się w jój domu robi. Gdy wkrótce bryczka pocztowa zaszła, podróżny rzucił w nią swój tłómaczek, którego nawet nie rozpakowywał; potem, usadowiwszy się na kupie siana, niepokrytej żadnym dywanikiem, nasunął czapkę na uszy i ruszył całym pędem koni świeżych i dobrze podkarmionych.

Jeszcze pewnie do stacyi nie dojechał, gdy całe miasteczko rozbudzone ze snu, dowiedziało się o tym ważnym wypadku. Gospodyni domu, zapomniawszy o daném sobie poleceniu, już dziesiąty raz opowiadała przyjazd, pobyt, umowę, i odjazd podróżnego, suponując, że to jakiś wielki pan, może wice-gubernator, albo guberski strapczy, gdyż tak mało gada, a tak wiele płaci; że mówił, iż może tydzień, może dwa tygodnie, a może trzy i więcej, dom ich będzie zajęty, a za każdą dobę daje po sześć rubli srebrnych; że najął dwa bardzo porządne łózka od aptekarza, który tu był późno w nocy i bardzo nisko się kłaniał; że od pocztmajstra przynieśli kanapę i krzesła, który także był i także się bardzo nisko kłaniał; że kazał nakupić świeżego masła, drobnych krupek, świeżych jaj, kurcząt i kapłonów, a wszystkiego po pańsku, i na wszystko zostawił pieniądze. Wieść ta rozbiegła się po głuchém i ustronném miasteczku, i doszła z różnemi dodatkami do horodniczego, który wczoraj o niczém nie mógł się dowiedzieć, bo miał gości, i w skutek tego festynu musiał wcześniej pójść spać, jako człowiek sfatygowany swą uprzejmością, i zachęcający zwykle wszystkich do wesolego spożywania darów bożych słowem, a nadewszystko, niezmordowanym przykładem. Gdy się wyspał i jaśniejszym okiem na ważność swoich obowiązków spojrział, zastanowiły go mocno niekształtne opowiadania podwładnych; wyłajawszy więc porządnie całą swą kancelaryę, że siedzi jak malowana; zgromiwszy dziesiątnika, że się dobrze nie dowiedział i jemu zaraz nie doniósł; posłał po gospodarza domu, najętego tak tajemniczym sposobem, a sam tymczasem, zasiadłszy w swoim bawialnym pokoju na czerwonej kanapie, przed którą stał stolik na jednej nodze, nałożył sobie fajkę wagsztafu i kazał podać mocnej herbaty, do której włożył trzy plasterki cytryny. Nadpiwszy więc większą połowę szklanki tak spreparowanego trunku, dopełnił ją arakiem, i tak posilając się, oczekiwał na żyda.

Przyszedł nareszcie Szloma Szumski i skłonił się z całą powagą żyda, który miał wino i arak, a zatem środki złagodzenia urzędowego impetu, jaki mógłby go spotkać, gdyby się nawet czuł w czémkolwiek winnym. Ale Szloma był w porządku; rozrządził swoją własnością, jak mu się zdało korzystnym, i nikogo się nie obawiając, stanął spokojnie i oczekiwał, co mu pan horodniczy powie.

Ten pan horodniczy był to w gruncie człowiek dobry, nie pragnący krzywdy biednych miasteczka tego mieszkańców. Pani horodniczyzna nie tak była skrupulatną, i wszystko, czém trzeba było wesprzeć gospodarstwo, zwłaszcza, gdy się zdarzył u nich jakiś festyn, jakie imieniny, lub chrzciny, szło przez jej ręce, tak, że horodniczy, dziwiąc się nieraz, że wszystko jest i wszystkiego dosyć, a lubił przyjąć, wychwalał nieporównany talent swój Magdusi, i klękał przed nią, całował ją w kolana, wykrzykując głośno, że takiej drugiej gospodyni w całej Rossyi nie ma. Ale oprócz tego, że lubił się czasem zabawić z buteleczką, miał jeszcze tę wadę, że powagę swoją chciał utrzymać i okazać, często aż do śmieszności.

Z tego powodu teraz, gdy przed nim stanął Szloma, zmarszczył się groźnie, sapnął, puścił z gęby długi słup dymu, którym się zaciągnął, i bez intencji pokazania żydowi, że butelka próżna, ale dla rezonu, porwał ją, wychylił z niej do szklanki ostatnią kroplę, i postawiwszy na stole tak, że się mało w kawałki nie rozleciała, rzekł:

— Co to u aspana, panie Szloma, robi się po nocy, że ja o niczem nie wiem?

Żyd, który go znał bardzo dobrze i wiedział, że ta chmura prędko przejdzie, byle tylko przeczekać, nie odpowiadając wcale na uczynione sobie zapytanie, ale dając strategiczny obrót rozmowie, rzekł z uśmiechem:

— Czemu to wielmożny pan tak z próżnej butelki chce nalewać? nu, tego i Salomon nie dokaże. A Szloma niedaleko; dla czego Szloma o tém nie wie, że u wielmożnego pana już sucho? Aj! czy to tak dobrze?

— Miałem gości wczoraj — odpowiedział horodniczy, jeszcze zachmurzony, ale już łagodniej — i jakoś wyekspensowało się. Ale mniejsza tam o to; u mnie, wiész, jak nie ma, to i nie trzeba. Ale weź sobie krzesło, Szloma, i siadaj. — Gdy żyd usiadł, mówił dalej: — Słyszałem, żeś dom cały najął i sam się wyniósł.

— Nu, czemuż wielmożny pan od razu mnie się tak nie zapytał — mówił żyd uśmiechając się — to ja byłbym zaraz powiedział, jak to było.

— Gadaj-że, gadaj, bo to coś ciekawego.

Tu żyd opowiedział wszystko: jak ten urzędnik przybył, jak za-

mówił cały ich dom, jak kazał myć i czyścić, jak najął stróża, dwa łóżka od aptekarza i meble od pocztmajstra.

— Któż to taki? — zapytał zakłopotany cokolwiek horodniczy, gdy się dowiedział o zielonym surducie z czarnym kołnierzem i czerwona wypustką, a zwłaszcza, gdy mu żyd powiedział, że przy dwóch dziurkach od guzika była czerwona wstążeczka. — Jakiś orderowy, wysoki urzędnik! bodaj cię, żydzie, żeś się nie domyślił, żeby mi zaraz dać znać — dodał — i powstawszy z kanapy, zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju. — Czy to on dla siebie najął twój dom?

— Alboż ja wiem, proszę łaski pańskiej — mówił żyd, gładząc brodę.

— Kiedyż on tu wróci?

— Nu, i tego ja nie wiem, bo nic nie mówił. Zapłacił za cały tydzień z góry.

— Djabli mi nadali wczoraj tych gości! — rzekł znowu horodniczy, chodząc po pokoju — przynajmniej, że teraz, jak tylko przyjedzie, to mi zaraz daj znać.

— A jakże, ja sam przyjdę zaraz.

— Więc powiadasz, że aptekarz widział się z nim, i pocztmajster także był u niego? — dodał, przywołując odchodzącego.

— Jakże! byli obydwaj, i powiem wielmożnemu panu, że obydwaj jemu bardzo nisko się kłaniali.

— Coś to w tém jest! — zawołał horodniczy sam do siebie, gdy żyd wyszedł, i zaczął się przechadzać coraz prędzej. Chociaż bowiem mało co miał sobie do wyrzucenia w rzeczach głównych, ale że miał wielką pretensję do służbowości, i każdego, a zwłaszcza, kiedy tak tajemniczym sposobem się zjawiał, bał się niezmiernie, niepokój jego coraz wzrastał i domysły wyrobiły z nieznanego przybysza, jakieś straszidło, które mogło zamącić czysty źródło jego ustronnego życia. Postanowił więc jakkolwiek uspokoić się, i obaczyć się z aptekarzem i pocztmajstrem. Zrzuciwszy więc kwiecisty szlafrok, w który dotąd był odziany, kazał sobie podać buty z ostrogami, jako oficjalniejsze od prostego podszycia, które zwykle nosił; nadział zielone spodnie z czerwona wypustką, zamiast zwykłych szaraczkowych, i zapiąwszy surdut pod szyję, wpuścił weń z lewej strony szpadę; odsunął na bok furażerkę z czerwona obwódka, a na jej miejsce nakrywszy głowę stosowanym kapeluszem, wziął nakoniec w rękę białe, łosiowe rękawiczki. Tak dopełniwszy swój urzędowej toalety, stanął dla ostatecznego zweryfikowania przed zwierciadłem, między dwoma oknami wiszącym, na które zapuszczały się białe z czerwonymi frendzlami draperye, wychodzące ku oknom od wielkiego fontazja, który tkwił nad zwierciadłem, a był arcydziełem pani horodniczyny i przedmio-

tem niejednej rozmowy między nią, aptekarzową i innymi damami, które się na poobiednią kawę do téj matadory miasta S\* schodziły.

Widząc horodniczy, że ubranie jego nie podlega żadnemu zarzutowi, że tak ustrojony mógłby stanąć nawet przed gubernatorem, jeżeliby ten niespodziewanie go zjechał, wyszedł na miasto i udał się najprzód do aptekarza. Że był niespokojny, a jako horodniczy, niepokoju swego nie chciał okazać, zaczął od wypicia kieliszka gorzkich kropel. Tym sposobem, umocniwszy się na wszelką wiadomość, jakaby go spotkać mogła, zapytał wreszcie farmaceutę o wczorajszego gościa. Aptekarz sam niewiele więcej wiedział; wnosił jednak z munduru i rozmowy, że to był lekarz wysokiej zapewne rangi i może dywizyjny, albo korpusny. Dla czego wszakże przybył, w jakim celu dom cały najął i żyda wyrugował, tego domysleć się nie mógł. Prosta logika wskazywała horodniczemu, że jeżeli to był wrzeczy samój doktor wojskowy, to przybycie jego nie mogło mieć innego celu, jak rewizyę apteki. Tę uwagę zrobiwszy i znacznie uspokojony, napił się znowu gorzkich kropel, które, jak doświadczenie nauczyło, i w niepokoju są dobre, i szkodliwym skutkom nagłego zaspokojenia się w jakiejś ważnej trwodze zapobiedz są zdolne.

Zostawiwszy aptekarza cokolwiek zakłopotanego tą uwagą, że zdarza się czasem, iż rząd do rewizyi aptek używa i lekarzy wojskowych, udał się horodniczy na pocztę, gdzie spodziewał się dokładniej dowiedzieć o godności i nazwisku osoby, która przybyciem swém i zagadkowym działaniem tyle w miasteczku wrzawy narobiła. Jakoż nie zawiódł się w swoim oczekiwaniu. Albowiem w księdze, w której się zapisują podorożne, wyczytał, że to był Radca Stanu i kawaler orderów, pan Jakób Grodnicki, naczelny lekarz 4-éj dywizyi piechoty, udający się w skarbowym interesie do różnych miejsc gubernii Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej. Tą wiadomością jeszcze mocniej uspokoił się horodniczy, ale utwierdził się w tém przekonaniu, że przybycie jego do miasteczka i najęcie domu na cały tydzień, aptekarzowi tylko kłopotu narobi; a jeżeli ma jaki inny cel, to chyba założenie wojskowego szpitalu, którego w miejscu tém nie było. To ostatnie domniemanie, nie tylko że go nie nabawiło żadnego niepokoju, ale owszem, rozjaśniło jego czoło tą myślą, że i gorliwość jego w służbie będzie miała większe pole pokazania się, i powaga urzędowa, o którą był nadzwyczajnie troskliwy, przy tyłu robotach i zbiegu przedsiębiorców nowego nabierze blasku. Tak marząc, opuścił horodniczy pocztę, poszedł przejść się po mieście i zajrzeć do tego domu, w którym miał ów Radca Stanu i kawaler mieszkać. Dom znalazł dostatecznie oczyszczonym i przygotowanym na przyjęcie tak wysokiego gościa. Z prawej strony w pierwszym pokoju, niby bawialnym, była kanapa i kilka krzeseł przyniesionych z poczty; w drugim



były dwa porządne łózka, które ustąpił aptekarz. Na drugiej stronie, z kąd się żyd wyniósł, pozostały niektóre co najpotrzebniejsz ze sprzęty, że zaś ich było za mało, posłał horodniczy po kilka krzesełek do siebie, zawołał także dziesiętników, i co było najporządniejszego u bogatszych żydów, kazał wziąć i przynieść.

W kilka godzin wszystko było to dokonane, dom na przyjęcie nowych gości był gotowy, spiżarnia jakkolwiek tymczasowo opatrzona, stróż najęty, a oprócz tego jeden z posługaczy policyi postawionym został na straży, aby nad wszystkim czuwał i na usługi był gotów.

Że zaś horodniczy był pewnym, że pan Jakób Grodnicki, skoro w ich miasteczku na kilka dni zostanie, odwiedzi go w jego własnym domu, i przyjmie przyzwoite ugoszczenie, dla rozrywki zaś po pracy w urzędzeniu nowego szpitala jakąś zabawę, np. wista lub bostona, (gdyż czas preferansa jeszcze był nie nadszedł), zawołał najprzód Szłomę i zaczął go z daleka wypytywać, czy on ma dobre węgierskie wino. Szłoma uśmiechnął się i odpowiedział:

— Ten pan, jak on przyjedzie, to on zapewne u wielmożnego pana będzie albo na obiedzie, albo na kolacyi, albo na jakiej zabawie.

— Tak się spodziewam — rzekł horodniczy prostując się.

— Nu, widzisz wielmożny pan, po co teraz o tego myśleć, kiedy wielmożny pan masz tyle roboty. Już ja o tego wszystkiego pomyśle i imość to zrobi tak, że wszystkiego wyjdzie jak z płotka, i wielmożnego pana o nic głowa nie zaboli.

Horodniczy znalazł, że żyd ma racją, i spuściwszy się na geniusz swojej żony co do interesów prywatnych, zajął się tylko służbowym przygotowaniem. Obszedłszy więc jeszcze miasteczko, dla połajania za jaki nieporządek, zajrzawszy do miejskiego więzienia, które spodziewany gość, jako lekarz wojskowy, mógł mieć polecenie obejrzyć, kazał wewnątrz pozamiatać, przed progiem piasku usypać, i tak dopełniwszy wszystkiego, na co tylko ludzkie siły zdobyć się mogły, poszedł z zaspokojonem sumieniem do domu.

Tego samego dnia, koło godziny szóstej wieczorem, dało się słyszeć na trakcie pocztowym kilka dzwonek. Póki odłogs ten dochodził z za grobli, niewyraźnie, i tak, że nie można było zmiarkować, dokąd udadzą się jadący, mało to kogo interesowało. Gospodyni tylko najętego domu, która właśnie tam się znajdowała, porządkując jeszcze reszty brudów, usłyszawszy dzwonenie; jakby jakimś przeczuciem tknięta, wybiegła na plac, przysłuchiwała się lepij, i obecnego tam dziesiętnika do horodniczego posłała. Tymczasem dzwonki coraz wyraźniej słyszeć się dawały, nawet z dźwięku poznać można było, że już są na grobli i że konie idą powoli. Wkrótce, równe, szybkie i głośne uderzenia, oznajmiły zaintrygowanym mieszkańcom, że ktoś jest już w ulicy i prosto do placu się zbliża. Mnóstwo ludzi wybiegło przede-

drzwi domów, dla przypatrzenia się; przed bramą zaś najętego domostwa już był Szloma w nowym kaftanie, opiętym pasem, i w sobolowej czapce; była żona jego ustrojona w perły i materyalny, czerwony szlafrok, który na jeden rękaw wdziała; było dość innych żydów i żydówek: słowem, była cała ciekawa i ożywiona nadzieją przyszłych zysków, zgraja. Nadszedł i horodniczy, i właśnie wtedy zbliżał się ku domowi, gdy z ulicy na plac wjeżdżały w pełnym kłusie ekipaże. Tych było dwa; karetą ogromną, w której było osiem koni, i bryka niezmiernie wielka i bardzo wyładowana, do której zaprzężono ich sześć, a mimo to były zgrzane i okryte pianą.

Z wielkiem podziwieniem wszyscy patrzyli na ten orszak, i w głowę zachodzili, coby to być mogło. Horodniczy stał przy bramię domostwa, i rzuciwszy okiem po obu powozach, spostrzegł, że w karecie były dwie damy: jedna stara, twarzy poważnej i imponującej, druga młoda, bardzo piękna, ale blada i jakby cierpiąca; na przodzie zaś mężczyzna w płaszczu szaraczkowym, z czarnym kołnierzem, w czapeczce ciemno-zielonej z aksamitną obwódką i czerwoną przy niej wypustką. Mężczyzna ów, jak wniósł horodniczy ze zrobionego sobie dziś rano opisu, był ten sam naczelny lekarz i kawaler, który wczoraj dom najmował. Na bryce przy zwoszczyku siedział tylko jeden dworski kozak. Zwierzchnia jego suknia z kapturem była ciemna, czapka barania czarna, a worek z niej jasno-zielony spadał na siwiejącą już głowę. Wąsy miał duże, siwe, a z twarzy widać było śmiałość i właściwą takim sługom roztropność. We środku w bryce była tylko jedna prosta kobieta, przystojna i dość młoda, która przy piersi trzymała małe dziecko.

Skoro powozy naprzeciwno bramy wjazdowej stanęły, kozak zeskoczył z bryki i podbiegł do karety, czekając rozkazów. Spektatorowie, pomiędzy którymi znalazły się i wyższe miasteczka osoby, jako to: aptekarz z żoną, kassyer i kassyerowa, pisarz i jego dwie siostry, zbliżali się coraz bardziej, zaglądali do karety, i dziwili się, że państwo, którzy takimi ekipażami przybyli, oprócz jednego kozaka i jednej kobiety i to z dzieckiem, żadnych innych sług nie mają. Rzeczywiście, oprócz wyżej wymienionych osób, nikogo więcej nie było.

Że karetą według ówczasowej mody była wysoka, i miała jeszcze na wierzchu waszę, kozak okazał wątpliwość czy wejdzie pod bramę. Otworzył więc drzwiczki i prosił, aby panie wysiadły. Lecz panie zostały w powozie, wysiadł tylko ów znany już naczelny lekarz. Co gdy się stało, kozak napowrót zarzucił stopnie, drzwiczki zamknął, a siedzące wewnątrz damy, widząc coraz bliżej podchodzących ciekawych widzów, podniosły szyby w oknach i zapuściły franki. Wszystko to powiększyło podziwienie i dało powód do różnych domysłów. Po zmiarkowaniu wysokości bramy i karety, pokazało się, że się zmieści. Horodniczy jednak, jako człowiek przezorny, i pragnący dać się

poznać podróżnym, jako władza miejscowa, czuwająca nad bezpieczeństwem mieszkańców i przejezdnych osób, przystąpił, zarekomendował się i radził, aby przednie konie wyprządz, żeby w skutek splątania się w ciasnym dość wjeździe nie było jakiego przypadku. Lekarz podziękował za dobrą radę, a gospodarz miasta krzyknawszy na dziesiętników, których było już kilku pod ręką, kazał ją natychmiast uskutecznić. To samo zrobiono i z przednimi końmi w bryce; wkrótce oba powozy weszły szczęśliwie w domostwo, gdzie była stajnia obszerna i dosyć czysta. Gdy karetą weszła, rozmaici ze spektatorów, szczególnie pisarz i jego siostry, zaglądali ciekawie, jak będą wysiadać damy, które się tak przed ich okiem ukrywały. Ale powóz wszedł w głąb' sieni, i panie w nim zostały, póki nie weszła bryka, póki nie wyprężono i nie wyprowadzono reszty koni. Wtedy kozak zamknął natychmiast bramę, potem pozamykał od placu okienice, i wszyscy zostali z niezaspokojoną ciekawością i nie wiedząc co o tém wszystkiem myśleć. Szczególniej przykro to było horodniczemu, że mimo jego grzeczności zamknięto mu drzwi przed nosem, i że w miejscu, gdzie wszystko powinno się dziać za jego wiedzą, zdarzył się tak ważny wypadek, z którego nie mógł sobie zdać sprawy.

Już więc horodniczy zaczynał się gniewać za uchybienie takie powadze, do której tak mocno był przywiązany, gdy furtka od bramy domostwa otwarła się, i wyszedł z niej pan Grodnicki, bez płaszcza, w mundurowym surducie, z czapeczką na głowie i z twarzą poważną i spokojną. Najprzód zawołał do siebie zwoszczyków pocztowych, każdemu z nich dał po pół rublu tryngieltu i odprawił do domu. Potem przyzwał gospodynię domu, kazał jęj wejść i kozakowi oddać spiżarnię i zrobione w niej zapasy, a stróżowi, którego mu gospodyni okazała, aby także wszedł, urąbał drzewa, rozłożył ogień na kuchni i przyniósł wody. Dalej zapytał gospodarza, czy nie można tu dostać kucharza lub kucharki, a także porządnej jakiej kobiety do usługi. Na co gdy żyd wątpliwym sposobem odpowiedział, dał znać aptekarzowi, którego spostrzegł, aby się przybliżył i prosił go, jako obeznanego z miejscowością, czy nie mógłby im tym sposobem przysłużyć się.

— Najchętniej — odpowiedział aptekarz — ale u nas o ludzi trudno, i ja tak prędko żądaniu pańskiemu zadosyć uczynić nie zdołam. Prędzej daleko potrafi tę trudność załatwić pan horodniczy, którego rozkazu każdy tu usłucha.

— Masz pan rację — odpowiedział lekarz, i szedł ku horodniczemu, który przechadzał się obok i udawał obojętność. — Panie horodniczy! — dodał przejezdny, uchylając z lekka czapeczkę. — Słyszałeś pan zapewne, o co rzecz idzie. Prosimy pomocy pańskiej

w tej mierze, jeżeli nam ją dać możesz; zabawiemy tu z parę tygodni może i więcej, i potrzebujemy usługi.

Horodniczy wyprostował się, spojrzął na mówiącego, prawą rękę podniósł niedbale do kapelusza i zaraz ją opuścił; lewą zaś oparłszy na szpadzie, rzekł:

— Pozwolisz mi pierwój pan zapytać się, w jakim celu tu przybyłeś i zostać zamýślasz, oraz kto są te panie, które z panem przybyły i zamieszkać tu przez niejaki czas mają?

Lekarz uśmiechnął się nieznacznie na te słowa, odpiął surdut, a horodniczy spostrzegłszy dwa krzyże na szyi jego wiszące, odstąpił krok w tył, wyprostował się, i czekał, co powie. Wówczas Radca Stanu wyjął z kieszeni surduta kopertę z wielką pieczęcią, dobył z niej papier i dał mu go do przeczytania. Horodniczy rzucił okiem na podpis, cofnął się jeszcze o krok, zdjął kapelusz, i tak z odkrytą głową czytał. Gdy skończył, skłonił się bardzo nisko, oddał pismo napowrót z uszanowaniem, i rzekł:

— Niech jasnie wielmożny pan będzie spokojny. Wszystko będzie według rozkazu.

Lekarz kiwnął mu głową i odszedł, a horodniczy, nałożywszy kapelusz na głowę, rozesłał w różne strony trzech dziesiętników, czwartemu kazał, aby nie oddalał się od domu, był na posługach, i nie pozwalał nikomu przybliżać się, zaglądać i wypytywać.

— Idźcie państwo do siebie i nie spodziewajcie się już, że się czego dowiecie — dodał do znaczniejszej publiczności; do zgromadzonego zaś żydowstwa, krzyknął: — A wy, łapserdaki! precz ztąd! z niczém tu się nie cisnąć, nie zaglądać, nie szwargotać! Nic tu nie utargujecie. Słyszeliście! precz, mówię! a jak którego tu obaczę, to do turmy wsadzę na trzy dni, na chleb i wodę. Rozpędź ich!

Dziesiętnik podniósł laskę i tłum żydów rozbiegł się w różne strony, szwargocząc, śmiejąc się i drwiąc po żydowsku ze sługi policyi, który słów nie rozumiał, ale za ubliżające mu śmiechy i szwargotanie kijem z daleka groził póty, póki się wszyscy nie rozeszli.

Takim sposobem rozwinęło się to ważne dla miasteczka S\* zdarzenie. Niezaspokojona ciekawość trapiła jego mieszkańców. Szczególnie kobiety łamały sobie głowę, co to za damy? dla czego jedna stara, druga młoda? jedna imponująca, druga smutna? jedna brzydka, druga piękna? Czemu taki sekret? Co znaczy ten pan w orderach? Co to za papier pokazał horodniczemu? i dla czego nawet sam horodniczy, czytając go, zdjął kapelusz? Oprócz tych, mnóstwo innych przedstawiało się trudności i zagadek, które się rozwiązać nie dawały. Horodniczy milczał jak zamurowany; zaraz nazajutrz wystarał się okucharza i porządną bardzo sługę; zapowiedział im, że będą dobrze płatni, ale jak które słówko piśnie o tém, co tam obaczy, to będzie mieć

z nim do czynienia. Dom ciągle był zamknięty, głuchy, nikt z niego nie wychodził, nikt nie wchodził. Horodniczy tylko co dzień rano przybywał, pukał w okno z lewej strony, wówczas otwierała się furtka, on tam wchodził, bawił kwadrans lub pół godziny, i znowu wychodził nic nie mówiąc, po co tam był, i z kim się widział.

Próżno aptekarzowa, kassyerowa, a szczególnie dwie siostry pisarza oblegały horodniczynę, aby ta, wszelkimi małżeńskimi środkami, starała się z męża sekret ten wydobyć. I horodniczynę ciekawość paliła, nie potrzebowała ona podnieci, ale wszelkie jej zabiegi, pieścizoty, przymilenia, dąsy i odmowy, były daremne. Horodniczy milczał: gdy mu jednak żona bardzo już dokuczyła, fuknął z gniewem i rzekł:

— Moja kochana! raz ostatni ci zapowiadam, że jeżeli ci miły kawałek chleba, który masz, to trzymaj język za zębami i mnie o nic się nie pytaj.

Ta odpowiedź męża, doniesiona przez horodniczynę natrętnym przyjaciółkom, jeszcze bardziej je zaintrygowała. Ale gdy tydzień upłynął, a dom zawsze był zamknięty i głuchy, gdy nikt się do niego dostać nie mógł, gdy nikt z niego nie wychodził; gdy kucharz, idąc do miasta z koszykiem i wracając natychmiast, miał zawsze przy boku dziesiętnika, który go z oka nie spuszczał i z niepotrzebnym słówkiem wyrwać się nie dał; gdy kozak, który czasem tylko wyszedł przed bramę, patrząc na miasteczko i fajeczkę pałac, skoro spostrzegł, że się kto do niego zbliżał, wchodził napowrót i furtkę zamykał, — wszyscy najciekawszy dali za wygraną, i oswoiwszy się z rzeczą tak nadzwyczajną, dopytywać się i badać przestali.

Dopiero przy końcu drugiego tygodnia obudziły się na nowo języki, i jakieś niewyraźne światło padło na tę ciemną historję. W zamkniętym domu ktoś widać zachorował; ale kto? na jaką chorobę, tego nikt dowiedzieć się nie mógł. Sam lekarz chodził do apteki, tam pisał receptę, przy nim aptekarz preparował lekarstwo, i on sam, nie zostawiwszy w aptece recepty, bez etykiety, numeru i pieczętki, brał je z sobą. Trwało to przez kilka dni, i potem znowu wszystko do dawnego wróciło milczenia. Wprawdzie aptekarzowa dąsała się i obarczała męża wymówkami, że ma przed nią sekreta, że ona nie wie do prawdy, czemu, i dla czego nazywa się jego żoną, kiedy tak się z nią obchodzi. Ale aptekarz uśmiechał się tylko i nie chciał powiedzieć, jakiego to rodzaju choroba, i kto może jej ulegać. Ze zaś przy preparowaniu lekarstw miał tę ostrożność, że kazał pomocnikowi swemu zająć się czem innem w laboratoryum, nie mogła więc aptekarzowa nawet od tego ostatniego dojść, jakie to były lekarstwa i z jakich słoików brane ingrediencye, aby po téj nitce trafić do kłębka.

Tym sposobem skończyło się tylko na domysłach, które do żadnej wiadomości mniej więcej nie doprowadziły.

W połowie czwartego tygodnia od przybycia tajemniczych gości, około godziny 10-éj z rana, horodniczy, wróciwszy z przechadzki po mieście, ubrał się w paradny swój mundur, wziął stosowany kapelusz, białe rękawiczki, i upomadowawszy włosy pomadą żony, która go z przekąsem zapytywała, dokąd z taką paradą idzie, wyszedł do miasta. Niespokojna o pokój domowy horodniczyna, a raczej niez mordowaną ciekawością dręczona, zarzuciła na siebie salopę, okryła się chustką, i poszła z daleka za mężem, ale tak ostrożnie, żeby jój nie dojrzał i nie mógł zmiarkować, iż go śledzi. Wkrótce spostrzegła, że poszedł prosto do owego zakłétego domu, którego furtka za nim się zamknęła. Stała jeszcze chwilę horodniczyna na rogu placu, i z wielkiém zadziwieniem obaczyła także proboszcza, który tuż za jój mężem sam, bez zakrystyana, mając coś pod płaszczem, zbliżył się do tegoż domu, którego furtka znowu otwarła się, i po wejściu jego natychmiast się zamknęła.

Dziwne jakies światło uderzyło ją. Ta blada i znękana młoda osoba, ten tak uparty sekret, ta tygodniowa choroba, a teraz ksiądz i mąż wystrojony i wypomadowany, wszystko to oznaczało raczej przyjście na świat, niż zejście ze świata. — To pewnie jakiś pański grzeszek — mówiła sobie w duchu — i w skutek tego chrzciny. Bo jesliby to miał być pogrzeb, dla czegożby mąż mój pomadował się? — Padłszy na taki trop, i wychodząc tryumfalnie z tego labiryntu tak długich domysłów, gdzie jój pomada męża, jakby nie Aryadny, za przewodniczkę służyła, już chciała horodniczyna biedz prosto do aptekarzowej, aby to niespodziane światło i na nią rzucić, ale przypomniawszy sobie, co jój mąż zapowiedział, a ceniąc i jego spokojność, i kawałek chleba, który utracić mogli, pokonała się tym razem, i wspomniawszy na drobne dzieci, choć z bólem serca i nieznośnym świerzbem języka, powróciła do domu. I wyszło jój to na dobre.

W godzinę potem powrócił horodniczy z powagą człowieka, który stał się ważnego sekretu powiernikiem. Chodził on przez niejaki czas po pokoju, jak gdyby nie wiedział, od czego zacząć. A gdy żona udawała, że się niczego nie domyśla, i bardzo pilnie coś szyła, stanął przed nią, wziął ją ręką pod brodę, i podniósł jój twarz ku sobie:

— Widzisz — rzekł potem — jak się to dobrze stało, żeś miała rozum i nie dokuczała mi pytaniami? Kto wie, jakie to dla nas sprawdzi skutki. Jeżeli mi jeszcze dasz słowo, że i dalej milczeć będziesz, to ci coś pokażę i podaruję.

— Alboż nie milczałam dotąd, jak zakłéta? — rzekła horodniczyna, odsuwając rękę męża — choć i to i owo spostrzegłam, i miałabym co powiedzieć, gdyby mi się podobało.

— Tobys źle bardzo zrobiła — mówił horodniczy, zacząwszy znowu przechadzać się — plotłabyś banialuki na pamięć, tak jak to wy wszystkie umiecie.

— O! nie wszystkie — rzekła małżonka z minką subtelną i wyrafinowaną. — Są takie, co i widzą i wiedzą, dla czego mundur, podma i ksiądz, a przecież nic nie mówią.

— Magdusiu! — rzekł horodniczy grożąc — jeżeli ci dzieci miłe, trzymaj język za zębami!

— Czyż to tak co strasznego? alboż to się jedną paniencę zdarza! — rzekła żona.

— Kobieto, milcz! — krzyknął horodniczy tak mocno i tak seryo, że aż zbladła.

— No, no, już będę cicho, kiedy tak trzeba — odpowiedziała żona, zmiarkowawszy, że to nie przelówki.

— Tak trzeba, nakazuję ci — mówił dalej mąż, i żeby cię te baby piekły i szpilkami kłóły, nie pisnij ani słowa. Żebyś zaś wiedziała, ile nam na tém zależy, i z kim mamy do czynienia, to patrz. — Tu dobył z kieszeni pudełeczko ładne czerwone, safianowe. — Otóż to dla ciebie, Magdusiu, żebyś miała rozum i delikatność.

Horodniczyzna drżącą od radości ręką otworzyła pudełko. Były tam kolczyki brylantowe, tak piękne i kosztowne, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Przypatrzawszy się im z chęciwością, położyła je na stole, powstała z krzesła, i spojrzawszy z daleka na ich blask i śliczną formę, rzuciła się mężowi na szyję, zaczęła go całować i pieścić, a potem, płacząc prawie z radości, zawołała:

— Bądź spokojnym, mój mężu, nie pisnę ani słówka. Nawet żebyś był bezpieczniejszym, weź to, schowaj u siebie. Nie ubiorę się w te śliczności pęty, póki tu będziemy w tej dziurze.

Horodniczy ucałował wspaniałą połowicę swoją, wziął kolczyki, które z półtora tysiąca mogły być warte, i schował u siebie. Potem zjadłszy smaczno obiad, położył się spać, i marzył o dalszej swojej karierze.

Bytność księdza i bytność wystrojonego w paradny mundur horodniczego, nie utaiły się przed aptekarzową. Wszakże napróżno i ona, i z jej natchnienia kašyerowa i siostry pisarza, dręczyły horodniczyne. Twarz jej przybrała wprawdzie tajemniczy charakter, który wyraźnie mówił, że coś wie, ale usta jej milczały. Od księdza także nikt nie mógł wybadać. Znowu więc skończyło się wszystko na domysłach. A gdy w kilka dni potem raniutko, brama i okna w karczmie zostały otwarte, Szłoma znowu się wprowadzać zaczął, i miasteczko się dowiedziało, że wszyscy goście w nocy, bez dzwonek nawet wyjechali, gadanina się powiększyła, stała się głośna, ale wkrótce, przez brak pożywnego materiału, jakim jest prawda, ustać musiała.

Wróciło więc wszystko do dawnej ciszy i milczenia, każdy zajmował się tylko sąsiadem, a słuch nawet o tych tajemniczych osobach, które przez kilka tygodni były przedmiotem rozmów, śledzeń i domysłów, przepadł zupełnie. Nawet o wypadku tym, rzeczywiście dziwnym i trudnym do wytłómaczenia, byliby mieszkańcy miasteczka S\* zupełnie i prędko zapomnieli, gdyby nie ta okoliczność, że w trzy miesiące potem, ni ztąd, ni zowąd, horodniczy tak ustronnej mieściny mianowany został Policmajstrem w Krzemieńcu. Miejsce to było w owym czasie bardzo korzystnym, i wszyscy dziwili się, jakim sposobem i przez czyją rekomendacją takiego honoru dostąpił. Ale horodniczy i żona jego wiedzieli dobrze, czyja to sprawa. Milczeli wszakże; tylko żegnając się z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi, mówili:—Patrzcie państwo! jak pożytecznym jest człowiekowi, kiedy umie trzymać język za zębami.—To dało wszystkim do myślenia i przypomniało im owych zamkniętych gości, tym bardziej, że pani horodniczyzna wymogła na mężu, iż jej na akt pożegnania i już jako policmajstrowej Krzemienieckiej, pozwolił ubrać się w tajone tak heroicznie kolczyki, i błyszcząco kosztownymi brylantami przed zazdrosnym okiem aptekarzowej, kassyerowej i obu siostr pana pisarza.

## II.

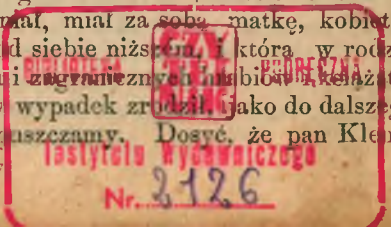
W jednej z najobfitszych i najpiękniejszych okolic Hajsyńskiego powiatu, leży ogromna majątność, złożona z dziewięciu podolskich wiosek. Jój stolicą i rezydencją dziedzica była w owym czasie wieś Z\*. Uprzedzamy czytelników naszych, że prawdziwe nazwisko tej wsi nie zaczyna się od Z; ale, że litera ta, wspólnie z *iksem* i *ipsylonem*, służy w algiebrze do oznaczenia ilości nieznaney, a mamy powody żądać, aby nie wszyscy domyślili się, gdzie właściwie odbyły się wypadki w niniejszym rozdziale opisane, dla tegośmy litery tej do oznaczenia miejsca działania użyli. Osoby bliżej z wypadkami temi obeznane, i wiedzące dokładnie, o kim tu mowa, i jak dalece opis nasz jest prawdziwy i wierny, usprawiedliwią nas i delikatność naszą ocenią.

Dwór tej wsi Z\*, zwany zwykle pałacem, stał na wzgórzu, panującym nad piękną doliną, w której rozkładała się wśród ogrodów i sadów wieś, z trzystu blisko chat złożona i ogromną przestrzeń zajmująca. Dwór ten zamykał w sobie liczne zabudowania murowane, przez ówczesnego właściciela wzniesione, mianowicie oficyny gościnne i dla oficyalistów, stajnie, wozownie, magazyny, lamusy i t. p.; samo zaś mieszkanie pańskie, czyli tak nazwany pałac, było drewniane, gdyż daleko dawniejsze, niż wspomniane wyżej budynki. Był to wszakże dom niezmiernie wielki, bardzo wygodny, i choć drewniany i bez piętra, zamykał wewnątrz skarby ogromne w kosztownych me-



blach, w obrazach, wszelkiego rodzaju rzadkościach, które dzisiejszy właściciel lubił i zewsząd zgromadzał. Wprawdzie sąsiedzi dziwili się, dla czego taki pan nie wymuruje sobie pałacu o piętrze, z gipsową sztukaterią, z salą idącą przez całą szerokość domu, i z gankiem o sześciu ogromnych kolumnach, jak to jest rzecz nieodzowna na Podolu, a zwłaszcza w powiatach bardziej ku Pobereżowi sięgających; lecz właściciel nie zważał na to podziwienie sąsiadów, na rady przyjaciół i żarciki niechętnych, i mieszkał ciągle w domu drewnianym, który zewnątrz wyglądał, jak wielki browar, ale wewnątrz miał apartamenta prawdziwie pańskie, a pod względem wygody, gustu i ozdób kosztownych i rzadkich, przechodzące wszystkie, choćby z pozoru najokazalsze rezydencje. Najrzadszym zaś klejnotem, i najpiękniejszą ozdobą tego domu była sama jego właścicielka. Rozalia hrabianka P\*\*\*, w roku 1810 wydana została za pana Klemensa G\*\*, właściciela owęj majątności, o której mówimy. Miała ona wówczas lat 20, wychowała się w domu najarystokratyczniejszym z całego Wołynia, ale którego niezmiernie niegdyś dostatki, w skutek nierządu, zbytków i łatwowierności ostatniego właściciela, przyszły do bardzo znacznej ruiny. Matka jej, pełna dumy rodowej, przez związki familijne połączona z najpierwszemi domami, z charakteru despotyczna i uparta, w majątku tylko i herbie widząca szczęście i honor, zabroniła córce swęj wszelkiej skłonności, któraby nieodpowiadała jej widokom, i do naprawy upadających jej własnych interesów doprowadzić nie mogła. Chociaż w takim razie córki rzadko wchodzą w rachuby i plany rodziców, i najczęściej miłość zakazana wkrada się do ich serca, tu jednak stało się zadość woli hrabiny, i, czy to w skutek posłuszeństwa matce, czy, że nikt nie potrafił myśli jej ku sobie skłonić, Rozalia została obojętną dla młodzieży, którą widywała, i bez radości i wstrętu oddała rękę swą panu Klemensowi G\*\*, którego jej matka, jako przysłego męża, bez przygotowania i bez ceremonii wskazała.

Jaki układ z matką utorował mu drogę do ręki najpiękniejszej wówczas na Wołyniu panny, tego nikt dociec nie mógł. Wszyscy jednak dziwili się niezmiernie; jedni, że człowiek, mający już blisko lat pięćdziesiąt, brzydki i bez zdrowia, które w czasie długiego pobytu swego we Włoszech stracił, potrafił zyskać przywiązanie, a przynajmniej przyzwolenie panny; drudzy, że bogacz bardzo znanego w kraju pochodzenia, o którego imieniu żadna kronika nie wiedziała, i żaden herbarz nie wspominał, miał za sobą matkę, kobietę hardą i pomiatającą wszystkiem od siebie niższym, i która w rodzie swym wszystkich polskich, a wielu i zagranicznych miłobici i kochańców liczyła. Domysły, jakie ten osobliwy wypadek zrodził, jako do dalszego ciągu tej historii nie należące, opuszczamy. Dosyć, że pan Klemens G\*,



którego dziad był rządcą, czyli, jak ich wówczas nazywano, gubernatorem w tej samej majątności, którą dziś posiadał, przywiózł młodą i piękną swą żonę do tego samego drewnianego domu, który niegdyś wybudować kazał wojewoda Ruski, jej pradziad po kądzieli, a którego ona dziś została panią, stawszy się żoną potomka rządcy, który robót nakazanych przez jej przodka pilnował. Tak to obracają się rzeczy ludzkie. Pan Klemens, chociaż brzydki i chorowity, miał jednak wiele zalet, które towarzystwo jego czyniły miłym, a nawet pożądanym. Dostawszy po ojcu wielką już fortunę, prawie do lat czterdziestu życia pracował bardzo gorliwie nad jej powiększeniem. Oszczędność w wydatkach, dobre gospodarowanie w ziemi najżyźniejszej i najobfitszej, przytém szczęśliwe spekulacye, potroiły prawie spadek ojcowski, i postawiły go w możności, po zyskownem sprzedaniu tego, co miał, kupienia majątku, którym niegdyś dziad jego zarządzał, a który potomkowie wojewody zmarnowali. Obaczywszy się tym sposobem w rzędzie nowych wielkich panów, poczuł w sobie, ni z tąd ni z owąd, amatorstwo do sztuk pięknych i różnych osobliwości, których w kraju naszym tak mało, i których nabyciem postanowił nadać sobie pewną pozycyę socyalną, i zyskać wyższość nad innymi bogaczami świeżej daty, którzy zdradzali swoje folwarczne pochodzenie przez zbytęczne zamiłowanie gorzelnii i rogatego bydła.

Pojechał więc na kilka lat do Francyi i do Włoch, gdzie oddawszy się nowej swęj passyi, ciągle kupował najrozmaitsze rzeczy, i przesyłając je do kraju, kazał w domu swym składać i ustawiać. Miał pan Klemens przeszło dwakroć sto tysięcy dochodu na rok, i cały ten dochód, nie nadwerężając fortuny swęj, przez lat siedm na te osobliwości tracił. Z początku naturalnie oszukiwano go, i kupował licznany zamiast dukatów. Wkrótce jednak nabył takiej wprawy, że po kilku latach doświadczenia i po stracie stu tysięcy przeszło na jego okupienie, stał się znakomitym znawcą malarstwa, rzeźby i wszystkich sztuk, które z pierwszemi mają związek; że umiał na pierwszy rzut oka rozróżnić roboty Benvenuto, od robót wszelkiego naśladowcy tego genialnego rzeźbiarza; że znał doskonale historyę Herkulanum i Pompei i wszelkich odgrzebanych tam zabytków; że wiedział, gdzie są najciekawsze i najosobliwsze zegary, kandelabry i wszystkie wyroby z brązu i innych mieszanin metalowych; że co tylko było najrzadszego z chińskiej porcelany, z porcelany sewrskiej lub saskiej, to miał lub widział; słowem, że jeżdżąc, patrząc, nabywając i ucząc się razem historyi i pochodzenia tego, co nabywa, przyszedł nietylko do posiadania zbiorów, które warte były przeszło milion, ale nabył oraz ogromnego zapasu wszelkiego rodzaju wiadomości, które rozmowę jego i obcowanie z nim czyniły bardzo interesującym i miłym. Wszakże nietylko martwą pięknosc pan Klemens

cecił i opłacał. Włoszki szczególnie, które były wzorami tak doskonałych utworów malarstwa i snycerstwa, pociągały go także brzmieniem kontraltowego głosu, wydatnością form i determinowaną mocą spojrzenia. I one kosztowały go niemało; ale nie wychodził nigdy z granic rocznego dochodu, który najsumienniejsz tracił, mniej skrupulatnym był w szafunku swego zdrowia, i tu, nadszarpawszy znacznie i samego kapitału, powrócił do kraju schorzały i prawie niedoleżny.

Gdy odpoczął po siedmioletniej wędrówce, w czasie której trzy razy tylko spadał niespodziewanie do domu, aby jego rządca nie poszedł w ślady jego dziada i ojca; gdy urządził i ustawił wszystkie swe zbiory w licznych i obszernych salach domu: zajął się wówczas urządzeniem go i umeblowaniem tak, aby z tego starożytnego przodków mieszkania (gdyż i jego dziad w nim mieszkał), zrobić najciekawsze w całym kraju muzeum i najparadniejszą w całej okolicy rezydencyą. To mu zajęło cały rok czasu i polknęło znowu całoroczną intratę. Ale odgłos o tych wszystkich cudach rozległ się szeroko, i pan Klemens, jako prawdziwy amator, używał, widząc zbiegających się z daleka i z bliska ciekawych, znajdując czasem pomiędzy nimi i światłych znawców, z którymi lubił pomówić, i głupią gawiedź, która na wszystko otwierała gębę, a z której on drwił i dziwne prawił jej androny.

Lecz żądze człowieka są nieograniczone. Można je porównać do owego potwora z kilkoma paszczami, z których każda łaknie pokarmu. Gdy się jedna napcha i nakarmi, druga w ten moment otwiera się i o pożywienie woła. Pan Klemens, jako amator, który już przestał nabywać i zbiór swój kompletować, prędko się nasycił i widokiem swoich skarbów, i admiracją, i gapieniem się tych, co je odwiedzali. Przywykły wreszcie przez lat siedm do ciągłej włóczęgi, do ciągłej różnaitości przedmiotów, zaczął się nudzić w domu, jakkolwiek pełnym najpiękniejszych rzeczy, ale które już nie nęciły go, gdyż były jego własne, i nie drażniły ani próżności, ani ciekawości, jako takie, które sto razy widział i wielekroć miał w ręku. Zachciało mu się więc głuche to i nieme już dla niego muzeum ożywić obecnością jakiej pięknej kapłanki, którejby mógł te wszystkie skarby pokazywać, i wtajemniczać ją w sekreta sztuki i w ciekawą historję jej płodów. Mówiąc po prostu, pan Klemens chciał się ożenić. Było to już trochę za późno, a sumiennie rzeczy biorąc, i znając siebie dobrze, niepowinien był odważać się na krok tak hazardowny. Ale nad mężczyznami, którzy w beżeństwie doszli do późnego wieku, czuwa jakaś Nemezys, i za wszystkie psoty młodości i nadużycia dojrzałych lat wymierzając zasłużoną karę, podszeptuje im zgubne myśli i daje zabijające pokój ich i swobodę natchnienia. Taka Nemezys stanęła przy panu Klemensie, gdy chodził ziewając po wspaniałych komnatach

swoich; gdy się przypatrywał bez interesu cudownym postaciom, utkwionym na żyjących płótnach, wychylającym się z brył marmurowych, skaczącym przed nim na brązowych lub porcelanowych naczyniach; gdy słuchał bicia zegarów, które mierzyły czas dla Franciszka I; gdy patrzył na świeczniki, przy których Henryk VIII podpisywał dekreta śmierci swych żon, Filip II rozkaz wytępienia stu tysięcy heretyków. Wówczas mściwa bogin mówiła mu do ucha: „Jesteś sam jeden, i życie przechodzi ci w tęsknocie i znudzeniu. Potroiłeś ojcowski majątek, i zostawisz go połyszom synowcom, którzy na rachunek twojego spadku robią już długie i kultajski prowadzą żywot; zebrałeś tyle skarbów sztuki, tyle zabytków upłynionej myśli, a będziesz to musiał rozdać hreczkosiejom i jarmarkowiczom, którzy twoje obrazy przegrają w karty, twoje posągi wynienią za wyżyły lub szkapy, a twoje brzozy i porcelany sprzedadzą żyćom do Berdyczowa, i zmarnują za siodła i nahajki; masz takie pyszne apartamenta, takie rozkoszne sypialnie, takimi zwierciadłami i kobiercami ubrane salony, a jesteś w nich sam, i cudny głosik nie wzięła cię do ustronnego gabinetu na słodką pogadankę, a śliczna twarz nie odbija się w zwierciadłach, i nie wabi cię ku sobie błękitnym okiem, abys ją podwojoną w lśniącej szybie obaczył. Ożeń się, a ożywi się twój dom; ożeń się, a podwoi się twoja istność; ożeń się, a puścizna twoja i owoc twój pracy przejdzie do rąk twego syna, którego sam wychowasz, i to, coś ukochał i zbierał, cenić i szanować nauczysz.“ — Tak mówiła Nemezys, i pan Klemens jej usłuchał. Że zaś pod względem dochodów, ukształcenia, gustów i tego wszystkiego, co dom jego miał, był rzeczywiście wielkim panem, chciał jeszcze, aby i na herbie jego jaśniała mitra lub korona z punktami, jeżeli nie na stronie miecza, to przynajmniej na stronie kądzieli, co by wyszło prawie na jedno, gdyż ta nieodzowna wszelkiej pańskości przyprawa mogła być tak nad obu herbami umieszczona, żeby na oba w równą mierze okraszającą zlewała omastę.

Było to w tym czasie, kiedy się Napoleon z Maryą Ludwiką żenił. Tym przykładem największego w świecie dorobkowicza zachęcony pan Klemens, udał się z prośbą o rękę hrabianki Rozalii, i otrzymał ją, z wielką uciechą mściwej bogini, co mu ten desperacki krok podszepnęła, z wielkiem podziwieniem wszystkich, co znali i pochodzenie jego, i dumę hrabiny, z wielkiem zgorszeniem wszystkich hrabiów i książąt, nie tylko krajowych, ale nawet galicyjskich i dalszych.

Małżeństwo tak nierówne, tak źle dobrane pod względem wieku, sił i chęci ich użycia, nie mogło mieć przed sobą tej kwiecistej przyszłości, jakiej spodziewa się każda para wówczas, gdy serce dyktuje słowa przysięgi, a młodość i zdrowie prowadzą ją pod dach wspólny, aby się życie ich dopełniło i dwie połowy rodzaju ludzkiego w jedne

zwały się całość. Rozalia, wychowana w niesłychanym rygorze przez matkę, kontenta była z początku, że się wydobyła z pod jarzma, które ją od dzieciństwa gniotło; że się wreszcie zerwała z tego paska, który każdy krok jęj mierzył i powstrzymywał. Stary mąż, choć brzydki i chorowity, był nadzwyczaj grzecznym, uprzejmym, uprzedzającym wszystkie jęj myśli i fękłci. Otoczył ją zbytkiem i okazałością, wprowadził w dom, po królewsku na jęj przyjęcie przygotowany, i młoda kobieta, widząc się panią przesłicznych powozów, paradnych cugów, przybranych z gustem, przepychem i najwykwintniejszą wygodą apartamentów; przyglądając się wszystkim nagromadzonym tam skarbowm; bawiąc się cackami, których przebrać nie mogła; mogąc stroić się jak chciała i jeździć gdzie i kiedy chciała, co wszystko u matki był jęj wzbronioném, prawie wdzięczną była panu Klemensowi, że j wziął; a słuchając z upodobaniem i ciekawością jego opowiadań, jego nauk, dotyczących się nowego dla niej świata sztuki, prawie zapomniała, że ma obowiązek całować te brzydkie usta, które tak pięknie mówily, że musi tulić do serca tę kościstą rękę, która ją w tym raju przepychu, swobody i sztuki umieściła. Chociaż więc pierwsze miesiące jęj małżeńskiego pożycia przeszły jęj raczej archeologicznie, niż we właściwém znaczeniu miodowo, była wesola, spokojna, kontenta ze swego losu, i pisząc do matki, dziękowała jęj za wybór, jaki zrobiła, i za szczęście, którego używa.

Pan Klemens był także z początku niewypowiedzianie szczęśliwym. Posiadał on najpiękniejszą w kraju kobietę, widział ją wesolą, kontenta z tego wszystkiego, co od niego odbierała; zdającą się nie rozumieć dolegliwości jego ciała, którym w skutek wieku i dawniejszego życia podlegał; mógł jęj szczegółowo pokazywać wszystko to, na co tyle czasu i pieniędzy wyłożył, i patrząc przez jęj oczy, nowe i nieoswojone, sam zdawał się po raz pierwszy skarby swe oglądać; spostrzegł w nich nowe powaby, nową wartość, i dzielając pięknej żony swęj ciekawość, ocknął w sobie dawniejsze, zastygłe już amatorstwo, i używał życia w całej jego pełni. Ta powolność i pojętność Rozalii, jako uczennicy, a wyrozumiałość jęj, jako żony, była powodem, że pan Klemens przywiązał się do niej całym ostatkiem sił swych moralnych i fizycznych, w niej dożywał reszty swego życia, i bez niej, bez jęj dobrego humoru, bez jęj uśmiechu i jęj łaskawego spojrzenia, nie pojmował już ani bytu na ziemi, ani żadnej radości, ani żadnego widoku na przyszłość.

Po roku takiego życia, oswoiła się młoda kobieta z tém wszystkim, co w domu męża było dla niej nowém i ciekawém; przekonała się, że wizyty w sąsiedztwie, chociaż w najgustowniejszém ubraniu i w paradnej karecie robione, były czcze i niezaspakajające; że goście, których przyjmowała, zawsze o jedno i toż samo zapytywali, i na jęj

zapytania tymże samym odpowiadali sposobem; postrzegła, że nawet bale i zgromadzenia, które zdarzały się w okolicy, i na których naturalnie przez piękność, wychowanie i dostatki była prawie pierwszą osobą, nie wypełniały niczém jój serca i nie zostawiały nic w myśli, coby ją dłużej zająć i jakakolwiek wyższą rozkosz sprawić jój mogło; nawet w pochlebnych szeptach młodych paniczów, któremi obdarzali ją w tańcu, lub na które ośmielali się w czasie jakiej ukradkowej rozmowy, nie znajdowała ani powabu, ani rozumu, ani prawdy, któreby jój dały do myślenia, że ten co mówi, czuje coś, że przez wzgląd na to uczucie wart, aby słowa jego zapamiętać i zuchwałej treści ich przebaczyć. Zasepiło się więc jój czoło, twarz pobladła i posmutniała, a strach i boleść wstąpiły do serca pana Klemensa. Miarkował on dobrze, dla czego uśmiech znikł z pięknych ust jego żony, i ta upokarzająca wiadomość, to uczucie pełne goryczy, że mimo całej swj miłości, mimo całego poświęcenia, nie jest w stanie dać jój takiego szczęścia, o jakie widać serce jój upominać się zaczyna, i do jakiego ma tyle praw niezaprzeczonych, napełniło piers jego zazdrością, i dało mu przedsmak tych wszystkich męczarni, do jakich był przeznaczony, i jakie mu przygotowała mściwa ta bogini, której podszeptów usłuchał.

Do tych tajonych udręczeń, powiększających się jednak z dniem każdym, i rosnących coraz smutkiem i obojętnością żony, przyczyniło się i to, że synowcowie, dowiedziawszy się, że rok małżeństwa jego upłynął, a nie było ani nadziei mającego się narodzić dziedzica, zbiegli się z uszanowaniem do stryja, którego domniemanemi byli spadkobiercami. Widok téj gburowatj i nieokrzesanej młodzieży dał mu uczuć całą przykrość położenia bezdzietnego bogacza, który pracował dla innych i zbierał na to, aby skarby jego niewdzięczne ręce rozpraszały.

Przyjął ich pan Klemens tak, że się więcej nie pokazali; ale obraz ich trapić go nie przestawał. Chcąc więc pozbyć się na zawsze i ich widoku i ich wspomnienia, oraz spodziewając się, że ofiarą całego swego majątku ożywi zastygające dla siebie serce żony, wróci uśmiech na jój usta, wesołość na jój czoło, i obudziwszy w niej wdzięczność, zabezpieczy się od szponów téj furji, co go skrycie rozdzierała, zrobił akt głośny i formalny, którym całą swą fortunę ruchomą i nieruchomą żonie swj, bez najmniejszego warunku, przekazał.

Rozalia, nie domyslając się bynajmniej, jaki był istotny powód téj wspaniałości męża, i sądząc, że dar ten winna tylko jego przywiązaniu, przyjęła go z wdzięcznością, trapiła się skrycie, że nie mogła, mimo najlepszej chęci, być weselszą i okazywać się szczęśliwszą; ile wszakże było w jój mocy, przeczwycięzała wstręt, jaki jój widok pana Klemensa sprawić zaczynał, i zmuszała się do uśmiechu i uprzejmości, gdy z nią był i na nią patrzył. Skoro jednak obaczyła się samą, natychmiast opadała ją tęsknota za czémścis, czego sobie określić nie mogła, i czę-

sto lzy rześiste zlewały jej lice, na którym ta walka niewysłowiona wyraźnie się malowała. Widział to wszystko pan Klemens, i chociaż był przekonany, że dotąd jeszcze głowa jego żony wolną była od grzesznej myśli, a serce jej od jakiegokolwiek występnej chęci było dalekiem, ale jako znawca ludzkiej natury, czuł, że tylko iskry brakuje, aby gromadzące się w piersiach młodej kobiety palne materyały buchnęły pożarem, któryby mógł i ją strawić, i całą budowę jego szczęścia obrócić w perzynę. Postanowił więc czuwać nad każdym jej krokiem, i otoczył ją niewidzialną siecią, przez którą żadna pokusa aż do niej dostać się nie mogła.

Nie ma namiętności, któraby tak usilnie się tała, jak zazdrość, i nie masz żadnej, któraby się tak łatwo i tak mimowolnie zdradzała. Pan Klemens wstydził się wszystkich tych męczarni, których doznawał, krył się z niemi, jak mógł, jednak wydawał się co moment, to niepokojem, gdy musiał się z domu oddalić, lub gdzie żonę puścić samą, to nagłym i niespodziewanym powrotem, to słówkiem zdradzającym jakieś podejrzenie, to wejrzeniem tak przenikającym, tak czasem okropnym, gdy w kompanii ktoś był miłszym od innych, i ona dla niego grzeczniejszą, niż dla popularnych swych znajomości, że Rozalia spostrzegła i zmiarkowała, iż spokojność, zdrowie, a nawet życie męża swego ma w ręku.

To odkrycie zmartwiło ją niezmiernie i rozgniewało. Ona czuła się nieszczęśliwą, ale czuła się oraz niewinną, i obowiązkom swoim, jakkolwiek ciężkim i okropnym, oddaną. Serce jej pragnęło miłości; może nawet czasem i krew młoda odzywała się ze swemi prawami, ale żaden przedmiot wyraźny nie stanął jeszcze w jej myśli, i tęsknota była tylko ogólną, rozproszoną, ale nie skupiła się jeszcze w jeden potok namiętności, któryby się zlał na jakąś wybraną osobę, i był dość gwałtownym, aby przerwał wszelkie zapory, jakimi ją surowe wychowanie i uczucie powinności ogrodziło. Rozdrażniona niesprawiedliwością męża, chciała ona go ukarać za podejrzenia, na niczem niegruntujące się, i do których ani jej myśli, ani jej postępowanie, ani nawet żaden pozór nie mogły mu dać powodu. Zwróciła więc uwagę na jednego młodego sąsiada, który rzeczywiście więcej jej nadskakiwał, niż inni, a przez majątek, wychowanie i powierzchowność swą mógł słabość jej, jeśliby ją miała, podobną do prawdy uczynić. Dla igraszki więc i rozdrażnienia zazdrości męża, zaczęła go niby szukać, niby kokietować, nie tając się nawet i nie strzegąc się wzroku pana Klemensa, którego coraz rosnące męczarnie widziała i grzeszną sobie z nich robiła zabawkę. Wprawdzie wszystkie te oznaki jej grzeszności dla młodego człowieka były bardzo niewinne; kończyło się wszystko na uśmiechu przy pożegnaniu, na wyborze do mazurka kilka razy powtórzonym, jeżeli się zdarzyła jaka zabawa, na oprowadzaniu

go po zbiorach męża i tłómaczeniu mu każdej rzeczy, jeżeli był u nich, na podaniu mu ręki do obiadu i wskazaniu miejsca przy sobie; ale tego wszystkiego było dosyć, dla obudzenia furyi w sercu zwiędłym i zwątpiałym, ciągle czuwającym. Pan Klemens ukrywał się jak mógł, ale każde jego słowo, każde wejrzenie, każdy ruch, zwłaszcza gdy młodzi ludzie znajdowali się razem, zdradzał tę tajoną i okrutną walkę, której nie mógł stać się panem. Ten stan jego nie-raz ją nawet seryo przestraszał, i do zaprzestania zgubnej igraszki zniewolił. Zaczęła więc sąsiada swego unikać, zimnym witała go ukłonem, gdy się gdzie zjechali, nie wyszła kilka razy, gdy przybył ich odwiedzić; ale że ta zmiana była zbyt nagła i zanadto od poprzedniego postępowania jej odskakująca, że młody człowiek, który może na seryo rozmarzył się i jakie powziął nadzieje, nie mógł ukryć swego zmartwienia i smutku, pan Klemens, dla którego panującej choroby wszystko było pokarmem, wziął to za ściślejsze już porozumienie się ich, za umówione udawanie obojętności, dla tém zręczniejszego wyprowadzenia go w pole; nie przestał czuć, śledzić i dręczyć się, a widokiem swojej męki trapić żonę, która postrzegła, jak straszną dla niej byłaby prawdziwa wina, gdy tak lekki jej i nic nieznaczący pozór tyle jej przynosi zmartwienia.

Następująca okoliczność dała jej miarę, do czego by dojść mogło, gdyby gorzkie swe i wszelkiej nadziei szczęścia pozbawione życie, chciała osłonić tajną jaką skłonnością, gdyby niewyraźne dotąd swe pragnienia i tęsknoty, osmieliła się wcielić w grzeszną jaką namiętność.

W jesieni 1812 roku, przed obiadem, wyszli raz do ogrodu, i usiadłszy na kanapie, wśród ładnej jeszcze zieloności i dokwitających gdzie niegdzie kwiatów, rozmawiali o wielkich wypadkach, które zmienić miały zupełnie stan Europy, i rzucić ją na odmienną i żadnym rozumem nie dającą się wyrachować drogę. W téj chwili dano znać, że obiad na stole, i że przyjechał pan Władysław H\*, ów młody sąsiad, którego już z parę miesięcy nie widzieli, i który tak niespodziewanie się zjawił. Pan Klemens zapomniał w tym momencie o wszystkiém, co się na świecie działo, i rzucił przenikający wzrok na żonę, która, niewiedząc dla czego, zmięszała się i mocno zaczerwieniła. Widząc to, pan Klemens zbladł niezmiernie, zadrżał w głębi duszy, i dobywając ostatnich sił, które go widocznie opuszczały, kazał gościa prosić, i poszedł ku domowi, nie oglądając się nawet na załękłą i szczerze zmartwioną Rozalię. Przy wejściu dopiero do sali, zatrzymał się, pokonał, i puściwszy ją przed sobą, wszedł za nią.

Obiad naturalnie nie był wesoły. Młody człowiek silił się, jak mógł, by utrzymać rozmowę, ale ta rwała się co moment, mimo to, że tak dawno nie był, i że tyle było materyi do mówienia. Gdy wstali od stołu, pan Klemens, który dotąd prawie milezał, zaproponował



przechadzkę. Żona, czy na złość mężowi, czy z innego jakiego powodu, udając sfatygowaną, wyjść nie chciała, i wzięwszy jakąś robotę, usiadła milcząc. Wtenczas pan Klemens, zaciskając wargi, z widoczną chęcią takiego przyjęcia gościa, aby więcej nie wrócił, wziął w rękę gazetę, podał panu H\* drugą, i rzekł:

— Rozmowa nam nie idzie, spacer nie udał się, jak pan widzisz, a musimy przecież czémkolwiek się zająć. Może pan przejrzy ten numer; są tam rzeczy ciekawe. — To powiedziawszy, zarzucił nogą na nogę, i zaczął niby czytać.

Wtedy Rozalia spojrzawszy na biednego młodzieńca, który pobladł i sam nie wiedział co z sobą zrobić, czy chcąc naprawić niegrzeczność mężowską, czy jeszcze bardziej go rozjątrzyć, rzekła z uśmiechem pełnym wdzięku:

— Nie czytałam jeszcze tego numeru. Niech pan Władysław będzie łaskaw przysunie się tu do mnie i czyta głośno.

Z wdzięcznością przyjął propozycję tę pan H\*, zwłaszcza że był nazwany po imieniu. Przynął więc prędko krzesło i zaczął czytać. Pan Klemens tymczasem patrzył w swoją gazetę, przewracał karty, ale ani jednej litery nie widział. Nie spuszczał on oka z twarzy żony, i każde jej poruszenie śledził. Gdy się czytanie skończyło, a gospodarz domu siedział na miejscu milcząc, pan H\*, którego przyjęcie to do żywego ubodło, pożegnał się prędko i pojechał. Wówczas pan Klemens, któremu imię młodzieńca, przez żonę tak słodko wymówione, brzmiało ciągle w uszach, porwał się z miejsca, chodził po pokoju, stawał czasem przed żoną, jak gdyby chciał wywołać eksplikacyą i wylać z serca wszystką gorycz, która je przepelniała; ale Rozalia robiła siatkę z największą pilnością, nie podnosiła nań oczu, i dała sobie słowo, że się pierwsza nie odezwie, i burzy, jaka jej groziła, niczém nie wywoła. Trwała ta niema scena blisko pół godziny. Pan Klemens miał czas ochłonąć; jakoż rzeczywiście opanował cokolwiek swoje uczucia, i stanąwszy przed nią, rzekł prawie łagodnie:

— Róziu!

— Cóż chcesz? — odpowiedziała, podnosząc głowę.

— Kto z nas dwojga nieszczęśliwszy? — zapytał pan Klemens.

— Sądzę, że ten, kto najmniej na to zasługuje — odpowiedziała żona.

— Więc ty go nie kochasz? — zapytał mąż.

Ruszyła ramionami biedna kobieta; dziwny jakiś uśmiech wzgardy i dumy przebiegł po jej ustach, i spuściwszy głowę, zaczęła zostawioną na chwilę robotę.

— Musiałem się więc w twoich oczach wydać bardzo śmiesznym i teraz, i dawniej, i w wielu innych razach! — rzekł pan Klemens zaciskając usta, i łza gorzka wstydu i rozpoczy stanęła w jego oku.

Podniosła nań wzrok Rozalia, a wnosząc z wyrazu jego twarzy o męczarniach, jakich doznawał, rzekła seryo:

— Prawdziwa boleść, choć źródło jęj urojone, nie wydaje mi się nigdy śmieszną. Żal mi cię szczerze; ale cóżem ja temu winna, że ty wiesz o tém, iż mam dopiero dwadzieścia dwa lat. Więcej teraz ich mieć nie mogę, choć dla twojéj spokojności z duszy bym rada, aby tak było.

— Wiem o tém także — odpowiedział pan Klemens — żem od ciebie o dwadzieścia kilka lat starszy. Nie potrzebujesz mi tego przypominać. I to wiem — dodał z uczuciem goryczy — że nie możesz mnie tak kochać, jakbyś kochała młodszego, powabniejszego, niż ja mężczyznę; ale byłabyś niesprawiedliwą, gdybyś i tego nie czuła, że żaden na świecie mąż nie pragnąłby tak twego szczęścia, jak ja pragnę, i nie gotówby był, jak ja gotów jestem, poświęcić ci resztę zdrowia i życia, abys tylko była spokojną i wesolą.

— Czyż ja o tém nie wiem? — rzekła tknęta temi słowy Rozalia, i chciała tklivięj na niego spojrzeć; ale obaczywszy twarz jego, tą walką sprzecznych uczuć wykrzywioną, odwróciła się i znowu wzięła się do roboty. Spozrzeglł to pan Kleinens, odgadł powód tego jęj poruszenia, i rozgniewany, pierwszy raz odkrywając się z całą furią swęj zazdrości, wyrwał z rąk jęj siatkę, potargał ją na drobne kawałki, rzucił na stronę, i uderzając ręką o stolik, zawołał:

— Słuchaj! jesteś młoda i piękna, ja stary i brzydki; ale nie odwracaj się odemnie i nie zapominaj, że należysz do mnie, żem cię nabył, żem twój mąż, że stanowisz dla mnie skarb, którego sobie bezkarnie odebrać nie dam.

— I o tém wiedziałam — odpowiedziała z dumą Rozalia, obrażona jedném zwłaszcza wyrażeniem, które ją boleśnie dotknęło — ale jeżeli nie zmienisz tonu, który, nie wiem doprawdy, z jakiego powodu, nastroiłeś tak wysoko, to wybaczysz, że zamiast się przestraszyć, parsknę ze śmiechu. Tragiczna rola nie każdemu może się udać. Do tego wiele potrzeba.

To powiedziawszy, wyszła. Pan Klemens został upokorzony i zawstydzony. Czuł on, że napadł na kobietę, nie wiedziąc za co, że się zdradził bez potrzeby i nie w porę, że wybuch jego był równie niedorzecznym, jak niedelikatnym. Postanowił więc pracować nad sobą, zwyciężyć tę szaloną podejrzliwość, do której właściwie nie miał żadnego powodu, a delikatnością i zaufaniem dać zapomnieć ten bolesny moment, jakiego pewnie doznała, patrząc na jego uniesienie, i znosząc tak niezasłużone wymówki.

Z drugięj strony Rozalia, której z razu postępek męża wydał się nieprzyzwoitym, grubiańskim i bezrozumnym, gdy się późnięj zastanowiła, ile musiał cierpieć i jak być nieszczęśliwym, kiedy się aż tak daleko zapomniał, przestraszyła się niezmiernie, postanowiła wszel-

kiego unikać pozoru i pokonywając, ile sił, tęsknotę swą i smutek, okazywać się weselszą, spokojniejszą, aby usnąć w nim tę szaloną zazdrość, której skutki mogłyby być dla nich obojga okropne, gdyby wybuch jój był choć pozornie ugruntowanym.

Tak więc ta scena, którą przypadek sprawdził, wyszła na dobre obojgu; stała się powodem, że nad sobą czuwali, że się pokonywali wzajemnie, a ztąd urodziła się zobopólna grzeczność i chęć oszczędzania sobie wszelkiej przykrości; ztąd nawet wesołość wróciła na twarz żony, a więcej ufności i pokoju wlało się w piersi męża. Znośném więc wydało się życie obojgu, tém bardziej, że to była owa wielka w dziejach zima, w której każdy myślący człowiek zapomniał o swoich dolegliwościach i uciechach, i odrywając myśl od swój drobnej osobistości, łączył ją z losami tych mass, które na wielkiej scenie Europy niezmierny odgrywały dramat. Gdy więc na wiosnę 1813 roku, dla przykrego, kosztownego i zagrażającego mocno procesu, który mu jeden z dawniejszych dziedziców posiadanego dziś majątku wytoczył, musiał pan Klemens osobiście udać się do Petersburga, i nie wiedział nawet, kiedy powróci, odjeżdżał z udaną przynajmniej spokojnością; żeby zaś dowiódł, jak dalece żonie ufał, zostawił jój nawet plenipotentcyę zarządzania majątkiem, jakby się jój podobało. Gdy miał siadać do powozu i całował jój rękę, rzekła mu:

— Miewałeś złe myśli, Klemensie! nieprawdaż?

— Daruj, Rozalio! — mówił pan Klemens — byłem szalony.

— Jedziesz-że spokojnym? powiedz. Jeżeli to potrzebne do twego pokoju, pojedę z tobą; kosztów ci niewiele przyczynię, a na wszelkie niewygody i niebezpieczeństwa narażę się chętnie, byle ci żadna zła myśl nie przyszła do głowy i gorzkiej nie dała godziny.

Pan Klemens przycisnął ją do siebie, pocałował ją w czoło, potem, ucałowawszy jój rękę i kolana, rzekł:

— Zostań, moja Róziu! będę spokojnym, nie obrażę cię żadną złą myślą.

— Dziękuję ci, Klemensie! ja zasłużyłam na to, abys mnie szanował.

Tak się rozstali. Pan Klemens miał wielką ochotę korzystać z ofiary Rozalii i wziąć ją z sobą. Ale byłoby to okazać nieufność i niedowiarstwo. Pokonał się więc i pojechał. Rozalia zaś, piękna, młoda, pragnąca szczęścia Rozalia, żona starego, brzydkiego i zazdrośnego męża, którego nie kochała, została w domu sama jedna, panią swój woli, swego czasu, i stu tysięcy dochodu, które jój mąż na utrzymanie domu przeznaczył. Nemezys klasnęła w ręce, a tymczasem pan Klemens jechał do Petersburga, i słyszał tylko dzwonki pocztowe, których echo szeroko się rozlegało. Pan Klemens bawił w Peters-

burgu 18 miesięcy, i przybył do domu pierwszych dni listopada 1814 roku, to jest w półtrzecia tygodnia po powrocie żony, która 17 października powróciła od matki, gdzie blisko pół roku bawiła. Wygrał on proces, który go tyle czasu kosztował; nabył wiele jeszcze ciekawych i drogich rzeczy, któremi szacowne zbiory swe dopełnił; nie stracił nic na zdrowiu w klimacie tym zimnym i zmiennym; owszem, zahartował się jakoś, ukrzepił i odzyskał dawniejszą ruchawość, a z nią i dawny humor. Przez cały czas pobytu swego w Petersburgu pełne zaspokojenia listy odbierał od rządcy swego z domu, od żony zaś pełne życzliwości, dobrego humoru, a nawet żartów niewinnych, któremi go drażniła i uspokajała razem. Między innymi donosiła mu, że się pan Władysław H\* ożenił, i że ona jest w rozpacz; że miała u siebie kwaterunek wojskowy, że wszystkie jego stajnie były pełne koni, a wszystkie oficyny pełne grzecznych, przystojnych i bardzo dobrze wychowanych oficerów; że w jego własnych pokojach ulokowała hrabiego C\*, generała kawaleryi i generała-adjutanta Cesarskiego, który jest krewnym jęj matki, rannym był pod Borodynem, a teraz, w nagrodę swych zasług i jako ranny, komenderuje korpusem rezerwowym, mającym konsystować na Podolu i na Poboczeżu; że mimo ran i wieku, gdyż ma już przeszło lat 40, jest to człowiek tak miły, tak pełen powabów i nieprzewyżczonych czarów w rozmowie i obejściu, że się w nim najzupełniej zakochała, za co przeprasza męża i do czego się najnaiwniej przyznaje. List ten napisany był wesoło, tak zręcznie i dowcipnie, że pan Klemens, który tegoż dnia, gdy go odebrał, odebrał także od sekretarza Senatu wiadomość, że interes jego jest na zupełnie dobrej drodze, ucieszył się nim niezmiernie, parę razy go odczytał, i uśmieł się serdecznie.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że pan Klemens przyjechał do domu zdrow, wesół, spokojny, i dwa razy więcej jeszcze, jeżeli to być mogło, w żonie swęj zakochany. Przyjęła go ona z tą naturalną uprzejmością i przywiązaniem, w którym nie dostrzegł żadnego udania, żadnej przesady, coby zdradziła komedię i może dałaby mu do myślenia, że z nieobecności jego wcale inaczęj korzystała, niż z listów jęj mógł wnosić, i teraz odskok jaki matrymonialny, zbytecznym wyłaniem chce pokryć. Zastanowiło to trochę pana Klemensa, że ją zastał bladą, że płeć jęj wydawała mu się jeszcze delikatniejszą i przeczystszą, że jakby trochę wychudła i spoważniała, że nie widział w niej tęj dawniejszęj sprężystości i mocy w chodzie i ruchach, jakby z jakięj długięj i ciężkiej wstała choroby, o której wszakże w ostatnich listach ani słowa mu nie pisała. Ale Rozalia uspokoiła go prędko, skarżąc mu się, że to jest skutek fadygi i trudów, jakich doznała przy matce, złożonęj przez kilka miesięcy uporczywą chorobą; że właśnie dla tego tak długo nie była w domu; że przez cały ten czas le-

dwie kilka nocy spała spokojnie, i znużyła się niezmiernie ustawicznem czuwaniem, doglądaniem chorej, która jeszcze wymyślniejsza w chorobie, niż gdy jest zdrową, od nikogo, prócz od niej, starań tych przyjmować nie chciała. Pan Klemens rad niezmiernie, że to nic innego, tylko fatyga, pochwalił żonę, że z narażeniem własnego zdrowia pilnowała matkę, uspokoił się i zajął się gospodarstwem, domem, urządzeniem i pokazywaniem żonie skarbów, które z sobą przywiózł, a które składały się po większej części z drogich i rzadkich wykopów w kościach i minerałach, jakimi Syberya z bogactwa naukę i na świat przedpotopowy tak ważne rzuca światło.

Wkrótce jednak przypadek nowym i niespodziewanym skarbem, mającym nas bliżej i wcale inaczej zająć, z bogacił ten dom, w którym, jeżeli i teraz nie było tych uniesień, tego szczęścia, o jakim marzą ludzie zabierający się do stanu małżeńskiego, była jednak spokojność, dostateczna doza ufności, i ze strony męża coraz rosnąca miłość, ze strony żony uległość, przychylność i niezmyślony wcale szacunek. W kilka dni po przybyciu pana Klemensa do domu zaśłociło się niezmiernie. Deszcz ze śniegiem zmieszany moczył ustawicznie ziemię, błoto dziedziniec pałacu, wszystkie drogi we wsi i ścieżki w ogrodzie; a wilgoć przenikająca nieznośnym zimnem, wciskała się nawet do pokojów, dobrze opatrzonych i ogrzanych. Stan ten niepogodny, tak naturalny w listopadzie, zdawał się dziwnym jakimśś sposobem wpływać na Rozalię. Przystępowała co chwila do okna, patrzyła na niebo płaczące i szaremi chmurami zakryte, i odchodząc zasmucona, zdawała się być niespokojną i wzdychającą. Pan Klemens spostrzegł to; a że w ludziach podejrzliwych i zazdrosnych imaginacya ciągle pracuje i ze wszystkiego wyciąga wnioski, które zamienia w jakieś groźne straszdyła, zapytał więc, dla czego słota i zimno w listopadzie zdają się ją zadziwiać i niepokoić. Odpowiedziała, że ją to tylko gniewa i niecierpliwi, że czuje się niezdrową, cierpi zawrót głowy, że chciałaby wyjść, odetchnąć świeżem powietrzem, a nie może. Pan Klemens znalazł tę odpowiedź bardzo prostą i zaspokajającą, i więcej o nic nie pytał. W nocy, przez wszystkie te dni słoty i zimna, Rozalia spać nie mogła. Pan Klemens słyszał, że wzdycha, że się przewraca na łożu niespokojna, że często podnosi głowę i ku oknu ją zwraca. Znowu więc zapytywał, wiele razy się przebudził, co jej jest? czemu nie śpi i jakim trapi się niepokojem? Żona, kładąc dłoń swą na ustach męża, prosiła go, aby na to nie zważał, żeby spał, że ona tak przywykła przy łożu matki do bezsenności, iż jej to nie szkodzi; że prócz tego jeszcze brak ruchu i świeżego powietrza, zrobił głowę jej ciężką i sen jej odjął. Mąż ucałował śliczną dłoń, która go dotknęła, obrócił się na drugą stronę i znowu zasnął. Dnia 15 listopada deszcz ustał, niebo się wypogodziło, kilkustopniowy przymrozek ścisnął i osuszył

ziemię, a słońce jasne i promienne, ogrzawszy powietrze, dało ten piękny dzień jesienny, który jak chwila radości w smutku, jak promień nadziei w zwątpieniu, miłym jest i pożądanym. Rozalia nie mogła utaić swój radości. Od rana chodziła po ogrodzie, wyjeżdżała powozem odkrytym, spacerowała po dziedzińcu, szła wsią aż ku karczmie, do której zajrzała, wdawszy się w rozmowę z żydówką, uszczęśliwioną grzecznością i łaską jasnej pani. Obiad jadła ze smakiem, po obiedzie wyciągnęła jeszcze męża do ogrodu, otuliła go sama ciepłą chustką, żeby się nie przeziębił; słowem, była cały dzień w ruchu i w jakimś niezwykłym, jakby gorączkowym stanie, który z razu zastanowił pana Klemensa; ale gdy mu pokazała błękitne i jasne niebo, uwierzył, że ją tak raduje powrót niespodziany słońca i pogody. Uszczęśliwiony tém nagłym ozdrowieniem Rozalii, a ztąd tak słodkim jój humorem, doznawszy nadto skutków tój zmiany temperatury, chociaż słońca już nie było i tylko gwiazdy iskrzyły się na niebie, miał ważne powody pan Klemens żądać, aby tak pogodnych dni było jak najwięcej, i aby chwile takie, jakich w dniu tym kosztował, jak najczęściej się powtarzały. Rozmyślając więc o tém, i w marzeniach szczęśliwych posuwając się tak daleko, iż mu się zdało, że byt jego i imię nie przepadnie na ziemi, wybił się zupełnie ze snu. Lampa alabastrowa słabém światłem oświecała piękną sypialnię i wspaniałe ich łoże. Zmęczony cokolwiek myślami, jakkolwiek były urocze, odrzucił z ramienia swego kołdrę, podniósł się eicho, oparłszy się na poduszce, i nachyliwszy głowę, przypatrywał się Rozalii. Spała ona smacznie i spokojnie, oddech jój był równy i żadném marzeniem nie przyspieszony; zdawało mu się nawet, że po dniu i wieczorze tak dobrze przebytym, rumieniec lekki wystąpił na jój piękne lice, że usta zrobiły się bardziej koralowe, że cień długi, który padał od czarnych rzęsów, osłaniających jój oczy błękitne i cudne, nie pokrywał już owych sinych znaków osłabienia, jakie pod niemi widział, ale leżał spokojnie na gładkich i wypełnionych jój licach. Ucieszył się niezmiernie pan Klemens tym spoczynkiem kobiety, którą tak kochał, i której zdrowia, pokoju i szczęścia tak mocno pragnął, a nie śmiejąc go przerwać nawet pocałowaniem, zatrzymał w sobie oddech i pogrążył się w słodkim przypatrywaniu. Wtém zdało mu się, że usłyszał za oknem sypialnego pokoju, które wychodziło na ogród, jakiś jęk i niby płacz niedołężnego i małego stworzenia, a w tymże samym czasie zdało mu się także, że żona jego nieznacznie drgnęła.

Pan Klemens, niezmiernie zdziwiony i jedném i drugim, nie spuszczać już oka z twarzy Rozalii, zaczął słuchać z natężeniem. Jęk się powtórzył i przeszedł w wyraźny płacz dziecka, ale poruszenie żony, które przy pierwszym ozwaniu się tego głosu postrzegł, było wyraźnie złudzeniem, gdyż Rozalia spała spokojnie i żadnym



znakiem nie okazywała, że czuje, iż mąż na nią patrzy, i słyży, że coś za oknem płacze. Uspokojony tćm spostrzeżeniem, pan Klemens słuchał dalej i wkrótce przekonał się, że jakaś nieszczęśliwa istota jest rzeczywiście za ich oknem, że ją ostre powietrze listopadowej nocy dotyka, że zatćm płaczem żalonym głosem, skarży się gwiazdzistemu niebu na swoje opuszczenie, i pomocy ludzi wzywa. Nie pojmując wcale, co o tćm myśleć, i odpierając całą mocą woli straszące obrazy, które się tłunnie do głowy jego cisnęły, wstał cicho, żeby żony nie zbudzić, i zarzuciwszy na siebie szlafrok, przystąpił do okna, odechylił firankę i patrzył, zkąd pochodził ten płacz, coraz głośniejszy i coraz wyraźniej do pokojów przedzierający się. Tuż przy oknie spostrzegł niewielki koszyk, a w nim zewsząd otulone dziecko, którego twarzy dojrzcć nie mógł, ale widział, że nad nią zrobiona była jakby budka osłaniająca i nie tamująca oddechu. Z razu sam nie wiedział, jak sobie poradzić. Już mu przychodziło na myśl, nie budząc żony, wyjść cicho, posłać kamerdynera, aby nieszczęśliwą tć istotę wyjął i odniósł zaraz na wieś do jakiejś matki, któraby zapewnił, że za wyżywienie i utrzymanie tćj sieroty sownie wynagrodzoną zostanie. Ale w tymże samym czasie biedne to stworzenie odezwało się tak żalownie, tak jćkiem swym wdzierało się do jego serca, że przypomniawszy sobie marzenia i myśli swe, które go przed tym wypadkiem tak słodką nadzieją kołysały, i sądząc, że Bóg może tćm pewniej pocieszy go jćj spełnieniem, jeżeli się nad sierotą ulituje, da jćj w domu swym przytułek i wychowanie, zdecydował się wcale inaczej. Nie chcąc wszakże nic w tćj mierze poczynać bez wiedzy i przyzwolenia żony, najpierw ją zbudzić i to, co im Bóg tymczasowo posła, okazać postanowił. Przystąpił więc do łóża i zaczął wołać na żonę. Ale sen jćj był tak twardy, że się na głos jego nie ocknęła. Dotknął jćj z lekka ręką, ale i to nic nie pomogło. Zmieszany cokolwiek, nachylił się do jćj twarzy. Oddech był równy i sen głęboki. Postrzegł wprawdzie pan Klemens, że pot wystąpił na jćj czoło, które było jak lód zimne i chłodnemi kroplami zmoczone; ale że biedne dziecić mocniej jeszcze płakać zaczęło, nie miał czasu wyprowadzić ztąd żadnych wniosków, i podłóżywszy prędko rękę pod poduszkę, podniósł ją delikatnie i żonę na łózkę posadził. Wtedy dopiero przebudziła się Rozalia i oczy przecierać zaczęła. Gdy spostrzegła męza stojącego przy sobie, przelękała się, zadziwiła i odgarnijając włosy z czoła, zawołała:

— Co to jest, Klemensie? Ach! Boże! jakżem ja spała. Dla czegoś wstał, czyś nie chory?

— Nie, moje życie — odpowiedział pan Klemens; — ale mamy gościa.

— Kogo? — zawołała, przecierając jeszcze oczy — czy nie mama?

— Nie, nie, ale słuchaj — w tej chwili dzieciątko mocno płakać zaczęło.

— Co to jest? — krzyknęła wówczas Rozalia i równemi nogami porwała się z łóżka.

— Weź co na siebie, bo chłodno — rzekł mąż, i orzucił ją wielkim szalem, który mu się nawinął. Tak otulona i cała drżąca, przystąpiła do okna, i spojrzawszy na stojący koszyki słysząc słabnący już płacz dziecka, załamała ręce i krzyknęła:

— O mój Boże! na takim zimnie biedne! biedne stworzenie!

W głosie jej była taka boleść, że pan Klemens aż się przeląkł. Prędko więc dodał:

— Obudziłem cię umyślnie, Róziu, żeby się z tobą naradzić, co z tem zrobimy....

— Ale, to potem, Klemensie, potem! — zawołała prędko — a teraz każ je wziąć, ogrzać, nakarmić. To biedactwo tam zmarznie — czy słyszysz jak głos jego słabnie; o! nieszczęśliwe dziecko... bez matki!

— Ty nią będziesz, Róziu! — rzekł wzruszony i pocziwy pan Klemens.

— O! będę, będę... ale idź, każ je wziąć — i rzuciła się do dzwonka i szarpać zaczęła za sznurek. Służąca przestraszona wpadła w jedną koszuli. Rozalia porwała ją za rękę, przyprowadziła do okna i ukazując koszyk, zawołała:

— Patrz! ktoś nam podrzucił biedną jakąś dziecinę. A tam tak zimno, już prawie płakać nie może. Zbudź Widalską. Biegnijcie prędej, przynieście je, ogrzejcie.

Służąca wybiegła. Pan Klemens, wdziawszy ciepłe, aksamitne buty, wyszedł wydać potrzebne rozporządzenia; wtedy Rozalia, obaczywszy się samą, westchnęła z głębi piersi, wyciągnęła ręce do kwilącej za oknem dzieciny, i zakrywszy potem twarz dłońmi, zsunęła się przy oknie na kolana i gorzko płakać zaczęła. Wkrótce jednak opamiętała się, obejrzała się ku drzwiom, które dy mąż wyszedł, i wstrząsnawszy się w całej swój istocie, zawołała: — Dzięki ci Boże! — I nic w tem dziwnego. Na dworze było zimno, a Rozalia była kobietą. Tak podziękowawszy Bogu, że się dobry uczynek nad sierotą spełni, powstała z miejsca, otarła prędko łzy, i zaczęła się odziewać. W tej chwili nadszedł mąż i oznajmił jej, że już kazał zaprządz konie do bryczki, i posłał na wieś po jaką kobietę, która niedawno urodziła, aby przyjechała z dzieckiem swém do dworu i karmiła tymczasem biednego podrzutka, nim dobrą mamkę wyszukają.

— Dziękuję ci, Klemensie! — rzekła już spokojnie Rozalia — że ci to pierwój na myśl przyszło, niż mnie, choć jestem kobietą i może sama będę matką — dodała, patrząc ze znaczącym uśmiechem



na męża, którego oczy błysnęły radością — ale doprawdy, tak byłam przestraszona widokiem téj nieszczęśliwej ofiary, szczególnież tą myślą, że może tam zmarznąć bez ratunku, żem straciła głowę. Czy już je wzięli? — zapytała, ubierając się i nie idąc do okna — bo coś ucichło.

Pan Klemens przystąpił, spojrział i uspokoił żonę, że już koszyka nie ma.

— Poczciwej Widalsi oddam je w opiekę — mówiła dalej Rozalia — ona taka dobra i sama była matką. I jeżeli to dziewczynka — dodała spuszczać oczy — to potem sama się nią zajmę.

— Jak ci się spodoba, moja Róziu! — rzekł pan Klemens.

— A cóż? żyje? — rzekła wówczas Rozalia do wchodzącej służącej.

— Żyje, proszę pani — odpowiedziała służąca — a takie śliczne dzieciátko, jak aniołek.

— A gdzież ono?

— Jest tu w garderobie, proszę pani.

— Klemensie! ja pójdę obaczyć — rzekła Rozalia dość obojętnie.

— Jak chcesz — odpowiedział mąż — ale możeby Widalska sama opatrzyła.

— Wszak położono je pod mojem oknem — rzekła Rozalia — widać, że biedna matka chciała, żebym i ja miała o niem staranie.

Poszła więc Rozalia do garderoby, przystąpiła prędko do koszyka, stojącego na łóżku Widalskiej, i nachylając się nad biedną dzieciną, która zmęczona widać płaczem, i poczuwszy ogrzane powietrze, usnęła, patrzyła długo w śliczną i pełną twarzyczkę, i widocznie mocowała się z sobą, aby nie okazać zbytęznego czy bólu, czy radości.

Gdy rozwinięto okrywające je ładne i ciepłe pierzynki i kołderki, a pod nimi cieniutką bieliznę, w której dziecina była obwinięta, pokazało się, że to był chłopczyk, zdrowy, tłusty i rumiany, że miał na szyjce wstążeczkę, a na niej, jakby pugilares z cienkiej materyi, który osłaniał jego piersi i z którego wyglądał papier.

— Chodź, Klemensie! chodź! obacz, co to za śliczny chłopczyk — rzekła Rozalia, obracając się do męża, który stał we drzwiach — szkoda, że nie dziewczynka — dodała — ale cóż robić? I tego biednego chłopczyka wychowamy, nieprawdaż? jak porządną ma wyprawę, jak starannie był otulony! O biedna matka, ile ona musiała łąz wylać, okrywając dziecę swe po raz ostatni, i wyrzucając na mróz, na niepewne, czy je przyjmą, czy go nie podrzucą gdzie dalej, pod inne drzwi, pod inne okno! czy wiesz, że to okropne? Krew się we mnie ścina, na samą myśl takiego położenia! — Pan Klemens potwierdził, że rzeczywiście jest to dla matki moment bardzo okropny.

— Ale tu, proszę pani, jakieś pismo — rzekła Widalska, wydobywając delikatnie papier zapisany.

— Pokaż, Widalsiu! — rzekła Rozalia biorąc — opatrzciez tu i otulcie dobrze tę biedną dziecinę, nim przywiozą jaką kobietę z piersią. A my tymczasem, mężu, przeczytajmy.

Wrócili więc do sypialnego pokoju, kazali sobie więcej dodać światła, a pan Klemens, wzięwszy z rąk żony list, na ładnym, weli-nowym półarkuszu napisany, przypatrywał się charakterowi, śledził formę pojedynczych liter, i, czy to z ciekawości, czy z podejrzania, tak starannie go egzaminował, że rozciągnąwszy do światła, nawet o znakach wodnych nie zapomniał, którym się troskliwie przypatrzył. Przez cały ten czas żona stała obok milcząc, i nie przerywała niecierpliwością tego zajęcia męża. Gdyby był pan Klemens wówczas nie na znaki wodne, ale na jęj twarz spojrzął, może byłby więcej się dowiedział i prędzej wpadł na ślad, któryby go do rozwiązania téj zagadki doprowadził. Ale mężowie zwykle patrzą nie tam, gdzie trzeba.

List, pisany widocznie ręką dobrze wychowanej kobiety, zaadresowany do nich obojga, zawierał następujące słowa:

„Szanowni państwo! jesteście bezdzietni i bogaci, jesteście litościwi i darów Boga umiecie używać po chrześcijańsku. Okryta wstydem, oplakując gorzkimi łzami błąd młodości i grzeszne uniesienie niedoświadczonego serca, padam na twarz przed wami i błagam was o miłosierdzie nad nieszczęśliwą istotą, której dałam życie, a do której jawnie przyznać się i nad którą czuwać nie mogę. Ty, piękna pani! uczujesz całą nieskończoną bolesć, która rozrywa moją duszę, gdy słowa te kręślę. Bóg nie dał ci jeszcze być matką, ale w piersiach jest serce kobiety, które krzyk matki zrozumieć i w którym znajdzie się głos, co za moją biedną, przemennie odrzuconą sierotą przemówi!“

Rozalia, która list ten czytać zaczęła, rozplakała się w tém miejscu i oddała pismo mężowi. Pan Klemens znalazł naturalném to głębokie współczucie żony, gdyż słowa były rzeczywiście pełne tklivosti i prawdy, a i sam, zostając pod urokiem marzeń, które go w téj pamiętnej dla niego nocy kołysały, wzruszył się, otarł nieznacznie łzę, która mimowolnie oko jego zwilżyła, i wzięwszy list z rąk płaczącej żony, czytał dalej:

„Na cóż wam wiedzieć, kto jestem, i co mnie zmusza do wyrzeczenia się najskłodziej powinności najświętszego dla każdej kobiety obowiązku? Muszę być bardzo nieszczęśliwa, wszystkie formy i przepisy społeczności muszą żelazném ścisnąć mnie pętem, kiedym się

„odważyła na ten krok rozpaczy, kiedy od piersi swęj oderwawszy  
 „drogie moje dziecę, zostawię je same pod waszym progiem wtedy,  
 „kiedy może zimno ściśnie ziemię, kiedy wiatr ostry zaszumi nad jego  
 „niewinną głową, kiedy nie będę pewną, czy płacz jego was dojdzie  
 „i wzruszy was do miłosierdzia i litości. O szanowni państwo! jeżeli czy-  
 „tacie te słowa, wiedźcie tylko to, że za waszą łaskę otrzymacie nagrodę;  
 „że łzy i modlitwy moje wyproszą wam u Boga słodką w życiu waszém  
 „pociechę; bo ja nie będę go błagać o przebaczenie dla siebie, ale tylko  
 „o błogosławieństwo dla was za to, że biednej dziecinie, której własna  
 „matka wyrzec się musiała, dacie przytułek i wychowanie. Bo nie myśl-  
 „cie, zacni państwo, abym inny cel miała, oddając wam mojego syna.  
 „Jeśli Bóg i wasza łaska zachowają go przy życiu, obejdzie się on bez  
 „udziału waszych bogactw, które wszystkie zachowajcie dla waszego  
 „potomka, jakim zapewne w nagrodę za dobry uczynek niebo was ob-  
 „darzy. Ale dajcie mu zdrowie, dajcie mu wychowanie, o to was ze łza-  
 „mi i na kolanach proszę. Jesteście bogaci, nie was to kosztować nie bę-  
 „dzie, i ten kawałek chleba, który mu udzielicie, nie połączy się pewnie  
 „z żadną wymówką, jaka zwykle sprawia gorzki pokarm sieroty.  
 „Dla tegom was wybrała, aby nie był ciężarem dobroczyńcom swoim,  
 „nim wyrośnie, nim się wzmocni, i nauczy się o własnych siłach  
 „przedzierać przez ciernie tego życia. Przyjdzie może czas, że prze-  
 „zwyciężę wstyd, który mi dziś najwyższą rozkosz na ziemi wydziera,  
 „że upadnę do nóg waszych i za dobrodziejstwo wasze wam podzię-  
 „kuję. Tymczasem wyciągam do ciebie ręce, zacna, dobra, piękna  
 „pani! spojrzysz czasem na moje biedne dziecę okiem matki, uśmie-  
 „chnij się do niego tym uśmiechem, który aniołowie na ustach kobie-  
 „ty złożyli; obdarz go niekiedy tą pieszczotą, jakiej ja grzeszna  
 „i występna dać mu nie mogę, a obaczysz, że za tę dobroć nagrodzoną  
 „zostaniesz. Ściskając i pieszcząc twoje własne dziecę, poznasz, jak  
 „jestem nieszczęśliwą, jakiej rozkoszy odmówić sobie muszę, i jak  
 „wielkie, zastępując mię, wyświadczasz mi dobrodziejstwo!“

Pan Klemens podniósł w tej chwili oczy na żonę, a widząc, że  
 łzy dwoma strumieniami płyną po jej twarzy, nie zdziwił się bynaj-  
 mniej, że ją ta słodka przepowiednia tak mocno wzrusza, ale sam do  
 żywego dotknięty, i prawie pewny, że się spełni, wziął jej rękę  
 i z uniesieniem ucałował. Rozalia pocałowała go także w czoło  
 i prosiła aby czytał dalej. Czytał więc co następuje: „Kończę już, bo  
 „mi sił nie staje, a zbliża się chwila rozstania, która tyle odwagi, tyle  
 „mocy wymaga. Bóg mi dopomoże, i to przekonanie, że dziecko moje  
 „w najszlachetniejsze ręce oddaję, uspokaja mnie. Syn ten urodził  
 „mi się dnia 28 września. Jest ochrzczony w wyznaniu rzymsko-  
 „katolickim. Na chrzcie świętym dano mu imię Tadeusz, które  
 „z sobą przyniósł. Nazwiska, niestety! nie ma żadnego, bo matka

„jego była słabą, grzeszną, bo w chwili uniesienia i obłąkania namiętności zapomniała o tém, że może rzucić w świat biedną istotę, która nie przyniesie z sobą na ziemię żadnych praw, której nazwisko ojca nie utoruje drogi w życiu, i nie osłoni tarczą swą od pocisków sztyderstwa i złości. O ty, drogi mój, bezimienny aniołku! daruj-że to zapomnienie matce twój! Strzeż się, abys w żadnej złej chwili nie obarczył jej za to wymówką, bo serce jej i tak zranione, od ciebie tylko balsamu i złagodzenia bólu swego oczekuje. Bądź zdrow, mój synu! Żegnaj cię, moja jedyna nadziejo! i błogosławię tę pierwszą drogę twą, w której niech Bóg nad tobą czuwa, niech matce twój przebaczy, i w sercu obecj ci kobiety choć cząstkę mojej dla ciebie miłości złoży!“

Gdy pan Klemens list ten skończył, Rozalia zawołała: — Biedna! biedna kobieta! — Mąż wcale się nie zdziwił tém współczuciem i nie przeczył; a dla uspokojenia żony, której głębokie wzruszenie widział, i którego złych skutków w spodziewanej dla siebie wielkiej radości obawiał się, przyrzekł, że jej pozwoli zająć się tym chłopczykiem, jak się jej podoba, i że sam z całego serca do dania mu edukacyi i zapewnienia sposobu do życia przyczyni się. Rozalia wyciągnęła do niego rękę, i uśmiechnęła się tak słodko, iż zdawało się, że to był doprawdy ten uśmiech, jaki aniołowie na ustach kobiety złożyli, i o którym owa biedna matka w liście swym napisała. Zapieczetowawszy te zgodne myśli i zgodne chęci względem podrzuconej sieroty wzajemném rąk uściśnieniem, zaczęli zgadywać, wnioskować, z kądem się pod ich oknem wzięść mogła. Wszakże trudno było bardzo wpaść od razu na drogę jakiegobądź odkrycia, tém bardziej panu Klemensowi, który niedawno wrócił z Petersburga i ośmnaście miesięcy w domu nie był. Tę ich bardzo naturalną, chociaż nieużyteczną rozmowę, przerwał turkot kół na dziedzińcu palacu. Domyślając się, że przywieźli kobietę ze wsi i posiłek zgłodniałemu dziecku, które płaczem już głośniejszym i śmielszym dopominało się o pokarm, poszli oboje do garderoby. Wkrótce weszła tam także młoda, przystojna, podolska chłopka, z dziewczynką otuloną kozuchem. Rozalia przystąpiła do niej, pogłaskała ją po twarzy, a pokazując jej dziecko, opowiedziała w kilku słowach, co się stało, i prosiła, aby mu dała piersi. Chłopka pocałowała panią swą w rękę, przystąpiła do pana, i nachyliła się do jego kolan, potem, położywszy dziecie swe na łóżku garderobiany, rozebrała się, usiadła, i gdy jej podano w cienką i ładną poduszczkę obwiniętego Tadeuszka, karmić go zaczęła. Chwycił nasz bohater energicznie za piers białą i pełną tego mleka, którem błogosławiona ziemia podolska płynie, a pan Klemens i Rozalia, zaspokoivszy się w tak nowych dla siebie rodzicielskich troskach, kontenci, że im się udało od zimna i głodu ochronić niedołęzną ludzką

istotę, w tém słodkiem uczuciu, jakie daje dobry uczynek, i w słodszej jeszcze nadziei, że nagrodzonym zostanie, poszli pokrzepić snem ciało, znużone wzruszeniami téj ważnej dla obojga nocy.

### III.

Nazajutrz oboje mieli dość zajęcia. Pan Klemens, zastanawiając się z uwagą nad wszystkimi okolicznościami, towarzyszącemi podrzuceniu dziecka, nie mógł się opędzić od złych i trapiących myśli. Jak mary niewyraźne snuły się przed jego oczami różne straszdyła, którym wszakże żadnej formy jasnej dać nie umiał. Jakkolwiek postępowanie żony przez cały ciąg jego niebytności nie mogło mu natchnąć żadnego podejrzenia, a jój zadziwienie, przestrasz, a nawet łzy, które wczoraj wylewała, były naturalnym skutkiem i osobliwości wypadku, i politowania nad stanem opuszczonej dzieciny, nad położeniem nieszczęśliwej jego matki, przeklinał wszakże w duchu to tak długie oddalenie z domu, niemożność skontrolowania każdego jój kroku, każdej myśli, a przypuściwszy nagle, co w człowieku tak podejrzliwym było rzeczą naturalną, że może jest ofiarą bezprzykładnej chytrości, że sam własnym chlebem ma wykarmić owoc występnej jakiejs tajemnicy, której przeniknąć nie jest w stanie, a o której może okolica wie; że zatem będzie przedmiotem pośmiewiska całego kraju, do wściekłości prawie dochodził i dziwną jakąś nienawiść do niewinnego stworzenia, które wczoraj przygarnął, w sercu swém poczuwać zaczął. Wszakże stan ten przykry trwał tylko chwilę i jak błyskawica rozdzierał chmury, które duszę jego zalegały. Gdy się zastanowił nad niepodobieństwem, aby występek, który sobie uroił, mógł być prawdziwym; gdy przeszedł myślą wszystkie stosunki żony, wszystkie osoby, które w czasie nieobecności jego widziała, uspokajał się znowu, i powracał do tych słodkich nadziei, jakimi się wczoraj kołysał.

Wśród takiej walki myśli, podejrzeń i nadziei, zastała go żona, która przyszła oddać mu dobry-dzień i z nim razem wypić śniadanie. Pan Klemens zapytał o dziecię i patrzył jój bystro w oczy, oczekując co powie. Twarz Rozalii nie zmieniła się bynajmniej. Odpowiedziała bardzo naturalnie, że biedne dzieciątko śpi zapewne, że go nie widziała jeszcze, ale służąca upewniała ją, że nassawszy się do brze, było resztę nocy spokojne.

Pan Klemens uspokoił się także tą odpowiedzią, i oddał jój list matki biednego podrzutka, który jeszcze raz odczytał i przy dniu wyegzaminował, aby go u siebie schowała. Rozalia, biorąc w rękę list, dodała z uśmiechem:

— Jednak to ciekawa rzecz, kto ta nieszczęśliwa kobieta i jakim sposobem zdołała tak tajemnie przedrzeć się w nocy do ogrodu, i tam koszyk postawić. Mój Klemensie, kaź wybać ogrodnika, stróża, a także wypytać we wsi, czy wczoraj nie był kto, czy kto nie nocował? Może na jaki ślad padniemy.

Pan Klemens uspokoił się jeszcze bardziej tą propozycją żony, i podziękował w duchu Panu Bogu, że urojenia jego są rzeczywiście płonne i niedorzeczne. Obiecał więc zadość uczynić jęj ciekawości. Potęm, pomysławszy chwilę, dodał:

— Trzebaby jednak dziecko to gdzie ulokować z mamką, którą dziś zapewne znajdują. Ja myślę — dodał, patrząc na żonę i sledząc každy ruch jęj twarzy — żeby najlepiej w tym pokoju, co jest przy twojęj garderobie. Będiesz bliżęj twego wychowańca. Na sługi spuszczać się nie można. A jeżeli mamy być dobroczyńcami tęj sieroty, to nie róbmyż nic w połowie.

— Jeżeli tak każesz — odpowiedziała Rozalia spokojnie — to niech tak będzie; ale mnie się zdaje, żeby to już było za nadto z naszej strony. Pokój ten przedzielony od naszego sypialnego tylko jedną garderobą. Dziecko może być niespokojne, może być niezdrowe, i wtenczas płacz jego nie da nam spać i uprzykrzonym się stanie. A przytęm w tym pokoju jest moja kąpiel, nie chciałabym się pozbawiać tęj wygody, i nawet nie miałabym się gdzie podziać z moja waną. A być tam razem z mamką i dzieckiem nie życzyłabym sobie. Chyba gdyby to było . . . — dodała, patrząc z uśmiechem na pana Klemensa.

— Twoje własne! — przerwał mąż, najzupełnięj uspokojony i uradowany, biorąc jęj rękę i do ust przyciskając.

— O! wtenczas — odpowiedziała Rozalia — odór dziecka i mamki byłby mi miłym. Wtenczas wyprosiłabym cię bez ceremonii z mojego pokoju i umieściłabym nasz skarb tuż przy sobie.

Pan Klemens w uniesieniu radości nachylił się do jęj kolan i uściłkawszy je, podniósł się lekko z miejsca, jakby wielki jaki ciężar spadł z jego serca. Potęm, przeszedłszy się parę razy po pokoju, wrócił do żony, która tymczasem piła herbatę, i rzekł:

— Jednak moja Róziu! trzebaby gdzieś obmyślić kącik dla tego biedactwa.

— Już ja nad tęm myślałam — odpowiedziała Rozalia. — Chciałam zrazu zaproponować ci, żeby je oddać na wieś do jakięj dobrej kobiety, choćby do tęj samęj, co je teraz karmi, i któraby za dobrą nagrodę przyjęłaby je chętnie,

— Ależ, moja Róziu! — rzekł pan Klemens trochę zadziwiony. — Cóżby to było za dobrodziejstwo z naszej strony?

— Otóż widzisz! — rzekła, nieznacznie odetchnawszy i spuszczać oczy na filiżankę, w której już nic nie było — pewna byłam, że na to nie pozwolisz, tém bardziej, gdym sobie przypomniała niektóre słowa tego listu. — Tu znowu uśmiechnęła się do męża, który zrozumiałwszy ten uśmiech, ucałował znowu jej rękę i zapytał:

— Jakżeś się zdecydowała?

— Tak zrobimy — odpowiedziała Rozalia powstając, i wzięwszy pod rękę pana Klemensa, przechadzać się z nim zaczęła. — Wiész, że Widalska, choć najpocziwsza w świecie kobieta, jest mi już niedogodną. Jest za ciężka, nieruchawa, zanadto otyła, a szczególnie gada ustawicznie, tak, że mi to czasem przykrość robi. A przytém, nie może już moich sług dopatrzeć dobrze, które ciągle się z nią sprzecają i na złość jej robią. Otóż chciałabym pocziwiej Widalsi dać spokojniejszy kawałek chleba i sobie także oszczędzić przykrości. Każ mi w której oficynie naznaczyć pokój z osobnym wyjściem, tam ją ulokuję i oddam jej pod opiekę tę sierotkę, a pod komendę mamkę i jaką do usługi dziewczynę. Tym sposobem wszystkiemu się dogodzi, nieprawdaż?

Zgodził się mąż na tę propozycję żony, i w parę dni potem mamka się znalazła zdrowa i młoda, dwa pokoiki w oficynie, z sioneczką i osobnym wyjściem na ogród, zostały urządzone i opatrzone w nieodbitie potrzebne sprzęty, a Widalska, która od razu przywiązała się do chłopczyzny, z tą łatwością, z jaką serce kobiety dobrej, już niemłodej, i która miała dużo dzieci, przylega do takiego niemowlątka, w którym widzi wszystkie przymioty, a nawet rysy przypominające jej pierwsze lub ostatnie dziecko, z ukontentowaniem podjęła się tej nowej funkcji, gdzie i swoje doświadczenie okazać mogła, gdzie była zupełnie niezależną, gdzie spodziewała się zbyć się wrzawy garderoby i dozoru nad kilkoma ładnymi dziewczętami, które czuły to dobrze, że młode i ładne.

— Chodź, moje złoto! chodź, mój robaku! — mówiła, przenosząc się już na nowe mieszkanie i na drogę powijając bohatera naszego. — Nie będziesz miał u mnie krzywdy. Ja nie zaśpię, jak zapłaczesz w nocy; dostaniesz zaraz mlęczka, dobrego, smacznego mlęczka. No, no! nie płacz-że tak — wołała do chłopca, który wyciągał ręce i nie dawał się krępować — trzeba cierpliwości, kochanku, bo to dla twojego dobra cię wiążą. A jak się krzywi i mocuje! żwawy chłopiec, nic uroku! zupełnie taki, jak mój nieboszczyk Jasio, biedny

aniołek, co mi umarł na frybrę, wtenczas jak panowała na Podolu, i kiedy to tyle była wyzdychało. Daj-no mi poduszczkę, Kseniu! wszak Ksenia ci imię? — dodała, obracając się do nowej mamki, i wyciągając do niej prawą rękę, tymczasem lewą przytrzymywała rączki Tadeusza, który wrzeszczał i główką kręcił, jakby czytał Emila Russa i wiedział, że go niepotrzebnie wiążą i do niewoli życia przyuczają.

Gdy mamka, niewprawiona jeszcze do nowych swych obowiązków, nie tę, której chciała, podawała jej poduszkę, Widalska odstąpiwszy od łóżka, poszła sama do miejsca, gdzie garderoba dziecka leżała, i pokazawszy mamce, jaka pierzynka i kołderka do czego służy, wzięła żadaną poduszkę i szła napowrót, przewalając swoją ogromną korpulencyą na prawo i na lewo, i szorując wydeptanemi trzewikami, gdyż nogi jej pod ciężarem ciała sfatygowane, często jej puchły, i innego obuwia nosić nie mogła.

Tymczasem bohater nasz, poczuwszy chwilę swobody, rzucił się dzielnie na pościeli, i robiąc łokciami i kolanami, rozwinął pieluszki, i rączki i nóżki na wierzch wydobywszy, machać niemi zaczął.

— Chryste Jezu! — krzyknęła Widalska wróciwszy, i spostrzegłszy, że dzielny malec całą jej robotę w niwecz obrócił. — Patrzcie państwo! takie to małe, a takie już nieposłuszne! co to będzie dalej? Poczekaj-no, ty zuchu! nic ci to nie pomoże. Be! be! krzycz nie krzycz, a taki cię zwiążę i nie będziesz wymachiwał kułakami. Miałam ja już takich, a dałam im radę. Nie lepszy był i mój Staś, i Franek, i Jacunio mój biedny, co mi umarł na ospę, No, dawaj ręce, chłopcze! będzie jeszcze czasu dosyć do woli i swywoli.

Tak gadając i okręcając powijaczkami piękne i pulchne ciało Tadeuszka, pokonała nareszcie jego opór, położyła ukośnie poduszkę, i złożony na niej dziecię, usznurowane jak żyjąca mumia, otuliła je tą sporą pierzynką, przewiązała jeszcze z wierzchu, i nakrywszy twarzyczkę chustką, oddała mamce. Potém, odziawszy się w salopę i zarzuciwszy na głowę chustkę, zawołała na służącą, aby wzięła koszyk, w którym cała garderoba dziecka była złożona, i takim ceremoniałem idąc sama naprzód, we środku mając mamkę z dzieckiem, a w odwodzie dziewczynę z koszykiem, poszła do nowego mieszkania.

Mieszkanie to było szczupłe, ale suche i ciepłe. Składało się z sionki wychodzącej na ogród i z dwóch pokojów. W pierwszym była dla Widalsi kanapka, cycem pokryta, stolik, szafka na rzeczy, druga na rozmaite przysmaki, słoiki, fiaszeczki z ulepkiem; było tam także kilka stołków; w drugim, którego okno wychodziło na dziedziniec, było jej łóżko, wysoko piernatami wysłane, kołdrą w wielkie kwiaty przykryte, i czterema poduszkami, pod ścianą piętzącemi się,



opatrzone. Nad łóżkiem wisiał S-ty Józef z lilią w ręku, patron nieboszczyka jój męża, któremu, choć się czasem napijał, przez pamięć jednak trzymał dzieci, niezłomną zachowywała wierność i wdzięczne zawsze wspomnienie. Z lewej strony świętego obrazu była gromnica, na różowej wstążeczce zawieszona; z prawej pęczek kwiatów zeschniętych, od dnia uroczystości Najświętszej Panny Zielnej za obraz zatknięty, i mający się dopiero na drugą takąż uroczystość przemienić; także kropidelko z flaszeczką święconej wody, którą jój pani z Począjowa, ze stopki Matki Boskiej przywiozła, gdzie podobno przed przyjazdem pana, w czasie goszczenia swego u matki, była. Przy łóżku stał stolik, na którym leżał kalendarz Berdyczowski, Złoty Ołtarzyk w czarną skórę oprawny, kantyczki, krótkiego ale grubowatego formatu, w obdartych okładkach i z rogami ćwiartek w trąbki pozakreśnieniami. Przy tej bibliotece Widalsi leżała duża pończocha, z potężnej widać nogi, do pięty już dorobiona i grubym dość drutem przepięta. W szufladce zaś od stolika, cokolwiek otwartej, widać było sennik, który musiał być w częstym użyciu, jak z okładek można było zmiarkować, i talia zatłuszczonych i starych kart, na których ciągnęła kabałę. Przy drugim końcu łóżka, obrócone grzbietem do piernatów, stało wielkie krzesło z poręczami, mebel dla Widalsi najkosztowniejszy, bo mieściła się w niem doskonale, mogła się oprzeć plecami, i robiąc pończochę, miała na czem położyć łokcie, które ciągle prawie musiała nosić na powietrzu, gdyż tłuste niezmiernie boki rozplątały je i od korpusu odpychały.

Naprzeciwno łóżka, w próżnym i czystym zupełnie kącie, stała kolebka Tadeuszka, którą Widalska tymczasowo od ekonomowej pożyczyla, kołysząca się na prostym, krajowym, ale czystym dywaniku, aby bieguny jój nie stukały o podłogę. Od okna zasłaniał kolebkę jakiś stary parawanik, który sobie wyprosiła od koniuszego, aby światło nie raziło ócz jój wychowanka, i wiatr od okna nie zawiewał. Tapezan dla mamki, zasłany dobrym siennikiem, opatrzone poduszką i koldrą, które Widalska zdobyła w garderobie przebojem, i prawie gwałtem wydarła jednej z najkapryśniejszych garderobianek, stał pod ścianą naprzeciw okna. Oprócz tych mebli, była jeszcze w tym pokoju komoda na pieluszki i inne rzeczy chłopezyka, niski stołek dla mamki, na którym siedzieć miała w czasie karmienia, i drugi stołeczek pod nogi dla Widalskiej, rzecz dla niej nieodbita, i którą równie ceniła jak sennik, karty od kabały i tabakierkę, która się jój w puściznie po nieboszczyku mężu dostała.

Do takiej siedziby, dnia 18 listopada 1814 roku bohater nasz przeniesionym i w przygotowanej na przyjęcie jego kołysce złożonym został. Do całego tego urządzenia, do tych przenosin, Rozalia nie mięszała się wcale, i póty wychowanka swego odwiedzić nie poszła, póki pan

Klemens, zdziwiony cokolwiek tą obojętnością, sam jej tego spaceru nie zaproponował. Gdy przyszli, chłopiec spał, przykryty starym, zielonym woalem Widalskiej, który jej kiedyś Rozalia podarowała, a który ona przez wzrastające przywiązanie do powierzonego jej dziecka, odpięła od cynamonowego swego kapelusza, pozbawiając się tym sposobem ozdoby, której tylko w czasie uroczystych świąt do kościoła używała.

Uradowana przybyciem państwa najobszerniejsza ze wszystkich ochmistrzyń, jakie kiedy były, wyszła naprzeciwko nich do pierwszego pokoiku i kłaniając się z uśmiechem, prosiła, aby raczyli wejść i obaczyć chłopczyka, który jak jakie paniątko ulokowany i opatrzony.

— Żeby jasna pani wiedziała, co to za swywołnik, jaki duży i mocny, to do podziwienia! Nie ma jeszcze podobno i dwóch miesięcy, a wygląda jak dziecko na kwartał. Rychtyg taki był mój Jacunio, to też mi się nie wychował i umarł na ospę. Ale ja to nie dla tego mówię, żeby i temu aniołkowi miało się stać co podobnego — dodała, zmiarkowawszy się i postrzegłszy, że twarz Rozalii drgnęła i cokolwiek się zmieniła, czego pan Klemens naturalnie nie uważał, bo wtedy oglądał się po pokoju i patrzył na jego umeblowanie. — Niech go Bóg uchowa, — mówiła dalej — i zapewne jasna pani każe mu zaraz zaszcześcić ospę, żeby jakiego przypadku nie było. Już ja o tem wspominałam ekonomowi, ale on mi odpowiedział, że teraz zła droga i nie można do miasta posłać. Co to za ludzie! żal się Bóg im co mówić.

— Bądź spokojna, Widalsiu! — odezwał się pan Klemens, widząc, że żona jego milczy i jakby ją raziło powietrze tej izby, trzymając chusteczkę przy ustach i nosie. — Ja sam mu każę, to jutro będzie felczer z ospą.

— Dziękuję jasnie wielmożnemu panu — odpowiedziała stara kłaniając się. — To już będę spokojna, byle się z ospą dobrze skończyło. Potem przyjdzie chyba kur; ale kur, to już fraszka, byle dopilnować. Miałam razem sześcioro dzieci na kur chorych, a nic im się nie zrobiło. Walerka tylko trochę zaziębiła się i było już koło niej źle, ale jakoś Pan Bóg dał, że się obeszło bez kropidła i kadzidła.

— Ale pokaż-że nam drugi pokój! — rzekła wreszcie Rozalia, widząc, że Widalska wpadła na materyę, w której była niewyczerpaną.

— Przepraszam jasną panią. Zapomniałam, że jasnej pani pilniej obaczyć Tadeuszka, jak słuchać moich andronów. Ale nic nie szkodzi, że ja sobie pogadałam. Ot i mój nieboszczyk Jacunio na

coś się przydał, choć po śmierci. Gdyby mi na myśl nie przyszedł, nie miałabym jutro felczera z ospą. Ale proszę jasnych państwa! — dodała i wtłoczyła się bokiem we drzwi, których połówka tylko otwierała się, dla tego, że z sieni i pierwszej izby wiało.

Gdy przybliżyli się do kolebki, Widalska podniosła zielony woal, i pokazała im chłopczyka. Bielizna jego była czysta, twarzyczka pełna i rumiana; spało dziecko tym snem błogim, którego trwanie i siła zmniejsza się coraz, w miarę rozbudzania się duszy, w miarę wstającej do czuwania myśli, której często żaden trud, żadna fatyga ciała ukołysać nie może.

Rozalia spojrzała na dziecko, a pan Klemens na żonę. Ale nic dostrzedz nie mógł, bo młoda kobieta, nieprzywykła do tych wyziewów, które się unoszą w pokoju dziecinnym, gdzie kołyska i mamka, trzymała chustkę przy ustach i większe pół twarzy nią zasłoniła.

— Więc masz tu wszystko, Widalsiu? — rzekła po chwili Rozalia, oglądając się na mamkę, która w czystej koszuli i nowej chustce na głowie, stała pod piecem w tój pokornej postawie, jaką mają poddanki w obliczu swych panów.

— Dziękuję jasnej pani — odpowiedziała — Na niczem nam tu nie zbywa. Prosiłabym tylko, aby jasna pani kazała tu przynieść drugą poduszkę dla mamki, bo i tę ledwie wydarłam od Jagusi, która mi jej dać nie chciała, a sama ma ich aż trzy. To bardzo rozpuszczone dziewczęta, proszę jasnej pani.

— Musisz być, Widalsiu, kontenta — dodała Rozalia z uśmiechem, i wychodząc już z pokoju, po którym jeszcze raz niedbale spojrzała — żeś się ich pozbyła.

— A, proszę jasnej pani! któżby nie był kontent? Miałam ja z niemi dosyć zmartwienia.

— A ten nowy obowiązek podoba się Widalskiej? — dodał pan Klemens.

— Jakże nie, jasnie wielmożny panie? — odpowiedziała idąc za niemi. — Czy to ja nie przywykłam do dzieci? Chryste Jezu! miałam ich trzynaścioro. Jak mi się mój nieboszczyk Jasio urodził, co umarł na frybrę, Panie święć nad duszą jego, to myślałam, że w głowę zajdę i nie dam sobie rady. Ale przyszła potem Marysia, a potem Magdeczka, a dalej Wicus, i na intencją nieboszczyka męża mego Józio, także biedaczek już nieboszczyk, a potem Staś, a później Franek....

— Aj! aj! toż miałaś czas nabrać doświadczenia i przyzwyczaić się — przerwał, śmiejąc się z tój litanii, pan Klemens.

— A tak jest, jasnie wielmożny panie! było koło czego chodzić —

odpowiedziała, przechylając się i drepcząc za odchodzącą z pokoju Rozalią, którą w rękę pocałować chciała.

— No, pilnujże, Widalsiu, pilnuj naszego wychowanka — dodał pocziwy pan Klemens — a jak ci czego będzie nie dostawało, to przyjdź prosto do pani i powiedz.

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu! nie zapomnę — mówiła Widalska, wyprowadziwszy ich do sieni i kłaniając się, gdy już byli w ogrodzie.

Po tej wizycie, Widalska ufatygowana i dreptaniem i gadaniem, usiadła w dużym swym krzesle, sapiąc i ocierając pot z szerokiego czoła, na które, z pod czystego czépeka, prawie białe już spadały włosy. Kazała najprzód mamce przykryć woalem śpiącego jeszcze Tadeuszka, potem podsunąć sobie stoleczek, na którym nogi swe postawiła, potem, założywszy pod czépek wielkie okulary, i wzięwszy w rękę pończochę, którą jej mamka z kolei podawała, oparła łokcie na poręczach krzesła, i wzięła się do założenia potężnej pięty, na której kiedyś korpus jej miał stanąć. Pan Klemens poszedł do swojego muzeum, i bładził myślą po tych wiekach i krajach, w których się urodziły przedmioty, na które patrzył: a Rozalia, która mu w tej wędrówce towarzyszyć nie chciała, poszła do swego sypialnego pokoju, i obaczywszy się samą, upadła prawie na krzesło, opuściła ręce, jakby po jakimś nadzwyczajnym wysileniu siły ją opuszczały, i dusza z pierśi jej uciekała. Tak siedziała długo bez ruchu, z bladą twarzą, z podniesionemi w sufit oczami. Dopiero, gdy usłyszała w przyległym pokoju chód męża, który, uderzony widokiem posągu Wulkana, kołyszącego z uprzejmością dziecko swój żony, zadrżał nie wiedziéć dla czego i nagle powrócił, porwała się z miejsca, szepnęła z jękiem: — O! co za męczarnia! — i przywoławszy na twarz swą spokojność, a uśmiech na piękne swe usta, naprzeciw pana Klemensa poszła.

Stosując się do insynuacji żony i ulegając podszeptom własnej swej podejrzliwości, która go na chwilę tylko opuszczała, opadając go ze wzmagającą się siłą za ładą okazyą, za ładą wspomnieniem, lub jaką, choćby najdalszą, do położenia jego alluzyą, pan Klemens, zaraz nazajutrz po podrzuceniu Tadeuszka, nakazał ścisłe poszukiwania, nie tylko we wsi Z\*\*\*, ale i w okolicznych dóbr swoich wioskach. Wszystkie te śledzenia były daremne i do żadnego nie doprowadziły odkrycia. Tego dnia i tego wieczora, kiedy tak interesujący nasz gość do domu jego przybył, nikt obcy ani we wsi Z\*\*\*, ani w żadnej z poblizkich wiosek nie był. Zdarzyło się nawet tak, że w żadnej z karczem pana Klemensa, chociaż, oprócz innych ustronniejszych, miał ich trzy na wielkim trakcie, nie tylko nikt nie nocował, ale nawet nie popasał. Ekonomowie i inni niższego rzędu oficjaliści mieli polecenie zwiedzić wszystkie chaty w wioskach, zlustrować wszystkie pasieki,

w ustronnych lasach samotnie stojące, i wypytywać chłopów, chłopki, a nawet dzieci, czy nie widzieli jakiego wałęsającego się dziada, jakiej kobiety obcej i podejrzaney, któraby się tułała gdzie, czekając nocy i chowając jakie zawinięcie, jaki kosz, lub co podobnego. Ale wszyscy twierdzili, że nie widzieli nikogo. A jeżeli było kilku dziadów i dwie baby żebraczkii, to wszystko znajome włóczęgi, które prócz torby na plecach, a w niej kawałka chleba i flaszeczki na wódkę, nic z sobą nie mieli. To samo pokazało się i w innych wsiach, do pana Klemensa nie należących. Ponieważ zaś znalezienie to dziecka pod oknem państwa, nie było żadnym sekretem, owszem, stało się przedmiotem rozmów i domysłów, nie tylko we dworze i między oficyalistami, ale między chłopami i dalej między okoliczném obywatelstwem, ztąd więc usłużni słudzy pana Klemensa, nadstawiali wszędzie ucha i łowili słuchy, które mogłyby wprowadzić na jaki ślad, i rozwiązać intrygującą wszystkich zagadkę. Ale usiłowania ich były daremne; nikt nie mógł nic nawet z palca wyssać. Na tyle się tylko zdobyli, że przypominając wszystkie, nawet poprzednie okoliczności i osoby, jakie Rozalię odwiedzały, lub we dworze zatrzymywały się, donieśli tylko panu Klemensowi, że po powrocie pani od matki, i na kilka dni przed przyjazdem jego z Petersburga, jakiś kupiec rossyjski, już niemłody, przybył do wsi z towarami; że miał z sobą dwóch ludzi, jednego woźnicę, a drugiego chłopca, który za nim nosił we dworze towary; że był u żony rządcy dóbr, u pani ekonomowej, u koniuszyny, które od niego różne rzeczy pokupowały; że potem udał się do pałacu i chciał się widzieć z panią; pani nie przyjęła go tego wieczora, bo była niezdrowa; ale on widać spodziewał się, że dobrze utarguje, bo zanocował w karczmie, nazajutrz dostał się nareszcie do pani, a po długich bardzo targach, powracając kilka razy na dzień i uprzykrzając się pani, sprzedał wreszcie szal, których miał kilka, i które i rządczyni także pokazywał. Że bytność ta, ruskiego wędrującego kupca nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, takich bowiem przemysłowców, mających często bardzo kosztowne rzeczy, można nieraz widzieć jeżdżących od miasta do miasta, od dworu do dworu okoliczność ta więc nie zastanowiła bynajmniej pana Klemensa, i z podrzuceniem dziecka nie mogła mieć żadnego związku. Prócz tego wiedział już, że ten kupiec był, bomu się żona chwaliła szalem niezmiernie pięknym i w proporcji do wartości tanio nabytym.

Gdy tym sposobem wszelkie poszukiwania do niczego nie doprowadziły, i zbierane zewsząd pogłoski na żaden ślad naprowadzić nie mogły, zaprzestali wszyscy we dworze dochodzić i gadać, i pobyt w nim znalezionego dziecka stał się rzeczą zwyczajną, z którą się już każdy oswoił. Pan Klemens, kontent i niekontent był z tej mgły, która urodzenie i znalezienie Tadeuszka otaczała. Ile razy jaka oko-

liczność przypominała mu, że tak długo nie był w domu; ile razy sły-  
szał kogo obcego, wypytującego się o to zdarzenie, tym tonem, który  
zazdrośni mężowie tak dobrze pojmują; ile razy widział dwie osoby  
szepczące z sobą i spoglądające nań, czy seryo, czy z uśmiechem, czy  
z politowaniem, co zawsze umiał wyczytać tam nawet, gdzie tego  
wszystkiego nie było, wściekał się i burzył tajemnym gniewem, że  
jest pastwą szyderstwa i obmowy, że, jak ostatni mazgaj, sam pomaga  
do swęj hańby, że, znosi chytróść bezprzykładną i nie karze jęj zasłu-  
żoną wzgardą i głośną jaką zemstą. Ale z drugiej strony, bojąc się,  
żeby światło nie było gorsze od ciemności; żeby zamiast wzgardy  
i oburzenia, nie napełniło serca jego rozpaczą i nie uderzyło go śmier-  
telnym ciosem, rad był, że nic nie wie, że może się ludzi przywią-  
zaniem i wiernością żony, którą tak kochał, gdyż nie ma żadnego  
nawet pozoru, któryby mógł zdjąć z oczu jego tę zasłonę, i od-  
jąc te słodkie nadzieje, któremi się karmił.

Tymczasem bohater nasz, nic nie wiedząc, co się koło niego dzieje,  
znając tylko głos Widalsi, która przy powijaniu go i kąpieli opowia-  
dała mu historię każdego ze swych synów i przyrównywała to do  
Jasia, to do Stasia, to do Franka, to do Jacunia; zaczynając tęsknić  
tylko za tą obfitą pierśią podolskiej chłopki, z której płynął w usta  
jego źródł życia i zdrowia, rósł prędko i szczęśliwie; ścisnął mocno  
kułaki, jakby się do walki z przeciwnościami losu gotował; gdy chwy-  
cił czasem palec Widalsi, dusił go tak potężnie, jak niegdyś Herkules  
węża, który się do kolébki jego dostał; gdy się kąpał, wybijał nóżka-  
mi i obryzgiwał szerokie oblicze i łono pocziwęj ochmistrzynie swęj,  
tak żwawo i dziarsko, że różne żtąd wyprowadzała prognostyki i prze-  
powiadała mu, że od wszelkiej biedy ucieknie, i że go żadne nieszczę-  
ście nie dogoni. Zostawimy go w tym wzroście, otoczonego staraniami,  
których może nie miał prawa się spodziewać, i nie będziemy nudzić  
czytelników naszych opisaniem dziejów jego niemowlęstwa, złożonych  
z uciech i dolegliwości początkowych dni każdego żywota. Byłyby  
to w rzeczy samęj dzieje martwęj i bezmyślnęj bryłki, wcale nie in-  
teresujące; bo nas zajmuje tylko ten duch, który sam siebie zna,  
i wraz z ciałem, w którym uwięziony, używa lub cierpi. Poczekamy  
więc, aż w bohaterze naszym rozbudzi się ta boża iskra i błysnie  
radością w jego błękitnych oczach, objawi się w uśmiechu szczęścia  
na jego ustach koralowych, lub, co podobniejsza do prawdy, zagore  
wstydem i gniewem na jego młodziutkich policzkach, albo spłynie  
we łzach skargi na tych, co mu dali życie i samotnego na ten szeroki  
świat wyrzucili. My wróćmy do pana Klemensa i jego pięknej żony.

Oboje oni mało zajmowali się swoim wychowańcem, a mniej jesz-  
cze Rozalia, niż jęj mąż, który mimo słoty i wielkiego zimna, wychod-  
ząc jednak codzięń dla świeżego powietrza, lub do stajni, którą czę-

sto odwiedzał, stukał zawsze w okno Widalskiej, i zapytywał jak się ma malec, czy skończył ospę, czy odbył kur, wiele ma już zębów it. p. Rozalia w ciągu tego czasu, o którym mówimy, ledwie kilka razy odwiedziła chłopczyka, spojrzała nań nawiasem, i więcej wypytywała się o potrzeby Widalskiej i mamki, które wszystkie, choćby były kaprysem, prędko się z jej rozkazu załatwiały, niż o dziecko, które zdawało się ją mało interesować. Czy to postępowanie jej było skutkiem rzeczywistej obojętności dla biednej sieroty, czy umyślnem wyrachowaniem, aby w sercu podejrzliwego męża nie budzić niepotrzebnej trwogi, to trudno zgadnąć. Zdaje się jednak, że ten ostatni powód przeważał. Spostrzegła bowiem Rozalia, że ile razy była mowa o Tadeuszu, pan Klemens nie spuszczał oka z jej twarzy i śledził najmniejsze jej poruszenia. Uważała także, że gdy pierwszy raz poszła sama odwiedzić chłopczynę, pan Klemens w tejże chwili zjawił się za nią, jakby chciał ją złapać na uczynku i przekonać się z nienacka, jak się z nim obchodzi. Być więc może, że dla tego jak najrzadziej udawała się do oficyny, i za każdą razą, gdy tam iść miała, uprzedzała męża, proponując mu, czy z nią razem nie pójdzie. Pan Klemens zwykle prosił, żeby szła, że on wkrótce nadejdzie; ale zaledwie Rozalia stanęła za progiem drugiego pokoiku i miała czas rzucić okiem na kolébkę dziecka, już mąż był przy niej, i siwe oko jego przez nikli wie na twarz jej patrzyło.

Tak się rzeczy miały, gdy wkrótce nowe odkrycie dało zupełnie inny kierunek myślom pana Klemensa, staraniom Rozalii, i bohatera naszego w niekorzystny dlań cień zasunęło.

Jednego poranku, przy końcu lutego, rozeszła się wielka po całym dworze pogłoska, że pani w ciąży. Trudno sobie wyobrazić radość tego szczęśliwego męża, gdy już mógł sobie z pewnością powiedzieć, że owe marzenia, któremi się w pamiętnej nocy 15-go listopada kołysał, zamieniają się w duszę i ciało, że zatem zostanie ojcem, może jeszcze potomka płci męskiej, któremu swoje imię i zebrane wszelkiego rodzaju skarby przekaże. Rzeczywiście był to wypadek, którego nie miał żadnego prawa spodziewać się, i dar szczególny losu, który tylko w drodze łaski otrzymał. Już od dwóch miesięcy uważał pan Klemens, że żona jego czasem, ni ztąd, ni zowąd, mieni się i blednie, że szczególne jakies napadają ją zachcenia i t. d.; cieszył się więc, perswadował ze znaczącym uśmiechem, gdy się skarżyła; całował jej ręce, gdy się domyślała, dla czego się uśmiecha, i czerwieniąc się zgadzała się, że być bardzo może, iż supozycye jego prawdziwe. Zawsze jednak był to stan wątpliwy, pełen nadziei, a razem trwogi. Wszystkie bowiem te nadzieje mogły się skończyć złudzeniem i gorzkim zawodem. W złych nawet chwilach, które człowieka z takim charakterem i taką przeszłością, mimo wszelkiego wysilenia,

nie odstępowały, przychodziło mu na myśl, że może to grymasy żony i istna komedya, którą dla durzenia go odgrywa. Wprawdzie nie widział wyraźnie, dla czegooby sobie tyle zadawała pracy; jednak dręczył się różnemi przypuszczeniami, które, jak zmory, przesładować go nie przestawały. Dziś już był pewnym. Żona w nocy obudziła się, krzyknęła zadziwiona, potem poczuwszy w sobie powtórnie i wyraźnie podwójne życie, z radości i szczęścia płakać zaczęła. Pan Klemens rozbudzony, dowiedziawszy się o co idzie, zerwał się z łóżka, sam się rozplakał, ręce i nogi jej z uniesieniem całował, a skoro wstali, sam po całym domu tryumf swój roztrąbił.

Ten szczęśliwy wypadek pochłonął wszystkie jego podejrzenia, wszystkie troski, zrobił go obojętnym na interesa, i dał mu nawet zapomnieć o nagromadzonych przezeń skarbach sztuki i przemysłu różnych wieków i ludów, pomiędzy którymi znajdował się i ów Wulkan, z rodzicielskim uśmiechem kołyszący chłopczyka, któremu skrzydełka tylko co wyrastać zaczynały. Pan Klemens oddał się całkiem staraniom około zdrowia Rozalii. Zamówił znakomitego, a w okolicy zamieszkałego lekarza, aby trzy razy na tydzień regularnie przyjeżdżał. Z nim się naradzał i wypytywał go, zkądby sprowadzić wcześniej najbieglejszą w sztuce swęj kobietę, aby była już w domu, nim moment krytyczny nadejdzie. W bezsennych nocach przemyślał nawet, jakaby mającemu się narodzić dziecku dać bonę; Francuzkę czy Angielkę, Szwajcarkę czy Niemkę, Niderlandkę czy Szwedkę. A rozmówiwszy się z Widalską, która z rozmaitych znaków ciąży i kładzionej na intencją przyszłego dziecka kabały, wносиła, że będzie syn, pan Klemens do tego stopnia zapobiegliwą swą troskliwość posunął, że już się troszczył, jakiegoby mu sprowadzić guwenera, i czy znajdzie gdzie takiego Francuza, coby był lub sam jezuitą, lub przynajmniej w jezuickim wychowywał się kollegium.

Rozalia, przyjmowała troskliwość męża z wdzięcznością, uśmiechem dziękowała mu za jego dobroć i pieczołowitość; a jednak, gdy się od niej odwrócił, gdy na nią nie patrzył, spoglądała nań jakby z politowaniem, i w twarzy jej był jakiś dziwny wyraz, jakby się wstydzila, że mu daje tyle radości i tak go szczęśliwym czyni.

Wkrótce w całej okolicy gruchnęła wiadomość, że dom, który pan Klemens G\*\*\* postawił w rzędzie pierwszych domów na Podolu, nie rozpadnie się między krewnych, ale przejdzie w zacnym potomku do następnego pokolenia, a od niego w bujnie zapewne rozrodzonych konarach przechodząc dalej i dalej, pamiątkę założyciela swego uwieczni. Sypnęły się więc zewsząd powinszowania, nawet matka Rozalii, hrabina P\*\*\*, która dotąd tylko w przypiskach do córki kazała mu się kłaniać, a od czasu niedbałego zajmowania się jej sprawą w Petersburgu wyraźną okazywała niechęć, dziś, odpowiadając na jego list,



którym jęj o swojém szczęściu donosił, osobném i bardzo łaskawém zaszczycała go pismem. Ale nie tylko listownie odbierali powinszowania; wiele osób nawet z daleka przybywało dzielić ich radość; miliony bowiem, oprócz wielu innych dobrych przymiotów, mają i tę własność, że wszelkie ukontentowanie tych, co je posiadają, czynią niezmiernie zaraziwém. Niech się biedak raduje choćby najserdeczniej, choćby ronił łzy wdzięczności dla Stwórcy, który mu dał tę chwilę radości, nikt tego nie widzi i uciecha jego w żadnych się nie odbije piersiach; ale niech milionerowi przybędzie syn, lub jeszcze jeden milion, wnet błogość jakaś w powietrzu rozlewa się na okolicę, w miazmach atmosfery jest radość, którą wszyscy połykają; radość ta sparaliżowanym nawet podaje pióro do ręki, którém piszą powinszowania, pędzi nawet starych i chorych, po grudzie i błocie, do pałacu nowém opromienionego szczęściem; a gdy wszyscy się zbiorą, zwłaszcza gdy zasiądą przy ogromnym stole takiego solenizanta, któremu fortuna coraz nowe sprawia imieniny, wszyscy toną w radości, jak w ciepłej kąpieli. Już sam jego widok daje im wesołość, a gdy się zaśmieje, śmiech, jak morowa zaraza, przenika krew wszystkich gości, wrywa się przez wdzięczące się usta i w generalnej wybucha salwie. Doznał tego powiat Hajsyński, Braclawski, a nawet i dalsze, i mnóstwo osób, jakieśmy powiedzieli, zbiegło się na tę ucztę, którą Opatrzność panu Klemensowi sprawiła. Nie wszystkie wszakże te odwiedziny były mu równie miłe, bo taka jest kolęj rzeczy ludzkich, że z tego samego źródła, z którego płynie uciecha, płynie także i przykrość, a często i śmiertelna boleść.

O cztery mile od rezydencyi pana Klemensa była wieś Krzaczyńce, znana w całej gubernii, jako zbiegowisko mężczyzn, którzy lubili grę, dobry stół i swobodną rozmowę; jako szkoła kobiet, które wchodziły na drogę intrygi i miłostek; jako punkt główny komerażnic, które miały tam swoją juntę, i znosiły do tego rezerwoaru wszelkie najtajemniejsze skandala okoliczne. Właścicielką tęg wsi była kobieta już niemłoda, niegdys ładna, po naszymu edukowana, a nadewszystko tak zręczna, tak umiejąca łódkę swą kierować, że wychodziła zawsze bez szwanku z każdego położenia; że dóm jęj miał pozór przyzwoitego obywatelskiego domu, chociaż wszyscy wiedzieli, że to jest miejsce gry, plotek i bardzo swobodnych obyczajów; że wszyscy u nięj bywali, chociaż wybrani tylko znajdowali w tęg przyjemność; że ją wszędzie przyjmowano, chociaż jęj nikt nie szacował, jako osoby, która do utrzymania domu na pańskiej stopie pomagała sobie jakimś zagadkowemi sposobami, któręj żadne kłamstwo nie kosztowało, która wiedziała o wszystkiém, co się gdzie dzieje, i nie żenowała się bynajmniej w rozgłaszaniu zebranych i pomnożonych przez siebie wiadomości, choćby te zabijały spokój i honor jęj krewnych, przyjaciół

i nieprzyjaciół. Dama ta nazywała się Henryeta Pokrzywicka. Zwa-  
no ją często simpliciter *Pokrzywą*, lub też *Beobachterem austriackim*,  
gdyż podobnie traktowała swych bliźnich, jak ta znana w owym cza-  
sie gazeta, *Francuzów*. Ponieważ zaś pani ta na los bohatera na-  
szego stanowczo wpłynęła, dla tego musimy jeszcze dodać kilka słów,  
któreby ją bliżej czytelnikom naszym poznać dały.

Pani Pokrzywicka była daleką krewną pana Klemensa. Miała sama  
niewielki posąg, ale po mężu otrzymała Krzaczyńce, wieś wielką, dobrze  
zagospodarowaną, w szczęśliwem bardzo położeniu znajdującą się. Pan  
Pokrzywicki, już niemłody i poczciwy szlachcic, kochał ją niezmiernie,  
dał się od razu opanować, nic nie widział, co się w koło niego dzia-  
ło, a działo się zaraz z początku i to i owo. Gdyby był dłużej po-  
żył, byłby wyszedł na jednego z tych mężów, jakich w kraju naszym,  
gdzie charakter i wytrzymałość woli jest tylko w kobietach, mamy bar-  
dzo wielu, co to stopniami baweknicją i zmieniają się w sprząet domowy,  
miękki, wygodny, przenoszący się cicho z miejsca na miejsce, nie za-  
wadzający nikomu i nikogo nie obchodzący. Ale pan Pokrzywicki  
po dwóch latach małżeńskiego pożycia przeniósł się jakoś do wiecz-  
ności, zostawiwszy jedną córkę i żonę, utrzymującą, że jest przy na-  
dziei. Młoda wdowa, pełna życia, wdzięków i kokieteryi, zostawszy  
panią swęj woli, mając czasu dostatek, bo już nie miała potrzeby  
tracić go na zamydlanie oczów mężowi, zaczęła ten zawód intryg,  
szuleryi, plotek i łapania na wędkę zysku i miłostek ludzi bogatych,  
próżniaków mających jeszcze co do stracenia, i utytułowanych panów,  
z którymi zawsze w ścisłych starała się być stosunkach, aby stano-  
wili niejako omastę jej domu i towarzystwa. Wśród tego życia peł-  
nego ruchu i zajęcia, nie zapomniała także o wychowaniu stosowném  
córek, starając się cudny ten materiał urobić według swych widoków,  
i przygotować zawczasu jedną i drugą do zrobienia tak nazwanego  
losu, to jest do złapania kogos z imieniem i majątkiem. Obie panny,  
jak doskonała, podolska ziemia, przyjmowały ten zasiew matki, a cho-  
ciaż w urodzeniu ich były pewne niedokładności, gdyż starsza, przy-  
szedłszy na świat w siódmym miesiącu po ślubie, zdawała się być nie-  
donoszoną, a druga, urodziwszy się w dziesiątym miesiącu po śmierci  
męża, zdawała się być przenoszona, nie widać jednak było żadnej nie-  
normalności ani w ich budowie, ani w ich usposobieniu moralném  
i umysłowém. Obie były równie zdrowe, równie dorodne, obie  
prześliczne, żywe i pełne zdolności. Obie też rosły prędko, jak zwy-  
kle rosną panny, i zaledwie doszły do pierwszych chwil dojrzałości,  
już ścigały roje ubiegających się o ich uśmiech mężczyzn, umiały do-  
brze trzymać ich na wodzy, ciągnąc i odpychając, a stosując się do  
woli, insynuacyi i nauk matki; same zimne jak krzemień, wyrzucały  
iskry, od których płonęli różnego wieku i stanu wielbiciele, których

matka według swych widoków eksploatować umiała. Pani Pokrzywicka, dla nadania córkom swoim większego poloru, lepszej znajomości świata i ludzi, woziła je zagranicę, ile razy błysnęła chwila spokojna i ucichał na czas niejaki huk dział, który się w owych czasach ustawicznie po Europie rozlegał. Jeździła zwykle do wód, choć była zupełnie zdrowa, zaglądając to do Karlsbadu, to do Eger, to do Spaa, i wybierając szczególnie te miejsca, gdzie zwykle uczęszczali Polacy; potem zabiegała z córeczkami swemi do Paryża, a ztamtąd wracając była każdą razą w Wiedniu, gdzie nowy kupowała ekwipaż. Ze wszystkich tych podróży przywoziła zawsze wielkie mnóstwo kontrabandy w materyach, koronkach, drogich kamieniach, rozmaitych kosztownych cackach, któremi napakowana była jęj nowa wiedeńska karetka. Z jakich funduszów odbywała te podróże i nabywała te wszystkie rzeczy, które niekiedy wartość kilkudziesięciu tysięcy przenosiły, tego nikt nie wiedział. Ale że to były rzeczy bardzo gustowne, najświeższej mody, a do tego kontrabandy, wszyscy chętnie je rozkupywali, płacąc po dwa i po trzy razy tyle, ile rzecz jaka była warta. Tym sposobem, chociaż gospodarstwo szło nienajlepiej, zbierał się fundusz na rok, lub dwa pańskiego utrzymania domu. Fundusz ten pomnażały szczęśliwa gra i inne jeszcze wpływy, które zawsze zostawały zagadką.

Gdy pan Klemens kupił dobra, w których teraz mieszkał, i został niejako jęj sąsiadem, pani Pokrzywicka spostrzegłszy, że jest panem całą gębą, i majątek swój znacznie jeszcze powiększyć może, że była wówczas jeszcze nie starą, przystojną i pełną tych sposobów, jakie daje kobiecie rozzumnej i niebrzydkiej chęć podobania się, bądź co bądź, i z postanowieniem dopięcia swego celu jakimkolwiek kosztem, umyśliła złapać go dla siebie i umoczyć piękną swą i białą rękę w tych skarbach, które on z taką pracą zebrał i do których zdawał się tak mocno przywiązany. Ale wszystkie jęj zabiegi spełzły na niczém. Pan Klemens nie dał się zranić ani słodkim uśmiechem, ani mową miękką i najcudniejszą francuzczyzną, jakby jakim nawozem spulchnioną, ani wabiącemi wejrzzeniami, które były dziwnie strzeliste i wszystko obiecywały. Braha trzech gorzelni, które świeżo urządził, a w której się często kąpał, zdawała się mieć własność tej cudownej kąpieli, w której niegdys Tetys, dla ochronienia ciała syna od pocisków, zanurzyła Achillesa. Przez dwa blisko lata pani Pokrzywicka szukała w panu Klemensie tej pięty, w którą pocisk jęj mógłby ugodzić; ale, nie znalazłszy jęj, dała wreszcie za wygraną i do zwykłego trybu życia powróciła.

Gdy pan Klemens przybył po siedmiu latach z zagranicy, podszarzana już kuzynka znowu się go uczepiła, ale już nie dla siebie. Młodsza jęj córka była jeszcze panną, jaśniała pięknnością, pociągała

mową pełną żywości i dowcipu, śpiewem pełnym czarów, obejściem pełnym swobody, dającym nadzieję, ale trzymającym w przyzwoitych granicach wszelki śmielszy wyraz i poruszenie; słowem, w powabach i zręczności ich użycia przeszła matkę i siostrę. Dla téj to fenomenalnej piękności, chciała ta troskliwa matka ułoić pana Klemensa. Ale pan Klemens, który przez te kilka lat oddania się badaniom wszelkiego rodzaju, znacznie w znajomości serca ludzkiego postąpił, odgadł od razu intencją pani Pokrzywickiej, i zmiarkował w mgnieniu oka, jak dalekoby go zaprowadziły sztuka i wdzięki takiej panny; przyznawszy się więc po prostu matce, że już za stary, że mu raczej myśleć należy o trumnie, niż o łożu małżeńskim, usunął się stanowczo od wszelkich ataków, perswazyj i propozycyj. Gdy zaś w rok potem, usłuchawszy podszeptów owéj Nemezys, o której wyżej wspomnieliśmy, ożenił się z hrabianką Rozalią P\*\*\*, pani Pokrzywicka, sądząc się haniebnie i po dwakroć wyprowadzoną w pole, skoczyła jak furja i poprzysięgła panu Klemensowi dozgonną nienawiść. A chociaż córka jéj w tymże samym czasie złapała sobie innego bogacza, nie mającego wprawdzie tak czystej fortuny, ale za to z tytułem, z mniejszem jeszcze zdrowiem i większą liczbą lat, a zatem podającego nadzieję rychlejszój jeszcze śmierci; przecież los tak świetny córki nie rozbroił zawziętości matki, która przyrzekła sobie w duchu, że się zemści na panu Klemensie i jego młodej żonie, i czy dziś, czy jutro, obojgu dobrze się przysłuży.

Taki był stosunek między dwoma domami w téj chwili, kiedy wsząd toczyły się powozy do rezydencyi pana Klemensa, z przyjaciółmi, winszującemi mu szczęścia, o jakim i sam przed pół rokiem nie marzył. Pani Pokrzywicka nie była z ostatnich. Dowiedziała się naturalnie bardzo prędko, i przyleciała natychmiast, pragnąc zweryfikować fakt tak rzadki, i żądając dowiedzieć się czegoś i o Tadeuszu, którego podrzucenie wydawało się jéj zawsze podejrzaném, zagadkowym, i coś zakrawającym na figiel małżeński z jedną, lub z drugiej strony. Położyła ona sobie za zadanie wykryć tę tajemnicę, i choć dotąd nie miała jeszcze przewodniczącej nici, nie traciła jednak nadziei i wytrwałości. Jednego tedy dnia, gdy się jéj najmniej spodziewano, przed samym objadem, zajechała przed pałac, piękną karetą, sześciu karemi końmi, w ruskiej uprzęży, którą od czasu wypędzenia Francuzów z kraju przyswoiła. Jako w uroczystości dla gospodarza domu tak ważnej, była cała w bieli, w szlafroczku materyalnym, pięknemi ozdobionym koronkami, w perłach spiętych kosztownym fermoarem, w toczku białym podniesionym, na którym były piórka białe, z białym, piierzastym wachlarzem w ręku, nawet w szalu białym, którego barwę podnosił szlak czerwony, ale nie jaskrawy, i całemu ubraniu wybitności dodawał. Chociaż na czole były włosy

rzadkie i siwe, i takież loki spadały z pod toczka, twarz jednak była wybielona i wyróżowana, brwi pocernione, a oczy czarne i trochę zapadłe, nałogowym sposobem skłaniały się do tych rzutów umizgliwych, których już dziś nikt rozumieć nie chciał, i odwracał się od nich, jak od przeszlorocznej gazety.

Pan Klemens przyjął ją dość oziębło; Rozalia ze drżeniem i strachem unikała jej przenikliwego spojrzenia, spuszczała oczy, gdy do niej mówiła, a przemógłszy dopiero pierwsze, niemiłe wrażenie, uprzejmością starała się nagrodzić jej lodowate obejście męża, i ująć i zniewolić na swoją stronę. Całkiem też przyłgnęła do niej pani Pokrzywicka, koląc tylko na wszystkie strony pana Klemensa, który nawzajem bronił się, jak mógł, i nie oszczędzał jej wcale. Być bardzo może, że z tych ciosów, które oni wzajemnie na siebie ciskali, niejeden padł prosto w serce Rozalii, chociaż ani jedno ani drugie nie wiedziało o tém, jak ją boleśnie rani.

Po obiedzie usiedli w paradnym salonie, i rozmawiali najprzód o rzeczach ogólnych, o wypadkach europejskich, potem zeszli do krajowych, i stopniami przechodząc do coraz ciasniejszej sfery, przelustrowawszy gubernią i powiat, przyszli nareszcie na to pole, na które złośliwa kobieta sprowadzić ich chciała. Bawiąc się dla kontenansu wachlarzem, który nawet w zimie nie opuszczał jej ręki, gdy była w kompanii, rzekła:

— Przyznaj tedy, panie Klemensie, żeś się w czépku urodził.

— Dla czegoż to pani tak się wydaje? — zapytał pan Klemens.

— *N'êtes vous pas ridicule de le demander?* — odpowiedziała, patrząc na długi szereg wspaniałych pokoi — spojrzij-że w koło siebie; co za dom! jak szczęśliwie położony, jak pełny wszelkiego gatunku bogactw! jakimi otoczony dobrami!

— Wszakże ten dom, choć jeszcze nie był tak pełny jak dziś, i te dobra już i dawniej bardzo się pani podobały — rzekł pan Klemens z uśmiechem. — Nie widzę więc dla czego pani teraz dopiero robisz tę uwagę, którą już przed dziesięcią laty mogłaś była zrobić.

— Możem ją i zrobiła? jakże wiész? — odpowiedziała pani Pokrzywicka, przykąsiwszy usta. — Tylko wówczas nie dałam ci tego poznać.

— Czy miałem wówczas więcej zasługi, niż dziś? — zapytał pan Klemens.

— Miałaś trochę mniej lat — rzekła prędko i z miną graniczącą między szczerą prawdomównością i efronterią — bo żeś nie był piękniejszym ani na włos, to ci powiem śmiało, bo to prawda i tak oczywista, jak i to, że ona śliczna i dobra, jak anioł, i żeś jej nie wart.

A przecież masz ją, panie Klemensie, masz skarb większy od wszystkich twoich skarbów, masz go, nie wiedzieć za co i dla czego, i jeszcze nie przyznajesz, żeś się w czépku urodził?

— O! jeżeli pani taki obrót myśli swojej nadajesz — rzekł podnosząc się, i całując rękę żony — to przyznaję chętnie, że posiadam szczęście, któregom nie wart.

— Dodaj jeszcze do tego, że cię kocha; qu'elle est assez simple de vous donner des enfans légitimes, to doprawdy nie wiem, jak się nie wstydzisz tego wszystkiego, co ci los daje, monstre que vous êtes! — rzekła niby żartem i uderzając go wachlarzem po rękę.

Rozalia mocno się zmięszala, zapewne tym tokiem rozmowy, a pan Klemens, który to spostrzegł, zadrzał w głębi duszy, a chcąc tę chwilową przykrość złej babie odplacić, odpowiedział:

— Otóż w tém pani się mylisz. Ja uznaję łaskę losu, który mi dał taką żonę. Gdyby mię on był nie strzegł zaraz po powrocie moim z zagranicy, byłbym pewnie wpadł inaczej, i nie miał tego szczęścia, za które mi pani wstydzic się każesz.

Zrozumiała pani Pokrzywicka te słowa i alluzją, jaką zamykały, i mrużąc przenikliwe oczy, jakby chciała wcisnąć je sztydłem w serce pana Klemensa, rzekła:

— A jednak dręczysz ją zazdrością. Prześladowałeś ją tym pocziwym panem Władysławem; vous lui avez fait une scène ridicule, pamiętasz z tą gazetą, i zmusiłeś biednego chłopca, że się ożenił z kobietą, której nie kochał, żeby tylko zapewnić spokojność téj, którą wielbił.

— O! jeżeli pani to ostatnie do mnie stosujesz — odpowiedziała Rozalia, czerwieniąc się i z pewną energią, jaką jój dało oburzenie — to mogę panią upewnić, że pan Władysław nie wielbił mię wcale.

— Bo ci tego nie śmiał powiedzieć, mój aniołku — odpowiedziała, spoglądając z ukosa na pana Klemensa. — Vous avez un tact parfait. Zrobiłaś sobie reputacyą kobiety oddanej święcie swoim obowiązkom. Wszyscy wiedzą, że tego starego zazdrośnika kochasz, i to odstrasza nawet myśli twoich wielbicieli, nie dopieroż słowa. A masz ich, masz moje życie, j'en sais quelque chose de bonne source — dodała z przyciskiem. — Niepotrzebnie bledniejesz i trwożysz się tém, co mówię. Któraż kobieta piękna i rozumna nie ma takiego, coby za jój uśmiech oddał wszystkie skarby świata, zwłaszcza gdy ma takiego męża? To jego rzecz trwożyć się, jeżeli zazdrośny, jeżeli ci nie wierzy, jeżeli tak będzie postępował, że ci wreszcie oczy się otworzą i przekonasz się, que vous aimez un monstre, qui ne le mérite pas. Ale bądźcie zdrowi — dodała powstając — dzień mały, a mam cztery dobre mile do siebie.

Pan Klemens, który ledwie się powstrzymywał, i miał już nawet niegrzeczne wyproszenie jej z domu na języku, kontent, że się sama tego domyśliła, powstał, i chciał jej co prędzej podać rękę, aby ją do przedpokoju wyprowadzić. Pani Pokrzywicka zatrzymała się, wyciągnęła rękę do Rozalii jeszcze bladłej i zupełnie zmieszanej, i rzekła:

— Au revoir, mon ange! Życzę ci, żebyś urodziła szczęśliwie syna, byle tylko nie był do niego podobny. Zmiluj się, nie zapatruj się na to czoło pomarszczone i na tę twarz, którą zazdrość wykrzywiła. Ty tego nie widzisz, ciebie miłość zaślepia, ale wierz mi, il est devenu extrêmement laid. Adieu! cher cousin — dodała, biorąc jego rękę. — Nie gniewasz się za to wszystko, com ci powiedziała, n'est ce pas? Wiiesz, że ja prawdę przekładam nad wszystko, i nie mogę wytrzymać, żebym jej nie wymówiła.

— Przyznam się pani, że o tém pierwszy raz słyszę — odpowiedział pan Klemens. — Ale jeżeli pani nie zechcesz u nas zanoćować i dziś jeszcze pragniesz być w domu, to śpiesz się pani. Noc tuż, a w Mańkowcach grobla niebezpieczna. W nocy jadąc, mogłabyś się pani wyrzucić w staw i utopić się.

— Dziękuję ci, panie Klemensie, za dobrą przestrożę — odpowiedziała, przygryzłszy usta. — Tout laid que vous êtes, vous avez un bon coeur, i żałowałbys mnie pewnie, gdybym się utopiła. Ale to nie nastąpi teraz, bądź spokojny. Jeszcze mam jedno zadanie na ziemi, które rozwiązać muszę, nim umrę. A propos, — dodała, niby nagle sobie przypomniawszy — mówiono mi, że ten wasz podrzutek zupełnie do ciebie, panie Klemensie, podobny. Pokażcież mi tego potworka, niech go obaczę, i przekonam się, czy to prawda.

— Co też pani do głowy przychodzi? — zawołał pan Klemens, spoglądając na mieniącą się żonę.

— A cóż to niepodobnego — odpowiedziała, rzucając bystry wzrok na jedno i na drugie. — N'aurez-vous pas un enfant légitime? Byłeś przecie tak długo w Petersburgu, a tam może znalazło się jakie niewiniątko, któreś w pole wyprowadził! Czy to wy się żenujecie, jeżeli na was nikt nie patrzy? A potem uważ, panie Klemensie, czyby kto śmiał ci położyć dziecko pod oknem twego sypialnego pokoju, gdyby to nie było za twoją wiedzą i rozkazem? C'est tout à fait invraisemblable.

— Przypominam pani po raz drugi — rzekł pan Klemens zniecierpliwiony — że grobla w Mańkowcach szkaradna.

— Czy uważasz, moje życie, jak się mnie chce pozbyć? — mówiła nieubłagana plotkarka, patrząc z uśmiechem na bladnącą coraz Rozalię. — Ne soyez pas dupe, ma chère, i dochodź, bo to rzecz ciekawa. Zresztą, ja ci pomogę i bądź pewna, że odkryjemy ten sekret.

Bon soir, mon ange! Adieu, méchant cousin! A cò się tyczy pod-rzutka, co postanowiłam, to zrobię. Przrzekam ci, kochanie, że dojdę, z kąd się on wziął, i spuść się w tej mierze na mnie. Au revoir!

To powiedziawszy, wyszła. Pan Klemens drżący od złości, postąpił za nią ku drzwiom przedpokoju, ale posłyszawszy lekki jęk, obrócił się, i z krzykiem żalu i rozpaczy, chwyciwszy się za włosy, stanął na miejscu. Rozalia przy samej kanapie, przy której znajdowała się przy pożegnaniu, leżała zemdlona, a w tymże samym czasie, turkot karety dał się słyszeć na dziedzińcu.

Jakkolwiek pan Klemens dla sąsiadki swej żadnego nie miał szacunku i do słów jej żadnej nie przywiązywał wagi, jednakowoż zapomnieć ich nie mógł. Przyłgnęły one do jego myśli tak, jak te drobne bodiaczki przyczepiają się do sukni, kiedy człowiek o brzydkie ociera się chwasty. Gdy go więc pierwszy przestрах o stan Rozalii ominął, gdy się przekonał, że nie upadła, tylko się lekkò koło kanapy zsunęła, gdy co prędzej posłał po doktora, i żonę spokojnie w łóżku położyć kazał, przechadzał się długo po przyległym pokoju, i przypominał sobie każde poruszenie twarzy Rozalii, każde słowo tej zdradzieckiej komerażnicy, która, jakby umyślnie, wyjść nie chciała z materyi, której nie lubił i która zawsze dziwne w nim trwogi obudzała. Przestrach Rozalii na widok pani Pokrzywickiej, to później jej nadskakiwanie, jej potem widoczne mieszanie się, błądź, a narreszcie omdlenie, wszystko to dowodziło mu, że w sumieniu żony jest jakaś tajemna obawa; że młoda kobieta, znająca bystry wzrok i nieostrożny język starej plotkarki, przeleżała się, aby ta nie zajrzała głębiej w jej serce, i nie wyrwała się z jakim odkryciem; że nakoniec to, co sąsiadka mówiła, musiało zbyt mocno Rozalią dotknąć i jakąś bojaźń na przyszłość podać, kiedy aż osłabła i zmysłów pozbawioną została. Te myśli, krążące bez ustanku po jego głowie, osiadające na jego duszy, jak mgła zgniła i z niezdrowych wyziewów złożona osiada czasem na rozległym polu i cały horyzont zasłania, zakryły przed nim przyszłe dni spokoju i spodziewanej radości, pograżając napowrót w tym odmiecie podejrzeń i tajnego bólu, z którym niedawno tak ciężko walczył. W takim stanie był pan Klemens po wyjeździe swojej sąsiadki. A Rozalia? Nie chcemy wyprzedzać wypadków i rozplątując tajemne pasmo jej myśli, psuć ich naturalną kolej. Powiemy tylko, że udawszy, iż chce spać, i obaczywszy się samą, załamała ręce, potem zakrywszy twarz, mocno i długo płakała.

Gdy lekarz upewnił pana Klemensa, że nagłe zmiany jej twarzy, a nawet omdlenie, jest naturalnym skutkiem ciąży; że nie powinien na to zwracać uwagi, ani się tèm trwożyć, ale chronić ją tylko od długiego siedzenia, od zbytcej fatygi, od częstego przyjmowania gości; pan Klemens znowu się cokolwiek uspokoił, i ucieszony zupełnym



powrotem do zdrowia Rozalii, ujęty jej dobrym humorem, i naturalnym, jakby zupełnie nieudanym jej przymilaniem się, zapominał stopniami o swoich podejrzeniach, i odsunął od ust swoich ten gorzki napój, który sam sobie spreparował, a do którego wychylenia nie go tak gwałtownie nie zmuszało. Tym więc sposobem, i w tym pańskim domu wszystko do zwyczajnego wróciło porządku. Gospodarstwo szło jak z płatka, dochody ogromne wpływały strumieniem, wiosna była cudna, stan Rozalii zupełnie normalny, nawet zapomniany od wszystkich Tadeuszek rósł zdrowo i szczęśliwie, pod okiem poczciwej Widalsi, która koło niego po macierzyńsku chodziła. Skończył on już trzy kwartały i doskonale się chował; miał dosyć zębów, które, podobnie jak Franek i Magdeczka, dostał bez żadnych cierpień; silny był i rumiany, jak nieboszczyk Jasio, który umarł na febrę; śmiał się głośno, jak nieboszczyk Jacunio; miał niebieskie oczki, jak Marysia, i piękne, kręcące się blond kudełki, jak Józio, tak nazwany na intencją nieboszczyka męża Widalsi i także już nieboszczyk.

Wprawdzie pan Klemens, po owej bytności w domu jego pani Pokrzywickiej, powziął był jakiś wstręt do naszego bohatera; nie zierał już wcale do jego pokoików; gdy przechodził koło okna, nie pukał w szyby i nie wypytywał się Widalskiej, jak się chłopczyk ma, i czy szczęśliwie się chowa; tę jednak oddać mu należy sprawiedliwość, że nie wydał żadnego rozkazu, przez któryby Widalska, mamka, lub dziecko na wygodzie stracili. Owszem, wszystko dochodziło ich jak dawniej, i wszelkie ich potrzeby najstaranniej były zaspokojone. Rozalia tym mniej jeszcze, niż poprzednio, biednym tym sierotką zdawała się zajmować. Jednakże raz, gdy mąż był w Kamieńcu, a Widalsia, jako w uroczyste święto, w kościele, poszła tam z robotą, usiadła przy kolebce Tadeuszka, spoglądała nań łzawym okiem, ile razy mamka odwróciła się lub do drugiego pokoju wyszła; kołysała go, gdy zaczął kwilić, i przeglądała z największą troskliwością jego pieluszki, jego bieliznę i całą garderobę. Zdawała się niezmiernie zajęta, a przy tym zajęciu twarz jej tak wypiękniała jakimś dziwnym uszczęśliwieniem, piers jej oddychała tak swobodnie, głos zrobił się tak słodkim i łagodnym, że ktoby ją tam widział, nie poznałby tej kobiety, zamkniętej w sobie, z przymusem tylko uśmiechającej się i mającej pozór zimny, blizki hardości i pychy.

Nadszedł wreszcie stanowczy moment. Dnia 13 czerwca pamiętnego 1815 roku, w dzień świętego Hippolita i Kassyana, urodził się panu Klemensowi syn, którego ojciec uszczęśliwiony w parę godzin po urodzeniu na rękę wyniósł, i oficjalistom swoim i zebrany z każdej wsi starszym gromady, jako przyszłego pana i dziedzica pokazał. Dano mu imię Hippolit, jakie sobie przyniósł; z kilkunastu mamek,

ze wszystkich dóbr zwiezionych, doktor i akuszerka wybrali najzdrowszą i najurodziwszą; pokój urządzone tuż przy sypialni; pan Klemens chciał Tadeuszkowi odjąć Widalsię i zrobić ją przełożoną nad mamką i całą służbą nowo-narodzonego, ale Rozalia sprzeciwiła się temu, twierdząc, że Widalska jest już za ciężka, zanadto gadatliwa, a nadewszystko, że ma za grubą wymowę, której nasłuchawszy się dziecko, mogłoby potem stracić instynkt do dobrej pronuncyacji. Czy to ze strony Rozalii był tylko pretekst, czy doprawdy była tak przekonana, za to ręczyć nie możemy, dosyć, że z łaski przyszłej pronuncyacji dziedzica wielkich dóbr, który się urodził w pałacu, i o którego tysiące ludzi się troszczyło, biedny nasz bohater, urodzony może pod sklepieniem niebios, nie mający nikogo, coby go kochał i pieścił, miał sobie zachowaną jedyną istotę, co się do niego duszą i ciałem przywiązała, i zastępowała mu ojca i matkę, braci i siostry, których głosu i uścisku miał być nazawsze pozbawiony. Nie masz rzeczy, któraby w ekonomii świata na coś się nie przydała; — nawet ta najgłupsza ze wszystkich naszych próżności, owa mania dorównania Francuzom dobrą pronuncyacją, której tyle matek naszych poświęciło zasady, obyczaje i przyszłość swych córek, oddając je w ręce śmiecia zagranicznego, które Francya z izby swojej wymiotła, stała się tą razą użyteczną i dla niewinnego i bezsilnego stworzenia dobroczynną. Została więc pocziwa nasza Widalsia przy Tadeuszk, z wielkiem swém ukontentowaniem, a małeńki panicz dostał wkrótce niankę Angielkę, która według metody Albionu, gdzie dzieci są tak piękne i zdrowe, wychowywać go miała. Przeznaczono jęj wielką pensyę, miała codzień porter i befszytk, a przytém zawarowała sobie w kontrakcie, że wszyscy otaczający dziecię, jako mający mniej rozumu od niej, a nawet matka, do jęj manieri i sposobu wychowania stosować się będą.

Tym sposobem oba chłopczyki, tak różnej natury i tak odmiennego na świecie przeznaczenia, rośli obok siebie i rozwijali się, każdy w takim kierunku, jaki mu nadały starania, opieka i widoki tych, co dzieciństwo jego otaczali. Zostawimy ich w tym wzroście do dalszego czasu, a sami, przeskoczywszy rok cały, damy poznać czytelnikom naszym inne osoby, które mają prawo nas zająć, jako tajemnymi niemi z historią i losami bohatera naszego związane.

#### IV.

W Białobrzynicach, Starokonstantynowskiego powiatu, w piękném położeniu nad Słuczą rozłożonych, mieszkała w dawném dziedzictwie swych przodków hrabina P\*\*\*. Starożytny dom, który był pani tej rezydencją, nosił nazwisko zamku. Jakoż pozostały jeszcze ślady dawnych fortyfikacyj, dziś zamienione na wał nieporządnie utrzyma-

ny, ozdobiony kilkunastu wielkimi drzewami, i mający w około ścieżkę, po której się czasem jęj słudzy i oficjaliści przechadzali. Najważniejszym powodem do nazwiska zamku, którym się mieszkanie to pyszniło, była brama z ciosowego kamienia, ozdobiona wielką herbową tarczą, i mająca przed sobą most, który dawniej musiał zapewne być zwodzonym. Sam dom, tęg pięknej architektury, która pierwsze lata panowania Sasów okazywała, miał na frontonie taki sam herb, jaki był na bramie, i zajmując znaczną, podłużną przestrzeń, podnosił się z piętrem swém i dachem dość wysoko, stanowiąc w ogóle poważną i imponującą masę. Wszakże, równie jak na wałach, tak i na samym donie widać było upadek i opuszczenie. Gzémśy były poruinowane, tynki poopadały, w ozdobach architektonicznych nad oknami i nade drzwiami widoczne były odłamki i kalectwo, a w ogromnych oknach na całém piętrze niedostawało połowy szyb, reszta zaś, przepalona od słońca i popękana, okazywała wyraźnie, że tam nikt nie mieszkał.

Po obu bokach ogromnego i zarosłego trawą dziedzińca, były późniejsze daleko budynki, gdzie mieszkali oficjaliści, gdzie były kuchnie i stajnie. Wszystko to nie okazywało także porządku, zamożności i czystości.

Sama pani zajmowała całe dolne piętro głównego gmachu. Mieszkanie to składało się z wielu sal i pokoi, ozdobionych niegdys okazale, dziś wypłowiałych, zapuszczonych i przejmujących smutkiem, jak wszystko, co się chyli do ruiny, przypominając razem dawną świetność, blizkiem zagraża rozsypaniem się. Chociaż hrabina P\*\*\* miała by jeszcze za co urządzić bardzo wygodnie i gustownie mniejsze dla siebie i otaczających ją osób pomieszczenie; ale w jej głowie tkwił dawny przepych, dawna okazałość. Wolala więc siedzieć w brudnych salach, patrzeć na podarte obicia i podziurawione peruki i ferezye portretów familijnych; wolala stolki wysiedziane, ale obite adamaszkiem i gobelinami, na których nie znać już było rysunku, kanapy, z których pozłazila pozłota; wolala mieć marszałka, który po pół roku i więcej nie mógł się z pensją swoją zobaczyć, hajduków, którzy byli głodni, na stajni konie chude i pokaleczone, byle ich było wiele i byle były niezmierne rosłe; słowem, wolala ruinę dawnego dworu, przypruszoną dawniejszą pozłotą, dziurawą, ale wygalonowaną, niż zejście do mniejszych wymiarów we wszystkiem, przymierzenie sukni do wzrostu, wydatków do funduszów, i zapewnienie sobie wygody, tak niewiele kosztującej, jeżeli ją tylko gust i prostota ozdabia. Pycha, upór i pochłaniające dochody pieniactwo, stały się na starość kardynalnemi wadami tęg kobiety, niegdys pięknej i na dworze Stanisława Augusta wychowanej. W młodości była ona zawsze zimną i hardą, ale za przykładem ówczesnych pań przywykla hołdować ciału, cenić

tylko pozór i przyzwoitość, aby jak dobry gorset zneutralizowały wady kibici, przygniatając to, co nazbyt wystaje, dopełniając sztucznie tego, co zapada i do miary nie dochodzi. Miała więc dość wygodne i elastyczne pojęcia o cnocie kobiety, o obowiązkach żony i matki. W jednym tylko punkcie była surową i nieubłaganą, t. j. w tém uszanowaniu, jakie każda, która miała szczęście urodzić się w znakomitym domu, winna była dla swego rodu. Uszanowanie to gruntowała nie na rzeczywistej wyższości moralnej, na nieskażonej uczciwości, na rzetelności w stosunkach z drugimi, ale głównie na tém, aby niższym od siebie nie okazać słabiej swój strony, aby się okryć tak płaszczem pozoru i przyzwoitości, iżby nikt nie mógł dojrzieć, co się pod nim dzieje, jakie plamy czernieją na ciele, jakie tam ropieją wrzody. W takich zasadach wychowała i córkę swą Rozalię, piękniejszą od matki, z lepszym, bo namiętnym sercem, ale przywykłą od dzieciństwa wszystkie jego popędy ukrywać i wszystkie uczucia poświęcać zasadom od młodości w umysł jej wpojonym.

Pojęcie tego *decorum* rozciągnęła hrabina nie tylko do obyczajów, ale i do pozycyi socyalnej i do stosunków majątkowych. Z tego to powodu więcej jeszcze, niż z dawnych pańskich nałogów, otaczała się temi arystokratycznymi formami, które każdemu przenikliwшему oku, każdemu złośliwemu językowi przystęp do niej tamowały. Jój zamek, chociaż w ruinie, imponował; jój dwór, chociaż podszarżany, odstraszał wszelką skargę i wymówkę. Wierzyciel przechodził przez różgi nieskończonych ceremonii, nim się do niej dostał; a gdy wreszcie przed nią stanął, gapiął, owiany tym duchem dawnych czasów, co ją otaczał, i jakał się na widok téj postaci okazałej i dumnej, na której leżał jakiś majestat żelaznej woli utrzymania się na stanowisku, na jakim ją urodzenie postawiło. Podobnym sposobem wychodzili z nią wszyscy, których przez nią, lub z jój powodu, dotknęła jaka krzywda. Jeżeli śmielszy jaki szlachcic, wyrzucony niesłusznie lub niemilosiernie z wioski, którą dzierżawił, popuścił języka, jeżeli jaki odważniejszy urzędnik poparł jego pretensyą, wnet wzywała na pomoc swoje stosunki z najpierwszemi w kraju osobami, używała wpływu krewnych, którzy wysokie piastowali godności, i biedak skrzywdzony musiał umilknąć, a sprawnik powiatu, lub nawet członek rządu gubernialnego, który go popierał, wkrótce wylatywał z miejsca, nie wiedząc prawie zkąd i za co taki cios go dotykał.

Dobra, które hrabina posiadała, były jeszcze znaczne, ale niezmiernie zadłużone i najgorzej administrowane. W takim stanie zostawił je hrabia, który w 1800 roku umarł. Był to człowiek w gruncie dobry, ale w najwyższym stopniu nieporządny, próżniak, wielki pan, który nie wierzył, że worek ma dno i że w nim nic nie będzie, jak się z niego wszystko weźmie; który gardził wszelką arytmetyką, i tak

dalece lubił otaczać się dworem i ofycyalistami, przez których oczy widział i których rękami robił, że gdyby był mógł mieć osobnego słuźalca na to, aby się za niego żegnał i pacierz mówił, byłby go pewnie przyjął i sownie opłacał. Nie dziw więc, że go we wszystkich oszukiwano, że gospodarstwo szło najgorzej, że jeżeli były jakie dochody, te szły do innéj kieszeni, a dla pana na jego wielkie i nierozumne ekspensa, na utrzymanie ogromnego dworu, na opłatę nawet podatków i procentów pożyczano ustawicznie, nie żenując się wcale z ofiarowaniem zysków tym, co jeszcze pożyczać mieli ochotę i odwagę. Tym sposobem hrabina, która za życia męża do niczego się nie mięszała, która, mając wszystko, nie zapytała nigdy, z kąd ma, a zasklepiona swoją wielkością, nie myślała nawet przebijając téj pańskiej skorupy, aby się jéj rzeczy nie wydały wcale inaczej, niż sobie wyobrażała, owładnąwszy majątek po śmierci męża, objęła, właściwie mówiąc, tylko długi, tylko procesa.

Tu trzeba jéj oddać sprawiedliwość, jak wielu naszym paniom, które się w podobném znalazły położeniu. Rozpatrzywszy się w interesach, nie zdesperowała wcale; zrobiła się jeszcze dumniejszą, otoczyła się jeszcze ciaśniejszym ceremoniałem; za pomocą licznych swych stosunków i protekcji powstrzymywała wszystkie na siebie napady, poodcinała niesłuszne i nieprawne procenta, słowem energią i hardém stawieniem czoła wszystkim atakom i ludzi i prawa, przysłała do tego, że się ze stanowiska swego wyprzec nie dała. Chociaż więc koło niéj było ciasno, ale nikt tego dojrzec nie mógł; owszem, tak trzymała i ściągała końce, że zamek, chociaż z potłuczonymi szymbami, został przecież zamkiem, przed który tylko pańskiej karecie, i to z szczęściem końmi wolno było zajechać.

Jedną wszakże była rana, która ją najmocniej bolała, i której żadne protekcyje, żadne związki krwi zagoić nie mogły. Był to proces z dawniejszym plenipotentem i faworytem jéj męża, który miał zupełną jego ufność, nadużywał jéj co się wlaźło, i po jego śmierci przystąpił z ogromną, bo krocie wynoszącą pretensją za różne nakłady, forszusa i poręczenia, której rzetelność własnoręcznemi hrabiego kwitami, listami i rewersami stwierdzał. Chociaż hrabina, póki żył mąż, nie mięszała się do interesów, nie była jednak tak ślepa, aby nie widziała, że ten człowiek nie zasługuje na wiarę, którą go mąż zaszczycał. Instyktowym nawet sposobem nie cierpiała go i ostrzegała hrabiego. Że jednak, jak się to najczęściej zdarza, miłszy mu był faworyt, który mu pochlebiał i pieniędzy dostarczał, niż żona, która tylko ekspensowała i chciała mieć więcej od niego rozumu, nie usłuchała jéj wcale i rzeczy szły swoim trybem.

Oburzona i rozgniewana hrabina takiém wystąpieniem nienawistnego człowieka, zamiast się z nim jakkolwiek ułożyć, oskarżała

go o złą wiarę, o nadużycia, fałszerstwo kwitów i rewersów, słowem, o chęć ograbienia jój i prawie o kradzież. Plenipotent wziął się, a że miał pieniądze, mocniej, niż wszelkie protekcyje, pretensyą swoją popierał. Oprócz tej głównej dźwigni wszelkiego prawowania się, miał on jeszcze i prawność za sobą; hrabina zaś swoich oskarżeń, które na potwarz zakrawały, niczém poprzec i udowodnić nie mogła. Ztąd poszło, że jakkolwiek ją wszędzie potężne głosy wspierały, tyle tylko dokazała, że sprawa ta, trwająca już lat kilkanaście, była istną huśtawką, którą sobie dzieci z tarcicy robią, gdzie raz jedno z nich jest w górze, drugi raz drugie. Przed pięciu laty pan Hippolit Złotówka, tak się ów plenipotent nazywał, był już blizkim zupełnej wygranej; ale na jego nieszczęście zdarzył się pan Klemens z prozbą o rękę Rozalii. Hrabina potrzebowała gwałtem zasobów, dla wyratowania się z ruiny i postawienia na swoim. Rozalia więc została żoną pana Klemensa, a pan Hippolit Złotówka poszedł znowu na dół. Że to jednak był człowiek zamożny i sam prawnik, znowu się wydobył na wierzch. Tym sposobem, nie mogąc zamatować kobiety upartej, przytomnej, niezmordowanej, rozległe mającej stosunki, trzymał ją przynajmniej ustawicznie w szachu, tak, że się stał zmorą, która ją dzień i noc prześladowała. Gdy pan Klemens był w Petersburgu, dla swojej własnej sprawy, miał sobie dane od matki polecenie i plenipotencję do działania. Nić jednak nie zrobił, czy, że nie tak pilnie chodził koło jój interesu, jak koło swego, czy że nie mógł zaradzić w sprawie, o której ci nawet zwątpili, co na instancye wysokich tamtejszych figur byli jój najprzychylniejsi. Jakkolwiekby, hrabina, która nigdy zięcia swego nie lubiła i nie szacowała, jako człowieka podejrzanego szlachectwa; która wydanie za niego córki, uważała za największą w życiu swém klęskę, do której ją nóż przeciwnika zmusił, powzięła ku niemu jeszcze większą niechęć i pogardę. Obecnie sprawa pana Hippolita Złotówki była znowu na dobrej drodze, i dumna matrona znajdowała się w trosce i niepokoju, jak wynaléć środki, aby powodzenie wroga przynajmniej sparaliżować, jeżeli nie zupełnie zniweczyć. Taką i w takim położeniu była owa pani, matka tak interesującej nas Rozalii, do której na niejaki czas czytelników naszych zaprowadzić musimy.

We wchodowej sieni zamku, ogromnej i podnoszącej się w górę przez oba piętra, było dwóch lokai w staroświeckiej, wytartej liberyi; z tych jeden leżał na brudnym sienniku, który sobie z komórki pod schodami znajdującą się wyciągnął, a drugi siedział z wyciągniętymi nogami przy stole, na którym stała wyszczerbiona miska, leżały drewniane łyżki, okruszyny razowego chleba i ogryzione kości, tu i owdzie porozrzucane. Widać, że ci panowie byli po śniadaniu i pokrzepiali snem zmordowane służbą siły. Z tej sieni na prawo był pokój o jednem oknie, dość obszerny i dość brudny. Na szarych

ścianach jego wisiały dawne i podziurawione portrety, w czarnych wązkich ramkach, wyobrażające rozmaitych wodzów, senatorów, z napisami z boku, kogo który portret wyobraża, i z ocenieniem łacińskiem w dwóch lub trzech wierszach jego zasług i dostojęstwa. Były to liche niecierpienie bazgraniny, bez rysunku i kolorytu, i dla tego zapewne, jako wybiorki ze wszystkich artystycznych zasobów zamku, do przedpokojów wyrugowane. W tym pokoju siedział pod oknem kozak, w ogromnych płóciennych szarawarach, w jasnozielonej kurtce, czarnym, szerokim pasem przewiązany. Włosy jego już były siwe, wąsy także siwe zdobiły twarz przystojną, a w oczach bystrych, które wodził po twarzach hetmanów, wojewodów i kasztelanów, naprzeciwko niego wiszących, widać było śmiałość i spoufalenie się z temi znakomościami przeszłości i konneksjami domu, dla którego wierność i poświęcenie wysłał z mlekiem i pożywał z codziennym, czarnym chlebem, którego kawałki także leżały na stole, przy którym siedział. Za tym pokojem następowała wielka sala o czterech oknach, wyłożona drobną dębową posadzką, prawie nie umeblowana, bo tylko gdzie niegdzie mająca wąziutkie a długie kanapy, wybite wypłowiała i podarta materja, podobnejże formy kilkanaście krzeseł i wielki stół dębowy, który stał niedaleko od ściany, dwa średnie okna przedzielając. Na rozległym suficie tej sali były w różnych punktach, mianowicie bliżej okien, jakby karty geograficzne, złożone z ciemnożółtawych plam, pochodzących od zacieków przez zepsuty dach, od deszczów i słyoty, zapędzającej się z wiatrem przez pobite okna pierwszego piętra i formującej sadzawki na podłodze jego pokojów. Na ścianach tej sali były cztery wielkie, prawie do podłogi sięgające obrazy, nadpsute i w wielu miejscach podziurawione, ale już w złoconych ramach, choć wązkich i poczerniałych. Obrazy te, wcale niezłe, wyobrażały Faraona tonącego na morzu z całym swym wojskiem, Mojżesza dobywającego wodę ze skały, żydów zbierających mannę na puszczy, i wielkiego proroka, kruszącego cielce złote po powrocie swym z góry Synai. Przy stole, o którym wspomnieliśmy, siedziało dwóch młodych ofycjalistów w starych i wyszarzanych surducikach i w nankinowych pluderkach. Byli to podręczni hrabiny pisarze. Przy każdym leżało dosyć papierów rozmaitej formy, białych i szarych; z herbami i bez stępla. Obaj z brudnych, wyszczerbionych talerzy, cynowemi łyżkami jedli śniadanie. Ale widać nie bardzo im smakowało, poglądali bowiem na siebie i przelewali z góry na talerz rzadziutką kaszkę, która spadając w tej niezbyt omaszczonej kaskadzie, obryzgiwała głowy i akta. Tymczasem chłopiec, nieuczesany, w szarej dziurawej kurtce, w brudnych płóciennych spodniach i w wykrzywionych butach, który im, widać, to śniadanie przyniósł i na talerze czekał, stał przed jednym z obrazów, i żydówce, nadstawiającej fartuch

mannie spadającej z nieba, robił węglem ogromne wąsy. Za tą salą, tak nazwaną salą Mojżesza, był pokój czworograniasty o dwóch oknach, czystszy od poprzedzających i nie tak pusty jak tamte. Na staroświeckich meblach była żółta materya; w wyrzynaniach drzewa, biało pomalowanego, widać jeszcze było w wielu miejscach złocone prążki. Forma dwóch kanap i krzesel, które już symetrycznie stały, okazywała, że to był niegdyś ładny i gustowny salon. Zdobiło go parę starych i dość kosztownych szaf; stoły przed kanapą i po kątach stojące, miały brązowe, złocone obwódki i galeryjki; na marmurowym kominie stał wielki zegar, a na ścianach, obitych żółtawą, ale nadpsutą materyą, w wązkie złocone ramy ujętą, wisiały zwierciadła, oprawne w świecące i różnemi załomami i wyrabianiami ozdobne, także złocone ramy. Kilka tylko było tam portretów, wyobrażających bliższych hrabiny krewnych, okazujących ze stroju i z pędzla, że należały do późniejszych czasów. Nadedrzwiami i nad oknami, w półokrągłych, wyrzynanych ramach, były obrazy olejne, manieiry Watteau, wyobrażające pasterki pogorsowane i w krótkich spódniczkach, lub panie w robronach i ufryzowanych przy nich kawalerów. W tym pokoju, na krzeselku, przy drzwiach wchodowych stojącym, siedział stary już mężczyzna, wyrazistej, ale nie polskiej twarzy, z siwemi, na tył głowy zaczesanemi włosami, w czarnym wyszarzanym fraku, ze stojącym kołnierzem i okrągło ściętymi połami, w czarnych krótkich spodniach i w białych, choć niezupełnie całych pończochach. Na szyi chustkę miał wążutką białą, a żaboty, przypruszone tabaką, wychodziły z pod białej długiej kamizelki. Był to Francuz, sługa hrabiny od lat młodych, wtajemniczony w różne, jeszcze warszawskie sekreta, obecnie marszałek jój dworu, pełniący razem funkcję magistra ceremonii i kamerdynera przy jój stole, gdzie tylko jój jednej usługiwał, równie przy obiedzie, jak przy śniadaniu i wieczornym posiłku. Zachowując ściśle formy dworu, zawsze się tak ubierał, jak go opisaliśmy, i kiedy pani była w swoim pokoju, siedział na tém krześle przy drzwiach sali, jak Sfinx pilnujący nieruchomości świątyni, w której znajdowało się bóstwo. Za tę wierność, czujność i umiejętność pokrywania i dawniejszych grzechów i obecnego niedostatku, miał naznaczoną dobrą pensyę, którą raz w połowie, drugi raz w trzeciej, czwartej części, lub wcale nie pobierał, która mu się jednak zawsze liczyła i w procentach rosła. Wtedy tylko domagał się koniecznie pieniędzy, kiedy mu się podziurawiły białe pończochy, palce wylażyły z trzewików i łokcie z rękawów. Ta śmiałość i natręctwo nie gniewały hrabiny; owszem, liczyły mu się za zasługę, ponieważ dopuszczał się ich tylko dla honoru domu i zachowania koniecznej przyzwoitości.

Z tego dopiero pokoju, który nazywał się zegarowym, aby choć



czémkolwiek przypominał się Wersal, wchodziło się do gabinetu hrabiny. Nie był on od poprzedniego nowszym, czystszy ani gustowniejszym. Ale, że ciągle prawie w nim siedziała, zamykał więcej mebli, miał już jasno-zielone, materyalne przy oknach firanki, także obicia na ścianach, żyrandol z kryształków wiszący od sufitu, wielkie dwa zwierciadła w złożonych i wyrabianych ramach, i wielkie dwa portrety Bacciarellego, prześliczne co do rysunku i kolorytu. Z nich jeden wyobrażał hrabinę, w gustownej, niewielkiej fryzurze, w sukni białej, lekkiej, udrapowanej i ocienionej tak, jak to Bacciarelli umiał robić, trzymającej w jednej ręce wachlarz, a drugą wspierającej się na galeryi żelaznej, prowadzącej po kilku kamiennych schodkach na platformę, gdzie w głębi widać było masę zieloności. Całe tło i niebo ochmurzone trzymane było w tonie ciemnym, a z tego wychodziła, jak żywa, wysmukła postać wysokiej i okazałej kobiety, która w swoim czasie musiała być piękną, chociaż na twarzy jej widać było więcej charakteru i dumy, niż serca i namiętności. Drugi przedstawiał hrabiego, w ówczesnym francuzkim stroju, z delikatną chustką na szyi, z koronkowemi żabotami i mankietami, których koloryt i mistrzowskie wyrobienie odbijały doskonale przy ciemno niebieskim aksamitnym fraku i sztucznie obmyśloném tle, z którego cała postać wysuwała się jawnie i śmiało.

Na wielkiej kanapie, wybitej jak wszystkie meble w tym pokoju, delikatnemi ale wypłowiałemi gobelinami, oparta o wysoki jej grzbiet, staroświeckimi wyrzynaniami ozdobiony, mając nogi wyciągnięte na aksamitnej poduszce, siedziała hrabina, z podniesioną głową, z oczami wlepionemi w sufit, i trzymając w prawej ręce dużą złotą tabakierkę z miniaturą Stanisława Augusta i z napisem: rok 1788; biła nią ciągle w dłoń lewej ręki, której łokieć wspierał się na wysokim walku kanapy. Była to jej zwykła postawa i nałogowa zabawka, gdy ją troskliwe myśli opadały i chuda twarz pana Hippolita Złotówki stała przed imaginacją. Jej rysy nie okazywały jeszcze pięćdziesięciu siedmiu lat, które miała, i dobrze przypatrzwszy się, można było znaleźć niejaki podobieństwo z portretem, który ją wyobrażał młodą i piękną. Czoło tylko pogięło się od myśli, nos zgrubiał od tabaki, i spodnia warga odechyliła się naprzód, gdyż usta jej odwykły od dawna od wyrazu dobroci i od uśmiechu przymilenia, którymby się podobać chciała. W twarzy jej był wyraz ostry i twardy, jakiby łagodniejszej nawet niż ona kobiecie, nadały troski ustawicznej wojny z wierzytelami i kilkunastoletniego prawowania się z śmiertelnym wrogiem. Strój jeszcze wybitniejszym czynił ten charakter jej twarzy; głowę bowiem miała odkrytą, a siwe jej włosy, po mężku przystrzyżone, których nie miała czasu ani trefić, ani zaplatać, spadały w nieładzie na jej policzki i tył głowy. Na szyi miała zawiązaną

chustkę białą, obszytą szeroką koronką, spadającą na suknię czarną, z tak zwanego wówczas ingierszalu, dostatnio zrobioną, zapiętą wysoko i przewiazaną w pasie jedwabnym sznurem, którego końce i kwasty spadały aż do ziemi.

Na stoliku okrągłym, ze złożoną obwódką i galeryjką, który stał z boku, leżały papiery, a przy nich koperta wielka z dużą pieczęcią. Była to widać korespondencya procesowa, świeżo odebrana z Petersburga i tylko co przeczytana. Oprócz hrabiny, znajdowała się jeszcze w tym pokoju druga osoba. Była to stara panna, chuda, wysoka, blada i chora na zęby. W czarnej sukience, starej i wytartej, podwiązana chusteczką białą, za którą tkwił materacyk z ziołami, z gołą głową, z której dwa loczki spadały na czoło smutne i bez przyszłości. biedna ta istota, którą sieroctwo i stracona nadzieja pójścia za mąż do tej niewoli dworskiej oddały, i na pastwę despotyzmu hrabiny przeznaczyły, siedziała bliżej okna i trzymała w ręku list, którego jej widać doczytać nie pozwolono. Nie śmiała biedaczka kontynuować, widząc, że jej pani nie słucha; a bojąc się przerwać jej zamyslenie, patrzyła w nią jak w tęczę, z natężeniem i w milczeniu, oczekując, aż się ocknie i dalej jej czytać każe.

Taki był stan zamku Białobrzyńskiego w tej chwili, w której wprowadzamy do jego wnętrza czytelników naszych. Począwszy od bramy, gdzie siedział na złomie kamieni hajduk i milczał, idąc przez pusty dziedziniec, przez sienie i następne pokoje, aż do gabinetu pani, wszędzie panowała cichość, i wszystkie osoby, któreśmy widzieli siedzące w milczeniu, podobne raczej były do galeryi figur woskowych w pewnej pozycji zastygłych, niż do ludzi żywych, niegłodnych, i w których żyłach krew uderzała, a w głowie grały myśli, snujące projekta na jutro, lub przerzucające wczorajsze wspomnienia.

Po niejakim czasie hrabina wyprostowała się, lewą ręką odgarnęła włosy z twarzy i ze skroni, i zdawała się przysłuchiwać.

— Co to jest? — zapytała po chwili.

— Ja nic nie słyszę — odpowiedziała panna.

— Acanna nigdy nic nie słyszysz! — rzekła ruszając ramionami hrabina — zawsze masz zapchane uszy bawełną.

— Kiedyż, proszę pani, zęby mnie bołą — odpowiedziała pokornie biedna sierota, ogartując z prawego ucha materacyk, co je zasłaniał i wyjmując z niego spory kłak bawełny, któryby wystarczył do nabicia karabina.

— Wiecznie pannę Konwenckę coś boli — dodała niemilosierna kobieta. — Czy i teraz nic nie słyszysz?

— Zdaje mi się, że słyszę dzwonek — odpowiedziała panna Konwencka, nachylając się ku oknu.

— A widzisz acanna, ja go już dawno słyszałam, — rzekła hrabina — choć byłam zajęta ciężkimi myślami. Acannę o nic głowa nie zaboli, masz wszystko, a jednak siedzisz, jakbyś była głucha.

Westchnęła ciężko biedaczka i powstała, zwróciwszy się ku drzwiom. Wtedy hrabina dodała:

— Dokąd-że acanna chcesz iść?

— Chciałam pójść dowiedzieć się, co znaczy to dzwonienie — odpowiedziała panna zatrzymując się.

— Któż to acannie kazał? — rzekła hrabina — nie ma potrzeby. Tam przecież są ludzie, których obowiązkiem jest dać mi znać, co się dzieje, i którzy nie mają w uszach bawełny. Usiądź acanna i czytaj dalej.

Usiadła więc biedna respektowa panna z cięższém jeszcze westchnieniem, i tylko co podniosła papier do oczu, które zasłaniały łyzi mimowolne, a których nie można było pokazać, gdy odgłos dzwonka wyraźny i szybki rozległ się między murami dziedzińca, a wraz z nim turkot powozu, który przed drzwiami wchodowymi stanął. Gdy wszystko ucichło, hrabina rzekła:

— Któż to ośmielił się najechać mój dom? bo nie sądzę, aby to była wizyta. Osoby odwiedzające mnie, tak hałaśliwie nie zwykły zajeżdżać, wiedząc do kogo przybywają.

Ponieważ odgłos dzwonka pocztowego był rzeczą niezwykłą w zamku hrabiny, wszyscy więc jego mieszkańcy, których widzieliśmy, i inni z tak nazwanój komisaryi i z oficyn kuchennych, wybiegli na dziedziniec, lub patrzyli przez okna. Przede drzwiami zamku stała prosta bryczka pocztowa, zgrzana trójką zaprzężona, a z bryczki wysiadł mężczyzna w szaraczkowym płaszczu, z czarnym kołnierzem, w zielonój czapeczce z czarną aksamitną obwódką i czerwoną wypustką, i wszedłszy do sieni, zapytał gdzie pani i którądy ma się obrócić. Obaj lokaje, którzy tam byli, ziewając i przecierając oczy, zmierzli od stóp do głowy przyjeźdnego, i odpowiedzieli zwolna, że pani wprawdzie jest, ale trzeba zameldować.

— To niech-że który idzie — rzekł podróżny — bo ja nie mam czasu.

— Ba! i ja to nie bardzo mam czas — rzekł jeden, i obróciwszy się do kolegi, który siennik zaciągał do komórki, dodał — idź ty!

— Widzisz, że robię — odpowiedział tamten — idź sam.

Ta ceremonia byłaby długo jeszcze trwała, ale z prawej strony

drzwi się otwarły, i wyszedł z nich kozak, któregośmy tam w pokoju siedzącego widzieli. Gdy obaczył podróżnego, widać że go poznał, uśmiechnął się z daleka, i przystępując spiesźnie, ukłonił mu się nisko.

— A, jak się masz Maksymie — rzekł wówczas podróżny, klepiąc go po ramieniu. — Chciałbym się widzieć z panią i pilno mi.

— Niechaj wielmożny pan idzie — odpowiedział kozak, pokazując drzwi i wprowadzając go bez względu na podziwienie miejscowych lokajów. Widać, że kozak ten był starszą w domu potęgą. W ciągu drogi przez kilka pokoi, ta krótka rozmowa miała miejsce.

— Zdrowiście?

— Śława Bohu! — odpowiedział kozak.

— Ale tu coś u was smutno i cicho.

— Jak zwyczajnie. Pani sama jedna, stara i gości nie lubyt.

— A tamtaż pani nie była?

— Ni, niebyła. Maje syna — dodał kozak uśmiechając się.

— A tobież udało się?

— A czemu nie niało się udaty? wid czohoż Maksym maje hłowu! — odpowiedział kozak.

— I chłopiec zdrów.

— Podobnoś — rzekł kozak, a gdy przyszedli do pokoju, gdzie siedział Francuz, dodał: — Niechaj pan powie pani, że ja mam coś powiedzieć.

— C'est bien — mruknął Francuz i poszedł. Gdy zostali sami, podróżny, dając spory woreczek kozakowi, rzekł:

— Generał dziękuje ci, Maksymie, i przysła ci to dla twego chłopca. Jak wyrośnie, kupisz mu za to konia, aby był taki zuch, jak ty.

— Dziękuję — rzekł kozak, i chowając pieniądze, dodał: — Z jednej piersi z tamtym ssali, to może razem budut i wojowaty.

Francuz wkrótce wrócił i dał znak Maksymowi, aby wszedł. Ten, gdy stanął w pokoju hrabiny, i drzwi za sobą zamknął, rzekła:

— Kogożeś tam przyprowadził z sobą i któż to z tym dzwonkiem przyjechał?

Kozak gościem okazał, że przy paninie respektowój nie może powiedzieć. Wtedy hrabina zwracając się do biednej sieroty, która siedziała wyprostowana i trzymała przed sobą papier, aby na dany rozkaz zacząć czytanie, rzekła:

— Wyjdź acanna ztąd, panno Konwencka. Na cóż acanna zabierasz z sobą to, co nie do acanny pisano? Połóż ten list tu na stole. On ztąd nie ucieknie, znajdziesz go tu, jak wrócisz i jak ci każe dalej czytać.

Panna Konwencka zrobiła, co jój kazano, i ciężko westchnąwszy, weszła ze schyloną głową we drzwi na prawo, które do sypialnego pokoju hrabiny prowadziły.

— Cóż tedy? — zapytała wówczas hrabina.

— A to, proszę jasne wielmożnej pani, ten sam doktor, szo z nami tohdi buw — odpowiedział kozak ciszej i oglądając się.

— A! — zawołała hrabina i czoło jój zmarszczyło się. Potém, pomysławszy chwilę i spojrzawszy na papiery, które na stoliku leżały, dodała jakby sama do siebie: — Może się téż to na co przyda. Proś go i postaw tu krzesło.

Kozak postawił krzesło przy kanapie, i otworzywszy drzwi, dał wejść znajomemu nam radcy stanu i kawalerowi orderów, który w tymże samym zielonym surducie, z dwoma krzyżami na szyi, w jakim go już widzieliśmy, wszedł, i bez wielkiej uniżoności, ale i bez dumy, skłonił się hrabinie, która mu poważnie kiwnęła głową i ukazała miejsce, aby usiadł.

— Dawnośmy się nie widzieli, panie Grodzki — rzekła hrabina, przekręcając nazwisko doktora, zwykłym zwyczajem naszych panów, którzy dla pospolitych nazwisk żadnej pamięci nie mają, i wymawiając je, gwałt niejako swojemu gardłu czynią. Doktor uśmiechnął się i skłonił na znak potwierdzenia.

— Dokąd-że acan, panie Grodzki, teraz jedziesz? — zapytała hrabina, bawiąc się swoją tabakierką.

— Na przedstawienie generała — odpowiedział Grodzki — mianowany zostałem głównym lekarzem rezerwowego korpusu i objeżdżam teraz szpitale wojskowe wszędzie, gdzie korpus nasz stoi.

— Winszuję acanu tego awansu — rzekła hrabina, dając tabakierce swój zwykłe poruszenie ku dłoni lewej ręki. — Widać, że mój kuzyn pamiętał na przysługę, jaką od acana, panie Grodzki, otrzymał.

— Sądzę — odpowiedział doktor seryo — że generał ocenił raczej zasługę mojej służby publicznej i jawnej. Przysługa, o której pani wspominasz, zrobiona była nie jemu, chociaż przez wzgląd na jego dla mnie łaskę i przyjaźń.

— Ile sobie przypominam — odpowiedziała hrabina, uderzywszy mocniej tabakierką o dłoń lewej ręki — zdaje mi się, że i ci, których ta przysługa bliżej, jak acan mówisz, obchodziła, umieli ją ocenić.

— Byłem dostatecznie zapłaconym — odpowiedział lekarz skłoniwszy głowę i z uśmiechem, na który czoło hrabiny zmarszczyło się.

— Nie mówmy więc o tém — dodała. — Jak-że się ma mój kuzyn?

— Generał zdrów dosyć — odpowiedział doktor — jednak potrzebuje ciepłych kąpiel, do których wkrótce uda się za granicę. Właśnie z jego rozkazu jestem tu u pani hrabiny, aby jęj oświadczyć, że generał w przejeździe złoży pani swoje uszanowanie i parę dni w domu jęj odpocznie.

— Bardzom mu wdzięczna, że jeszcze o mnie pamięta — rzekła hrabina takim tonem, jak gdyby chciała dać poznać, że to jego obowiązek. Potém, spojrzawszy na papiery leżące na stoliku, podniosła głowę, odgarnęła włosy ze skroni, i tak z otwartą trochę gębą czas niejaki siedziała. Po chwili namysłu rzekła: — Kiedyż to mój kuzyn ma przejeżdżać? Czy acan nie możesz mi oznaczyć z pewnością czasu, w którym się go mam spodziewać?

— I owszem — odpowiedział doktor — pan generał kazał mi oświadczyć pani, że w pierwszych dniach lipca niezawodnie służyć jęj będzie.

— Cieszę się mocno, że o tém wiem — odpowiedziała. — Właśnie w tym czasie miałam zamiar wyjechać do mojęj córki, aby wnuka mego pobłogosławić. Odłożę więc moją podróż na później. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby mię mój kuzyn nie zastał. Czy acan nie masz do mnie żadnego listu?

— Tyle tylko kazał mi generał powiedzieć pani hrabinie — rzekł doktor powstając, i dopełniwszy polecenia, pożegnał ją ukłonem.

Hrabina odsunęła nogą poduszkę, na której się wspierała, i powstawszy, skłoniła mu się nawzajem; ale w tym ukłonie było więcej ironii i dumy, niż życzliwości i pamięci na chwile bardzo przykre, a których samo wspomnienie powinno było zjednać mu inne przyjęcie i dać wcale inny tok ich rozmowie. Ale na to potrzeba było serca, a tego nie było w staręj egoistce, która wszędzie widziała tylko siebie, i uważała to za łaskę i honor, że raczyła przyjmować przysługi, jakie jęj czyniono, nie przypuszczając nawet, aby or. czynione i były, jak to w obecnym razie miało miejsce, z innych ale względów, a nie przez cześć i uszanowanie dla jęj osoby, herbu i renteli.

Gdy doktor wyszedł, przeszła się kilka razy do pokoju, odgarnęła obiema rękami włosy na tył głowy, odkrywszy czoło szerokie, niegdyś piękne i gładkie, dziś na środku trochę zakłęśnięte i oznaczone

w różnych kierunkach zmarszczkami, które na niém myśli kłopotliwe porwały. Wkrótce dał się słyszeć na dziedzińcu głos dzwonka pocztowego i oddalający się turkot kół. Za chwilę wszystko znowu ucichło i zamek wrócił do zwykłego milczenia. Hrabina, postawszy spokojnie na środku pokoju, jakby dawała czas dojrzeć postanowieniu, które ją zajmowało, potarła palcami czoło, i z wyrazem twarzy, w którym wybiła się wzgarda i niechęć ku tej osobie, o której widać myślała, rzekła sama do siebie:—Bah! il s'en tirera, comme il pourra!

To powiedziawszy, przystąpiła do stolika i zadzwoniła. Na ten głos z jednej strony wszedł Francuz, a z drugiej panna Konwencka. Hrabina, obróciwszy się do tej ostatniej, rzekła ostro:

— Pocóżes acanna przyszła, kiedy cię nie wołano?

— Myślałam, że pani będziesz mnie potrzebować — odpowiedziała pokornie panna, chcąc gotowością do usług i proszącym wzrokiem rozbroić twardą kobietę.

— Niepotrzebnie acanna okazujesz zbytek gorliwości — rzekła na to pani — każdy powinien znać swój obowiązek. Dzwonię nie na acannę. Jak cię będę potrzebować, to po ciebie przysię.

Cofnęła się więc napowrót zastraszona biedaczka, i drzwi za sobą zamknęła, a hrabina, obracając się do Francuza, rzekła:

— J'écrirai une lettre.

— C'est bien, madame la comtesse—odpowiedział, i przystąpiwszy do biurka, które stało pod drugim oknem, przyrządził jój papier, poprawił pióro, podłożył pod biurko poduszkę na nogi, i przysunawszy krzesło, wziął w rękę lichtarzyk ze świecą woskową.

— Niech tu Maksym przyjdzie — dodała do odchodzącego: — Vous lui donnerez trois roubles. Il partira.

— C'est bien, madame la comtesse — odpowiedział Francuz i wyszedł.

Gdy po chwili wszedł Maksym, rzekła hrabina:

— Za godzinę pojedziesz z listem do mojej córki.

— Pojdu, pani — odpowiedział kozak i oddalił się. Jakoż w godzinę potem, traktem ku Podolowi szedł wielką stępą koń gniady i silny, choć trochę za chudy. Z tyłu za siodłem leżała sukmana z kapturem, przykrywająca niewielki mantelczacek; z boku wisiał worek z żywnością; z przodu były olstra, z których wyglądały pistolety, a na siodle siedział kozak w płóciennych szarawarach, w kurtce jasnozielonej. Na pierś miał skózaną sumkę mocno przypiętą, a na głowie czapkę bałanią, z której zwieszał się jasnozielony worek. Twarz jego była spokojna; siwy wąs nie strzępił się żadnemu poruszeniu; czasem tylko, gdy się obejrzał na zamek, którego wysoki dach widać jeszcze było z pomiędzy drzew wałowych, naciskał czapkę, i w oku jego błyskała jakby łza, którą widać żegnał żonę i dziecko.

List, który Maksym przywiózł, adresowany do Rozalii, był następującej treści :

„Kochana córko! Ponieważ dotąd nie domysliliście się przywieźć mi waszego syna, abym go poblogosławiła, mimo kłopotów, które mnie obarczają, zbierałam się sama odwiedzić was, aby dziecię wasze obaczyć i ucałować! Ale wczoraj odebrałam list z Petersburga i tyle nowych przysmaków, że mię to z nóg zwałiło. Zmartwienia moje, z powodu niegodziwości tego łajdaka, którego ojciec twój wyciągnął z za pieca folwarku, gdzie powinienby zostać, są tak wielkie, że nie spodziewam się, aby mi czas i zdrowie pozwoliły wychylić się z domu i odbyć tak daleką podróż. Już i ten list piszę z łóżka, z którego nie wiem, kiedy powstanę. Proszę cię więc, moja córko, abys do mnie przy końcu tego miesiąca na kilka dni z synem swoim przyjechała. Lato mamy piękne, i podróż w tej porze dziecku nie zaszkodzi. Nie zabawisz się u mnie zapewne, bo dom mój głuchy i pusty. Nie mam głowy bawić gości, których zawsze nie lubilam, choć twój ojciec tyle z nimi czasu i majątku stracił. Tęm bardziej teraz ich nie lubię, gdy mię wiek chyli i kłopoty obarczają. Przynrzekam ci jednak, że choć chora i znękana, nie będę od ciebie wymagać tych starań, jakimi wycieńczyłam zdrowie twoje, gdys u mnie ostatnią razą przebywała. Zresztą, sądzę, że widok twójgo syna doda mi siły i humoru. Jeżeli więc, moja córko, uważasz to za powinność, abym ja dziecko twoje przeżegnała, nim umrę, to przyjedź. Ostatnich dni tego miesiąca czekać cię będę. Jeżeli twój mąż będzie miał czas i odwagę kilka dni ponudzić się z nami, i przebyć w tym domu pustym i obnażonym dziś ze wszystkiego, co go dawniej zdobiło, kłaniaj mu się serdecznie odemnie i proś go, aby przyjechał także. Il sera le bien venu. Bądź zdrowa, moja córko, całuję cię po tysiąc razy i spodziewam się, żeś tęm bardziej szczęśliwa w twojem życiu, gdy ci Bóg dał taką pociechę, jaką masz w twem dziecku.“

W przypisku było: „List ten posłałam przez mego kozaka, aby tęm prędzej mieć twoję odpowiedź. Nie zatrzymuj go więc i odpisz zaraz.“

Rozalia, przeczytawszy ten list, oddała go mężowi. Pan Klemens nie miał nic przeciwko podróży żony i syna, ale strwożony wzmiąnką o procesie, i bojąc się równie wymówek matki, że w czasie bytności swojej w Petersburgu interesu tego nie skończył, a nadewszystko, lękając się, aby nie przymówiła się do jego kieszeni, dał poznać żonie, że jeszcze nie wie, czy sam będzie mógł jej towarzyszyć, kazał tylko odpisać hrabinie, że Rozalia z synem niezawodnie na czas oznaczony przybędzie.

Nim odpowiedź wygotowaną została, Maksym siedział sobie na schodach ganku i czekał. Nic wdawał się on bardzo w rozmowę ze



ślugami miejscowemi; unikał galonowanych i w cienką liberyą przybranych lokajów, nawet kozakom pana Klemensa, wypytującym go ciekawie: jak tam u was? i przypatrującym się litościwie wytartęj jego i zszarzanęj odzieży, odpowiadał lakonicznie i niechętnie. Zostawili go więc samotnym, i zdecydowali, że to jakaś bestya harda, co gadać nie chce. Gdy więc tak, pokręcając siwego wása, rozglądał się w około, postrzegł, że pierwsze okno oficyny na lewo otwarło się, i hoża jakaś i czysto ubrana kobieta postawiła w oknie sporego już chłopczyka, i sama przy nim stanęła.

Był to Tadeuszek, już blisko dwuletni, w krótkiej czerwonej sukience, z gołą głową i bosemi nóżkami. Twarzyczka jego była czerstwa i rumiana, czoło szerokie i okryte ślicznemi blond włoskami, które się naturalnie kręciły i w gęstych puklach po całej głowie spadały. Patrzył on wesoło i śmiało, wystawiał nóżki na dwór i wyciągał rączki, przechylając się cały naprzód, jakby się szamotoł z nianką, groził, że się wydrze z jej rąk i z okna wyskoczy.

Widząc to, Maksym uśmiechnął się, pokręcił wása z ukontentowaniem, i nieznacznie powstawszy, przybliżył się do okna. Chłopczyk spojrział nań niebieskimi oczami, które ciemne rzęsy ocieniały, i zaprzestawszy swywoli, przytulił się do nianki, która go w pół objęła.

— Zdorowa młodycia! — rzekł po chwili Maksym. — A czyj to panicz?

— A Pan Bóg go wie czyj — odpowiedziała kobieta, uśmiechając się — to państwo tak z łaski wychowują.

— Sierota?

— Może i sierota — odpowiedziała nianka — a może i nie, kto to wie! Podrzucili go pod oknem pańskim.

— Hm! hm! hm! — mruknął Maksym — ktoś widważnij! I nie dowiedzieli się, kto podrzucił?

— Szukali długo i dowiadawali się — odpowiedziała kobieta — ta nie nie znaleźli.

Kozak uśmiechnął się i wyciągnął do Tadeuszka ręce, jakby chciał go wziąć. Chłopiec objął niankę za szyję, i zabezpieczywszy się już niejako tym sposobem, patrzył śmiało na kozaka i filuternie się do niego uśmiechał.

— Będzie zuch! — rzekł wówczas Maksym, i wzięwszy jego nóżkę, którą chłopiec wydierał, pocałował ją. — Bądź zdrow, paniczu, chowaj się i rośnij prędko! A jak wyrosteś — dodał odchodząc i półgłosem — to ja tobi szczoś skażu.

Potém znowu usiadł na schodach, i na list czekając i poglądając na bohatera naszego, który swywolił w oknie, uśmiechał się i poświętywał. Wkrótce wyniesiono mu depesze i podarunek na drogę.

Maksym schował w swą sumkę jedno i drugie, podpiął rzemyk, który czapkę na głowie przytrzymał, i uśmiechnąwszy się jeszcze raz do dziecka, które go ścigało wzrokiem, tego samego dnia, którego przybył, puścił się napowrót w drogę.

Tymczasem w Białobrzyńcach, na przyjęcie spodziewanych gości, wielkie robiły się przygotowania. Otworzono pokoje na lewej stronie, w których dawniej sam hrabia mieszkał. Były one niegdyś bogate i zamykały wszystko, co do wygody, a nawet zbytku dla mężczyzny potrzebne. Dziś wyglądały brudno i staro; jednak przy staranném okurzeniu i oczyszczeniu ścian, zwierciadeł i mebli, można w nich było pomieścić na parę dni choćby najwymyślniejszego gościa. Ten apartament przeznaczyła hrabina dla generała. Córkę, ponieważ miała przyjechać sama z dzieckiem tylko, postanowiła ulokować bliżej siebie. Za tym pokojem, w którym ją widzieliśmy, był jeszcze apartament, złożony z dwóch pokoi bawialnych, z sypialni i z garderoby. Pokoje te miały komunikację z jej gabinetem i stanowiły niegdyś całość jej mieszkania. Kazała więc hrabina komunikację tę przywrócić, wszystko starannie uporządkować, oczyścić, i co tylko mogło być potrzebne dla kobiety i dziecka, przygotować.

Od dnia 30 czerwca wszystko już było przyrządzone, równie w zamku, jak i w oficynach, aby słudzy bogatego dorobkowicza wiedzieli, że są w pańskim domu, i nie żartowali sobie, że u nich i lepiej i wszystkiego więcej. Od tegoż dnia cały dwór przybrał paradne odzienie. Francuz miał czyste i całe pończochy i żaboty, lokaje staroświeckie, jasno-zielone fraki ze złotymi galonami, Maksym czarne sukienne szarawary i nową kurtkę, którą za własne pieniądze sprawił; kucharzom rozdano białe szlafmyce i fartuchy, a nawet ów chłopiec, któregośmy w sali widzieli, dostał dobre cięgi za to, że się pokazał nieuczესany i brudny.

Gdy Rozalia przyjechała, zdziwiła się niezmiernie, że ją matka tak paradnie przyjmuje. Hrabina nic na to nie odpowiedziała, a córka, przywykła od dzieciństwa szanować jej wolę, nie śmiała się dopytywać i badać, z kąd taka dla niej ceremonia. Nie będziemy opisywać ani przywitania matki i córki, ani sposobu, jakim stara magnatka przyjęła wnuka dorobkowicza, który miał i fortunę ojcowską i jej długi odziedziczyć. Dodamy tylko, że za nic w świecie nie chciała go nazywać Hippolitkiem, gdyż jej to imię pana Złotówkę, jego niegodziwość, jego upór i wszystkie zmartwienia, jakich proces z nim był przyczyną, przypominało. Miał chłopczyk drugie imię Kazimierza, na pamiątkę ojca Rozalii dane, i tém go zawsze hrabina nazywała, wymógłszy od córki, że póki u niej gościć będzie, nigdy go także inaczej nie nazwie. Nie pieściła się też z dzieckiem nigdy, bo wszelki kares i pieszczota były zupełnie obce jej charakterowi.

A nawet gdyby i chciała była uściskać je i z niemi się pobawić, to byłoby niepodobnym, gdyż dziecko to także nie lubiło pieszczot, a przytém, przestraszywszy się od pierwszego razu jój widoku, bało się już potém, wiele razy się zbliżyła i z krzykiem tuliło się na łonie piastunki lub mamki.

Chłopczyk ten, o którym jeszcze dotąd nie powiedzieliśmy, dziwném jakimściś zrządzeniem był bardzo do Tadeuszka podobnym; miał tylko ciemniejsze włoski, oczy piwne, złożenie nie tak silne, i cerę chorowitą. Wszystkie starania rodziców i metoda Angielki nie mogły mu dać wesołości i rumieńca. Kiedy Tadeuszek sierota, w siódmym i ósmym miesiącu życia, biały i rumiany, jak krew z mlekiem, patrzył wesoło błękitnemi jak niebo oczami, śmiał się i chichotał do Widalsi, którą już znał i przed którą najpociesniejsze figle rączkami i nóżkami wyrabiał; Hippolitek, panicz, chociaż zdrów i zęby szczęśliwie dostał, był zawsze blady, miał wejrzenie smutne, nie lubił na nikogo patrzeć, nawet na matkę, i chociaż już miał jedenaście miesięcy, jeszcze się prawie nigdy nie zaśmiał. Martwiło to niezmiernie Rozalię. Pan Klemens, przypisując tak ponure usposobienie dziecka jego zdrowiu, radził się ciągle doktora, który utrzymywał, że to są skrofuły; Angielka utrzymywała, że będzie tak dopóty, póki nie zacznie pić porteru i jeść rostbifu, a Widalsia, której doświadczenia ojciec stroskany radzić się nie zaniedbał, przytoczywszy historię jednego ze swoich chłopców, w którym także coś podobnego upatrywała, i który téż w trzynastym miesiącu umarł, zakonkludowała, że wszystkiemu temu winna Angielka, która go po niemiecku wychowuje. Zresztą wszyscy się już z tym stanem panicza oswoili, i Hippolitek rósł sobie w tém usposobieniu mrukliwém, nie śmiejąc się nigdy, nie patrząc na nikogo, nie przyjmując nawet matczynych pieszczot, krzycząc tylko, jeżeli mu nie zaraz dano, czego chciał, i drapiąc nieraz aż do krwi pierś mamki, jeśli jój nie dostał natychmiast, lub gdy mleko pyszczka jego od razu nie zalewało.

Już trzy dni pobytu Rozalii u matki upłynęły, a ceremonia nie ustawała; owszem, hrabina z każdym dniem robiła się coraz bardziej wymagającą od swego dworu, aby każdy był jak najczyściej ubranym i każdy znajdował się na swoim miejscu. Sama nawet była jakoby wystrojona. Zawinęła włosy, i na tę pół mężką, pół kobiecą fryzurę nałożyć kazała czépek koronkowy, trochę dawniejszej mody, ale przez wartość materyału kosztowny; odziewała się w materyalne suknie; chusteczkę zawiązującą jój szyję przypięła na piersiach staroświecką, ale kosztowną broszą; na palcach nawet jój pięknej jeszcze ręki i w uszach błyskały brylanty. W takiém ubraniu zdawała się kogoś niespokojnie oczekiwać. Widziała to Rozalia, ale skarcona nieraz za młodu za zapytywanie matki, patrząc na jój poważną postać, gdy siedziała na ka-

napie i poglądała ku oknu, na jój imponujący wyraz, gdy się przechadzała w oczekiwaniu, lub jakie wydawała rozkazy, nie śmiała o nie zapytać. Francuza tylko przydybawszy raz tak, że nikt nie widział, wypytywała: — Kogo się spodziewają? — Mr. François, zastanowiwszy się głęboko nad tak ważną okolicznością, która nawet dla niego była tajemnicą, odpowiedział: iż jest rzeczą aż nadto pewną, że pani hrabina oczekuje jakiegoś znakomitego gościa, gdyż apartamenta pana hrabiego są otwarte i na przyjęcie jego przygotowane; kto jednak ma przybyć, tego nie wie.

Czwartego dopiero dnia wszystko się wyjaśniło. Koło godziny drugiej po południu, gdy stół w zégarowym pokoju był nakryty na więcej osób, niż ich zwykle siadało; gdy hrabina, wystrojona jeszcze paradniej, niż w dni poprzedzające, siedziała na kanapie z podniesioną do góry głową, z otwartymi ustami, i pogrążywszy się w zamyśleniu, przerzucała tabakierkę Stanisława Augusta od jednej ręki do drugiej; gdy Rozalia, czy z rozkazu matki, czy instynktem ładnej kobiety wiedziona, w eleganckim, pełnym gustu i skromności ubraniu, śliczna strojem, piękniejsza zamyśleniem i jakby przecuciem jakiegoś szczęścia, siedziała przy matce, zajęta robotą; gdy panna Konwencka, w materyalnej sukience, i z wyraźnego polecenia hrabiny odrzuciwszy chusteczkę i materacyk, chociaż ją zęby bolały, siedziała na zwykłym swém miejscu bliżej okna, z kanwą w rękę, dały się słyszeć dzwonki pocztowe, coraz prędzej i głośniej rozlegające się. Hrabina podniosła się i wyprostowała, Rozalia mimowolnie się wstrzęsła, a panna Konwencka, chcąc naprawić dawniejsze roztargnienie i pokazać swą czujność, odezwała się pierwsza:

— Dzwonki pocztowe!

— Czyż acanna myślisz, że ich nie słyszę? — rzekła hrabina. — Ja nie mam bawełny w uszach. Niepotrzebnieś się acanna wyrwała, kiedy cię o to nie pytano.

Spuściła głowę biedna, pomyślała w duchu: — źle słyszeć, źle nie słyszeć, źle uprzedzać rozkaz, źle oczekiwać go i nie domysleć się woli pani. Biada sierocie! biada starej pannie! biada kobiecie nie mającej własnego dachu, choćby to była strzecha słomiana!

Wkrótce dzwonki i turkot zajeżdżającego powozu obily się o ściany gmachów na dziedzińcu stojących, i ucichły.

— Któż to przyjechał, mamó? — zapytała wreszcie Rozalia niepokojna i nie wiedząca, jak sobie wytłómaczyć uczucia, których doznawała.

— Czy masz ochotę pobiedz do okna, jak pensyonarka? Obaczysz! — odpowiedziała hrabina, nie ruszając się z miejsca i przybrawszy wyraz spokojny i poważny. Potém, spojrzawszy na Rozalię mieniącą się wyraźnie, chociaż nie wiedziała, dla jakiej przyczyny,

dodała: — Gość nasz zaraz wejdzie i zdziwi się, gdy cię obaczy tak drżącą i nie wiedzieć dla czego zmieszaną. Nie umiesz jeszcze panować nad sobą, moja córko! to źle! Kobieta, tak jak ty urodzona, powinna pamiętać o tém, że na nią wszyscy patrzą i sądzą, nie z tego co jest, ale z tego co widzą.

Ta przestroga matki, która przypominała Rozalii dawniejsze jej nauki, przyprowadziła ją do opamiętania się i opanowania niepokoju, który ją przejmował. I był czas ułożyć się i cały kodeks przyzwoitości światowej przywołać na pomoc. Ledwie bowiem hrabina powyższe upomnienie wymówiła, gdy obie posłyszały drzwi pokojów roztwierające się na rozcież, i na posadzce sal rozlegający się brzęk ostróg i chód mężczyzn szybki i silny.

W téjże chwili otwały się drzwi gabinetu, i wszedł hrabia C\*\* w mundurze, trzema gwiazdami ozdobiony, a z nim jego adjutant, który mu w téj podróży towarzyszył.

Rozalia postrzegłszy hrabiego, mimowolnie krzyknęła i zbladła, ale groźne wejście matki i słowo: *sottise!* wzgardliwie jej rzucone, oddały jej prędko całą przytomność umysłu. Generał także stanął zadziwiony, widać obaczywszy Rozalią; ogorzała cokolwiek twarz jego zapłonęła się i oczy zaiskrzyły się radością; wszakże to poruszenie trwało tylko chwilę, potrafił niemię ovladnąć, i z tą łatwością i naturalnością, jaka cechowała jego znalezienie się w każdym towarzystwie, przystąpił do hrabiny i powitał ją z uszanowaniem; potem, zwracając się do Rozalii, ukłonił się jej z największą grzecznością i dodał:

— *Voilà madame, une charmante surprise!* Doprawdy, nie darmo dziś tak rano wstałem. Pan Bóg w nagrodę daje mi wielką i niespodziewaną przyjemność, że panią tu widzę. Jak zaś jest wielką, niech pani ztąd wniesie, że jej nawet dobrze wyrazić nie uniem.

— Dawno téż nie widzieliśmy się, panie generale — rzekła Rozalia, trzymając się mocno poręczy krzesła jedną ręką, i wyciągając do niego drugą, którą on zlekka wziął i z uszanowaniem pocałował. Potem, zwróciwszy się znowu do hrabiny i ukazując na towarzysza swego, rzekł rekomendując:

— Pozwoli pani hrabina polecić sobie księcia Castiani, mojego adjutanta i towarzysza podróży.— Hrabina skłoniła się i ukazała obydwoim krzesła. Gdy wszysej zajęli swe miejsca, a biedna panna respektowa, nie wiedząc co z sobą zrobić, czy wyjść, czy zostać, aby jedno i drugie nie było złém, stała pokornie, trzymając się franki, rzekła do niej hrabina:

— Możesz acanna teraz wyjść, panno Konwencka. Jesteś mi teraz niepotrzebna.

Hrabia Juliusz C\* był jednym z tych szczęśliwych ludzi, których

fortuna niańczy, karesuje i całe życie za rękę prowadzi. Jeszcze nie miał spełna dwudziestu pięciu lat, a już był pułkownikiem. Z wstąpieniem na tron Cesarza Aleksandra, rósł szybko w zaszczyty, ozdabiany był coraz nowemi względami, a co ważniejsza, zasługiwał na nie. Pilny w służbie, śmiały i determinowany w boju, miał sposobność pokazania swojego męstwa i talentów wśród tyłu bitew, które się wówczas na różnych punktach Europy staczały, i jeśli kogo nie sprzątnęły, to go pewnie podniosły, dając ustawiczne pole popisu. Ranny pod Borodynem, doświadczał i tu szczególnej łaski Monarchy, który się ciągle o jego zdrowie dowiadywał, a nawet swego własnego o lekarza, dla przekonania się o jego stanie, z Petersburga przysłał. Jeżeli komu gwiazda jego dobrze świeci, to mu świeci i w nocy i w dzień, i tkwi ciągle nad głową jego jasna i świetna jak brylant. Pod taką gwiazdą urodził się i hrabia. Silnie zbudowany, choć niezbyt słusznego wzrostu, dziwnie kształtny w całej swej postawie, życiem czynnym, wojskowemi egzercycjami, zamiłowaniem konia i broni, nałogiem komendy, przytém przebywaniem ustawicznym w najświetniejszym i najlepszym towarzystwie, przyszedł do takiego ułożenia, że trudno było znaleźć mężczyznę, któryby w równym stopniu łączył powagę i niby rubaszność militarną z udatnością salonową i najprzyzwoitszą swobodą. Tém kształtnym i doskonale wyrobionym ciałem kierowała głowa, i wewnątrz dobra i jasna, i zewnątrz prawdziwie piękna. Na czole jego gładkiem widoczny był rozum i spokojność, a jego białość odbijała cudnie przy włosach niezbyt ciemnych i z natury fryzujących się, i przy twarzy trochę ogorzalęj, ale czerstwęj. Oko błękitne, czarnemi ocienione rzęsami, umiało grozić i pociągać, zawsze wymownie wyrażając, co się działo w jego duszy, w gruncie pełnej dobroci i szlachetności. Usta miał nadzwyczaj piękne, zęby zdrowe, a wąs, choć trochę rudawy, który zdobił twarz jego, dokończył tej prawdziwej męskiej piękności, która w mężczyznach rodzi ufność i przyjaźń, a w kobietach ufność i miłość. Jakoż i pod tym ostatnim względem mało kto mógł się nazwać szczęśliwszym. Jeżeli byt człowieka, przez analogię do jego życia fizycznego i do życia całej natury, podzielimy na dwie sfery: na widną i ciemną, to nie wiem, w której z tych dwóch sfer hrabia więcej odniósł zwycięstw i szczęśliwszych doznał tryumfów. Takim był człowiek, o którym niegdyś Rozalia napisała do męża ów list naiwny i żartobliwy, którym się pan Klemens tak serdecznie ubawił.

Towarzysz jego, książę Castiani, pół Grek, a pół Włoch, ale urodzony w Rosyji i wychowany w Petersburgu, należał do najpiękniejszych i najlepiej ułożonych oficerów całej armii. Nie miał on tego prawdziwie słowiańskiego typu, jakim jaśniała postać generała; owszem, widać było oczywiście jego cudzoziemskie pochodzenie

w sniadłej twarzy, w orlim nosie, w oczach czarnych jak węgiel i głęboko osadzonych, w kruczych i gestych włosach, które głowę jego okrywały; ale w wysokiej jego postaci, we wszystkich rysach, była zadziwiająca foremność i piękny wyraz energii i rozumu.

Nie będziemy nudzić czytelników naszych opisywaniem szczegółów tej wizyty, sposobu jakim hrabina gości swoich przyjmowała, jak im była rada, do jakich uciekała się środków, gdy tej lub owej rzeczy do pańskiego przyjęcia ich nie dostawało: jak się ci goście bawili i czy nawzajem z siebie wszyscy byli kontenci. Powiemy tylko: *najprzód*, że generał był niezmiernie wesół, dla wszystkich uprzejmy, że znalazł powietrze tej okolicy bardzo zdrowém, położenie zamku ujmującym, tak dalece, iż zamiast zabawić parę dni, jak pierwiastkowo przez posła swego hrabinie objawił, bawił dni sześć i dopiero siódmego dnia wyjechał. *Powtórę*: że mu się chłopczyk pana Klemensa, chociaż błady i mrukliwy, bardzo podobał. Potrafił nawet ująć i oswoić z sobą to dziecko od wszystkich stroniące, tak dalece, że już trzeciego dnia, gdy wieczorem spacerował po wałach z Rozalią, a Hippolitek, obwinęty tym szalem tureckim, który niegdyś Rozalia od kupca rosyjskiego kupiła, także tam był na ręku nianki i w towarzystwie Angielki, to mrukliwy chłopczyk obrócił się ku niemu prawie z uśmiechem, pozwolił się pocałować, a nawet wziąć na ręce; a gdy go generał trzymał, przypatrywał mu się i pieścił, chłopczyk bawił się jego szlifą i nie płakał wcale. Cieszyło to niezmiernie Angielkę, która to bohaterskie usposobienie swego wychowanka przypisywała swojej metodzie dwom łyżeczkom portera, które mu codzień rano i w wieczór daje, i wniosła, że niewątpliwie będzie wojskowym, a może dojdzie sławy Nelsona, kiedy tak prędko przystał do obcego sobie człowieka i bawi się znakami jego rycerskiej dostojności.

*Potrzenie*: że młody książę Castiani niezmiernie się w zamku nudził i radby był jak najprędzej tę starożytność opuścić i w dalszą ruszyć drogę. A chociaż hrabina starała się, ile możności, bawić go, zatrzymywała go często w swoim gabinecie, rozmawiała z nim uprzejmie, to wypytyjąc o szczegóły wypadków wojennych, których był świadkiem, to opowiadając dzieje dworu Stanisława Augusta, w których miała udział; chociaż i Rozalia uprzejmością i pełnym słodczy uśmiechem starała mu się wynagrodzić nudy i samotność; grzeczności te matki i córki niewiele go rozrywały. Jakoś tam zdarzało się, że najeżęściej był sam, błakał się z kąta w kąt, ziewał i do tej przyszedł ostateczności, że zwrócił oczy na pannę Konwencką i z desperacji kilka słodkich słów jęj powiedział. To mu dało jakakolwiek rozrywkę, spostrzegł bowiem, że ta biedna ofiara dworskiego respektu, która sądziła, że już na nią żadne ziarno tej mанны nie spadnie, od tego czasu ożywiła się cokolwiek, ubierała się staranniej, poglą-

dała ukradkiem i często na pięknego oficera, i nie tylko w salonie, gdzie jej to było wzbronioném, ale nawet na dworze, nie podwiązywała się chusteczką i nie kładła materacyka, chociaż ją zęby okropnie bolały.

Poczwarte, że pan Klemens w tydzień po wyjeździe żony i syna, czy z tęsknoty za nimi, czy sądząc, iż nic do rzeczy i niedelikatnie postąpił, że na wyraźne wezwanie hrabiny sam nie pojechał, jak skoro mu ten skrupuł przyszedł i jakaś, nie wiedzieć jaka, trwoga go ogarnęła, nie namyślał się długo, kazał sobie zaprządz dzielną czwórkę do lekkiego koczycy, i piątego dnia od pobytu generała u hrabiny, od nikogo nie spodziewany, a z wielką zapewne satysfakcją wszystkich, do zamku w Białobrzyńcach przyjechał.

Te są główne kategorye, na których, jak na słupach fundamentalnych, mogą czytelnicy położyć zrąb swoich wniosków i osnować z nich budowę uczuć, rozmów i scen, jakie w całym tym epizodzie naszej historii mogły mieć miejsce. Dla ułatwienia mniej domyslnym tej pracy ich imaginacyi, i dla sprowadzenia ich na właściwą drogę, dodamy jeszcze, że hrabina, znajdując generała w najlepszym dla siebie usposobieniu, otrzymała od niego sześć listów do najważniejszych osób w Petersburgu, które sprawie jej stanowczy i pomyślniejszy daleko miały nadać kierunek; że pan Klemens, chociaż zatrwożył się w głębi duszy, widząc zmieszanie żony, gdy go z nienacka obaczyła, i zastawszy ją, gdy wjeżdżał na dziedziniec zamku, w samotnej przechadzce z młodym oficerem, któremu widać chwilę nudoty rozmową swą uprzyjemnić chciała, i na którego on krzywo bardzo poglądać zaczął; uspokoił się jednak zupełnie, raz, że go hrabina nadzwyczaj uprzejmie i po macierzyńsku przyjęła, czego się wcale nie spodziewał; powtóre, że się poznał z tak znakomitym człowiekiem, jakim był hrabia, i spostrzegł w nim i wyraźny szacunek dla siebie, i życzliwość dla swego dziecka, które, jakby ożywione tą podróżą, przychylnością babki i jej krewnego, okazać zaczęło więcej humoru, a nawet więcej zdrowia. Te okoliczności tak uszczęśliwiły pana Klemensa, że i matee na poparcie jej sprawy dał weksel na pięćdziesiąt tysięcy, i najusilniej prosił generała, aby w powrocie swoim z zagranicy, dom jego obecnością swoją zaszczycił, co mu też generał najsolenniejsz przyrzekł. Tym sposobem wizyta ta skończyła się z ukontentowaniem wszystkich. Hrabia, siódmego dnia od przybycia swego, z adjutantem swym wyjechał, a nazajutrz po jego wyjeździe pan Klemens, zabrawszy żonę i syna, do domu powrócił.

Zamek w Białobrzyńcach został znowu pustym i głuchym, wróciwszy we wszystkich szczegółach do dawnego stanu. Dwaj lokaje siedzieli znowu w sieni, lub wyciągali się na siennikach; Maksym drzemał w pokoju hetmanów, pisarze gryźli pióra w sali Mojżesza. Chłopiec robił wasy i faworyty żydówkom; François przypatrywał



się dziurom swoich pończoch i strzepywał tabakę z żabot swych w pokoju zégarowym; hrabina, siedząc bez czépka na kanapie i przerzucając tabakierkę z jednej ręki w drugą, spoglądała na papiery, leżące na stoliku, a nawet niekiedy uśmiechała się, czy to myśląc o minionej u siebie wizycie, czy wyobrażając sobie, jak się pomści na panu Hippolicie Złotówce; panna Konwencka wyszywała znowu na kanwie, a gdy jój przyszedł na myśl piękny oficer, i słówko przez niego powiedziane zabrzmiało w jój uszach, spoglądała czulój na to miejsce, gdzie siadywał, i poprawiała chusteczkę i materacyk, bo ją zawsze w téj chwili, w skutek wzruszenia nerwowego, ząb daleko mocniej zabolął.

## V.

Korzystając z tego przywileju, jaki ma każdy pisarz powieści, że może bezkarnie i bez obrażenia najskrupulatniejszej krytyki, przekraczać z miejsca na miejsce, i zabrawszy z sobą wszystkich swych czytelników, przenosić się z niemi o kilka i kilkanaście lat naprzód, przeskoczmy i my cały ósmioletni peryod, począwszy od ostatnich wypadków, któreśmy opisać starali się, i zatrzymamy się na roku 1824, to jest na ważnej epoce, w którój bohater nasz miał już dziesiąty rok, zaczął zaglądać do świata, jakby przez jaką szparkę, i zaczął biedak spostrzegać, że nie wszędzie mu będzie tak dobrze, jak w tym pokoiuku, gdzie go pocziwa Widalsia wychowała, od wszelkiej krzywdy z miłością i siłą lwicy broniła, a nauczywszy pacierza i czytania na kantyczkach i złotym ołtarzyku, wpoila w pamięć jego historiją wszystkich swoich dzieci płci męzkiej i żeńskiej, żyjących jeszcze lub spoczywających w Bogu.

Nim jednak zajmiemy się nim wyłącznie, jak na to zasługuje i ze swojego ekscencyonalnego położenia i z przymiotów, któremi go Opatrzność, w braku praw społecznych, obdarzyła, musimy wprzód zrobić wzmiankę o niektórych okolicznościach, tyczących się znajomych nam już osób, gdyż te do dalszej osnowy téj powieści będą nam potrzebne, a na przyszłość i charakter bohatera naszego niejakiem rzucą światło.

Przez cały ten czas w domu pana Klemensa G\* wszystko szło zwykłym porządkiem. Żadne zdarzenie nie zakłóciło jego spokoju i przykładowego życia małżonków, co, choć nierówni wiekiem, przez czas i przyzwyczajenie przyszli do téj harmonii i zrównania w siłach, w myślach i sposobie zapatrywania się na rzeczy ludzkie, że się ztąd zrodził wzajemny szacunek, a nawet pewien rodzaj przychylności, którój nawet Rozalia, chociaż daleko młodszą, dla starego męża swego doznawała. O panu Klemensie nie ma co i mówić. On zawsze i co-

raz mocniej kochał piękną swą żonę, a kochał tem gruntowniej, że miłość jego, po burzach zazdrości i podejrzeń odpoczęła niejako, i usadowiła się na nieskażonej konducie młodej kobiety, która z wielką jego pociechą, a z wielkiem podziwieniem całej okolicy tak postępowała, że nikt nie mógł nic o niej powiedzieć, ani nawet pani Pokrzywicka na jej szacie małżeńskie żadnej plamki dopatrzeć nie zdołała. Rozalia miała wówczas lat trzydzieści cztery, i nie była już ową wysmukłą i giętką kobietką z przezroczystą picią, z pięknem, błękitnym okiem, w którym jaśniała i duma rodu, i namiętność gorącego serca; z temi ustami pełnemi wdzięku, ale z których nie wychodził nigdy śmiech ani trzpiotania się, tak niezgodnego z jej charakterem, aniszczerej radości, tak niezgodnej z jej przymusowem położeniem. Rozalia odmieniła się, jeszcze więcej spoważniała, znacznie utyla, talia jej straciła dawną gibkość, płeć tę przezroczystą delikatność listka rozwijającej się róży; wszakże w takim stanie, w jakim się obecnie znajdowała, należała ona do bardzo pięknych, świetnych i imponujących kobiet, na których w najdobrańszem gronie piękności, każde oko chętnie się zatrzymuje, których głos poważny i uśmiech pełen wdzięku przyciąga ku sobie wszystkich najdystyngowańszych mężczyzn, ale których czoło jasne i pogodne odrzaca wszelką myśl płochości i każdy zamach na ich reputacyą niweczy, i odbiera najzuchwalszym wszelką chęć podkopania ich zasad i wiary w świętość małżeńskich obowiązków. Taką okazywała się wszędzie Rozalia i takim okiem wszyscy na nią patrzyli.

Pan Klemens, chociaż już liczył rok sześćdziesiąty trzeci, ukrzepił się, ozdrowiał, i silniejszym był i czerstwiej wyglądał teraz, niż wówczas, gdy mu owa Nemezys, o której wzmiankę mitologiczną zrobiliśmy wyżej, chęć pojęcia młodej i pięknej żony podszeptęła. Dostatek, przybywanie fortuny i różnych osobliwości do ulubionego zawsze zbioru, życie regularne i umiarkowane, a nadewszystko widok wzrastającego syna i uspokojenie się w zapędach zazdrości, były zapewne przyczyną, że pan Klemens nie starzał się, ale owszem przy młodej swjej żonie nabywał sił i coraz młodszym się poczuwał. Wprawdzie powracały mu czasem paroksyzmy podejrzliwości i dawniejsze zmyry siadały niekiedy na jego piersiach, drapiąc je swemi szponami, ale to zdarzało się bardzo rzadko, a zdarzało się tylko wtedy, gdy hrabia C\*, z którym się prawie zaprzyjaźnił, dwa lub trzy razy co roku dom jego odwiedzał. Hrabia bowiem przyjeżdżał zawsze ze swoim adjutantem, księciem Castiani, który, chociaż już podpułkownikiem został, generała swego odstąpić nie chciał. Panu Klemensowi zdawało się, że pierwszy widok tych panów zawsze Rozalię mięszał, że bladła, gdy się z nią witali, i wówczas złe myśli go opadały i dawne rodziły się podejrzenia. Ale Rozalia prędko przychodziła do zwykłego stanu

powagi i grzeczności, i pan Klemens rad, że miał w domu tak znakomitego gościa, nie okazywał wcale wewnętrznego swego niepokoju, i postępowaniem żony naturalnem i poważnem uspokajał się zupełnie. Żeby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia, i pamiętny na nasze przysłowie: że strzeżonego Pan Bóg strzeże, nie spuszczał z oka młodego oficera, ciągle się nim zajmował, oprowadzał go po swoim gospodarstwie, pokazywał swoje muzeum, jeździł z nim na najlepszych swych koniach, uśmiechając się nieraz w duchu, gdy młody człowiek okazywał zdudzenie jego grzecznością i oglądał się na dom, gdzie go widać coś ciągnęło, i gdzieby wolał może być w kompanii samej gospodyni, niż w towarzystwie tak uprzejmego gospodarza. Ta filuterya dawała panu Klemensowi najlepszy humor, i gdy wracali z jakiej dwu- lub trzygodzinnnej wycieczki, przepraszał generała, że go zostawiał samego, i wymówki z tego względu przez Rozalię sobie czynione zbywał czasem jakim zręcznym przycinkiem, czasem żartobliwem zwalaniem uchybienia na niezmordowaną ciekawość młodego oficera.

Oprócz tych chwilowych zapędów niepokoju, z których jednak tak tryumfalnie wychodził i które tak zręcznie odwracał, doznał jeszcze pan Klemens i rzeczywistego zmartwienia. W tym przeciągu czasu dał mu Pan Bóg jeszcze troje dzieci; ale te, mimo starań rodziców, mimo metody Angielki i przyjętych jęj do pomocy dwóch nianiek, jednej naturalnie Szwajcarki, a drugiej Niderlandki, nie chowały się i prędko umierały, jak to zawsze przepowiadała Widalska, która obejrzawszy każde z nich i porównawszy z niektórymi ze swych nieboszczyków, żadnemu długiego nie rokowała życia. Ale został mu syn najstarszy, który, chociaż zawsze blade, mrukliwy i zły, rósł jednak szczęśliwie i znakomite okazywał zdolności, gdyż doskonale już mówił po angielsku i po francuzku, co serdeczną radością napełniało rodziców, a dla okolicznych matek stało się powodem jawnych powinszowań i tajemnej zazdrości i niechęci. To rozwijanie się w siły i umiejętność jedynaka, dziedzica imienia, dóbr i zbiorów, pocieszało rodziców po tych tak boleśnie powtarzających się stratach, i zwróciło całą ich uwagę na jego wychowanie, odpowiednie urodzeniu i przyszłemu stanowisku, jakie na świecie miał zająć. Żeby tak świętemu obowiązкови zadostyc uczynić, pan Klemens, straciwszy wiele czasu na wyszukanie uczzonego i moralnego guwernera Francuza, z tych, którzy po kampanii 12-go roku w kraju pozostali, i nie mogąc znaleźć takiego, któryby wszystkim żądanym warunkom odpowiedział, gdy ten umiał tylko doskonale fechtować się, tamten bić w bęben, ów dąć na fujarce, — rozpiisał listy do swoich znajomych we Francyi, aby mu tam wynaleźli człowieka, któryby łącząc naukę ze znajomością świata, mógł najstosowniej młodego Polaka wychować. Bacząc jednak na słabowitość i delikatne złożenie swego syna i sparzywszy się na reszt-

kach wielkiej armii, z których nic wybrać nie zdołał, położył za warunek, aby to nie był żaden ex-wojskowy, ale raczej jaki z tych Labusiów, którzy za Karola X-go, jak owady z za kory drzew, z nadchodzącą wiosną wylazili, i znowu do dyrekcyi sumienia młodych kobiet i edukacyi sponożniałych nagle magnatów brać się zaczęli. W odebranych niedawno listach obiecano mu jednego z takich fenomenalnych gubernatorów, i pan Klemens, posławszy weksel na wielką sumę, aby przyszły mentor bladego Telemaka miał za co przyjechać, spodziewał się jego przybycia.

Rozalia serdecznie bolała nad stratą szczególniej dwóch córeczek, które obie, nie doszedłszy roku, pomarły. Postanowiła ona sobie wychować je inaczej, niż była sama wychowaną, i wydać za mąż zupełnie nie tak, jak sama poszła, aby im oszczędzić walk codziennych i bolesnych z obowiązkiem, już przez się trudnym, a cóż dopiero, gdy go wspólne przywiązanie lżejszym nie czyni. Ale widać, że inaczej było postanowiono. Napłakawszy się więc do woli, wzięła się sama do wychowania i nauki syna, który jej pozostał, co tém bardziej znajdowała potrzebném, bo spostrzegła w chłopcu rozwijające się złe skłonności, które ją tajemnym strachem przejmowały.

Hippolitek, mimo metody Angielki i kieliszka portera, którym go skrycie poiła, — w tém przekonaniu, że nie ma nic zbawienniejszego dla zdrowia człowieka i prędkiego uformowania jego charakteru, był zawsze bladym, milczącym, i nigdy się prawie nie śmiał i nie swywoił. Ale za to gniewać się umiał silnie, i żadnej, by najmniejszej przykrości i sprzeciwienia się nie zapominał; uważał bacznie, gdy który sługa w czémkolwiek wykroczył, nie strzegąc się dziecka, gdy mruknął lub ruszył ramionami, odebrawszy jaki rozkaz, i w ten moment, nie oszczędzając nikogo, nawet swojej Angielki, której także nie kochał, mówił to ojeu lub matce. Jeżeli zaś niańka, lub później przeznaczony do usług jego stary lokaj, w czém mu się sprzeciwili, to ich bił, lub kłuł szpilkami, jeśli mógł zaraz uderzyć lub ukłóć, a jeśli nie mógł, to później w kilka godzin, lub nawet w parę dni, upatrzwszy sposobną chwilę i przypominając im ostatnią krzywdę, a także wzmiankując o dawniejszych, której żadnej nie zapominał. Najmilszą jego zabawką było dręczyć zwierzęta. Chrząszcze obdzierał z wąsów, ze skrzydeł, z nóg, i tak rzucał; biedną i niewinną krówkę z centkami, znalazłszy gdzie na listku, kłół szpilką i tak podziurawionej przypatrywał się, czy polecą; napierał się czasem żywego ptaszka w klatce, a gdy mu dano czyżyka lub makolągwę, wydierał im codzień po kilka piórek, aż póki nie zostały nagie, lub z bólu nie zdechły. Mając już lat pięć i sześć, zawsze miał batożek, ale nie trzaskał nim, nie bawił się w konie, nie udawał furmana, lecz batożkiem tym zacinał po nogach niańkę, krzycząc i wrzeszcząc, gdy mu go odebrała; lub wyszedłszy na

spacer, gdzie spotkał pieska, to go ćwiczył, gdzie spostrzegł kury grzebiące na śmieciu, to się z nienacka podkradał, aby którą biczykiem zaciąć. Gęsi bał się, i tych w przechadzkach swoich unikał; ale za to biedne kaczki, które na szerokich łapach swych uciec przed nim nie mogły, gonił i zacinął po głowach i skrzydłach, póki się nie zmordował, lub póki go stary sługa gwałtem nie przytrzymał, wołąc, aby jemu się dostało, niż niewinnej i lękliwej trzodzie, nad którą się pastwił.

Angielka, czy w skutek swojej metody, czy z innych jakich powodów milczała; nianka i stary lokaj nie śmieli gęby otworzyć; tak więc te oczywiste oznaki złego serca nie prędko odkryły się oczom Rozalii, która cośkolwiek z nich spostrzegać zaczynała, a chociaż miłość macierzyńska łagodziła i kolorowała złe skłonności, które jej udało się dopatrzeć, zaczęła się wszelako mocno trwożyć i bliżej nad dzieckiem swém czuwać. Mówiła nawet o tém z mężem, ale pan Klemens, zaślepiony przymiotami swego jedynaka, nie widział nic na własne oczy, lub jeżeli co i dojrzał, zwłaszcza oskarżanie sług, lub uwagi, że ten i ten tak robi, tak się krzywi, tak rusza ramionami, przypisywał to raczej przedwczesnemu rozsądkowi i darowi spostrzegania, niż złemu sercu dziecka, które nad wszystko kochał. Gdy chłopiec spostrzegł, że matka nad nim bliżej czuwa, a ojciec mu pobłaża i jej nie wierzy, zaczął nawet na nią dąsać się po dwa i po trzy dni, a przy ojcu był zawsze cichym i potulnym. Do właściwej więc złości przyłączyła się jeszcze i chytrość, rozwijająca się z wiekiem. Takim był w dziewiątym roku życia Hippolitek moralnie. Umysłowo był rzeczywiście dużo rozwinięty i nadzwyczaj zdolny. Te właśnie zdolności, które pan Klemens w synu swym najwyżej cenił, i nad którymi się unosił, utrzymywały go w tym stanie zaślepienia na jego rzeczywiste i straszne wady, i uczyniły go w tym względzie zupełnie nieuleczonym. Hippolitek jeszcze nie miał skończonych lat ośmiu, a już czytał dobrze po francuzku i po angielsku. Pierwszego nauczyła go matka, drugiego Angielka, dając mu za każdą dobrą lekcję, oprócz zwyczajnej porcy dla zdrowia, pół kieliszeczka porteru. Po polsku, chociaż nieźle mówił, ale jeszcze nie dobrze czytał nawet w dziewiątym roku. Sądzili bowiem rodzice, że na to zawsze będzie jeszcze czas, gdy się znajdzie jaki polski nauczyciel, o którym także czasem nawiasowo myśleli. Pacierz Hippolitek mówił z matką, i naturalnie po francuzku. W tymże języku brał pierwsze zasady katechizmu, aby na dalsze życie lepiej w religii był ugruntowanym. Innych wiadomości miał także wiele, rozmawiając często to z matką, to z ojcem. Od Angielki dowiedział się już, kto był Nelson, i jak wielkie były w Londynie browary i beczki, w których się robił i wystawał porter. A gdy z ojcem poszedł do jego zbioru, już umiał niejedną osobliwość nazwać, rozróżniał porcelanę chińską od japońskiej i saskiej, wiedział, co bronz, a co marmur,

co posąg a co płaskorzeźba, co dzbanki etruskie, a co mumie egipskie, a ztąd umiał wiele powiedzieć o Herkulanum i Pompei, o Wezuwiuszu i o Piramidach. Tak wychowując się, praktycznie doszedł nawet do niektórych wiadomości z historii naturalnej, i na obrazkach, których miał wiele, rozpoznawał zwierzęta i ptaki, wyskubując w myśli pióra z ogona strusia i wykalając oczy kolibrom. Ciekawy chłopczyk o wszystko się wypytywał i obejmował wszystkie objaśnienia, które mu ojciec umiejętnie i z zastosowaniem się do jego wieku i pojęcia robił. Wiedział więc, co jest termometr, co barometr, zkąd się bierze deszcz, zkąd grad, zkąd tęcza; lubił kręcić korbką w systemacie Kopernika, znajdującem się w muzeum ojcowskiem, i przypatrywał się uważnie obrotowi planet około słońca, z których każdą umiał dokładnie nazwać; zajmowała go najmoćniej machina pneumatyczna, i najwięcej rad był wtedy, kiedy ptaszek dla braku powietrza zdychał: na machinie elektrycznej widział iskry, a ztąd dowiedziawszy się, co błyskawica i co grzmoty, żartował ze starego swego lokaja, gdy ten widząc te wspaniałe światła i słysząc ten potężny wyraz mocy bożej, żegnał się i cichą odmawiał modlitwę. Na takiój drodze był przyszyły dziedzic pana Klemensa intelektualnie.

Sierota Tadeuszek weale był inszym i inaczej się też wychowywał. Opiekunką, guwernantką i pierwszą jego nauczycielką była poczciwa Widalska, jak wiemy stara, ciężka i ograniczona, która ani go dobrze dopilnować, ani za nim zdążyć, ani umysłu jego dostatecznie rozwinąć nie mogła. Skoro więc poczuł się na siłach i mógł już nie dbać o jej rękę i oko, czuwające nad jego krokami, pokazało się zaraz, że to będzie największy z całego Podola swywołnik i figlarz, który niedarmo miał piękne, ciągle śmiejące się oczy, i jasne, kręcące się włosy, co głowę jego naturalnemi lokami okrywały. Już w siódmym i ósmym roku życia wymykał się ze stancyjki, tak, że go nikt upilnować nie mógł, i na kilka godzin przepadał. Zdarzało się nieraz, że biedna Widalsia, szukając go, cały ogród zdreptała, i ciężko zasapana, okryta potem, wracała na próżno, siadała w swém krześle, i ze zmartwienia ani pończochy robić, ani kabaly kłaść nie mogła. Czasem znajdowała go lub gdzie na najwyższem drzewie, zkąd do niej kukał, albo niedogryzkami niedojrzałych jabłek rzucał; lub na folwarku na jakim dachu słomianym, gdzie jak kot laził i gniazd ptasich szukał; lub na wielkiej sadzawce zdobiącej ogród, gdzie sobie bacikiem pływał, jeżeli przypadkiem zapomniano zamknąć kłódkę, co go do brzegu przymocowywała. Łatwo sobie wówczas wyobrazić rozpacz biednej kobiety i figlarne miny chłopca, gdy ulitowawszy się wreszcie nad nią, zląził z drzewa lub dachu, i kręcąc rudlem, lub sam dostawał się do brzegu, lub z pomocą ogrodnika, którego Widalska przyprowadzić musiała, aby go z tak krytycznego położenia wyzwolił.

Często także wymykał się na wieś, gdzie chłopcy wiejscy mieli swoje zbiegowiska. Tam pomiędzy niemi rej wodził w różnych grach, jakie sobie wymyślali, biegał z niemi, skakał, huśtał się na tarcicach, lub na szlei, wykradzionej przez którego z nich, i do banty jakiego pustego budynku przywiązanej. Z tych i tym podobnych wycieczek wracał najczęściej zabrudzony, z poplamioną lub podartą sukienką, z podrapanemi rękami lub twarzą w bójkach z chłopcami, do których stawał śmiało, zwłaszcza, gdy słabszego potrzeba było obronić, lub oprzeć się mocniejszemu.

Za te wszystkie ekscesa i swywole często dostawał rozgą, czasem skarcony był tylko szturchańcem, lub należycie wygdérany. Ale każda z tych kar kończyła się na pieszczotach, na uściskach i na łzach Widalsi, gdyż Tadeuszek, czując się winnym, poddawał się jej z pokorą, kładł się na stółek milcząc, nie płakał, gdy go ćwiczyła, nie skrzywił się, gdy go szturchnęła, nie zaśmiał się, ani żadnym nie obraził jej grymasem, gdy go upominała, złażała, i porównyując z którym ze swoich najswywolniejszych chłopców, przepowiadała, że tak jak on skończy. Owszem, gdy uważał, że opiekunka jego, którą serdecznie kochał, uspokoiła się cokolwiek i ochłonęła, wtenczas przysuwał się do niej nieznacznie, i póty ją przepraszał, ręce jej i nogi całował, póki rozrzewniona tak dobrém sercem staruszka nie podniosła go, nie utuliła na swych piersiach, i oblewając łzami, wielkiemi jak groch cukrowy, ścisnąć i błogosławić nie zaczęła. Wtedy znowu następowała zgoda, śmiech pusty wracał na usta chłopca, a z oczu jego tryskała radość, że i swojego dokazał i opiekunkę swą do okazania mu miłości i przebaczenia przyprowadził. Wtedy nie było posłusniejszego dziecka, jak Tadeuszek, pojęniejszego i pilniejszego ucznia. Chociaż czytanie, zwłaszcza tak nieumiejętnym sposobem uczone, jak go Widalsia uczyła, nudzić go musiało okropnie, jednak znużenia tego nie okazywał, powodowany instynktem poczciwego i szlachetnego serca, które mu mówiło: — zawiniłeś, zmartwiłeś jedyną na świecie kobietę, która cię kocha, teraz nagródź jej to pilnością i posłuszeństwem.

Ta powolność i poprawa chłopca, a ztąd radość i pokój Widalsi trwały póty, póki go znowu nie napadła furja wyszalenia się i wybiegania tak, żeby na niego nikt nie patrzył, nikt go nie pilnował, nikt krokami jego nie dyrygował, żeby zatem użył swej zupełnej woli i napasł się niejako uczuciem niepodległości i swobody. Ten był główny rys jego usposobienia moralnego. Zresztą było to dziecko najlepsze, które cały dwór znał i prawie cały dwór kochał, gdyż nie dopuścił się nigdy żadnego postępku, któryby zdradzał lub złość, lub chęć szkodenia komu, lub nałóg obwiniania drugich i zwalania winy na innych. Figle płatał często różnym osobom, ale to były owe niewinne, nieszkodliwe psoty, z których żadna nie wynikała szkoda, a lek-

ki tylko rodził się kłopot dla tych, którym wyrządzone były. Widalsi np. schował czasem druty, albo sennik zarzucił, albo z kart wszystkie figury powyjmował, i oddawał wtedy, gdy się ich dobrze naszukała; służącej, która do usług jego i staruszki przeznaczoną była, nasypał pod prześcieradło sieczki, którą w czapeczce z masztarni, gdzie miał znajomych i przyjaciół, przyniósł, albo gdy mydliła bieliznę i odwinęła się gdzie, w téjże samej chwili sprzątnął mydło, iż musiała się dobrze naszukać, i nakoniec naprosić go, nim pokazał kryjówkę, gdzie je schował; latem w ogrodzie, gdy ogrodnik, który był łysy i zamyślać się lubił, usiadł na jakiej kanapce i odpoczywał, zakradłszy się cicho, wodził z lekka słomką lub gałązką po jego łysinie, tak, że ten myślał, że to muchy, i co moment bił się ręką po głowie. Takich i tym podobnych psot wielu od niego doświadczało; nikt się jednak nie gniewał, bo gdy go kto na uczynku złapał, a nie miał ochoty śmiać się z figla, Tadeuszek w ten moment rzucał mu się na szyję i przeproszał póty, póki nie nastąpiła zgoda i dobry humor pokrzywdzonemu nie wrócił. Największym jego przyjacielem był koniuszy, stary, Kościuszkowski kawalerzysta. To téż bohater nasz najczęściej przesiadywał w stajni, laź śmiało do koni, spokojniejsze do wody prowadził, pomagał zaprzęgać, czasem wdrapywał się na siodło, gdzie go ex-wojak przed sobą trzymał, a gdy miał już dziesiąty rok, to i sam spokojniejsze woziwody dosiadał, lub ośmieliwszy się i wprawiony, na miejscu forysia popędzał czwórka fornałską, lub niekiedy i w koczku, gdy państwo mieli jechać na spacer, przed ganek pałacu fortywał.

Instrukcja jego nie szła sporo, bo téż nikt się tém formalnie nie zajmował. Widalska go tylko uczyła, oraz przyjaciół jej i Tadeuszka, pan Gracyan Owsikowski, ów koniuszy dworu pana Klemensa. Od opiekunki swój nauczył się, jak to już powiedzieliśmy, czytać po polsku, pacierza i katechizmu, a od koniuszego, który do nich często na gawędkę przychodził, nauczył się pisać litery i liczby, i rachunku na pamięć, tak, że mógł wielkie nawet summy dodawać, a tabliczkę Pitagorasa umiał na palcach. Oprócz tego, znał historię wszystkich dzieci pani Widalskiej tak ekspedite, że gdy o którym co zaczęła opowiadać, lub jemu, lub pani Owsikowskiej, lub jej mężowi, to mały figlarz, stojąc przyniej, kończył jej opowiadanie, lub czasem, gdy się rozswywoił, do początku historii Jacunia, lub Józia, podszeptował jej i dotaczał koniec z dziejów Franka lub Magdeczki. Widalsia rozgadawszy się, często nie zaraz to spostrzegła; ztąd powstawało *qui pro quo*, z którego się słuchacze uśmieli. A choć mały zdrajca od opiekunki swój nieraz za to oberwał po uchu, kończyło się zawsze na tém, że się i Widalska sama z siebie śmiała, gdy Tadeuszek zaczął się przymilać, i całował z serdeczną miłością tę dłoń, która go biła.



Oprócz tych wiadomości nasłuchał się jeszcze od pana Owsikowskiego o ostatnich wypadkach kraju i bitwach, w których on, jako oficer kawalerji, miał udział. Od tegoż pana Owsikowskiego dostał na imienniny, gdy rok dziesiąty zaczynał, dwa portreciki dwóch najznakomitszych w dziejach naszych Tadeuszów, które stary wiarus nad łóżeczkiem chłopca własną ręką przybił, aby kładąc się i wstając, zapatrywał się na wielkich imienników swoich, i starał się wyrównać jednemu mężstwem, drugiemu rozumem.

Z geografii niewiele wiedział; znał tylko niektóre nazwiska miejsc, które w ostatnich czasach pamiętnymi się stały, a które z opowiadań pana Owsikowskiego, jako oficera kawalerji, zapamiętał. Wiedział także, gdzie leży Berdyczów, Kulczyzny i Felsztyn, o których to miastach, sławnych jarmarkami na konie, pan Owsikowski znowu, jako koniuszy, częste robił wzmianki. Od niego także dowiedział się o Krzemieńcu, gdyż właśnie imiennik jego, Tadeusz Czacki, którego portret miał nad łóżkiem, miejsce to sławném i użyteczném zrobił. Od Widalskiej dowiedział się o Poczajowie, gdzie był obraz cudownej Matki Boskiej, i stopka jęj w kamieniu wydeptana, a zawsze pełna wody święconej, którą we flaszczyce nad jęj łóżkiem zawieszoną widział. Od nięj także nauczył się nazwisk kilku miejsc na Podolu, gdzie były wielkie odpusty, i tego miasteczka, gdzie był pamiętny dla nięj kościół, w którym ślub brała przed bocznym ołtarzem, gdzie był obraz S-go Józefa, do którego zawsze szczególne miała nabożeństwo.

Wiadomości jego z historyi naturalnej ograniczały się tylko znajomością domowych zwierząt, które lubił, i z którymi jak mógł pieścił się i brawał. Konie w stajni pana Klemensa znały głos jego; faworytalne krówki na folwarku biegły do jego ręki; ze wszystkiemi psami na dziedzińcu był w najlepszych stosunkach: przewracał się z nimi, burykał, siadał na nich i za uszy, jak za lejce, trzymał; a gdy czasem upadł na wznak i nieżywego udawał, poczciwe wyżły obstępowały go, trącały mordami, aby go ocucić, i śliczną jego twarzyczkę lizaly, aby oczy otworzył i do swywoli z nimi powstał. Nawet na wsi miał znajomych pomiędzy pieskami chłopskimi i wiedział, jak się który nazywa. To téż, skoro się pokazał, obskakiwały go kruczki i wilczki, i radowały się jego widokiem, jak widokiem przyjaciela; czuły bowiem instynktownie, że to dziecko dobre, co nie kopnie nogą, nie uderzy pięcikiem, kamieniem nie rzuci, ale owszem, pogłaszcze biednego stróża wiejskich chat i chlebem pańskim poczęstuje.

Tak więc bohater nasz, jak czytelnicy widzą, był moralnie daleko wyższym od syna pana Klemensa; a chociaż instrukcyę jego zaniedbano, rozwinęło się znacznie przez to życie swobodne, które sobie kosztem różeg i szturchańców zdobył; przez narażenia się na niebezpie-

czeństwa, których się nie bał; przez konieczność radzenia sobie w trudnych położeniach, w które się sam stawiał. Tym sposobem także rozwinęły się i jego siły fizyczne, ciało jego nabrało téj giętkości i mocy, które go uczyniły najzgrabniejszym i najładniejszym dzieckiem, jakie kiedy widziano. Dorodnym był nad wiek, zdrowym i rumianym; na ustach jego był zawsze uśmiech uprzejmości dla wszystkich, a w oczach błękitnych jaśniała śmiałość nieuleknionego i dobrego serca, gotowego upokorzyć się tym, których kochał, ale rzucającego się bez wyrachowania sił na tych, co się do niego niesprawiedliwie czepiali, lub słabszą jaką istotę, czy to człowieka, czy zwierzę, skrzywdzić chcieli.

Zastanowi to może niejednego z czytelników naszych, że ci państwo, którzy sierotę do domu swego przyjęli, i o wszystkich potrzebach jego z przykładną niemal starannością myśleli; którzy dali mu pomieszkanie, zapewnili opiekę dobrej i kochającej go kobiety, opatrywali go, gdy podrastał, w ładne i przystojne sukienki, w porządną bieliznę, a równie jemu, jak i pilnującej go Widalskiej, dawali stół dobry i obfity, zapomnieli niejako o tém, o co ich nieszczęśliwa matka w liście swym tak gorąco prosiła, to jest: o jego wychowaniu. Okoliczność ta wymaga objaśnienia. Pan Klemens, który polubił był ślicznego chłopczyka za to, że, nauczony widać przez Widalską, okazywał mu zawsze uszanowanie, zdawał się pojmować i czuć dobrodziejstwo, jakie odbiera, w rozmowie zaś z nim objawiał zawsze rezolucję, śmiałość i niepospolite zdolności, chciał, aby Tadeuszek był towarzyszem jego syna, a gdy przyjdzie pora, aby się z nim razem uczył. Kompania wesołego i zawsze śmiejącego się chłopczyzny miała służyć do rozerwania ponurego panicza, a widoczna jego zdolność i pojętność, jako bodziec do obudzenia w Hippolitu ochoty i chęci przodowania. Tę swoją myśl pan Klemens objawił żonie. Rozalia zawsze wydawała się dla małego podrzutka bardzo obojętną, chociaż pamiętała o jego potrzebach, a nawet okazywała mu czasem niejaką przychylność, zwłaszcza, gdy go spotkała samego w ogrodzie. Wtenczas zdarzało się, że obejrzawszy się w około, przywołała go do siebie, odgartywała włoski z jego czoła, przypatrywała mu się, i własną swą batystową chusteczką, obcierała pot i brud z jego twarzyczki. Mimo to, gdy jej mąż powyższą propozycję zrobił, skrzywiła się z początku, to i owo miała do zarzucenia, ale wreszcie, zgodziwszy się na zrobienie próby, zostawiła sobie prawo odmienienia téj decyzji, gdyby w niej jakąkolwiek upatrzyła nieprzyzwoitość. Na tém więc stanęło.

Tadeusz kończył wtedy rok ósmy, a Hippolitek siódmy. W skutek danego przez pana Klemensa rozkazu, codzień koło godziny dziesiątej z rana przychodził lokaj z pałacu, i wyczesał go ładnie, umyte-

go i wystrojonego sierotkę prowadził z sobą, aby bawił panicza. Tam zostawał on i na obiedzie, a wieczorem dopiero uwolniony i szczęśliwy, jak więzień, kiedy z niego zdejmą kajdany, leciał do oficy i rzucał się w objęcia stęsknionej za nim i często zapłakaniej Widalsi.

Wszakże ta niewola jego i zmartwienie kochającej go opiekunki niedługo trwały. Chłopcy w żaden sposób zgodzić się nie mogli. Hippolitek chciał bezwarunkowego posłuszeństwa od biednego sieroty. Nauczywszy się od Angielki, że dany mu towarzysz nie ma rodziców, że znaleziony był pod płotem i wychowuje się z łaski; że on nie powinien się z nim bardzo poufalić i jako z równym sobie obchodzić się, zaczął go traktować jako pieska, którego mu dano do zabawki. Męczył go więc, szczypał, ciągnął za uszy i kręcące się kudełki, czasem go dobrze ukłół, a najczęściej, kazawszy stać przed sobą, smagał go batożkiem po nogach. Tadeuszek, czując niejako swoje podrzędne położenie, z początku poddawał się złośliwym zachceniom pańskiego dziecka; ale wkrótce mu się to sprzykrzyło. Jednego razu wydarł mu batożek, i połamawszy w kawalki, wyrzucił za okno. Mrukliwy i zły malec przypadł wówczas do niego z pięściami, odgrążając się, że go każe wybić i wyrzucić za ten sam płot, gdzie go znaleziono. Krew zawrzała w żyłach Tadeuszka; odtrącił więc od siebie złego chłopca, ale tak, że ten upadł i głowę sobie rozbił.

Angielka, przy której się to wszystko działo, ogromnego narobiła krzyku, poleciała do pani, donosząc jej o zuchwalstwie podrzutka; a gdy Rozalia dość obojętnie doniesienie to przyjęła, dodała zapęrzona ochmistrzyni, że jeżeli taki swywolnik i zbójca będzie w kompanii jej wychowanka, to nawet jej metoda nie pomoże i ona za nic nie ręczy. Kazała więc Rozalia zawołać obu malców do siebie, aby wybadać, jak się rzecz miała, i wymierzyć winnemu karę. Gdy przyszli obydwoj, matka przekonawszy się najprzód, że uderzenie było nieszkodliwe, potem dowiedziawszy się dokładniej o co im poszło, chociaż mocno się zmartwiła i złém sercem swego syna, które się przed jej oczami coraz bardziej odkrywało, i prędkością Tadeuszka, na którego poważnie, ale bez gniewu poglądała, zagodziła tę sprawę pojąaniem obudwóch i upomnieniem bony, że na nich nie patrzy i zabawami ich nie kieruje. Gdy jednak sprawy podobne za często powtarzać się zaczęły, do czego posłużyły i poduszczania Angielki, która według metody swęj kierując Hippolitka na lorda, karmiła w nim pogardę i pomiatanie biednym sierotą, do którego jakąś powzięła niechęć, Rozalia, bojąc się widać, aby te dziecinne przekory, pokrzywdzenia z jednej strony, a odwety z drugiej, nie wyrodziły się w serdeczną nienawiść między chłopcami, którzy może nie powinni się byli nienawidzić, postanowiła ich rozdzielić i z mężem o tém pomówić chciała. Jedna drobna na pozór okoliczność, ale która stała się dla niej po-

wodem i głębokiego smutku i trwogi trudnej do wytłómaczenia, przyspieszyła wykonanie tego jej zamiaru. Po jednej z podobnych kłótni między chłopcami, i skardze zaniesionej przez Angielkę, Rozalia, zawoławszy Tadeuszka i wymówiwszy mu, że jej przykrość robi, napisała parę słów do Widalskiej, i kazała mu oddać jej karteczkę, w której była oznaczona kara. Chłopiec, wzięwszy z jej rąk fatalny wyrok z tém wejrzeniem niewinności i dobroci, którem rozbrajał zawsze Widalsię, i idąc poddać się karze, jaką mu pani naznaczyła i objawiła, upadł jej do nóg i całować je zaczął. Rozalia wzruszona podniosła go, spojrziała w te błękitne oczy, tak zawsze wymowne, a teraz jeszcze upięknione łzami, wyrwała z rąk jego karteczkę, a chłopca przyciągnawszy do siebie i ucałowawszy z jakimściś nadzwyczajnym uczuciem, zadziwionego i uszczęśliwionego takim jej obejściem się, odprawiła do domu.

Tę scenę wypatrzył Hippolitek, który właśnie w téj chwili nadszedł, gdy matka nieprzyjaciela jego trzymała w objęciu. Nic matce na to nie powiedział; ale w parę godzin potem, gdy szedł z Angielką przez ogród, a Rozalia przypadkiem znalazła się za niemi, tak, że jej nie widzieli, z głębokim zmartwieniem usłyszała te słowa, które synek jej mówił:—Widziałem ja dobrze, jak mama całowała tego włóczęgę, za to, że mnie uderzył. Papa kazałby go pewnie różgami wyćwiczyć. Jak mi jeszcze co zrobi, to ja już pójdę do papy, nie do mamy.

— Dobrze zrobisz, moje dziecko — odpowiedziała bona — bo tego już nadto; to niegodziwy chłopiec!

Rozalia udawszy, że téj rozmowy nie słyszy, cofnęła się, i gdy wróciła do swego pokoju, upadła prawie na krzesło, i załamawszy ręce, siedziała tak z godzinę w gorzkich pogrążona myślach. Potém zebrawszy siły, otarła łzę bolesną, która do ocz jej zabiegła, i chcąc zapewne uprzędzić złe, jakieby wynikło, gdyby syn jej rzeczywiście skarżył się ojcu, przybrała wyraz zimny i spokojny, i poszła do męża. Tam zacząwszy od tego, iż przewidziała, co się stanie, zaczęła mu przekładać, że niepodobna chłopców tych wychować razem; że Tadeuszek za swywolny, za żywy, zanadto źle wychowany; że obaj są różnego temperamentu, nie godzą się z sobą, a ztąd wynikają między niemi spory, które na charakter ich syna, który i tak już ją niepokoi i wymaga pilnego starania, mogą mieć wpływ szkodliwy; że wreszcie sierota ten zbyt poufali się z ich dzieckiem, czego ona sobie wcale nie życzy. Mąż, chociaż niechętnie, przystał na zadośćuczynienie woli żony; a zrobiwszy jej nawet wymówkę, że nie wiedzieć dla czego, jest tak obojętną dla biednego dziecka, które mu się zdawało i miłym i dobrém, wydał jednak rozkaz, aby Tadeuszek więcej w pałacu nie pokazywał się i z synem jego nie wdawał się wcale.

Odtąd więc bohater nasz używał zupełnej swobody, wrócił do

swojej kochanej Widalsi, zaprzyjaźnił się z panem Gracyanem Owsi-kowskim, i uczył się i bujał tak, jak to wyżej opisaliśmy. Rozalia rzadko go widywała, chyba gdzie swywolącego na dziedzińcu, lub przypadkiem w ogrodzie, gdzie niekiedy nawet zdawała się na niego umyślnie czatować, Pan Klemens także mniej na niego zważał, zająwszy się wyłącznie swoim jedynakiem; a oba chłopezyki, jeśli się gdzie spotkali, zawsze groźba i wzgarda była na bladej twarzyczce Hippolita, a uśmiech lekceważenia i jakiejś moralnej wyższości na rumianém licu Tadeuszka.

W takim stanie były rzeczy w domu pana Klemensa, gdy w połowie czerwca tego roku, od którego znowu opowiadanie nasze zaczynamy, przybył posłaniec pani Pokrzywickiej z listem od swęj pani, adresowanym do pana Klemensa, a na którego kopercie napisane było i dwa razy podkreślone: *confidentielle*. Lokaj przyniósł mu ten list do muzeum, gdzie wówczas pan Klemens znajdował się. Czy to owa Nemezys zrządziła, czy przypadek zdarzył, trudno zadecydować, ale to pewna, że stał właśnie w tém miejscu, gdzie był posąg Wulkana, kołyszącego z uprzejmością dziecko swęj żony. Poznał pan Klemens charakter i zastanowił się nad wyrazem francuzkim dwa razy podkreślonym; a gdy podniósł głowę, myśląc, co by to być mogło, wpadł mu w oczy pocziwy bożek ognia tak zręczny, tak biegły w sztuce, a dający się tak dobrodusznie oszukiwać. Zgrzytnął więc pan Klemens zębami, które miał jeszcze zdrowe, na samą myśl zbliżenia i podobieństwa, co mu się od pierwszego dnia znalezienia Tadeuszka zawsze nasuwało, ile razy na tę fatalną grupę spojrzął, i drżąc od trwogi i gniewu, list starej komerażnicy rozerwał. Były tam następujące słowa. „Cher „Cousin! zaczynam od tego, że cię bardzo proszę, abys list ten po „przeczytaniu spalił i nikomu go nie pokazywał. Gdyby cię przypad- „kiem zapytano, co mój posłaniec przywiózł, masz tu drugi bilecik, „który bądź łaskaw oddaj według adresu, jeżeli notabene znajdziesz „tego potrzebę. A teraz słuchaj, panie Klemensie, obiema uszami. Za- „powiedziałam ci, pamiętasz, że nie spocznię póty, póki nie dojdę, „z kąd się ten wasz podrzutek wziął. Otóż przypadek osobliwszy „usłużył moim chęciom. Jestem na drodze ważnych dla ciebie odkryć. „Nie wiem jeszcze wprawdzie wszystkiego, ale wiem wiele. Jeżeli „więc chcesz dowiedzieć się o tém, co mi wiadomo, przyjeżdżaj do „mnie, gdyż długo pisać nie mam czasu i ochoty. Czego do zupeł- „nego odkrycia prawdy nie dostaje, to znajdziemy, bądź pewny, gdyż „mam i na to wyborne skazówki. Posądzałam cię, żeś to ty sam figla „tego wyplatał żonie, której, bądź co bądź, nie wart jesteś i rzemyka „u trzewików rozwiązać. Śmieję się teraz sama z siebie. Gdzież ja „miałam głowę suponować, żebyś ty miał tak delikatny rozum, abys „rzecz tę tak dobrze ukartował. Żaden mężczyzna na nieby się po- „dobnego nie zdobył: wyście dopióro z pierwszój trzaski okrziesani.

„To jest sprawka kobiety, bądź pewny — ale jakiej, w tém sztuka. I to „się pokaże. — Do widzenia więc, cher Cousin. Widzisz z tego „wszystkiego, że się tobą zajmuję i myślę o tobie, tout monstre que „vous êtes. — Twoja przywiązana.“

Pan Klemens, przeczytawszy to, upadł na to samo krzesło, przy którym stał. W głowie jego powstał jakiś szum, jakaś wrzawa i stukanie, jak gdyby te wszystkie zmory i straszdyła, które go stopniami i po kolei dręczyły, zbiegły się razem i okropną tam wyprawiać zaczęły hecę. Po kwadransie, spostrzegłszy, że lokaj stoi i na rozkaz jego czeka, upamiętał się cokolwiek, przeszedł się parę razy po sali, i nakoniec kazał, aby posłaniec sobie jechał i oświadczył swojej pani, że przyjedzie. Wtedy, uwolniony od świadka swojego bólu, i zmącenia wszystkich wyobrażeń, jakie miał o uczciwości i cnotcie, wszystkich ucieszył spokoju i wiary, jakie w sobie wyrobił, i jakich dziś kosztował, usiadł znowu na tém samém miejscu, i tak z parę godzin siedział, przechodząc myślą wszystkie okoliczności, które mu dawniej by najłepsze podejrzenie nasuwały, przerzucając dzień za dniem, godziną za godziną, grzebiąc w tej przeszłości, i wyszukując powodów każdego słowa, każdego poruszenia, któreby go mogło naprowadzić na ślad i dać przekonanie, że to jest dziecko jego żony, a on przez lat dziesięć, jak dobroduszny Wulkan, kołysał je, karmił i odziewał. Wyroiwszy sobie tym sposobem, że to rzecz bardzo podobna do prawdy, porwał się z miejsca, jak lew skaleczony, chwycił się za głowę, jakby chciał z siwych włosów swych zedrzeć hańbę i pośmiewisko ludzkie, któremi zdawały mu się okryte, i puścił się ku apartamentom żony, aby z całą furją swą wybuchnąć, i znagliwszy ją swą wściekłością i strachem do wyznania prawdy, wychylić od razu tę czarę nieszczęścia i bólu, którą już przy ustach swych trzymał, i której gorycz czuł i smakował.

Ale człowiek, widzący nawet przed sobą oczywistą zgubę, dopóki tylko rozum jego czuwa i działa, perswaduje sobie, stara się przekonać siebie samego, że ten topór, który nad nim błyska, nie dla niego wyostrzony, że ta przepaść, która przed nim otwarta, zamknie się jeszcze, nim się do niej przybliży. Wstręt do śmierci, czy fizycznej, czy moralnej, tak dalece wrodzonym jest każdemu, że nawet we śnie dusza nie traci téj mocy perswazyi i téj niewiary w klęskę, która jój grozi. Komuż z nas nie zdarzyło się tego doświadczyć? Ile razy kogo ciężkie napadają marzenia, czyż nie perswaduje sobie zaraz, że to musi być sen, że to zmora? czy nie natęży w téjże samej chwili wszelkich sił duszy, i we śnie nawet czuwającój, i nie budzi się natychmiast? W takim położeniu znajdował się i pan Klemens, i podobnego środka ratowania się użył. Zatrzymawszy się w impecie swym przy drzwiach, usiadł znowu i wywołał wszystkie

władze swego rozumu, aby go przekonały, że to jest złudzenie, że to być nie może; aby, stając w obronie kobiety, którą kochał, stanęły razem w obronie jego własnego szczęścia i spokoju. Znowu więc, przechodząc myślą wszystko, coby mu mogło ten okropny medal z drugiej strony pokazać, przeczytał drugi list pani Pokrzywickiej, i wówczas postrzegł, że tam więcej chęci zmartwienia go, niż dania przychylniej przestrogi; że tam tylko złośliwe domysły, a żadnej pewności i prawdy. Przypomniawszy sobie dawniejszy plan i zamiary tej podejrzanej kobiety, które zniweczył, jęj niemoralne życie, jęj zagadkową karierę, przyszedł do tego przekonania, że mogła coś, ni to ni owo, złapać, a może wykomponowała jedynie w tym celu, aby go udręczyć za dawniejszą wzgardę, jaką jęj samęj i jęj córce okazał; aby się zemścić nad Rozalią, że postępowaniem swém nieskazoném i pełném godności nie dała dotąd pola jęj językowi, a zimném z nią obchodzeniem się, traktowaniem jęj tak, jak na to zasługiwała, i prawie zerwaniem wszelkich stosunków, obraziła jęj miłość własną i dumę. Dalej postępując na tej drodze, gdy rozważył całe postępowanie swęj żony, jęj reputacyą, do której nikt żadnej planki przyczepić nie śmiał; jęj każde pokazanie się na świecie, tak śmiałe, tak godne, tak pełne naturalności i powagi, tak jaśniejące spokojem duszy i wdziękiem czystego sumienia; nadewszystko, gdy zaczął zastanawiać się nad jęj obchodzeniem się z Tadeuszkiem, nad jęj obojętnością dla biednego sieroty, na którą nawet nie zasługiwał, nad niechęcią, aby z jęj synem wychowywał się, i nad usunięciem go zupełném, po krótkiej próbie, i z pod swego oka i od kompanii własnego dziecka, nie mógł nie przyjść do tego rezultatu, że podejrzania jego są widziadłem, które odpędzić od siebie, i z tego snu okropnego rozbudzić się powinien.

Po całej godzinie tej zbawiennej medytacyi, uspokoiwszy się znacznie, i pozwoliwszy rozumowi swemu położyć ten gojący plaster na ranę serca, przez poselstwo złośliwej baby zadaną, powstał pan Klemens jak z odurzenia, i poszedł do żony, niepewny jeszcze, jak postąpi i czy jęj list jeden i drugi pokaże. Rozalia, pełniąca gorliwie obowiązki matki, zwłaszcza, gdy z coraz większą boleścią przekonywała się, że niedobry charakter jęj dziecka potrzebuje troskliwego kierunku i głosu, umiejącego przemówić do śpiącego jeszcze, czy może zupełnie stwardniałego serca, była właśnie w salonie ze swym synem. Nauczała ona nasępionego i z unudzeniem słuchającego jęj morałów Hippolita: że wszystkich ludzi kochać należy, nikim nie pogardzać, i tém więcej miłości braterskiej okazywać temu, kogo los zrobił sierotą, komu nie dał rodziców i tylko miłosierdziu ludzkiemu zostawił. Pan Klemens wszedł właśnie wtedy, gdy te słowa z uczuciem i jakby z boleścią wymawiała. Chociaż to była

nauka w rzeczy samej święta i ewangeliczna, zadrżał jednak, słysząc, ją, gdyż mu się zdało, że się wyraźnie stosuje do tego sieroty, którego miał w domu; że matka uczy syna, aby tamtego kochał jak brata, nie przez obowiązek chrześcijański, ale jedynie z tego powodu, że tamten rzeczywiście musi być jego bratem rodzonym. Tak wykrętną, tak niesprawiedliwą, tak niegodziwie rozumiejącą jest namiętność! Doszła ona w tej chwili do takiej potęgi, że pan Klemens musiał użyć całej nad sobą mocy, przypomnieć sobie całą poprzednią walkę i wszystkie usprawiedliwienia, jakimi się uspokajał, aby przy dziecku nie skrzywdzić matki, lub rzuceniem plamy pochodzenia i na to dziecko, które tak kochał, nie zranić śmiertelnie kobiety, której ani on, ani nikt nie zarzucić nie mógł. Pokonał się więc, usiadł, i słuchał nauk, które Rozalia synowi dawała. Twarz jej piękna i wzruszona tém co mówiła, głos poważny i przenikniony, bo w nim było serce matki, strwożone o kierunek jaki uczucia dziecka jej wezmą, tak dalece przejęły i zawstydziły znużonego starca, że bojąc się wydać, ze łzami wstydu i bólu, które się do jego oczu cisnęły, powstał cicho i wyszedł do swego pokoju, gdzie się na klucz zamknął.

Po znacznej dopiero, może dwugodzinnej przerwie, opanowawszy pierwsze wzruszenia i namysliwszy się dobrze, jak postąpić, wrócił do salonu. Zastał Rozalię samą, zajętą robotą. Przystąpił do niej dość spokojnie, i rzekł:

— Nie chciałem ci przerywać lekcji, boś była w dobrém usposobieniu i mówiłaś ze szczególném przeniknieniem. A mam wiadomość, w której pragnę zasięgnąć twojej rady.

— Musi być zła — odpowiedziała Rozalia, kładąc na kolanach robotę i patrząc w oczy mężowi — bo uważałam, żeś był bledszy, niż zwykle, i mocno zmieniony.

— Musiało ci się tak wydać — rzekł pan Klemens, spuszczać oczy — nie to tak szczególnego. Ale nim ci powiem, przeczytaj pierwój ten bilecik, który także odebrałem.

Rozalia wzięła list, rozpieczętowała, i rzuciwszy okiem na podpis i na początek, gdzie było: — *Excellente amie!* — uśmiechnęła się ironicznie i ruszyła ramionami.

— Zapewne coś zabawnego — rzekł pan Klemens, nie spuszczać oka z jej twarzy.

— Coś bardzo głupiego, — odpowiedziała Rozalia ze wzgardą — nazywa mnie: *son excellente amie*, do czego ja się wcale nie poczuwam i czém bynajmniej nie jestem.

Dalój bilecik zamykał następujące słowa: „Dowiedziałam się, że „jedynak twój był chory i dzięki Bogu wyzdrowiał. Chwila to dla „serca twego droga. Nie będę mogła przybyć sama, aby ci złożyć „serdeczne moje życzenia, żeby się taki smutek, jakiegoś doznała,



„więcej nie powtarzał, i powinszować tylu darów, które się stały „twoim udziałem. Czekam mnie podróż dosyć daleka, do której mnie „zmuszają przykre moje okoliczności. Dla tego pośpieszam temi „kilkoma słowami wynurzyć ci wszystko, co dla ciebie czuję, a wierzysz, „że czuję szczerze, bo czyż można być inaczej dla takiej jak ty istoty, „którą wszyscy szanują i wielbią. Możeby to, co tu piszę, powie- „działa lepiej ustnie, bo mi łatwiej wygadać się, jak wypisać; a po- „tém, patrząc na twoje piękne oczy i na pogodne i jasne czoło, czu- „łabym się inspirowaną. Ale cóż! kiedy nie mogę. Przebacz więc „niezgrabności wyrażenia, a przyjm intencją. Au revoir, chère! jak „tylko wrócę z podróży, zaraz do ciebie przybiegnę i powiem ci, ile „cię kocham, i jak podziwiam odgłos powszechny, który cię stawia za „wzór wszystkim młodym mężatkóm, który cię nazywa najszczęśliwszą, „a co ważniejsza, najgodniejszą szczęścia kobietą. Ja do tego głosu „publicznego dodaję jeszcze to, żeś godna nie tylko zupełnego szczęs- „cia, ale i największego podziwiania, że możesz tak kochać votre „monstre de mari, który z całą kolekcją swoich rzadkości nie wart „i jednego włoska z twojej pięknej i rozumnej główki — Votre „affectionnée.“

— Reszta warta początku — rzekła Rozalia skończywszy; potem, podając list mężowi, dodała: — czy chcesz przeczytać te bezczelne kłamstwa, których celu domyslić się nie mogę?

— Jeżeli pozwolisz — rzekł pan Klemens, i wzięwszy bilet z rąk żony, zaczął go czytać, a Rozalia wróciła spokojnie do zostawionej na chwilę roboty. Pan Klemens przeczytawszy, zmiął list z oburzenia na taką chytrą, i patrzył na żonę z dziwnym pomieszaniem podejrzliwości, czi i przywiązania.

— Dla czegoż cię tak gniewają — rzekła wówczas Rozalia — wynurzenia de cette excellente amie? Możnaż od takiej kobiety spodziewać się czego innego, jak fałszu i chytrą? Jeżeli i ta wiadomość, o której wspomniałeś, z tego samego źródła, to nie wiem do prawdy, dla czego cię tak dotknęła, bo wierz mi, byłeś nadzwyczaj błady i zmieniony.

— Mówię ci, że ci się musiało wydać — odpowiedział pan Klemens, mocując się z sobą. — I żebyś osądziła, czy miałem powód tak bardzo się mienić i blednąć, to ci powiem, ó co idzie.

— Słucham — rzekła Rozalia, opierając łokieć na poręczu fotelu, a piękną i spokojną twarz swą na dłoń.

Pan Klemens miał zrazu myśl pokazać żonie list pani Pokrzywickiej, i w czasie jego czytania śledzić każde poruszenie jęj twarzy, i komentować czy bladeść jęj, czy rumieniec, którymby się okryła. Ale się zmiarkował. Wzmianka w tym liście o owym bileciku, tak pełnym komplementów, wyrażająca chytrą zbytnie widoczną i posądzenie

Rozalii zbyt jawne, wstrzymała go. Wolał więc powoli rzeczy dochodzić, niż przystąpić od razu do stanowczej explikacyi, z której mogłoby wyniknąć albo zupełne zaparcie się, którego nie miałby czém zbić, albo przyznanie się do winy, jeśli jest, a ztąd rozpacz i całkowita ruina szczęścia i spokoju na resztę życia. Przybrawszy więc minę, ile mógł spokojną, i traktując rzecz lekko i z niedowierzaniem w prawdziwość doniesienia, rzekł:

— Czy wiesz, moja Róziu, że ta baba pisze mi, że wynalazła jakiś ślad o pochodzeniu Tadeuszka?

— Jakież to — odpowiedziała Rozalia ciszej, zwolna i nieznaśnie opuszczając głowę i rękę, na której twarz jęj była wsparta, i podnosząc robotę, by igielką liczyć oczka na kanwie, na której wyszywała. Panu Klemensowi wydało, się że zbladła i że głos jęj zadrdzał. Nie derutując się więc tém jęj niby obojętném przyjęciem tak ważnej wiadomości, i zajęcie się robotą uważając za wybieg, dla ukrycia wrażenia, jakiego doznała, mówił dalej:

— Pisze, że wie wiele, i że ma mieć jakieś skazówki do odkrycia zupełnej prawdy.

— Być może — odpowiedziała Rozalia, licząc oczka i szyjąc. — Ta kobieta wie zawsze za wiele o innych, a zbyt mało o sobie.

Panu Klemensowi jednak wydało się, że mimo tęg pozornej obojętności, jakby odetchnęła, gdy dodał, że nie ma jeszcze zupełnej prawdy. To go cokolwiek wzburzyło, i rzekł żywiej:

— Dziwna rzecz, jak mało ciebie to dziecko obchodzi.

— Owszem — odpowiedziała Rozalia — obchodzi mnie tyle, ile podrzutek obchodzić mnie może. Ma wszystko, czego takie dziecko potrzebuje, jest odziany, nakarmiony, dopilnowany. Czegóż chcesz więcej? Jak przyjdzie czas wyprawić go do szkół, a zechcesz na tołożyć, to się temu nie sprzeciwię wcale.

— Ale ta wiadomość o jego pochodzeniu — mówił pan Klemens, cokolwiek zadziwiony tak prostą i naturalną odpowiedzią — zdaje się nie interesować cię bynajmniej.

— Dla czegoż ma mnie tak bardzo interesować? — odpowiedziała — czy sądzisz, że biednemu dziecku temu będzie lepiej, jak się dowiemy, z kąd się wzięło? Miałżebyś zamiar, dowiedziawszy się o jego ojcu, czy nieszczęśliwej matce, oddać go im, i pożalować mu tego kawałka chleba, który mu dajesz?

— Tęgo zamiaru nie mam — rzekł pan Klemens, któremu się zdało, że gdy wspomniała o matce, nachyliła się mocniej nad swoją robotą, aby twarzy jęj nie widział. Zatrzymał się więc chwilę, zmiął mocniej list, który w rękę trzymał, a potem dodał:

— Ekspensy na tęgo biedaka nie żałuję wcale; wszakże chciał-

bym się przekonać, czy wiadomość ta nie doprowadzi do jakiego ważnego odkrycia. Możeby się los jego poprawił, może by go ojciec przyznał, dał imię, lub co podobnego. Pani Pokrzywicka prosi mnie, abym do niej przyjechał. Chociaż to jest kobieta, zła, plotkarka i najczęściej łze, ale któż wie, może wpadła na jaki ślad rzeczywisty, po którym będziemy mogli dojść do prawdy. Bo prawda — dodał mocniej i z przyciskiem — czy prędkiej, czy później musi wyjść na wierzch.

— To jedź — odpowiedziała Rozalia, przypatrując się swojej robocie i odchylając się, dla lepszego widzenia, tak, że twarzy jej widzieć nie mógł.

— Nie pojedziesz ze mną? — zapytał pan Klemens.

— Ja? — odpowiedziała, podnosząc się z godnością i dumą. — Doprawdy, Klemensie, że nie masz dla mnie żadnego względu. Nie pojmuję, jak może mąż, szanujący choć cokolwiek swą żonę, żądać od niej, aby się wdawała z taką kobietą, i robiła jój jakieś awanse. Nie byłam u niej lat kilka i nie będę nigdy.

To powiedziawszy, jakby z obrazą, i ruszywszy wzgardliwie ramię, wyszła z pokoju.

Pan Klemens sam nie wiedział, co o tém myśleć. Zostawszy sam jeden, chodził długo po pustej sali i wazył wszystko *pro i contra*. Widać jednak, że *contra* przemogło, bo tego dnia już się z żoną nie widział, a raniutko nazajutrz, wybrawszy się jakby na dalszą podróż, wyjechał.

Rozalia, dowiedziawszy się, o wyjeździe męża, długo leżała w łóżku, jakby noc bezsenną przepędziła. Gdy wstała, i spojrzała w zwierciadło, przelęknęła się sama siebie, tak była blada i zmieniona. Nie wychodząc więc z pokoju, i nie wołając do siebie nikogo, przepędziła kilka godzin, to siedząc w zamysleniu, to przechadzając się szybkimi krokami, zdradzającemi jój niepokój. Wreszcie, zmęczona tym stanem, wzięła kapelusz, zasłoniła twarz woalem, i poszła do ogrodu. Tu chodziła długo po głównej alei, wreszcie udała się w boczną i cieniastą ulicę, prowadzącą do najodleglejszego gaiku, gdzie był mały kiosk, a z niego piękny i otwarty widok na pola, gaje i okoliczne wioski. Tam usiadła odpocząć. Po chwili zdawało się jój, że na przyległym, wielkim drzewie coś szeleści. Podniosła więc głowę, i jakież było jój zadziwienie, gdy wysoko między liśćmi spostrzegła Tadeuszka, który tulił się do gałęzi i widać chował się, żeby go nie obaczyła. Załamała ręce na ten widok, jakby sobie wyrzucała, że to dziecko tak bez dozoru puszczone, tak niedbale chowane. Z początku chciała udać, że go nie widzi i odejść, bojąc się, aby chłopczyk, złącząc przy niej, gdyby mu to kazała, ze strachu nie potknął się i nie

zleciał. Ale widać, że inne jakieś przeczucie przemogło. Zbliżywszy się więc do drzewa, rzekła łagodnie:

— Tadeuszkule! zleż, moje dziecko, tylko ostrożnie, żebyś nie upadł.

— O! niech się pani nie boi — zawołał chłopiec, osmielony widać jej łagodnym głosem i jej niezagniewaną twarzą; a puściwszy się na dół, jak wiewiórka, i czepiając się zręcznie to pnia, to gałęzi, w mgnieniu oka spuścił się, i na ziemi stanął. Nie śmiejąc zaś do niej przystąpić i czekając z pokorą, co każe, podnosił tylko kudłatą swą główkę, i spoglądał na nią, jakby proszącym o przebaczenie wzrokiem. Rozalia przywołała go do siebie, i usiadłszy na dawnym miejscu, obtarła jego twarzyczkę, i ręce jego wzięwszy w swoje dłonie, zaczęła mu mówić, że niedobrze robi, iż tak swywoli, tak lata i łązi po drzewach, z kąd można upaść, złamać sobie rękę lub nogę, a może nawet i zabić się. Te ostatnie słowa wymówiła tak przenikliwie i takim głosem, że łązy w oczach chłopca stanęły.

— Jeżeli mnie kochasz, Tadeuszkule, to tego nigdy nie zrobisz, nieprawdaż?

— O nigdy, przenigdy nie zrobię, jeżeli pani tak mówi! — odpowiedział chłopczyzna, i zaczął płakać i ręce jej całować.

Wtedy Rozalia przyciągnęła go do siebie, utuliła w swoim objęciu, i rzewnie płacząc ścisnęła go i całowała. Tadeuszek, porwany jej uczuciem, sam nie wiedząc co się z nim dzieje, objął także jej szyję i u jej ust zawisł. Była to chwila dla obojga rozkoszna, i trwała długo, jak gdyby miała być ostatniem ich pożegnaniem.

## VI.

Dom w Krzaczyńcach, w którym pani Pokrzywicka mieszkała, główna kwatery tej znakomitej w swoim rodzaju intrygantki, i punkt zborny wszystkich, którym smakowały łatwe zyski i wszelkie kontrabandy moralne, obyczajowe i rzeczywiste materyalne, które z zagranicy zwoziła, nie miał w sobie nic takiego, coby szczególną uwagę zwrócić mogło i na opisanie zasługiwało. Nie był on ani zbyt wielki, ani zbyt mały, ani zbyt czysty, ani zbyt brudny, słowem, nie okazywał wcale, aby gospodyni miała czas i wolę zajmować się szczególnie swoim pomieszkaniem, aby lubiła zdobić i porządkować swe siedlisko, dla zrobienia go tém miłszem, i dla przywiązania się do miejsca, w którym dni jej upływały.

Wszakże nie zbywało tam na wygodzie, a umeblowanie, jeżeli nie jaśniało gustem i elegancją, nie raziło zupełnym opuszczeniem i niestosownością. Sama gospodyni miała przedpokój i z niego na prawo duży pokój jadalny; dalej wielkie dwa salony, z których jeden prze-

znaczony był na grę, a drugi na rozmowy głośne i ciche; potem gabinet, a z niego wielki pokój, w którym złożone były rozmaite rzeczy na sprzedaż; za gabinetem pokój sypialny, a dalej garderobę i mieszkanie dla służących płci żeńskiej. Z przeciwnej strony był korytarz, i tam, jak numera w oberżach, znajdowały się pokoje gościnne, dość przyzwoicie opatrzone w najpotrzebniejsze meble. Wszakże goście odwiedzający ją, a mianowicie tacy, którzy przybywali do niej na dni kilka, nie dla tego, aby ją odwiedzać, ale żeby się z sobą z wszelką swobodą widzieć, najchętniej przyjeżdżali do niej w lecie. Miała bowiem ogród obszerny, zagęszczony kłębami, pełen krętych i cienistych uliczek, a do tego mający kilka domków gościnnych w różnych punktach, tak ulokowanych, że jeden drugiego nie widział i jeden drugiemu bynajmniej nie zawadzał. Były to małe altanki z oknami, z drzwiami, a nawet z kominkiem, złożone z jednego, dwóch, a najwięcej trzech pokoików, opatrzonych w skromne, ale dostateczne do wygody meble. Przebiegła gospodyni, która zmiarkowała zaraz cel wizyty, lokowała gości swoich tak, aby im było najdogodniej, aby tylko słowiki widziały, co się dzieje, i nikomu tego wyśpiewać nie mogły. Przy wyjeździe takich gości, którzy nie mogli się odchwalić, jak jej dom dobrze urządzony, pokazywała im zwykle różne kosztowne rzeczy, które miała do zbycia, a oni znajdując, że rzeczy te są i bardzo piękne, i nadzwyczaj im potrzebne, kupowali zamrużwszy oczy, i nie zrażając się bynajmniej potrojonemi cenami. Oprócz głównego pomieszkania i tych ustronnych świątyniek Cytery, jak je sama śmiejąc się, i w poufalszém gronie starych rozpustników i bezzębnych zalotnic, które do zbierającej się u niej junty należały, nazywała, były przed domem oficyny kuchenne i z drugiej strony wielkiego i zapuszczonego dziedzińca wozownie i stajnie, ale tylko dla niej samej. Pani Pokrzywicka, która wszelkiemi sposobami gości swych exploatowała, miała naprzeciwno bramy swego dziedzińca ogromną karczmę, gdzie przejeżdżający odsyłać musieli swoje ekwipaże z końmi i ludźmi. Tam siedział żyd, któremu wszystko ze dworu się dostarczało; wódka, owies, słoma i różne wiktuały; na wszystko były oznaczone ogromne ceny, a żyd za swój trud miał tylko pewny procent i wolność szachrowania różnemi przydatkowemi rzeczami, których wymagali przyjezdni, a które do powyżej wyliczonych nie należały. Tak więc wprzód jeszcze, nim wielcy panowie nasi zaprowadzili u siebie tę amelioracyą w starożytnęj gościnności przodków naszych, już pani Pokrzywicka w domu swoim ją miała.

Pan Klemens przyjechał do Krzaczyńiec o godzinie jedenastej rano. Gdy wszedł do salonu, zastał tam gospodynię w ranném ubraniu, ale już trochę podróżowaną. Siedziała już przy kartach z trzema osobami, a dwie przechadzały się w przyległym pokoju,

w interesującej widać rozmowie, gdyż nie zważały nawet, że ktoś jeszcze przybył. Przy stole, oprócz gospodyni domu, było dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Pani ta, niegdyś żona prezesa, już niemłoda, wysoka, chuda, z niewielkim zadartym noskiem, z zapadłymi oczami, miała na twarzy wszystkie ślady złe przepędzonego życia i resztki piękności, której wcale przed okiem ludzkim nie ukrywała. Jeden z mężczyzn, hrabia Kalasanty, był to starzec przygarbiony, mały, z siwymi włosami, z kościstą i chudą twarzą, bez zębów, i któremu z dawnych sił i dawniejszej do szafowania życiem energii, pozostały tylko bystre siwe oczki, którymi obecnie rzucał tylko w karty i na przeciwników, jakby z ich fizyognomii pragnął wyczytać, jaką który szansę miał za sobą. Drugi mężczyzna, był to sławny na całym Podolu próżniak, pasibrzuch, niedawno deputat sądu głównego. Niewielkiego był wzrostu, nadzwyczaj otyły, z głową jak kocioł, i z czołem takim, jak materyał, z którego się kotły robią; w średnim był wieku, twarz miał pyzată, czerwoną, nosek mały i okrągły, ale za to gębę wielką i uzbrojoną w białe i zdrowe zęby; śmiech głośny i bezwstydnny, głos potężny i przenikający.

Całą tę kompanią znał dobrze pan Klemens, i gdy wszedł, wszyscy ruszyli się dla powitania tak zacnego gościa, kłaniali mu się i wyciągali ręce. Mąż Rozalii, na widok osób, z którymi się witał, przypomniał sobie i usprawiedliwił ten wstręt, jaki do tego domu i znajdującej się tam zwykle kompanii miała. Ledwie że nie załował, że się dał uwieść zgubnej namiętności, co go tu przypędziła. To uczucie gniewu na samego siebie i pogardy dla tych, co go otaczali, wybiło się na jego twarzy, już i tak złą troską zmienionej, i spędziło z ust jego wszelki uśmiech, jakim się zwykle wita tych, do których się przybywa. Postrzegła to natychmiast pani Pokrzywicka, i rada z efektu, jaki poselstwo jej sprawiło, zawołała śmiejąc się:

— Ah! vous voilà, méchant Cousin! Patrzcie państwo, potrzeba było aż zazdrość jego obudzić, żeby go tu ściągnąć, żeby przyjechał dowiedzieć się, czy też krewna, co go tak czule kocha, żyje jeszcze i....

— I czy od rana gra i ogrywa — przerwał pan Klemens, który postanowił jej nie oszczędzać za tak bezczelne zaafiszowanie jego wstydu i tego uczucia, któreby chciał był przed wszystkimi i przed sobą samym utaić.

Tłusty deputat zaczął się głośno śmiać, usłyszawszy takie odcięcie się pana Klemensa; chuda prezesowa uśmiechnęła się tak, jakby wiedziała o co idzie, a stary hrabia, siadając najpierwej i biorąc karty, rzekł:

— Czy doprawdy, panie Klemensie, jesteś zazdrośny? Fi donc! czy to warto?

— Podobało się pani Pokrzywickiej znaleźć we mnie tę plamę — odpowiedział pan Klemens, biorąc krzesło. — Państwo znacie jej biegłość w tej mierze.

— A tak, tak — zawołał deputat, kładąc na stole ogromne swe łapy. — Nasza gosposia to znakomita astronomka. Do dojrzenia w nas skaz i cętek nie potrzebuje teleskopu.

— Proszę! — odpowiedziała pani Pokrzywicka, śmiejąc się — mają się za słońca, na które trzeba aż przez szkło okopcone patrzeć, żeby na nich co dojrzyć! Wasze plamiska są tak wielkie, jak kopeć na kotle osmolonym i widać je dobrze gołym okiem.

— A na garnku? — rzekł hrabia, zérkając złośliwie.

— Ale, a garnek ten, czy nie zasmolony, żeby kotłom przyganił — rzekł deputat, śmiejąc się znowu głośno, że aż mu się brzuch zatrząś, i dziękując wzrokiem hrabiemu, że go wsparł przypomnieniem przysłowia.

— Pobielesz mnie, deputaczku — odpowiedziała gospodyni, robiąc wstydliwą minkę — je ne suis pas prude, i przyznaję się do niektórych plamek.

— Technienie szczeroci rozwiewa drobne grzeszki, jeżeli jakie były, jak ziarnka piasku — rzekła chuda prezesowa, rozdając karty, bo lubiła cokolwiek poetycznie się tłómaczyć.

— Ale czasem tych ziarenek tyle, że się z nich robią góry, pani dobrodziejko! które trudno zdmuchnąć — odpowiedział hrabia, poglądając na nią ze znaczeniem.

— Ingrat! czy masz prawo do mnie robić takie zastosowanie? — rzekła prezesowa, spojrzawszy na starca takiem okiem, jak gdyby się z nim chciała o dwadzieścia lat cofnąć.

— Nie grzebiecie państwo w zimnych już popiołach — rzekła gospodyni domu — kiedy mamy świeże, żarzące się węgle, przy których możemy się ogrzać. Bo powiadani wam, żeśmy dawno już nie mieli un scandal si intéressant, coś tak dobrze osnutego i coby warte było zastanowić naszą uwagę. N'est-ce pas? — dodała, obracając się do prezesowej.

— C'est charmant! N'est-ce pas, comte? — rzekła stara uśmiechając się.

— Zadawaj pani, zadawaj! — odpowiedział hrabia, stukając o stół zsunionemi kartami i poglądając na pana Klemensa.

— Cóż to jest? ja o niczem nie wiem — zawołał deputat, chrząknawszy mocno, a echo tego chrząknięcia rozeszło się po rozległych przepaściach jego wnętrzości.

— Któż ci winien — zawołała pani Pokrzywicka — żeś jeszcze nie zasłużył, abyśmy cię na członka naszego koncyliabulu passowali? Od kiedy u mnie bywasz, nie przywozłeś jeszcze żadnej dobrej nowi-

ny, żadnej nawet ploteczki, którąby warto było do rejestrów naszych zaciągnąć.

— Ale wiele ich ztąd wywiózł? — rzekł pan Klemens, w którym wszystka krew się wzburzyła, i który chciałby być daleko od tej jamy bezwstydu i efronterji.

— I teraz wywiezie doskonałą i bardzo pocieszną, bądź pewny, panie Klemensie! — rzekła na to pani Pokrzywicka, uśmiechając się z radości, że na takich szpilkach krewnego swego posadziła. — Słuchaj tedy, deputaczkę!

— Protestuję się przeciwko temu — zawołał hrabia, który widać nie chciał jednej rzeczy dwa razy słyszeć, i spostrzegł, że pan Klemens wziął za kapelusze i do opuszczenia kompanii, i może i domu gotował się.

— Dla czego? dla czego? — krzyknęła pani Pokrzywicka.

— Dla tego — odpowiedział stary, przesuując kościstymi palcami lewą jeszcze nic zebraną — żeś pani swoją damę zabiła, patrz pani! ja nie mam ochoty i przegrać robra i jednej rzeczy dwa razy słyszeć. Jak skończymy partyę i pójdziemy na śniadanie, opowiesz pani rzecz tę panu Klemensowi, jeżeli będzie miał cierpliwość słuchać.

— A, będzie miał, będzie miał, obaczycie — zawołała, uśmiechając się złośliwie. — Bo choć wypiera się, że zazdrosny, ale ja wiem dobrze, że go i ciekawość pali i nieufność dręczy; inaczejby tu do mnie nie przyjechał.

— Nie wiedziałem, że pani, co tak surowo sądzisz drugich, z równą surowością oceniasz i siebie — rzekł pan Klemens, który chciał jej równą miarką odmierzyć.

— Tenez! — zawołała wówczas śmiejąc się bezczelna kobieta — zamiast mi być wdzięcznym, że rzucę światło na ciemną historję, co go tajemnie dręczy, il me dit des impertinences! Nie mam-że racji utrzymywać, że to zazdrośnik, który się zdradza, i tém samém krzywdzi tę anielską kobietę, którą wszyscy szanują i wielbią? que c'est un monstre de cousin, który niewart i mojego przywiązania i takiej żony, qui a la simplicité de l'aimer et de lui donner de enfans légitimes!

— Ależ na miłość boską! pani wpadasz w zapał i znowu zabiłaś moją najstarszą! — krzyknął hrabia, i rzucając karty na stół dodał: — straciliśmy trzy lewy.

Wszyscy zaśniali się głośno, oprócz hrabiego i pana Klemensa, a gospodyni domu, zwracając się do tego ostatniego, rzekła tonem żartobliwie przychylnym:

— Ne vous fâchez pas, cher Cousin! i nie miej takiej zachmurzonej miny, qui me desolera, bo wiiesz, że cię kocham. Po śniadaniu powiem ci wszystko, czegom się dowiedziała, a obaczysz, że to nie



jest rzecz tak bardzo straszna, jak może sobie wyobrażasz. Trzeba być wyrozumiałym na słabości biednych kobiet, zwłaszcza, kiedy je nagradzają szanowaniem swęj reputacyi i oszczędzaniem męzowskiego honoru. Cela coüte immensément. — Tym sposobem wbiwszy jeszcze ostrzejszy sztylet w piersi pana Klemensa, obróciła się do hrabiego i dodała: — *Maintenant je suis à vous, cher comte, i już będę grać uważnie.*

— W porę! — odpowiedział tenże krzywiąc się — kiedyśmy trzy lewy stracili.

Tak przerwała się ta rozmowa, którąśmy niechętnie przytoczyli, ale która nam potrzebna była, jako malująca charakter i sposób myślenia osób, które do niej należały. Mamy nadzieję, że teraz, jeżeli gdzie czytelnikom naszym w ciągu tej powieści spotkać się z niemi zdarzy, poznają pewnie każdą z nich, i wiedzieć już będą, czego się od którego spodziewać można.

Po śniadaniu, do którego się wszyscy goście i parę jeszcze osób domowych zeszło, a przy którym pan Klemens nic w usta nie wziął, pani Pokrzywicka, zabrawszy go do swego gabinetu, posadziła przed sobą, i wykalając piórkciem kilka zębów, co jęj pozostały, z miną, w której malowała się tajemna radość, że do serca jego wrzuci podejrzenia, jakich mu już nikt nie wyjmie, rzekła:

— Wyobraź sobie, *cher cousin*, że miesiąc temu, przejeżdżając przez powiat Rowieński, popasałam w miasteczku S\* u żyda, nazwiskiem Szloma Szumski. *Notez bien ce nom-là.* Ponieważ w karcie mojęj coś się zepsuło i popas trwał dłużej, jak zwykle, wdałam się w rozmowę z żydówką, lubiącą gadać i pamiętającą dobrze wszystkich, którzy się u nięj cokolwiek dłużej zatrzymywali. Zmierzkowałam zaraz z różnych opisów, które mi robiła, że tam w jęj domu działo się kiedyś coś daleko ważniejszego; po każdym bowiem zdarzeniu, które mi opisała, dodawała: — Ale co to o tém gadać! to wszystko funta kłaków nie warte w porównaniu z tém, co u mnie stało się dawno już, zaraz po wojnie z Francuzami. — Widziałam dobrze, że żydówka ma wielką ochotę to ważne zdarzenie opowiedzieć, że ciągle do niego wraca i rozmowę tak naciąga, aby o nięm wzmiankę uczynić. *Je suis curieuse, vous le savez,* osobliwie gdy idzie o takie wypadki, w których serce ma udział. Jakimściś instynktem tknięta, że zdarzenie to będzie mogło komu być użyteczném, jeżeli się dostanie do mojęj wiadomości, gdy tymczasem teraz przepadało bezplodnie na ustach i w głowie głupięj żydowicy, która z niego profitować nie mogła... Ale to cię nudzi, *cher cousin.*

Rzeczywiście pan Klemens kręcił się, jak na szpilkach, tak go ten wstęp niecierpliwił, takby chciał był dojść już do rzeczy, z któ-

rójby może nabył uspokojenia i przekonał się, że się napróżno tak okropnie strwożył. Odpowiedział więc:

— Nie będzie mnie to nudzić, jeżeli pani nie będziesz mówić o sobie i o swoich instynktach, które ja bardzo dobrze znam, ale o rzeczy.

— Oh! que tu es impatient de savoir, n'est-ce pas? — mówiła zaśmiaawszy się. — To bardzo naturalnie; idzie o twój spokój. Ale poczekaj, zaraz się dowiesz.

— Tylko bez żadnych dodatków, bardzo panią proszę.

— Non, non, ce sera de l'histoire tout pure, bądź spokojny — rzekła, i tak mówiła dalej:

— Otóż wyobraź sobie, skorom dała poznać, że chciałabym się dowiedzieć o tém ważnym zdarzeniu, co to się stało zaraz po wojnie z Francuzami, żydówka nie dała się długo prosić, i uczyniła zadość mojemużądaniu. C'est fort intéressant, obaczysz!

Tu pani Pokrzywicka opowiedziała panu Klemensowi wszystko to, co już wiemy: o przybyciu wojskowego doktora z orderami, o wynajęciu całego domu, o przyjeździe dwóch pań z kozakiem i z mamką już gotową, o pokazaniu horodniczemu jakiegoś papieru, który on czytał z takim uszanowaniem, o lekarstwach branych z apteki, o takim sekrecie, że nikt o niczym nie mógł się dowiedzieć, o nadskakiwaniu tam horodniczego, o bytności księdza, i nareszcie o nagłym i tajemnym wyjeździe.

— Wszystko to jasne, jak dzień — dodała, skończywszy opowiadanie i patrząc bystro w oczy panu Klemensowi, który zmarszczył się i zamyslił.

— N'est-ce pas, cher cousin? tajemnica oczywista i przyjście na świat przyszłego podrzutka jawne.

— Że wszystkie te przybo ry i ta tajemnica, mogły służyć do pokrycia błędu jakiej nieszczęśliwej kobiety, to rzecz zdaje się prosta — odpowiedział pan Klemens, mocując się z sobą. — Ale, żeby to miało mieć jaki związek z podrzuconym mi chłopczykiem, tego nie widzę. Z miasteczka S\* do Hajsyna, jest przeszło trzydzieści mil.

— Comme tu es peu pénétrant, cher cousin! — zawołała pani Pokrzywicka uśmiechając się. — Właśnie, że to jest miścina ustronna i daleka, wybrano ją dla większego sekretu. A potem uważaj na daty. W połowie września 1814 r. oni tam przyjechali, a w połowie listopada podrzucono wam waszego chłopczyka, który, jak słyszałam, nie mógł mieć więcej, jak dwa miesiące. Czy miał więcej?

— I owszem, mniej — odpowiedział pan Klemens, i potarł ręką czoło.

— Tém lepiej, tém lepiej — zawołała, klaszcząc w dłonie z radości, że tak daty zgadzały się. — Teraz-że uważaj: dwie kobiety,

jedna stara, druga młoda; obie, tak mi mówiła żydówka, zdawały się wysokiego wzrostu, tylko, że jedna miała większy nos, twarz jakby złą i dumną, a druga była delikatna, blada i smutna.

— Czegóż to dowodzi? — rzekł pan Klemens — wszystkie nasze panie mają wyraz dumny, kiedy im gawieź zagląda w oczy; bladeść zaś młodej kobiety w takim położeniu jest bardzo naturalną.

— Dajmy, że tak jest, że z tego nic się nie da wyciągnąć — rzekła zła komerażnica z ironiczną miną. — Ale ten kozak z siwą głową i siwym wąsem i w zielonej liberyi? Któż tu u nas ma kozaków w takiej liberyi?

— To pani musisz lepiej wiedzieć — odpowiedział wzgardliwie pan Klemens, przypominając jednak w myśli, kto miał takich kozaków.

— Naturalnie, że wiem — odpowiedziała tryumfując — bom się dowiadywała, bo mnie to kosztowało dosyć poszukiwań i pisania, a to wszystko w twoim interesie, méchant cousin que vous êtes! Takich kozaków w zielonej liberyi ma pani Krycka; ale to trusia, qui ne serait pas capable d'être infidèle. Takich ma stara księżna W\*\*, ale ta mała i garbata; takiego kozaka ma podobno matka twojej żony panie Klemensie — dodała wolniej i zatrzymała się.

— Jój matka! — zawołał biedny starzec, zdradzając swoją trwogę i usprawiedliwiając jój domysły — potem powstawszy i przeszedłszy się parę razy, zapytał: — Jakże się ten kozak nazywał?

— Jak się nazywał, tego nie wiem — mówiła wykalając zęby i śledząc go jadowitym wzrokiem — bo oni tam wszystko robili w takim sekrecie, że nikt głosu ich nie słyszał i o nazwisku żadnym dowiedzieć się nie mógł. Tyle tylko mówiła mi żydówka, że kozak był wysokiego wzrostu i już siwy. A w jakim wieku faworyt hrabiny panie Klemensie? bo i to wiem, że to jój najwierniejszy sługa i faworyt.

Pan Klemens chciał porwać za kapelusz i uciec, taką boleść uczuł w piersiach na to zapytanie, tak niby proste i naturalne. Ale spojrzawszy nagle na twarz pani Pokrzywickiej, wyczytał w jój oczach tyle złośliwej radości, że pojąwszy od razu, iż jego ucieczka z placu będzie oczywistym przyznaniem, iż domysł jój ugruntowany, że zapewni jój wygraną, i że jój da prawo ten swój tryumf z przydatkami jeszcze roztrąbić i okryć go śmiesznością w oczach całej okolicy, pokonał się, zadał największy gwałt swemu sercu, i usiadłszy spokojnie, rzekł:

— I więcej pani nic nie wiesz? bo to, co dotąd słyszałem, tylko śmiechu warte.

Ta pozorna zimna krew zmieszła ją cokolwiek. Odpowiedziała jednak prędko:

— Czyż potrzeba więcej?

— Ja myślę — dodał pan Klemens seryo — że potrzeba daleko więcej, aby rzucić taką plamę na kobietę uczciwą, która przez dwa-nastcie lat pożycia z mężem starym i może przykrym, jakim ja jestem, nie dopuściła się niczego, co by honorowi jej ujmę czynić mogło. Wiedziałem, żeś pani złośliwa, że nie oszczędzasz nikogo, i że mnie nie lubisz, a może masz racją nie lubić; ale nie sądziłem, że-bys tak dalece była prędką i nieuważną, iżbys na tak błahych pozorach, i prawie na niczém, bo na kolorze liberyi, ugruntowała potwarz, której nikt nie uwierzy.

— Vous croyez? — zapytała obrażona.

— Jestem tego pewny, i upoważniam panią do ogłoszenia tego wielkiego odkrycia, nie tu, w tej kompanii — dodał, powstając i ukazując na salon — ale w gronie ludzi uczciwych, którzy wiedzą, co to honor, i umieją szanować i swoje własne imię i cudze. Niechęć ku mnie zaślepiła cię, moja zacna kuzynko — dodał szydersko — chciałaś się nademną pomścić, żem się nie dał złapać. Nieprawdaż? Szkoda tylko, żeś na to innej nie obrała drogi. Możeby ci się było udało. A tak przegrałaś. Widać, że się starzejesz i twój geniusz już ci nie dopisuje.

Zasmiała się głośno efrontka, choć ją ta zwycięzka postawa pana Klemensa ubodła; wiedząc jednak, że zrobiła swoje, że nasienie rzucone zejdzie niezawodnie, nie dbała już o sposób, jakim ją traktowano. Żeby jednak nie okazać się pobitą, rzekła, powstawszy i idąc za wychodzącym:

— O! que vous êtes ingrat, méchant cousin! jak można sobie wyobrazić, że ja to robię dla jakiejś zemsty, a nie ze szczerego przywiązania. Ale masz rację tak surowo i z niedowierzaniem roz-bierać te wszystkie okoliczności; gdyż w rzeczy samej twoja żona to anioł, to wzór kobiet, i ty nie wart jesteś rzemyka...

— U jej trzewiczków rozwiązać — przerwał pan Klemens — jużem to słyszał.

— Masz dobrą pamięć — dodała ze złośliwym uśmiechem. — Dajmy więc temu wszystkiemu pokój. A propos! mam prześliczny wazon porcelanowy, mało co mniejszy od tych, które Napoleon królowi saskiemu darował. Może obaczysz.

Pan Klemens spojrział wzgardliwie na starą szachrajkę, ruszył ramionami i poszedł. Dopędziła go pani Pokrzywicka, wzięła się jego ramienia, i tak weszli razem do salonu, gdzie na nich cała kompania ciekawie poglądała. Gdy się pan Klemens żegnał, podając mu rękę, rzekła:

— Au revoir donc, cher cousin! Nie żalujesz pewnie tego, żeś przyjechał. Byłaby cię może jaka pogłoska doszła z boku, i natural-

nie potwornie przekręcona, jak to u nas bywa. A tak przekonałeś się, jakem ci to już pierwój mówiła, że choć to ciekawe i niezwyčajne, ale dla ciebie nie straszne.

Taki obrót wszystkiemu nadała, chcąc przed obecniemi usprawiedliwić dobrą minę pana Klemensa, i jego twarz na pozór spokojną i niezalterowaną. Ale skoro był za drzwiami, zaśmiała się i rzekła:

— Nie spodziewałam się, aby ten potwór miał taką siłę charakteru i tak umiał panować nad sobą. Il est vraiment d'une force étonnante.

— Ma rozum, jeżeli sobie z tego nic nie robi. Ja widziałem lepsze rzeczy, a jednak mężowie znosili to z zimną krwią — rzekł hrabia, spoglądając na prezesową.

— Et qu'est-ce qu'il en dit? — zapytała ta ostatnia, pogroziwszy hrabiemu.

— Mówi, że to śmiechu warte.

— Oh! rira bien, qui rira le dernier — odpowiedziała stara załotnica.

— A ja o niczém, jak nie wiem, tak nie wiem! — zawołał głośno deputat.

Wszyscy zaśmieli się i siedli do stolika.

Pan Klemens przybywszy do Krzacznicy, kazał tylko popaść konie i zaraz zaprzęgać, gdyż nie miał zamiaru długo tam bawić. Zastał więc powóz swój przed gankiem, wsiadł i ruszył, nie oszczędzając koni. Gdy się obaczył na czystém polu, gdy go otoczyły zewsząd nieprzejrzane łany zielonego zboża, wciągnął w siebie całą piersią to powietrze, pod którem chwiały się nieprzeliczone młodzietkie kłosa, jakby dla ozdrowienia płuc, uszkodzonych duszącą atmosferą zepsucia i degradacyi moralnej, którą przez kilka godzin oddychał. To mu znaczną przyniosło ulgę; w pierwszej chwili postanowił wyrzucić z myśli i z serca te podejrzenia, które je szarpały, i nie czynić już więcej żadnej wzmianki o tém wszystkiém, czego się dowiedział, a co na nieszczęście tak podobném do prawdy znajdował.

Ale tak rozumne postanowienia w ludziach, w których sercu źródło grasuje, nie trwają długo. Gdy pan Klemens przyjechał do domu, zastał Rozalię niezmiernie bladą i zmienioną. Widok ten ocknął w nim znowu wszystkie złe myśli i naprowadził go na najzłubniejsze rozumowania. Jeżeli jeden tylko dzień obawy, aby się wszystko nie wykryło, tak widoczne na twarzy jej zostawił ślady, niepodobna, myślał sobie, aby sumienie jej było czystém i wolném od téj śmiertelnej trwogi, jakiej doznaje każdy, który widzi, że jego grzech i wstyd są blizkami odkrycia. W tym wniosku utwierdził się jeszcze przez to, że Rozalia, czy to przez dumę, czy z innego powodu, nie spytała go wcale, gdzie był, czy się widział z panią Po-

krzywicką, i czy co odkrył. Pan Klemens trzy dni czekał tego z jęj strony zapytania, i doczekać się nie mógł. Rozalia, jak pierwszego dnia jego przybycia, tak i następnych była jednakowa. Nie okazywała mu wprawdzie dawniejszej życzliwości, ale zdawała się spokojną, poważną, robiła swoje jak dawniej: uczyła syna, zajmowała się czytaniem i robotą ręczną, z którą zwykle do salonu wychodziła. Pan Klemens wniósł, że dla tego milczy i nie zapytuje o skutek podróży, iż pewna, że się o wszystkim dowiedział, i lęka się jego wyrzutów i kary za tak długie oszukiwanie go, i tak bezprzykładną hipokryzyę.

Tym sposobem utwierdziwszy się w swych podejrzeniach, i nie mogąc wytrzymać tego stanu niepewności, postanowił wyjść z niego koniecznie, choćby miał całkowite odkrycie prawdy zdrowiem i spokojem przyplącić. Czwartego więc dnia wymyślił sobie interes na Wołyń, i przyszedł pożegnać żonę i syna. Rozalia bez najmniejszego zmieszania i ciekawości, że wyjeżdża, pożegnała go tylko obojętniej, niż dawniej, i nie zapytała nawet, kiedy się go ma spodziewać. Pan Klemens nie mógł zrozumieć tego jęj milczenia, i skombinować, czy to jest upór, czy duma, czy zupełny brak winy; ale miał przecucie swojego nieszczęścia, i czuł gwałtowną jego potrzebę, jak człowiek stojący nad przepaścią czuje, że go ona silnie na dno swoje pociąga. W takim usposobieniu wyjechał z domu; z Hajsyna odesłał swoje konie, a tam wzięwszy pocztę ruszył na Wołyń. Przybywszy do miasteczka S\*\*, łatwo znalazł dom znanego nam Szlomy i u niego stanął.

Wkrótce przekonał się pan Klemens, że pani Pokrzywicka mówiła prawdę. Żona spowaźniałego przez wiek żyda, zrobiła się starszą, ale jeszcze gadatliwszą. Nie dała się ona długo ciągnąć za język, i z tą wprawą i szybkością, z jaką w fabrykach szpilek rzemieślnik do tego przeznaczony nakłada na nie główki, opowiedziała mu całe zdarzenie, które już może kilkaset razy powtórzyła, a które, jako najważniejsza epoka w jęj życiu, zawsze ją mocno interesowało. Wszakże z całego tego opowiadania pan Klemens dowiedział się tylko tyle, ile mu już było wiadomém. Zaczął więc dalsze poszukiwania. Najprzód, obiecał znaczną nagrodę żydówce, jeżeli mu wyszuka kucharza i tę kobietę, którzy przez cały czas tym paniom usługiwali. Sądził bowiem, iż jest rzeczą niepodobną, aby ci ludzie, zamknięci przez kilka tygodni razem z przybyłemi osobami, od kozaka lub mamki nie dowiedzieli się ich nazwiska, a przynajmniej imienia samego kozaka, którego przecieź wołać i nazywać musiano. Ale wszystkie usiłowania Szlomowej były daremne. O tych ludziach słuch zaginał i nikt nie wiedział, kiedy i gdzie się podzieli. Aptekarz, od którego pan Klemens spodziewał się jakiego objaśnienia, już nie żył; a pani

aptekarzowa, mszcząc się zapewne na nieboszczyku mężu swym za jego uporne milczenie, a nadewszystko za to, że w czasie preparowania lekarstw dla owego domu, zawsze pomocnika swego do laboratorium wyprawiał, za tegoż samego pomocnika poszła. Tyle wszakże mogła mu powiedzieć, że tam niezawodnie musiało się coś urodzić; że najlepiej dowie się, co się urodziło, w księgach metrycznych, gdyż ówczesny proboszcz dziecko to chrzczył; z kogo się zaś urodziło, w tem objaśni go ówczesny horodniczy, który tam codzień bywał, czytał jakiś rozkaz, który go skłonił do milczenia i przysługiwania się temu państwu; za te wszystkie przysługi został poliemajstrem w Krzemieńcu, i podobno to dziecko do chrztu trzymał.

Na poczcie nie znalazł pan Klemens żadnego śladu, gdyż pocztmajster był zupełnie inny, o ówczasowym nie wiedziano, gdzie się znajduje, a księgi pocztowe z lat dawniejszych odesłane zostały na rewizyą do głównego gubernskiego pocztamtu, z kąd dotąd nie powróciły.

Księgi metryczne były ostatnim resursem zmartwionego tem niepowodzeniem i otoczonego tak jadowitemi chmurami starca. Jakoż znalazł w nich dosyć trucizny, której z takim nierozumem i takim łaknieniem szukał. Chociaż bowiem nie dały mu zupełnego światła i całkowitego przekonania, ale niejakiem zbliżeniem i podobieństwem do prawdy dały dosyć pokarmu jego podejrzliwemu sercu, aby ta furya, która w niem siedlisko sobie założyła, miała czém żyć i do ustawicznego budzić się czuwania.

Nowy proboszcz, na żądanie pana Klemensa, kazał przynieść księgi metryczne z 1814 r., które przewartowawszy, znaleźli: „że około dnia 28-go września 1814 roku, urodziło się dziecię płci męskiej „z niewiadomych rodziców, które w wyznaniu Rzymsko-Katolickiem „dnia 9-go października tegoż roku w parafii miasta S\*\* przez proboszcza tejże parafii, X. Wawrzyńca Gumowskiego, ochrzczone zostało. Na chrzcie świętym dano mu imię Tadeusz. Rodzicami „chrzestnemi byli: wielmożny Bazyli Smirnicki, horodniczy miasta S\*\*, „i Anna Baftałowska, wdowa po Grzegorzcu Baftałowskim, oboje wyznania Grecko-Unickiego.“

Pan Klemens, przeczytawszy to, jakby światłem błyskawicy oblaony, rzucił się na krzesło, i zakrywszy twarz, siedział tak pogrążony w myślach, które nakoniec do ócz jego łzy wściekłości sprowadziły. Po niejakiem dopięro czasie, wstydząc się swojego bólu, którego przecież sam tak gorąco szukał, powstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, i proboszcza, zdziwionego tym jego stanem, poprosił, aby mu metrykę tę kazał wypisać i wypis ten pieczęcią parafii stwierdził. Proboszcz, sownie za swoją grzeczność nagrodzony, obiecał mu natychmiast żądany akt do karczmy przysłać, a pan Klemens, błądy jak

trup, chwiejający się na nogach, i medytujący nad sposobami jeszcze lepszego przekonania się i pomszczenia swój krzywdy, którą prawie za pewną uważał, wrócił na stancję i po konie pocztowe posłał. Szłomowa, patrząc na tak nagle zmienionego pana, kiwała głową, szwargotała z poważnym Szłomą, który także kiwał głową i cmokał na jej uwagi; ale w duszy równie była kontenta, że ten nowy rozdział do jej opowiadania przybył, jakby kontent był który z dzisiejszych powieściopisarzy, gdyby mu nagle przyszło rozwiązanie jego powieści, której żadnym sposobem do końca dociągnąć nie mógł.

W godzinę potem pan Klemens już był w koczku, i pędził traktem do Krzemieńca, pragnąc zobaczyć się i rozmówić z horodniczym. Chociaż bowiem pan Bazyl Smirnicki w owym czasie umiał dochować sekretu, i nie tylko sam i słówka nie pisał, ale jak najmocniej pilnował, aby się żadne z owych sług, których zarekomendował, z niczém nie wygadało, sądził jednak pan Klemens, że czas zwolnił te skrupuły, jakie mógł mieć wtedy, i że język jego, ostatkiem ich skrupowany, znacznym datkiem rozwiązać potrafi.

Ale zawiódł się w tej mierze zazdrosny i zgubnego światła szukający starzec. Pocziwego naszego horodniczego nie było już w Krzemieńcu. Żona jego, która coraz większą nad nim brała górę, a jako policmajstrowa, mająca brylantowe kolczyki, coraz więcej potrzebowała, zaczęła oprócz innych industryj, o których mąż nie wiedział, przechowywać przed nim — że samym kontrabandy żydom, od których znaczne ciągnęła zyski, tak w towarach, jak i w gotowiznie. Manewra te genialnej Magdusi, po dwóch czy trzech latach odkryły się, i wprowadziły biednego pana Bazylego w takie kłopoty, że tylko co ze służby wypędzonym nie był. Skończyło się przecież na tém, że z Krzemienieckiego policmajstra znowu na horodniczego do jakiegoś miasteczka Mohilewskiej gubernii przeniesionym i degradowanym został. Chociaż te okoliczności, horodniczego dotyczące się, tyle tylko do rzeczy naszej należą, że pan Klemens z ich powodu spodziewanego i stanowczego objaśnienia otrzymać nie mógł, wspomnieliśmy jednak o nich szczegółowiej, dla przestrogi tych mężów, którzy zbyt polegają na geniuszu przemysłowym żon swoich. Wszelki bowiem przybytek, którym one bez ich wiedzy i przyczynienia się dom pomnażają, rzadko kiedy może im wyjść na dobre.

Tak więc z tej podróży pan Klemens wrócił tylko przez pół oświecony, przez pół przekonany, ale ze zranioną śmiertelnie duszą, z szarpiającą łono jego zgubną namiętnością, która serce jego zamknęła na wszelki głos perswazyi, pobłażania i przebaczenia; która mu dała moc i postanowienie dochodzenia prawdy innemi środkami; która mu podszepnęła wyrafinowaném dręczeniem zmusić żonę do wyznania wy-



stępuku, i do zrzucenia tej maski cnoty, którą dotąd i jego i cały świat oszukiwała.

Rozalia przyjęła go tym razem jak zwykle, bez niepotrzebnego dąsania się, bez trwogi, ale też i bez zapytania, gdzie był i po co jeździł. Uważał tylko pan Klemens, że ją zastanowiła cokolwiek przy pierwszym powitaniu twarz jego zmieniona, jeszcze bardziej wychudła i jakby schorowana. Sama Rozalia była jeszcze bladą; zdało mu się nawet, że cokolwiekschudła, ale takiego znękania, jakie widział na jej twarzy po powrocie z Krzaczyniec, nie było. Spostrzegł tylko pan Klemens więcej dumy na jej czole, więcej jakiejś przybranej godności w obejściu, co ją w oczach jego zrobiło podobniejszą do matki. To ostatnie spostrzeżenie rozgniewało go i wlało w serce jego jeszcze większą złość i zawziętość; nie lubił bowiem hrabiny, bał się jej, a od ostatnich wiadomości, z których mógł mieć prawie pewność, że podała rękę córce w jej wykroczeniu i sprzymierzyła się z nią na to, aby go lepiej oszukać, i na pośmiewisko ludzkie wydać, przejął się dla niej taką nienawiścią i pogardą, że obraz jej i wspomnienie drżeniem go napełniały. W takim stanie moralnym i umysłowym byli ci małżonkowie, których połączyły z jednej strony próżność i głupstwo, a z drugiej interes i egoizm. Żyli więc tym życiem przymusowem, jakiego tyle mamy przykładów, i które powtarzać się będzie zawsze, ile razy ludzie do rzeczy świętych, do ustanowień bożych, przystępować będą z czysto-ziemskimi widokami; ile razy Sakrament zamienią na kontrakt, a biuro notaryusza postawią na miejscu kościoła i ołtarza.

Jakkolwiek przykrym był ten stan, w jakim się znajdowali oboje, a szczególnie ów starzec, trawiony bolącemi myślami i zamiarami zemsty, nie przystępował on jednak do żadnej z żoną swą explikacyi. Nieraz już miał na języku słowa gniewu i wyrzutu, nieraz nawet chciał jej rzucić w oczy metrykę Tadeuszka, którą często przy sobie nosił i odczytywał; ale w powadze i szlachetnym wyrazie tej szczególnej kobiety było coś takiego, co go zawsze wstrzymało, co mu mówiło, że ona jest ofiarą, że z innym mężem byłaby może wzorem żon i matek; że jej reputacya, jej życie i postępowanie, choćby tylko były sztuką i wysileniem, wymagają nie pozorów, ale gruntowniejszego przekonania i oczywistych dowodów. Postanowił więc, bądź co bądź, te dowody otrzymać, a jej milczenie i dumę złamać. Biedny Tadeuszek, który o niczem nie wiedział, który używał jeszcze życia z całą swobodą i uciechą dziecka, mającego zdrowe ciało, zdrową duszę i czyste oko, radujące się pięknnością tego świata, który się przed niem rozwijał, miał posłużyć za narzędzie tych prób niemilosiernych, na które pan Klemens umyślił żonę swą wystawić.

We dwa tygodnie po powrocie swym z Wołynia, po obiedzie, siedzieli oboje na wystawie ze strony ogrodu, do której prowadziły drzwi

z salonu, i która ubrana była w wazony z drzewami pomarańczowemi i kwiatami wyniesionemi z oranżeryi. Dzień był nadzwyczaj ciepły, słońca już tam nie było, i w miejscu tém można było rozkosznie parę godzin przesiedzieć i wonném oddychać powietrzem. Pan Klemens palił tam zwykle poobiednią fajkę, a Rozalia siedziała z robotą i spoglądała na syna, który z daleka bawił się po swojemu, lub skubiąc i psując jaki kwiatek, lub dręcząc jaki owad, lub przerzucając jaką książkę z obrazkami. Wtedy wszedł lokaj i doniósł, że ekonom jednej z odleglejszych jego wsi przyjechał z prośbą do jaśnie wielmożnego pana. Pan Klemens nie odpowiedział od razu, zamyslił się, potem spojrzął na żonę, i po chwili ponurego milczenia, kazał ekonomowi przyjść tu do siebie. Po niejakim dopiero czasie ekonom, który przez salony pańskie wejść nie śmiał, i około oficyn, po przed okna Tadeuszka cały dom obchodząc, wszedł do ogrodu, stanął przed panem i do kolan się jego skłonił.

Był to szlachcic barczysty, z ogromnemi wąsami, groźnego i okrutnego wejrzenia. Ułożył się on przed państwem jak mógł, ale w jego twarzy i ruchach widoczne było piętno jego rzemiosła i tej srogości, z jaką się obchodził z podwładnemi. Pan Klemens znał go dobrze, a chociaż nie aprobował batogów, któremi ekonom hojnie szafować lubił, owszem, upominał go często, aby chłosty nie nadużywał, a nawet przepisał maximum kary, za które żaden z jego ekonomów przejść nie miał prawa, cenił go jednak, jako dobrego i znającego się gospodarza, jako wypełniającego nadzwyczaj akuratnie wszystkie jego rozkazy, i oddającego dosyć sumiennie dochody, które z tej ogromnej wsi wpływały.

— Jak się masz, panie Radłowski — rzekł do kłaniającego mu się ekonoma — jak tam u acana idzie?

— Idzie wszystko dobrze, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział szlachcic mocno odchrząknawszy — a od czego rygor, jaśnie wielmożny panie?

Rozalia w tej chwili nań spojrzała, i sposób, jakim ostatnie słowa swe wymawiał, zdradzający twarde i niemiłosierne serce, przejął ją wstrętem i odrazą. Odwróciła się więc bardziej, i tém pilniej zajęła się swą robotą. Pan Klemens uważał to jój poruszenie, i z wyrazu twarzy odgadł uczucie, jakie ją przejęło. Po kilku więc jeszcze zapytaniach, tyjących się szczegółów gospodarstwa, na które Radłowski odpowiadał z precyzyą człowieka, który żadnej drobnostki obowiązku swego lekce nie waży, zapytał go pan Klemens:

— Wieleż masz dzieci, panie Radłowski?

— Właśnie to te dzieciśka są przedmiotem mojej najpokorniejszej do jaśnie wielmożnego pana prośby — odpowiedział ekonom, skłaniając się czapką do stóp pana Klemensa — mam tego licha sie-

dmioro: pięć dziewcząt i dwóch chłopców. Dziewczęta jeszcze małe, i żona jako tako da sobie z nimi radę. Ale chłopczyśka podrosły, jednemu czternasty rok, a drugiemu dwunasty. Chciałbym oto po wakacyach zaraz odesłać ich do szkół, do Krzemieńca, lub do Winnicy, żeby się to nie wyrosło na wiejskich drągali do niczego, ale żeby umieli sobie potem na kawałek chleba zarobić.

— A cóż przeszkadza? — rzekł pan Klemens — dobrą acan masz intencję, panie Radłowski, to ją wykonaj.

— Jaśnie wielmożny panie! radaby dusza do raj, ale jej grzechy nie puszcza — odpowiedział Radłowski, kłaniając się. — Nasz grzech najgorszy, jaśnie wielmożny panie, to święta golizna, z której człek wyjść nie może. Choć z łaski jaśnie wielmożnego pana jest co jeść, ale pensya wystarcza tylko na pokrycie grzbietu nam i dzieciom. Ulokowanie zaś gdziekolwiek w szkołach potrzebuje gotowizny, której brak, oj, wielki brak, jaśnie wielmożny panie! — dodał, kłaniając się znowu i po każdym ukłonie odchrząknawszy mocno.

— Więc acan chcesz, żebym ci w tém pomógł, panie Radłowski? — rzekł pan Klemens.

— Dozgonną wdzięczność miałbym dla jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział ekonom, obejmując obiema rękami nogi pana Klemensa.

— Pomyślę ja o tém, i co będę mógł, zrobię — rzekł pan Klemens; a gdy ekonom uradowany znowu kłaniał się, dodał:

— Mógłbym nawet synom acana dać chłopca do usług i na utrzymanie jego przeznaczyć pewne quantum, byle usługując acana dzieciom mógł razem i uczyć się i chodzić także do szkoły.

Tu Rozalia podniosła głowę, ale spostrzegłszy, że siwe oczy pana Klemensa patrzą na nią tak, jakby każdy załomek w jej piersiach przeniknąć chciały, nachyliła się znowu nad swoją robotą. Pan Klemens, nie spuszczaając z niej wzroku, mówił dalej:

— Musiałeś acan słyszeć o naszym podrzutku, który się tu u nas wychowuje, a możeś go i widział?

— Widziałem go właśnie na dziedzińcu, jak tam burykał się z legawcami — odpowiedział Radłowski.

— Otóż to właśnie tego — mówił pan Klemens zwolna, i cedząc słowo za słowem — chciałbym oddać na chłopca do synów acana.

— Wiadomo jaśnie wielmożnemu panu — odpowiedział ekonom chrząkając — że ja gotów jestem każdy rozkaz jaśnie wielmożnego pana jak najakuratniej wypełnić. Ale jeżeli jaśnie wielmożny pan pozwoli mi powiedzieć, to śmiem... to jest, śmiałbym wytlómaczyć się, że ten chłopczyk wychowany jak paniatko, i nie wiem, czy potrafi sprzątnąć w stancy i wyczyścić suknie i buty.

— Ha! naucz się — rzekł pan Klemens, patrząc ciągle na żonę

— wreszcie gdyby mu się nie chciało, to od czegoż różga, która po-  
pędza rozumu do głowy?

— Co w tém, to święte słowa jasnie wielmożnego pana. Nie ma  
jak rygor, ze starymi i z młodymi — odpowiedział ekonom, mocno  
odchrząknawszy.

— Miałem względem tego chłopca — mówił dalej pan Klemens  
— inne zamiary. Ale widzę, że to nie warto. Jest swywolnik, psotnik,  
lubi tylko ogony koniom zawiązywać, z psami się przewracać, i bić się  
i zadzierać z chłopcami na wsi. Te instynkta zdradzają jego pocho-  
dzenie. Może téż to dziecko jakiego lokaja lub furmana, kto to może  
wiedzieć? Dla czegoż go wyciągać z téj sfery, do której się urodził?  
Niech chodzi do szkoły na początkowe nauki, aby się nauczył czytać  
i pisać; ale przytém dzieci acana niech mają z niego usługę, aby się  
przyzwyczaił do szczotki i miotełki, do czego pewnie więcej wrodzo-  
nego okaże talentu, niż do nauki, która zdaje się nie dla niego. Od  
swywoli zaś i psot acan potrafiśz go oduczyc.

— O! niech się tylko w moje ręce dostanie, to jasnie wielmożny  
pan będziesz kontent — odpowiedział ekonom, wyprostowawszy się  
i sądząc, że coś bardzo miłego jasnie wielmożnemu państwu po-  
wiedział.

— Dla tego téż, że acan nie żartujesz, przyszło mi na myśl, żeby  
go acanu oddać — mówił pan Klemens.

— Jak tylko jasnie wielmożny pan każe — rzekł kłaniając się  
Radłowski.

— Pomoc na edukacją swoich synów i na utrzymanie tego chłop-  
ca będziesz acan miał. Wkrótce odeślę go acanu, żebyś go trochę  
po swojemu wytresował i do usług przyuczył; a jak będziesz miał  
dzieci odwozić, to przyjeżdż, dostaniesz asygnacją do kassy.

Ekonom pocałował w kolano pana Klemensa i odszedł, a małżon-  
kowie zostali na miejscu milcząc. Gdyby tę rozmowę słyszała była  
Widalska, byłaby się pewnie jak lwica rzuciła w oczy panu Klemen-  
sowi. Rozalia siedziała bez ruchu, z nachyloną głową, z odwróconą  
twarzą tak, że jej poruszeń i zmian, jeżeli jakie były, dojrzec nie  
mógł. Uważał tylko pan Klemens, który z niej oka nie spuścił, że  
igiełka jej błakała się i nie mogła trafić do oczka, gdzie ją przepro-  
wadzić należało. Podziwienie jego i złość dochodziły do najwyż-  
szego stopnia. Już trzymał w ręku metrykę Tadeuszka i chciał ją  
przed oczy jej podstawić, gdy Rozalia powstała, zeszła ze schodków,  
wzięła syna za rękę i poszła z nim aleą. Pan Klemens został na miej-  
scu, patrzył na nią osłupiały, i nie śmiał sobie zdać sprawy z tego co  
widział.

## VII.

Nazajutrz, jeszcze Rozalia leżała w łóżku, a już Tadeuszka we dworze nie było. Rzecz tak się miała. Pan Klemens, który pragnął umocnić ciało swego syna i zrobić go ruchawszy i śmielszym, kazał mu kupić ładnego kucyka, aby na nim codzień rano pół godziny lub więcej jeździł pod dyrekcją pana Owsikowskiego, w tém kole, gdzie konie na linie przepędzano. Miejsce to było na dużym dziedzińcu stajennym, oddzielonym od głównego podwórza innemi budynkami. Tam Tadeuszek najczęściej przesiadywał, bo równie konie, jak i wszystko co się tyczyło stajni, najmocniej go interesowało. Tej zaś lekcyi nigdy nie opuścił, przypatrując się z daleka, jak jego nieprzyjaciel jeździ, i śmiejąc się w duchu z jego tchórzostwa i niezgrabności. Tego dnia biedny chłopiec, nie wiedząc, jaka burza nad nim wisi i co względem niego zamysłano, szczęśliwy i swobodny jak zawsze, przybiegł do stajni wcześniej, obiegł wszystkie kąty, oddał dobry-dzień przyjacielowi swemu i wszystkim stajennym, pogłaskał to tego, to owego konika, i wzięwszy bicz w rękę, zaczął sobie trzaskać i sił swych probować. Wtedy przyszedł Hippolitek ze starym sługą, w eleganckim kaszkieciku, w niebieskiej kurteczce ze złoconemi guziczkami, w zgrabnych bucikach z tępemi ostrożkami, w rękawiczkach i z stosowną do wieku szpicróżgą w ręku. Chociaż delikatnego złozenia, blady i posępny, był to jednak chłopczyk ładny i foremny. Gdy wyprowadzono kucyka, zaczęła się ceremonia wsiadania, która nieoswojonego jeszcze z koniem panicza najwięcej kosztowała. Tadeuszek, oparty o baryerę, stał z biczem w rękę i uśmiechał się, że tak mała rzecz tak trudno idzie. Spostrzegł to Hippolitek, i rozgniewany rzekł do koniuszego:

— Wsadź mnie sam.

— Papa nie kazał panicza wsadzać, żebyś się koniecznie nauczył śmiało brać do konia — odpowiedział Owsikowski — i czy to tak wielka rzecz? obaczysz panicz. — I zawoławszy Tadeuszka, kazał mu wsiąść na konia.

Chłopiec przeskoczył jak koza przez baryerę, położył swój batóg na ziemi, przystąpił do konia, uderzył go dłonią po grzbiecie, wziął cugle w rękę według wszystkich reguł, i ledwie dotknął się nogą strzemięcia, już był na siodle, prosty jak trzcina i trzymający się na koniu, jak gdyby go do niego przyklejono.

— Otóż to tak trzeba, piękny paniczu — zawołał uradowany stary kawalerzysta, gładząc wasy. Potém, spojrzawszy z ukontentowaniem na swego faworyta — krzyknął: z konia! — Tadeuszek przechylił się, oparł się mocno lewą nogą na strzemieniu i przyłożywszy

zgrabnie prawą przez wierzch konia, uderzył się lekko piętami, pozostał tak chwilę na strzemieniu i zstąpił spokojnie na ziemię.

— Dobrze, chłopcze! — rzekł wówczas Owsikowski, i pogłodziwszy dłonią jego jasną główkę, pocałował go w czoło. — No, niech teraz panicz siada i tak robi, jak on.

Hippolitek nasepiony, przystąpił do konia, niezręcznie wziął lice, a gdy się już podnosił, koń się poruszył i nóżka jego wysliznęła się ze strzemienia tak, że znowu stanął na ziemi i tylko co nie upadł. Wtedy niebaczny sierota parsknął głośnym śmiechem. To widoczne szyderstwo tak rozgniewało upokorzonego już panicza, że wyrwawszy się z rąk koniuszego, przyskoczył do Tadeuszka i uderzył go szpicróżgą po twarzy, wołając: — Precz ztąd, łajdaku!

Niech nikt nie wini bohatera naszego, że się w tej chwili zapomniał. Krew uderzyła do głowy jego i wszystkie względy, jakie się należały synowi tych, co mu dali przytułek i pożywienie, znikły z jego myśli. Wprzód więc, nim Owsikowski i stary sługa powstrzymać go zdołali, rzucił się zapierzony na złośliwego chłopczyka; puścił się za uciekającym przed sobą, i rozwinawszy batog, zaczął go nim prażyć po niebieskich pluderkach. Na nieszczęście jego, w tej chwili wszedł na dziedziniec pan Klemens z rządcą, usłyszał krzyk swego syna, i obaczył gonitwę dwóch chłopców, batog w ręku Tadeuszka i upędzanie się za nim Owsikowskiego i starego sługi. Pan Klemens zadrżał z gniewu, i kazał najprzód bohatera naszego rozciągnąć i tym samym batogiem wykropić.

Zniósł Tadeusek w milczeniu okrutne cięgi, a gdy wstał, tylko lzy kropliste, ale gorące płynęły po jego twarzy. Wtenczas pan Klemens rzekł do rządcy:

— Weź go acan do siebie. Dać furmankę, i natychmiast, tak jak stoi, odwieźć go do Radłowskiego pod dozorem pewnego człowieka, żeby go z oka nie spuszczał i zdał do rąk. Radłowskiemu napisz acan odemnie rozkaz, żeby go oddał do cieląt i stosownie ubrać kazał.

Gdy wszyscy zasmuceni stali, gdy Owsikowski targał siwe wasy, i lzy w oczach się jego kręciły, pan Klemens, któremu stanęła w myśli cała jego hańba i wszystkie męczarnie, jakie przebył, a w téjże chwili Wulkan kołyszący dziecko przed oczami mignął, spojrział groźnie na litujących się nad biednym sierotą, i losem jego skonsternowanych, i wrzasnął z uniesieniem:

— Cóż to, u milion set diabłów! stoicie jak malowani! żeby go tu za pół godziny nie było! a kto tego smarkacza protegować zechce, lub mi słówko o nim piśnie, won ze służby, nie ma u mnie miejsca!

Wszyscy struchleli i pojąć nie mogli, co się zrobiło ich panu, który się nigdy tak szalonym gniewem nie unosił. Ale że dobry kawałek

chleba każdemu miły, rządcą wziął natychmiast Tadeuszka za rękę i poprowadził na folwark. I nie wyszło pół godziny, a biedny chłopczyzna bez czapeczki, w jednej kurteczce, w letnich spodenkach, siedział na wózku obok silnego i ponurego chłopca, i myśląc o swojej Widalsi, z którą się pożegnać nie mógł, serdecznie i gorzko płakał.

Koło godziny siódmej wieczorem przybyli do Mleczkowic, wsi wielkiej, w pięknym bardzo położeniu leżącej i dobrze zagospodarowanej. Na ogromnym dziedzińcu, czystą murawą zarosłym, było dosyć zabudowań, gdyż wieś ta oddzielną kiedyś stanowiła majątność. Między innymi budynkami był tam i dom pański, obszerny, z wysokim dachem, obsadzony topolami, i mający z tyłu ogród. Lecz wszystkie drzwi i okiennice u okien tego domu były pozamykane, gdyż państwo czasem tylko tam przyjeżdżali na jakiś tydzień w lecie, zwłaszcza przy końcu żniw, dla sprawienia ludziom dożynek. Tadeuszek, który już dawno płakać przestał, chociaż ani Widalsi, ani innych przyjaciół swych nie zapomniał, oglądał się ciekawie wokoło, i widział, że wózek zwrócił się na lewo, i przy rogu porządnego i dużego dworku, na przeciw pańskiego domu leżącego, nie śmiejąc widać zajechać przed ganek, stanął.

Chłop wysiadł z wózka, sznurki reprezentujące lice przywiązał do płotu, kazał Tadeuszkowi zleźć, i wzięwszy go za rękę, poprowadził przed ganek. Na ganku siedział pan Radłowski w chałacie, bez chustki i kamizelki; siedziała pani Radłowska, duża, otyła, z obnażonym i opalonym gorsem kobieta, twarzy brzydkiej, i której wyraz i charakter ułożył się, przez długość małżeńskiego pożycia, do harmonii i podobieństwa z obliczem jej małżonka. Oprócz tej zacnej pary była tam jeszcze cała jej progenitura: pięć córek, począwszy od lat 3 do 11, i dwóch synów, o których pan Radłowski panu swojemu wspominał.

Biedny Tadeuszek, obaczywszy się w obcym zupełnie miejscu, wśród twarzy nieznanym, które na niego dziwnie i bez żadnego znaku dobroci patrzyły, zaczął drżać jak listek, a sądząc, że od swojej Widalsi ze sto mil odjechał, spuścił głowę, i pozwolił płynąć łzom, które na tę ziemię, pewnie już nieraz łzami zlaną, cicho spadały.

— Więc to tego panicza — rzekła ekonomowa silnym i grubym głosem — przeznaczyl pan do usług naszych dzieci w szkołach! Ot to, to! jakieś licho ponure, patrzy w ziemię; jeszcze ich okradnie.

— Gadasz, moja kochana, nie wiedzieć co? — odpowiedział pan Radłowski, chrząknawszy tak, że się echo po całym dziedzińcu rozszło i o pusty dwór odbiło. — Co ma im kraść? albo to nie będą mieli zamków przy kuferkach, czy co? A że w ziemię patrzy, to nie nie szkodzi. Jak go parę razy wybatożę, to go nauczę trzymać głowę do góry.

Słyszając to, Tadeuszek westchnął głęboko i podniósł na obecnych te piękne, błękitne oczy, któremi tyle razy gniew Widalsi swojej rozbrajał. Wszakże talizman ten nie skutkował. Fizyognomie, które go otaczały, nie zmieniły się, i w żadnej twarzy nie błysnął ten promień współczucia, który tak wyraźnie wybija się na licu prawdziwie ludzkim, że go nawet zwierzęta rozumieją.

— No, chłopcze! — rzekł pan Radłowski twardo i surowo. — Nie ma tu co becząć i krzywić się. Jak będziesz dobrym, to ci nikt głowy z karku nie zdejmie.

— Gdzie on tam będzie dobrym — zawołała imość. — Jemu źle z oczu patrzy: już ja się znam na tém. Musiał tam dobrze państwu dokuczyć, kiedy go do nas przysłali. Także ktoś poradził panu! my mamy reparować, co oni tam zepsuli, i lotra jakiegoś trzymać przy naszych dzieciach! Ot to, to!

— Et, trzymałabyś język za zębami, kiedy taka wola pańska! — fuknął mąż, ukazując jej nieznacznym giestem stojącego tuż chłopca, który mógłby plotkę zrobić. Potém obracając się do Tadeuszka dodał: — No, cóż, odezwij się przecie smarkaczu! Czy będziesz dobrze tym oto paniczom buty i suknie czyścić i ochotnie im służyć, we wszystkim co każą?

Tadeuszek spojrział na dwóch gburowatych wyrostków, z których jeden patrzył na niego zyzem i w nosie dłubał, a drugi, rudy i niezmiernie piegowaty, bijąc obcasami w podłogę, śmiał się szydersko i głupowato. Oburzyła się na to szlachetna natura inaczej wychowanego dziecka. Podniósł więc śmiało głowę, otarł łzy, i zawołał z postanowieniem:

— Nie, nie, nie będę!

— A widzisz, a nie mówiłam? — krzyknęła tryumfując ekonomowa. — Już jak ja co powiem, to święta rzecz. Ja tylko w oczy spojrzę, to zaraz wiem, jaki to ptaszek. Oj! ślicznaz mam lalę z dziećmi do szkół posyłać! Ot to, to, on ich tam jeszcze pozabija.

— A to od czego? — rzekł wówczas ekonom, biorąc w rękę harapnik, który zawsze przy nim leżał, równie w chwilach pracy, jak i w godzinach odpoczynku, jako dynstynktoryum jego władzy i powagi. Trzęsąc więc wprawną ręką szacowném tém narzędziem przed oczami naszego bohatera, dodał: — Czy wiesz co to jest? Ho! ho! kochanku! Jak tego pasternaczka skosztujesz, to ci odpadnie ochota do państwa, i tak gracko będziesz buty czyścił, jak i twój ojciec.

— Mój ojciec butów nie czyścił — zawołał zapérzony malec, tupnąwszy nogą.

— Czy słyszysz, moje serce? — mówiła ekonomowa — a nie mówiłam? a to dalipan niesłychana rzecz!



— A któż twój ojciec, smarkaczu, czy jaki graf? he! — fuknął ekonom.

— Ja nie wiem, kto mój ojciec — odpowiedział z bólem Tadeuszek — ale pewnie butów nie czyścił, nie, nie, to nie prawda! — Te ostatnie słowa domawiał, zanosząc się od płaczu, i wsadziwszy kulaki w oczy, jakby je chciał wydusić, wołał:—O Boże mój! Boże! jaki ja biedny!

Ta rozpacz biednego sieroty, nad którym się tak nieludzko państwiono, nie zmiękczyła bynajmniej ludzi twardych i do płaczu i do jęku przywykłych. Pan Radłowski, pozwoliwszy Tadeuszkowi płakać, zwrócił się do chłopą, który go przywiózł, i zapytał, kto mu go oddał.

— A to pan rzędecą, wielmożny pane, kazał go tu przywieźć, w drodze pylnowaty i wielmożnemu panu do ruk widdaty — odpowiedział chłop, kłaniając się.

— I więcéj nic? — zapytał pan Radłowski.

— Ta podobnoś i kartu dały — rzekł chłop, szukając za pazuchą, i wydobywszy chuścinę, zaczął ją zwolna rozwijać i wydobywać karteczkę pana rzędecy.

— Czemużeś, durniu, od razu nie oddał? — fuknął ekonom.

— Ta i zabów, jak wielmożny pan na serotú nakryczały — odpowiedział dobroduszenie chłop, który całą drogę prawie milczał, ale żadnej przykrości Tadeuszkowi nie zrobił, a teraz, widząc tak nieludzkie obejście się z biedném dzieckiem, stał nasępiony i tylko głową kiwał.

Pan Radłowski udał, że przymówki, może bez intencji zrobionéj, nie zrozumiał, i wziął się do czytania listu pana rzędecy. Były tam słowa następujące: „Z rozkazu jasnie wielmożnego pana, odsyłam panu Radłowskiemu chłopczyka, niegdys jasnie wielmożnym państwu „podrzuczonego. Ze malec ten, nazwiskiem Tadeuszek, na łaskę jasnie wielmożnych państwa i na wychowanie, jakie w domu ich pobierał, nie zasługuje, wolą jest wyraźną jasnie wielmożnego pana, aby „go pan Radłowski do paszenia dworskich cieląt użył, i stosownie do „tój funkcyi przydziać kazał.“

— E, bratku! — zawołał wówczas ekonom do Tadeuszka, który oparł głowę o ganek i płakał. — To insza materya! tak to rozumiem. Nie płacz, nie płacz paniczku! już teraz nie będziesz butów czyścić, ale będziesz pasł cielęta, cielęta dworskie, kochanku! Taka jest wyraźna wola pańska — dodał śmiejąc się i bijąc palcami po papierze.

— To dobrze! — odpowiedział Tadeuszek łkając — to będę pasł cielęta, i wołę paść cielęta, jak buty czyścić. Bo ja nie do butów, nie!

— A jakie to zuchwałé! — rzekła ekonomowa. Oj! trzeba dobrych różeg! ot, to, to!

— Nie bój się moje serce! przytrę ja mu prędko rogów — zakonkludował pan Radłowski; kazał chłopu odprowadzić konia do stajni, popaść, i po otrzymaniu odpowiedzi, jechać do domu; Tadeuszka kazał odprowadzić do piekarni, aby tam z parobkami, dziewczkami i inną czeladzią siedział, i dalszych czekał jego rozkazów. Weszło biedne dziecko do izby dużej, zakopconej, pełnej zaduchu, gdzie był piec piekarniany, a przy nim brudna baba, która czeladzi dworskiej jeść gotowała; gdzie było kilka dziewczek szykujących skopki, z którymi miały iść do krów; gdzie leżały worki z różną żywnością, których jeszcze do spiżarni nie sprzątnięto, a tamże kupy buraków, kartofli i rozmaite obrzynki jarzyn, gdzie kury pani ekonomowej grzebały krupy, jakiś prosiak, jej faworyt, wszystko przewracał; gdzie głodny pies chodził i zaglądał do próżnych garnków; gdzie była beczka z wodą, kilka cebrzyków z pomyjami, duży stół brudny na krzyżowych nogach, przy którym czeladź siadała do jedzenia, i parę ław koszlawych pod ścianami, na których leżały rupiecie i zgrzebne sienniki, służące tej służbie żeńskiej za pościel.

Serce się ścisnęło biednemu chłopcu, gdy go tam wepchnięto, gdy spojrział na ten nieład i brudy ekonomskiej piekarni, gdy się przypatrzył tym twarzom obcym i bladym i bez uśmiechu, i gdy przypomniał sobie czyste swoje pokoiki, łóżeczko, które mu zawsze Widalsia słała, i jej kochające oblicze, na którym widział tylko dobroć, dobry humor i przywiązanie bez granic. Przybity temi myślami, usiadł sobie w kąciku na ławie i cicho zapłakał, a gdy się zmęczył tęsknotą i płaczem zmordował, oparłszy głowę na stole, przymrużył zapuchłe i bolące powieki, i marząc o tym rajy swego dzieciństwa, z którego go tak nielitościwie wypędzono, zasnął.

Zostawmy go tak pogrążonego w tém zapomnieniu obecnej niedoli, a powróćmy do dworu pana Klemensa na czas niejaki, aby się dowiedzieć o wrażeniu, jakie wypadek ten na interesujących nas osobach sprawił.

Wszyscy, którzy byli obecni wykonaniu okrutnego rozkazu pana Klemensa, tak się postraszyli jego gniewem i groźbą, że każdy, wzięwszy się z podwójną gorliwością do swego obowiązku, zamknął gębę i starał się z serca i z pamięci wyrzucić obraz biednego dziecka i smutek, jaki mu los jego sprawił. Nikt więc nie pisał ani słowa; nawet Owsikowski nie śmiał jawnie pójść do Widalskiej i uwiadomić ją co się stało. Poczciwa staruszka, nie widząc chłopca do godziny jedynastej, zaczęła się już niepokoić i gniewać na swywolnika, który jej tyle kłopotu dawał. Posłała więc najprzód służbę do stajni i na folwark, ale tam każdy jej unikał i odbąknął tylko, że chłopca nie ma. Wprawdzie w odpowiedzi tej, zwłaszcza ludzi stajennych, było coś tajemniczego i smutnego, ale prosta kobieta nie rozumiała wyrazu, jaki

się na twarzy i w głosie odpowiadających na te zapytania ukazywał, a słyszała tylko słowo: *nie ma*, które Widalskiej odniosła. Wtedy ta ostatnia, jeszcze mocniej zmartwiona, nakrywszy głowę lekką chustką, poszła do ogrodu i udała się najprzód do sadzawki, rojąc już katastrofę, na której samą myśl kochające jej serce zastygało. Ale i bacik był na kłódkę zamknięty, i czółno także na łańcuszku przy-mocowane do brzegu. Uspokoiwszy się w tym głównym punkcie, poszła dalej, a choć jej spuchłe nogi pod ciężarem ogromnego ciała upadały, odpoczywając często, sapiąc i obcierając pot z zafrasowanego czoła, obeszła prawie cały ogród, wdzierając się do wszystkich kłębów, w których go kiedy znajdowała, pogładając przytém na każde drzewo, na które dawniej wlaził. Ale nikt do niej nie zakukał, nikt na stroskaną kobietę ani żołędzią, ani niedojrzałym jabłuszkiem nie rzucił. Dobywając więc ostatnich sił i otarłszy łzę, która oko jej zrosiła, poszła jeszcze tą cienistą i krętą uliczką, prowadzącą do kiosku, który był najodleglejszym punktem ogrodu. Tam spostrzegła Rozalię, siedzącą samotnie, z twarzą opartą na dłoni i patrzącą na blizkie kiosku wysokie drzewo, jakby wspomnienie téj jasnej główki, która się tam niedawno kryła, i wspomnienie trwogi, jakiej ztąd doznała, miłém jej było.

— Czego to szukasz, Widalsiu — rzekła z melancholicznym uśmiechem Rozalia — po takim upale i tak daleko?

— At, proszę jaśnie wielmożnej pani! — odpowiedziała stara sapiąc, i chwytając się za poręcz kiosku — już nóg nie czuję i ledwo żyję z fatygi i ze zmartwienia.

— Siądź, Widalsiu, proszę cię — rzekła z dobrocią pani, i uśmiech ten przymuszony zgasł nagle z jej twarzy. — Czy nie chłopca swego szukasz?

— A proszę jaśnie wielmożnej pani! — odpowiedziała Widalska, siadając przez uszanowanie na samym brzegu ławeczki. — Czy nie bieda to mnie z tym swywołnikiem! Tylko co pacierz zmówił i zjadł śniadanie, jak pobiegł, tak do téj pory go nie ma. Wybiegł bez czapeczki; jeszcze głowę przepali i zachoruje, jak mój nieboszczyk Wicunio, com go nigdy od tego oduczyć nie mogła.

— Posyłała-żeś do stajni, Widalsiu? — rzekła Rozalia, której twarz jeszcze gorzej pobladła. — Słyszałam, że on tam najczęściej przebywa.

— Et, proszę jaśnie wielmożnej pani — odpowiedziała stara niby z niechęcią, a łzy nabiegły do jej oczów. — Posyłałam i do stajni i na folwark, i nigdzie, nigdzie go nie ma; jak kamień w wodę, tak się gdzieś schował.

— Uspokój się, moja pocziwa Widalsiu! — rzekła Rozalia powstając, i głos widocznie nikał na jej ustach, jak chusta pobladłych.

przybiegnie on i nic mu się nie zrobi. Tylko odpocznij sobie tu, i idź powoli do stancyi, bo upał wielki, a tobie ciężko.

— Oj ciężko! bardzo ciężko, proszę jasnie wielmożnej pani — odpowiedziała stara, ocierając oczy — a zwłaszcza, kiedy w sercu taki kłopot i w głowie jakby kto ołowiu nakładł. Kiedyż bo to takie przytém poczciwe, takie miłe dziecko! ja żadnego swego tak nie kochałam...

Rozalia odwróciła się od płaczącej Widalskiej, i poszła prędko ulicą, a nieoceniona ochmistrzyni Tadeuszka usiadła sobie dopiero wygodnie, wyplakała się należycie, i dawszy dobre wytchnienie swym spuchłym i sfatygowanym nogom, sapiąc, wzdychając, oglądając się jeszcze na wszystkie strony, i mówiąc modlitwę do Świętego Antoniego Padewskiego, aby się jój zguba znalazła, poszła powoli do domu.

Pan Klemens cały ranek był w pokoju swoim zamknięty. Do wszystkich męczarni, które serce jego szarpały, przybył zapewne i wstyd tak nieludzkiego postępku i tak niezwykłego mu uniesienia. Gdy się zebrawi na śniadanie, spostrzegła Rozalia chmurę na czole męża i jad w jego oczach, ale czy to przez dumę, czy przez postanowienie zniweczenia jego zamiarów i środków wykrycia prawdy, które może przenikała, udało, że nic nie widzi i nadzwyczajnego stanu męża nie miarkuje. Przeszło więc śniadanie w milczeniu, po którym Rozalia usiadła do zwykłej roboty, a pan Klemens chodził długo po pokoju, oczekując, czy go nie zaczepi, burząc się jój obojętnością i tym pozornym spokojem, który, jak się czytelnicy domyślają, kosztował ją może kilka lat życia, i mocując się z sobą, aby nie wybuchnąć od razu, i tą nierozważną eksplozyą całej maszyny swojej nie zepsuć. Po niejakiem jednak czasie, przystępując do okna, a spoglądając nieznacznie na twarz żony, rzekł:

— Aż ciszej i spokojniej na dziedzińcu, że tego smarkacza nie ma. Miałas rację, żeś nie pozwoliła na to, aby się z synem naszym wychowywał. Zuchwalec tak się dobrocią naszą rozpuścił i ośmielił, że batog, do którego widać urodzony, podniósł dziś na Hippolitka i w moich oczach uderzył go.

— Należało go kazać ukarać — odpowiedziała Rozalia, nie podnosząc głowy — ale i Hippolitkowi nie przebaczyć, kiedy musiał mu dać powód.

— Tak myślisz? — rzekł pan Klemens, i oczy się jego zaiskrzyły, bo mu się zdawało, że już blizkim jest celu.

— Tak sędzę — odpowiedziała obojętnie i strzepując kanwę, którą potem wyciągała na kolanach — że dla dobra własnego dziecka, którego niepokojące usposobienie znasz, a przynajmniej znać powinienes. należało rzecz tę z zimną krwią wyegzaminować!

— Jakże wiész, zem tego nie zrobił? — zapytał przybliżając się.

— Wiem, bo mi Hippolitek z radością, którą mu zganiłam, opowiadał, jak kazałeś tamtego oćwicyć i z domu wyprawić — odpowiedziała Rozalia, a panu Klemensowi zdawało się, że głos jej gask, i usta konwulsyjnie ściągnęły się.

— Wszak wczoraj słyszałaś, jaki miałem względem niego zamiar — rzekł pan Klemens. — Byłbym go może nie wykonał, gdyby nie dzisiejsza jego zuchwałość, która mnie w najwyższym stopniu rozgniewała. Sam więc winien, że się tak stało.

— I bardzo źle się stało — odpowiedziała obojętnie.

— Dla czegoż ten... — tu zatrzymał się, żeby nie wymówić wyrazu, który miał na języku, i potem dodał: — Nie pojmuje, zkład w tobie takie interesowanie się za tym chłopcem, któregoś dotąd nie lubiła wcale.

— Anim go lubiła, ani nie lubiła — odpowiedziała Rozalia. — Postępek zaś twój znajduję złym i nagannym, bardziej przez wzgląd na ciebie samego, niż przez wzgląd na to biedne dziecko, któremu mogłeś wcale inny dać kierunek. Co ludzie o tobie powiedzą, że zamiast dać wychowanie sierocie, którego nam Bóg zesłał dla tego, żeśmy bogaci, i mamy więcej niż nam potrzeba, wyprawiasz go z domu, aby się wysługiwał dzieciom twego oficjalisty, i tak zarabiał na wyżywienie się i jakiegokolwiek ukształcenie? Nazwą cię skąpcem nieludzkim, nagradzającym swoich służalców przez poniżenie dziecka, które już i tak nieszczęśliwe.

— A! tobie o to idzie, żeby ludzie zemnie nie szydzili? — odpowiedział pan Klemens z przyciskiem, i przenikając ją wzrokiem tak, jakby chciał przeszyć jej piersi.

— Sądzę, że przez lat dwanaście dałam ci tego dosyć dowodów — rzekła Rozalia, ale z taką godnością i z takim przekonaniem, że pan Klemens zmieszał się prawie i zderutował. Po chwili jednak rzekł:

— Niech tylko to o mnie ludzie mówią, a nie co innego, to mniejsza; żartuję sobie z ich gadania i wiem, co robię. A chociaż perswazyje twoje znajduję bardzo naturalnemi — dodał ironicznie — i spostrzegam, że cię los tego chłopca nagle interesować zaczął, ja postanowienia mego nie zmienię, i będzie jak kazałem.

— Jak chcesz — odpowiedziała Rozalia zimno i z dumą — powiedziałam, co do mnie należało i jak jestem przekonaną. Gdybyś był téj rozmowy sam nie zaczynał, milczałabym pewnie.

Na tém się skończyło między małżonkami. Oboje zdawali się siebie przenikać, ale oboje spostrzegli to dobrze, że są od siebie o sto mil dalej, niż byli dotąd.

Późno już wieczorem, stary kawalerzysta Owsikowski przemknął się nieznacznie po pod okno Widalskiej, w którym się jeszcze świe-

ciło, i obejrzawszy się w około, czy kto nie patrzy, zajrzał tam, co starszka robi. Przekonawszy się, że jeszcze nie śpi, ale modli się, i co moment zdejmując okulary i lży ociera, zastukał delikatnie w szybę, jak kochanek wyzywający ulubioną na słodką schadzkę, do której pora już nadeszła. Przestraszona z razu Widalska przeżegnała się, ale gdy stukanie się powtórzyło, powstała, i przechylając się na obie strony, i szorując wydeptanemi trzewikami, zbliżyła się do okna. Sądziła ona z razu, że to Tadeuszek wyrwał się z pod straży, pod którą go wzięto, a o której już cokolwiek wiedziała, i przybiegł cichaczem pod skrzydło téj, co nad nim od dzieciństwa czuwała. Ale wkrótce spostrzegła przyłożoną do szyby twarz długą, kościstą, i siwe wąsy, które ruszały się pod cichym i niezrozumiałym szeptem. Z początku cofnęła się przestraszona, ale wkrótce, poznawszy przyjaciela i swojego i dziecka, którego stratę oplakiwała, otworzyła okno.

— Czy można jeszcze z imością pomówić? — zapytał z cicha Owsikowski — ale pod wielkim sekretem.

— Czy co wiesz, panie Gracyanie? — odpowiedziała Widalska z ciężkiem westchnieniem.

— Ale wiem, tylko cicho! — dodał oglądając się.

— To chodź jegomość do mnie. Służąca już śpi, a biednego dziecka mego nie ma — rzekła ocierając oczy, i zamknęła okno.

Owsikowski otworzył cicho furtkę ogrodową, i tylnemi drzwiami, przez sionkę od ogrodu, wszedł ze spuszczoną głową i zafrasowaną twarzą do tego mieszkania, do którego niegdyś wchodził wesoło, dla wytchnienia, na miłe mu uczenie pojętnego chłopczyka i przypatrywanie się jego figlarnym minkom i rozkosznej swywoli.

Gdy oboje usiedli, pan Owsikowski rzekł:

— Nie byłem u imości dotąd, bo to nie żarty; trzeba być ostrożnym.

— Co się to stało, mój Boże? — zawołała Widalska, łamiąc ręce.

— Przez co biedne dziecko mogło na taki gniew zasłużyć?

— E, powiem imości — odpowiedział Owsikowski, szarpiąc z gniewu wąsy — żem to ja, Panie odpuść! tego wszystkiego narobił.

— Człowieku! miałeś ty sumienie! — zawołała Widalska, patrząc na starego z serdecznym żalem.

— Oh! ale poczekaj bo no imość, bo to trzeba wszystko wiedzieć, jak to było. — Tu pocziwy koniuszy opowiedział jój szczegóły wypadku, które już znamy, i nie szczędząc pochwał dla zgrabności Tadeuszka, jego cierpliwości, z jaką zniósł chłostę, jego minę, z jaką stał przed panem, tak okrutnie zagniewanym.

— Niech się sobie gniewa, jak chce — mówiła Widalska, rzewnie płacząc — ja zaraz jutro prosto do niego pójde, i w niebogłosy wołać

będę, że to niesprawiedliwość i okrucieństwo, tak męczyć niewinne dziecko. Mój biedny Tadeuszek ma paść cielęta! Tego nie będzie, ni, chyba po mojej śmierci! Miły Boże! czy to tak z dzieckiem postępować, a jeszcze z sierotą, na którym Bóg widocznie rękę swoją położył, takie mu dał serce i takie oczy, że jak spojrzy, toby się kamień zmiłował! A sam ojcem jest i nie boi się, żeby go za to Pan Bóg ciężko nie ukarał. Ale tam nie ma ojcowskiego serca i za trzy grosze w tym człowieku. Wiele to razy mój nieboszczyk, jak się rozgniewał na Jasia, co mi umarł na febrę, albo na Franka, albo na którebądź dziecko, a było ich chwala Bogu trzynaścioro, mówił: — ej chłopcze! pójdziesz gęsi paść! — A czy to zrobił? Nie, nie zrobił tego nigdy. Pogniewał się, ukarał, i dał się przeprosić. Bo miał ojcowskie serce, bo to był człowiek, jakich mało. Panie świeć nad duszą jego, choć się trochę napijał.

W czasie całej téj perory, pan Gracyan siedział pochylony, jedną ręką trąc kolano, a drugą szarpiąc siwe swe wąsy, na które lzy kropliste spadały. Gdy przestała mówić, rzekł:

— Słuchaj-no imość! i mnie tego chłopca niemniej żal, jak i imości samój, coś go wychuchała jak rodzona matka. Patrzaj imość, ja stary wąsacz i dawny rębacz, a płacząc jak dziecko, tak mi się serce ścisza i tak tu coś wije się i boli. A jednakowo muszę sobie przykąsić języka i obejrzeć się na siebie, na żonę i na własne dzieci, które codzien wołają chleba, i nie dadzą sobie wyperswadować, jak go nie będzie. Mówię imości, że pan wyraźnie zapowiedział: jeżeli mi kto o tym smarkaczu słówko piśnie, lub go protegować będzie, won ze służby, nie ma u mnie miejsca. A gdzie ja teraz na starość znalazłbym takie miejsce, jakie mam, gdybym chciał pokazać, że sierotę skrzywdzili, i że ja go więcej kocham, jak siebie i swoje własne dzieci? Trzeba dwa razy pomyśleć i dobrze rozkalkulować, nim w takich okolicznościach człowiek co powie, albo zrobi. To téż i imość zamilknij na czas niejaki, nim się to wyklaruje. I imość także jużéś stara, ciężka, ani chodzić nie możesz, a tém bardziej robić; a przywykłaś do wygody, do gotowego, i pewnie nie wiéś, gdziebyś poszła i gdzie znalazła przytułek i kawałek chleba, gdyby ci raptem powiedzieli: fora ze dwora! To tak zostać nie może. Pan nie taki zły, jak się wydaje; i djabli go wiedzą zkad mu się taka furja wzięła, w jakiej go nigdy nie widziałem. To jakieś licho na niego naszło, wierz mi imość, i przejdzie, bo to nie jego natura. Ot synek, jeżeli wyrośnie taki, jak teraz jest, to co innégo. To już z gruntu złe i zawzięte. Od tego już nikt ani się wymodli, ani wyprosi. Ale ojciec nie taki. Znam go, dzięki Bogu, nie od wczoraj. Uspokój się więc imość i przycupnij tak, żeby ani duchu twojego nie było słyhać, ani

leż widać. A my to jakoś z panem rządcą nakierujemy tak, że się to wszystko zmieni, i Tadeuszek prędko powróci.

— A tymczasem będzie cieleća pas! biedny, biedny mój chłopczyzna! — wołała Widalska, załamując ręce.

— Nu, wielka rzecz! — rzekł powstając Owsikowski — pobiega jaki tydzień za cielećkami latem, na świeżem powietrzu. To mu jeszcze wyjdzie na zdrowie.

— Ale się opali, jak jakie chłopiątko! — rzekła Widalska.

— Et! żeby tylko tyle biedy i było! — zawołał pan Gracyan i zabierając się do wyjścia, dodał: — Dobranoc imości; pomódl się jeszcze i idź spać. Cały dzień dziś schodziłaś się i splotkałaś.

— Och, ledwom żywa! — zawołała z ciężkiem westchnieniem.

— Da Pan Bóg, że wkrótce przyjdę do imości z inszą wiadomością — dodał pan Owsikowski, i ścisnąwszy szeroką dłoń staruszki, poszedł. Gdy się przemykał pod jej oknem i jeszcze raz tam zajrzał, widział, że stara klęczała, i do Świętego Józefa, patrona swego, błagając wyciągała ręce.

W takim stanie były umysły we dworze pana Klemensa. Tymczasem Tadeuszek, wypawszy się w kątku na ławie, gdzie mu jedna z kobiet piekarnianych, która się nad biednym dzieckiem zlitowała, własną siermięgę podesłała pod głowę, obudzony został równo ze dniem przez pana Radłowskiego, który go rączką od harapnika parę razy w bok dobrze trącił. Zerwał się chłopczyk równemi nogami, przetarł oczy, jakby sobie przypominając, co się z nim stało, i gdy rzucił okiem w około siebie, gdy spojrzął na barczystą postać swego przesładowcy, który w kurtce dymkowej szarej, w takichże szarawarach, w słomianym kapeluszu i z harapem w rękę, stał przed nim, gotów już do wyjechania w pole, zaczął znowu drżać, i łzawem okiem szukać po za plecami ekonoma jakiej ludzkiej i miłosiernej twarzy, coby się nad nim zlitowała. Ale za panem Radłowskim stał tylko duży, zarosły i brudny pastuch, a dalej baba rozpalająca ogień, a po różnych kątach dziewczki rozczochrane, które tylko co zerwały się ze snu, i zawiązując co prędzej głowypodartemi chuściami, gotowały się każda do swojej roboty. Na ten widok ścisnęło się serce biednemu chłopcu; spuścił więc głowę, i choć łyż z ócz jego kapwały, w duszy jego obudziła się rezygnacja, z jaką losu swego oczekiwał.

— Rozbierz się, smarkaczu! — rzekł grubym głosem pan Radłowski. — Te pańskie sukienki zdadzą się na kogo innego.

Tadeuszek, widząc ciężką konieczność, rozebrał się; wdział grubą koszulę, którą mu ekonom rzucił; potem zdjawszy lekkie swe spodnie, nowe jeszcze buciki i czyste pończoszki, które mu wczoraj właśnie sama Widalsia przyrządziła, wdział płócienne szarawarki, ściągające się na sznurku, opuścił na wierzch koszulę, którą mu rze-



mykiem w pasie przewiązywać kazano, i tak ustrojony i bosy, do nowego przygotował się zawodu. Ale i w tém nawet chłopskiem odzieniu nie stracił on piętna wychowania i szlachetnej swój i rozwiniętej natury. Dziewki spoglądały z politowaniem i współczuciem na ślicznego chłopczyka, a baba stojąca przy piecu, z twarzą opartą na dłoni, kiwała głową, że takiego ładnego panicza zamieniają na chłopca i wcielają go do ich nędzy i poniżenia, które oni tak dobrze czują. Gdy tym sposobem toaleta nowego pastuszka była skończona, pan Radłowski kazał mu przewiesić przez ramię niewielką torebkę, w której był chleb i kawałek séra, a dawszy w rękę weretkę do okrycia się na przypadek dészczu, słomiany kapelusik i batozek, poprowadził za sobą.

Na dziedzińcu zbierała się trzoda dworska, mająca wychodzić w pole. Z niej kazał pan Radłowski oddzielić dwadzieścioro najpiękniejszych cieląt, i te Tadeuszkowi powierzył.

— A pamiętaj, smarkaczu — krzyknął potem tak, że krew w biednym chłopcu zastygła — żebyś mi pastucha słuchał, tam szedł gdzie on ci każe, nie swywoił z chłopcami, za cielętami się nie gonił, nie ćwiczył ich batogiem, ale tylko postraszył, rozumiesz? A jak które zginie, albo pójdzie w szkodę, to tak oberwiesz, że onegdajszy piątek obaczysz. — Tu rozwinąwszy harap i zaciąwszy nim Tadeuszka dla próby, jak to on umieć, kazał rogatěj gromadzie pod przewodnictwem właściwych dowódców wyruszyć.

Całą drogę bohater nasz, pędząc swoją trzódkę i trzymając ją w kupie, rzewnie płakał. Nie było dla niego to rzemiosło tak bardzo nowém. Nieraz on z chłopcami był w polu, gdzie pasli konie i bydło, i sam po wielokroć uganiał się za cielętami, zgromadzał je do kupy i wypędzał ze szkody, zwłaszcza gdy one poruczone były jakiemu słabszemu od niego dziecku, które sobie rady dać nie mogło i płakało, bojąc się chłosty, gdyby ojciec lub polowy zobaczyli, że zboże wypasione i wytluczone. Ale tam było coś innego. Tam robił to z ochoty, często przez swywołę, a częściej dla przyniesienia ulgi i z popędu dobrego serca. Tu był przymus, połączony z chęcią poniżenia go i ukarania tak niesprawiedliwie i okrutnie, za to, że sobie nie dał krzywdy zrobić i odebraną odwetował. To go ciężko bolało, i dla tego tak płakał, tak mu się przykrą wydawała ta nowa funkuya, a szczególniej to oddzielenie od tych wszystkich, których kochał, i przed którymi mógłby się poskarżyć. Widział pastuch lzy rozżalonego dziecka, i idąc obok niego zaszępiony, żadnego przykrego słowa mu nie powiedział. Owszem, gdy które cielę miało ochotę, ni ztąd, ni z owąd, bryknąć i na bok odskoczyć, sam pobiegł, z bicia trzasnął i do kupy je spędził. Gdy przyszli na to miejsce, gdzie Ta-

deuszek z trzódką swoją miał zostać, rzekł mu, jak mógł najłagodniej:

— Nie płacz, paniczu, nie płacz! Nie taka to wielka bieda, jak się tobie zdaje. Ot, ja od młodych lat pasę bydło, a zdrów jestem i wesół, chyba że widzę, że kto płacze, albo że kogą biją. Gorzej cepem wywijać, albo sierpem i kosą machać cały dzień, że potem człowiek kości nie czuje, i nie ma sił ukąsić kawałek chleba. Krowy, to dobre, boże stworzenia, znają człowieka co koło nich chodzi, i tak patrzą w oczy, jakby dziękowały, że ich na dobrą paszę popędzisz i do czystej wody przygonisz. Ot, ze świniami to już bieda. Świnia wszędzie świnia. Jakby ci kazali paść prosięta, tobys miał czego płakać; bo to bestya uparta. Ty jego ze szkody, a ono w szkodę; a tu jak raz nadjeżdża ekonom z harapnikiem, albo polowy z kijem, i krzyczy i bije, że nie pilnujesz, a tego nie wie, że człowiek rady sobie dać nie może, i nóg już nie czuje. Z cielakami, biedny paniczu, nie zaznasz wielkiego kłopotu. Ot, tu ich na tę zieloną łąkę, co ja niedawno skosili, zapędź, jak słońko się podniesie,—to ich ot tam, do rzeczki zagoń, żeby się napiły, a potem pod ten las zaprowadź, to będą sobie w chłodku spokojnie chodzić i trawkę szczypać i listki z krzaków ogryzać. A ty sobie, paniczu, pacierz zmów, kawałek chleba zjedź, ta i siądź i śpiewaj, i często z batożka trzaskaj, żeby wiedziały, że jesteś i pilnujesz: bo choć to głupie, jednakowo mają ten rozum, że wiedzą co batog. Tylko nie kładnij się i nie śpij, paniczu, aj! tego nie rób, bo choć tu blisko nie ma szkody, tylko za rzeczką, przez którą nie przejdą, ale tam las, gdzieby mogło które przepaść. A jakby ten suczy syn nadjechał — dodał pastuch, oglądając się jednak, czy go kto nie słyszy — zobaczył cię śpiącego, toby cię tak harapnikiem wykropił, żeby ci siniaków i rodzona matka nie zagoiła.

Ta długa przemowa łamanym językiem, przez pół polskim, a przez pół ruskim wymówiona, była prawdziwym dla Tadeuszka balsamem. Poznał on że nie wszyscy na niego tak dziko patrzą, jak ekonom, ekonomowa i ich synkowie; że pod brudną i grubą koszulą, w pierśiach tego prostego człowieka, któremu go pod najbliższy dozór oddano, jest cokolwiek serca, które się nad jego losem i opuszczeniem zlitowało. Podziękował więc dobremu człowiekowi za jego radę, otarł łzy, które mu zalały oczy na obraz Widalsi, wspomnieniem rodzonej matki wywołany, i rozwinąwszy batog, trzasnął nim kilka razy tak dzielnie, że się aż echo po pagórkach rozeszło, i cielęta jego, widąc do tego hasła przyuczone, do kupki się zbiegły.

— Ej! dobrze, dobrze, paniczu! — rzekł chłop uśmiechając się — będzie z ciebie kiedyś tęgi pastuch! No, idź-że z niemi, idź tam, i rób tak, jak mówiłem; a ja będę z trzodą tu niedaleko za górą, na wielkim wygonie.

Takim sposobem Tadeuszek, w nowym swym obowiązku instalowany, rozpoczął go z sercem, kilku dobrimi słowami umocnioném.

Miejsce to było nadwyzczaj piękném i uśmiechajacém się. Zielona łąka, niedawno skoszona i przeznaczona umyślnie na pastwisko dla pańskich cieląt, rozciągała się szerokim pasem ode drogi aż pod pagórek, ciągnący się daleko na lewo, na prawo zakrzywiony, i idący wzdłuż nad rzeczką, ale wszędzie obrosły jednym z tych prześlicznych lasów, jakie tylko na Podolu widzieć można. Łąka z jednej strony przypierała do pola, które na przyszlą oziminę już było przygotowane, z drugiej ograniczała ją wspomniona rzeczka, niegłęboka, płynąca kręto po gruncie piaszczystym, i obrosła od strony łąki krzakami łoziny, czeremchy i innych krzewów, które nad brzegiem jej w naturalne zbiegały się kłaby. Rzeczka ta przechodziła przez trakt, pod ładnym na nią mostem, i z tamtej jego strony zakrzywiając się, biegła ku wsi, gdzie formowała spory staw, do którego ogród dworski przytykał. Szczególnie widok był piękny od strony lasu, jako z miejsca cokolwiek wzniesionego. Ztamtąd u dołu widać było wspomnioną wyżej łąkę, z kłabami nad rzeczką, i rzeczkę, która wiła się krętą i błyskającą wstążką, a za nią, na lewo, obszerne pola, na których chwiały się wykłoszone już zboża, naprzeciw dobrze ubitą drogę z ładnym mostem, za drogą nieprzejrzaną łąką, które się kończyły siniejącymi wzgórzami, a z boku wieś bielejącą wśród drzew, i dwór pański, wznoszący się ze swemi dachami i kominami nad zieloną ogrodnicę. W tém to miejscu na cały dzień został bohater nasz z cielętami, które ochoczo paść się zaczęły. Usłuchawszy rady dobrego pastucha, najprzód ukląkł, ręczki złożył, jak go zawsze Widalsia uczyła, i mówiąc pacierz, serdecznie się wyplakał. Utuliwszy się cokolwiek, i trzasnąwszy kilka razy batogiem, aby dać znać trzodzie swojej, że jest i nad nią czuwa, usiadł sobie na ziemi, i dobywszy z torby chleb i sér, zjadł ze smakiem części swego całodziennego zapasu, i po wczorajszym wygłodzeniu się zwątlone siły pokrzepił. Gdy słońce się podniosło, zapędził trzódkę swą do rzeczki, napił ją, i sam się napił. Potém, zagnawszy cielęta pod las, i pozwalając im paść się przy jego brzegu i korzystać z chłodu, usiadł sobie pod dębem tak, aby wszystkie mógł widzieć, i nad położeniem swém medytować zaczął.

Stan jego, w porównaniu z dawniejszém życiem, był bardzo przykry i bolesny. Tam go wszyscy kochali, tu jeden dopiero człowiek jakkolwiek litościwie do niego przemówił; tam był swobodny, mógł biegać gdzie chciał, bawić się czém chciał, tu musi siedzieć na miejscu i pilnować powierzonych sobie cieląt; tam miał ładne sukienki, chodził w czystych bucikach lub w trzewiczkach, co trzeci dzień brał świeżą bieliznę, spał w łóżeczku, które sama Widalsia uścielała; tu

ubrano go w grubą koszulę, zdjęto z niego obuwie, tu odpoczywał na twardej ławie, a dalej może spać będzie w oborze, na garści zmiętej i mokrej słomy. Wszystkie te uwagi gorzkiem napelniły go uczuciem. Ale z drugiej strony, gdy spojrzął na ten piękny widok, co go otaczał, gdy pomyślał, że i tu są takie piękne drzewa, tak rozkoszny las, taka zielona łąka, tak ładna i świeża rzeczka, takie same pola, które i tam tak lubił; gdy błękitne oczy swe, w których kropliste łzy stały, podniósł na jasne i równie błękitne niebo, i poczuł przenikające ciepło tego samego słońca, z którym się tak dobrze znał; gdy pomyślał, że zatrudnienie to daje mu swobodę, i usuwa od ócz nieludzkiego człowieka, który go tak przestraszył, nie wiedzieć za co sfukał i dziś nie wiedzieć za co harapnikiem ściągnął, pogodził się cokolwiek ze swoim losem, spokojniej na przyszłość spoglądać zaczął, a przyszedłszy do dziwnej i nad wiek swój rezygnacyi, w ostatecznym rezultacie znalazł, że życie pasterskie nie jest jeszcze tak bardzo przeciwne naturze ludzkiej, jak czyszczenie butów, i nie ma w sobie nic takiego, od czegooby zdesperować trzeba. Zaczął więc z większym zajęciem przypatrywać się powierzonym sobie cielętom, wyszukiwał sam dla nich miejsca na łące, gdzie była najlepsza trawa, poznał się z najładniejszymi, i okruszynkami swojego chleba częstując, do ręki je swojej przyciągał.

Gdy wieczorem pastuch całą trzodę przygnął, aby i tę częśćkę z sobą zabrać, zastał Tadeuszka tym sposobem zajętego, i mającego suche oczy i spokojną i rumianą twarzyczkę. Ucieszył się dobry człowieczysko tym widokiem, pochwalił rozumnego panicza, jak go nazywał, i poszedł z nim razem do domu. Jeszcze jedna uciecha dziś go czekała; bo dla dziecka przyzwyczajonego do miłości ludzkiej, każda, by najmniejsza jęj oznaka, zwłaszcza w takim opuszczeniu, jest skarbem nieocenionym. Gdy przyszedł do piekarni, baba, która jeść przyrządzała, zawoławszy go w kącik, dała mu na czystym talerzu dobrego barszczu i kawał pytłowego chleba, który dziewczynie, usługującej przy stole ekonomy, sprzątnąć cichaczem kazała. Podziękował chłopczyzna dobrej kobiecie za taki bankiet, a ona, pogłaskawszy go po głowie, rzekła:

— Ne żuryś, panyczu! tak będziesz miał co dzień, tylko nie płacz.

Tak schodziły bohaterowi naszemu dni jego pasterskiego życia, i tak przeminał tydzień, a w jego przeciągu nic się takiego nie stało, coby na wzmiankę zasłużyć mogło. Codziennie w wieczór pastuch prowadził go do komórki przy cielętniku, tam mu nasłał świeżego siana, sam chłopca ułożył i okrył, a raniutko, równo ze świtem, przychodził go budzić. W piekarni dziewczyna umyła go, wyczesła, zawiązała jego koszulę pod szyją swoją własną czerwoną wstążeczką; baba

napełniała jego torebkę razowym chlebem i kawalkiem sera, jeżeli przypadkiem zaszedł wtedy ekonom; jeżeli go nie było, to chlebem pytlowym, odrobiną masła zawiniętą w listek i czystą szmatkę, a czasem i innym jakim specyjalikiem, jaki się im sprzątnąć i schować udało. Cały dzień bawił Tadeuszek na łące, lub przypatrywał się przejeżdżającym drogą ludziom, a wieczorem znowu dostawał baraszek lub kaszę z mlekiem, a raz i kurczaka, któremu baba cichaczem łeb uknęciła i dla niego upiekła. Wypogodziło się więc zupełnie czoło wesołego chłopca, uśmiech wrócił na jego usta, i już zaczął przemyślać, jakiegoby figla ekonomowej splatać, gdyż gorzej jej nie lubił, jak jej męża, którego wszakże się bał jak ognia, i ile możliwości unikał.

Na drugi tydzień, gdy raz wieczorem przygnali trzodę na dziedziniec, postrzegł Tadeuszek we dworze wielki zakręt. W domu pańskim pootwierane były okiennice i okna, w pokojach zamiatali, wynosili meble na dziedziniec, obcierali je i wytrzepywali. Ciekawy chłopczyzna podbiegł bliżej, żeby zapytać ludzi krzątających się, co się to stało. Ale tylko co się tam zbliżył, wyszedł z domu ekonom, zakłopotany i niezmiernie zły. Postrzegłszy Tadeuszka, krzyknął na niego:

— A po co tu, smarkaczu? to tak pilnujesz, co do ciebie należy?

Przestraszony Tadeuszek uciekł przed świstem harapnika, który go nie dosięgnął, i schował się do najciemniejszego kąta w cielętniku. Dopiero w półtorej godziny z tamąd wyjrzał, i widząc, że ani pana Radłowskiego, ani jego małżonki nigdzie nie ma, pobiegł do piekarni, zjadł, co mu baba przyrządziła, i nie śmiejąc już o nic zapytać, poszedł spać do swojej komórki. Raniutko, jak zwykle, poszli w pole.

Gdy się słońce zniżyło, Tadeuszek wypędził trzódkę swoją z łąsku, zgromadził ją blisko drogi, i tam usiadłszy, przypatrywał się przechodzącym i przejeżdżającym drogą, co się dość często zdarzało, bo to był trakt dość duży i prowadzący do miasteczka, które o milę leżało. Wtedy usłyszał z daleka ode wsi trzaskanie z bicia i turkot powozu. Powstał więc, oparł się na biczysku od swego pastuszego batoga, kapelusik położył na ziemi, żeby mu nie przeszkadzał widzieć, i z miną ciekawą i spokojną patrzył na zbliżający się czterokonny i otwarty kocz i na jadącą za nim bryczkę. W koczu była jakaś pani, jakiś stary pan i niewielki chłopczyk, który stał między niemi i w około się oglądał. W bryczce siedział jakiś z wielkimi wąsami jegomość. Jeszcze się jadący nie zrównali z Tadeuszkim, gdy poznał wszystkich. Był to pan Klemens, Rozalia i Hippolitek, a w bryczce Radłowski. Im bardziej zbliżały się powozy do stojącego blisko drogi chłopczyka, tém wolniej szły konie; a nareszcie usłyszał Tadeuszek wyraźnie, jak pan Klemens kazał jechać stępo, potem sta-

nać. Dziwnie jakos zrobiło się biednemu dziecku, gdy patrzył na tego człowieka, co go tak niesprawiedliwie ukarał, na tę kobietę, co czasem była tak dobrą, a jednak przyzwoliła na jego krzywdę; na tego złego chłopca, co się stał tej krzywdy przyczyną. Ale w energiczném sercu jego zbudziło się nie zaleknienie, ale jakaś śmiałość i chęć pokazania, że o nich nie dba. Nie pobladł więc, nie uciekł, nie miał łez w oczach, ale oparty na swoim batożku stał spokojnie i patrzył z uśmiechem. Jak tylko powóz się zatrzymał, postrzegł Tadeuszek, że pani odwróciła się w stronę przeciwną, a pan nie na niego, ale na nią patrzył. Hippolitek tylko wytrzeszczył na niego oczy, poznał go, i nie mogąc mu widać darować, że go śmiał wybatożyć, zmarszczył się i znowu kulakiem pogroził. Wtedy nierozważna myśl przyszła do głowy bohaterowi naszemu. Uśmiechnął się do wroga swego szydersko, i rozwinąwszy batóg, pokazał mu, jak go nim chłostał. Krzyknął ze złości obrażony panicz; ojciec obejrzał się, a Hippolitek zawołał:

— Papo! każ wybić tego łajdaka. On mi znowu grozi batogiem!

— Radłowski! — zawołał z gniewem pan Klemens — weź-no go po swojemu, a nie żałuj!

Radłowski już był wprzód zeskoczył z bryczki i puścił się za Tadeuszkiem, który, usłyszawszy rozkaz pana Klemensa, naturalnie nie czekał. Zmykał więc przez łąkę, jak młody zajaczek, i chciał się dostać do lasu. Ale gdy się obejrzał, postrzegł, że ekonom choć już niemłody, ale silny i nóg nie żałuje. Strach śmiertelny przejął biednego chłopca na samą myśl, coby się z nim stało, gdyby się w ręce prześladowców swoich dostał. A że strach najsłabszemu nawet stworzeniu dodaje energii i przytomności umysłu, podał Tadeuszkowi tę myśl, aby już nie do lasu dążyć, ale do roli, do której było blisko, i po której ekonom nie mógłby może za nim zdążyć. Rzucił się więc nagle na lewo, i nim rozpędzony ekonom zdołał zmienić kierunek i za nim się zwrócić, dość daleko się odsadził i wkrótce na dobrze uprawnej, pulchnej, a z wierzehu w suchy piasek zmienionej ziemi stanął. Ale warunki gruntu dla nich obydwóch były równe, a nawet dla biednego chłopczyzny gorsze, gdyż maleńkimi nóżkami głębiej zapadał. Ubiegłszy więc spory kawał, uczuł, że mu tehu nie staje, że nogi pod nim drżą, że sił nadużył i upadnie, jeżeli się nie zatrzyma i nie odetchnie. Stanął więc, a widząc, że Radłowski zapierzony, z otwartą gębą, z wytrzeszczonemi oczami nadbiega, nie czując dość mocy, aby mógł uciec, i szukając rozpaczego środka ratunku, schylił się nieznacznie, nabrał obie garści zsuszonej ziemi, i gdy ekonom już, już ręce po niego wyciągał, rzucił mu tym piaskiem w twarz i zupełnie oczy i gębę zasypał. Musiał się zatrzymać oslepiiony prawie Radłowski, zaczął ziemię wypluwać i obcierać oczy,

których otworzyć nie mógł, tak pocisk był trafny i skutecznym. Ryknął, jak lew raniony, rozjadły prześladowca bohatera naszego, który jak Dawid, wystąpiwszy do nierównej walki, z takim samym, choć nie tak krwawym wyszedł z niej tryumfem. Gdy bowiem Radłowski jedno oko, pełne jeszcze piasku i łez, na siłę cokolwiek otworzył, postrzegł, że Tadeuszek był już daleko. Straciwszy więc nadzieję i możność dopędzenia go, wrócił powoli do powozów, a uwolniony z tak okropnego niebezpieczeństwa chłopczyk, stanąwszy na wzgórk, patrzył póty, póki powozy do wsi napowrót zawróciwszy, z miejsca nie ruszyły. A gdy już zupełnie z ócz jego znikły, i tylko tuman kurzawy z daleka się unosił, wtedy ukląkł, zmówił: *Pod Twoją Obronę i Kto się w Opiekę*, które obie modlitwy doskonale umiał, pożegnał myślą swoją kochaną Widalsię i poczciwego Owsikowskiego, i wszystkich dobrych ludzi, których tam kochał, a spojrzawszy na świat, jak szeroki i długi, wyciągnął do niego ręce, i prosząc ze łzami, by przyjął sierotę, prosto ku lasowi się puścił.

## VIII.

Na trzy dni przedtém, pan Klemens wszedł raz do pokoju żony wtedy, kiedy się go najmniej spodziewała, i zastał ją siedzącą w krzesle i zamyśloną. Chociaż otrzęsła się prędko ze swego smutku, i powstawszy oddała mu dobry-dzień z twarzą spokojną i ułożoną, widział dobrze jój stan, i rzekł jój głosem, który drżał i zdradzał złe intencje, choć słowa ich nie wyrażały:

— Róziu! uważam, że ci coś jest. Zamyślasz się i mizerniejesz. Przejedźmy się gdzie, pora piękna; świeże powietrze orzeźwi cię, i może ci to sprawi rozrywkę.

— Nie bardzo ja rozrywki potrzebuję — odpowiedziała Rozalia spokojnie. — Ale jeżeli ci to będzie przyjemném, to dobrze, byle nie z żadną wizytą. Wiiesz, że ich nie lubię.

— Broń Boże! — rzekł pan Klemens — i ja do wizyt nie jestem także usposobionym. Chciałbym przed żniwami objechać majątek, i obaczyć gdzie co jest, a co nie dopisało, żeby mi potem nie łgali. Przymtem — dodał patrząc przenikliwiej w jój twarz — już więcej jak dwa lata nie byłem w Mléczkowcach. Chociaż to Radłowski gospodarz dobry i energiczny, ale wiem z doświadczenia, że tylko pańskie oko konia tuczy. Więc pojedziesz?

— Pojadę — odpowiedziała Rozalia cichszym głosem.

— Żebyś się nie nudziła na folwarkach, gdy ja zajęty będę gospodarstwem — mówił dalej — weź z sobą Hippolitka. Będiesz go miała pod okiem, bo coraz więcej widzę, że on tego potrzebuje.

— Ach! to prawda — odpowiedziała z westchnieniem i zgodziła się na propozycję męża.

Pan Klemens wyszedł, kazał co prędzej robić przygotowania do tej podróży, ale tylko do Radłowskiego wysłał bojara, (\*) z uwiedomieniem, że przyjadą, i z dyspozycją, jakie ma zrobić przygotowania.

Gdy nazajutrz wyjechali, krótko bardzo zatrzymywali się po folwarkach leżących po drodze, dążyli prosto do Mleczkowiec, i przybyli tam już późno wieczorem, tego samego dnia, w którym Tadeuszek widział ów zakręt we dworze, i tylko co za ciekawość swoją nie oberwał.

Na drugi dzień, po wczesnym dość obiedzie, który się przed godziną czwartą skończył, zaszedł kocz otwarty przed ganek pańskiego domu, a przed mieszkaniem ekonoma zaszła owa bryczka, którąśmy już widzieli. Rozalia przyjęła zaproponowany spacer dość obojętnie, a choć może nie bardzo była ciekawa obaczyć ładne wsi tej położenie, które jej mąż niezmiernie zachwalał, i piękną trzodę, którą jej pokazać obiecał, wzięła za rękę Hippolitka i pojechała.

Gdy minęli mostek, rzekł jej pan Klemens:

— Patrz, Róziu, jaka piękna i zielona dolina i jakim zakończona lasem! A! to tu właśnie pasą się wybrane z całej trzody cielaczki! Wdzięczny jestem Radłowskiemu, że im tak obfite pastwisko naznaczył. Jest to gatunek ulepszony, i będą z nich krowy dorodne. Przypatrz się, proszę cię, bo to warto widzenia — i kazał jechać stępo, a potem stanąć.

Rozalia rzuciła okiem na przedmiot, który jej ukazywał, poznała p astuszką, który na nich spokojnie i z uśmiechem patrzył, i choć widziała, że mąż wlepił w nią wzrok, wdzierający się do głębi jej łona, nic nie powiedziawszy, odwróciła się, i okolicy z przeciwnej strony leżącej przypatrywać się zaczęła. Wtedy to miała miejsce owa scena, którą wyżej opisailiśmy, a która na los i przyszłość naszego bohatera tak stanowczy wpływ wywarła.

W czasie tej gonitwy i katastrofy pana Radłowskiego, który dla tej prostej przyczyny nie dokazał swego, że nie miał w ręku ha rapnika, którego przez uszanowanie dla państwa nie wziął z sobą. Rozalia, patrząca już z interesem za uchodzącym i ratującym się tak ro zpaczliwie chłopczyną, rzekła pierwsza:

— Więc to dla zrobienia mi tej siurpryzy przywiozłeś mnie aż tu, Klemensie? i dla tego, abym obaczyła to biedne dziecko przy

(\*) Bojarami nazywają się na Podolu i na Ukrainie poddani, których obowiązkiem jest służyć we dworze do posyłek konnych.



cielętach i w chłopskiej koszulce, zadałeś sobie tyle pracy w przygotowaniu całej tej mizernej komedyi? przyznam ci się — dodała z wyrazem dumy i pogardy — że ona nie dowodzi ani wielkiego daru wynalezienia, ani dobrego i szlachetnego serca.

— A dla czegoż to ciebie tak mocno dotyka? — zapytał pan Klemens z zaiskrzonymi oczami.

— Jakto? — zawołała ze łzą w oku, której nie kryła już wcale — nie ma mię to dotykać, że się pastwisz nad niewinném dzieckiem, którego słabość i sieroctwo powinnyby cię rozbroić; że się dopuszczasz względem niego nadużycia, które czyni ujmę twemu charakterowi? że się uciekasz do takich środków podstępnych i tak z daleka przygotowanych, aby odkryć to, coś sobie uroił?

— Com sobie uroił? Więc suponujesz, że miał powód coś sobie uroić? — zapytał pan Klemens, kontent, że na to pole wchodzi.

— O! nie jestem ja tak ograniczoną — odpowiedziała prędko i z coraz większą żywością i mocą — abym nie widziała, co się w tobie dzieje i jakie krzywdzące podejrzenia męczą cię i katuja. Przez dwanaście lat pożycia z tobą miałam czas przekonać się, jak dalece umiesz w tej mierze panować nad sobą, i ile gorzkich chwil szaleństwa to przygotowało mnie i tobie. Czy sądzisz, że się nie domyślam, jakie supozycje podały ci doniesienia tej nikczemnej intrygantki? Czy myślisz, że nie przekonana, żeś im uwierzył, żeś dla sprawdzenia ich jeździł, żeś naturalnie nic nie odkrył; że potem, chcąc koniecznie dojść do czegoś, coby ci dało powód zniweczyć swoje życie i moje, postanowiłeś dręczyć i poniżać to biedne dziecko, aby jego płacz i nędza wywołały prawdę, której nie mogłeś innym sposobem odkryć? O! wstydź się, doprawdy! zapomniałeś o tém, że masz sześćdziesiąt kilka lat, i że powinienbyś się starać w innych uczuciach, w inném ze mną postępowaniu dociągnąć je do końca.

Pan Klemens zgłupiał, w oczach się jego zaćmiło, i nie widział nawet, jak Tadeuszek wyratował się od przesladującego go ekonoma. Siedział więc w milczeniu z pochyłą głową, tarł ręką czoło, i dopiero gdy Radłowski nadszedł, zapłakany i z błotem na twarzy, które się z ziemii podolskiej i z łez ekonomskich uformowało, wydał polecenie złagodzonem i złamanym głosem, aby dla wyszukania chłopca rozesał ludzi, i kazawszy powóz zawrócić, pojechał do domu. Gdy przed dwór przybyli, rozeszli się milcząc, i każde w swoim zamknęło się pokoju. Rozalia, załamawszy ręce, upadła na krzesło i głośno płakać zaczęła, a pan Klemens chodził ze trzy godziny po swoim apartamencie, i nareszcie, stanąwszy przy oknie, wydobył z kieszeni metrykę Tadeuszka, jeszcze raz ją odczytał i w drobne kawałki podarł.

Tymczasem bohater nasz, w jednej koszulce, z obnażoną głową i bosi, dostawszy się do lasu, szedł nim ciągle i długo, nie wiedząc dokąd idzie, czém głód i pragnienie zaspokoi, gdzie odpocznie, gdy noc nadejdzie. Póki jeszcze było widno, podróż ta szła mu dość sporo, bo i strach pogoni dodawał siły, i nogi jeszcze nie były tak sfatygowane i podrapane. Ale gdy się ściemniło, uczuł dopiero biedny chłopczyzna i upadek sił i upadek ducha, który go dotąd utrzymywał. Usiadł więc w miejscu ustronném i gęstém, dla odpoczynku i pomyślenia, co tu zrobić i gdzie się dalej obrócić. Tak siedział długo, skuliwszy się, i marząc i przysłuchując się, czy kto nie idzie, czy go kto nie widzi i nie dosięga. Był on odważny, przywykły do różnych przygód, a przecież, gdy się zupełnie ściemniło, gdy nie już w około siebie dojrzyć nie mógł, gdy dęby wysoko nad głową jego szumić zaczęły, gdy ptak zmieniający swoje legowisko nocne, lub czémkolwiek spłoszony, poruszył liśćmi, lub skrzydłami zaszeleścił, gdy się jaka odłamała gałąź, lub trzask jaki rozległ się wśród powszechnej ciszy i milczenia całej natury, wtedy straszno się robiło nieszczęśliwemu chłopcu, tak, że zaczynał się gorąco modlić i rzewnie płakać. Mimo tak przykre położenie nie żałował jednak, że się wyrwał z téj niewoli, na którą go skazano, i gdzie mógł co chwila być sponiewierany słowem i oćwiczony harapem. Powracać więc do Mleczkowiec za nic nie myślał, postanowiwszy nazajutrz wypytać się dobrze pierwszego człowieka, któregooby spotkał, aby się jak najpewniej i najprędzej od miejsca tego oddalić. Ale gdzie pójść? do jakich drzwi zapukać? kto jutro da jeść i pić? kto pocieszy? kto pozajękuje? kto pokocha? Na tę myśl znowu łzami zaszyły jego oczy, od których sen odbiegł, i obraz Widalsi i dobrego koniuszego przedstawił się tak żywo, że się biednemu chłopcu serce z bólu ścisnęło. Przyszło mu więc do głowy, czy nie możnaby jak zapytać się, którędy droga do wsi Z\*, i tam przyjsć cichaczem, zapukać w okienko Widalsi, wpaść potem do jój pokoiku i rzucić się w jój objęcie, a potem z nią razem udać się do Owsikowskiego, ucałować jego pocziwą rękę i prosić, aby go gdzie wywiózł i schował. Ten projekt uśmiechnął mu się z razu i znacznie go uspokoił. Ale gdy sobie przypomniał słowa pana Klemensa, wyrzeczone z takim gniewem wtedy, kiedy go do Radłowskiego odwieźć kazał,—gdy sobie wyobraził, że-mógłby się pan o tém dowiedzieć i kazałby wygnąć starą opiekunkę jego z jój pokoików, a przyjacielowi jego dzieciństwa odebrałby miejsce i zostawił bez chleba, zadrżał dobry i przez własną biedę uzacniony chłopczyzna; słowa pańskie:—won ze służby!—zabrzmiały w jego uszach, i wołał pójść w świat, niż stać się przyczyną nieszczęścia tych, których tak kochał. Na takich rozważach, wśród ciemności i szumu lasów, z któremi się wreszcie oswoił, przeszła mu połowa nocy. Nareszcie ciało

przemogło, i zmęczony moralnie i fizycznie, ułożywszy się na miękkiej trawie, sam nie wiedział kiedy zasnął.

Obudził się Tadeuszek dopiero wtedy, kiedy słońce już było dość wysoko, rosa błyskała na liściach, i ptaszki cudnie i wesoło śpiewały. Porwał się więc na nogi, przypomniał sobie, gdzie jest i co się z nim wczoraj stało, podziękował jeszcze raz Panu Bogu, że go wyzwolił, i choć głodny i opuszczony, ale orzeźwiony snem, owiany świeżem ranku powietrzem, oddechem lasu wyleczony z ran serca, i umocniony wesołością tych jego śpiewaków, co choć mniejsi i słabsi od niego, a jednak tak swobodnie po gałązkach igrają, zmówił pacierz, potem jeszcze raz *Pod Twoją obronę*, i poszedł dalej żwawo i z nadzieją, że gdzieś przecie znajdzie i do czegoś trafi.

Las prędko się skończył; rozległo się przed nim szerokie pole, uginające się jak woda głęboka pod lekkim wiatrem, ile oko na prawo, na lewo i wprost zasięgnąć mogło. Z daleka, z prawej strony widać było jakąś wieś, i drożyna pod lasem do niej prowadzić zdawała się. Ale Tadeuszek bał się iść do wsi. Zdawało mu się bowiem, że to jeszcze za blisko, że pan roześle zapewne ludzi szukać go, i ci niezawodnie w karczmie pytać się będą. Wprawdzie jeść mu się już chciało, ale wolał głód przecierpieć, niż narazić się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Wybrał więc miedzę między dwoma niezmiernemi łąkami, zasianemi wykłoszoną już dobrze pszenicą, i skubiąc mleczne ziarenka bogatych jęj kłosów, durzył tym sposobem żołądek, którego nie było czém nakarmić, i szedł, gdzie go oczy niesły. W pół godziny potem postrzegł z daleka krzyż pochylony, z pomiędzy falistego zboża wystający. Pewny, że tam musi być droga, puścił się prosto do tej świętej skazówki, która nam dana na to, abyśmy w błędach tego życia kroki swe ku niej skierowywali. Nie omylił się Tadeuszek. Rzeczywiście był to gościniec duży, zawracający się na lewo, i prowadzący w inną zupełnie stronę, niż ta wieś, której uniknąć pragnął. Puścił się więc nim w tém przekonaniu, że się od Mleczkowiec oddala. I wkrótce zupełnej w tej mierze nabył pewności. O kilka set kroków za krzyżem, przed którym pobożnie się przeżegnał, spotkał idącego ku sobie staroego chłopca, który spojrzawszy z podziwieniem, że tak małe dziecko tak samo idzie, zapytał po rusku:

— A gdzie ty idziesz, chłopcze?

— Szedłem do Mleczkowiec — odpowiedział Tadeuszek w tymże języku, nie chcąc się zdradzić, i kłamiąc z bojaźni wydania się — ale podobno zbłądziłem.

— Oho! i dobrze zbłądziłeś — odpowiedział chłop uśmiechając się.

— A którądyż to było trzeba? — zapytał chłopiec.

— A to tędy chet! — odpowiedział chłop, ukazując w tę stronę, którą bohater nasz przyszedł. Trzeba było iść na tę on wieś, a po-

tém kolo karczmy wziąć się na prawo, tobys był prosto wyszedł do Mleczkowiec.

— Dalekoż to ztąd?

— Będzie dobre półtory mili tak na prost, ale jak zechcesz na Hryszczyńce okrzyć, to i z pół trzeciej się znajdzie.

— A ta droga do Hryszczyńce?

— Et! dureń ty mały — odpowiedział stary — albo nie widzisz że gościniec idzie na lewo, a Hryszczyńce ot tam! Tędy prosto zaszedłbyś do Borodejówki, a ztamtąd aż do Winnicy i Lityna. Ale kiedy chcesz koniecznie Hryszczyńce, to podbiegnij jeszcze kawał drogi, tam będzie dolinka i małeńka rzeczka. Przejdź mostek i z tamtej strony rzeczki drożynką idź prosto, a dojdiesz aż do wsi.

— Dziękuję wam, ojczy — rzekł Tadeuszek — już ja teraz trafię. I pobiegł żwawiej, uspokoiwszy się, że się tak oddalił od miejsca, którego się bał, że instynktem jakimścis nie poszedł do tej wsi, gdzieby go schwytać mogli. A choć nic przed sobą nie widział, tylko świat szeroki i długi, szedł przecież z uśmiechem na ustach i tą nadzieją w sercu, że znajdzie jakiś dach co go przygarnie, i jakąś pocziwą pierś, co go do siebie przytuli.

Gdy przyszedł do mostku i spojrział wzdłuż rzeczki, biegnącej doliną, zdawało mu się, że to ta sama, z której nieraz pił wodę, gdy pasł cieleta. Słońce już dobrze przygrzewało, uszedł już blisko z milę drogi, głód dopiekał; w niedostatku więc chleba chciał przynajmniej napić się tej samej wody, która mu już nieraz ugasiła pragnienie, umyć twarz i nogi sfatygowane, i choć tym sposobem orzeźwić się i do dalszej umocnić drogi. Zszedł więc do rzeczki, i wykonawszy, co zamierzył, położył się w cieniu i na trawie, żeby dobrze odpocząć.

Po niejakim czasie usłyszał śpiewanie. Silny i donośny głos, chociaż w pewnych przerwach, rozchodził się daleko po polu, a nuta i pieśń sama była mu doskonale znajoma. Była to litania do Wszystkich Świętych, którą Tadeuszek tyle razy z Widalsią śpiewał, odpowiadając jój po każdym imieniu: *Módl się za nami!* Przypomniał sobie, że nieraz, będąc jeszcze mniejszym, oberwał nawet przy tej modlitwie, gdy albo kręcił się klęcząc, albo rękami coś majstrował, albo figlem jakim bałamucił pobożną kobietę, odpowiadając zamiast: *Módl się, módlcie się!* co się tylko do ŚŚ. Koźmy i Damiana, Gerwazego i Protazego stosowało; albo wyprzedzał ją, i sam imiona świętych komponował, za co się bardzo gniewała. Pamiętał nawet, że raz dobrze dostał różgą za to, że gdy przyszła kolej na świętego Jacka, on rozswyoliwszy się, dodał prędko: święty Jacku z pierogami. Wszystkie te wspomnienia rozrzewniły dobrego Tadeuszka, i obudziły w nim sympatyę dla podróżnego, który myśl jego przeniósł do tego raj, z któ-

rego tak go nielitościwie wygnano. Podniósł się więc prędko i szukał chciwem okiem, zkąd głos ten dochodził. Drogą ku mostkowi szedł zwolna zakonnik, już niemłody, z odkrytą i siwiejącą już głową. Habit miał gruby i tabaczkowy z dużym kapturem, podwiązany białym paskiem, przy którym wisiały białe także paciorki i krzyż; przez ramię miał zawieszony spory, ciemny worek, w rękę zaś trzymał kawałek chleba z masłem, który nożykiem krajał, a nim kawałek jaki włożył do ust, wprzód głośnym śpiewem kilku świętych wezwał i prosił ich, aby się modlili za nami. Widok ten rozweselił bohatera naszego, który przez szczęśliwą organizację i swobodne wychowanie, mimo biedy, nie stracił humoru i energii. Znał się on dobrze z takiego rodzaju wędrownymi mnichami, którzy często po jałmużnę do dworu pana Klemensa zachodzili, i wstępywali zawsze do Widalsi, która ich chętnie przyjmowała i częstowała. Nieraz nawet Tadeuszek przeprowadzał ich przez dziedziniec, aby ich psy nie opadły, i niejednego za to dostał obrazek. Wiedział więc, że to są ludzie dobrzy, lubią dzieci, i choć ubodzy, są najczęściej wesołego humoru. Z tych powodów, i pragnąc mieć towarzysza i opiekuna w drodze, postanowił z nadchodzącym braciszkiem dobrze się zapoznać. A że sądził, że do tego najlepszym środkiem będzie jakiś niewinny figiel, schował się pod mostek i czekał, aż się przybliżą. Nadszedł mnich, śpiewając przerywanie: święty Bartłomieju! święty Mateuszu! święty Szymonie! po każdym imieniu Tadeuszek odpowiadał głośno i w oktawę tonu: *Módl się za nami.* Zastanowił się mnich na moście i słuchał. A gdy jeszcze raz, jakby dla próby, czy się nie łudzi, wezwał z kolei następującego świętego Tadeusza, a chłopczyk tém głośniej i energiczniej odpowiedział: *Módl się za nami!* zakonnik zdziwiony zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali?

— I ja chwałę! — odpowiedział malec pod mostem.

— Czego chcesz, duszo pobożna? — zapytał mnich, miarkując już, zkąd głos wychodzi.

— Chleba z masłem — odpowiedział figlarz śmiejąc się skrycie, i czując, że mu ślinka do ust przyszła.

— A wyjdź-że, wyjdź, głodna duszyczko, i pokaż się, to się z tobą podzielę — zawołał uśmiechając się także braciszek, dodawszy po łacinie: *anima esuriens.* Wtedy Tadeuszek wyskoczył z pod mostu, przybiegł śmiało do kiwającego głową starego, i pocałował go w rękę. — A to ty, figlarzu! O! widzisz go, jaki swywolnik! tak mnie przstraszył. — Chłopiec patrzył mu w oczy, czy się doprawdy gniewa; a gdy spostrzegł, że na miłej jego, rumianej i jowialnej twarzy był tylko dobroduszny uśmiech, zérknął pożądliwie na ten chleb, który zakonnik miał w rękę. Wtedy stary rzekł: — Na, na, kiedyś taki głodny, i kiedy umiesz Pana Boga prosić o chleb, a do tego z masłem,

choć pewnie ani na suchy kawałek chleba nie umiesz jeszcze zrobić.

Chłopczyk podziękował, wziął chleb i zaczął go z takim apetytem zjadać i smakować, że mnich, kiwając głową i uśmiechając się, dodał:

— Biedny chłopiec! pewnie ze dwa dni nic nie jadł.

— Dwa dni, jak dwa dni — odpowiedział Tadeuszek — ale od wczoraj od południa nic w gębie nie miałem.

— Dla czegoż to? pewnie ci za karę nie dali nic jeść.

— Ej! gdzie tam — odpowiedział Tadeuszek — to zupełnie co innego. Ale to wiele o tém mówić.

— Jakże się nazywasz?

— Nazywam się Tadeuszek.

— Aha! to dla tego tak głośno wrzasnąłeś *Módl się za nami*, jakem ja świętego Tadeusza wspomniał.

— A tak! — odpowiedział mały — to mój patron, a ja jestem teraz w wielkiej biedzie. To też krzyknąłem tak głośno, żeby usłyszał. — Uśmiechnął się braciszek i pogładził ślicznego i przytomnego chłopca po głowie. Potém mówił dalej:

— Ty nie musisz być chłopskie dziecko, co już i twoje imię wskazuje.

— Naturalnie, że nie — odpowiedział Tadeuszek.

— A czyj-że ty jesteś syn?

— Otóż to cała bieda w tém, że ja tego nie wiem — rzekł chłopczyzna, spuszcżając zasmucone oczy.

— A jakże się nazywasz?

— Nazywam się Tadeuszek.

— To twoje imię, chłopcze, na chrzcie świętym dane. Ale twoje nazwisko? Bo przecież musisz wiedzieć, że każdy człowiek ma imię i nazwisko. Imię daje mu Kościół Święty, a nazwisko bierze z ojca.

— Tak — odpowiedział chłopczyk — a jak kto nie wie, kto jego ojciec, to zkąd-że to nazwisko weźmie?

— I to prawda — rzekł mnich z uśmiechem. — Więc jesteś bezimienny.

— Może i bezimienny, czy ja wiem?

— Nazywaj-że się odtąd Tadeusz Bezimienny — mówił dalej mnich z komiczną powagą — i pamiętaj, abyś nie dał w kaszę napluć temu nazwisku, które ci tu na mościu daje. Z odpowiedzi twoich widać, że masz na to głowę, a twoje ślepki — dodał, podnosząc twarzyczkę chłopca i patrząc mu w piękne i filuterne oczy — pokazują, że masz dobre i odważne serce. A teraz powiedz-że mi, co ty tu robisz tak sam jeden?

— A cóż? idę w świat — odpowiedział Tadeuszek z rezygnacją.

— Wiész-że ty, malcze, co to jest iść w świat? — zapytał zakonnik kiwając głową.

— Ot tak, wziąć ta i iść, przeżegnawszy się, gdzie oczy poniosą — odpowiedział Tadeuszek.

— Więc ty myślisz — mówił mnich coraz mocniej kiwając głową — że na każdym mostku dostaniesz chleba z masłem?

— A! jak zmówię szczerze pacierz, potem *Pod Twoją obronę i Kto się w opiekę!* — rzekł chłopiec, i w oczach jego błysnęła iza wiary i ufności.

— Prawda, prawda, moje dziecię. Deus charitas est — mówił zakonnik, kładąc dłoń na jego głowce. — Ptaki nie sieją i nie orzą, a mają codzienną pożywność. Lilia nie stara się, a ma słodką sukienkę. Ale człowiek zgrzeszył, mój chłopcze, i dla tego musi pracować. Dobrze jednak, że tak wierzysz. Wiara to grunt; przy niej znajdzie się reszta. Ale jeszcze powiedz mi, dla czego jesteś w chłopskiej koczulce, bez czapki i bosi, kiedyś nie chłopskie dziecko, quod evidentissime patet?

— Bo mi sukienki moje wzięli — odpowiedział spokojnie Tadeuszek — ale to dużo o tém mówić.

— Poczekaj-że — dodał zakonnik, gładząc głowę Tadeuszka — pójdźmy ot tam nad rzeczkę, tam sobie usiądziemy, ja napiję się wody i opowiesz mnie to wszystko. A potem może się znajdzie dla ciebie jeszcze jaki posiłek i dobra rada, co dalej począć.

Minęli więc mostek, zeszli ku rzeczce, tam mnich usiadł na kłodzie wierzby złamanej, postawił worek między kolanami, i dobywszy z niego blaszany kubek, kazał chłopcu naczepnąć sobie wody. Gdy się napił, Tadeuszek pobiegł jeszcze raz do wody, naczepnął dla siebie, i wypiwszy oddał mu kubek. Mnich schował go napowrót, i posadziwszy chłopczynę koło siebie, kazał mu wszystko sobie powieścić.

Tadeuszek, ile mógł zapamiętać i złożyć w jakąś całość opowiadanie wypadków swego dziesięcio-letniego życia, tak je opowiedział, nie zapomniawszy naturalnie o Widalsi, o Owsikowskim, o Hippolitku, o koniku, o batogu, o cielętach, a nadewszystko o Radłowskim i jego żonie. Gdy skończył, rzekł mnich:

— Więc już wiész, co dobre i złe na świecie! byłeś na wozie i pod wozem, byłeś w raju i za jego płotem. Jam vixit, et, puer, expertus est terram! — dodał sentencyonalnie. Cóż teraz myślisz robić?

— Ja nie wiem — odpowiedział Tadeuszek, patrząc mu w oczy.

— Chcesz-że iść ze mną?

— O dobrze, dobrze! — zawołał chłopczyna, całując jego rękę — pójdę wszędzie!

— W naszym klasztorze znajdziesz przytułek. Będziesz tam usługiwiał, a za to dadzą ci chleb i naukę.

— Byłem butów nie czyścił — odpowiedział Tadeuszek, który miał jakiś szczególny wstręt do tego zajęcia.

— A gdzie rozum, chłopcze? — rzekł mnich uśmiechając się i stukając palcem w szerokie i jasne czoło naszego bohatera. — Czy takie buty potrzebują glansu? — i wyciągnął z pod habitu nogę.

Tadeuszek zaśmiał się i spojrział na jego gołą stopę, pod którą była podeszwa z kapturkiem na palce, przysnurowana rzemykiem.

— Będziesz więcej służył Panu Bogu, niż ludziom — mówił dalej stary — ale umiesz-że ty czytać i pisać?

— Czytać umiem dobrze i piszę litery i liczby.

— A *Introibo* umiesz?

— Co to to jest? — zapytał chłopczyzna.

— Służyłeś kiedy do mszy?

— O! do mszy służyłem, jak się w kaplicy państwa czasem odprawiała — odpowiedział chłopczyk — ale tylko do dzwonka i do fiaszeczek.

— O! widzisz go! a każdy z was tylko do dzwonka i do fiaszeczek! — rzekł mnich uśmiechając się, i biorąc z lekka Tadeuszka za ucho.

— Bo ja dzwonić umiem doskonale! — mówił malec z pretensją.

— Wielka sztuka! to lada kiep potrafi. Ale czy umiesz co z Ministrantury, to jest z tego, co trzeba odpowiadać?

— Umieć *Et cum spiritu tuo* i *Amen*.

— No, toż nie wiele; ale to nic nie szkodzi, nauczysz się. Jednakże czas nam już w drogę — rzekł mnich, spoglądając na słońce. — Do noclegu jeszcze daleko; a chciałbym dociągnąć na noc do klasztoru księży Bernardynów, na parę mil w bok Winnicy. Tylko możebyś jeszcze trochę podpaś konika, co? Chleb z masłem stanął ci prawda w przygodzie, ale to tego mało na dwa dni. A i mnie odebrałeś śniadanie, tak że się czuję głodnym.

Tadeuszek spojrział rozweselonemi oczami, i klasnął w rączki z radości. Reformat rozwiązał swój worek i zaczął zapasy pomaleńku i pojedynczo wydobywać. Najprzód dobył małą lampeczkę, obwinę ją starannie w papier; rozwinął ją i dał Tadeuszkowi trzymać, Potem dobył małą buteleczkę oplecioną, powąchał korek, kiwnął głową i nazad schował. Wydobywszy drugą taką samą i także powąchawszy, uśmiechnął się dopiero, odkorkował, i wzięwszy z rąk chłopca szklaneczkę, nalał w nią płynu, czystego jak łąza. Potem postawiwszy buteleczkę na ziemi, wziął lampkę blisko dna wszystkiemi palcami, podniósł na równi z okiem i przypatrując się przezroczy-



stemu likworowi z uśmiechem rzekł: *Dignum est et salutare!* Tak zadecydowawszy wartość napoju, przeżegnał go trzy razy dwoma palcami prawej ręki, i duszkiem wychylił. Co gdy się stało, szklaneczkę obok plecionki postawił. Potem wydobyl chleb dobry pytlowany, którego kawałeczek mały ukroiwszy, obok lampeczki położył. Tadeuszek sądził, że i jemu się coś z tego ładnego chleba dostanie, ale widząc, że bułka staje w szeregu obok plecionki i szklaneczki, spuścił nos na kwintę. Spozrzegł to Reformat, uśmiechnął się, i wydobyszy garnuszek z masłem, czystą szmatką zawiązany, dał go chłopcu, aby nitkę rozwiązał. Tadeuszek usiadł na ziemi, aby lepiej dopełnić tego ważnego polecenia, i gdy podniósł oczy, spostrzegł w ręku mnicha bułeczkę pszenną, z wierzchu rumianą, ze spodu białą i mączną, słowem taką, jakie po dworach na Podolu i na Wołyniu dla państwa pieką.

— A widzisz, figlarzu? — rzekł do Tadeuszka, który ośmielony jego wejrzeniem już do bułeczki rękę wyciągał. — Na, to dla ciebie. Nasmaruj sobie masłem i pożywaj ten dar dobrych ludzi.

Tadeuszek wziął i zaczął zajadać, krając bułkę i delikatnie smarując ją masłem, a Reformat, wsadziwszy znowu rękę do worka, wydobyl z niej coś obwiniełego w papier, co strasznie do kury pieczonej było podobnym. Powąchawszy, rzekł sam do siebie: — *Oho! reverendissime!* nie wszystko razem, to przyda się na obiad, jeżeli go gdzie nie dadzą — i włożywszy nazad do worka, wydobyl z niego inne zawiniątko, które z podługowatej swjej formy, liczbę 8 przypominającej, miało minę kielbasy tak złożonej, papierem owiniętej i sznurkiem ciasno okręconej. — *Vade retro!* — rzekł znowu, i powąchawszy, schował. — To będzie do poduszki, jeżeli gdzie wiecerzy nie dadzą. — Nareszcie wyszedł na jaw spory kawał szynki, którego właściwie szukał. Rozwinął go brat Leon, bo tak się ów braciszek nazywał, ukroił sobie dobrą porcję, dał spory kawałek Tadeuszkowi, smarował chleb masłem, i przykładając go plasterkami szynki, tak spożywał. Gdy się dobrze posilili, znowu wszystkie systematycznie poobwiazęwał i poukładał w tej przenośnej szpizarni, w której było wiele rozmaitych zapasów, a na samem dnie pasek biały od wielkiego święta, a pod nim dopiero brewiarz.

Tak poznawszy się dobrze i pokrzepiwszy utrudzone siły, ruszyli w Imię Boże w dalszą drogę. Brat Leon wracał z nad Dniestru, gdzie miał do spełnienia klasztorne jakies polecenie. Po drodze zachodził to do dworu, to do klasztoru, to na probostwo, i wszędzie mu coś do worka przybywało. Była to wprawdzie jego wada, jako zakonnika, że lubił przysmaki i delectował się czém dobrém, — że także nielada jaki kieliszek do ust przytknął, ale owszem był w tej mierze tak wymagającym, że likwor, którym się posilał, powinien był być

czystym i bez woni, jak woda, która wytryska ze skały, a silnym jak duch, który nie trąci ziemią i nie mięsza się z jęj żywiołami. Zresztą, był to człowiek uczciwy, wesoły, usłużny dla bliźnich, z dobrą głową, jakiej zwykle nie mają braciszkwowie klasztorni, i z sercem szlachetnym, jakie nie zawsze się i między mszalnemi zdarza.

Oddawszy tym sposobem bohatera naszego w opiekę takiego człowieka i zaspokoivszy troskliwość czytelników naszych o dalszą jego po świecie wędrówkę, możemy teraz na chwilę wrócić tam, gdzie mu przeszły dziecinne jego lata, i gdzie tak krótko był szczęśliwym.

Tam już nie było spokoju, nie było wesołości, ani w pałacu, ani w oficynach. Pan Klemens, zawiedziony w swoich oczekiwaniach, nie przyszedłszy do żadnego odkrycia, któreby mu dało przynajmniej rozkosz zemsty i upokorzenia tęg, którą o zdradę posądzał, został przy swém podejrzeniu, co go jak zły duch nieustannie trapiło. Rozalia smutna, znękana, nie mająca nawet pociechy w swym synu, którego złe skłonności coraz się rozwijały i z nim razem rosły, okazywała się zimną dla męża, przymuszała się tylko, żeby mu nie okazać jawnej wzgardy za jego posądzenia, za okrutne z niewinném dzieckiem postępienie, i czuła to dobrze, że straciła dla niego szacunek i tę odrobinę życzliwości, jaką w nięg czas, wspólne pożycie i okazywane jęg dawnięj ufność i przywiązanie wyrobiły.

Następiująca okoliczność pogorszyła jeszcze jęg humor, i kto wie, może odebrała na zawsze spokój jęg sercu. Bo chociaż zewnętrznie tego nie okazała, i w stosunkach towarzyskich i światowych była równie spokojną, równie poważną, a gdy było trzeba, równie świetną i piękną jak dawnięj, z gorzkich łez, które często skrycie wylewała, wniesć można, że to było tylko wysilenie jęg energicznej woli i gwałt niesłychany, który sercu swemu zadawała.

Gdy w parę dni po przybyciu ich z Mleczkowiec, Radłowski doniósł, że się Tadeuszek nie znalazł, Rozalia, dowiedziawszy się o tęg od męża i zrobiwszy mu znowu wymówkę w guście tej, jaką od nięg w koczku odebrał, poszła wieczorem do Widalskięg, żeby ją w jęg smutku pocieszyć. Tam zastała Owsikowskię, który z zapłakaną staruszką o wspólném ich zmartwieniu rozmawiał. Rozalia, po krótkich odwiedzinach i upewnieniu Widalskięg, że się Tadeuszek znajdzie, i że ona sama przebłaga męża i wyprosi powrót dla biednego chłopczyny, zawołała z sobą Owsikowskię do ogrodu i rzekła:

— Mój Owsikowski, słyszałam, żeś ty tego chłopca bardzo lubił.

— Proszę jasnęg pani — rzekł stary, idąc koło nięg bokiem — więcej może, Panie odpuść! kochałem go, jak moje własne dzieci.

— Pocięszałam ja Widalskę — mówiła dalej Rozalia — że pan da się przeprosić. Ale wątpię bardzo, bo się dziwnie jakos na dziecko to zawziął. Wprawdzie skrzywdził on naszego syna i zrobił się zu-

chwałym. I mnie to przykro, i ja powinabym się gniewać; ale mi żal biednej sierotki, jeślby się to sponiewierało. Także, jeżeli się znajdzie, w rękach Radłowskiego nie chciałabym go zostawić.

— To człowiek zły — odpowiedział Owsikowski — a jego żona gorsza jeszcze od niego. Djabeł trzy pary butów schodził, nim ich dobrał.

— Chciałabym — mówiła, patrząc w ziemię — żeby można jak tego chłopczyne ztamtąd wydobyć.

— Żeby tylko się znalazł — odpowiedział uradowany Owsikowski — to jużbym ja na to znalazł sposób.

— Nie masz ty, Owsikowski — zapytała znowu — krewnych koło Winnicy?

— Nie mam żywej duszy — odpowiedział.

— To szkoda; a miałbyś pretekst wyprosić się u pana na parę tygodni, pokręciłbyś się cichaczem koło Mleczkowiec, tak żeby cię Radłowski i nikt we dworze nie widział; uprowadziłbyś z sobą Tadeuszka, któryby z tobą pewnie i na koniec świata poszedł, i ulokowałbyś go, jak swego krewnego w szkołach w Winnicy, lub gdzie i dalej, tak, żebyśmy tylko we dwoje wiedzieli, gdzie się malec znajduje. Na drogę i jego ulokowanie i oporządzenie dałabym pieniądze.

Tój insynuacyi, wy mówionej niby obojętnie, słuchał Owsikowski z iskrzącemi się oczyma, pociągał wąsy i uśmiechał się. Gdy skończyła, zawołał:

— Pan Bóg jasnej pani zapłaci na jój własnym dziecku! A ja dla takiego interesu znajdę i rodzonego brata koło Winnicy, i nocy nie dośnie, żeby mi tylko mojego drogiego malca wyszukać i ulokować tak, żeby wyszedł na człowieka co się zowie.

Rozalia spostrzegła lżę w oku starego, odwróciła się i zaczęła iść prędzej. Potem zatrzymawszy się, dała znak Owsikowskiemu, aby się do niej przybliżył. Gdy byli w uliczce między dwoma kłębami tak, że ich nikt widzieć nie mógł, wydobyła z za szlafrocza paczkę assygnat i rzekła z uśmiechem:

— Ponieważ się tój wyprawy podejmujesz, masz tu na drogę, na oporządzenie i ulokowanie Tadeuszka, którego mi doprawdy bardzo żal, chociaż powinabym się na niego gniewać. Ale to jeszcze dziecko, może się poprawi. Tylko proszę cię, nie o tём, cośmy mówili, nie mów Widalskiój.

— Broń Boże! — odpowiedział Owsikowski — stara z radości wygadałaby się, choćby przed moją żoną; a za babski język nie można ręczyć.

Uwaga, choć prawdziwa, ale nie była na swoim miejscu. Rozalia udała, że jój nie uważa, i mówiła dalej.

— Także przed panem bądź ostrożnym, żeby się nie domyslił. Gdyż powiadam ci, że pan na biednego chłopca bardzo się zawziął i nie może mu darować krzywdy Hippolitka. Mógłby się i na mnie rozgniewać, i zabronić mi dalszego wspierania go. Wtenczas musiałabym naturalnie usłuchać i zostawić Tadeuszka jego losowi.

— Niech jasna pani będzie spokojna — odpowiedział — żywa dusza nie domysli się niczego.

— Bądź zdrow, Owsikowski, a jak przyjedziesz, daj mi jak o tém znać.

Rozalia poszła, a Owsikowski obaczywszy, że w paczce jest trzy-sta rubli srebrnych, zawołał :

— Szlachetna, zacna pani! nie darmo coś świętego jest na jej twarzy, tak, że jak człowiek na nią patrzy, to chcąc nie chcąc myśli sobie, że nie z takiej gliny ulepiona, jak insze kobiety.

Nazajutrz Owsikowski, otrzymawszy od pana Klemensa urlop na tydzień, z pozwoleniem zabawienia i dłużej, jeżeliby tego była potrzeba, dostawszy od niego forszusu na drogę, tak dyplomatycznie interes wyłożył, który całą noc układał i przerabiał, wyjechał, i w owém miasteczku, o którym wspomnieliśmy, a które do pana Klemensa nie należało, kwaterę sobie założył. Łatwo się czytelnicy domyślają, że poszukiwania, śledzenia, jeżdżenia w koło Mleczkowiec, rozpytywanie się ludzi, wysyłanie do dworu szpiegów, podkradanie się w nocy pod same prawie okna ekonoma, wszystko to nic nie pomogło, i na żaden ślad nie naprowadziło. Niezmordowany koniuszy, mając czas i pieniądze, dotarł aż do Winnicy; ale nie przewidując, aby bohater nasz w klasztorze księży Bernardynów o parę mil od tego miasta nocował, pytał się tylko po wszystkich karczmach, równie w samém mieście, jak i po drodze. Nikt nie mógł mu dać żadnej wiadomości, i poczciwy Owsikowski, wycieńczony pracą, bezsennością, niepokojem, zmartwiony zatraceniem bez śladu biednego dziecka, które tak kochał i którego los i przyszłość miał w ręku, wymizerniał i błąd jak trup, szóstego dnia do domu powrócił.

Gdy przyszedł uwiadomić pana o swym powrocie, właśnie pan Klemens siedział po obiedzie na téjże wystawie, gdzie wprzód rozmawiał z Radłowskim; Rozalia jak dawniej siedziała na swoim krześle z robotą, a Hippolitek przechadzał się po alei z nowym swym guwernerem Francuzem, który przed dwoma dniami przybył z Paryża i z uczniem swym zabierał znajomość. Był to człowiek jeszcze dość młody, ale błąd, niski, z dużym orlim nosem, z małemi zaciśniętymi wargami, ze spuszczonei oczami w ziemię i przyczesanemi na czoło włosami. Miał dosyć wiadomości, umiał dobrze po łacinie i po grecku, ale mówił cicho i słodko, nosił zawsze długi surdut, nisko się

kłaniał, i gdy szedł, brał zawsze ukośną dyrekcyę, robiąc prawą nogą krok większy niż lewą.

Pan Klemens, rzuciwszy okiem na Owsikowskiego, rzekł:

— Oj! mój Owsikosiu! coś djabelnie zmizerniałes.

Owsikowski spojrział na panią, która na niego nie patrzyła, ale zajęta była robotą, i rzekł:

— At, tak to zawsze jasnie wielmożny panie z krewnymi. Nagryźli mnie, namartwili, nazłoscili, co mi się należy nie oddali, że zamiast zysku straciłem tylko tyle pieniędzy, którym z łaski jasnie wielmożnego pana naprzód otrzymał, i nadszarpałem zdrowia, że przyjdzie może kilka dni poleżeć.

— No, idź, idź wypocznij, Owsikosiu! — rzekł pan Klemens — każ się wytrzeć dobrze wódką z mydłem, albo wykąp się w brazierze i wyleż się po drodze, to będziesz zdrów i o krewnych zapomnisz. Najlepsi krewni człowieka, mój kochany Owsikowski, to są jego dwie ręce.

— O! co to, to prawda jasnie wielmożny panie — odpowiedział koniuszy.

— O forsusie, który wzięłeś na tę niefortunną drogę, nie myśl; każę go wykasować.

— Dziękuję jasnie wielmożnemu panu — odpowiedział wdzięczny sługa, i skłoniwszy się do kolan pana, poszedł. Rozalia wprzód jeszcze powstała, i przystąpiwszy do syna i guwernera, zaczęła z nim rozmowę. O szarej dopiero godzinie wyszła znowu do ogrodu, i spostrzegłszy Owsikowskiego niedaleko od wejścia do pokojów Widalskiej, gdzie na nią czatował, dała mu znak, aby się przybliżył. Spostrzegł biedny koniuszy, że była niezmiernie blada, gdy do niej smutny i z miną zdesperowaną przystąpił. Wtedy rzekła mu:

— Widzę, mój Owsikowski, żeś napróżno jeździł.

— Nieszczęśliwe dziecko! — zawołał oglądając się koniuszy — przepadło, przepadło!

Rozalia odwróciła się znowu i poszła prędko. Owsikowski szedł za nią o kilkanaście kroków, a gdy stanęła, czekając go między temi samemi klombami, przybliżył się i opowiedział jęj, jakie robił poszukiwania i jak były daremne.

— Szkoda! — rzekła wówczas — biedny chłopczynka może się zmarnować, jeżeli się w złe ręce dostanie. A zdolności były i serec dobre.

— Anioł, nie dziecko! — rzekł płacząc Owsikowski.

— Idź, idź Owsikosiu! odpocznij — rzekła ciszej i odwracając się od tych poczeiwych łez, jakby jęj były przykre.

— Tu są pieniądze, jasnie wielmożna pani — mówił dalej stary oddając jęj paczkę — nie miałem ich na co użyć.

— Schowaj je Owsikosiu, dla swego syna — rzekła jakby łamiącym się głosem — tylko nie mów nikomu, nawet żonie.

I poszła prędko ku pałacowi. Owsikowski został znowu przez chwilę na miejscu, patrzył za nią, i składając ręce, zawołał:

— Święta kobieta!

Tymczasem Rozalia szła coraz wolniej, nogi się pod nią chwiały, oczy jej zachodziły mgłą, chwyciła ręką powietrze, jakby szukając jakiej podpory, i gdy się zbliżała już do wystawy, ciemno się jej zrobiło zupełnie, siły ją opuściły i upadła zemdlona na twarz, uderzywszy się czołem o schód marmurowy, którego ostra krawędź zupełnie je przecięła. Pan Klemens był w salonie i usłyszał jęk i upadek. Wybiegł przestraszony i spostrzegłszy żonę leżącą, podnosić ją zaczął. Łatwo sobie wyobrazić jego przestach, gdy ją obaczył całą krwią oblaną. Krzyknął przeraźliwie, zwołał ludzi, kazał ją wziąć i na łóżko zanieść, a najlepsze konie swe w różne miejsca po doktorów rozesłał.

— Rozalia w kwadrans dopiero otworzyła oczy. Obmyto ranę. Pokazało się, że skóra na czole aż do kości przecięta. Zatomowali jak mogli krew, obwiązali jej głowę; a Rozalia ledwie po godzinie przyszedłszy do zupełnej przytomności, uspokajała męża z bolesnym uśmiechem, że to nic, że zaraz po obiedzie czuła się niezdrową, że się jej ciągle słabo robiło, że szukała świeżego powietrza w ogrodzie i do pokoju dojść nie mogła.

Pan Klemens chodził koło niej z największą troskliwością. Zbiegli się doktorowie, ratunek był dobry, i w kilka tygodni rana zgoiła się. Ale na tém czole jasnym i pogodnym została blizna szeroka, na którą codzien patrzyła ubierając się, z której ustawicznie, czy to w kompanii, czy na balu, gdzie była wystrojona, poważna i piękna, zapytującym ją tym wszystkim, co ją zawsze szanowali i czcili, zdawać musiała rachunek.

Gorszą, bo niezgojoną ranę miała w sercu Widalska. Wszystkie modlitwy już wyczerpnęła, leż już jej nie stawało, zdarł się sennik, którego się codzien radziła i zużyły się karty, któremi ciągnęła kabałę, wyglądając ze drzeniem, czy walet kierowy, który serdecznego jej chłopca wyobrażał, nie stanie przy damie kierowej i do boku się jej nie przycisnie. Wprawdzie dochodziło ją wszystko, jak i dawniej, w życiu jej zewnętrznym żadnej nie było zmiany, nie rugowano jej z pokoików; nawet nie zabierano od niej rzeczy Tadeuszka, które były jedyną jej pociechą, które ciągle przeglądała, liczyła, coraz dogodniej układała, przyrządziwszy i odłożywszy na stronę czyste pończoszki, najlepsze sukienki, najlepiej wypraną i wyprasowaną koszulkę, aby go zaraz przebrać i wyświeżyć, skoro się zjawi. Ale wszystkie te przygotowania były daremne. Tadeuszek nie wracał, i serc

dobręj kobiety usychało w smutku ciężkim, głębokim, który tylko jedna modlitwa cokolwiek łagodziła, a z którego dopiero śmierć miała ją zupełnie wyleczyć.

Taki był stan pałacu i oficyn. A Tadeuszek? Tadeuszek zwyczajnie, jak dziecko zdrowe, z sercem wesołym i kochającym, choć nie zapomniał o Widalsi i o Owsikowskim, ale cieszył się światem bożym, po którym wędrował, i przywiązał się do swego nowego opiekuna, którego mu przypadek, a pewniej Opatrzność, do której doszła jego ranna modlitwa, zdarzyła. Trzymając się za rękę brata Leona, który często śpizarnię swoją rozwiązywał, przeszedł zwolna całe Podole, wyminął Winnicę i Lityn, ale widział Latyczów, Proskurów, Międzyborz; wstępował do kilku klasztorów, był nie w jednym probostwie, nocował w kilku dworach, a wszędzie worek jowialnego zakonnika napełniał się różnemi przysmakami, a nawet i takimi, któreby dla dziecka zdrowsze i poętniejsze były, jak kiełbasa i szynka. W jednym nawet z nich, niepokaznym, nieogipsowanym nowomodnie, ale kryjącym złote serca pod dachem starym i słomianym, odziano bohatera naszego w sukienki, które pozostały po synku tych państwa, wyprawionym do szkół i mającym już mundurek. Ucieszył się brat Leon, jak gdyby skarb jaki wynalazł, gdy rano, kiedy Tadeuszek jeszcze spał, przyniosła służąca od pani parę cieńszych, choć już trochę starych koszulek, całą jeszcze kurteczkę, trochę wykoszlawione, ale jeszcze niezłe trzewiczki, pończoszki, nankinowe pluderki i kaszkieciak żółty z kwaścikiem.

— Surge puer! — wołał z rumianą i śmiejącą się twarzą Reformat, trzymając w rękę te *Spolia Opima*, któremi miał towarzysza swego ustroić. Wprawdzie kurteczka była trochę za ciasna, pluderki za krótkie, gdyż Tadeuszek był dorodny i silniej, jak pierwszy właściciel tych rzeczy, zbudowany, jednakowoż mógł je wdziać i wcale inaczej w ubraniu tém wyglądał.

Tym sposobem, bez żadnego wypadku, idąc zwolna i bez utrudzenia, przyszli dziesiątego dnia do Kalinowa, wielkiej wsi nad Słuczą, w Starokonstantynowskim powiecie, gdzie był klasztor XX. Reformatów, w którym brat Leon, chociaż braciszek, był figurą znaczną, bo generalnym konwentu plenipotentem, i karmicielem szczupłej i ubogiej gromadki, która żyła z jałmużny i tylko na Niepokalane Poczęcie N. Panny, na Sgo Antoniego, na Porcyunkulę i na festyn Sgo Franciszka, założyciela zakonu, miała cztery większe odpusta, które biedną jej kasę zasilają.

Klasztor ten, fundacyi Sapiehów, niezbyt wielki i wybudowany według zwykłej formy i planu Reformackich klasztorów, stał na samym brzegu tej wsi, mającej dziś kilku właścicieli, opasany był cały

murem, i miał duży ogród fruktowy, który aż do Słuczy dosięgał. Znajdowało się w nim czterech księży mszalnych i dwóch braciszków. Zostawał on pod rządem gwardyana, łagodnego, ale chorowitego staruszka, którego prawą ręką i zupełnym we wszystkiem powiernikiem był brat Leon. Ten ostatni mieszkał już tu przeszło lat piętnaście; przez naturalny rozum, dobry humor i jaką taką znajomość łaciny zjednał sobie prędko szacunek kolegów, a skoro użyty był na kwestarza, i po jakimś czasie wrócił z bryką tak pełną, że ledwie konie stępo iść mogły, przyjęty został z wiewatami i uniesieniami, posadzony na pierwszém miejscu przy gwardyanie, za tym stołem, który tak obficie opatrzył, i odtąd nie stracił tego miejsca w refektarzu; miał sobie powierzoną całą spiżarnię, całą kasę klasztoru i wszystkie jego interesa. Wśród takiego życia i zajęcia, nabrał tej znajomości ludzi i umiejętności obchodzenia się z nimi, że wszędzie, gdzie się w okolicy pokazał, był gościem pożądanym; że nikt dla niego i jego braci nie żałował, i że przez cały ten przeciąg czasu nie tylko nie stracił przychylności okolicznych obywateli, i zaufania swoich kolegów, ale owszem, urósł w jedném i drugiem, i on właściwie klasztorzem Kalinowskim zarządzał, choć nigdy tego po sobie nie pokazywał, i dumą lub próżnością żadnemu z przełożonych swych nie narażał się.

Tadeuszek, wsparty rekomendacją i przywiązaniem tak ważnej w klasztorze osoby, został przez wszystkich dobrze przyjętym. Nawet historia jego, przez brata Leona opowiedziana, zainteresowała zakonników tak, że postanowili nie używać go do żadnych posług cięższych i przykrzejszych, ale owszem, jako dziecię klasztorne, które im Bóg zesłał, aby mu w jego sieroctwie i opuszczeniu podali rękę, uczyć i wychowywać. Poznawszy, że choć żywy, ale najlepszego jest serca; że zdolności ma wielkie i pamięć ogromną, bo w przeciągu tygodnia nauczył się do mszy służyć, i nawet odpowiedzi na *Orate Fratres*, długiej i stanowiącej zawsze szkopał dla niepojętych chłopców, nauczył się doskonale i zakończające ją: *Suae Sanctae* wymawiał tak głośno i energicznie, że się echo po całym kościele rozchodziło; postanowili rozdzielić pomiędzy siebie lekcye, i co który z nich najlepiej umiał, tego go uczyć. I tak, kaznodzieja uczył go grammatyki polskiej i katechizmu; ksiądz Paweł, który niedawno studia swe skończył i jeszcze nie wszystko zapomniał, uczył go arytmetyki i geografii, inny, który ładnie pisał, dawał mu lekcye kalligrafii; łacinę zaś zostawił brat Leon sobie, a w jego nieobecności, która przy licznych klasztornych potrzebach często miewała miejsce, podjął się tego sam ksiądz gwardyan, który go tak polubił, że w swoich własnych pokoikach, których miał dwa, wybrawszy dobry kącik, tam kazał Tadeuszkowi postawić małe, skromne, ale nawet wygodniejsze łóżeczko, niż było to, na którym sam staruszek sypiał.



Odzieniem jego zajmował się brat Leon, i z każdej wędrowki swojej w okolicy, przy... o gotowych parę koszulek, to cienkiego płótna, to jaki surducik, to buciki lub trzewiczki. Słowem, że Tadeuskowi na niczém nie zbywało, i garderoba jego, choć nie z jednej wsi pochodząca, choć nie wszystko dobrze przystawało, i jedno było za buchaste, drugie za ciasne, była jednak liczna i prawie więcej miał, niż potrzebował.

Wśród pracy i zajęcia nie brakło czasu na bieganie i na swywole. Po kilku tygodniach już znał wszystkie kąty i kąciki klasztoru i ogrodu, zaznajomił się z konikami księdza gwardyana, był na strychu kościelnym, na wieży, znał imiona wszystkich Sapiehów, których portrety wisiały na kurytarzach klasztornych, wiedział, jaki święty jest w którym ołtarzu, i kiedy przed którym z nich msza się odprawia; organy zbadał dokładnie i bawił się niezmiernie temi dudami, które się tak głośno i przeciągle odzywały. Lekcy każdej uczył się niezmiernie pilnie, a różné miał do tego pobudki: raz, że go to niewiele kosztowało, — powtóre, że chciał co prędzej być swobodnym i robić to, coby mu się podobało, — dalej, że brat Leon po przejrzeniu dzienniczka, i obaczywszy, że wszędzie *optime*, prowadził go z sobą do apteczki, gdzie były jabłka, gruszki suszone, wiśnie smażone w miodzie, śliwki na rożenkach i z kminkiem, sucharki z cukrem i cynamonem, słowem, różne specyalityki, które teraz zewsząd zbierał, o które się nawet przymawiał, aby miał czém faworyta swego uraczyć i do pilności zachęcić. Wszakże oprócz tych wszystkich pobudek do pracy, była jeszcze jedna, daleko ważniejsza, o której następnie powiemy.

Przy takiém życiu, przy takiej łasce bożej i miłości ludzkiej, wszystkie dawniejsze figle Tadeuskowi wróciły. I tak, zdarzało się, że braciszкови drugiemu schował szczotkę, którą zamiatał kościół, potem pomagał mu ją szukać, naturalnie znajdował i odbierał podziękowanie. Gdy tenże poszedł po wodę dla pokropienia kurytarza, on tymczasem, mając już przygotowaną koneweczkę, zawinał się i pokropił cały, a schowawszy się we framugę śmiał się z braciszka, który się żegnał i dziwił, że uobota zrobiła się sama; czasem wykradł zakrystyanowi klucze od chóru, i zaczynał grać na organach wtedy, kiedy wszyscy księża po obiedzie drzémali, i każdy zrywał się, dziwiąc się, że tak prędko czas schodzi i że już pora na nieszpory; gdy służył do mszy i postrzegł, że ksiądz Augustyn nie lubił wiele wody do wina, wylewał mu niby niechcący całą fłaszeczkę wprzód, nim ten zdołał podnieść kielich, i tę zbyteczną libacyą odbić; nawet opiekuna swego, którego tak jak Widalsię kochał, wprowadzał czasem w ambaras, za który go potem pieścił i przeproszał. Mimo to wszyscy go kochali, wszyscy gorliwie uczyli, wszyscy cieszyli się i jego wzrostem i postę-

pem, i postanowili, przygotowawszy go dobrze, ugruntowawszy w pierwszych początkach o tyle ile mogli, zebrać mały fundusik, to od dobrych ludzi, to z odjęcia z własnych potrzeb, to z oddzielenia części z odpustowych skrzynek, oporządzić sierotę i kosztem żebrackiego klasztoru oddać do szkół do Krzemieńca.

Bóg błogosławił chęciom i zamiarom pocziwych zakonników, bo Tadeuszek uczył się, pojmował, rozwijał się, a i puszka blaszana z napisem: *Dla sieroty*, rosła także, mnożyła się datkiem ludzkim każdego święta i niedzieli, a z każdej wycieczki brata Leona wracała ciężka i prawie pełna.

Ale najważniejszém w tym czasie zdarzeniem jest to nowa znajomość, którą bohater nasz wkrótce po przybyciu swém do Kalinowa zrobił, a która miała wielkiem szczęściem i większym jeszcze bólem młode serce jego napęłnić, i stanowczo na jego los i życie wpłynąć.

## IX.

W Kalinowie, jak powiedzieliśmy, było kilku właścicieli. Nie będziemy opisywać ich życia i obyczajów, bobyśmy musieli powtórzyć obrazy skreślone w książce pod tytułem: *Kollokacya*. Ciekawych poznać, jakimi byli i jak żyli ci drobni dziedzice, których w wielu wsiach, zwłaszcza na Wołyniu, można było spotykać, odsyłamy do wyżej wspomnianego dziełka. Ale, że wszędzie są ekscepcye, a natura ma niezaprzeczone prawo, jak każda inna władza, dawać pewne przywileje jednym, a odejmować je drugim, tak i w Kalinowie znalazł się jeden taki uprzywilejowany i stanowiący wyjątek dom, do którego czytelników naszych zaprowadzić musimy.

Najbliższą klasztoru była mała częśćka wsi, z dziesięciu tylko poddanych złożona, należąca do dwojga ludzi młodych, przystojnych, ukształconych i umiejących tak potrzebami swemi kierować, że szczupły dochód, jaki z tak małej własności mieli, i niewielki posagowy kapitał, wystarczał dla nich, dla dwojga dzieci, i dla starego ojca, który przy kalectwie swém ustąpił synowi wszy stkich swych praw za życia, a sam pilnował tylko kościola, i jeżeli miał z kim, grywał w warcaby.

Otóż ten syn i dziedzic owęj puścizny pobożnego i zupełnie głuchego staruszka, Franciszek Salezy Karpiński, — szczególnym zbiegiem i z imienia, i z nazwiska zbliżony do jedyne go z dawniejszych poetów naszych, który nie tylko głową, ale i sercem pisał, miał w tym czasie trzydziesty czwarty rok życia, i był w sile wieku i w samym kwiecie swojego domowego szczęścia. Używał on czerstwego zdrowia, które umiarkowane życie, ranne wstawanie, trud i praca koło roli utrzymywały. Był wysokiego wzrostu, rysy miał foremne, oko

ciemne, pełne wyrazu dobroci i rozumu, włosy gęste, a we wszystkich ruchach to ułożenie zgrabne i miłe, które pod prostą dymkową czamarką, jaką całe lato, nie dla oryginalności i imitacji pana Podstolego, ale z musu nosił, okazywało człowieka, coby się na najładziej posadzce nie poślizgnął i umiałby usiąść bez przymusu i zmieszania na aksamitnym fotelu. Kochał on żonę swą nad życie, i miał co kochać. Dosyć było spojrzeć na tę kobietę, aby przejąć się tą czcią, jaką wraża piękność, kiedy na czole ję jasnym leży spokój duszy, oddanej swym obowiązkom i czującej ich świętość; kiedy w oku błękitnym i łzawym błyska miłość dla męża i dzieci, kiedy na ję ustach koralowych i foremnych gnieździ się ten uśmiech dobroci, który rządzi całym domem, każdą pracę ułatwia, każdą przykrość osładza i złości. Taką była w rzeczy samej Anna Karpińska, z domu Linkowska. Anna była słuszna, talię miała przesliczną, chód lekki i zgrabny, w każdym ruchu ję była gracya, którą daje natura, bo się w nię wyraża dusza, ale której zewnętrzny wyraz i formę wychowanie kształci i urabia. Głowę nosiła najczęściej odkrytą, ozdobioną tylko w jasne, gładko na czole przyczesane i w duży warkocz splecione włosy. Całe lato odziewał ją perkalikowy szlafroczek; ale wyglądała w nim tak, jak inna nie wygląda w atlasie, chociaż sama go podobno szyła i sama codzień własną ręką prasowała. Wtenczas tylko osłaniała delikatną i różowym rumieńcem ozdobioną twarz swą słomkowym kapeluszem, a rękę białą i wążutką okrywała duński rękawiczką, gdy wychodziła do gospodarstwa, gdy pilnowała robotę w ogrodzie i sama pomagała, gdy czasem musiała wyjść na łąkę lub w pole, dopatrzeć i zachęcić kilku kosarzy, których mieli swoich, i kilkunastu żeńców, których się im zgromadzić udało. Poświęcenie się ję obowiązkom było tak bezwarunkowe, że byłaby pewnie i tę ostrożności dla oszczędzenia płci swęj nie przedsiębrała, gdyby nie prośby męża, który ją o to na kolanach błagał.

Ci szczęśliwi w mierności swęj, a co ważniejsza, zasługujący na to szczęście ludzie, mieli dwoje dzieci. Synek Józio był w wieku Tadeuszka, a córeczka Sabinka o rok młodsza. Dwoje młodszych dzieci im umarło, więcęj Pan Bóg im nie dawał, choć byli młodzi i zdrowi; zgodzili się więcę z wolą Opatrzności i pielęgnowali tę małą parę, która stanowiła najstarszy ich węzeł, a chowając się, zdrowo i wesoło, dopełniała miary ich ziemskiego szczęścia.

Domek ich był mały, pokryty słomą; miał ganek drewniany przy którym rosły dwie lipy, dziedziniec zarosły trawą i z jednej strony przypierający do muru księży Reformatów, a z drugiej mający potrzebne zabudowania gospodarskie; z tyłu zaś ogród, który się ciągnął wzdłuż klasztornego ogrodu, oddzielony był od niego murem i także aż do Słuczy przypierał. Sam dom, był to ów dawny dworek szla-

checki z sienią i spiżarnią we środku, i z pięciu w około idącemi pokoikami. Trzy z lewej strony zajmowała Anna z dziećmi, w jednym z prawej strony mieścił się pan Franciszek ze swoją kancelaryą gospodarską i z książkami, a w ostatnim, najustronniejszym i najcieplejszym, ulokowany był staruszek ojciec, ze wszystkimi książkami do nabożeństwa i z kilkoma szachownicami, które sobie sam to na stoliku, to na deszczułkach rozmierzał i malował, przemieniając to tę, to ową, jeżeli mu gra nie szła i na jednej przegrywał.

Jakkolwiek domek ten z pozoru miał minę ubogą i jaśniał tylko czystością ścian i okien, wewnątrz jednak, w pokoikach Anny widać było, że to mieszkanie kobiety ukształconej, której umysł potrzebuje zajęcia. Meble wprawdzie były proste i tylko perkalikiem okryte, ale na stoliku jesionowym przed kanapą leżały książki polskie, kilka francuzkich, które w owym czasie miały wziętość, a nawet tomik mniejszych poematów Byrona po angielsku. Prócz tych śladów ukształcenia i nauki w obojgu, widzieć jeszcze można było, że i sztuka, przynajmniej jednemu z nich, nie jest obca. Pod małemi bowiem okienkami tego pokoju stał wielki wiedeński fortepian, na którym mnóstwo leżało nut, a na ścianach, w prostych czarnych ramkach, były bardzo ładne rysunki sepią i akwarellą, z których jeden, jeszcze nieskończony, leżał na stoliku wraz ze wszystkimi do tej roboty przyborami. W sypialnym pokoju było tylko jej łóżko, dwa duże portrety jej rodziców, i łóżeczka dwojga dzieci, a na środku stół okrągły, przy którym się dziatki te uczyły. Choć wszystko to było skromne i proste, ale wszędzie widoczna była taka staranność i czystość, że łatwo było wnieść, iż oko tej kobiety przywykło do ozdoby i elegancyi, i że umiała każdą rzecz podnieść nie przez materję, bo na to ją nie staowało, ale przez szyk i formę.

To samo widać było i w ubraniu dzieci. Włoski ich były tak ładnie zaczesane, twarzyczki i rączki tak czysto pomyte, sukienki tak przykrojone i przystające, że chociaż kurteczka chłopczyka była tylko z niegrubego szarego płótna, czarnemi sznurkami ozdobiona, a sukienka dziewczynki z bardzo prostego perkaliku, jednak oboje wyglądali jak pańskie dzieci, około których chodzi wiele osób, i na których utrzymanie łoży się wiele pieniędzy.

Zkądże w tym zaścianku, pod bokiem ubogiego Reformackiego klasztoru, wzięła się tak dobrana, tak kontenta ze swojej mierności para? Rzecz ta może zajmie tych, którzy z jakimkolwiek interesem przerzucili karty poprzedzające, i postrzegli, że w pałacu pana Klemensa, wśród nagromadzonych skarbów sztuki, wśród apartamentów jaśniejących kryształami, bronzami, złotem i marmurem, przy tak czarującej naturze, co go otaczała, przy krociowych dochodach, które się łały bez mozołu i zawodu, nie było jednak spokoju, nie

było tej radości, co przenika sobą wszystkie chwile życia, równie jak światło dzienne do każdego przedziera się kącika i wszędzie cząstkę promienia swego zostawia. Postaramy się objaśnić ten fenomen, ponieważ ma związek z dalszym losem bohatera naszego; i mamy nadzieję, że czytelnicy nie posądzą nas o komponowanie jakichś idealów, nie mogących egzystować w danych społeczności naszej warunkach. Z niektórych szczegółów, które im tu podamy, przekonają się bez wątpienia, że tak wszystko być mogło; bo i było rzeczywiście, bośmy na to własnem okiem patrzyli, i dotąd jeszcze, po tylu upłynionych latach, zachowaliśmy słodkie wspomnienie kilku dni, pod tym szczęśliwym dachem przepędzonych.

W r. 1813, przy końcu czerwca, zjechało się do Krzemieńca wielkie mnóstwo obywateli z różnych okolic Wołynia i Podola na publiczny egzamen i na zamknięcie rocznego biegu nauk. Był to czas smutny dla tej szkoły, bo właśnie tegoż roku dnia 8 lutego umarł jej założyciel, Tadeusz Czacki. Wszyscy byli ciekawi obaczyć, jak też po jego śmierci szło jego dzieło, czy młodzież czuje stratę, jaką poniosła, i czy pilnością i postępowaniem swém stara się dowieść mu po zgonie tej czci i przywiązania, jakie mu okazywała za życia. Między innemi znaczniejszemi osobami, przybyła i pani Poźnińska, niegdyś staroscina Lipnicka, z domu Linkowska, z siostrzenicą swą Anną, panią wówczas ośmnastoletnią, i młodszym od niej o lat trzy bratem, który nie był w szkołach w Krzemieńcu, ale wychowywał się w domu, jako jej faworyt, i był pod okiem gubernera Francuza, który także miał u pani starosciny łaskę i zupełną jej ufność.

Od pierwszego roku śmierci Czackiego zaprowadził się był w Krzemieńcu zwyczaj, który trwał aż do przeniesienia tej szkoły do Kijowa i przemienienia jej na Uniwersytet, że po skończeniu publicznych egzaminów, które ciągnęły się przez dni pięć, dzień ostatni przed uroczystem zamknięciem szkoły i oddaniem nagród uczniom, poświęcony był obchodowi żałobnemu za duszę założyciela. Wtedy ogromny po-jezuicki kościół przybierano w żałobne światła; na środku pod wysoką kopułą wznoszono wspaniały katafalk, cała świątynia napełniała się młodzieżą okrytą krepą, zbierali się rodzice, krewni i mieszkańcy miasta w czarnych i poważnych sukniach; a gdy się msza rozpoczęła, wszyscy professorowie w mundurach, przewiązanych żałobą, stawali ze świecami po obu stronach katafalku, a obok nich we dwa rzędy klękali uczniowie, począwszy od najmniejszych do najstarszych, wybrani po czterech z każdej klasy i każdego kursu, z pomiędzy najpilniejszych, a zatem najgodniejszych reprezentować żal kolegów i modlić się najbliżej grobowca wspólnego ich dobroczyńcy. Gdy się msza skończyła, wstępował na ambonę znakomity

szkoły tej kaznodzieja, ksiądz Prokop, i tym głosem przenikającym i rzewnym, który się wciskał do każdej piersi, uczył młodzież obowiązków wdzięczności i wrażał w serca jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej. Był to obchód dla wszystkich uczniów szkoły krzemienieckiej niezmiernie uroczysty i ważny; żaden go nigdy nie opuścił i żaden przed dopełnieniem tego obowiązku, który dla siebie uważał za święty, nie wyjechał z miasta, choć go wakacye wabiły i pieszczoty matki czekały.

Zdarzyło się, że w tym czasie, o którym mówimy, w rzędzie uczniów klęczących przy katafalku, ostatni, jako najstarszy, klęczał młodzieniec dorodny, pięknych rysów i wyrazu twarzy, który jawnie mówił o jego głowie i sercu. Nie daleko zaś od niego, na pierwszej ławeczce pod amboną, siedziała przy poważnej i czarno ubranej damie panna piękna, także dorodna i mająca w niebieskich oczach tyle duszy, tyle współczucia dla żalu i żaloby młodzieży, że wszystkich bliższych oczy na siebie zwróciła. Młodzieniec ów jednak, choć spozjrzał na nią i zastanowił się chwilę, skoro się msza zaczęła, już więcej nie podniósł głowy, modlił się gorąco i często ocierał łzy, które piękne lice jego zalewały. Mógł on mieć wówczas dwadzieścia trzy lat, zdawał się zupełnie dojrzałym i poważnym, a ta pokora jego modlitwy, te łzy dziecka, które wylewał, takie na panie zrobiły wrażenie, że nie spuszczała z niego oka, że wzruszona do głębi duszy, i jego widokiem i powszechnym smutkiem, sama się rozplakała. Było to właśnie w tej chwili, kiedy ksiądz Prokop się odezwał. Wszyscy powstali, młodzieniec powstał także, podniósł głowę ku ambonie, postrzegł znowu patrzącą na siebie pannę, i w tém krótkim mgnieniu promień jej błękitnego i lżą zaszłego oka wpadł do jego duszy i został w niej na zawsze.

Nazajutrz odbywał się obrząd uroczysty rozdania nagród w sali bibliotecznej, która przez swoją wielkość, piękność form, zbiór kosztowny zabytków nauki i geniuszu, wizerunki ludzi znakomitych różnych wieków i narodów, nad każdą szafą umieszczone, silne na wszystkich młodych robiła wrażenie. Ustrojona była tym razem równie świetnie jak i dawniej. Pod wielkim portretem Cesarza Alexandra, w głębi zawieszonym, stał stół czerwonym aksamitem ze złotą frendzlą okryty, na nim leżał dyplom przez Wiekopomnego Monarchę szkole tej nadany, tudzież medale, książki i inne nagrody dla uczniów. Na prawo wznosiła się mała mównica, dla czytającego rozprawę profesora, a od niej rzędem szły krzesła, na których pozostali siedzieli. Na lewo, przy stole, siedział biskup Łucki, potem stało próżne krzesło, dalej siedzieli członkowie kommissyi edukacyjnej, potem obaj zwierzchnicy szkoły, a za nimi rząd dam w stosownych i pięknych strojach, z uśmiechem macierzyńskim na ustach, grono pauien, upatrujących

w tłumie młodzieży braci i krewnych, a za wszystkiemi widne były poważne i zainteresowane twarze ojców, krewnych i massa publiczności przyjezdnej i miejscowej. Nic nie brakowało: tylko na owém próżném krześle téj wysokiej i giętkiej postaci, z niebieską wstęgą pod rozrzuconym mundurem, téj głowy łysiej na tył wygiętej, téj pięknej i wyrazistej twarzy z przymrużonemi oczami, z których jednak bił promień rozumu i dobroci, i tego donośnego głosu, który rzucił peryody krótkie, ucięte, a wrażliwe się jak połyski prawdy do serc młodych i do umysłu starszych słuchaczów.

Gdy się rozprawa skończyła i ksiądz biskup, przypominając w krótkich słowach ten brak, jaki wszyscy czuli, przemówił; powstał ówczasowy Prefekt szkoły, którego poważną postać wszyscy Krzemieńczanie tak dobrze pamiętają, i wezwał ucznia, który w ostatnim kursie nauki na medal złoty zasłużył. Rozstąpiła się młodzież i otworzyła miejsce dygnitarzowi swemu, wieszając mu w przechodzie nagrody, której go wszyscy godnym sądzili, i wówczas wystąpił ten sam młodzieniec, który się wczoraj tak pobożnie modlił, i może trochę z rozstąpieniem kazania słuchał. Szedł on skromnie, jednak nie bojaźliwie przez salę, wśród tak świetnego grona; przechodząc jednak spojrział w to miejsce, z którego już dawno nie spuszczał oka, i wtedy dwie twarze, równie młode, równie piękne, okrył rumieniec, którego nikt nie uważał i którego nikt nie rozumiał. Tym młodzieńcem był Franciszek Salezy Karpiński, a tą panną, którą lzy jego rozrzewniały, a jego tryumf okrył rumieńcem szczęścia, była Anna. Serca ich poznały się w chwilach bardzo uroczystych, to też ta miłość, która tam we łzach wdzięczności powszechniej i czci jakiegóś wyższej wzięła swoje źródło, nie straciła nigdy charakteru świętości i powagi.

Był także zwyczaj w Krzemieńcu, że celującemi uczniami, którzy otrzymali nagrody, a zwłaszcza w medalach i akcesytach do medalów, wszyscy chętnie się zajmowali. Zapraszano ich do najcelniejszych domów, dopytywano się, kto ich rodzice? jakie widoki nadal? i jeżeli to byli ludzie ubodzy, co się najczęściej zdarzało, chociaż w Krzemieńcu i panicze musieli się dobrze uczyć, jeżeli wielce przykrych a często dowcipnych szykan uniknąć chcieli, wtedy starano się im pomagać, to radą, to rekomendacją, to innemi środkami. Tym sposobem i młody Karpiński zarekomendowanym został pani Poźnińskiej, staroście Lipnickiej, aby bratankowi jęj wykładał język polski i uczył go matematyki.

Wszystko złożyło się tak, jak gdyby rzecz tę jaki poczciwy autor romansu układał. Jakoż pani starościana, która nie lubiła Krzemieńca, i wygadywała na szkołę Bóg wie co, może tylko dla tego, aby mieć pretekst nie posłać tam siostrzeńca i zachować przy nim guwer-

nera, przyjechała właśnie wtedy, kiedy nasz młodzieniec studia swe kończył, kiedy musiał w ostatnim rzędzie klęczyć przy katafalku i pierwszy wystąpić publicznie, aby się wszystkie oczy na niego zwróciły, a mianowicie te, co z nim razem miały ochotę uradować się i zapłakać. Taż sama pani starościna, która była przekonana, że dla młodego człowieka, mogącego mieć przeszło sześćkroć, dosyć jest, jeżeli umie doskonale po francuzku, ładnie tańczy i niezłe na koniku jeździ, — gdy postrzegła, że w Krzemieńcu nawet młodzi hrabiowie i księżęta tłómaczyli się wyborną polszczyzną, rozwiązywali zagadnienia matematyczne, robili przed damami doświadczenia fizyczne i chemiczne, i każde umieli gruntownie objaśnić, postanowiła wziąć do domu jednego z lepszych uczniów, aby i synowi jej brata podobnego udzielił światła. Wybór jej padł na młodego Karpińskiego, którego medal złoty przed innymi odznaczył. Nie domyślał się on nawet, jak wielkie los mu przygotował szczęście, gdyż umowa stanęła tego samego dnia, kiedy była uroczystość w domu Józefa Drzewieckiego, najgorliwszego pilnej młodzieży opiekuna (\*), i zaraz po świetnym obiedzie, danym przez niego dla uczniów medalowych, na którym między innymi poważnymi gośćmi i pani starościna Lipnicka znajdowała się. Nie miał więc nawet czasu piękny i fetowany młodzian dowiedzieć się, że ta, której błękitne oko zajrzało do jego duszy, była właśnie siostrą przyszłego ucznia jego, i z nim się razem w domu ciotki wychowała.

Jeszcze tego samego wieczora wyjechał on z kilkoma kolegami do Kalinowa, dla odwiedzenia starego ojca i wypoczynku po pracach szkolnych, a dopiero we trzy tygodnie przybył do okazałego domu pani starościny, znaniej w całym Zasławskim powiecie ze swej próżności i dumy, ale przytém niegłupiej, i starannie wychowującej dzieci brata, który był od niej daleko uboższy, a i to co miał, znacznie nadszarpał.

Pani ta była od lat dziewiętnastu wdową. Kiedys piękna, wielka elegantka, mająca wytrzymałość Polki i przebiegłość kobiety bezdzietnej, wyrobiła sobie wcześniej zapis półtoramilionowego majątku od męża, który ją bardzo kochał i dla jej miłości o wszystkich swych krewnych zapomniał. Gdy brat jej umarł, a dzieci jego zostały sierotami, wzięła je do siebie, u siebie wychowywała i przeznaczyła im w myśli spadek po sobie, jeśliby jej nie przyszło do głowy pójść za mąż, a zatém własne mieć dzieci. Ale starościna za mąż nie poszła, a dzieci brata podrosły. Anna wychowała się na pannę dziwnie piękną, rozumną, najlepszego serca i najszlachetniejszego sposobu

(\*) Mamy osobisty powód wspomnieć z wdzięcznością szanowne nazwisko tego weterana, którego interesujące Pamiętniki znajdują czytelnicy w Athenaeum na rok 1850.



myślenia; brat zaś jej, który podrastał także, robił się dowcipnym, szyderskim i dumnym jak ciotka, a łakomym jak ten Francuz, który go wychowywał. Mimo tę różnicę w obojgu, którą ciotka dobrze widziała, mimo wielkie i wyłączne przywiązanie, jakie do młodego chłopca powzięła, nie miała jednak zamiaru krzywdzić Anny, i podzieliwszy cały swój majątek na dwie równe części, ogłaszała publicznie, że każdemu z nich przeszło po sześćkroć daje.

Taki to był dom, do którego młody Karpiński przybył. Gdy zobaczył tam Annę, gdy się dowiedział, że z nią pod jednym dachem mieszkać będzie, a nawet polskiej literatury uczyć, przeląkł się biedak swojego położenia, zbladł jak ściana przy pierwszym powitaniu; a chociaż ucznia swego znalazł pojętym i ochotnym, chociaż staroscina była dla niego bardzo grzeczną, a nawet Francuz nie bardzo z góry go traktował; chociaż Anna okazywała mu tak naturalną, ale razem tak ostrożną uprzejmość, że mu żadna zuchwała myśl do głowy przyjść nie mogła, czuł się jednak nadzwyczaj nieszczęśliwym. Życie takie, które go niezmiernie męczyło, trwało kilka miesięcy, w ciągu których przekonał się, że dla serca jego nie ma rady, że mu żadne walki i wysilenia nie pomogą, że nie mając żadnego prawa ludzić się jakąkolwiek nadzieją, trzeba uciekać, aby resztki zgruchotanego spokoju i swobody umysłowej ocalić.

W tym czasie zdarzył się pannie Annie konkurent, człowiek już niepierwszej młodości, ale bogaty i z imieniem. Że miał ze trzy razy tyle, co jej posag wynosił, a przytém imię, które do historyczności miało pretensye, sądził, że bez długich ceremonij i nadskakiwań obejdzie się, i pobywawszy parę tygodni oświadczył się prędko o rękę panny, chociaż z nią o tém ani słowa nie mówił, i widział, że go bardzo zimno traktuje.

Ciotka przyjęła oświadczenie jego z wielką radością i uszczęśliwieniem. Uważała ona wprawdzie, że Anna mizerniała, była często zamysłona, miała nawet niekiedy oczy zapłakane: spostrzegła także kilka razy, że gdy młody Karpiński do pokoju wchodził, czerwieniła się, a nawet złapała ją raz na takiem zapatrzeniu się na młodzieńca, gdy głośno w salonie czytał ciekawy jakiś numer gazety, że ją aż nieznanie ostrzegła; ale nigdy jej nawet do głowy nie przychodziło, aby serce panny zrobiło już stanowczy wybór, i żeby mogła odrzucić partję tak świetną i tak dla wszystkich matek pożądaną.

Wszakże stało się tak, jak się staroscina nie spodziewała. Anna odmówiła, prosząc ciotki, aby o żadnym dla niej postanowieniu nie myślała wcale. To ostatnie ubodło ją i rozgniewało. Rzekła więc:

— Czyś już pośpieszyła się i zrobiła wybór bez mojej wiedzy?

— Być może, moja ciociu! — odpowiedziała Anna skromnie —

niech cię to nie obraża, gdy powiem, że w tej mierze, jakkolwiek twoja rada i rozkaz jest ważnym, ale głos mego serca, który się w niém odezwał wtedy, gdy się modliła i płakała, uważam za ważniejszy, i poczytuję go za święte natchnienie, przeciwko któremu isć nie śmiem.

— Proszę! — odpowiedziała ironicznie ciotka. — Czy to nie z lekeyi literatury polskiej biją do panienki te głosy?

— Zkądkolwiek biją, moja ciociu — odpowiedziała Anna czerwieniąc się — dosyć, że je słyszę i słuchać ich postanowiłam.

— Byłażbyś doprawdy tak głupią! — rzekła rozgniewana starościna — żebyś odrzuciła tak znakomitą partyę dla miłości jakiegoś echa, które się do ciebie, może z ławki szkolnej odzywa?

— Odrzucam ją stanowczo — odpowiedziała Anna.

— Nawet wtedy — rzekła starościna, przystępując do niej — gdybym ja przyzwolenie twoje położyła za warunek moich dobrodziejstw i całej po mnie puścizny?

— Dobrodziejstwa twoje cenię moja ciociu, szczególnieję wychowanie, któreś mi dała — odpowiedziała panna, całując ją w rękę — ale za posag, jaki mi możesz naznaczyć, nie sprzedam pokoju całego życia.

— Więc będziesz miała odwagę — mówiła dalej starościna z gniewem i szyderstwem — wyrzec się sześciukroć i zostać tylko przy czterdziestu ośmiu tysiącach, które ci zostawił ojciec?

— Będę ją miała, moja ciociu — odpowiedziała Anna — byłem była panią swęj woli i mogła oddać rękę moją temu, którego kocham.

— To jest temu studentowi — zawołała szydząc starościna — któremu dobrze natrę tego krzemienieckiego czuba, że nie mając może papierów szlacheckich i tylko dziesięciu lichych poddanych, śmiał oczy podnieść na ciebie.

— Złe zrobisz, moja ciociu — rzekła Anna ze łzą w oku. — On na żadną wymówkę nie zasłużył, bo o tém nie wie, co dla niego czuję.

— Więc śmieiesz przyznać się, że tego żaka kochasz?

— Wiész dobrze, moja ciociu — odpowiedziała Anna z bolesnym uśmiechem — że to nie żak, ale młody człowiek dojrzały, skromny i pełen przymiotów, któreś sama oceniła. Że go kocham, tego się nie wstydzę i przyznaję się chętnie.

— Vous êtes libre, mademoiselle! — odpowiedziała, trzęsąc głową ze złości! — Rób jak chcesz. Ale co powiedziałam, dotrzymam! — i poszła trzasnąwszy drzwiami tak, że aż się okna zatrzęśły.

Młody człowiek, o którego szło, i który nie wiedział wcale, jak dalece jest szczęśliwym, myśląc tylko o tém, jak przeniesie cios, który mu zagrażał, jeżeli konkurent przyjętym zostanie, chodził smutny po

swoim pokoju i poglądał na swoje manatki, które wkrótce trzeba będzie zebrać, i gdzie indziej szukać ciężkiej pracy, aby ulgę bólowi przyniosła. Wtedy lokaj wezwał go do pani. Gdy przed nią w salonie jęj stanął, spostrzegł, że mocno zmieniona, i że coś nadzwyczajnego się stało. Starościna, zmierzwiwszy go okiem, i nie prosząc nawet aby usiadł, rzekła:

— Ładnie się pan Karpiński popisuje; z pięknymi zamiarami pan Karpiński wszedł tu do mego domu, gdzie, jak spodziewam się, znalazł pan Karpiński lepsze przyjęcie i obchodzenie się, niż na to pan Karpiński przez swoje urodzenie i naukę zasłużył. Powinienby pan Karpiński o tém pamiętać, że pan Karpińskiego z ławki szkolnej wzięła.

Tak napadnięty i tylokrotnie nazwany młodzieniec, zmieszał się cokolwiek; ale że go zabawił ten chwalebny zwyczaj naszych panów, którzy mówiąc do biedniejszych, a zwłaszcza z wymówką lub obrazą, ustawicznie przypominają im ich nazwisko, snąc dla tego, aby nie zapomnieli, że jest nagie, bez żadnego tytułu, i brzmi niehistorycznie, uśmiechnął się, i zapytał z zadziwieniem:

— Proszę pani starościny! cóż się to takiego stało?

— Pan Karpiński śmie uśmiechać się! — rzekła, porwawszy się z miejsca, i stanąwszy w imponującej postawie — czy pan Karpiński myśli, że ja nie widzę tego dobrze, że zamiast uczyć brata, za co panu Karpińskiemu płacą, pan Karpiński zawraca oczy na siostrę i śmie sobie wyobrażać, że ona dla niego! To rzecz niepojęta! — — dodała ruszając ramionami. — Co téż to za prezumpcyje roją się pod temi czubami Krzemienieckimi \*).

— Zkądże pani starościna wnosisz — rzekł oburzony tém ostatniem wyrażeniem młodzieniec — że taka prezumpcyja i pod moim czubem zrodziła się? Nie sądzę, aby panna Anna skarżyła się na moją zuchwałość. Bo cokolwiek w mojem sercu dzieje się, o tém nikt nie wie, tylko moje serce.

— Tak, ładnie nikt nie wie! — zawołała starościna — kiedy przez

---

\*) Czuby Krzemienieckie, był to wyraz techniczny na oznaczenie mniemanej zarozumiałości wychowawców téj szkoły. Powtarzali go bezwzględnie wszyscy nieprzychylni temu instytutowi, lub ci, którzy go nie znali. Do pierwszych należała Starościna, i od niej zapewne z ustnej rozmowy, a może z późniejszej korespondencyi, przyswoił to wyrażenie jeden ze znakomitszych pisarzy naszych, użył go w sensie ubliżającym i wydrukował na wieczną dla potomnych czasów pamiątkę. Bardzo zkąd inąd szanujemy tego pisarza, jak równie dwóch innych, którzy zdanie jego w téj mierze podzielając, drukiem je ogłosili. Dla tego jak najuprzejmiej przepraszamy tę znakomitą, a niegdyś solidarną trójkę, że czyniąc w niniejszej powieści niektóre wzmianki o szkole Krzemienieckiej, a nadewszystko o życiu studenckiem jęj uczniów i ich obyczajach, rozminiemy się w zdaniu, i nie tak pisać będziemy, jak oni pisali, ale tak jak było.

to głupstwo, które jęj zajechało w głowę, odrzuciła taką partyę, jaka się jęj zdarza.

— Czy to być może? — krzyknął uradowany młodzieniec, klasnąwszy w ręce.

— Nie ma czego pan Karpiński tak nadzwyczajnie się cieszyć — odpowiedziała staroscina. — I proszę bardzo, abym pana Karpińskiego jutro w domu moim nie widziała. Dziś jeszcze odbierze pan Karpiński resztę, co mu się należy, a jutro o siódmj konie będą gotowe, co pana Karpińskiego do jego dóbr odwiozą — dodała szydersko.

— Jedź pan — rzekła wówczas zbliżając się Anna, która od niejakiego czasu we drzwiach otwartych salonu stała. — Jedź pan i w dworku swego ojca przygotuj pokoik dla swojej żony.

— Głupia! będziesz żalować tego romansu, ale po czasie. Ja umywan od tego ręce! — zawołała staroscina w największym gniewie i wyszła.

Wtedy młodzieniec, który dotąd stał jak odurzony, upadł przed Anną na kolana, ucałował jęj rękę, a ona, uśmiechnąwszy się do niego tym uśmiechem, w którym kobieta kochająca tyle wymowy zamknąć umie, wybiegła z pokoju.

Wieczorem odebrał młody człowiek od niej list, w którym mu opisała rozmowę swą z ciotką, w którym go prosiła, żeby jęj tego nie liczył za wielką bardzo zasługę, że się wyrzekła darów ciotki, gdyż ją mierność wcale nie straszy, a jego mająteczek i jęj mały posag wystarczą im na dostateczne utrzymanie.

Takie to okoliczności i takie uczucia skojarzyły tę zacną parę i umieścili w tym dworeczku, któryśmy wyżej opisali. Ani ciotka, ani jęj brat nie byli obecni na ślubie Anny, który się odbył w Zaslawiu, w obecności oficyalistów starosciny, i jednej młodej mężatki, przyjaciółki Anny, która jęj nie odstąpiła, i w swojej karecie aż do mieszkania męża do Kalinowa odwiozła. Staroscina odesłała jęj akuratnie czterdzieści osiem tysięcy, które jęj po ojcu pozostały, wszystkie jęj książki, rysunki, garderobę i fortepian, za co jęj szczególnie była obowiązana. Ale minęło lat kilka, a żadnym słówkiem nie dała jęj poznać, że się pragnie zbliżyć, lub da się przeprosić. Anna pisywała do nięj co rok na jęj imieniny, dziękując za dane jęj takie wychowanie, że ją do używania najzupełniejszego szczęścia tak dobrze usposobiła, ale nie prosiła nigdy o przebaczenie tego postępku, który uważała za natchnienie Boże i szczęśliwy dla siebie dar nieba. W takim stanie było wszystko aż do roku 1822. W tym to roku staroscina umarła; brat Anny objął trzy części jęj fortuny, a z czwartą Francuz wyjechał do Normandyi, gdzie sobie *un beau château* kupił. Brat Anny przyszedłszy do lat zupełnych, zrobił się jeszcze łakomszym, niż był dawniej; w rok po śmierci ciotki ożenił się z jakąś hrabianką, i wyjscie

za mąż siostry uważając za mezaliana, wyrzekł się jój zupełnie, nic ze spadku ciotki nie udzielił, i wymawiał zawsze z urąganiem nazwisko Karpińskiego. Sądził pan Edward Linkowski, że lin jest coś lepszego od karpia, i w tém się oczywiście pomylił. Ale, mój Boże! wieluż to u nas jest linów, którzy gardzą karpiami! Wszakże na tém nieludzkim postępowaniu brata, zacni małżonkowie nic nie stracili. Został im kawał ziemi urodzajnej, kilkanaście rąk pracowitych i czterdzieści osiem tysięcy, co wszystko do ich utrzymania stało się dostatecznym, tém bardziej, że z dworku ojcowskiego wyrugowali najprzód wszelką próżność i pretensję, starali się ozdobić go tylko ochędóstwem i czystością, uprzyjemnić pracę i naukę, upoetyzować miłością i wdziękiem, a uświęcić wiarą i czcią dla obowiązków małżeńskich i rodzicielskich. Czyż to rzecz dziwna, że byli szczęśliwi, choć na małej części Kalinowa i pod murem ubogiego klasztoru księży Reformatów? Mamy nadzieję, że czytelnicy nie wezmą nam za złe, żeśmy się cokolwiek dłużej zatrzymali nad tym obrazem, który stanowi prawą stronę społeczności Wołyńskiej. Pokazując dość często jój stronę lewą, sądziliśmy, iż jest naszym obowiązkiem i tę odsłonić, aby nam kto niesprawiedliwości nie zarzucił i o stronność nas nie pisał. Zrobiliśmy to tém chętniej, żeśmy nie potrzebowali łamać sobie głowy na wykomponowanie czegoś, co nie egzystowało, bo obraz ten był gotowy i żył w naszej pamięci. Tak usprawiedliwiwszy się, wracamy teraz do naszego bohatera.

Tadeuszek we trzy tygodnie po przybyciu swém do klasztoru, lustrując wszystkie jego kąty, zbiegł raz przed wieczorem do ogrodu, włązł na stojącą przy samym murze jabłoń, i próbował, czy prześlizgnie, rumiane jabłuszka, któremi była obsypana, już dojrzałe, czy można się niemi uraczyć, i o wynalazku tym księdzu gwardyanowi donieść. Za murem posłyszał dwa miłe głosiki, które między sobą rozmawiały.

— Józiu! — mówił jeden głosik — patrz-no, jakie tam śliczne jabłuszka w ogrodzie księży. Już muszą być dojrzałe, bo ojciec mówił, pamiętasz, że jabłka wtenczas dojrzałe, kiedy z jednej strony żółte, a z drugiej czerwone. A tam już dużo takich żółtych i czerwonych. Widzisz Józiu!

— Widzę — odpowiedział drugi głosik, który jakoś nie tak miło brzmiał w uszach Tadeuszka, jak pierwszy — ale jak ich dostać?

— Żebyś czém rzucił — mówił pierwszy głos — to możeby które tu upadło.

— Jaka ty jesteś swywolna, Sabinko — odpowiedział drugi głos — czyż można rzucać do cudzego ogrodu? Jak przyjdzie do nas ksiądz gwardyan, albo brat Leon na warcaby do dziadunia, wtenczas poprosisz go, to ci da.

— Kiedy to będzie! — odpowiedział pierwszy głosik — a jabym chciała teraz.

W téj saméj chwili najpiękniejsze z całego drzewa jabłko, z jednéj strony żółte, a z drugiey rumiane, upadło na uliczkę, na której dzieci stały, i potoczyło się pod nogi Sabinki. Krzyknęła dziewczynka z radości, klasnąwszy w dłonie, i podejmując je, zawołała:

— Widzisz Józiu! jakie to pocziwe drzewo! lepsze niż ty; samo rzuciło mi jabłuszko. A jakie śliczne! a jakie słodkie! — I wówczas, jak druga Ewa, sama jadła i dała jeść bratu. Józio skosztowawszy że dobre, rzekł:

— Żeby to twoje pocziwe drzewo i dla mnie rzuciło jabłko! bo bardzo smaczne i już dojrzałe. Patrz, ziarneczka czarne — i oboje patrzyli, czekając; ale drzewo ich nie usłuchało. Wtedy swywolna dziewczynka, podniosłszy rączkę i kiwając nią z prośbą, zawołała:

— Drzewo! drzewo! daj mi jeszcze jedno jabłuszko, proszę cię! — i w téj chwili jeszcze jedno jabłuszko upadło blisko zadziwionéj już, i cokolwiek przestraszonéj Sabinki.

— To ktoś musi rzucać — rzekł rozsądniejszy Józio. — Chodź Sabinko, żeby się mama nie gniewała.

Podjęła dziewczynka swoje jabłko i poszła za bratem, oglądając się jednak na tę jabłoń, która życzenia jéj rozumiała i słyszała jéj prośbę. Tadeuszek wówczas, wysunawszy się, oparł się na murze, i patrzył za odchodzącemi dziećmi, ścigając szczególniej okiem śliczną dziewczynkę, której ciemne pukle trzęsły się, gdy się jeszcze parę razy na dobroczynną jabłoń obejrzała.

Ta scena zabawiła bardzo małego figlarza. Filuterny uśmiech biegał po jego ustach, gdy sobie myślał, jakie musiało być dzieci tych zadziwienie, i jakie teraz między sobą prowadzą rozmowy o tém doskonałym drzewie, co nie tylko dobre jabłka rodzi, ale i samo je rzuca. Nic jednak o wypadku tym nikomu nie powiedział, ale nazajutrz znowu, o téj saméj porze, wlaźł na jabłoń, i przyczaiwszy się, czekał. Józio i Sabinka, bojąc się zakazu chodzenia pod drzewo, nie także nie powiedzieli matce, ale postanowili nazajutrz pójść znowu, i przekonać się, czy ono dóprawdy takie rozumne, że jak go kto poprosi, to samo rzuca jabłka. Gdy przyszli, zastali już jedno jabłko na ziemi, rzucone jakby dla przynęty. Józio pierwszy je spostrzegł, i pierwszy uchwycił. A gdy się Sabinka o swoją część dopominała, nie chciał jéj dać, mówiąc: że może sobie poprosić, to jéj drzewo da, a jego nie rozumie i słuchać nie chce. Wtedy Sabinka przybliżyła się do muru, kilka jabłek najpiękniejszych upadło przy jéj nóżkach, a ona zadziwiona podniosłszy główkę, spostrzegła na murze jasną, kędzierzawą główkę, rumianą jak same jabłka twarz, i duże błękitne oczy, które na nią śmiejąc się patrzyły.

— Józiu! Józiu! — krzyknęła wówczas — patrz, tam ktoś jest. To nie drzewo rzucało jabłka.

— Ja ci zaraz mówiłem — odpowiedział chłopczyk, i zbliżywszy się zapytał: — Kto ty jesteś?

— Ja? — odpowiedział mały figlarz, stając na murze i trzymając się gałęzi — ja jestem Tadeuszek. Przywędrowałem do tego klasztoru z bratem Leonem z daleka. A wy kto?

— My tu mieszkamy. To nasz ogród.

— Jak-że ty się nazywasz? — zapytał Tadeusz.

— Ja nazywam się Józio.

— A ona? — rzekł znowu ciekawy malec, patrząc z uśmiechem na dziewczynkę, która nie spuszczała z niego ciemnego i dużemi rzęsami ocienionego oka.

— To moja siostra, Sabinka — odpowiedział Józio — przyjdź do nas, będziemy się razem bawić.

— Dobrze, jak brat Leon pozwoli — odpowiedział Tadeuszek.

— Ja poproszę sam brata Leona — mówił Józio — jak przyjdzie do dziadunia na warcaby.

Tym sposobem dzieci te poznały się prędko, bez długich ceremonij i rekomendacyj, jak zwyczajnie dzieci. Tadeuszek tego samego dnia opowiedział całe zdarzenie bratu Leonowi, Józio opowiedział je ojcu i matce; Sabinka tylko milczała i myślała czasem o drzewie, które samo rzuca jabłuszka. Pan Franciszek, nie wiedząc co za chłopczyk znajduje się w klasztorze, i bojąc się, aby sąsiedztwo tak blizkie nie przyniosło złą kompanij jego dzieciom, poszedł zaraz na drugi dzień do klasztoru, żeby się o wszystkim dowiedzieć. Odgłos powszechny mówił za bohaterem naszym, a historia jego, opowiedziana przez brata Leona ze szczegółami, o jakich wiedział, pochwały dane dziecku, które tak szczerze pokochał, świadectwo złożone przez wszystkich, którzy go uczyć zaczęli, o jego nadzwyczajnych zdolnościach i pilności, wreszcie postanowienie biednych zakonników wychowania sieroty i oddania go do Krzemieńca, tak ujęły pana Franciszka, że prosił, aby mu Tadeuszka pokazano. Wyszedł jeden z zakonników i przyprowadził z sobą za rękę chłopca, który dowiedziawszy się, że to ojciec tych ładnych dzieci, z którymi się poznał, przystąpił do niego z uśmiechem i patrzył śmiało w oczy temu, którego później miał tak kochać i szanować. Pan Karpiński wziął chłopca za rękę, wdał się z nim w rozmowę, i przekonawszy się z jego odpowiedzi, że pochwały nie były przesadzone; widząc z ułożenia, że to jest dziecko, o którym widać miano staranie, żywe ale niezsute; ujęty wreszcie tém wejściem, którym Tadeuszek, nie wiedząc o jego sile, pociągał i rozbrajał wszystkich, którym nawet pastucha ujął, a tylko Radłowskiego

i jego żony złagodzić nie mógł, poprosił brata Leona, aby go kiedy z sobą przyprowadził i z dziećmi jego zapoznał.

Tym sposobem bohater nasz wszedł pod tę strzechę, gdzie wszystkie dobre i szlachetne nasiona, które natura i miłość prostej, ale kochającej kobiety w sercu jego złożyły, nabrać miały wzrostu, bujnie zazielenić, obiecując żniwo dorodne i obfite. Anna, równie jak i jej mąż, pokochała ładnego, wesołego chłopczynę, strofując go jednak łagodnie za jego zbytęcną żywość, i naganiając każdy ruch, każde słowo, któreby traćło czémścis prostém i nieokrzesaném.

Ponieważ Józio gotował się w domu, aby na rok następny być przyjętym w Krzemieńcu do klasy trzeciej, pan Franciszek życzył sobie, aby i Tadeuszek według jednego uczył się planu. Przepisał więc cały porządek jego lekcyi i zakres każdego przedmiotu, co sam, będąc kilka lat w Krzemieńcu domowym nauczycielem i z tego utrzymując się, dokładnie wiedział, i prosił księży, którzy go uczyli, aby się tego planu trzymali. Sam dawał mu początki niemieckiego języka w tychże godzinach kiedy i synowi; Anna zaś uczyła wszystkie dzieci czytać i dobrze wymawiać po francuzku, broniąc ich od tój szlacheckiej pronuncyacyi, z jaką i dziś jeszcze miłośnicy tego języka radzi popisywać się, a zwłaszcza ci, którzy swojego dobrze nie umieją. Ona także przewodniczyła najczęściej ich zabawom, uśmiechając się nieraz na wymagania Sabinki, która instynktem kobiety mającej przesłiczne czarne oczy, o czém wprawdzie jeszcze nie wiedziała, zaczęła już nad malcem przewodzić, i na bezwarunkowe posłuszeństwo Tadeuszka, który już gotów był na jej rozkaz szyby z okna, i kafele z pieca wyjmować.

Przy końcu każdego miesiąca był egzamen w obecności księdza gwardyana, wszystkich zakonników i całego domu pana Franciszka. Na kilka dni przed egzaminem obaj chłopcy pilnie pracowali, szczególnież Tadeuszek nocy nie dosypiał; wiedział bowiem, że się będzie popisował przed Anną, która się może zmartwić, jak się źle znajdzie, a nadewszystko wiedział, że też sprytna i swawolna Sabinka słuchać go będzie, i pewnie parskanie ze śmiechu, gdy się pomyli, lub stanie jak żak zagapiony i nie odpowie, jak potrzeba.

Tak przeszedł rok cały, na pracy, na zabawkach, przy których rozumna matka, utrzymywała zawsze zgodę i jedność między dziećmi, które się zaprzyjaźniły, przystały do siebie i kochały się, jak dobre rodzeństwo. Gdy nadszedł sierpień 1825 r., zaczęto robić przygotowania do wyprawy dla obu chłopczyków. Anna sama zajęła się bielizną dla nich, przejrzawszy to wszystko, co Tadeuszek już miał, i dopełniając z zapasów przez brata Leona nagromadzonych, czego jeszcze brakowało. Pan Karpiński, porozumiewszy się z jego opiekunami, pojechał do Starego Konstantynowa, nabrał sukna na mundurki i sprowa-



dził do domu żydów krawców, aby je poszyli. Ślicznie oba chłopczyki wyglądali w tych granatowych surducikach, z niebieskimi kołnierzami i z czerwonymi wypustkami; szczególnież Tadeuszek, gdy się zapiął szelwnie na wszystkie guziki, i stanął przed Anną, oglądając się z pod oka, czy Sabinka na niego nie patrzy.

W wigilią wyjazdu, kiedy wszystko już było gotowe, zebrane, spakowane, tak rzeczy, jak i książki, udał się pan Karpiński do klasztoru, dla wzięcia od zakonników części potrzebnej z tego funduszu w gotowiznie, jaki na utrzymanie Tadeuszka zgromadzili, a Anna, zabrawszy wszystkie dzieci, poszła jeszcze z niemi do ogrodu, aby chłopcy obezšli wszystkie kąty, gdzie im było tak dobrze, aby się z niemi pożegnali, i pamiętali o tém zawsze, że oko ojca i matki nieraz ich tam szukać będzie. Gdy przechodzili koło tego drzewa, co znajomości ich dało początek, Tadeuszek, patrząc na nie ze łzą w oku, rzekł do idącej koło niego dziewczynki:

— Sabinko! kto tobie rzuci ztamtąd jabłuszko, kiedy mnie nie będzie?

Spojrzała na niego fluternie, zaśmiała się i odpowiedziała:

— Kto? jak ciebie nie będzie, to drzewo samo rzuci, jak go ładnie poproszę. A może tam znajdzie się kto inny. Brat Leon, albo kto!

Ta jęj odpowiedź, a szczególnież śmiech figlarny, zasmuciły chłopca, chociaż sam nie wiedział dla czego.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu, tak pamiętny dla każdej matki, a zwłaszcza, kiedy pierwszy raz rozdziela się z synem, i pierwszy raz postrzeże, jak pustym i jak okropnie cichym zrobił się nagle ten dom, po którym brzmi tylko echo jego śmiechów i swawoli. Żeby rzecz tak ważną rozpocząć od Boga, poszli wszyscy o godzinie dziewiątej do kościoła. Ksiądz gwardyan na intencyą szczęśliwej drogi i dobrego rozpoczęcia nauk, miał wotywę przed wielkim ołtarzem, do której mu oba chłopczyki w mundurkach i komeżkach służyli. Pozostali zakonnicy rzędem klęczeli po dwóch rogach ołtarza; w środku między niemi klęczał dziadek, modląc się gorąco za powodzenie wnuka i jego towarzysza. Sabinka złożone miała rączki i patrzyła na ołtarz, jak się jęj braciszkwie, jeden prawdziwy, a drugi jabłuszkowy, jak go przez swawolę nazywała, krzątali, a z ócz Anny i jęj męża padła na kamienną posadzkę kościoła niejedna łza tej świętej miłości, tej najczystszej i najszczerzej prośby, jaka z ziemi podnosi się do nieba.

W parę godzin potém już ojciec i chłopcy wyjeżdżali z bramy eichego dworku, i obracając się jeszcze na bryczce, przesέλali pożegnania swe do ganku, zkąd Anna powiewała do nich zmoczoną łzami chustką, zkąd Sabinka przesёлala im pocałowania obiema rączkami, i zkąd żegnali ich na drogę i błogosławili wszyscy zebrani koło ganku zakonnicy.

W tymże samym czasie podobne sceny odbywać się musiały w niejednym domu na Wołyniu i Podolu, bo wszyscy dążyli do Krzemieńca, bo to były lata, w których szkoła ta blisko siedmiuset uczniów liczyła.

## X.

Od początku naszego autorskiego zawodu staraliśmy się zawsze sumiennie z czytelnikami naszymi postępować. Pojmujemy więc i teraz tę śmiertelną trwogę, jaka ich zapewne dręczy, gdy pomyślą, że z hohaterem naszym będą musieli pójść do szkół, obaczyć się z grammatyką, od której się dawno już odzegnali, i spotykać się co chwila to z arytmetyką, to z geometryą, to z innemi tego rodzaju książkami, na których samo wspomnienie dreszcz ich przechodzi i zimny pot na czoło ich występuje. Tak ciężkiej męki nie zadamy im bez wątpienia; byłoby to bowiem z naszej strony nadużycie téj dobrej wiary, z jaką książkę naszą biorą w rękę, i za które mieliby słuszne prawo ukarać nas wzgardliwém jéj odrzuceniem. Względy i życzliwość czytelników są dla nas tak wielkiém dobrem, że dla ich miłości nie wahamy się nawet odslonić słabą stronę naszą krytyce, która z niéj korzystać nie zaniedba, i jakby przez gotowy wyłom wejdzie z całą artyleryą żartów i przycinków, rozwodząc się nad brakiem w nas wynalezenia i ustawiczném powtarzaniem się, tak wszelkiej sztuce przeciwném. Ale my wolimy ucieszyć nieprzyjaciółkę naszą, krytykę, niż znudzić przyjaciół naszych, czytelników, i z tego powodu użyjemy i tu tego samego środka, jakiegośmy już raz w téj powieści użyli, to jest: przekraczać będziemy wielkimi krokami cały pięcioletni peryod pobytu Tadeuszka w szkołach, krótką tylko czyniąc wzmiankę o niektórych ważniejszych wypadkach, które w ciągu tego czasu miały miejsce, o ile te do dalszego opowiadania potrzebnemi się staną i wybitniej położenie i rozwinięcie umysłowe i moralne bohatera naszego odmalują.

Tadeuszek, pod opieką zacnego opiekuna swego, przybył szczęśliwie do Krzemieńca, zdał nieźle egzamen do klasy trzeciej, wraz z swym towarzyszem Józiem, i wraz z nim na jednej staneyi ulokowanym został, pod dozorem jednego ze starszych uczniów, którego prefekt szkoły na prośbę pana Karpińskiego sam wybrał, i za którego pilność i obyczaje ręczył. Szły więc nauki zwykłym trybem: zdolność nagradzała brak gruntowniejszego przygotowania. Tadeuszek dał się poznać nauczycielom, poprzyjaźnił się z kolegami; a gdy się rok skończył, szczęśliwy i wesoły jechał na wakacye do Kalinowa, gdzie go czekały uściski dobrych zakonników, rodzicielskie obchodzenie się z nim pana Karpińskiego i jego żony, żarciki i despotyzm Sabinki, któremu się

chętnie poddawał. Z takimi wspomnieniami wracał znowu do szkoły z podwojoną ochotą, rósł i rozwijał się, i w miarę tego, jak głowa jego zaczęła się napełniać poważniejszymi wiadomościami, a rozum wprawiał się do działania przez nauki ściśle i porządnie wykładane, stawał się i sam poważniejszym, tracił chęć do swywoli i figlów, i dojrzał pręcej, niż inni w równym z nim wieku będący koledzy. W roku 1828, kiedy miał lat 14, był już na pierwszym kursie nauk, które w Krzemieńcu, w zakresie uniwersyteckiego prawie wykładu, na sześć lat i na trzy dwu-letnie kursa rozłożone były. Tadeuszek, który prawie najmłodszym był między młodzieżą tego kursu, tém poważniejszego udawał, aby go nie miano za dziecko, i tém pilniej się przykładał, aby pokazać starszym i żartującym sobie czasem z niego kolegom, że choć najmłodszy, prześcignie wszystkich, i brak lat nagrodzi zdolnością i pracą. Usiłowania jego uwieńczone zostały. Celował we wszystkich naukach, i przy końcu roku, jednogłośnie zdaniem nauczycieli, miał sobie przyznany medal srebrny. Łatwo sobie wyobrazić radość naszego bohatera, gdy w téj samej sali, którą już znamy, wystąpił na środek, przybliżył się do zwierzchnika szkoły, i otrzymawszy medal i świadectwo, jak i za co nań zasłużył, powracał nazad w szeregi tychże samych kolegów, co w jego siły i lata nie wierzyli.

Była to chwila pierwszej wielkiej radości dla biednego sieroty; gorąco téż dziękował za nią Panu Bogu, gdy po skończonej uroczystości wszyscy poszli do kościoła, dla odśpiewania Te Deum; ale była to także chwila pierwszego smutku, który serce jego dotknął. I niedziw, że się obie zbiegły, bo to są dwie siostry niewidzialne, które zawsze razem towarzyszą człowiekowi i z kolei go dotykają, budząc do życia, to radością, to bólem.

Gdy chłopcy wrócili do domu, zastali konie, które po nich przysły dla odwiezienia ich na wakacje. Józio przestraszył się, że ojciec nie przyjechał, którego się spodziewali; ale list pana Karpińskiego uspokoił go, że wszyscy w domu zdrowi. Zmartwienie czekało tylko Tadeuszka. Odebrał on osobny list, w którym były te słowa: „Kochany Tadeuszu! przygotuj się na wielkie zmartwienie, może pierwsze w twém życiu, które mocniej uczujesz, niż to wszystko, co ci się w dzieciństwie twojem przytrafiło. Nie chciałem ci o tém donosić dawniej, aby ci smutek nie przeszkadzał w naukach, z których zapewne z całym zapalem starałeś się korzystać. Dowiedz się, kochany Tadeuszu, że ksiądz gwardyan przed kilkoma miesiącami umarł; na jego miejscu jest inny, który ani z charakteru, ani z głowy, ani z serca, do zacnego staruszka, co cię tak kochał, niepodobny. Wątpię, abys tam znalazł już przytułek i pomoc w utrzymaniu. To ostatnie, nie wiele cię zapewne zmartwi, bo sądzę, żeś

„się już tyle usposobił, iż sobie sam dasz radę. Ja byłem tylko o pół roku starszym, niż ty dziś jesteś, a już zostawiony byłem sobie samemu, i Bóg mi dopomógł, bom postanowił ulgę przynieść staremu ojcu i nie od niego nie żądać. Znasz nasze przywiązanie do ciebie, i znasz nasze serca, ale wiesz także, jak nam ciężko, i że ledwie na utrzymanie Józia zdobyć się możemy. Przygotuj się więc do stania na własnych nogach, i nie trać odwagi, która ci tém potrzebniejsza, że jeszcze jedną najgorszą mam ci donieść wiadomość. Brat Leon śmiertelnie chory; dla tego nie przyjechałem po was, bo go pilnuję i nie odstępuję, ile mi tylko czas od moich prac gospodarskich pozwala. Poczciwy ten twój przyjaciel i opiekun zapadł przed tygodniem na jakąś złą gorączkę, i dotąd bez pamięci leży. Śmierć księdza gwardyana znękała go niezmiernie, złe z nim obchodzenie się jego następcy, zmuszenie go do ciężkich robót braciszka, od których się odzwyczał, odjęcie wszelkich wygod, do których tak przywykł, dobiło go na duchu, tak, że jakiś nawet lekki i nieznaczący powód przyprawił o chorobę jego ciało, już i tak przez wiek i chorobę duszy zniweczone. Wyobrażam sobie, jakim cię bólem ta wiadomość przejmie; ale nie poddawaj mu się, mój drogi Tadeuszu, bo tyle jeszcze dni przed tobą, a nie wiesz, ile ci sił do ich przebycia będzie potrzeba, i jakie jeszcze próby cię czekają. Sciskam cię z serca i wyglądam was obu.“

Tadeuszek, przeczytawszy ten smutny list, położył go na kolanach, zakrył twarz rękami i rzewnie płakać zaczął. Gdy się cokolwiek uspokoił, i gdy Józio, dowiedziawszy się o co idzie, pocieszył go jak mógł, zaczęli się wybierać, i tego samego dnia wyjechali. Nie była podróż ta tak wesoła, tak szczęśliwa, jak się spodziewał. Medal wprawdzie leżał na jego sercu; ale w tém sercu był smutek, że już nie zostanie tych, którym chciał pokazać ten owoc ich starań, ten plon ich dobroczynnych usiłowań.

Gdy przybyli do Kalinowa, Tadeuszek wyczytał z twarzy pana Karpińskiego, że brata Leona już nie ma na świecie. Jakoż w wigilią ich przyjazdu pochowano go, i klasztor odtąd stał się dla biednego chłopca pustym i obcym. Rzadko bardzo tam bywał, gdyż nowy gwardyan widzieć go nie chciał. Do kościoła tylko chodził codzień, gdzie modlił się za dusze swych dobroczyńców, myśląc przy tych modlitwach i o Widalskiej, i o Owsikowskim, o których pewnym był, że nie żyją, gdyż mu już kilka razy ich śmierć przysniła się, a szczególnie Widalsię swoją wyraźnie widział na katafalku, przy którym klęczał i płakał. Pozostała mu więc tylko przyjaźń téj rodziny, gdzie go traktowano, jak dziecko własne, gdzie go tak rozumnie pocieszał i umacniał pan Karpiński, tak czule kołła żal jego Anna; gdzie nawet Sabinka, w czarnych i błyszczących oczach swych znała-

zła łzę współczucia, gdy patrzyła na jego smutek, gdy spostrzegła, że go dawniejsza opuściła żywość, a jej miejsce jakies przedwczesne zajmowało zamyslenie.

Raz zastała go na tém samém miejscu, gdzie się poznali. Siedział on tam pod drzewem, z głową opartą na dłoni, i patrzył na piękną jabłoń ogrodu Reformackiego, z której rzucił jabłko ładnej i swobodnej dziewczynce. Sabinka, która już wówczas miała lat trzynastcie, była słuszną, i z każdym dniem robiła się piękniejszą, spostrzegłszy Tadeuszka, tak siedzącego, zerwała niedojrzałe jabłko z drzewa, pod którym przechodziła, i zbliżywszy się cicho, rzuciła je tak, że się pod nogi chłopca potoczyło. Chciała, widać, obudzić go z zamyslenia przypomnieniem pierwszej chwili ich znajomości. Podniósł głowę Tadeuszek, i zobaczył stojącą niedaleko panienkę. Twarz jej była rumiana i jakby zawstydzona, oczy błyszczały tém bardziej, że w nich połyskała łza współczucia; słiczne jej usteczka złożyły się do uśmiechu, a gęste i ciemne pukle trzęsły się i połyskiwały, bo kiwała główką, jakby mu ganiła; że się smuci, że się zamysła. Dziwnie jakos zrobiło się chłopcu, chociaż sobie sprawy zdać nie umiał z tego, co się w duszy jego działo. Patrzył więc na nią długo, nie ruszając się z miejsca, i wpatrywał się póty, aż Sabinka, zadziwiona tém jego milczeniem i przypatrywaniem się, zbliżyła się i zapytała :

— Czego mi się tak przypatrujesz, Tadeuszk? Czy może na mnie co jest? może gąsienica? to zdejmn, proszę cię.

— Nie ma nic, Sabinko — odpowiedział Tadeuszek uśmiechając się, nie przestając jednak przypatrywać się.

— To po cóż tak się przypatrujesz, jak gdybyś mnie pierwszy raz widział? Przecie znamy się od dawna, nieprawdaż? Pamiętasz te jabłuszka? — dodała uśmiechając się, i ukazując na drzewo, tak mu dobrze pamiętne.

— A tyż, pamiętasz? — zapytał chłopiec.

— O, i jak! — odpowiedziała kiwając głową. — Ile razy tędy przechodzę, zawsze mi się chce wyciągnąć rękę i poprosić, żeby mi drzewo rzuciło jabłko.

— Jużci teraz nie rzuci, mnie tam nie ma; już nie mam po co tam chodzić! — dodał smutniej.

— Jak ja ciebie nie lubię, Tadeuszk, kiedyś ty taki smutny i rozmazany — rzekła z nadąsaną niby minką. — Dobrze, że żałujesz tych dobrych ludzi, i mnie ich żal; ale kiedy pomarli, to cóż robić? nie można wiecznie płakać za tymi, których nie ma.

Tadeuszek spojrział na nią, gdy to mówiła, i spostrzegł, że łezka, którą dawniej widział, znikła, i oko jej zrobiło się suchém i błyszczącym. Przykro mu to było, choć nie wiedział dla czego, i chcąc ukryć

wrażenie, jakiego doznawał, schylił się, i podniósł jabłko, które mu rzuciła.

— Skosztuj, czy takie dobre, jak to, co ty mnie kiedyś dałeś — rzekła dziewczynka, patrząc mu w oczy.

— Niedojrzałe — odpowiedział Tadeuszek.

— To rzuć! — rzekła z minką nieukontentowaną. Tadeuszek schował jabłko, a ona dodała śmiejąc się i klaszcząc w ręce: — A widzisz, że nie rzucasz! Czy to chowasz na pamiątkę, Tadeuszk?

Tadeuszek sam nie wiedział, dla czego je schował, i dla tego nie umiał odpowiedzieć. Wtedy Sabinka rzekła:

— Jaki ty zrobiłeś się nudny i nieznośny! Doprawdy, że z tobą nawet pogadać teraz nie można. Chowasz się po kątach, nie bawisz się z nami. Czasem, jak mi czego potrzeba, to nie mam nawet kogo poprosić.

— A czegoż chcesz? — zapytał Tadeuszek, patrząc na nią, i w oczach jego była gotowość wypełnienia wszelkiego rozkazu.

— Czego? poczekaj, pomyślę — i przechyliła główkę, wsparła twarz na różowych paluszkach swęj ręki, i po chwili rzekła: — Chcę koniecznie, żebyś poszedł do ogrodu księży i schował się na téj jabłoni. Ja tu stanę i prosić będę: — drzewo! drzewo! daj mi jabłuszko, tak jak wtedy, pamiętasz? kiedyś była mała. Potem staniesz na murze, tak jak wtedy, stanąłeś i będziemy tak rozmawiać.

Tadeuszek rzucił okiem na jęj figlarną twarzyczkę i gotował się dogodzić zachceni dziewczyny, choć mu to było przykre i wiedział, na co się naraża. Sabinka patrzyła z ukontentowaniem i tryumfem na jego posłuszeństwo, a gdy już odszedł kilkanaście kroków, klasnęła w rączki i zawołała:

— Tadeuszk! Tadeuszk! wróć się. Już nie tego chcę.

— A czegoż? — odpowiedział wracając.

— Nic już nie chcę! — rzekła wówczas śmiejąc się, i pobiegła ku domowi, nie obejrzawszy się nawet na biednego chłopca, który nie wiedząc jeszcze, co się z nim dzieje, i nie mogąc i nie umiejąc nazwać uczuć, których doznawał, stał się już ofiarą jęj kaprysów i wdzięków.

Sceny podobne często się powtarzały, bo wszystkie dzieci przez czas wakacyj prawie ciągle były razem, razem się bawiły, razem czytały po niemiecku i francuzku, w czém Sabinka mocniejsza była od obudwóch chłopczyków, i często się z nich naśmiewała, gdy się który pomylił. Celem tych przesładowań był szczególnie Tadeuszek, z którego żartowała, że mu nie wiedziéć za co dali medal. Nawet raz, po jednéj takiéj niefortunnej lekcyi, odebrała mu go śmiejąc się, i schowała u siebie. Wszakże za te wszystkie udręczenia, za które Tadeuszek naturalnie gniewać się nie myślał, wynagradzała go czasem taką dobrocią, takim podziałem jęgo smutku, tak pilnie i oddzielnie z nim czy-

tała, żeby się lepiej wprawił i ładniej wymawiał, tak wyraźnie w zabawach i grach dawała mu pierwszeństwo przed bratem, a w czasie krótkiej choroby, której podczas wakacyi uległ, taką niekiedy okazywała troskliwość, że Tadeuszek patrzył na nią ze łąą wdzięczności i przywiązania, zapominał o wszystkich przekorach, któremi go trapiła, i o całym despotyzmie czującej już władzę swą dziewczyny, któremu poddać się gotów był z rozkoszą i bez szemrania. Tego stosunku między nimi nikt nie uważał. Przy rodzicach postępowała z nim zupełnie tak, jak z Józiem; i choć przewodziła nad obydwoma, za co nieraz od matki była strofowana, żadnej jednak między nimi nie czyniła różnicy. Ale gdy byli sami, gdy na nich nikt nie patrzył, wtenczas dopiero okazywała mu, lub szczególne łaski, lub szczególne przesładowania, co wszystko zależało od niewyrachowanego w niej kaprysu, a było mu równie pożądane. Biedny Tadeuszek nie wiedział o tém, że to był zaród głębokiej namiętności, która go miała daleko zaprowadzić.

Tak przeszły Tadeuszkowi wakacye, ostatnie w swobodzie i szczęściu tego wieku, z którego człowiek wyrwa się co prędkiej, bo nie wie, że mu tam dobrze, bo tego szczęścia nie umie jeszcze porównać z niedolą życia, której nie zna, bo Bóg złożył w jego piersiach tę żądzę poznania dobrego i złego, której zadośćuczynienie każdy z nas utratą raję swego opłacić musi.

Gdy przyszło wyjeżdżać, Tadeuszek był dziwnie wzruszony. Na ganku była Anna, Sabinka i jeden tylko ksiądz Augustyn. Poważnej twarzy starego gwardyana, wesołego i jowialnego oblicza brata Leona, już nie było. Brak ten zasmucił wdzięczne serce bohatera naszego, a wesołość Sabinki, która ich żegnała ze śmiechem, jakby jutro powrócić mieli, przejęła go jakimściś nieznanym dotąd bólem. Jadąc już, przypomniał sobie, co mu kiedyś w ogrodzie powiedziała: że nie można wiecznie płakać za tymi, których nie ma, i słowa te brzmiały ciągle w jego uszach; i później, wiele razy chodził po górach i marzył, zarywały się w jego serce i bolesne tam zostawiały ślady.

Koniec sierpnia był, od czasu założenia szkoły Krzemienieckiej, epoką ważną dla mieszkańców Wołynia i Podola. Z dniem pierwszym września rozpoczynały się akuratnie szkoły, i na wszystkich główniejszych traktach widzieć można było wózki i bryczki, budy żydowskie, koczę obywatelskie i pańskie karety, zwożące młodzież do Krzemieńca. Wszędzie w miasteczkach i po lepszych punktach po drodze, gdzie były porządne austerye, gospodynie domów zajezdnych wyglądały niecierpliwie jadących do szkół paniczów, a nade wszystko oczekiwały na te karawany dworskie, składające się często z kilku rozmaitych powozów, a które wiozły panie, mieszkające

z dziećmi w Krzemieńcu, dla lepszego dopilnowania ich edukacji, a także dla własnej rozrywki i dobornego towarzystwa, jakie się tam stale zbierało. Krzemieniec bowiem, odkąd szkoła w nim egzystująca wzrosła i wstąpiła się, co zaraz pierwszych lat jej założenia nastąpiło, stał się głównym punktem zjazdu najcelniejszych rodzin owych prowincyj. W czasie karnawału nie było domu i domku, któryby nie był zajęty; żaden ze znakomitych artystów, który odwiedził już Petersburg, Moskwę i Kijowskie kontrakty, nie mijał Krzemieńca; i jeśliby kto przyjechał tam w nocy, wszedł niespodziewanie do którego ze znaczniejszych salonów, i rzucił okiem na grono poważnych dam, na orszak mężczyzn z wyraźnymi cechami dobrego wychowania, na strojną gromadkę panien, wesołych i pięknych, jakby je kto umyślnie dobierał, aniby mu do głowy nie przyszło, że się znajduje w małym miasteczku, ścieśnionem w dole między wysokimi górami, nie mającém kamienia, nie wszędzie wybrukowanem, i złożonem z domów drewnianych, z których ledwie kilkanaście było większych i niekoszlawych. Świetność zgromadzenia, gust i elegancja strojów, powaga i ton rozmowy, wesołość i przyzwoitość zabawy, zadziwiłyby go bez wątpienia i przeniosłyby myśli jego zupełnie gdzie indziej. Inie mogło być inaczej, — gdyż te salony, w których młodzież bawiła się pod okiem matek i ojców, do których i ubodzy nawet uczniowie, jeśli się odznaczyli pilnością i postępowaniem, byli zapraszani, urobili się na wzór tego, który założyciel tej szkoły w domu swym utworzył, i gdzie zapraszał starszą młodzież nie z imienia, nie z tytułu rodziców, ale z własnej jej zasługi i wartości. O tym ważnym warunku zabaw krzemienieckich nie wiedzieli zapewne ci, co je tak okrzyczeli, a później odrukowali, nazywając je sposobami zepsucia i roztargnienia, kiedy właśnie były one środkami kształcenia i pobudką do pilności i pracy.

Jednym z traktów, najbardziej wówczas uczęszczanych, był trakt tak nazwany Jampolski, który łączył Krzemieniec z najżyźniejszą i najbogatszą częścią Wołynia, z całym Podolem, Poberczem i Ukrainą. Znane były w owym czasie wszystkim Dębowe karczmy, od pięknego lasu dębowego, wśród którego znajdowały się, nazwane. Stały one w punkcie tak dogodnym, że jadącym z Krzemieńca, lub do Krzemieńca, wypadał tu koniecznie popas, lub nocleg. Ztąd były bardzo uczęszczane, a szczególnie jedna murowana, ogromna i utrzymana dość porządnie. Tam, po zamknięciu rocznego biegu nauk, 30 czerwca, na noclegu, i pierwszych dni lipca, na popasie i noclegu, widzieć można było po kilkanaście najrozmaitszych ekwipażów, a w dwóch wielkich pokojach ścisk młodzieży, zdrowej, wesołej, szczęśliwej, że się rok szkolny dobrze skończył, że jedzie odpocząć, obaczy domowe kąty, odwiedzi krewnych i przyjaciół, pochwali się



odebraną nagrodą, popiszę się ze zdobytą wiadomością i nauką. Tam wrzała rozmowa, rozlegały się śmiechy i żarty, próbowały się nowe cybuchy i świeżo na wyjezdnem kupione fajki; tam deklamowały się rozmaite wiersze, powtarzały się różne anegdoty szkolne, oceniał się wykład profesorów, a ztąd spory i pierwszeństwo oddawane jednemu przed drugim; rozbierała się wartość uczniów medalowych, szły żarciki z paniczów, którzy się pieli do nagrody i nie otrzymali jej, lub więcej myśleli o kontredansie i koniku, niż o atrakcyi, o powinowactwach, albo o rachunku różniczkowym i integralnym. Wszyscy znali się doskonale, a żaden koledze ubliżyć nie śmiał, i nigdy jeden przed drugim nosa zadrzyć nie odważył się. Nikt bowiem nie patrzył na to, czy kto jechał wózkiem, czy koczem, ale czy był zdolnym i pilnym. To jedynie stanowiło herb i tytuł do koleżeństwa i braterstwa z najmniejszymi z rodu i majątku. Młodzieniec, który fumy pańskie wywiózł z domu, i temu prawidłu poddać się nie chciał, przechodził przez takie różgi i frycówki, że się prędko zreflektował i z najbiedniejszymi, których mu opinia kolegów, jako czoło młodzieży wskazała, wkrótce się pobratał.

Podobne, chociaż nie tak tłumne zjazdy, zdarzały się w Dębowych karczmach przy końcu sierpnia, kiedy młodzież zbierała się do szkół. Wszakże i wówczas nie było tam widać smutnych i zasepionych twarzy. Po dwumiesięcznych wakacyach każdy tęsknił już do pracy i zajęcia, każdy prawie jechał z ukontentowaniem do tego miejsca, gdzie go czekała przyjaźń kolegów, piłka na galeryi collegium, rozkoszne przechadzki po górach, samotne rozmyślenia na zamku królowej Bony, składkowe podwieczorki u Mińczuczki, nowy głos profesora, którego jeszcze nie słuchał, nowe pole wiadomości, na które rad był najprędzej wstąpić. Tacy nawet, którzy dojeżdżali do Krzemieńca, mając tylko kilka złotych w kieszeni, jechali bez troski i z nadzieją, że tam nie zginą, gdyż fundamentalne prawidło tej szkoły: „że każdy uczeń musiał być lub sam dozorcą domowym, lub mieć dozorcę“, dodawało najbiedniejszym śmiałości i czyniło im otuchę, że znajdą pracę, a zatem utrzymanie.

W takim położeniu, ale w kłopotliwszem cokolwiek usposobieniu, dojeżdżał do Dębowych karczem i Tadeuszek. Jeszcze dziś, jeszcze może jutro i pojutrze, myślał sobie, ojciec Sabinki da mi obiad i śniadanie. Ale on za parę dni wyjedzie, i ja zostanę sam o własnych siłach, bez dachu i chleba. Przykro się zrobiło biednemu chłopcu, gdy zaczął rozważać, że tak rzucony w świat, bez stałej pomocy i opieki, że gdy każde dziecko cieszy się pieśczętą matki, miłością i nauką ojca, on nawet nie wie, jak wyglądają te twarze, które go do życia wywołały i jak winowajcę jakiego za próg swego domu wyrzuciły; zaszło chmurami jasne i szerokie czoło szlachetnego chłopca,

gdy pomyślał, że nie ma zupełnie nic, że dopiero ma lat czternaście, że być może, iż zwierzchność szkolna nie pozwoli mu zajmować się dozоровaniem młodszych, jako malcowi, który sam jeszcze potrzebuje dozoru; a jeżeli i pozwoli, to może nikt nie zechce powierzyć mu dzieci swoich, nie ufając jego latom, że zatem przyjdzie miesiąc, dwa, a może i rok cały być bez stołu i stancyi, tułać się od kolegi do kolegi, i żyć okruszynami ich chleba, których mu przez przyjaźń i miłosierdzie udziela. Ale z drugiej strony, gdy wspomniał, że będąc daleko młodszy i słabszy, w gorszych się jeszcze znajdował okolicznościach, a przecież Pan Bóg zesłał mu tak dobrego przyjaciela i opiekuna; gdy przeszedł myślą kolegów swoich krzemienieckich, mało co od niego starszych, równie jak on biednych, nie mających nawet jego pilności i nie ozdobionych medalem, a żyjących przecież z pracy, którą im zwierzchność szkolna zapewniła, przeżegnał się, pomodlił się w duchu, i znacznie się uspokoił. Z tej trwogi, z tego zwątpienia wyleczył go zupełnie widok kilku żwawych i wesołych uczniów, którzy także w Dębowych karczmach popasali. A gdy wkrótce nadjechała cała bryka pełna studentów, śpiewających wesoło i cieszących się, że jadać uczyć się i pracować, gdy pomiędzy niemi poznał dwóch przyjaciół, z którymi nie jedną noc przesiedział, i którzy, dowiedziawszy się o jego położeniu, śmiać się zaczęli z jego obawy i kłopotu, odrzucił i on wszelką wątpliwość o dalszym swym kierunku, nabrał odwagi, i wesoło wyglądał tej góry zamkowej, która zdaleka już zwiastuje miasto u stóp jej rozłożone.

I wkrótce przekonał się Tadeuszek, że w takich ciężkich chwilach, kiedy człowiekowi zdaje się, że wszystkie jego konce porwały się, zawsze je jakoś zwiąże szczery pacierz i dziecięce w opiece Boskiej zaufanie.

Gdy konie jadły owies, a studenci, których było z dziesięciu, zniósłszy razem zapasy, jakie kto jeszcze miał, otoczyli jeden ze stolów w ogromnej izbie gościnnej, i wesoło rozmawiając, przyrządzali posiłek południowy, postrzegli przez okno zbliżającą się od Jampola bryczkę żółtą na resorach, trzema chudemi końmi ciągnioną, do których przywiązany był czwarty, osiodłany kozackim siodłem.

— Jeszcze ktoś jedzie — zawołał jeden.

— Zaczekajmy — rzekł drugi — może który kolega. Zaprosimy go do kompanii.

— Obaczymy, kto to? — i kilku wybiegło do sieni, między niemi Józio i Tadeuszek.

Z bryczki wysiadła jakaś pani, niewielkiego wzrostu, bardzo otyła, ale twarzy rumianej i przystojnej. Pomagał jej w tej trudnej operacji jakiś kozak wysoki, w jasno-zielonej kurtce, którego włosy i wąsy były już zupełnie siwe. Mimo ten wyraźny znak wieku, twarz jego była jeszcze czerstwa, oko bystre, i wszystkie ruchy okazywały

zdrowie i siłę. Przy bryczce stało już dwóch chłopczyków od dziecięciu do dwunastu lat, którzy nie mieli jeszcze mundurków, i ciekawie przypatrywali się zebranym w kupkę studentom.

— Dziękuję ci, kochanku! — rzekła pani do kozaka, przeciągłym wołyńskim akcentem, który mimo materyjalnej sukni, w którą była nawet w drodze ubrana, i czépka pretensjonalnie między brodą i tłustym podbródkiem zawiązanego, nie okazywał kobiety wyższego wychowania i wyższego towarzystwa. — A weź tam, proszę cię, i zawiniątko z kurą pieczoną i bułkami, bo tu pewnie w tej karczmie nic nie ma.

— Woźmù, woźmù — odpowiedział kozak niedbale — zwracając się do swego konia i odwiązując jego cugle.

— A nie zapomnij także, mój kochaneczku, proszę cię — mówiła jeszcze pani z grzecznością — i butelkę z kawą i imbryczek. Tam one są w siedzeniu. Ta może tu filiżanka i znajdzie się w tej karczmie; a jak nie ma, to się i ze szklanki napijemy.

— Nezabudu. Idit uże, idit — mówił kozak, ukazując ręką na kurytarz, żeby już sobie poszła.

— Ta przywiąż-że konie w suchém miejscu, Hryćku! — rzekła znowu pani do chłopca w białej siermiedze i słomianym kapeluszu, który ją powoził — a daj im po garncu owsa; tylko z sieczką, żeby się dobrze popasały.

Chłop i kozak uśmiechnęli się do siebie, a pani, poprawiwszy żółtą chustkę, którą na czarnej sukni miała, obmacawszy aksamitny woreczek, czy co nie wyleciało, wzięła za rękę młodszego syna, zwróciła się ku korytarzowi, i patrząc na młodzież tam stojącą, rzekła:

— To panowie wszystko studenci?

— Studenci — odpowiedział jeden.

— I panowie wszystko do Krzemieńca jedziecie? — zapytała.

— Do Krzemieńca — odpowiedział drugi, uśmiechając się z ograniczonej naiwności kobiety.

— Mój Boże! co tam tego musi być — rzekła kiwając głową.

— O! jest dużo! — zawołał trzeci.

— A i ja swoich jeszcze tam wiozę.

— Wież pani, wież, zmieszczą się jeszcze — mówił inny śmiejąc się.

— A któredyż mnie tu iść? — zapytała jeszcze.

— Idź pani korytarzem. Tam na lewo pokój gościnny — rzekł inny.

— Dziękuję panom — rzekła pani; obejrzała się jeszcze, czy Hryćko konie wyprzęga, i udawszy się korytarzem, weszła do pokoju, gdzie reszta młodzieży znajdowała się.

Chłopcy zostali jeszcze chwilę, śmiejąc się, robiąc różne uwagi nad strojem i mową tej pani, i przypatrując się kozakowi, którego

postawa i wyraz twarzy zastanowił ich, a jego obchodzenie się i odpowiedzi dały im domysł, że to nie musi być jego pani. Tadeuszek, który stał najbliżej kozaka, zapytał go:

— Czy to twoja pani? kozacze!

— Et, — odpowiedział kozak, przypatrując się ładnemu chłopakowi — moja pani nie taka, piękny paniczu. To żona naszego komisarza!

— Tadeuszk! Tadeuszk! — zawołał Józio, stojący w bramie od strony Krzemieńca. — Patrz-no, dwóch kollegów jedzie z Krzemieńca. Dowiemy się co się tam dzieje.

— Z Krzemieńca? a pocóż oni teraz z Krzemieńca jadą? — odpowiedział Tadeuszek i pobiegł do Józia.

Kozak, usłyszawszy to imię, zastanowił się i zaczął się bohaterowi naszemu przypatrywać; potem, zbliżając się, do jednego z uczniów, zapytał:

— Jak się ten panicz nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny — odpowiedział zapytany

— Tadeusz Bezimienny! — powtórzył kozak, zamysłając się — a nie wie panicz, zkąd on?

— Jak to zkąd?

— Cóż, panicz tego nie rozumie? — rzekł kozak — ja pytam się, gdzie mieszka jego ojciec i matka?

— On nie ma ojca i matki — odpowiedział uczeń.

— A z widkiż win wziawsia? — rzekł kozak, uśmiechając się.

— Czy ja wiem — odpowiedział uczeń, którego ciekawość i śmiałość kozaka zastanowiła. — A tobie to na co?

— Niczehó! — rzekł kozak — ja tak spytańsia — i poprowadził konia swego do żłobu, przypatrując się wracającemu prędko od bramy Tadeuszkowi, który był bardzo blady, i nie patrząc już na nic, co go otaczało, poszedł prosto do pokoju gościnnego. W tymże samym czasie w bramę karczmy wjechała duża bryczka niekryta, trzema końmi, a w niej siedział jakiś szlachcic z dwoma synami w mundurach szkolnych. Uczniowie, którzy jeszcze pozostali przy wchodzie na korytarz, przypatrując się przyjeźdźcy, rzekli jeden do drugiego: To jacyś nieznajomi, to nie Krzemieńczanie. Pójdźmy! tam nas będą czekać — i wszyscy poszli do izby gościnnej, i otoczywszy stół, wzięli się wesoło, pod prezydencją pana Karpińskiego, do spożywania różnych przysmaków, któremi ich matki opatrzyły.

Przy drugim, równie wielkim stole, siedziała pani komisarzowa, z woreczkiem w ręku, i poglądając na dorodną i wesołą młodzież, z takim zajadającą apetytem, musztrowała swoich chłopców, którzy stojąc oparci o stół łokciami, i pootwierawszy gęby, przypatrywali się przyszłym swym kollegom i przysłuchiwali się ich rozmowie. Wtedy

wszedł do pokoju szlachcic barczysty, z dużemi wąsami, w słoniowym kapeluszu, w chałacie, bez chustki i kamizelki, ale z harapnikiem w rękę; za nim weszło w mundurkach dwóch dużych i niezgrabnych chłopaków, z których wyższy przygarbiony, patrzył zyzem i w nosie dłuwał, a drugi mniejszy, niezmiernie piegowaty, zdjął czapeczkę i drapał się w głowę, obrosłą gęstemi i rudemi włosami.

Szlachcic spojrział na kompanię studentów, potem rzucił okiem na drugi stół, gdzie siedziała pani komisarzowa, i widząc, że tam miejsca dosyć, przybliżył się, na drugim jego końcu położył harapnik, przykrył go kapeluszem i ocierając pot z czoła, usiadł.

Studenci spoglądali na nowo przybyłego i jego niezgrabnych synków z uśmiechem, a Tadeuszek przysiadł się w kąciu za panem Karpińskim, żeby go nie bardzo było widać. Apetyt odpadł go i rumieńce znikły z jego twarzy.

— Czemu ty nie jész, Tadeuszkule? i coś bładny jesteś! — rzekł jeden z kolegów.

— Cicho! — odpowiedział nasz bohater — jeżeli mnie kochacie, nie gadajcie do mnie i nie nazywajcie mnie po imieniu. Powiem wam potem dla czego. — Poznał biedny chłopiec i ów chałat, i ów harapnik, który go raz tylko, ale dobrze dosięgnął. I czytelnicy poznali zapewne, że to nie był kto inny, tylko ów Goliat, któremu nasz mały Dawid oczy i gębę piaskiem zasypał. Po całych czterech latach Tadeuszek wyrósł, zmężniał, odmienił się znacznie i przez mundurek, i przez wzrost swój nad wiek, i przez wyraz twarzy, której i głowa i serce, przedwcześnie rozwinięte, inny nadały charakter. Niemógł go więc Radłowski poznać, tém bardziej w kompanii kilkunastu kolegów, którzy i przez strój i ułożenie, prawie wszyscy byli do siebie podobni. Ale Tadeuszek nie dowierzał tej zmianie, jakiej sam w sobie widzieć nie mógł, i niespokojny był i strwożony w duchu póty, póki się nie przekonał, że Radłowski, który się im wszystkim przypatrywał, szczególnój uwagi na niego nie zwracał, i chociaż go dobrze widział, ani podziwieniem, ani innym znakiem nie okazał, aby go sobie przypomniął. To dodało odwagi chłopcu, i po kwantransie śmiertelnój obawy, wrócił mu humor i apetyt.

Tymczasem Radłowski, wypiwszy dobry kieliszek wódki, który mu służąca z karczmy przyniosła, i rozwijając swoje zawiniątko z zapasami, rzekł do pani komisarzowej, która także krajała już ową pieczoną kurę i rozdzielała jej kawałki pomiędzy swoich chłopców, dopominających się to o pępuszek, to o wątróbkę:

— A to pani swoich chłopców do Krzemieńca wieszysz?

— A do Krzemieńca — odpowiedziała, poprawiając wstążkę od czépka, która się z rowku między brodą i podbródkiem zsunęła. — Ta nie wiem, proszę pana, gdzie ja ich tam ulokuję, i czy znajdę dobrego dyrektora.

— Tego tam nie brak — odpowiedział szlachcic mocno odchrząknawszy — i faktory zrobią pani, ot! taką głowę, z rajeniem stancyi i dyrektora do dzieci. Tylko każdemu trzeba zapłacić.

— A niech ich djabli wezmą! — rzekła pani w materyalnej sukni — na co mi to? czy to ja sobie sama nie znajdę? Ja muszę na własne oczy widzieć, jaka jest gospodyni, i czy będą mieli dobry wikt; bo to dzieci nie lada jakie. Może chcesz, Jasiu, kawałek piersi z kury pieczonej — dodała, zwracając się do młodszego syna, żeby zaraz pokazać, że to w rzeczy samej dzieci nie lada jakie i do dobrego wiktury przyzwyczajone.

— A pan także swoich synów do Krzemieńca wiezie?

— Et, gdzie tam! ja ich wiozę napowrót do domu — odpowiedział szlachcic. — To djabelska jama, ten Krzemieniec.

— Oho! — krzyknął któryś z młodych przy drugim stole, i wszyscy podnieśli głowy, jakby się gotowali bronić to miejsce, które każdy z nich, jak własny dom kochał.

— Nie oho! ale tak jest w rzeczy samej — odpowiedział Radłowski odchrząknawszy tak, że pani komisarzowa aż drgnęła. — Najpierw żydzi mnie tam zdarli, potem faktorzy krwi nie mało napsuli, potem dobrze musiałem się nakrzyczyć, nim odebrałem zadatek, którym już dał na stancyi; a na dobytek w tych mądrych szkołach...

— W jakich? w jakich? — przerwało kilka głosów przy drugim stole.

Radłowski spojrział na nich i jeszcze mocniej chrząknął, a Tadeuszek, który tak dobrze znał człowieka, rzekł ciszej do kolegów:

— Dajcież pokój, proszę was, niech sobie gada.

— Cóż to panu stało się w tych szkołach — zapytała po chwili pani komisarzowa. — Bo to kiedy człowiek dzieci, a jeszcze takie dzieci tam wiezie, to dobrze wszystko wiedzieć.

— To mi się stało, powiem pani, że cała moja podróż i ekspens na djabła się nie zdały, choć zrobiłem czterdzieści mil drogi — odpowiedział ekonom sapiąc i poglądając na młodzież, z której jedni okazywali oburzenie, inni, usłuchawszy Tadeuszka, szepotali tylko między sobą i ironicznie uśmiechali się.

— Dla czegoż to? proszę pana — zapytała znowu pani komisarzowa. — Bo to czterdzieści mil drogi! to nie palcem przekićwać. I jaki to ekspens! tém bardziej teraz, kiedy taka drożyzna na owies, i siano nie urodziło. To żal!

— Zapewne, że żal — rzekł Radłowski — ale cóż, kiedy to tam taka wielka mądrość! Chłopcy moi byli już w trzeciej klasie w Niemirowie. Tam, ci durnie nie chcieli im dać promocyi. Więc przywiozłem ich tu, żeby ich oddać do klasy czwartej. Ale tu znowu, jak ich wzięli na jakiś egzamin, to nie chcieli ich nawet do pierwszej przyjąć, że czytać dobrze nie umieją.

Młodzież parsknęła ze śmiechu, pani komisarzowa kiwała głową, a Radłowski, odchrząknawszy silnie, mówił dalej:

— Panowie śmiejecie się, a człowiekowi bieda. Tu nie ma z czego śmiać się.

— A czemużes pan — rzekł jeden z najstarszych studentów — swoich synów do téj pory czytać nie nauczył? Już im czas, spodziewam się.

— A po jakiegoż djabła — zawołał z gniewem Radłowski — oddawałbym ich do szkół i płacił za nich tyle pieniędzy, gdyby już byli uczeni? Na to szkoła, żeby uczyła; moja rzecz zapłacić za stancją i za stół. Ale to widać panowie profesorowie lubią już do gotowego, żeby darmo pieniądze brali.

— Profesorowie w Krzemieńcu — mówił ten sam młody człowiek — robią to, co do nich należy; a panu daleko od tego, abys o nich sądził.

— E, mój panie — zawołał zapęrzony Radłowski — dalekoż i panu od tego, abys mnie rozumu uczył.

Wtedy Tadeuszek, widząc, że się zanosi na awanturę, mogącą przynieść krzywdę i kollegom i całej szkole, tém bardziej, że znał gwałtowność swego niegdyś prześladowcy, zapomniał o sobie, i rzekł głośno do owego ucznia, który się najmocniej za szkołą ujmował:

— Kaziu! dajże pokój i nie odzywaj się. Temu panu przykro, że mu dzieci nie przyjęto, i dla tego nie wiezieć co gada. Niech sobie wygada się; co to nam szkodzi? Krzemieńca nie ubędzie dla tego, że ktoś z niego niekontent.

Pan Karpiński poparł rozumne przemówienie czternastoletniego medyatora i pocałował go za to w głowę. Studenci potwierdzili zdanie kollegi, uśmiechając się z nedorzecznój pretensyi nieokrzesanego szlachcica; Radłowski, czy ze wstydu, czy z gniewu, zwinął swoje zawiniątko, nałożył kapelusz na głowę, i wzięwszy harapnik w rękę, plunął i wyszedł wraz z synami; a pani komisarzowa, poprawiając wstążeczkę na podbródku i przypatrując się bohaterowi naszemu, mówiła sama do siebie:

— Proszę, takie to młode, a tak roztropnie odezwało się, aż miło, jakby co starego. Co to jest, edukacya! Niech sobie ten jegomość gada co chce, taki dobrze zrobiłam, zem się uparła, aby dzieci zawieźć do Krzemieńca, choć mąż nie chciał i nie chciał.

Gdy młodzież podjadła i rozbiegła się, rozmawiając z sobą o przyszłych swych zajęciach, pani komisarzowa, zbliżywszy się do pana Karpińskiego, zaczęła z nim rozmowę, wypyując się, jak tam to w Krzemieńcu, czy nie będzie miała trudności w przyjęciu dzieci, czy znajdzie stancję i dobrego dyrektora, szczególnie takiego, żeby umiał po francuzku.

— Bo widzi pan, moje dzieci, to nie takie, jak insze. Im trzeba koniecznie dobrego metra, bo już mają dobre początki. Sam pan Francuz, marszałek naszej pani, uczył ich dwa miesiące z okładem; a on rodowity Francuz, to musiał ich przecież tyle nauczyć, czegoby inny za dwa lata nie zrobił.

Pan Karpiński odpowiedział jój, iż bardzo wątpi, aby dostała takiego, coby dobrze umiał po francuzku, bo tacy guwernerowie zwykle szukają miejsc tylko u wielkich panów, i każą sobie bardzo drogo płacić.

— Wieleż to naprzykład? Dwieście, trzysta złotych? — zapytała pani komisarzowa, poprawiając wstążeczkę na podbródku. — Na to nas stanie.

— O nie, pani — odpowiedział pan Karpiński — oni biorą po dwieście i po trzysta dukatów.

— A niechże ich djabli wezmą, z ich francuzczyzną razem — rzekła pani w materyalnej sukni. — Ta to byłoby za co wzięść posessyą.

W Krzemieńcu jest zwyczaj — dodał opiekun Tadeuszka — że się do dozoru uczniów młodszych naznacza uczeń starszy, znany z pilności i obyczajów. Zwierzchność szkolna go rekomenduje i czuwa równie nad nim, jak i nad powierzonymi mu dziećmi, a rodzice się z nim unawiają.

— Ach! zawsze to kłopot — mówiła pani komisarzowa. — Niedośc, że trzeba się z dziećmi rozłączyć i martwić się, czy które nie chore, i czy mają dobry wikt, tak jak w domu przyzwyczajone, ale jeszcze za wszystko płacić.

— Za to też potem pociecha — rzekł pan Karpiński, — jak chłopiec wyrośnie i patrzy już na człowieka.

— Oj, zapewne — mówiła — jakto i panu musiało być miło, jak ten pański synek, któregoś pan w głowę pocałował, tak rozumnie się odezwał, kiedy ten szlachcic tu głupstwa gadał.

— Rzeczywiście ucieszyłem się — odpowiedział pan Karpiński — jak gdyby był moim synem.

— To to nie pańskie dziecko?

— Nie pani — odpowiedział pan Karpiński — jest-to sierota, chłopiec biedny, ale bardzo roztropny i zdolny, najlepszych obyczajów i tak pilny, że przeszłego roku medal srebrny za nauki otrzymał.

— Proszę, proszę! — rzekła, poprawiając wstążeczkę — a że roztropny, to roztropny; już to i sama słyszałam.

— Właśnie to jest jeden z takich — mówił pan Karpiński z intencją — którego władza szkolna do dozoru młodszych od niego uczniów przeznacza.



— Kiedyż bo on taki młodziutki — rzekła, kiwając głową — nie musi mieć więcej jak piętnaście lat.

— Nie ma i tyle — odpowiedział przyjaciel Tadeuszka. — Czternasty rok kończy.

— Ach! szkoda, szkoda, że nie starszy. Jabym go sama wzięła. Bardzo mi się spodobał. Ale kiedyż bo to jeszcze dziecko. A jak się nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny.

— Oto! a jakie osobliwe nazwisko. Moznaby sobie i to i owo pomyśleć — rzekła, uśmiechając się i poprawiając wstążeczkę.

Na tém skończyła się rozmowa. Chłopcy dali znać panu Karpińskiemu, że konie zaprzężone. Ten uklonił się pani komisarzowej, która mu bardzo uprzejmie dygnęła, i obliczywszy się z gospodynią, wyjechał.

W drodze powiedział Tadeuszkowi treść swojej rozmowy. A gdy go bohater nasz uwiadomił, że tym szlachcicem był niegdyś jego przesładowca, Radłowski, tém bardziej kontent był z odwagi chłopca, która odwróciła zajście, mogące wziąć zły koniec, i zjednała mu matkę, mającą dwóch malców do ulokowania. Sądząc zaś, że może pani komisarzowa odstąpi od swojego uprzedzenia co do wieku nauczyciela, i wspomni o nim prefektowi, umacniał go nadzieją znalezienia zaraz miejsca, i radził jutro rano pójść do zwierzchnika szkoły, który go i lubił, z prośbą o zapisanie go na listę kandydatów do dozoru domowego, i poleceniem się jego łasce i opiece. Tak więc Tadeuszek niecierpliwie wygładał Krzemieńca.

Góry, wśród których miasteczko to leży, ciągną się ode Lwowa; do największej swej wysokości na Wołyniu dochodzą koło Krzemieńca, potem, spłaszczając się coraz, giną w tej okolicy Polesia, co choć zarosła lasami i nieprzebytymi bagnami okryta, jest jednak punktem tak podniesionym, że od niego jedne rzeki idą na wschód do Dniepru, inne dążą na zachód do Bugu i Narwi. Dzieli się więc Wołyn przez te wzgórza, jakby na dwie połowy. Jedna dochodzi równo do samego ich pasma, jakby do jakiej krawędzi; w całej swej przestrzeni jest na tej samej z nimi wysokości, zamyka grunta niezmiernie urodzajne, lasy dębowe, i z widoku i pięknych położzeń przypomina Podole. Druga poczyna się od tychże wzgórzów, które już z tej strony są strome, i u szczytów swych mają wyraźne ślady, że o nie biła woda. Cała ta część, ciągnąca się do Bugu i dalej, niższa od pierwszej blisko o tysiąc stóp, jest zupełnie płaska, piaszczysta, zarosła lasami sosnowemi, ma rzeki i łąki błotniste, usiana jest okrągłemi i krzemienistemi kamieniami, a bliżej gór odłamkami skał, widocznie przez wodę naniesionemi. Zdaje się ona być dnem

morza, które w skutek jakichcisi wstrząśnień kuli ziemskiej, ztąd ustąpiło, i którego brzegiem pomienione wzgórza być musiały.

Krzemieniec leży już na tém dnie, w głębokiej i ciasnej dolinie, otoczonej najrozmaicięj pogiętami górami. Dolina ta, zewsząd zamknięta, musiała stanowić kiedyś niewielką, ale niezmiernie głęboką zatokę, łączącą się z całą masą reszty wód przez jedną tylko długą szyję, tak nazwaną dziś Maćkową dolinę. Właśnie tamtędy idzie teraz droga ku Dubnu, pomiędzy dwoma rzędami gór malowniczo upiętrzonych. W skutek więc takiego położenia wjeżdża się do Krzemieńca od Podola z ogromnej Wiszniowieckiej góry, a wyjeżdża się z niego po drodze zupełnie równej, która idzie płasko i bez żadnego już podnoszenia się, przez zielone błonia ku Ikwie, za którą zaczynają się piaski i ogromne sosnowe lasy.

Jak urozmaiconém jest to położenie, jak bogatém w piękne widoki, rozległe perspektywy, cieniste i urocze przechadzki wśród parowów i wyniosłości, gdzie niegdzie ogromnemi drzewami zarosłych i schludnemi domkami tu i owdzie zasianych, już z powyższego opisu jakkolwiek niedokładny, czytelnicy wniesć potrafią. Ta piękność położenia była zapewne jedną z przyczyn, które uczniów téj szkoły tak bardzo do miejsca tego przywiązywały. Budziła ona w nich zamiłowanie natury, dając na każdym niemal kroku świadectwo o cudownych jej dziełach i mocy; podnosiła ich myśl i otwierała rozleglejszy niejako na ziemię pogląd, a nadewszystko karmiła to poetyczne uczucie, tak silnie w młodém sercu rozwijające się, kiedy natura całym swym powabem ciągnie je ku sobie, zachęca do rozmyślenia i przypatrywania się swoim wdziękom, odrywając od drobnych próżnostek i brudów życia, które człowiek z daleka pod nogami swojemi zostawia.

Pan Karpiński stanął z chłopcami swymi w tém miejscu na Wiszniowieckiej górze, gdzie się zaczyna zjazd, i gdzie bojaźliwsi, lub chcący swobodniej przypatrzeć się pięknemu widokowi, który się nagle odkrywa, wysiadają i idą piechotą. Wszyscy trzej ze wzruszeniem i uczuciem radości spojrzeli na tak dobrze znane sobie miejsce. Przed nimi głęboko leżała zaludniona i okryta budynkami dolina, ograniczona z prawej strony górą Zamkową, najwyższą ze wszystkich, zupełnie nagą, szarą, podnoszącą się w kształcie kolossalnego ostrokągu, i na którego szczycie wznosił się zamek, nazwany zamkiem królowej Bony. Z po za góry zamkowej wyglądała mało co niższa Czercza, a za nią inne, obrosłe pięknymi drzewami, ciągnące się wzdłuż po nad doliną Maćkową i w miarę swego oddalenia się, przechodzące w kolor sinawy. Od strony zachodniej występowała naprzód góra Ogrodowa, gładka i zielona, jakby ją kto aksamitem usłał, zaginała się po za ogrodem botanicznym, i łączyła z inną górą, nazwaną Wołowicą,

wchodzącą w miasto, jak jaki przylądek, i bielejącą od łomów kamieni, które z niej brano. Naprzeciwko góry Zamkowej, na podniesioném cokolwiek miejscu, ukazały się ich oczom ogromne mury jezuickie, a obok pobazylikańskie, gdzie się ich głowa i serce ocknęły; za kościołem, którego dwie wieże i wielka kopuła rysowały się na zieloném tle wznosząc się za niemi pochyłości, ukazał się im ogród botaniczny, podnoszący się pod górę, opasany murem, z temi ulicami i drzewami, wśród których tyle godzin przepędzili, gotując się na lekcya, lub odpoczywając w ich eieniu. U samych stóp góry zamkowej postrzegli wijący się potok, który całemu miastu dostarcza wody i nigdy nie wysycha; nad nim kościół niegdyś Franciszkański, a dawniej jeszcze właściwy zamek, gdzie było mieszkanie starostów. Obok tego kościoła ujrzeli ciągnącą się ulicę, tak nazwaną Szeroką, na której białeły zajezdne domy i sklepy; i prostopadle od niej idące w górę dwie inne ulice, po obu bokach jezuickiego gmachu i ogrodu botanicznego, z kąd uśmiechały się do nich większe już i porządniejsze mieszkania z kolumnadą i topolami; a dalej i dalej, w różnych zakrętach, najrozmaitsze co do wielkości i formy domki i dworki, właściwe mieszkania studenckie, rozrzucone bez porządku, często bez ulicy, ale najczęściej z ogródkiem, lub przynajmniej z drzewem, które się przy ganku zieleniło. Wszystko to razem i z daleka wydało się im pełne różnaitości, pełne dziwnego powabu, który powiększał się jeszcze przez znajomość szczegółów i przez kontrast wielkich robót natury, jakie tam widoczne, z drobną i złomną pracą człowieka, która jeszcze przy nich zmalala.

Była już godzina ósma. Cała dolina, z bielejącemi w niej budynkami, zaczynała się pokrywać szarością wieczoru. Na żadnej ścianie nie odbijał się już promień światła; krzyż nawet kopuły i krzyże wież wznosiły się posępnie w powietrze. Słońce skryło się dawno za góry, których ciemne i zarosłe grzbiety rysowały się na zachodniej stronie nieba. Jeden tylko zamek oblał się różowém światłem, tak przenosił wysokością swą inne wzgórza. Tadeuszek stanął, i długo patrzył na tę kamienną koronę w szkarłacie zachodu pływającą. Wtedy serce się jego umocniło, jakby to było jakieś światło nadziei, umyślnie dla niego zostawione, a oko jego podniosło się ze łąką wdzięczności do Sprawcy tych cudów, któremi i w sieroctwie i w opuszczeniu można się pocieszyć i ukrzepić.

O! bo przysłowie, które mówi, że nadzieja matką jest głupich, pod tym jednym względem nieprawdziwe, że nie wszyscy są głupi, którzy na niej polegają. Jeżeli kto siada do zielonego stolika z tą nadzieją, że ogra swoich współkollegów, tego ona oszuka, i ten najpewniej przegra; jeżeli szewc, zazdroszczący powodzenia drugiemu szewcowi, przenosi się na tę samą ulicę, z nadzieją zepsucia targu

współzawodnikowi, tego sklep będzie pusty, ten pewnie dozna zawodu; jeżeli elegantka idzie do kościoła w nadziei zwrócenia na siebie oka mężczyzny, i z pewnością znalezienia między nimi adoratora, dostanie niewątpliwie miejsce w takim kącie, że jej nikt nie zobaczy; jeżeli autor, po świeżem wyjściu swojego dzieła, wchodzi do kompanii z tą nadzieją, że go wszyscy obstąpią, cytować będą miejsca, które mu się najlepiej udały, i admirując całość i szczegóły, oddawać zaczęną hołd jego talentowi, wtenczas wszyscy, jak raz przyjmą go obojętnie, będą od niego stronić, nikt mu o dziele jego nie powie ani słówka, albo co gorsza, pani jaka, udająca literatkę, spyta go niby z interesem: czemu to pan teraz nie pisze? Ale jeśli biedak, nie mający co jeść, westchnie do Boga o chleb i pracę, i spodziewa się, że je otrzyma, taki najczęściej otrzymuje więcej, niż się spodziewał. Bo nadzieja udaje tylko matkę dla łakomych, głupich i próżnych, ale jest prawdziwą matką i pocieszycielką dla sieroty, żądającej od światła tylko tego, co się każdemu stworzeniu boskiemu należy. Tadeuszek właśnie tego tylko żądał. Prosił on o chleb powszedni, o surducik, o buciki, o kącik pod skromnym dachem, o świeczkę łojową, przy której mógłby się uczyć; spodziewał się, że to wszystko otrzyma, bo właściwie prosił tylko o pracę, i nadzieja ta, w uroczystej chwili powzięta, nie zawiodła go wcale. Już na trzeci dzień przyzwany był przez prefekta, który go pani Wołkowskiej, owiej komisarzowej z Dębowych karczem, zarekomendował. Dwie rzeczy skłoniły tę panią, w gruncie kobietę niezłą, ale ograniczoną, próżną, skąpą i trzymającą środek między garderobianą a obywatelką, która była na pensyi—do oddania pierwszeństwa bohaterowi naszemu i do przewyciężenia obawy, jaką jej wiek jego dawał; pierwsza, że ją ujął niezmiernie roztropnym znalezieniem się w karczmie, a druga, że wszyscy starsi uczniowie, z którymi się umawiała, żądali większego wynagrodzenia; Tadeuszek zaś chciał tylko mieć stół, stancję i jakiegokolwiek oporządzenie. Powiedziała więc sobie niby głośnieję:—tego wezmę, bo to roztropny i skromny chłopiec;—a w gruncie duszy pomyślała;—temu powierzę dzieci, bo ten będzie mnie najmniej kosztować.—I tak się stało. Wszyscy trzej umieszczeni zostali u jakiejś poczciwej wdowy, która już od lat kilkunastu trudniła się utrzymaniem studentów na stancyi i stole, i Tadeuszek wziął się do téj nowój dla siebie pracy uczenia, z właściwą sobie energią. Przebył on zdrowo i szczęśliwie cały rok szkolny tak, że i sam bardzo chlubnie skończył kurs pierwszy drugoletni, i chłopcy pani komisarzowej w klasie pierwszej, listy pochwalne otrzymali. Gdy matka przyjechała dla zabrania dzieci swych na wakacje, uściślała serdecznie piętnastoletniego guwernera, i prosiła go usilnie, aby i nadal dzieci jej nie odstępował i z niemi pojechał. Chociaż go więc wspomnienie Anny, obraz Sabinki i przyjaźń Józia cią-

gnęły do Kalinowa, nie chcąc jednak tracić miejsca, z którego był kontent, dał się namówić prośbami pani komisarzowej, i pojechał z uczniami swemi na wakacye do Białobrzyniec.

## XI.

Zamek hrabiny i jej dwór przykre na Tadeuszkę zrobił wrażenie. Przywykły do mierności i serdecznego obejścia się z ludźmi dobrymi i otwartymi, zadziwił się, widząc tę ogromną pustkę, te formy krępujące chód i głos każdego, tę posepność, jaką dawało wszystkim umiarkowanie każdego słowa, mierzenie każdego kroku i tajenie we wszystkim prawdziwej swój myśli. Spozrzegł on ze smutkiem widoczny wszystkiego upadek, a jednakowoż hardość tych, którzy byli bliżsi niewidzialnej prawie nigdy pani. Widział zniechęcenie oficyalistów, niepłatnych, sarkających, którzy jednak ściskali za rękę kozaka, który patrząc na nich uśmiechał się pod wąsem, i kłaniali się Francuzowi, który ministeryalne przybierał miny, i protekcyonalnie na wszystkich spoglądał.

Na potrzebach życia nie zbywało mu wcale, bo pani komisarzowa, dbająca szczególnie o dobry wikt, która lubiła i słowo to często powtarzać, i mieć na stole kurę pieczoną, suszyła głowę mężowi, aby przynajmniej ordynarya, jaką pobierali, dochodziła ją akuratnie, jeżeli z pensją nie zawsze się mogła zobaczyć. Stancyę także miał niezłą w oficynie zamkowej, tak zwanęj komisaryi; ale oswoiwszy się prędko z nowemi dla siebie osobami, z zamkiem, który go z razu uderzył, i z jego położeniem, które mu się podobało, nudził się biedny chłopiec, bo go nikt nie kochał, bo serce jego, otwierające się do ludzi, w których głosie i oczach było życie, była miłość, która jest jego kwiatem i duszą, zamykała się za zbliżeniem tych postaci martwych, jakby wypchanych słomą, i poruszających się za pomocą mechaniki, której pojąć i zrozumieć nie mógł. Gdy więc skończył lekcye z uczniami swemi, odbył z niemi spacer, i zostawiwszy ich z rodzicami, mógł się od ich obecności uwolnić, przechadzał się samotnie pod drzewami na wałach, lub siadał gdzie na wyższym miejscu nad brzegami Słuczy, patrząc na jej wody płynące szybko i pluskające jednostajnie o brzeg nierówny i cichy. Były to najmilsze chwile tego niegdys swywolnego chłopczyka, któremu sieroctwo i życie wśród obcych dało przedwczesną powagę, a nauka i praca prędką i rozważającą wszystko dojrzałość. Lubił on nadto te fale Słuczy dla tego, że one płynęły do Kalinowa. Powierzał im więc swoje myśli, aby je oddały panu Karpińskiemu lub Annie; rzucił czasem na nie listek lub kwiatek, aby go zaniosły na brzeg ich ogrodu, i tam u nóg przechadzającej się Sabinki złożyły. Przywiązanie bowiem do niej

Tadeuszka przybrało charakter tak mocny i głęboki, że chociaż nie miał pojęcia o miłości i o całym szczęściu i męczarniach, jakie ona zadaje, nie wyobrażał sobie nawet tego stanu, żeby mógł o niej zapomnieć, nie widzieć jej myślą w każdej godzinie dnia i wśród najcięższej pracy, nie marzyć o niej w każdym śnie, i nie odnosić do niej każdej przyjemności, jaka mu się zdarzała, i każdej przykrości, jakaby spotkać go mogła.

Znalazł się wszakże i w Białobrzyńcach człowiek, którego bohater nasz mocno zainteresował. Czytelnicy łatwo się domyślą, że to był kozak Maksym. Już go w Dębowych karczmach zastanowiło imię i nazwisko Tadeuszka. Poznał go więc od razu, gdy przybył do zamku z dziećmi pani komisarzowej, często mu się przypatrywał, i niekiedy starał się z nim zawiązać rozmowę. Raz wieczorem, gdy Tadeuszek siedział nad brzegiem rzeki i w połysku migających się ciemnych fal widział połyski ciemnych loków Sabinki, które coraz inaczej lśniły się za każdym ślicznej główki poruszeniem, usłyszał kroki idącego ku sobie człowieka. Był to Maksym, który się z wolna, z wędką w rękę, przybliżał, i na zamysłonego młodzieńca z zajęciem spoglądał.

— Jakuju to dumku hadajesz, panyczu! — rzekł kozak, siadając obok Tadeuszka i odkręcając włosień wędki z długiej i giętkiej rączki.

— Zachciałeś, kozacze! — odpowiedział Tadeuszek, — kiedy kto sam na świecie, to ma o czym myśleć.

— Prawda i to — odpowiedział kozak, założywszy robaczka na haczyk i rzuciwszy go w wodę. — Ale widzisz paniczu, kiedy kto młody, zdrow i umie pacierz, to przejdzie świat, choć sam jeden, i wróci się nazad.

— Dobrze mówisz, kozacze! — rzekł Tadeusz, patrząc z ukontentowaniem na ładną twarz starego kozaka i pełen zyczliwości dla siebie wyraz jego siwych oczów. — Tylko widzisz, kiedy kto nie ma domu, nie ma ojca i matki, brata i siostry, to choć idzie w świat śmiało, i wie że go przejdzie, ale jak pomyśli, że nie ma do kogo wracać nazad, to mu smutno, i nieraz się zaduma, czy iść dalej, czy nie?

— Albo to nie ma dobrych ludzi — mówił dalej kozak, nie uważając nawet, że się piórko zatrzęsło i zatoneło — do których weźmie ochota powrócić nazad? Albo ty nie ma tej matki ziemi, na której człowiek wyrósł, z której i chleb smaczniejszy i woda zdrowsza, żeby nie tęsknił do niej i nie cieszył się, jak ją zobaczy?

— A jak jej nie może zobaczyć! — odpowiedział Tadeuszek ze łzą w oku, przypomniawszy sobie szczęśliwe chwile swego dzieciństwa. — To choć gdzie indziej znajdzie dobrych ludzi, jak i ja znalazłem, zawsze jednak czuje, że sierota, i że mu tam było najlepšíj.

— Ja tobie powiem, panyczu, co u nas starzy ludzie mówią: Swoje własne dziecko kołysze matka, a sierotę kołysze anioł Boży, który mu piosnkę śpiewa — odpowiedział kozak, patrząc w oczy rozrzuwionemu chłopcu. — I to prawda, mij harnyj panyczu! — dodał po chwili, wyciągnawszy małą rybkę, którą zdjął z haczyka i nazad do wody rzucił. — Ot, niedaleko szukając, powiem ci, co się mnie zdarzyło. Będzie temu z piętnaście lat, znalazłem maleńkie dziecko, jakies widać paniątko, bo miało cienką bieliznę i jedwabne pierzynki, i śliczne było, jak ty, panyczu, musiałeś być, kiedyś był taki. Zaniośłem je do żony, która miała już swoje, i mówię: na majesz jeszcze odnohó chłopcia. Dziecko było u nas miesiąc. Żona je karmiła, a ja kołysałem, śpiewając dumkę o kozaku. Wtedy kazali mi jechać na Podole do jednych państwa bardzo bogatych, i którzy nie mieli dzieci, i nie spodziewali się ich mieć nigdy, bo ona go podobnoś nie kochała, a on był stary i słabowity. Wtedy ja pomyślałem sobie, choć to paniątko wychowa się u mnie, i podzielę się z nim swoim chlebem, to wychowa się na chłopca, zapiszą go w poddaństwo, będzie kozakiem, tak jak ja, albo może oddadzą go do bydła, albo do jakiej ciężkiej roboty obróćą. Żał mi się zrobiło biednego dziecka! Ot ja, zamiast jechać wierzchem, jak zwykle, zaprząłem żonie do woza, wyprawiłem ją z obydwoh chłopcami, a potem wzięwszy od pani listy, i wsiadłszy tu na dziedzińcu na swego konia, tak że wszyscy widzieli, pojechałem, dopędziłem żonę o parę mil, i tak już jechaliśmy razem.

— I zawiozłeś to dziecko na Podole, Maksymie? — zapytał Tadeuszek, potarłszy ręką swe jasne i szerokie czoło, i patrząc na mówiącego z coraz większym zajęciem.

— Poczekaj, panyczu, powiem ci, jak to było — odpowiedział kozak z uśmiechem, i znowu wyciągnawszy sporego okuńka, który się sprężyście na haczyku trzepotał, zdjął go, rzucił w wodę, i tak mówił dalej: — Jakem dopędził żonę, zdjąłem siodło ze swego konia, przyprząłem go do dwóch dobrych szkap, które były w dyszlu, przyrządziwszy uprząż jeszcze w domu; nadziałem kozuch na swoją kozacką kurtkę, i nacisnąwszy na uszy prostą chłopską czapkę, poganiałem zwawo dobrą trójką, żeby mi dzieci nie pomarzły. Czwartego dnia przyjechałem do Hajsyna.

— Do Hajsyna? — zawołał Tadeuszek, przysuwając się do kozaka.

— Tam zajechałem sobie do małej karczemki, i myślałem jak tu zrobić — mówił kozak gładząc wąsy. — Deszcz ze śniegiem padał ustawicznie. Zimno przejmowało do kości. Jak tu, myślę sobie, położyć biedne dziecko na dworze, i jak przystąpić pod jakie drzwi, albo pod okno, żeby nie było śladów, kiedy nogi grzęzły w błocie. A tu

żydy, bestye ciekawe i z długimi językami, wypytują się: Czy to twoje dzieci, człowieku? to twoja żona ma bliźnięta? a zkad ty? a gdzie ty jedziesz? Łgałem przed żydami jak mogłem, i udawałem, że mi koń zakulał, i kłamię pocziwą szkapę, która była zdrowa i spokojnie sobie owies jadła. Aż tu trzeciego dnia mróz i słońce. Wtedy przeżegnałem się i podziękowałem Panu Bogu, że mnie z tej biedy wyzwoli, i do dobrego dzieła dopomoże. Rozplaciwszy się z żydami, otuliłem dobrze żonę i dzieci, i przed wieczorem wyjechałem z miasta. Do tej wsi, gdzie ci państwo mieszkali, którym chciałem ślicznego chłopca podarować, było jeszcze dobre trzy mile. Jechałem zwa-wo, żeby stanąć przed nocą. Już było dobrze szaro, kiedym zobaczył wieś i pałac, co mi się majaczył, jak we mgle. Wtedy zwróciłem z drogi na małą drożynkę, i ujechawszy w bok z dobre pół mili, zobaczyłem wielkie poorane pole, i czarne na około, tak że na niem o trzy kroki nie było widać! Ot ja zawróciwszy konie na lewo, puściłem się tém polem i tam na środku stanąłem. Wtedy kazałem żonie dobrze nakarmić biedne paniątko, a sam, osiodławszy swego konia, spoglądałem na niebo, patrząc jak daleko już noc. Znajome gwiazdy mrugały do mnie z wysoka, ale na około nas było ciemno i głucho. Czasem tylko koń który chrapnął, gryząc siano, albo w jakiej pasiece pies zaszczekał. Żona popłakiwała i trzęsła się biedna ze strachu, a ja mówiłem Ojczy nasz i czekałem pory. Gdy się chłopczyk nassał dobrze, jak gdyby wiedział, że idzie już w świat na niepewne, czy gdzie dadzą jeść, czy nie, wtedy ja i żona przeżegnaliśmy sierotkę, popłakaliśmy się oboje, ułożyli dziecko w tymże koszyku, w którym je znalazłem, otuliliśmy tak, żeby mu nie było zimno; i ja, wsiadłszy na konia i wzięwszy przed siebie koszyk, zostawiłem żonę i własnego syna na czystém polu, a sam w Imię Boże pojechałem do wsi, myśląc, jakby się dostać pod pałac, żeby mnie gdzie nie złapali, i jak złodzieja w dyby nie zamknęli. Nie szło mi o siebie! mnieby się może nic złego nie stało. Ale coby się zrobiło z biednym dzieckiem, które wiozłem? co z żoną i z moim własnym synkiem, których zostawiłem w nocy samych i bez grosza przy duszy, nie wiedzących którędy się obrócić? Oj! wtedy, panyczu, markotno mi się zrobiło. Ale nie było rady, pojechałem. Już było po północy, kiedym przyjechał pod ogród, który z jednej strony przypiera do jakiegoś błotka, zarosłego łożyną. Tam w łożynie przywiązałem konia, i postawiwszy z daleka koszyk, poszedłem zobaczyć, którędy przeléć przez parkan; miejsce takie znalazłem prędko, gdzie deski się nadpsuły, i gruby dyl, który się kładzie na wierzchu, odpadł i z tamtej strony leżał. Ot, ja przyniosłem tam dziecko, które na moje szczęście spało, przywiązałem sznurek do koszyka, i postawiwszy pod parkanem, po tym dylu, jak po drabinie, wlażłem na parkan. Potém wciągnąłem koszyk, i spuściw-



szy w ogród, sam za nim wskoczyłem. Ogród i pałac były mi dobrze znajome, bo tam raz z panią siedzieliśmy cały tydzień. Wiedziałem nawet, które okna tego pokoju, gdzie państwo spali. Tam podkradłem się cicho, postawiłem pod samém oknem chłopczyka, i rozbudziwszy go, żeby płakać zaczął, sam schowałem się z boku, i naszykowałem pistolet, gotów nawet skaleczyć tego, ktoby mnie chciał łapać. Oj! paniczu! — dodał kozak, obcierając pot z czoła — nigdy nie zapomnę téj złej godziny, którą tam w krzakach przesiedziałem, czekając, czy wyjdą, czy mojego aniołka wezmą i utulą; a on tymczasem głośno płakał, a mnie się serce krajało, i choć to ja prosty kozak, płakałem także, tak mi go było żal, jak swego własnego syna.

Tu kozak zatrzymał się i łza spadła na jego siwe wąsy. W oczach Tadeuszka, który na niego z natężeniem patrzył, stanęły także łzy, i drżenie jakieś przejęło wszystkie jego członki. Spostrzegł to kozak i dodał z uśmiechem:

— Nie płacz, harny paniczu! bo wszystko dobrze się skończyło, bo co u nas ludzie mówią, to prawda: sierotę kołysze anioł Boży i piosnkę mu śpiewa. Ot, nie wyszło pół godziny, jak wybiegła ze drzwi, co tam od garderoby wychodzą, jakaś służąca, a za nią druga jakaś imość gruba i już stara. Obie przyszły do koszyka, przyklękły i zaczęły się przypatrywać. Wtedy stara, obaczywszy widać tak małeńkie dziecko, załamała ręce, potem nachyliła się nad dzieckiem, zaczęła je otulać, całować i mówiła tak, że ja usłyszałem:—chodź mój robaku! chodź mój aniołku! tu ci krzywdy nie zrobią.—I potem wzięli koszyk i prędko poniesli. Ale co tobie, paniczu?

Tadeuszek, słysząc te ostatnie słowa i poznavszy, że to jego historia i jego Widalsia, klasnął w ręce, potem zakrywszy dłońmi twarz, rzewnie płakać zaczął. Kozak patrzył na niego spokojnie, gładził wąs, i także łza z ócz jego kapłała. Gdy się Tadeuszek cokolwiek uspokoił, podniósł głowę, i patrząc bystro na kozaka, który się do niego uśmiechał, choć miał oczy pełne łez, wziął jego rękę i tuląc ją do ust, zawołał:

— Dobry, dobry Maksymie! O! dziękuję ci, dziękuję!

— Tak to ty, paniczu! Nu! Sława Bohu! szczo ja dobre dohadawsia! — odpowiedział kozak, obejmując go silném ramieniem i położywszy dłoń drugiey ręki na jego twarzy, przyciągnął ją do swojej, i całować zaczął. Potem otarłszy oczy obiema rękami, odchylił się, i przypatrując się bohaterowi naszemu, dodał: — a harnyjże ty, harnyj! aż lubo na tebe pohladity!

— Maksymie! — rzekł wówczas Tadeuszek, patrząc nań proszącym wzrokiem — ty musisz wszystko wiedziéć! — Gdy kozak spuścił oczy i nic nie odpowiadał, młodzieniec złożył ręce i dodał: — Ojczy Maksymie! ty wiesz i nie chcesz mówić!

— Cóż ci powiem, paniczu, kiedy nie wiem? — odpowiedział Maksym.

— Tylko mi powiedz imię mojej matki — mówił dalej Tadeuszek.

— Jaki ty śmieszny, paniczu! — rzekł kozak powstając — żebym wiedział imię twojej matki, tobym wiedział wszystko. A zkad-że mogę co wiedzieć, kiedy cię znalazł? Ale daj temu pokój! Jak przyjdzie czas, to się może dowiesz. A teraz chodź, zaprowadzę cię do żony i pokażę ci swego chłopca, z którym jedną pierś ssales. Tylko jego nie pytaj o nic, bo on o niczym nie wie i o tobie nawet nie słyszał.

Tadeuszek perwał się z miejsca z ochotą i poszli na wieś do chaty Maksyma. Była ona trochę porządniejsza do innych, miała jedno większe okno, przede drzwiami była ławeczka i parę drzew kaliny, na których czerwieniały jagody. Niewielki dziedziniec obwiedziony był orynowym płotem, a po za komorą chaty, stanowiącą połowę domku, prowadziła ulica na drugi dziedziniec, gdzie znajdowała się obora na kilka krów i stajenka na parę koni. Innych zabudowań gospodarskich nie było, bo Maksym, jako sługa dworski, nie robił w polu i pobierał gotową ordynaryą. Ogród tylko miał spory, który leżał po prawej stronie jego domku, i zasadzony był różnemi warzywami. Na ławeczce przy progu, siedziała kobieta dorodna i przystojna, w czystej koszuli, w chustce kolorowej na głowie, i przędła. Spostrzegłszy na dziedzińcu męża, idącego z jakimś paniczem słusznym i ładnym, położyła wrzeciono na kolanach, i przypatrywać mu się zaczęła. Wtedy Maksym przybliżywszy się, rzekł:

— Nu, Tatyana! hlady na toho panycza i piznaj jegó.

— Deż meńi jehó piznawáty — odpowiedziała powstawszy i założywszy ręce — koły ja jehó nikogdá nebaczyła.

— Ta neprawda, durná babo! — odpowiedział Maksym — báciała, taj swoim mołokóm kormyla.

— Toż win! — krzyknęła wówczas dobra kobieta, klasnąwszy w ręce. — Ach! mij hołubczyk! jakij że win chorószenkij! — i wyciągnęła ręce do Tadeuszka, który rzucił się w jej objęcia, i cisnąc się do tego łona, które go najpierw ogrzało i utuliło, podziękował w duszy Panu Bogu, że już nie jest sam na świecie. Gdy tak wszystko troje siedzieli i rozmawiali, przyjechał Zacharek, syn Maksyma, który wodził konie poić do rzeki. Był on trochę niższy od Tadeuszka, ale pleczystszy, zdrów, twarzy rumianej i przystojnej. W jednej koszuli i bez kapelusza siedział oklep na koniu, i trzymał się śmiało i dziarsko, jako syn kozacki. Wjechałszy kłusem na dziedziniec, stanął raptem i zaczął się przypatrywać paniczowi, który obok matki jego siedział i za rękę ją trzymał. Wtedy ojciec rzekł mu:

— Puskáj koni, ta chody siudy. — Chłopak zeskoczył z konia,

uderzył go po grzbiecie, i puścił oba na drugi dziedziniec, a sam przystąpił bliżej ławeczki, i objawszy ręką kalinę, co tam stała, przypatrywał się Tadeuszkowi, jakby się chciał domyslić, kto to taki, i czemu tak poufale rękę matki trzyma; wtedy Maksym rzekł: — To ten sam paniczu, co się z tobą dzielił mlekiem matczyném. Bądź dla niego dobrym, jak ci będzie służył. Bo ja już dawno o tém myślę, żeby on tobie służył, a nie komu inszemu. A będzie z niego kozak żwawy i wierny, bo to mój rodzony syn, paniczu!

— O pocciwy Maksymie! — zawołał Tadeuszek powstawszy, i biorąc rękę starego kozaka, który rzekł do chłopca.

— Zachar! pocituj ruku panicza, a jeśli jemu budesz służyty, to służy tak, jak twyż bat'ko panam swoim służył.

— Budu bat'ku! — rzekł chłopak, i przystąpił śmiało do Tadeuszka, który nie pozwolił pocałować się w rękę, ale objął jego szyję i serdecznie go uściskał.

Tadeuszek znalazłszy tak przychylne serca w tém miejscu, które go z razu takim smutkiem i melancholią przejęło, zrobił się weselszym, spokojniejszym, i nie czując już tak mocno swego opuszczenia, znajdował nawet życie tego zamku daleko znośniejszém, niż dotąd. Gdy skończył swoje zatrudnienia, gdy uczniów swych mógł odstąpić, lub jeździł w pole na koniu Maksyma, który dla niego co wieczór był osiodłany, lub siedział z kozakiem nad rzeką, biegł do Tatyany i z nią przesiadywał na téj ławeczce, gdzie się poznali, i gdzie się na chwilę przynajmniej biciem serca macierzyńskiego mógł złudzić. Ale i żona Maksyma o pochodzeniu jego nic mu powiedzieć nie mogła. Mówiła to samo, co mąż jój, że Maksym znalazł koszyk z dzieckiem i przyniósł do domu. Tadeuszek pewnym był prawie, że jeżeli nie oboje, to przynajmniej kozak wie daleko więcej, niż mówi. Ale jakkolwiek pragnął się dowiedzieć, kto mu dał życie, kto go tak dobremu człowiekowi powierzył, jak wygląda twarz téj, co była zapewne przymuszoną od łona swego dziecię swe oderwać, nie nalegał jednak, sądząc że człowiek, który mu tyle okazuje przywiązania, jeżeli wszystko wie a milczy, to musi mieć ważne powody nie odkrywać tajemnicy, od której jego szczęście i pokój zależy. Zostawił więc tę rzecz czasowi, jakkolwiek boleśnie nieraz i błagającym wzrokiem na dobrego kozaka poglądał.

W tydzień potem, gdy pan Wołkowski był u hrabiny z jakimiś papierami, rzekła mu, niby nawiasowo i z przypadku:

— Jakiego to acan, panie Wołkowski, masz chłopczyka przy dzieciach?

— Moja żona — odpowiedział komisarz — wzięła go w Krzemieńcu. Był przy nich cały rok. Młody to chłopiec, ma dopiero lat piętnaście.

— Ale bardzo roztropny — odezwała się panna Konwencka, która czasem spotykała się z bohaterem naszym na wałach, i wdawała się z nim w rozmowę. — Ma rozum i statek nad lata.

— Po cóż acanna odzywasz się, panno Konwencka, kiedy acanny nikt o to nie pyta — rzekła hrabina, a biedna panna respektowa, poprawiwszy chusteczkę, którą była zawsze podwiązana, choć na głowę już osiwiła przybył czépek; westchnęła i wzięła się do swej roboty. Hrabina, uderzywszy parę razy tabakierką o dłoń, dodała: — Oczém że to mówiłam? zapomniałam. Przerwała mi swoim wtrącaniem się panna Konwencka.

— O tym młodzieńcu z Krzemieńca — rzekł komisarz, kłaniając się.

— A! tak. Jakże się on nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Bezimienny — odpowiedział usmiechając się pan Wołkowski, jak gdyby potwierdzał zdanie swojej żony, że przy tém nazwisku i to i owo możnaby pomyśleć.

— Czegóż się acan uśmiechasz, panie Wołkowski? — rzekła hrabina seryo do zmieszanego jej spojrzeniem komisarza. — Jest to nazwisko tak dobre, jak i inne wasze szlacheckie i półszlacheckie nazwiska. A że się nie kończy na *ski*, to nie ma w tém nic dziwnego. Chłopczyk ten musi być z Litwy. — Pan Wołkowski uklonił się na znak, iż potwierdza domysł hrabiny, że Tadeuszek jest z Litwy; a stara matrona, oparłszy głowę o środek kanapy i posiedziawszy tak przez chwilę z otwartą gębą, dodała: — więc acan mówisz, że on się edukował w Krzemieńcu.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani. — odpowiedział z ukłonem.

— Znałam pana starostę Nowogrodzkiego bardzo dobrze — mówiła hrabina, dając ruch zwyczajny swojej tabakierce. Płacimy nawet podobno coś na utrzymanie tej szkoły.

— A płacimy, jaśnie wielmożna pani. Komissya edukacyjna przysądziła na dobra jaśnie wielmożnej pani kwotę...

— No, mniejsza tam o to, ile — przerwała hrabina. — Ale ciekawa jestem, jak po dwudziestu kilku latach rozwinęło się dzieło pana starosty Nowogrodzkiego, i jak też terazidzie. Mając tak dobrą sposobność z okazji tego chłopczyka, mogłabym się o tém przekonać i pragnęłabym go zobaczyć i z nim pogadać. Każ-że mu acan przyjść tu do mnie kiedy.

Tu kiwnęła głową komisarzowi, który się uklonił i wyszedł; hrabina oparła głowę o kanapę, podniosła oczy w sufit, otwarła gębę i zamyśliła się, a Stanisław August zaczął tymczasem zwyczajną swą i regularną oscyllacją od prawej ręki do lewej.

Że ta rozmowa hrabiny z panem Wołkowskim i ta jęj raptowna ciekawość, jak też rozwinęło się i prosperuje dzieło Czackiego, była

skutkiem relacyi, jaką jęj Maksym o znajdowaniu się Tadeuszka w zamku zrobić musiał, tego się czytelnicy bez wątpienia domyslają. Nazajutrz, po godzinie trzeciej, stanął Tadeusz w sieni zamkowej. Maksym już go czekał na progu, i przeprowadziwszy przez pokój hetmanów, przez salę Mojżesza, w pokoju zegarowym go zostawił. François, który go widywał u państwa Wołkowskich, gdzie dosyć często bywał i na kanapie siadał, ukazując mu krzesło, aby usiadł, poszedł do pani. Wszystko to odbyło się w cichości i milczeniu. Tadeuszek nie widział jeszcze nigdy tak pańskiego pomieszkania, i takiego ceremoniału. Chociaż tam nie wszystko było całe i czyste, wyraźny jednak ślad dawnego blasku i znaczenia, charakter poważnej przeszłości, który się odbijał w formie rzeczy, co go otaczały, i w wymiarach komnat, jakby nie dla dzisiejszych ludzi zbudowanych, przejęły go drzeniem i napełniły serce jego mimowolnym uszanowaniem. Nie odważywszy się więc usiąść, stał oparty o ścianę, i nieśmiało patrząc w około, oczekiwał przyjscia hrabiny, i przemyśliwał, po co go wezwala i co mu powie. Po niejakiu dopiero czasie otwarły się drzwi od gabinetu, wszedł Francuz i ukazał mu z powagą, że może wejść dalej. Wszedł więc nasz bohater do tego miejsca, które już dobrze znamy; Francuz szepnął mu, że pani zaraz wyjdzie, i zostawiwszy go znowu samego, drzwi za sobą zamknął.

Tadeuszek nie mógł sobie zdać sprawy, z tego uczucia trwogi i poszanowania, które go przejęło. Stanąwszy przy tych drzwiach, przez które wszedł, spoglądał niespokojnie to na drzwi przeciwległe, które prowadziły do apartamentów zwykle zamkniętych, to na drzwi na przeciw okien będące, które wiodły do sypialnych pokojów hrabiny. Nie wiedział on, które się otworzą i w których ukaze się ta poważna pani, której jeszcze nie widział, której wszyscy we dworze tak się bali, a przed którą stawał z jakąś czią, jakiej sobie wytłómaczyć nie mógł, i z trwogą, która we wszystkich zdarzeniach życia była mu zupełnie obcą. Ale gdy przeszło z pół kwadransu, a drzwi się nie otwierały, i żaden głos nie objawiał, że się tam ktokolwiek znajduje, oswoił się i ze swoim położeniem, i z tą uroczystością, co go otaczała; postąpił parę kroków ku środkowi, i zaczął się oglądać po pokoju i przypatrywać rzeczom, które się tam znajdowały. Przedewszystkiem uderzył go portret hrabiny, wiszący naprzeciw kanapy, na której siadała. Zbliżył się więc do tego malowidła, podniósł głowę, i założywszy ręce, zaczął mu się przypatrywać. Rysy tej pięknej i dumnej twarzy, zastanowiły go niezmiernie. Zdawało mu się widzieć w niej jakieś podobieństwo do kobiety, którą kiedyś znał; przechodził myślą różne osoby, które w życiu swoim spotykał, ale nic wyraźnego we wspomnieniach swych wyszukać nie mógł. Gdyby nie ten strój tak zupełnie odmienny, gdyby nie ten wyraz oczów i ust,

taki zimny i hardy, byłyby ta twarz i cała postać najpodobniejsza do twarzy i postaci téj pani, co go kazała podjąć z przed swego okna, co mu dała przytułek, powierzyła opiece Widalsi, i przez dziesięć lat odziewała i karmiła. Wspomnienie to rozrzewniło go, przeniosło do dni szczęśliwego dzieciństwa, i pogrążyło w takim zamyśleniu, że zapomniiał zupełnie, gdzie jest i na kogo oczekuje. Dopiero gdy zégar w przyległym pokoju uderzył czwartą, i głos jego rozległ się po ogromnych i pustych komnatach tém właściwem brzmieniem, które zdaje się być echem z dawnych czasów dochodzącém, wstrząsł się młodzieniec, i zwróciwszy głowę na prawo, spostrzegł we drzwiach stojącą hrabinę. Na widok téj imponującej postaci cofnął się parę kroków, patrzył na postępującą z powagą, jakiej sobie nawet nie wyobrażał, i dopiero, gdy się zbliżyła do kanapy i orzuciła go wzrokiem, przypomniał sobie, że się trzeba uklonąć. Schylił więc głowę z uszanowaniem, i wyprostowawszy się stał i czekał co powie, z wyrazem skromnym ale nie bojaźliwym.

Hrabina, otworzywszy drzwi i spostrzegłszy pięknego młodzieńca, którego kształtną kibić czysty i spięty szeludnik dobrze wydawał, którego wzrost okazywał dorodne rozwinięcie ciała, a zamyślenie na jasnym i szerokim czole dojrzałość głowy i serca, uśmiechnęła się i patrzyła nań jakby z ukontentowaniem i zajęciem. Czy ją ujęła powierzchowność Tadeuszka, rzeczywiście pełna powabu i téj męskiej gracyi, jakiej zwykle nie mają studenci, — czy to, że się jój portretowi tak pilnie przypatrywał, — tego z pewnością nie wiemy; dosyć, że twarz jój miała wyraz daleko łagodniejszy, niż zwykle, i choć przez to nie straciła przejmującej uszanowaniem powagi, nie spostrzegł jednak Tadeuszek w jój osobie nic tak strasznego i odrażającego, jak go o tém pani komisarzowa pod sekretem uprzedzała. Hrabina usiadłszy, rzekła:

— Przybliź się acan. Dla czegożeś się z taką uwagą temu portretowi przypatrywał? Jest to rzeczywiście robota bardzo piękna, ale nie wiem, czy się acan tak dobrze znasz, żebyś mógł ją ocenić?

— Nie widziałem nigdy piękniejszego obrazu, i dla tego mnie tak zajął wyrazem życia i zapewne wiernego podobieństwa — odpowiedział Tadeuszek, i nieznacznie rzucił okiem na portret i na twarz hrabiny. Ten mimowolny komplement siedmdziesięcioletniej staruszce zrobiony, a o którym zmieszany cokolwiek chłopiec nie myślał, nie zmniejszył dobrego wyobrażenia, jakie o nim powzięła.

— Czyś się acan uczył rysować w Krzemieńcu? — zapytała jeszcze łagodniej.

— Uczyłem się, jasnie wielmożna pani — odpowiedział, osmielając się jój głosem i wejrzeniem, które nie miały téj surowości, jakiej się spodziewał.

— I korzystałeś acan? Macie tam nauczyciela, którego kilka niezłych robót widziałam — zapytała hrabina.

— Mógłbym być daleko więcej korzystać — odpowiedział Tadeuszek, spuszczać oczy. — Ale inne nauki zajmowały mi wiele czasu, a przytém musiałem pracować i w domu, ażeby zarobić na chleb i utrzymanie.

— Dobrze, że acan wcześniej zaczęłaś myśleć o sobie — rzekła, marszcząc czoło i przrzuciwszy parę razy tabakierkę od jednej ręki do drugiej. Tadeuszek spojrział z zadziwieniem na wyraz jęj twarzy nagle zmieniony, a hrabina po chwili dodała: — Musisz acan mieć ubogich rodziców, że nie mogą acanu do skończenia edukacyji pomagać?

— Rodziców moich nie znam — odpowiedział Tadeuszek czerwieniąc się — jestem sam jeden i na nikogo spuszczać się nie mogę. Pókim był dzieckiem, karmiła mnie łaska jednych państwa na Podolu, co mnie pod swoim oknem znaleźli. Gdy mnie ze swego domu wypędzili, znalazłem pomoc w opiece biednych zakonników z Kalinowa. Ale ci pomarli — dodał drżącym głosem, i łza błysnęła w jego błękitnym oku — zostałem sam, i teraz od Boga tylko i mojej pracy spodziewam się pomocy.

— Na cóż mi acan to wszystko mówisz? nie pytałam o to — rzekła hrabina, i twarz jęj przybrała zwykły wyraz twardości i dumy, na którego widok zadrżał Tadeuszek, ale ani odpowiedzieć, ani się ruszyć nie śmiał. Hrabina przechyliła na tył głowę już zupełnie siwą, otwarła gębę, i bawiąc się jak zwykle tabakierką, siedziała tak przez niejaki czas w milczeniu. Po chwili rzekła: — Uczyłeś się acan prawa?

— Nie, jasnie wielmożna pani — odpowiedział Tadeuszek. Dopiero na przyszły rok zacząnę słuchać prawa natury i prawa rzymskiego.

— Na cóż się to acanu przyda? — rzekła hrabina. — Lepiej ucz się prawa krajowego, żebyś umiał bronić siebie i drugich od napaści złych ludzi, których mamy dosyć. — I w tej chwili blada twarz pana Hippolita Złotówki musiała jęj mignąć przed myślą.

— Przyjdzie i na to kolej, jasnie wielmożna pani — odpowiedział Tadeuszek — chociaż dla mnie samego wiadomość ta nie będzie zapewne potrzebna. Rodzice moi puscili mnie w świat bez żadnych praw i nie dali mi nic do bronienia.

— I acan zupełnie nie znasz swojego pochodzenia? — zapytała hrabina, której czoło zmarszczyło się.

— Tyle wiem — odpowiedział — że mnie tu gdzieś w okolicy tego zamku znalezione.

— Idź acan, — rzekła — a sprawuj się dobrze i ucz się dobrze,

to wyjdiesz na człowieka. — Tadeuszek uklonił się, spojrział jeszcze raz na portret i wyszedł. Gdy się obaczył w pokoju, w którym Maksym siedział, przybliżył się do niego, oparł głowę na jego piersiach i zaczął płakać.

— Co tobie, paniczu? — zapytał Maksym.

— Nie wiem, nie wiem; ale wolałbym być tam nie być — odpowiedział, mocując się z sobą i ocierając łzy, których utrzymać nie mógł.

— Czy ci pani co przykrego powiedziała? — rzekł kozak.

— Nie, nie. Zresztą ona taka stara, taka poważna. Od niej zniósłbym wszystko. O! to nie to zupełnie! Maksymie, powiedz mi, czyj to portret wisi w jej gabinecie, ta kobieta piękna i biała.

— Hm! — rzekł Maksym — to nasza pani taka była, jak była młoda.

— Dla czegoż — mówił Tadeuszek z mocą i czuciem — przypomniała mi tamtę, na Podolu, co mnie przyjęła u siebie, dziesięć lat odziewała i karmiła, czasem okazywała się tak dobrą, raz mnie nawet przytuliła do siebie, jak matka musi tulić dziecko, które kocha, a potem pozwoliła, że mnie jak szczenię znalezione pod płotem, za płot wyrzucili.

— Et, przysniło ci się, paniczu! — odpowiedział Maksym — tamta nie taka, i nie umywała się do tej.

W tej chwili wszedł Francuz i zawołał Maksyma do pani. Kozak uśmiechnął się i poszedł, a Tadeuszek, unikając spotkania z kimkolwiek, pobiegł prosto nad rzekę, tam usiadł i dumał o tej starej i poważnej pani, z którą rozmawiał, o pięknym portrecie, którego zapamiętać nie mógł, o Rozalii, do której myśl jego mimowolnie się zwracała, o tém drzewie, na którym się przed nią chował, i tym kiosku, gdzie raz płakał na jej łonie. Nie mogąc tego wszystkiego skombinować, i zmęczony domysłami, które mu dawały i radość i smutek, wlewały w serce jego i miłość i oburzenie, odsunął od siebie te obrazy, i uciekł od nich pod cichy i skromny dach Kalinowskiego dworku. Tam się tulił z dziecinném przywiązaniem, tam skołatane myśli swe starał się przyprowadzić do harmonii, do zgody, stawiając przed niemi z kolei, to poważne lice pana Karpińskiego, to piękną postać Anny, to pocziwy uśmiech dobrego Józia, to nareszcie obraz tej słicznej Sabinki, której twarz i wejrzenie towarzyszyły każdemu ruchowi jego głowy i wiązały się z każdym silniejszym serca jego uderzeniem.

Skończyły się wakacje. Tadeuszek nie widział już więcej hrabiny, ale mając nazajutrz wyjechać, prosił Maksyma, żeby go rano, gdy pani jeszcze spać będzie, do jej gabinetu zaprowadził. Gdy tam obaj cichuteńko przyszli, stanął przed portretem, wlepił w niego wzrok,



i myślami w twarzy téj utonął. Kozak stał za nim, naciągał siwe swe wasy i głową kiwał. Po niejakiem czasie Tadeuszek obrócił się, i wzięwszy go za rękę, proszącym głosem zapytał:

— Maksymie! i ty mi nic nie powiesz?

— Jaki bo ty śmieszny, paniczu! — odpowiedział kozak ciszej, oglądając się na drzwi hrabiny. — Cóż ci mam powiedzieć, kiedy nie wiem.

— No! to chodźmy już! — rzekł Tadeuszek, i rzuciwszy jeszcze ostatnie wejrzenie na malowidło, z którym już więcej nie miał się obaczyć, poszedł ze schyloną głową.

Gdy przybył do Krzemieńca, dowiedział się, że Józio już jest o niego się pytał. Pobiegł więc co prędzej do stancyi przyjaciela, i jakąż była jego radość i podziwienie, gdy w oknie otwartém obaczył twarz Sabinki. Klasnęła ona w dłonie, poznawszy go, zaczerwieniła się jak róża, i zwróciła się ku drzwiom, żeby go powitać. Nigdy siostra nie przyjęła serdeczniej brata, którego długo nie widziała, jak ta swawolna i despotyczna dziewczyna powitała zachwyconego widokiem jéj Tadeuszka. O! bo téż Sabinka zrobiła się przez ten czas dziwnie piękną i powabną. Zaczęła ona rok piętnasty, wyrosła, uformowała się, przywdziała sukienkę dojrzałej już panny, a choć ciemne jéj włosy nie związane były w warkocz, ale jak dawniej otaczały jéj głowę w lśniących lokach i spadały na ramiona, tém piękniej z pomiędzy nich wyglądała jéj rozumna twarzyczka; a to połączenie stroju dorosłej już osoby i swawolnego dziecka, nadawało jej coś oryginalnego i powiększało jéj wdzięki. Anna, która umyślnie dla tego odwiozła Józia sama, żeby Tadeuszka obaczyć, przywitała go sercem matki, i przypatrywała się z ukontentowaniem, jak wyrósł, zmężniał, wyrozumiał. Wszakże oko jéj dostrzegło na czole młodzieńca jakąś głębszą troskę i zamyślenie. Tego samego więc dnia, wzięwszy go na bok, zaczęła wypytywać. Tadeuszek opowiedział jéj wszystko, co mu kozak mówił; zdał jéj sprawę ze swéj rozmowy z hrabiną, opisał wrażenie, jakie na nim sprawiła i ona i jéj portret, i dał jéj poznać domysły, jakie go tajemnie dręczyły. Anna starała się go uspokoić, umocnić, i pocieszała go jak mogła, odwracając od trapienia się próżném zgadywaniem, i wmawiając odwagę do przejścia drogi życia własnymi siłami, i wyjednania sobie szacunku i miłości ludzkiej własną zasługą. Tadeuszek, nie zważając na obecnych, rzucił się jéj do nóg, całował jéj ręce i kolana, i wołał rozrzewniony:

— O dobra, nieoceniona pani! czemu ty nie jesteś moją matką? jakżebym ja był szczęśliwym i dumnym!

— A mnie za siostrę nie chcesz, Tadeuszeku? — rzekła Sabinka, zbliżając się z Józkiem, usłyszawszy te ostatnie słowa bohatera naszego.

Tadeuszek porwał się, spojrzął na nią z miłością, a widząc, że choć usta jęj śmieją się, oczy są łez pełne, wziął jęj rękę i Józia, który stał obok, i tuląc obie do swych piersi, rzekł z rozczuleniem:

— O siostró! bracie drogi! kochajcie mnie, bo ja mam tylko was na świecie!

Nazajutrz było otwarcie roku szkolnego. Anna poszła z córką do kościoła, usiadła na tęg samęj ławeczce, gdzie kilkanaście lat temu siedziała; a gdy po skończeniu mszy młodzież zaczęła się skupiać, na środku kościoła gromadzić, w ścieśnionych szeregach na przeciwko ambony stanęła, usłyszała Anna ten sam głos, który od owęj tak ważnej w życiu jęj chwili, został na zawsze w jęj duszy. Brzmienie to łagodne i przenikające, słowa pełne uczucia i wiary, obudziły w nięj słodkie wspomnienia. Czuła się odmłodzoną, równie jak wówczas szczęśliwą, a jednak tyle czasu ubiegło! W szeregach tęg młodzieży stał jęj syn, obok nięj siedziała dorosła córka, a na ambonie był wprawdzie ten sam zakonnik, ale broda jego pobieleła, poważna głowa srebrnym okryła się włosem. Anna podziękowała Bogu za natchnienie, jakie jęj wówczas w tymże samym kościele zesłał, a gdy się kazanie skończyło, upadła na kolana i prosiła Stwórcy, aby i córce jęj dał życie równie proste, równie ciche, równie wolne od wszelkich więzów i próżności światowych, jakie sama dotąd przeżyła. Wtedy to przyszedł jęj na myśl Tadeuszek, i w tęg samęj modlitwie połączwszy ich oboje, odtąd w myśli i sercu nie rozłączała ich od siebie nigdy, i jedno dla drugiego przeznaczyła.

Anna została jeszcze w Krzemieńcu przez kilka dni, a chłopcy, którzy nie odstępowali na krok matki i córki, oprowadzali je po gmachu szkolnym i różne pokazywali osobliwości. W milczeniu przeszli przez bibliotekę, którą Anna tak pełną ludzi widziała, a która dziś w poważnej swęj ciszy, zaludniona tylko marmurowemi twarzami wielkich mężów, którzy na nią z góry patrzali, wydała się jęj tęg większa, tęg bardziej wrażliwa cześć i uszanowanie. Tam skłoniwszy się przed biustem założyciela szkoły, w głębi umieszczonym, obejrżeli bogaty gabinet medalów, przeszło dwadzieścia tysięcy sztuk zawierający; a przeszedłszy potem przez wielką galeryę, przed kościołem znajdującą się, na której młodzież zbierała się w wieczorach letnich, gdzie równie starsi, jak i młodszy grali w piłkę, gdzie dawniej i Czacki z niemi bawił się, do ruchu ciała i wprawy sił zachęcał, przeszli do drugięj połowy gmachu, gdzie obejrżeli gabinet fizyczny, z kosztownych narzędzi złożony, gabinet mineralogiczny i chemiczne laboratorium, które im sam profesor, miłujący przedmiot swój nad wszystko, pokazywał, i figlarną a ciekawą Sabinę różnemi cudownemi doświadczeniami ucieszył. Obejrawszy obserwatorium astronomiczne i gabinet machin, do szkoły mechaników należący, skończyli

uczona wędrowną swą na ogrodzie botanicznym, ciesząc się jego porządkiem i widokami, dziwiąc się oraz tylu tysiącom roślin i kwiatów, z różnych stref pod jeden dach zgromadzonych. W całej tej przechadzce Sabinka zwracała się zawsze z pytaniami swemi do Tadeuszka, jego tylko objaśnień i słów z uwagą słuchała, dziękując mu uśmiechem, gdy co pojęła, ale łając go oraz, gdy czego nie wiedział. W oranżeryi zerwała ładny jeden kwiatek, a gdy nikt nie uważał, rzuciła go w czapkę Tadeuszkowi, mówiąc z uśmiechem: — schowaj to, braciszku, dlaninie, potem mi kiedy oddasz. — W ciągu następných dni chodzili po górach, odwiedzając najpiękniejsze miejsca, zwykle przechadzki studentów, zwykle punkta, gdzie się zbierali, podziwiając razem naturę i rozmawiając o swoich pracach, dalszym kierunku w życiu i odległych, a opromienionych tyłoma złudzeniami nadziejach. Gdy stanęli nad skałą, którą uczniowie, przez wygórowaną erudycję, Tarpejską nazwali, Anna i Sabinka zachwycone zostały widokiem, który się im odkrył. Z urwiska tego, okrytego zieloną i miękką murawą, ujrzały pod nogami swemi przepaść mocno wgłębioną i kilkadziesiąt stóp wynoszącą; dalej zaczynała się nadzwyczaj stroma pochyłość, obrosła ogromnemi drzewami, których tylko korony można było widzieć; pochyłość ta ciągnęła się aż do parowu, którego oba boki, znacznie od siebie odchylone i zarosłe najpiękniejszymi drzewami, podnosiły się na kilkaset stóp w górę. Przez ten parów otwierał się widok na pola, na zielone sianożęci i błonia; widać było zdaleka Ikwę, wijącą się jak świetna jaka wstęga, a za nią bory sosnowe, wsie okoliczne, białe mury w Podbereźcach, i samotną górę Podbereziecką, od wieków tam patrząca na szereg siostr swoich skupionych, od których ją widać wody odniosły i do których wrócić nie może.

— Tadeuszkule! — rzekła Sabinka ciszej, stając na samym brzegu skały — skoczyłbyś tam za mną, gdybym upadła?

Tadeuszek pobladł, w głowie się jego zakreśliło i od tych słów, i od widoku dziewczynki swywołnej, nad przepaścią nachylającej się. Wziął więc silnie obie jej ręce i odsunął ją od brzegu, a ona śmiejąc się, dodała:

— Nie bój się, nie upadnę ja, chociaż wiem, żebyś za mną skoczył prędzej, niż Józio.

Smutno się zrobiło Tadeuszkowi, gdy Anna wyjechała. Ale słowa pociechy, któremi go umocnić starała się, zrobiły skutek. Nie dręczył się już dochodzeniem tajemnicy, której dojść nie mógł, a wspomniawszy, że ma w niej matkę, że ma w jej dzieciach rodzeństwo, pewny, że go wszyscy razem kochają, a Sabinka przed wszystkiemi, o co mu podobno najbardziej chodziło, zapomniał, że jest podrzutkiem, że sierotą, i z nową energią wzięwszy się do pracy, dawną pewność siebie i dawną wesołość odzyskał.

Tak przeszedł rok jednostajnego i regularnego życia studenta, które tém dla niego chlubniejsze, tém lepszy wydaje owoc, gdy nie się nie wydarza, co by zamąciło jego głowę lub serce, gdy godzina za godziną przechodzi tak, jak to wypisano na rozkładzie tygodniowym, który na drzwiach jego stancyjki, lub nad łóżeczkiem jego przybity. Dwie wszakże okoliczności zasługują na wzmiankę. Pierwsza, że Tadeuszek wkrótce po wyjeździe Anny, i potem co kwartał, odbierał przez pocztę Odeską 100 rubli srebrem bez żadnego listu, z napisem tylko we środku: na utrzymanie kwartałowe Tadeuszka Bezimiennego, ucznia w liceum Wołyńskim. Druga, że Józio, którego głowa później cokolwiek otworzyła się i zdolności się rozwinęły, stał się równie jak Tadeuszek uczniem celującym na kursie drugim, i z nim razem o medal srebrny starać się zaczął. Pierwsza z tych okoliczności ucieszyła go, ale razem podała mu smutne rozważania. Domyślał się on, że to nie kto inny go obdarza, tylko matka, która widać teraz dopiero dowiedziała się o jego egzystencji i kierunku. Ucieszył się więc, że ta, co mu dała życie, którą myślami swemi ściga, której twarz kochającą i zasmuconą stara się w duszy odmalować, żyje, i żyje zapewne w dostatku, kiedy go tak zasilać może. Ale z drugiej strony gorzkimi zalewał się łzami, ile razy pieniądze te odbierał, pomyślawszy, że jest dzieckiem grzechu, że ta matka odepchnęła go od swego łona, cudzym oddała ręką, i teraz, zasilając go nawet, tai się przed nim, unika jego miłości, jego widoku, kiedy on czuł, iż ani głową swą, ani sercem wstydu jęby nie przyniósł. Myśli te czyniły mu odebrany zasilek niemiłym; nie rzucał więc miejsca, które miał, pracował z cudzemi dziećmi na swoje utrzymanie, a pieniądze te opieczętowawszy, chował aż do tego czasu, gdy się dowiódł, z kąd i od kogo pochodzą.

Druga okoliczność, to jest, że Józio stał się jego współzawodnikiem, napełniła go najczystsza radością. Nie tylko że mu w niczem nie przeszkadzał, ale owszem, pracował z nim wspólnie, każdą trudność ułatwiał, i równie namową, jak przykładem do nieustąpienia żadnemu ze współkollegów zachęcał. Romansowemu trochę Tadeuszkowi przychodziło nawet na myśl heroiczne ustąpienie pierwszeństwa, umyślne zaniedbywanie się, aby przyjacielowi swego dzieciństwa i bratu Sabinki ułatwić drogę, na którą wstąpił. Jeżeliby bowiem sam nie dostał nagrody, o którą się starał, uszczęśliwienie rodziców przyjaciela miało mu to opłacić, a w wejrzeniu i uśmiechu téj, którą nazywał siostrą, a która w duszy jego była zupełnie czém inném, stokroć słodsza otrzymanie miał zapłatę. Ale wkrótce spostrzegł, że to im obu może wyjść na złe. Józio bowiem sam nie mógł sobie dać rady, i czego się z nim nie uczył, tego nie umiał tak, jak umieć był powinien, aby być pierwszym. Szli więc obydwa razem i w rzeczywistym postępie

i w opinii nauczycieli, a skutek przy końcu roku pokazał, że obaj są zupełnie równi, i że pierwszeństwa jednemu przed drugim dać niepodobna.

Był zwyczaj w Krzemieńcu, że w takim razie, gdy się zdarzało dwóch lub trzech uczniów ubiegających się o tę samą nagrodę, a zupełnie równych, przyzywano ich na sessyą zgromadzenia nauczycielskiego. Wówczas dyrektor objawił im, że jednogłośnie zdaniem zwierzchności szkolnej i wszystkich professorów, uznani zostali za równych, tak co do postępu w naukach, jak i co do obyczajów, że rada w przyznaniu im nagrody sama decydować nie może, ale zostawia to losowi, aby jednego z nich wybrał. Sessye te o nagrody odbywały się zwykle 28 czerwca wieczorem. Wszyscy uczniowie wiedzieli, że się ich los rozstrzyga, i wszyscy znajdowali się przez cały czas jej trwania na galeryi kollegium, przechadzając się i oczekując z niecierpliwością wypadku. Miło było patrzeć na tę dōdrozną młodzież, w rozmaitych gruppach snującą się, rozbierającą poważnie zasługę, wartość i zdolności każdego z kandydatów, których mogła najprzód już ukazać, a jednak niepewną, czy się nie pomyli, ciekawą, jak trudność między kilkoma równymi rozstrzygniętą zostanie, i zainteresowaną tak, jak gdyby szło o los dalszego życia, o wyjednanie jakiegoś przeważnego wpływu w jakiej izbie prawodawczej, lub o wyznaczenie władzy, w której ręku kierunek spraw krajowych miał być złożony.

W takim właśnie położeniu znalazła się Rada Liceum na ostatniej swój tego rodzaju sessyi 28 czerwca 1830 roku. Tadeusz Bezimienny i Józef Karpiński okazali się zupełnie równymi: nikt nie mógł żadnej między nimi znaleźć różnicy, żadnego zrobić zarzutu, coby szale jednego z nich podniósł, a drugiego przeważył. Postanowiono więc wezwać ich, aby medal srebrny, przeznaczony dla obu, jeden z nich ciągnął losem. Posłany szwajcar wyszedł na galeryę, młodzież w ten moment otoczyła go, a on zawołał głośno:— Czy są tu między panami pan Tadeusz Bezimienny i pan Józef Karpiński?

— Są, są!— odezwali się koledzy, i kilka głosów w różnych stronach krzyknęło:— Tadiu! Tadiu!— a z innej strony:— Józiu! Karpiński! wzywają was!

— Ja mówiłem — rzekł któryś z powagą — że na tém się skończy. Będą ciągnąć losy. — I wynalazłszy obudwóch, sprawiedliwa młodzież kontenta, że się zdanie jój potwierdza, otoczyła ich, i ściskając i winszując, odprowadziła z tryumfem do drzwi sali. Gdy weszli, dyrektor objawił im o co idzie, powinszował tak chlubnego świadectwa wszystkich uczących, i wezwał do wyciągnięcia losem nagrody przyznanej obudwom. Wtedy wejrzenie i uśmiech Sabinki mignęły przed myślą hohatera naszego, heroiczne w nim obudziło się uczucie, wystąpił więc i rzekł:

— Mam już jedną nagrodę, on nie ma żadnej. Jeżeli panowie pozwolicie, to proszę, o akcesyt, a on niech zawiezie medal, na który równie zasłużył, ojcu i matce. Gdybym miał rodziców — dodał ze łzą w oku — możebym mu nie ustąpił, choć go kocham jak brata.

Wszyscy spojrzeli po sobie, i uśmiech ukontentowania pokazał się na ustach tych poważnych ludzi, którzy w statku i szlachetnym znalezieniu się szesnastoletniego wychowanka swego, ujrzeli owoc swej pracy. Wszyscy więc skłonili się do jego prośby, a chociaż Józio z początku się opierał, gdy mu jednak zaczęto perswadować, że w tém nie ma żadnego faworu, że mu się medal należy, że Tadeusz dostanie świadectwo, w którym będzie wyrażono, że nie otrzymał medalu dla tego jedynie, że ustawa jeden tylko przeznaczyła, rzucił się rozrzewniony w objęcia Tadeuszka, i ustępstwo jego przyjął.

Wypadek ten rozgłosił się nazajutrz w całym miasteczku, gdzie wszystko, co się tyczyło szkoły, najżywszy obudzało interes, i bohaterowi naszemu ogromną zjednał reputacyę. Wszyscy koledzy ścisłali go i wychwalali jego znalezienie się, wszyscy obywatele starali się go widzieć i z nim pomówić; a gdy w czasie uroczystego aktu wezwano ich obu razem i wręczono jednemu medal, drugiemu świadectwo na medal, z krótkim całej okoliczności objaśnieniem, wszystkie oczy zwróciły się na pięknego młodzieńca, co chociaż nie wiedząc skąd pochodził, i żadnego nie miał nazwiska, tę bezimiennosc swoją tak uszlachetnił i uzacnił. Na wieczorze, danym tego samego dnia u księżnej W\*, znajdował się i Tadeuszek, wraz z innymi kolegami swymi zaproszony. Księżna prezentowała go różnym damom, które z nim uprzejmie rozmawiały i dziwiły się potem, że chłopiec tak młody, a nadewszystko bezimienny, nie tracił głowy w tak znakomitej kompanii, i łącząc skromność z przytomnością, w odpowiedziach nie okazywał zalęknienia i niezgrabności, właściwej studentom. Księżnie samej podobał się Tadeuszek. Zaczna ta staruszka zapowiedziała mu, że jej dom jest dla niego zawsze otwarty, że go prosi, aby za powrotem swym z wakacyi u niej bywał, śmiałym był w razie potrzeby, jak do matki, i żadnego zgromadzenia, na które go wezwie, nie opuszczał. Tadeuszek podziękował i przyrzekł; nie wiedział biedny, bo i któż to mógł wiedzieć? że w tym samym salonie, do którego go zasługa i wartość moralna zaprowadziły, spotka go najboleśniejszy cios, jakiego w życiu swym doznał.

## XII.

Wakacye przebył bohater nasz w Kalinowie. Potrzebował odpocząć po całorocznej usilnej pracy; potrzebował nakarmić serce miłością ludzi dobrych i widokiem ich szczęścia, do którego się przy-

czynił; potrzebował przez niejaki czas przynajmniej oddychać pod tym samym dachem, gdzie się urodziła, wychowała i rozwinęła, jak cudny kwiat, ta dziwna istota, do której obrazu zbiegały się wszystkie jego myśli, którą z dniem każdym mniej pojmował, a przecież z każdym dniem więcej czcił i kochał.

Sabinka przy rodzicach traktowała go, jak brata, dziękowała mu za jego przyjaźń dla Józia, okazywała mu tyle przywiązania, tak była naturalną i miłą, że się chłopcu w oczach émiło, i gdyby się był nie wstydził, byłby jój czasem przy ojcu i przy matce do nóg upadł i wypowiedział wszystko, co się w sercu jego dzieje. Gdy przypadkiem byli sami, co się już teraz bardzo rzadko zdarzało, zmieniała się zupełnie, tak, że jój nie poznawał, i bał się téj chwili, której inny w jego położeniu szukałby z upragnieniem. Wtedy bowiem kapryśna dziewczyna była albo nadąsaną i milczącą, albo śmiała się z tego, o czém Tadeuszek mówił z zapalem, chwaliła to, co on ganił, dając poznać, jakby była szczęśliwą, gdyby kiedy miała pałac, piękne konie i ładną karetę. Chociaż biedny Tadeuszek czuł, że nie zupełnie szczerze to mówi, ale jedynie dla sprzeciwiania się udaje zamilowanie tego wszystkiego, czego prawie nie widziała i nie zna, nieraz jednak z tego powodu przebył kilka dni w smutnych rozważach — marzył, zamyslał się, prawie był nieszczęśliwym, póki znowu Sabinka, spostrzegłszy taki jego stan, nie zmiłowała się nad nim, słodkiem i przyjacielskiem słówkiem nie przeniosła go w inny świat, jakim rozkazem, który mu dawała z przymileniem, z uśmiechem, nie obudziła w nim życia i dawnéj energii służenia jój, i dogadzania wszystkim jój zachceniom. W wigilią wyjazdu poszli obydwaj przyjaciele do ogrodu; Tadeuszek szczególniej był jakiś smutny i znękany, jakby przeczuwał, że ostatni raz widzi to miejsce, tak pełne dla niego śdrogich pamiątek. Anna zajęta była ich wyprawą, a pan Karpiński także robił rachunki i oddzielał fundusz potrzebny na utrzymanie syna. Wtedy do obu chłopców przybiegła Sabinka. Wzięła pod rękę Józia, wymawiając, że ją porzucają, kiedy będą mieli czasu dosyć nacieszyć się z sobą i w Krzemieńcu. Tak wszystko troje chodzili i rozmawiali. Po niejakiem czasie ojciec zawołał syna, aby mu oddać do rąk, co dla niego przeznaczył. Józio pobiegł, i zostawił siostrę z Tadeuszkiem. Wówczas Sabinka zapłoniła się, spojrziała w oczy młodzieńca, pełne miłości i żalu, że ją opuszcza, i rzekła drżącym głosem:

— Tadeuszkule! chodźmy, bo mama nie wie, gdzie się podziała — i wzięwszy jego rękę, idąc zwolna ku domowi, dodała: — Józio oddał mi swój medal do schowania, i twój jest u mnie dotąd; czy o nim zapomniałeś?

— O! nie zapomniałem wcale — odpowiedział, tuląc mimowolnie rękę jój do piersi.

— A czemuż się nie upomniał dotąd? — spytała, rzucając na niego wzrok pełen wyrazu.

— Alboż ci zawadza? — zapytał Tadeuszek.

— Nie zawadza mi, ale mnie niepokoi — rzekła, patrząc nań z przymleniem. — Tak się boję, żeby mi gdzie nie przepadł, lub się nie zarzucił, że codzień patrzę, czy jest, zwłaszcza gdy ciebie tu nie ma.

Tadeuszek znowu przycisnął jej rękę, i nie był w stanie nic odpowiedzieć, a ona mówiła dalej:

— A jak dostaniesz złoty medal, to mi go także oddasz?

— Czyż ja cię wtenczas obaczę? — rzekł z westchnieniem — czy wtedy wspomnisz, że ja żyję?

— A prędkoż to być może? — zapytała z uśmiechem.

— Dopiero za trzy lata, kiedy ty już będziesz słuszną panną — odpowiedział, spuszcżając oczy.

— Wieleż ty wtenczas będziesz miał lat, Tadeuszk!

— Dwudziesty — odpowiedział, patrząc na nią z zajęciem i ciekawością, do czego zmierza.

— I zawsze będziesz jeszcze studentem? — zapytała śmiejąc się.

— Czyż ja wiem, czém będę? — odpowiedział dotknięty tém słowem, jakby zimném żelazem — ja, co nie mam ani imienia, ani przyszłości, tylko własne siły, które mogą się złamać w pół drogi i nie doprowadzić mnie tam, gdziebym dojsć pragnął!

— A jakby ci siostrzyczka powiedziała, idź! idź! coraz dalej, niech się siły twoje nie łamią? — rzekła, patrząc nań okiem, w którym raptem łąza błysnęła.

— O siostrzo moja! — zawołał, a w sercu jego zabrzmiał inny zupełnie wyraz. — Wtedy pójdę, pójdę śmiało, i nie złamię się pewnie!

— Przynies-że mi najprzód złoty medal, Tadeuszk, a potem zobaczymy. Obiecujesz?

— Przysięgam ci! — rzekł, tuląc do serca jej rękę — jeżeli żyć będę, nikt go nie otrzyma, tylko ja.

— Pamiętaj-że, Tadeuszk — odpowiedziała, i dobywając z za gorsu kokardę z błękitnej wstążeczki, z którą zawsze medale rozdawano uczniom, dodała — ażebyś nie zapomniał swojej obietnicy, oto masz kokardkę od swojego srebrnego medalu, który jest u mnie. Bądź zdrow, braciszku! bądź zdrow, Tadius! — I przesławszy mu rączką pocałowanie, pobięła.

Tadeuszek, oparty o drzewo, stał długo, nie wiedząc prawie gdzie się znajduje. Dopiero Józio, gdy wrócił, wyrwał go z koła tych marzeń, w których tyle obrazów szczęścia, tyle heroicznych postanowień przesunęło się przed jego myślą.



Że się to wszystko roilo w głowie szesnastoletniego chłopca, że uczucie, którego nigdy jeszcze nazwać nie śmiał, powstało tak wczesnie w jego sercu, opanowało wszystkie jego władze, i stało się bodźcem do wielkich i szlachetnych dążeń, temu się nikt nie zadziwi; i każdy z ludzi zdolniejszych, z organizacją szczęśliwą i nie skrzywioną wychowaniem, jeżeli się cofnie do lat młodzięńczych, znajdzie, że tam w duszy jego świeciła gwiazdka, zdobiąca niebo jego rojeń i rzucająca cudne swe światło na wszystkie jego drogi. Ale że w córce Anny, szlachetnej, prostej, zdolnej do bezwarunkowego poświęcenia się swoim obowiązkom i przedmiotom swojej miłości, uformowała się główka rojąca plany próżności świata, którego prawie nie znała, i chęć samowładztwa nad tymi, co się jęj poddawali: że od dzieciństwa objawiały się w niej zarody kokieteryi i serce jakby zimne, którego popędami umiała już tak wczesnie według układu swęj głowy kierować—to rzecz cokolwiek trudniejsza do objaśnienia i mogłaby nas daleko zaprowadzić, gdybyśmy ją rozbiierać chcieli. Jest to jednak fakt, powtarzający się tak często, że go zaprzeczyć nie można. Bóg, dla przeznaczeń jemu tylko wiadomych, formuje duszę i ciało, które rodzice wywołują do życia. Myli się więc, kto bezwarunkowo obwinia rodziców, że dzieci nie są takimi, jak oni, lub się dziwi, że często z brudnego gniazda wychodzą istoty czyste, opromienione wyższą jasnością, i których nie powalało źródło, z którego wyszli, i nie pokalał przykład, na który codzień patrzyli.

Rok szkolny 1830 zaczął się świetnie; młodzież zebrała się w większej liczbie, niż dawniej, i wzięła się do pracy z dziwną energią i zamiłowaniem. Tadeuszek, znany już powszechnie, otrzymał miejsce przy dzieciach majątnych rodziców, które mu zapewniało wygodne utrzymanie, postawiło go w konieczności uczęszczania z uczniami swymi do celniejszych domów, ale zostawiało mu dosyć czasu do pracowania nad sobą. Zasilek kwartałowy z Odessy odbierał on jak zwykle, ale i tych pieniędzy, równie jak i dawniej otrzymanych, nie używał, składając wszystkie starannie i oczekując chwili, któraby i tę okoliczność, tak dla serca jego ważną, objaśniła. Tak przeszło parę miesięcy. Wówczas horyzont zaczął się zachmurzać. Jakaś tajemna i niewidzialna trwoga zasępiała czoła ludzkie. Cholera przybliżała się ze wschodu wielkimi krokami, w postaci strasznej, jeszcze mało znanęj, a zatem działającęj potężnie na imaginacyą. Od Dniepru, od Pobereża i Podola wiele rodzin przenosiło się ku krańcom Wołynia, a kto mógł, starał się nawet za granicę wyjechać. Na początku jesieni kilka bogatych familij udało się do Włoch, a każda, przejeżdżając przez Krzemieniec, zatrzymywała się tu na kilka dni, dla pożegnania znajomych i przyjaciół. Z tego powodu bywały w tym czasie liczne wieczory, na których starano się dawniejszą wesołość

przywołać, aby niejako potłumić w sobie niepokojące myśli, które wszystkich trapiły.

Dnia 11 listopada odebrał Tadeuszek od księżnej W\* bilecik, w którym go prosiła, aby z dwoma uczniami swymi, którzy z nią jakimiś dalekiem pokrewieństwem połączeni byli, przybył o godzinie ósmej na herbatę. Przymem księżna uprzedzała go, że będzie wielka kompania, że przybyłym znakomitym osobom z Podola chciałyby dzieci te zaprezentować, prosiła zatem, aby były starannie ubrane, i żeby wiedziały, jak się znaleźć mają.

Tadeuszek, wymusztrawawszy dobrze swoich chłopców, o naznaczonej porze przybył. W salonie rześisto oświeconym i przybranym niezwykłym sposobem, zastał już wiele osób; uważał jednak, że gospodyni za każdym otwarciem drzwi głównych zbliżała się ku nim z zajęciem, a i goście zaglądali ciekawie, kto przybywał. Z tego wniósł, że chociaż salon napełniał się stopniowo, i pomiędzy zwyczajnymi gośćmi znajdowały się i obce osoby, które pierwszy raz widział, jeszcze przecież kogoś oczekiwano. Z tych ostatnich uderzyła go najmocniej pewna dama, już stara z siwemi lokami, ale wyróżzana, z poczernionemi brwiami, w stroju pełnym elegancyi i pretensyi, bardzo żywa i wiele gadająca. Sama gospodyni domu i inne poważniejsze kobiety unikały jej widocznie; ona jednak zdawała się tego nie uważać, i przysiadła się co moment, to do téj, to do innej, zakrywając często twarz pierzastym wachlarzem, który miała w rękę, i szepcząc i śmiejąc się z wyrazem konfidencyi i sekretu. Tadeuszek, otoczony kolegami swymi, spoglądał na nią z jakimś wstrętem, którego sobie wytłumaczyć nie mógł; z zadziwieniem jednak spostrzegł, że o niego jakąś damę wypytywać zdawała się i często g lornetowała. Odwrócił się więc umyślnie, i zbliżył się ku drzwiom. Wtedy kamerdyner otworzył je nagle, i wszedłszy do sali, powiedział kilka słów swojej pani. Księżna przystąpiła śpiesznie, a we drzwiach sali pokazała się kompania, powitana ze szczególną uprzejmością, i na którą widać oczekiwano. Wszyscy obecni zwrócili uwagę na wchodzących, i zdawali się im ciekawie przypatrywać. Weszły najprzód dwie damy, obie słuszne, poważne, ale różnego wieku. Jedna zdawała się mieć lat przeszło siedmdziesiąt, była w koronkowym czépku na głowie zupełnie siwój i po mężku przystrzyżonej, miała dumny wyraz w twarzy pomarszczonej przez wiek, ale okazującej jeszcze ślady dawniej piękności; druga mogła mieć około czterdziestu lat, w stroju bogatym i pełnym elegancyi, jeszcze zupełnie piękna, i patrząca spokojnie i z powagą na zbliżające się coraz i witające ją z uszanowaniem osoby. Za damami szedł mężczyzna średniego wzrostu, brzydki, schorowany, z głową białym już prawie włosem okrytą, którego siwe i bystre oczy przenikliwie całą kompanię przebiegały. Przy nim był piętnastoletni

młodzieniec, cienki, wysmukły, zgrabnej postaci, ładnych rysów, ale twarzy bladój, ponurój, i patrzący ze zmarszczeniem i jakby wzgardliwie na towarzystwo, do którego wchodził. Ostatnim był człowiek niewielkiego wzrostu, przemacerowanój i ułożonój twarzy, z dużym orlim nosem, ze spuszczone w ziemię oczami i z włosami przyczesanymi na czoło. Gdy wszyscy postąpili naprzód, ten szedł w kierunku ukośnym, robiąc jedną nogą krok szerszy, niż drugą.

Tadeuszek poznał od razu wszystkie te osoby. Pochlebiamy sobie, że i czytelnicy poznali równie tych, co teraz weszli, jak i ową starą elegantkę, która bohaterowi naszemu przypatrywać zdawała się. W rzeczy samej, była to znajoma nasza, pani Pokrzywicka; do kompanii zaś, z takimi względami przyjętej, należała hrabina P\*, Rozalia, pan Klemens, Hippolitek i jego gubernator.

Ze pani Pokrzywicka tu się znalazła, w tém nie ma nic dziwnego; wyrastała ona wszędzie, gdzie jój nie posiano. Co do innych osób, rzecz się tak miała: pan Klemens liczył już 69 lat. Chociaż życie domowe nie narażało zdrowia jego na żadne gwałtowne wstrząśnienia, a postępowanie Rozalii, po zatarciu się przykrych wrażeń, jakie na niój ostatnie sceny z powodu Tadeuszka sprawiły, było równie poważnym, równie jednostajnym, jak i dawniej, wszelako wiek wziął swoje, i pan Klemens, poczuwszy upadające siły, postanowił na parę lat wyjechać z rodziną do Włoch, aby go klimat pokrzepił i dni jego przedłużył. Do tego postanowienia przyczyniła się i obawa zbliżającej się cholery, która, jak słyszał, sprzątała szczególnie starców zużytych i dzieci chorowite i skrofuliczne. Przestraszył się więc pan Klemens o siebie, ale bardziej jeszcze przestraszył się o syna, którego chciał przed wpływem zarazy usunąć. Mając na parę lat opuścić kraj z całą rodziną, przewyciężył on wstręt, jaki czuł do matki swój żony, i pojechał do Białobrzyniec, aby staruszkę pożegnać. Hrabina jeszcze zupełnie zdrowa, i nie czująca jeszcze ciężaru tylu lat, które przeżyła — bo nic tak życia nie zużywa, jak serce, a serce odbywało w niój funkcją krążenia krwi, nic więcej — postanowiła za grzeczność odplacić grzecznością i odprowadziła ich aż do Krzemieńca, gdzie mieli parę dni zabawić. Tym tedy sposobem cała ta kompania znalazła się u księżnej W\*, która, korzystając z okazji, całe miasto na wieczór sprosiła.

Łatwo sobie wyobrazić uczucia biednego Tadeuszka, widzącego się w obecności tylu osób, z którymi życie jego tak ściśle było splecione. Cała przeszłość stanęła mu przed oczami. Zrozumiał teraz wrażenie, jakie na nim sprawił portret hrabiny, i nie pytając się nawet, odgadł, że jego matką jest Rozalia. Widział teraz dobrze, że hrabina, przyzywając go do siebie, mogła mieć ważniejszy powód, niż prostą ciekawość widzenia studenta, który jój nie mógł interesować;

że Maksym, może za jej wiedzą, a nawet rozkazem, wioził go tak daleko, aby go postawić pod oknem téj, co mu dała przytułek i Widalsię, i która może teraz, dowiedziawszy się o jego egzystencji, opatrjuje go tym tajemniczym zasilkiem, jakiego on użyć nie śmie. Wszystkie te myśli tłumem cisnęły się do jego głowy i czoło jego okryły zamysleniem. Zamyslenie to podniosło jeszcze piękny wyraz jego twarzy, tak foremnój i z daleka uderzającój charakterem przedwczesnych przygód i rozumu, rozwiniętego doświadczeniem starszém, niż jego lata.

Hrabina spostrzegła go z daleka i nie okazując najmniejszego znaku, że go kiedykolwiek widziała, po niejakiem czasie szepnęła kilka słów siedzącej obok niej Rozalii. Tadeuszek, chociaż stał w oddaleniu, i nie nastroczał się wcale, mógł jednak być dobrze widzianym. Spostrzegł on, że Rozalia zwróciła na niego oczy, że twarz jej z początku pobladła, ale potem rozlał się na nią taki wyraz szczęścia, tak cudny rumieniec okrył jej lica, takim blaskiem zajaśniały jej oczy, że biedny chłopiec, porwany niewysłowioném uczuciem wdzięczności i przywiązania, postanowił zbliżyć się do niej, skoro wyjdzie z koła poważnych dam, w które wstąpić nie śmiał, i szepnąć jej nieznacznie: — Powiedz, czyś ty moja matka? czy ciebie mam czcić i kochać? — Ale wkrótce spostrzegł, że się twarz hrabiny zmarszczyła, że usta jej wymówiły znowu parę słów, zapewne twardych, że wzrok jej surowy padł na córkę, która wpatrując się w Tadeuszka, zdawała się zapominać o wszystkich, co ją otaczali. I pod lodem tego wejrzenia, pod wrażeniem tych kilku słów, zmieniła się zupełnie twarz Rozalii. Powaga zajęła miejsce uczucia, uśmiech przymuszony spędził z ust jej wyraz przywiązania; odwróciła się od niego, zaczęła rozmawiać z tymi, co do niej przystępowali; i choć potem powstała z miejsca i przechodziła przez salę, to z jaką damą, to z jakim mężczyzną, choć zbliżała się do Tadeuszka, który stawał umyślnie tak, aby wzrok jej wyminąć go nie mógł, zdawała się go nie uważać, a nawet nie widzieć tych oczu, zachodzących łzami, które ją wszędzie ścigały.

Przejęty więc goryczą, i zwątpiwszy, aby domysły jego mogły być prawdziwe, spojrzął z młodzieńczém oburzeniem na ten świat, tak wykwintny, tak piękny z pozorów, tak wyrobiony we wszystkich formach, a pokrywający porywy serca wypolerowaném i zimném szkłem przyzwoitości, co jak lśniąca szyba lodu, która uciska fale rzeki, nie daje świętemu nawet uczuciu z brzegów swych wystąpić. W tak smutném usposobieniu usunął się na stronę, i usiadł za grupką młodzieży, wesolą zajętej rozmową. Nie uważał Tadeuszek, o czém rozmawiali. Zbyt on był zatrudniony tém, co widział i czego doznał. Uczuł nadto, że mu krew gwałtownie do serca napłynęła i pulsa skronie rozrywać zaczęły. Chciał nawet powierzyć komu uczniów swoich i wyjść,

gdy zła gwiazda, która od téj chwili zesłała nad głowę bohatera naszego, zatrzymała go na miejscu. W téj grupie rozmawiających było kilku jego kolegów, a między nimi Józio i dwóch paniczów, celujących nauką, i starających się o przychylność i przyjaźń współtowarzyszów. Do nich przystąpił Hippolitek, który od innych, nieznanego nazwiska stronił.

— Powiedz mi — rzekł do jednego z nich — kto był ten student, blondyn, z kręcącymi się cokolwiek włosami, który tam stał, i tak śmiało przypatrywał się mojej babce i matce?

— Nie uważałem — odpowiedział zapytany — ale dla czego się o niego pytasz!

— Bo mi się zdaje — rzekł, zsunawszy brwi, posępny panicz — że mi ta twarz dobrze znajoma.

— Blondyn, który tam stał? — rzekł drugi — to Tadeusz Bezimienny.

— A, Tadeusz? i Bezimienny. Więc to on. Poznałem go — rzekł Hippolitek, i w oczach jego błysnęła nienawiść i szyderstwo. — Ale dla czegoż nazwał się Bezimiennym?

— Bo nie ma żadnego innego nazwiska — rzekł Józio, który stał blisko — chociaż jego głowa i serce ozdobiłyby każde, jakiegokolwiekby nosił.

— Nie do pana mówię — odezwał się hardy panicz.

— Mówisz pan głośno o moim przyjacielu i o naszym kolledze — odpowiedział Józio — i proszę o tém pamiętać.

— Winszuję panom takiego kolegi — rzekł z nienawiścią Hippolitek — i dziwię się mocno, że go w takiej kompanii widzę.

— Dziwisz się? — zawołał wówczas Tadeuszek, przybliżając się, i stając przed zmieszonym cokolwiek Hippolitem, który wszakże wkrótce opamiętał się, i rzuciwszy wzrok pełen pogardy na swego antagonistę, rzekł z ironią i podniesionym głosem:

— Wiész dobrze, że mam powód dziwić się. Tego, co się wychował z furmanami mego ojca i paśł jego cielecia, spodziewałem się zastać nie w salonie, ale w przedpokofu, z płaszczem na ręku.

Zaledwie wymówił te słowa mściwy i uniesiony namiętnością chłopiec, gdy silna ręka Tadeuszka podniosła się, padła na twarz jego, i odgłos policzka rozległ się po całej sali. Rzucił się zapalczywy i skrzywdzony tak publicznie Hippolit na swego przeciwnika, ale studenci przegrodzili ich, nie dali im do siebie zbliżyć się, i zawstydzeni tak gorszącym wypadkiem, starali się uciszyć wrzawę i wytłómaczyć kolegę. Ale usiłowania ich były daremne. Burda była zbyt jawną, aby się utaić mogła. W całej sali powstał krzyk i oburzenie na biednego hohatera naszego. Przystąpił pan Klemens. Rozalia, usłyszawszy podniesiony głos syna, śpiesznie przybliżyła się, w mgnienu

oka dowiedziała się o co idzie; a gdy jęj ukazano tego, co taką krzywdę dziecku jęj zadał, krzyknęła boleśnie, chwyciła się ręką za czoło, i poczuwszy pod palcami bliznę, której czas zetrzeć nie mógł, stanęła tak w odrętwieniu. Tadeuszek usłyszał ten krzyk, zwrócił ku tej stronie wzrok jakby obłąkany, i gdy ją spostrzegł bladą i stojącą bez ruchu, jak posąg, jęknął głęboko, załamał ręce i dał się bez oporu i czucia wyprowadzić kollegom. W téjże samęj chwili i ztąd i zowąd dał się słyszeć głos: — Wypchnąć go, precz! precz! za drzwi, za drzwi! za drzwi! — Tadeuszek jak przez sen słyszał te wyrazy, któremi go policzkowano, i szedł ze schyloną głową do przedpokoju. Tam już byli lokaje księżnej, gotowi wypełnić rozkaz, który do nich dochodził z sali. Jeden nawet gorliwszy, przybliżył się zuchwałęj do biednego sieroty, ale nagle poczuł się odtrąconym silną i żyłastą ręką. Ten co tak popchnął służalca, był Maksym, który strwożony widokiem zupełnie zmienionęj twarzy Tadeuszka, przystąpił do niego, i łagodnie zapytał:

— Paniezu! co tobie?

Uderzony tym głosem Tadeuszek, podniósł oczy, patrzył długo na starego kozaka, tarł ręką czoło, jakby sobie chciał przypomnieć, co się z nim stało, i po chwili, pochwiałwszy się, upadł na ręce kollegów, którzy go nie odstąpili. Starano się go otrzeźwić, ale wszelkie usiłowania nie pomogły. Przestraszeni uczniowie, sami nie wiedzieli co robić. Gdy księżnie, zmartwionęj wypadkiem, który pomięszał i popsuł jęj zabawę, dał ktoś znać, że Tadeusz zemdlął, i że go otrzeźwić nie mogą, porwała się zacna staruszka z miejsca przy Rozalii, którą pocieszyć i przed którą tłómaczyć się chciała, wzięła za rękę doktora, który znajdował się w kompanii, i poszła z nim razem do przedpokoju. Doktor obejrzał zemdlonego, posłał Józia po cyrulika, aby z nim przyszedł natychmiast do stancyi Tadeuszka, gdzie go odwieźć kazał, i dokąd sam z drugim uczniem udał się. Wtedy Maksym oddał jednemu z lokajów pana Klemensa salopę hrabiny, wziął na ręce młodzieńca, którego dzieckiem tyle razy w objęciu swém trzymał, zaniósł go do karety hrabiny i do stancyi odwiózł. I w kwadrans potem, Tadeuszek leżał w łóżku swém bez przytomności; przy nim siedział doktor i trzymał jego rękę coraz mocnięj płonąca, a w nogach jego stał stary kozak z założonemi rękami, i łzy kropliste na białe wąsy jego spadały.

Tymczasem w sali pierwsze wzburzenie cokolwiek ucichło i uspokoiło się. Wyjaśnione okoliczności kłótni, tak nieszlachetna zaczepka ze strony Hippolita, i tak mocny żal Tadeuszka, skłoniły nawet opinię na stronę tego ostatniego, i usprawiedliwiły go w oczach więkšzej liczby. Każdy unikał Hippolita; pan Klemens tylko perswadował rozżłoszczonemu i odgrażającemu się synowi, że krzywdą

z takiej ręki nie hańbi go; ale w sercu jego wrzał gniew i chęć przykładnego ukarania zuchwalca, którego wykarmił, a który go tyle zdrowia kosztował i tyłu i tak rozmaitych męczarni stał się powodem. Rozalia siedziała blada, znekana, ale milcząca, by nie dać poznać bólu, który rozrywał jęj piersi, bo z jednej strony była przy niej matka, trzymała ją za rękę i wzrok jęj surowy, zimny i przenikający kontrolował każde jęj poruszenie i czuwał nad każdym jęj słowem; z drugiej strony był mąż, który wlepił w nią wzrok przenikliwy, a przy nim i przy niej kręciła się pani Pokrzywicka, niby pocieszając, niby ubolewając nad jęj zmartwieniem, a tymczasem czyhać zdawała się na jęj łzy, i przysłuchiwać, czy jakim tajemnym jękiem nie zdradzi się i nie wyda. Położenie biednej Rozalii stało się tém okropniejszém, gdy dano znać, że Tadeuszek zemdlał i że go otrzeźwić nie mogą. A jednak nie ruszyła się z miejsca; zdobywała się na odpowiedź w kilku słowach tym wszystkim, co do niej przystępywali, a choć czuła, że w niej serce zastyga, tyle na sobie przemogła, że gdy hrabina, na usilne prośby gospodyni domu, przyzwoliła na pozostanie jeszcze czas niejaki na wieczorze, Rozalia nie sprzeciwiała się, i dopiero w godzinę potém wraz z matką wyjechała.

Na drugi dzień pan Klemens był u zwierzchnika szkoły, żądając, aby zuchwał młodzieniec, którego niewdzięczność dobitnie odmalował, ukarany został relegacją ze szkół, na które postępkami swoim taką plamę rzucił. Dyrektor Liceum, sam mocno tym wypadkiem zmartwiony, objawił zagniewanemu ojcu, że i bez jego w tęg mierze żądania, Tadeusz Bezimienny, chociaż jest uczniem celującym w naukach, i wzorowym co do obyczajów, byłby rzeczywiście relegowanym, gdyby stan jego zdrowia nie okazywał, że już nie miał zupełnej przytomności umysłu, gdy się zuchwalstwa takiego dopuścił.

— Obecnie, ani pan — dodał ze wzruszeniem — nie możesz żądać dla niego kary, ani ja nie mogę jęj wymierzać. Właśnie teraz od niego wracam, gdzie go z drugim jeszcze lekarzem odwiedzał. Biedny ten chłopiec leży bez przytomności. Ma okropne zapalenie mózgu, i obaj lekarze, którzy koło niego chodzą, nie ręcą za jego życie.

Pan Klemens zamyslił się, pożegnał zwierzchnika szkoły, nie zrobiwszy żadnej więcęj uwagi, i tego samego dnia z żoną i synem wyjechał do Włoch. Rozalia przed wyjazdem miała jeszcze długą konferencję z hrabiną, a gdy nazajutrz i hrabina wyjechała, siadł na tłomoku za jęj karetą inny jakiś świeżo najęty lokaj, a Maksym został w Krzemieńcu, i wszystkie następne nocy przy łóżku Tadeuszka, nie zmrzywszy oka, przesiadywał.

We trzy blisko lata potém, to jest na początku czerwca 1833 roku, w tym wielkim lesie, który między Radziwiłłowem i Dubnem

leży, i na kilka mil po nad granicą ciągnie się, szło dwóch ludzi wąską ścieżeczką, która w coraz większą gęstwinę prowadzić zdawała się. Wieczór już się przybliżał, jednak można jeszcze było rozróżnić rysy ich twarzy i wiek każdego oznaczyć. Obaj byli słusznego wzrostu, silnie zbudowani i nie ukazywali ani upadku sił, ani upadku ducha. Najprzód szedł młodzieniec, w białej, krótkiej siermiędze, w kapeluszu słomianym, z pod którego wychodziły pukle włosów jasnych i naturalnie zwijających się. Twarz miał cokolwiek opaloną, ale dziwnie foremną i piękną; oko błękitne, czarną obwiedzione rzęsą, wąsiki blond okrywały zwierchnią wargę, z pod otwartej siermięgi widać było cienką koszulę, a ruchy, chód i trzymanie się młodzieńca okazywały i lepsze pierwiastkowe wychowanie, i późniejszą służbę wojskową, która ostatecznie i ciało jego urobiła, i całej fizygnomii nadała wyraz śmiały i charakterystyczny. Za nim szedł człowiek już stary, podobnie ubrany; ale choć wąsy jego były zupełnie białe, a z pod kapelusza wychodziły włosy, które wiek posrebrzył, widać jednak było energię w jego siwych oczach, które zdawały się przenikać puszcze, co ich otaczała, a chód jego wyraźnie okazywał, że lata i trudy nie złamały jego sił i żelaznej budowy nie ugięły.

Po niejakiem czasie młodzieniec, widząc kończącą się prawie ścieżkę, obrócił się do oglądającego się na prawo i na lewo starca, i rzekł z uśmiechem:

— A co, Maksymie, podobno zbłądziliśmy?

— A podobno, panie wachmistrzu! — odpowiedział z uśmiechem wierny kozak, którego zapewne czytelnicy poznali, jak równie i bohatera naszego, chociaż trzy ubiegłe lata dały mu wąsiki, a okoliczności, w których się znajdował, w chłopską odziały go siermięgę. Tadeusz położył rękę na ramieniu starego przyjaciela swego i rzekł:

— Daj pokój, kochany Maksymie, temu co było. Wszak ja twój syn Zacharko. Tak mnie nazywaj; pamiętaj, żeśmy już przeszli granicę.

— Niechaj i tak bude — odpowiedział Maksym, patrząc z przywiązaniem na pięknego młodzieńca. — Żeby to nam już dostać się do mojego Zacharka, ta i do mojej biednej Tatyany, która nie wiem czy żywa — dodał z westchnieniem — toby nam jakoś było lepiej. Ale tu w tym czortowskim lesie coś mi nie bardzo rażno i wesoło.

— Tam mówili, że tu gdzieś ciągnie się druga linia kozackiej straży — rzekł Tadeusz, przysłuchując się.

— Toż-bo i to — odpowiedział Maksym, i także nadstawiając ucha, dodał: — Cicho, paniczku! chodźmy w gęstwinę; mnie się zdaje, że słyszę kopyta końskie. Ktoś jide werchóm!

— I ja słyszę także — rzekł Tadeusz, i obaj, lekko stąpając i wybierając takie miejsca, gdzieby nogi ich nie następowały na suche ga-



łęzie, coby ich trzaskiem swym i łamaniem się zdradziły, usunęli się na kilkadziesiąt kroków, przedarli się przez gęste zarosłe, i tam w ich głębi usiedli. W parę minut potem tentent konia, idącego stępo, dał się słyszeć wyraźnie, i wkrótce pokazał się kozak przygarbiony na siodle, trzymający horyzontalnie swą pikę, aby o gałęzie nie zawadzała, i patrzący to przed siebie, którądy szła ścieżka, to podnoszący głowę do góry, aby mu gałąź nie wlaźła w oczy, lub czapeczki na ziemię nie zrzuciła. Gdy przyjechał do tego miejsca, gdzie nasi podróżni zatrzymali się byli, a koń jego także stanął, wsadził głowę w krzaki leszczyny i liście oskubywać zaczął, wtedy kozak podniósł się na strzemonach, zajrzał na prawo i na lewo, i splunawszy, zawołał:

— Czort woźmi! niet uże dalsze doroh!

— Wże i ja teje baczyw! — rzekł cicho Maksym, uśmiechając się, i gładząc białe swe wąsy. Tadeusz ścisnął za rękę towarzysza swego żeby milczał, a tymczasem kozak, pozwoliwszy koniowi gryźć liście, zatknął pikę swą w ziemię, dobył fajeczkę, nałożył ją, i trzymając w zębach, ogień krzesać zaczął. Za każdym uderzeniem krzesiwka sypały się gęste iskry i oświecały gęstwinę. Podróżni nasi siedzieli nie ruszając się, i widzieć mogli dobrze barczystego dońca, z ogorzałą twarzą, z gęstą czarną brodą, niecierpliwącego się na złą hupkę, która zapalać się nie chciała. Operacya ta trwała z parę minut; narreszcie zatlila się hupka, kozak zaczął kiwać lewą ręką, żeby się lepiej rozżarzyła, zsunął ją z krzemienia na fajkę, potem przybił paznokciem wielkiego palca, i wzięwszy pikę w rękę, zawrócił konia, i napowrót pojechał.

— Szczęśliwa doroha, pane kozacze! — rzekł znowu Maksym, gdy stąpanie kozackiego konia coraz mniej słyszeć się dawało. Narreszcie, gdy zupełnie ucichło, dodał: — Nu, paniezu! chodźmy dalej. Nam będzie dobrze iść tędy, którądy kozak nie mógł przejechać. Przeberzemy się może środkiem między dwiema ich stójkami.

— A nie masz tam czego w torbie, Maksymie? — rzekł Tadeusz, połykając ślinkę — dobrzeby tu posilić się, tobyśmy już szli nie odpoczywając całą noc. Możebyśmy się przededniem dostali do gór Krzemienieckich. Tam już bylibyśmy jak w domu.

— Ba! to to i bieda — odpowiedział Maksym spluwając — nie ma już nic, a i mnie jeść się chce i w brzuchu coś gada.

— Ha! cóż robić? — rzekł Tadeusz powstając — może znajdzie się tam dalej jaka chłopska chałupa, to podjemy i potem! A do ranka jeszcze wytrzymasz?

— Alboż to mnie nowina dwa dni nic nie jeść, paniezu? — odpowiedział stary.

— Biedny Maksymie! — rzekł Tadeusz, ściskając jego rękę —

tyle dla mnie wycierpiałeś! a ja nie mam czém zapłacić ci za twoje przywiązanie. O moja matko! moja matko! — dodał, klasnąwszy w dłonie i oparłszy głowę na ramieniu kozaka, cicho zapłakał.

— Daj pokój, paniczu! — mówił po chwili Maksym — jak znajdziesz swoją rodzoną matkę, to obaczysz jak ona ciebie kochać będzie; nie tak jak my, co tobie tylko wiernie służyć możemy. A teraz chodźmy!

Tadeusz westchnął głęboko, uściskał poczciwego starca, i poszli dalej. Ciemno się już zrobiło zupełnie. Szli więc z trudnością i powoli, raz z obawy, żeby nie wleźć na stójkę kozacką, — a drugi raz, że las był gęsty, zarosły krzakami i co chwila postęp ich tamował. Po godzinie może takiego darcia się omackiem, weszli na niewielkie półko, z wykarczowanego widać lasu powstałe, obwiedzione z dwóch stron orynowym płotem i zasiane żytem, które już dobrze podrosło. Podeszedszy brzegiem tego pola z paręset kroków, obaczyli wgłębiając w las zagrodę, do której widno pole to należało.

— Tu widać jakiś chłop mieszka — rzekł Maksym — zostań tu paniczu, a ja pójdę sam, i zmiarkuję; może to jaki dobry człowiek co nas przeprowadzi przez linię, i przeda mleka i kawałek chleba.. Tadeusz usiadł sobie pod sosną, a stary kozak, wyłamawszy dobry drządek, poszedł ku izbie. Wkrótce odczuwało się szczenie kilku niewielkich piesków, później drzwi w izbie skrzypnęły, a wnet i światło błysnęło w okienku. Tadeusz powstał, oparł się o drzewo, i tak czekał, aż Maksym wróci. Przeszedł może kwadrans w zupełnym milczeniu i w przykrém oczekiwaniu. Po upływie tego czasu usłyszał młody człowiek tentnienie, jakby kto biegł; i w parę minut obaczył wyrostka, ze czternaście lat mającego, który się do niego zbliżał, o kilka kroków od drzewa zatrzymał się, i przypatrywał, jakby kogo szukał.

— Zachár! a de ty? — zawołał wreszcie chłopak.

— Tut — odezwał się Tadeusz, występując i domysłając się, że to chłopiec po niego przysłany.

— Chody', tam ba'ko tebé kłycze — rzekł chłopiec, przypatrując się ciekawie bohaterowi naszemu. Poszli więc. Gdy weszli do chaty, Maksym siedział za stołem, baba zaspana i drapiąca się stała przy piecu i dokładała łuczywa do ognia, a na środku izby był chłop z rudawą niewielką brodą, z kołtunem na głowie, i niósł w jednej ręce garnek z mléką, a w drugiej sporą bułkę razowego chleba.

— Zdrowy dobrej lude! — rzekł śmiało Tadeusz, naśladowując akcent chłopski.

— Spasi Bih! — odpowiedział chłop, przypatrując się dobrej

minie i szlachetnym rysom młodzieńca. — Ot siad koło swoho ba'tka, ta pojiżte szczo Bih daw, koły zabłudyły ta wyhołodyły sia.

Tadeusz usiadł, a chociaż fizygnomia chłopca nie podobała mu się wcale, nie okazując jednak żadnego podejrzenia i nieufności, wziął łyżkę, a gdy Maksym wylał na podaną sobie misę mleko kwaśne wraz ze śmietaną, ukroił spory kawał chleba, i z apetytem zjadać zaczął. Chłop zachęcał ich, żeby sobie nie żałowali, był wesołym i uprzejmym. Po jakimś czasie, widząc, że chłopiec jego stoi przy piecu, i poprawiając niby ogień przypatruje się podróznym, rzekł do niego z ofuknięciem:

— Czohó stoisz, ta pryhlądujesz sia? ne baczyw ludej, czy szczo? idy, durniu, spaty, ta zawtra raneńko wstawaj i żeny w lis korowy.

Chłopiec odwrócił się i poszedł, a podróźni usłyszeli, że drzwi od sieni skrzypnęły, i Tadeuszowi nawet zdało się, że coś po pod okna pobiegło.

— Chodźmy ztąd, Maksymie! — szepnął do towarzysza swego, gdy się chłop odwrócił i do baby coś mówił.

— Cicho, paniczu! — odpowiedział Maksym, i kończył spokojnie swój posiłek. A gdy baba wyszła do komory, powstał, podziękował gospodarzowi i zabierali się do wyjścia. Wtedy chłop poskrobał się w głowę i zaczął im perswadować, żeby nie szli, że noc ciemna, linia kozacka niedaleko: teraz takie czasy, że bezpieczniej iść dniem, jak nocą, a tymczasem, ot przespaliłyby się i wypoczęli. Ani Maksym, ani Tadeusz przystać na to nie chcieli, udając, że im pilno, że do domu niedaleko, że byleby wyszli z tego lasu, to już omackiem trafią. Wprawdzie, dodali, że woleliby nie spotkać się z kozakami, bo by ich musieli zatrzymać i aż do swego oficera prowadzić, coby im dużo czasu zmarnowało, choć potrafiliby się wytłómaczyć i dowodnie okazać, że są ze Szpikołosów i tamtejsi poddani.

— Ot! — dodał Maksym — jakbyś ty był dobry i uczynny, tobys nas przeprowadził tak, żeby nikt nie widział.

— Ta ono to prawda, można — odpowiedział chłop, skrobiąc się w głowę — ja tu jedno takie miejsce znam. Tamtędy i koniom można przejechać, nie tylko piechotą przejść, a i djabeł nie obaczy, nie dopieroż kozak.

— To chodź z nami — mówił Maksym, podając mu rękę — a jak wyjdziemy za las, do traktu, gdzie karczemka, to napijemy się, i to, coby trzeba było dać komu, to lepiej tobie damy.

Cała ta rozmowa prowadziła się po rusku. Szczególnie Tadeusz przybrał najwykwintniejszy chłopski akcent, i we wszystkich ruchach prawdziwego parobka udawał. Temi namowami chłop niby skłaniał się. Zaczął się namyslać, kiwać głową, podskrobywać kołtun, na-

reszcie po długiém wahaniu się, w ciągu którego stanął czasem tak, jakby się czemuś ze dwóra przysłuchiwał, rzekł:

— No, no, siądźcież i zaczekajcie, a ja pójde odziać się trochę, to może nam się i uda.

Usiedli więc i czekali, ale przeszedł kwadrans, a chłop nie wracał. Zwłoka ta zaczęła ich seryo niepokoić, szczególnież Tadeusza, który radził, aby wyjść co prędzej, zagłębić się w las i potem, zdawszy się na wolę Bożą, iść omackiem, gdzie się zdawać będzie lepiej. Maksym, więcej o niego jak o siebie niespokojny, zgodził się, i tylko co wyjść mieli, gdy we drzwiach izby pokazał się chłop odziany w czarną siermięgę, w słomianym kapeluszu i z długą laską w ręku.

— No, chodim tepér — rzekł, a potem, zreflektowawszy się, dodał — a może macie jaką broń, to lepiej rzucić, albo przynajmniej wykręcić, żeby była nienabita. Bo jeżeli złapią was z nabitą bronią, to Boże uchowaj, przepadniecie!

— To ty tak chcesz prowadzić, żeby nasz złapali! — krzyknął Tadeusz. Chłop spojrział na niego z podełba, potem nachylił się do okna, jakby się przysłuchiwał, i tylko co Maksym wyciągnął rękę, chcąc go uchwycić za piersi, zwinął się jak wąż i wymknął się z izby. Rzucili się za nim obydwaj, ale w téjże samej chwili posłyszeli tentent kilkunastu koni w galopie, i nim wyszli na próg sieni, już kozacy byli przeddrzwiami, a jeden z nich zrzucił z przed siebie, jakby jaki wór sieczki, tego samego chłopca, który im widać drogę pokazywał i tu ich sprowadził. Tadeusz tyle tylko miał czasu, że podwójną krócięgę, którą trzymał już w ręku dla ścigania nią zdrajcy, rzucił w kąt ciemnej sieni, a widząc, że ucieczka niepodobna, chwycił za rękę rozszłoszczonego Maksyma, i tak czekali już spokojnie, co im kozacy powiedzą i jak z nimi postąpią.

Uradnik zakomenderował z koni. Kazał podróżnym naszym wejść na powrót do izby, i sam wszedł w towarzystwie kilku kozaków. Indagacya była krótka. Opatrzono ich, wzięto kilka listów, które Tadeusz miał przy sobie, cokolwiek pieniędzy, które im pozostały; a starszy kozacki, kazawszy ich dobrze związać, oddał pod straż i pod konwojem odprowadzić kazał do Dubna. Gdy przechodzili mimo okienka izby, światło z tamtąd bijące padało na chytrą twarz chłopca, który tam stał skuliwszy się, i w głowę się skrobał.

— Pożdy, suczy synu! najdu ja tebé, chyba umru — rzekł Maksym, rzucając nań groźne wejrzenie. Chłop skulił się jeszcze mocniej i chyłkiem poszedł do izby, a kozak, trąciwszy tylcem piki zagniewanego i związanego starca, krzyknął:

— Paszoł! paszoł — w perod i mołczat! — I w kilkanaście minut potem światło w izbie zgasło, chłop spał na pościeli, więźniowie z konwojem swym poszli, i głucha cisza zaległa ten bór głęboki i ciemny.

W pierwszej, dużej i brudnej izbie, przy kancelaryi policyi Dubieńskiej znajdując się, siedział Tadeusz ze związanymi z tyłu rękami; przy nim był Maksym, a dalej jeszcze kilku więźniów różnego stanu i wieku. Dwóch żołnierzy z bronią stało przy drzwiach, a kozacy, którzy z różnych stron sprowadzali, to prostych włóczęgów, to podejrzanych o tajemny powrót do kraju z Galicyi, stali w kącie i rozmawiali ze sobą, opowiadając zapewne, jak się któremu udało. Wszyscy oczekiwali na policmajstra, który najprzód rozbierał, za co który przyprowadzony; włóczęgów prostych, obwinionych o kradzież i t. p., brał pod swoją jurysdykcję, a innych oddawał władzy wojskowej, która ich do komisji śledczej, dla wybadania stopnia winy każdego, w Dubnie ustanowionej, odsyłała.

Po niejakiem czasie wszedł pan policmajster. Był to człowiek słusznego wzrostu, wyprostowany, szczelnie zapięty, twarzy uczciwej, i na której jakby widać było przybraną surowość. Włosy miał już zupełnie siwe, chociaż dość czerstwo jeszcze wyglądał. Za jego wejściem wszyscy powstali, a on z kolei zapytywał więźniów, zkąd? i odbierał od kozaka objaśnienie ustne, lub na piśmie, gdzie który schwytanym został. Nim przyszła kolej na Tadeusza, Maksym przypatrywał się pilnie twarzy policmajstra, i poznawszy go równie z rysów, jak po ruchach i głosie, szepnął stojącemu obok młodzieńcowi: — Nu, sława Bohu! Nie bój, paniczu! nie będzie nic bardzo złego.

Był to rzeczywiście nasz zacny horodniczy, pan Bazyli Smirnicki, który nauczywszy się doświadczeniem, że im genialniejszą jest żona, tém ją bardziej trzymać należy na wodzy, wziął i swoją we właściwe kluby, dał się poznać swój władzy, jako człowiek uczciwy, oddany tylko służbie, i straconą opinię całkowicie odzyskał. Po kilku latach ciężkiej próby, sądząc, że już może prosić o zapomnienie nadużyć, nie z jego winy dopuszczonych, napisał do znanego nam rady stanu Grodzieckiego, i za jego wpływem, wsparty przeważną protekcją generała C\*, przywrócony został do stopnia policmajstra, i w 1831 r. do Dubna translokowany.

Z tych wszystkich okoliczności pokazuje się jawnie, jak najczęściej niesłusznym jest zarzut krytyki, która pisarzom powieści wymawia, że naciągają fakta tak, jak im to do sklecenia ładajakięj całości najdogodniej. Cóż winien opowiadacz tych codziennych dziejów życia ludzkiego, że Opatrzność tak urządziła ziemię, iż ludzie podlegli jéj kierunkowi, zbiegają się niespodziewanie z różnych punktów i stają lub obok siebie, lub przeciwko sobie, jak figury drewniane na szachownicy, aby jedni drugich bili lub zasłaniali? Wtenczas tylko zarzut jest słusznym, kiedy kto nie zna prawideł téj gry odwiecznej, która nami po drogach życia suwa; kiedy, jak żak nieumiejętny i pro-

bujący małpować dobrych graczków, mięsza i popycha na oslep te postaci, z których każda ma przepisana kolej i odległość, którądy się ruszać, i gdzie inną zasłonić lub obalić może.

Jak użytecznym był bohaterowi naszemu zacny pan Bazyli, czytelnicy łatwo się domyslą. Poznał on Maksyma, a przez niego dowiedział się, że ten młody człowiek, którego z razu był sfukał, jest ten sam Tadeuszek, którego do chrztu trzymał, który przyjściem swém na świat zjednał żonie jego brylantowe kolczyki, a jemu protekcyę znakomitęj i przewaźnej w kraju osoby. Trudno więc opisać zmartwienie dobrego w gruncie człowieka, że nie mógł w żaden sposób złagodzić winy swojego chrzestnego syna, i musiał go koniecznie władzy wojskowej oddać. Od pierwszego bowiem zapytania bohater nasz zdradził się i giestem i głosem, i wszyscy obecni poznali, że to nie chłop, choć w chłopskiej siermiędze, ale młodzieniec ukształcony, który się pod prostą suknią utaił.

Z Maksymem poszło mu lepiej. Przebiegły kozak od razu ułożył sobie plan ratowania miłego mu młodzieńca, którego przez cały czas pobytu ich za granicą nie odstępował, którego nieraz piersią swą zasłonił i do powrotu do kraju namówił. Maksym przybrał chłopską, głupowatą minę, udał się za bojara hrabiny, posłanego z jęj listami do Horochowa; zmyślił, że mu koń w powrocie zdechł, że idąc pieszo, młodego tego parobczaka spotkał, że razem sobie szli, że szukając krótszej drogi do Podbereziec przez las, tam zabłądzili, do chłopca owego zaszli w nocy, aby się posilić i odpocząć, i że przez niego zdradzeni, tam obaj pojmani zostali. Ponieważ nie znaleźli przy nim ani broni, ani żadnego podejrzanego pisma, i Tadeusz, widząc konieczność, zaparł się także znajomości tak wiernego przyjaciela swego, i o spotkaniu się z nim to samo mówił, mógł więc śmiało pan Smirnicki uwierzyć, że tak jest istotnie, i Maksyma wziąć pod swoją jurysdykcyę. W skutek takiego zeznania, uwolniono starego, głupowatego chłopca, który się kłaniał, w głowę skrobał i prosił panów, aby go długo nie zatrzymywali, bo jemu tam będzie w domu bieda od żony, że konia stracił, a od pana komisarza, że się tak długo zabawił. Wszystko to jednak zabrało dni kilka, i dopiero piątego dnia od przybycia swego do Dubna, odetchnął stary kozak, gdy się obaczył za rogatkami miasta, że świadectwem policyi za pazuchą, na szerokiej drodze i na dobrym koniu, którego mu pan Bazyli dostarczył. Nie oglądając się więc za siebie, puścił się silnym kłusem ku Krzemieńcowi, a ztamtąd na Teofilpol, Łatyczów i t. d. na Pobereże, gdzie spodziewał się znaleźć dla swego ulubieńca skuteczny ratunek i potężną protekcyę. Wszyscy przechodzący i przejeżdżający dziwili się, że prosty chłop w siermiędze i słomianym kapeluszu, tak się trzyma na koniu, a starzec z białemi wąsami tak sił natęża i fatygi nie żałuje!

Ale bo téż to był szczególny człowiek, z żelaznym zdrowiem, z duszą panującą nad ciałem zahartowanym i posłusznym, z sercem, które umiało być wiernym i kochać, i w którym tkwiła śmiertelna trwoga o los młodzieńca, zostawionego w więzieniu, i nad którym wisiał wyrok surowy i nikomu niewiadomy. A chociaż Maksym wiedział, że nad nim czuwa człowiek uczciwy, dobry, i mający tyle powodów do opiekania się nim; ale wiedział także, że prawo było wyraźne, a wina tak jawna i wcale nie tajona. Spieszył więc po skuteczniejszą pomoc, ile sił stało koniowi, i póty nie spoczął, póki nie stanął na Pobereżu i przed bramą pałacu, gdzie była główna kwatera hrabiego C\*\*, który już teraz innym korpusem, do I-szej armii należącym, komenderował. I dziesiątego dnia po wyjeździe jego z Dubna, bryczka pocztowa całym pędem koni kurjerskich dojeżdżała do tego miasta; przy zwoszczyku siedział Maksym, i słowem i ręką zachęcał woźnicę, aby pospieszał, a w bryczce był znajomy nam radca stanu Grodnicki, w podobnym jak dawniej płaszczu, z takąż zieloną czapeczką na głowie, tylko że z pod téj czapki wyglądały włosy już prawie białe, a na twarzy jego, równie jak i dawniej poważnej i szlachetnej, były liczne zmarszczki, któremi czas przejście swe oznaczył, i dwudziesto-letni peryod biegu swego wypisał.

Wpływ i wstawienie się takiej osoby, jak hrabia C\*\*, wzięło swój skutek. W Dubnie, przy niezmordowanych staraniach pana Grodnickiego, zapadł wyrok dość przychylny, ale który miał jeszcze pójść do Kijowa na zatwierdzenie. Wyrok ten brzmiał: że chociaż Tadeusz Bezimienny okazał się winnym należenia do wojsk powstańców i sam to zeznaje, że jednak wtedy, gdy wyszedł z kraju, miał dopiero 16 lat skończonych, a zatem nie był pełnoletnim, a teraz wróciwszy, okazuje żal za postępek, przez niedoświadczenie i zbyt młody wiek natchniony, przeto sąd wojenny zwalnia go od rygoru prawa kodeksem karnym przepisanego, i skazuje go na służenie szeregowym w korpusie kawalerji, pod komendą generała jazdy hrabiego C\*\* zostającym, z wolnością wybrania sobie pułku, i z awansem za wysługę lat i odznaczenie się w służbie.

Trudno było czegoś łaskawszego spodziewać się; szło tylko o to, aby decyzja ta w Kijowie zatwierdzoną została. Że hrabia C\*\* przewidywał, że Tadeusz do jego korpusu przeznaczonym zostanie, gdyż o to prosił, dał panu Grodnickiemu na wszelki przypadek piśmienną rekojmję, że obwinionego bierze na swoją odpowiedzialność, za niego ręczy, i gdziekolwiek zawezwanym zostanie, dostawi. Na mocy więc takiego poręczenia uwolniono Tadeusza; ale musiał podpisać zobowiązanie, że najprzód w przeciągu czterech tygodni w głównej kwarterze korpusu, do którego przeznaczonym został, stawi się, a ztamtąd,

poddając się rygorowi prawa, wszędzie pójdzie, gdzie go wyrok zapadły w Kijowie ostatecznie przeznaczy.

Tym tedy sposobem wyszedł bohater nasz z ciężkiego położenia. Obaczywszy się swobodnym, odetchnął całą piersią i podziękował Bogu, że mu tyle jeszcze zostawiono czasu, iż będzie mógł zajrzeć tam, gdzie go myśli i serce ciągnęło. Pan Smirnicki wziął go na parę dni do siebie; genialna Magdusia, już dziś stara i przygarbiona, płakała z radości, widząc tak pięknego młodzieńca, z którego łaski miała niegdyś brylantowe kolczyki, w których jęj było tak ładnie: Maksym ścisnął swego kochanego panicza, a pan Grodnicki, powinszowawszy mu serdecznie, że się tak skończyło, téjże samej godziny, gdy Tadeusz uwolnionym został i wprzód jeszcze, nim ośmielił się zapytać, dla czego hrabia C\*\* tak się nim interesuje, wyjechał do Kijowa, chcąc i tam staraniami swemi poprzec wyrok sądu wojennego Dubieńskiego i zatwierdzenie jego przyspieszyć. Doktor Grodnicki, wyjeżdżając, zostawił w rękach policmajstra pieniądze na tymczasowe oporządzenie młodzieńca, i na drogę jego do głównej kwatery korpusu. Bolało to szlachetnego i dumnego Tadeuszka, że obnażony ze wszelkich środków, musiał przyjąć wsparcie od przyszłego wodza swego; ale gdy się dowiedział, że zostawiona summa była znaczną, i na pańską nawet podróż wystarczającą, niezmiernie się zdziwił i zastanowił. Dochodząc więc powodów tak ważnej okoliczności, przypomniał sobie, że go w dzieciństwie swém u pana Klemensa widywał, że ten okazały generał, tyłoma gwiazdami okryty, gdy go czasem złapał w ogrodzie, bawił się z nim, głaskał go i całował. Wspomnienia te rozrzewniły go, a świetna postać hrabiego stanęła żywo przed imaginacją; kombinował on obecne jego interesowanie się z dawniejszemi pieszczotami, robił wnioski, do których i piękna twarz Rozalii, i doznane od niej oznaki przywiązania mieszały się, i dręczony niepewnością, pozwalając jednak unosić się słodkiemu przecuciu, które go do obojga porywało, kładł głowę skołataną na piersiach Maksyma, błagając go aby mu tę tajemnicę odkrył. Ale Maksym spuszczał oczy i odpowiadał zawsze: — Nie wiem, paniczu! nic nie wiem! — Tadeusz przywykł do tych odpowiedzi dobrego starca i nie nalegał. Zdawszy więc przyszłość swą Bogu, i spodziewając się, że gdy stanie przed tym człowiekiem, dla którego czuł coś więcej, niż wdzięczność, rozwiązanie zagadki pochodzenia swego w oczach jego wyczyta, zrzucił swoją siermięgę, przyodział się w suknie, za staraniem policmajstra prędko i dobrze wygotowane, i pożegnawszy czule swego ojca chrestnego i jego żonę, wsiadł na perekładną, i wraz z Maksymem wrócił do Kalinowa.



## XIII.

Od lat trzech nic hohater nasz nie wiedział, co się działo w tém miejscu, gdzie go ciągnęło tyle uczuć wdzięczności i przywiązania. Gdy więc obaczył z daleka mury Reformackiego klasztoru, wpatrywał się w nie z bijącym sercem, zmówił najprzód modlitwę za duszę dwóch najlepszych ludzi, swoich niegdyś opiekunów i dobroczyńców, a potem z gorącym westchnieniem prosił Boga, aby pod tym skromnym dachem, gdzie był jego skarb, a zatem i jego dusza, znalazł zdrowie, spokój, a dla siebie dawną uprzejmość, dawne przywiązanie. Zwoszczyk leciał szybko; Tadeusz popędzać kazał póty, póki wyraźnie nie spostrzegł budynku klasztornego, i tego okna w stancyi księdza gwardyana, z którego tak często patrzył na te same pola, do których teraz pośpieszał. Wtedy strach go jakiś ogarnął. A chociaż pragnął jak najprędzej obaczyć Sabinę, jaką jest teraz, w osiemnastym roku życia, w kwiecie wieku i w pełni rozwinętej duszy i wdzięków ciała, wyobraziło mu się jednak, że zamiast uśmiechu miłości, zamiast spojrzenia przenikającego duszę, zamiast słówka, któreby serce jego zalało rozkoszą, zastanie ją nadąsaną, niekontentą z jego przybycia, lodowatém wejrzeniem wnoszącą zimno do jego łona, i rzucającą do jego piersi słowa suche i szeleszczące, jak liście jesieni. Kazał więc jechać stępo, aby miał czas utulić serce strwożone i lękające się gorzkiego zawodu.

Tak więc noga za nogą zbliżył się, i na rogu klasztornego muru brzyccze swój stanąć kazał. Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w kochającym i wdzięcznym sercu młodzieńca, gdy się przed nim odkryła zagroda, do której tyle słodkich przywiewywało go wspomnień. Łzy stanęły w jego oczach, gdy zobaczył, że wszystko stało na dawném miejscu, równie cicho i spokojnie, jak niegdyś, — że dworek był równie biały, jak i pierwój, dziedziniec równie zielony, — że taki sam dym podnosił się z komina, — że te same czyste okna świeciły z daleka, i zdawały się patrzeć na wieś dawniejszym spokojem i umiarkowaniem. Uniesiony radością Tadeuszek, szczęśliwy jak dziecko wracające ze szkół, przebiegł dziedziniec i wpadł do pokoju. Tam zastał tylko Sabinę. Siedziała przy fortepianie, patrzyła na belki niskiego pułapu, a palce jój wydobywały z instrumentu tony jakiśs tęsknej piosenki. Sliczną była, jak kwiat w pełni rozwicia. Włosy jój były już gładko zaczesane, zwinięte w warkocz, za którym tkwiła róża. Szlafroczek miała lekki i jasny; wyrosła, wyrobiła się we wszystkich kształtach, i nic nie brakowało, tylko głosu, tylko uśmiechu, aby uzupełnić ideał, który hohater nasz tak długo w sercu swém nosił. Gdy drzwi skrzypnęły, młodzieniec oniemiały od wielkiego wzruszenia stanął przy nich, i ani ruszyć się nie śmiał, ani słowa wymówić nie

mógł. Sabinka przestała grać, nachyliła się przypatrując się nowemu gościowi, potem powstawszy, prędko zbliżyła się ku drzwiom. Wtedy Tadeusz, przychodząc do siebie, powitał ją okiem miłości i uśmiechem szczęścia, a Sabinka poznawszy go, podniosła ręce, krzyknęła: — O! to ty! Tadeuszkule! — i rzuciła się w jego objęcie.

Są chwile, zawierające w krótkim swém ognieniu tyle nieskończonej radości, tyle bólu bez granic, że gdyby był nasz kończył się na ziemi, i doczesnym tylko życiem się ograniczał, byłyby czémścis nie logiczném i mądrości Bożej przeciwném. Są więc one początkiem, są odłamem innego życia, są promieniem innego, nieziemskiego światła, są dowodem nieśmiertelności naszej daleko mocniejszym, niż wszystkie metafizyczne traktaty, które rzecz tę rozbierały. Takię chwilę doznał Tadeuszek, gdy pierwszy raz do serca swego przycisnął piękną swą kochankę. Ale chwila ta była krótka. Sabinka, oblana rumieńcem, wyrwawszy się z rąk jego, stanęła z daleka, zaczęła mu się na nowo przypatrywać, i ze łzami w oku, a uśmiechem przywiązania na ustach, zawołała:

— O! Tadeuszkule! o! braciszku drogi! jakżem ja szczęśliwa, że ciebie widzę! jakże ty ładnie wyrosłeś. Teraz doprawdy jesteś dziesięć razy piękniejszym, niż byłeś.

Tadeuszek widział to dobrze, że i ona jest stokroć piękniejszą niż była, ale jęj tego powiedzieć nie śmiał, tylko się wpatrywał i milcząc wielbił. Wtedy Sabinka klasnęła raptem w ręce i dodała:

— Ale patrzaj, jaka ze mnie egoistka! Sama się tobie przypatruję, sama nacieszyć się tobą nie mogę, a mama nic nie wie, a ojciec, a Józio ani się domyślają, że ty żyjesz, że tak piękny bohater pod ich dachem. O! bo ty nie wiesz, ileśmy tu łez za tobą wyleli, kochany, kochany Tadeuszkule!

— Więc oni wszyscy zdrowi, Sabinko? — zawołał Tadeusz.

— O! zdrowi, dzięki Bogu! zdrowi — odpowiedziała — ale zaraz stój tu, poważnie pokręcaj węża, a ja zwołam wszystkich, czy cię poznają. Mamo! mamole! Ojciec! Józiu! — zaczęła wołać, pobiegłszy na około domu przez pokój sypialny matki.

Tadeusz został. Smutek jakiś mignął przed nim i chłodnym oddechem czoła jego dotknął. On spodziewał się innego przyjęcia. Wyobrażał sobie, że Sabinka, która już dla niego siostrą być przestała, zapłoni się na jego widok, zalęknie się, przyjmie go tylko wstydliwém spuszczeniem oczu, tajemnym westchnieniem, lekkim ściśnieniem ręki; a ona tymczasem rzuciła mu się na szyję, pocałowała go, a ręką nazwała bratem, zaczęła go chwalić, i wąsikami jego i dobrą miną radować się. — Tak witają, tak kochają siostry, ale nie kochanki — pomyślał Tadeusz, i westchnął, i niekontent był z naiwnego uniesienia dziewczyny, której widać czas i dojrzałość nie zmieniły. Ale wkrótce ro-

manowce te jego pretensje znikły, zapomniał téj deceptacji, jaką sobie uroił, gdy się rzucił w objęcia pana Karpińskiego, gdy ścisnął kolana Anny, gdy tulił na swém łonie poczciwego Józefa, który także wyrósł, zmężniał, któremu także wysypały się czarne wąsiki, ale którego serce nie ostygło w przyjaźni i w prawdziwie braterskiem dla bohatera naszego przywiązaniu.

Powrót Tadeusza był wielkiem dla całej rodziny świętem. Domyślał się pan Karpiński, gdzie się siedemnastoletni chłopiec podział, nie spuszczał także z oka i swojego syna; ale od zbiegłego wraz z kilkoma kolegami młodzieńca żadnej nie odebrał wiadomości. Dopiero, gdy kłęski jedna za drugą powtarzać się zaczęły, ktoś doniósł panu Karpińskiemu, że był w téj bitwie, w której Tadeusz Bezimienny obok niego kulą przeszytym został. Było to oczywiście kłamstwo, i ten jegomość dopuścił się go dla téj jedynie przyczyny, aby pokazać, że i on tam znajdował się, gdzie kule latały. Był to jeden z tych naczynych świadków, których wszystkie kule szanowały i żaden pałasz dotknąć nie śmiał. Doniesienie to, jakkolwiek kłamliwe, ale że podobne do prawdy, napełniło długo żałobą dom cały. Wszakże czas ukoił pierwszą boleść, zostawiwszy tylko słodkie wspomnienie młodzieńca, o którym często rozmawiano tu, gdzie się wychował, gdzie każdy cenil i jego głowę i serce. Radość tedy była niewypowiedziana, gdy go nagle obaczyli, i dzień ten aż do późnej nocy przeszedł na opowiadaniu wzajemném. Maksym, jako wierny przyjaciel i towarzysz Tadeusza, siedział wraz ze wszystkiemi przy wspólnym stole, i patrząc na panicza swego i na tę piękną pannę, która go z taką uwagą słuchała, w której bystrém oku błysnęła czasem łza na obraz niebezpieczeństwa, co mu zagrażało, kiwnął głową, gładził siwe wąsy i myślał sobie: nie dziwota, że on tu tak rwał się.

Ojciec pana Karpińskiego już nie żył. W jego niegdyś pokoju mieszkał teraz Józio, i tam obu przyjaciół ulokowano. Odprowadzili ich rodzice i Sabinka, która wyręczając już matkę w zakręcie domowym, sama urządziła ten pokój, aby im było najdogodniej. Widział Tadeuszek, jak była gorliwą, jak zajęta, aby spał wygodnie, aby mu nic nie przeszkadzało, i serce jego rozrywało się od radości, notując każdy krok, który dla niego zrobiła, aby go jéj poświęceniem bez granic odplacić. Gdy wszyscy wyszli, a ona ostatnia wychodząc, obróciła się jeszcze i przesłała mu od ust dobranoc, Tadeusz rzucił się płacząc na piersi przyjaciela i wołał:

— O! dla czego ja jestem niczém, i nic nie mam, nawet nazwiska! Dla czego czas płynie dla mnie tak leniwo, a dla niéj tak prędko!

Poczciwy Józio, który od dawna widział, co się w sercu przyjaciela jego działo, który się domyślał, że ta miłość przedwczesna i bez nadziei, była jedną z pobudek, które bohatera naszego z kraju wy-

gnały, utulił go serdecznie na swém łonie, radził, aby się położył i wypoczął, ale na to, co Tadeuszek z takim żalem wymówił, nie odpowiedział. Już było prawie widno, gdy sen skleił powieki obudwóch.

Na drugi dzień rano, Maksym wzięwszy na bok Tadeusza, rzekł mu:

— Paniczu! tobie tu dobrze, to jacyś ludzie serdeczni, których nie darmo kochasz; może ty jeszcze tu zostaniesz. Bądź-że zdrow, paniczu! mnie pilno zobaczyć, czy moja Tatyana żywa, i czy mój Zacharko chodzi jeszcze po tym świecie.

— Zaczekaj, Maksymie! — odpowiedział Tadeusz — ja pojedę z tobą. Mnie tu długo siedzieć nie można. I ja chciałbym jeszcze twoją Tatyane uściskać i podziękować jęj i za to, że mi była matką, i że pozwoliła tobie, Maksymie, żeś mi tyle lat był przyjacielem i ojcem.

Kozak strzepnął z wąsa łzę, która nań spadła, otarł oczy i rzekł:

— Dobrze robisz, paniczu, że ztąd chcesz uciec. Żebyś był starszy, żebyś był bogatszy, żebyś już wiedział, kto twój ojciec i matka, tobym ci sam radził: zostań i kochaj, bo to kwiatek taki, jaki tylko w najpiękniejszym ogrodzie rośnie. Ale przed tobą służba, paniczu, koń i szabla. Tam za ciebie poręczono, że na czas staniesz, i stanąć trzeba. Uciekaj więc zawczasu, bo co dzień to będzie trudniej i ciężej.

Tadeusz westchnął głęboko i przyrzekł Maksymowi, że jutro już pojedą. Przed śniadaniem poszedł jeszcze do ogrodu, zbliżył się do tego miejsca, gdzie była jabłoń za murem Reformackim, i patrzył na rozrosłe drzewo, uginające się pod masą owoców. Wiele razy i dawniej tamtędy przechodził, nie mijał nigdy tego miejsca, aby nie stanął, nie popatrzył przez chwilę, aby mu się nie przypomniały dziecięce lata, i znajomość tu zawiązana i na resztę życia stanowcza. I teraz także stał tam i patrzył i marzył. Nagle poczuł, że lekka gałązka na jego twarz upadła i liśćmi go swemi okryła. Obrócił się ockniony z zamyslenia. Sabinka stała niedaleko i groziła zadumanemu młodzieńcowi.

— Nie możesz, Tadeuszk, tego miejsca zapomnieć — rzekła przystępując i biorąc go pod rękę — a już czas, braciszku. Człowiek dojrział, który ma wąsy i który miał szlify, nie powinien myśleć o swywoli chłopca, co laził po drzewach i małym dziewczętom jabłuszka rzucał.

— Żegnam to miejsce — odpowiedział młodzieniec — i może na zawsze; dla tegom się tak zamyslił.

— Dla czegoż na zawsze? — rzekła Sabinka — jak zostaniesz oficerem, weźmiesz urlop i przyjedziesz.

— Któż to wie, kiedy zostanę oficerem? — odpowiedział Ta-

deusz — skazani na służbę za karę, nieprędko awansują. A potem, na cożby mi się zdał ten pośpiech? Dla mnie już wszystko jedno, czy służyć we froncie, czy przed frontem. Znam jedno i drugie.

— Ale urlop? — rzekła, patrząc mu w oczy i odprowadzając ku domowi.

— Tak, urlop i rany — odpowiedział, podnosząc oczy w niebo. — Wolalbym rany na polu bitwy, te mnieją bolą.

— Czyż cię tu kto rani, Tadeuszu? — zapytała ze współczuciem. — Jeżeliś sobie co uroił i cierpisz, to nikt temu nie winien, tylko ty. Ojciec i mama kochają cię, jak syna, — Józio i ja, jak brata. Czegóż chcesz więcej?

Tadeuszek nic nie odpowiedział, tylko ścisnął ją mocno za rękę. Sabinka wyrwała rękę i krzyknęła. Przestraszony młodzieniec złożył dłonie i zaczął ją przeproszać, że jęł ból sprawił. Ona, zdejmując rękawiczkę, uśmiechnęła się i rzekła:

— Nie gniewam się, braciszku, choć mnie mocno zabolalo. I nie mogło nie zaboléć, zwłaszcza żeś to ty mię tak mocno ścisnął. Patrz, Tadeuszu!

To mówiąc, pokazała mu rękę, na której czwartym palcu, była złota obrączka. Biedny bohater nasz zbladł jak ściana, postął tak przez chwilę, potem, zdobywając się na siłę, któraby każdemu, najdojrzałszemu mężczyźnie honor przyniosła, wziął ję rękę i całując z uczuciem, rzekł:

— Daruj mi... siostró; nie wiedziałem o tém.

— Więc Józio nie mówił ci, żeś zaręczona? — zapytała go drżącym głosem i twarz ję pobladła także. — O! niedobry Józio! a prosiłam go o to.

— Nie dziw się, siostró — odpowiedział Tadeusz z westchnieniem — on mnie kocha!

— A ja, która ci to mówię, nie kocham cię? — rzekła wzruszona, zakryła rękami oczy i lzy przeciskały się przez palce i oblewały tę obrączkę, która dziwnym jakimś blaskiem do ocz młodzieńca rzucała się. Potem, wstrząsnawszy główką, obtarła oczy i dodała: — Dwa lata temu widziałam jednego pana, który się zaklinał, że cię przy boku jego kula ugodziła. Wierzysz temu, Tadeuszu?

— Mówili mi to twój ojciec i matka — odpowiedział Tadeusz.

— I dla tego wierzysz — rzekła prędko — a gdybym tylko ja mówiła, tobys mi ten pierścień ukazał i powiedziałys: kłamiesz!

— Powiedziałbym: bądź szczęśliwą, Sabinko! — rzekł Tadeusz coraz mocniej blednąc. — To samo i teraz mówię. Bądź szczęśliwą i zapomnij o biednym podrzutku, któremu świat nic nie mógł dać, bo mu rodzice jego nic, nic nie dali, nawet imienia, którem mógłby okryć

kochającą go kobietę. A teraz, bądź zdrowa, siostró droga! w duszy mojej oddawna, nawet wtedy, gdym był jeszcze małym chłopakiem, były insze, daleko słodsze brzmienia, któremi cię nazywałem. One napełniały moje serce zapalem do nauki, do pracy; słyszałem je w huku dział, w odgłosie bębnow, w brzmieniu trąby; czytałem je na ścianach więzienia, gdzie mi nakazywały cierpliwość i rezygnacyą; teraz wysyłam je naprzód, przed sobą tam, zkad one pochodzą, gdzie wszystko święte ma źródło i początek. W sercu mojem i na ustach zostaje dziś jedno tylko słowo, mniej powabne, mniej słodkie, ale może jeszcze czystsze i świętsze od tanitych. Tém słowem żegnam cię — wyciągając do niej ręce. zawołał głosem, w którym przebijała się rozpacz i ból nieskończony — siostró! siostró najmilsza! bądź zdrowa na zawsze!

Sabinka położyła głowę na jego piersiach i tak płakała. On pocałował kilka razy jój czoło, i tuląc do siebie, patrzył w niebo, jakby się modlił. Po kilku minutach rozłączyli się. Ona odstąpiła od niego i zakrywszy oczy chusteczką, poszła cicho ku rzece, a Tadeusz, w którego oczach ani jedna łza nie powstała, patrzył jeszcze za nią długo i poszedł ku domowi.

Po śniadaniu, na którym Tadeuszek nic w usta nie wziął, i do którego Sabinka nie przyszła, Józio opowiedział bohaterowi naszemu, że przed półrokiem zacny jeden obywatel obaczył siostrę jego na odpuscie, poznał się z rodzicami, i bywać zaczął; że to człowiek nie pierwszej już młodości, dość majątny, przystojny, bardzo uczciwy i miły. Po trzech miesiącach oświadczył się. Rodzice nie mogli nic mieć przeciwko niemu, chociaż matka, niewiadomo dla czego, długo zwlekała decyzję. Ale nareszcie odebrała jakiś list z Galicyi, którego nikomu pokazać nie chciała, nawet mężowi, płakała długo, i nareszcie, gdy ten pan nalegał, pozwoliła.

— I Sabinka kocha go? — zapytał Tadeusz.

— Okazuje mu wiele przyjaźni — odpowiedział Józio — bo inaczej być nie może. Jest-to człowiek tak ujmujący w obejściu, tak gruntownego charakteru, tak rozsądny i dobry, że go nie można nie kochać.

Tadeuszek nic na to nie odpowiedział, zdawał się spokojnym, nawet wesołym. Przy obiedzie i potem do późnej nocy rozmawiali w kółku rodzinném. Sam nawet wszczął rozmowę o panu marszałku; wypytywał się o niego Anny; cieszył się, że taki się człowiek znalazł, a chociaż Anna uważała, że oczy jego nagle zapadły, i jakby schudł przez te kilka godzin, tak dziwnie jakoś wyglądał, nie mogła jednak wpaść na myśl, że w sercu jego jest ból tak wielki, tak głęboki, który z takim mężstwem i wielkością duszy umiał ukryć i utaić. Gdy się już rozłączyć mieli, powiedział wszystkim dobranoc, dłużej

jednak niżby trzeba było, zwłaszcza, mając jutro obaczyć się, trzymał przy ustach rękę Anny, silniej przycisnął się do piersi pana Karpińskiego, Sabinę pożegnał niby tylko podaniem jej ręki; tymczasem cisnął mocno i konwulsyjnie jej palce, obejrzał się raz jeszcze na wszystkich, i wzięwszy Józia pod rękę, rzekł:

— No! do jutra, kochani państwo. Tamtę noc przegawędziliśmy całą. Tę trzeba przespać. A jak ja tu nieraz słodko spałem pod tym dachem!

Gdy się nazajutrz wszyscy obudzili, już Tadeusza nie było; a trzeciego dnia odebrała Anna list następujący:

„Najdroższa pani! Uciekłem z pod tego dachu, gdzieście mnie „przyjęli rodzicielskiem sercem, gdzie dzieci wasze wyciągnęły do „mnie braterskie dłonie; gdzie się nauczyłem szanować wszystko, co „uczciwe i święte, gdzie widział przykłady wszystkich cnót domo- „wych, i przekonałem się, że ludzie sami sobie winni, jeżeli ziemia nie „daje im tyle szczęścia, tyle pociechy, aby serce ich zaspokoili „się i przygotowało do kosztowania tych radości, jakie Bóg nieśmier- „telnemu duchowi naszemu przeznaczył. Nie mogłem zostać z wami, „bo na głowie mojej ciąży grzech moich rodziców, i nieprzeparta ko- „niecność unosi mnie na fale tego świata, na które mnie rzucili, nie- „pomysławszy o tém, czy się z nich własną siłą wydobędę, czy w głębi „ich zatoną. Idę więc, gdzie mnie ciągnie moje przeznaczenie, i da- „rujeicie, że wychodząc od was jak z portu, potrzebując tyle sił do tój „długiej i niepewnej wędrówki, oszczędziłem je, i wyszedłem bez po- „żegnania, które byłoby połowę ich wyczerpnęło. Temi więc „kilkoma słowami was żegnam, i żegnam z daleka dlatego, że to jest po- „żegnanie długie, na całe ziemskie życie, na zawsze; że już ani wa- „szęj cichęj zagrody, ni waszych pocziwych i kochających twarzy „nie obaczę. Serce twoje, najdroższa pani, serce kobiety i matki od- „gadnie, zkaż we mnie to postanowienie. Widziałem to bowiem „w twoich oczach pełnych miłości, czytałem w twoim drżącym głosie, „żeś mi może inne w donau swym, w kole twój rodziny naznaczała „miejsce. Miałem prawo o nie się upomnieć? Mógłbym bez za- „drżenia i wyrzutu przywiewać do nędzy i tułactwa mego żywota „dni pełne nadziei, na które powinny koniecznie spłynąć pogoda i spo- „kój z całej waszjej przeszłości, z waszego życia tak pełnego najwyż- „szęj zasługi? Inaczej, na cóżby się przydały cnoty rodziców? Czém- „że byłby ich grzech i zapomnienie najświętszjej powinności? Twoja „córka powinna być szczęśliwą, a na mojem czole jest, i być powinno, „piętno mego pochodzenia, którem z nikim dzielić się nie mogę „i nie chcę. Niech więc spełnia się wszystko tak, jak odwieczne pra- „wo wymaga. W krótkim mojem życiu dosyć już doznałem radości, „która mi się nawet nie należała: poznałem was, kochałem was, wysście

„mnie kochali; nie zapomniecie mnie i pobłogosławicie pewnie tej drodze, która jeszcze przedemną, a która prowadzi tylko naprzód, a ku wam napowrót zawrócić się już nie może i niepowinna. Bądź więc zdrowa na zawsze, najdroższa pani! Uściskaj ode mnie rękę twego męża, ucałuj mego pocziwego Józia, a tę najmiłszą istotę, co była duszą mego życia, oddaj temu zacnemu człowiekowi, którego wam niebo, w nagrodę waszych cnót i waszj miłości dla biednego sieroty, zesłało. Nic mu nie mam do zazdroszczenia, bo ona zachowa dla mnie serce siostry, a prawa nazywania cię matką nic i nikt odebrać mi nie może. *Tadeusz.*“

Jeszcze Anna nie skończyła tego listu, gdy weszła do pokoju Sabinka, i widząc, że matka czyta i płacze, usiadła z boku, patrzyła na nią suchém okiem i nieprzerywała czytania. Od czasu zniknięcia Tadeusza była ona milczącą, smutną, zawsze samotną, i widać było wyraźne wysilenie, gdy co ojcu i matce odpowiedzieć musiała. Zaczni ci ludzie rozmawiali z sobą często o tym stanie córki, ale postanowili przez czas niejaki zostawić ją spokojną, oczekując z perswazyą i pociechą, aby się pierwsze bolesne wrażenie zatarło. Domyślili się oni wszystkiego, i choć wiedzieli dobrze, że Sabinka nie jest romansowa, że nie wyegzaltuje sobie głowy do tego stopnia, aby rzeczy nadzwyczajnej i niepodobnej zapragnąć; że w tym jój stanie więcej jest przywiązania siostry i litości nad położeniem biednego młodzieńca, niż takiej bezwarunkowj miłości, któraby aż do rozpacy doprowadzić mogła, zawsze jednak przejęci byli trwogą, i z niepokojem na córkę swą spoglądali. Gdy Anna skończyła list, i załamawszy ręce usiadła mileżąc, przystąpiła do niej Sabinka i rzekła:

— Mamo! to zapewne list od Tadeuszka, bo dowiedziałam się, że posłaniec z Białobrzyniec, i ty płaczesz czytając.

— Zgadłaś moje dziecko — odpowiedziała Anna — biedny! biedny chłopiec!

— Pozwól mi to, mamo, przeczytać — mówiła dalej Sabinka — a tymczasem przejrzyj to, com tu do pana Kazimierza napisała.

— Do pana Kazimierza? — zapytała Anna, patrząc na nią z niepokojem.

— Do niego, droga mamo — odpowiedziała spokojnie, ale z postanowieniem. — Odsęłam mu jego pierścionek i proszę go, aby przestał o mnie myśleć. Przejrzyj to mamo, czy dobrze napisano, i czy nie ma czego, coby serce jego zranić i obrazić mogło. Bo tegobym przedewszystkiém nie chciała. Radabym owszem, aby został moim przyjacielem, jak ja zachowam dla niego na zawsze przyjaźń i szacunek.

— Wiész, moje dziecko — rzekła Anna, biorąc list z rąk córki — zem nigdy gwałtu twojój woli czynić nie myślała. Uważając nawet,



żeś przyjmowała obojętnie, zwłaszcza z początku, zabiegi pana Kazimierza, długom się ociągała, nim ostatecznie pozwoliłam ci dać słowo. Teraz także sprzeciwić się życzeniu twemu nie mogę, wchodząc w powody, jakie cię skłaniają. Jednak przeczytaj wprzód, co Tadeuszek pisze, a potem postąpisz, jak ci się zdawać będzie.

Sabinka wzięła list z rąk matki i zaczęła czytać. Ręka jój drżała i wzruszenie było coraz widoczniejsze. Przy końcu ciche łzy spłynęły po jój twarzy. Gdy skończyła, położywszy list na stole, rzekła:

— Proszę cię, droga mamó, odeslij mój list panu Kazimierzowi.

— Dobrze, moje dziecię, odesłę — rzekła Anna cichszym głosem. Sabinka uściaskała jój rękę, nastawiła jój swoje czoło do pocałowania, i spokojnie, zwolna wyszła. Anna naturalnie nie posłała Kazimierzowi listu córki, ale prosiła go, aby przyjechał. Gdy przybył, opowiedziała mu wszystko, dała do przeczytania list Tadeusza i list Sabinki, i nie tając przed nim, ani swoich uczuć dla sieroty, którego prawie wychowali, ani zamiarów, jakie miała, jesliby mu los do wyrobienia sobie jakiegokolwiek sposobu do życia dopomógł, prosiła go, ażeby został na zawsze ich przyjacielem, aby nie przestał ich czasem odwiedzać, aby był pewnym, że uczucia jój córki dla Tadeusza nie są wyłączną i wygórowaną namiętnością, ale więcej przywiązaniem siostry, niż kochanki; że zatem czas może to wszystko uregulować, i zrządzenie Opatrzności wskaże, któremu z nich dwóch dziecię jój ma się dostać.

Pan Kazimierz zasmucił się serdecznie tym wypadkiem, którego się bynajmniej nie spodziewał. Ale, że to był człowiek pełen rozumu i szlachetności, pojął i ocenił skrupuły matki i córki, i nie tracąc zupełnie nadziei, postanowił być cierpliwym, i niczem nie okazać, że pierwszeństwo, jakie przed nim młodemu człowiekowi dawać zdawali się, wpłynęłoby najmniej na zmianę jego szacunku dla całego domu, i jego uczuć dla panny, która była już jego narzeczoną. Pan Kazimierz miał już trzydzieści siedm lat; długo był obojętnym na wdzięki kobiet i słodycze stanu małżeńskiego. Sabinkę pokochał on całym sercem, prawie nowém i przez czcze miłości niezużytem. Wszystko więc to, co się stało, podniosło jeszcze w jego oczach wartość rodziców i cenę tego serca, któremu życie swe poświęcił.

Na takim stopniu zostały rzeczy w Kalinowie. Sabinka zdawała się spokojną, czasem nawet wesołą; znacznie jednak spoważniała, zaczęła się brać z większą gorliwością do czytania, do muzyki, do rysunku, mówiąc wszystkim, którzy się dziwili jój pilności, że kobieta, która jest kandydatką na starą pannę, powinna starać się o przysporzenie sobie rozmaitych środków rozrywki, aby się nie stała nieznosną sobie i drugim. Pan Kazimierz bywał czasem w Ka-

linowie, dostarczał książek Sabine, okazywał jej najszczerzą przyjaźń i współczucie, mówił z nią o rozmaitych rzeczach, nawet o Tadeuszk, ale nigdy o sobie.

Tymczasem dwaj młodzi jeźdźcy dążyli traktem ku Pobereżowi. Jeden okryty lekkim płaszczem, w czapeczce, z pod której wychodziły jasne włosy, na dzielnym gniadym koniu, jechał cokolwiek naprzód, i zdawał się w głębokich pogrążony myślach; drugi, równie młody, twarzy rumianej i wesołej, w ubraniu kozackim i w czapce, z której zielony zwieszał się worek, siedział dziarsko na dobrym, wilezaty mstepaku, i ciekawie w około się oglądał. Czytelnicy domyślają się zapewne, że to był nasz bohater, dążący do miejsca swego przeznaczenia, i jego towarzysz, Zacharko. Umówiwszy się jeszcze z wieczora z Maksymem, po rozmowie z Sabinką i dowiedzeniu się od Józia o okolicznościach jej zaręczenia, pożegnawszy łąką wdzięczności cichy pana Karpińskiego dworek, i cichsze jeszcze groby w podziemiach klasztoru, w których spoczywały prochy jego dobroczyńców, wyjechał on w nocy z Kalinowa, i puścił się do Białobrzyniec. Ztamtąd napisał ów list, któryśmy czytali. Do zamku nie poszedł, przesiedział tylko parę dni u Tatyany, póki mu Maksym nie wystarał się konia i dobrego siedła; gdyż mając jeszcze dosyć czasu do stawienia się w głównej kwaterze, pragnął resztę drogi odbyć konno, aby mógł swobodnie marzyć i napatrzeć się na tę ziemię, którą na zawsze opuszczał. Gdy już wszystko było do podróży gotowe, i koń osiodlany stał przede drzwiami, wtedy wszedł do izby Maksym, a za nim Zacharko, pierwszy raz po kozacku ubrany, i patrzący na bohatera naszego tём wejrzeniem śmiałym i wiernym, które zdawało się tylko oczekiwać rozkazu.

— Paniczu — rzekł Maksym — jam już za stary, żony samej zostawić nie mogę, ale i ciebie samego nie puszcę. Pan Bóg, który mi ciebie dał, ciężkoby mnie ukarał, gdyby ci się co złego stało, a nie było nikogo przy tobie, coby ciebie kochał i w jakiej biedzie rękę ci podał. Weź z sobą mego chłopca, paniczu! On mój syn, i jeśli będzie trzeba, zasłoni cię swojemi piersiami.

Tadeuszek stał długo oniemiały, tylko łzy eicze spłynęły po jego twarzy. Cenił on wysoko ten dar serc prostych, bezwarunkowo mu oddanych, i chciał perswadować; ale widząc w oczach Maksyma mocne postanowienie, w oczach jego żony miłość i rezygnację, a w twarzy chłopca ochotę i gotowość, rzucił się najprzód w objęcia Tatyary, i utuliwszy się z wdzięcznością przy tём sercu, które pewnie najwięcej bolało, przyjął ofiarę dobrych ludzi, aby ich szlachetnych uczuć niewczesną ceremonią nie obrazić. Postanowił jednak w duszy nie długo trzymać przy sobie Zacharka, i przy pierwszej zrzeczności wrócić go rodzicom. Stary kozak i jego żona pożegnali

obu młodzieńców równie serdeczném uściśnieniem, stojąc przed progiem chaty, dali im krzyż na drogę, gdy obaj już byli na koniu, i długo jeszcze patrzyli na kurzawę, co się za nimi wznosiła, gdy ci już wyjechali za wrota i znikli im z oczu.

Jednego poranku, o godzinie siódmej, przybyli podróżni nasi do tego samego mostku, gdzie Tadeuszek nazwisko swoje otrzymał, gdzie mu Bóg dał posilek i przyjaciela, który dalszą drogę jego sprostował. Nic się tam nie zmieniło: taż drożyna prowadziła do wsi, trawa była równie jak i pierwiej zielona, woda równie szybko biegła do Mleczkowiec; nawet ta sama kłoda wierzbowa, na której siedział z bratem Leonem, i gdzie mu dzieje życia swego opowiadał, leżała jeszcze nad brzegiem. Zjechał więc na dół, i oddawszy konia w ręce Zacharka, usiadł na tém samém miejscu, gdzie dziewięć lat temu siedział, nie wiedząc, co dalej począć, i dokąd błędne kroki swe skierować. Tu wszystko stanęło mu w myśli, co w krótkim, ale tak pełném życiu swém doznał. Każda twarz, którą kochał, odrysowała się wyraźnie; każde słowo, które niegdyś do serca jego trafiło, powtórzyło się, zabrzmiało słodkiem echem dni upłynionych, całą obudziło przeszłość i każdój chwili, znikłej już bez powrotu, niewysłowiony nadało powab. Po długim rozmyśleniu opuszczając miejsce to, bohater nasz postanowił postawić tam na pamiątkę krzyż, aby upadający na duchu podróżny ukrzepił się jego widokiem, aby opuszczony od całego świata sierota, znalazł pod nim wytchnienie i nadzieję. Mając zamiar oddalić się na zawsze z tej ziemi, gdzie się wychował, chciał jeszcze jednego dopełnić obowiązku, który mu od dawna ciążył na sercu. Wiedział Tadeuszek, że Widalsia umarła, ale jakże mógł przenieść na siebie, aby nie odwiedził tego miejsca, gdzie był tak szczęśliwem dzieckiem, gdzie znalazł tak wylane dla siebie serce; aby się nie pomodlił na grobie drogiej swej opiekunki, i nie położył na nim kamienia, którego kilka słów świadczyłyby o jego niewygasłej dla niej wdzięczności. Niewiele mu już zostawało czasu do tego terminu, na który go dane słowo powoływało; udał się więc prosto do wsi Z\*, aby uściskać starego przyjaciela Owsikowskiego i obowiązać go, aby i krzyż nad rzeczką postawić kazał i kamień na grobie Widalskiej położył. On jeden, jeżeli żyje, spełniłby wiernie te święte dla niego obietnice. Gdy się w pierwszej karczynie na trakcie dobrze rozpytał, pokazało się, że miał jeszcze sześć mil drogi. Ale koń jego był dzielny, towarzysz ochoczy; ruszał więc Tadeusz szybko, aby stanąć przed nocą, i dziś jeszcze miejsce to, tak pełne dla niego wspomnień, obaczyć. A im był bliżej, tém mocniej serce jego biło, tém bardziej usuwały się z pamięci wszystkie późniejsze życia jego okoliczności, a wszystkie władze jego duszy skupiały się na powtórzenie chwil dzieciństwa, na wyobrażenie Wi-

dalskiej w jej czystych pokoikach, całego dworu pana Klemensa, i tej stajni, gdzie władał Owsikowski, — ogrodu, wszystkich jego ścieżek i tego kiosku, gdzie się tulił do płaczącej Rozalii, której łzy czuł i teraz na swojej twarzy, której oddech ogrzewał jeszcze jego serce, i do której pięknego oblicza myśli jego ustawicznie wracały.

Już było po dziewiątej wieczorem, gdy piękny młodzian przebiegł szybkim kłusem całą wieś, gdzie każdy zakąt był mu tak dobrze znajomy, i gdzie tyle wspomnień wlewało się strumieniem do jego serca. Minąwszy dziedziniec folwarczny, wpadł on na podwórze stajenne, i mimo tej pamiętnej mu rajszuli, prosto do czystego domku koniuszego dążył. Owsikowski siedział na ławeczce przeddrzwiami i palił spokojnie fajkę. Gdy obaczył jadącego ku sobie młodego człowieka, z kozakiem z tyłu, równie młodym i dziarskim, poprawił czerwoną krymkę, którą miał na głowie, pogładził siwe już zupełnie wąsy, i rzekł sam do siebie:

— Co to u licha! żwawe chłopaki, ale i konie dobre. Kłus wyśmienity! — Gdy Tadeuszek przed samym progiem konia osadził, a Zacharko już był na ziemi i za cugle uchwycił wprzód jeszcze, nim pan jego zsiąść zdążył, Owsikowski powstał, i dodał z uśmiechem ukontentowania: — Dalibóg! jaki pan, taki sługa; wart Pac pałaca, a pałac Paca!

Tymczasem młodzieniec zbliżył się, wziął za rękę starego przyjaciela swego, i podniósłszy nań błękitne swe, dziś znacznie zapadłe, ale zawsze wymowne oczy, patrzył w tę twarz kościstą, trochę pomarszczoną, ale poczciwą i szlachetną.

— Co to? co to? — mówił Owsikowski przypatrując się. — Kto pan jesteś? Dalibóg, że sam nie wiem, dla czego mi się ręce trzęsą. O! o! poczekaj — dodał, i przetrął oczy, a potem obaczywszy uśmiech na ustach młodzieńca, krzyknął: — A! to ty, mój złoty chłopcze.... Tadeuszkule mój drogi! — i wyciągnął do niego ręce; a gdy Tadeusz, przenikniony najżywszym uczuciem, schylił się do jego kolan, stary usiadł na ławeczce, objął głowę jego obiema rękami i położywszy na niej twarz swoją, głośno i rzewnie płakał.

Gdy pierwsze wzruszenie przeszło, i Owsikowski uszczęśliwiony dowiedział się, że Tadeuszek na parę dni do niego tylko przybył, zajął się jego ulokowaniem, chodził jak zagorzały, kręcił się z kąta w kąt, jedno brał, drugie kładł, tak był kontent, tak pragnął, aby łóżko jego było wygodne, aby mu na niczem nie zbywało; aby takiego gościa, którego już tyloma łzami oplakał, uczcić w domu swym, jak jakiego królewicza. Wśród tego zakrętu, w czém mu żona i dwie córki, już słuszne i przystojne panny, całym sercem pomagały, nie zapomniał Owsikowski i o koniach Tadeuszka; obejrzał je zblizka, zdecydował, jakiej który rasy, miał nawet czas zajrzeć w zęby obydwom

i dowiedzieć się, czy którego nie trzeba przekuć lub sprawić. Samo przez się rozumie się, że podwójną wyznaczył im porcę. O Zacharku pamiętał także, gdyż zręczny i przytomny kozak od razu nadzwyczajnie mu się podobał.

Już od pani Owsikowskiej dowiedział się Tadeuszek o wszystkich szczegółach śmierci Widalskiej. We dwa lata po zniknięciu swojego chłopczyka, w żalu nieutulonym, nie dając się niczem pocieszyć, nie przyjmując żadnej perswazyi, umarła biedna Widalsia w tym samym pokoiku, gdzie lat dziesięć była tak szczęśliwą, tak zajętą, tak nieraz zakłopotaną. Pani kazała jej sprawić przystojny pogrzeb i pochować na cmentarzu kościołka, który jest od nich o milę w małym miasteczku, gdzie ich parafia. Dowiedział się także, że pan Klemens przed półtora rokiem umarł we Włoszech, a rok temu, jak pani wróciła, i dotąd nie zdejmuje żałoby, i siedzi sama jedna, smutna, nigdzie nie bywa i nikogo nie przyjmuje; że panicza nie ma, został za granicą, i tam mu dużo dosyłają pieniędzy, ale, że co chwila spodziewają się go. — I Pan Bóg wie, co to u nas będzie, jak powróci — dodała pani Owsikowska z ciężkiem westchnieniem — bo to nowy pan, to zaraz i nowe sitko powiesi na kołku. A tém bardziej taki, co to, Panie odpuść, niepodobny ani do ojca, ani do matki, takie to złe, zawzięte i harde.

Wśród tego opowiadania, które często było przerywane, to szukaniem kluczków, to dyspozycją jeszcze jakiegoś dodatku do wieczerzy, to szeptem której córki, zasięgającej rady matki względem poszewek lub prześcieradła do łóżka gościa, to nareszcie gniewem pana Owsikowskiego, że się guzdrzą z kolacją, jak gdyby jakie marcypany lub francuzkie ciasta robili, miał czas nasz bohater i uronić łzę pobożną za duszę téj, co z żalu za nim umarła, i westchnąć z przebaczeniem krzywdy za duszę człowieka, w którego donu przeszły mu najszczęśliwsze chwile jego życia. Te uczucia wdzięczności tak go usposobiły, że zapragnął obaczyć Rozalię i upaść jej do nóg, i byłby nawet rękę podał Hippolitowi, zapominając mu wszystkich cierpień, jakich stał się powodem.

Już była jedenasta, gdy się wieczerza skończyła. Pan Owsikowski zjadł prawda swoje jeszcze przed ósmą; ale, że cygan daje się wieszać dla kompanii, a Polak je dla kompanii tyle razy, ile razy się kompania zdarza; że przytém pan Owsikowski doznaniem gwałtownym wzruszeniem, hałasowaniem i krętaniem około przyjęcia swojego gościa, wyglodził się na nowo, usiadł więc do stołu, i całego kurczaka z sałatą, i talerz kopiasty pierożków z sérem i z doskonałą śmietaną sprzątnął, jeszcze czystiej niż Tadeuszek, który kłusował od rana i prawie cały dzień nic nie jadł.

— No, idźcież wy teraz spać — rzekł Owsikowski do żony i do córek — a my z moim chłopcem jeszcze pogadamy.

Oddawszy więc dobranoc kobietom, poszli obaj do pokoiku, który w mgnieniu oka całém ochędostwem ubogich, ale serdecznie przyjmujących ludzi, był ozdobiony i przybrany. Tam gdy usiedli, rzekł stary, glądząc wąsy i przypatrując się jeszcze pięknemu młodzieńcowi:

— Mój kochany Tadeuszkule! co się tyczy nas, to mniej więcej wiesz; bo uważałem, że moja żona nie żałowała języka, i co wiedzieć mogła, powiedziała ci pewnie wszystko. Czego ci nie domówiła, to ja przy okazji dopowiem. Ale ty, ty, mój drogi chłopcze, powiedz mi wszystko o sobie; gdzieś się podział od tego szelmy Radłowskiego? kto ci dopomógł dostać się do Krzemieńca, bo to tylko wiem, żeś tam się uczył? dokąd teraz jedziesz, i dla czego tak schudłeś, i twoje oczy, o których Widalska nagadać się nie mogła, tak jakos jakby zapadły i od wielkiego smutku zagłębiły się? Pewnie rodzony ojciec nie kochałby cię więcej, jak ja cię kocham. Mów więc wszystko od szczerego serca.

Tadeusz ścisnął rękę poczciwego starca i zaczął opowiadanie swoich przygód od tej chwili, kiedy rządcą wziął go za rękę, na folwark zaprowadził i do Mleczkowiec odesłał. W wielu miejscach tego opowiadania Owsikowski przerywał to westchnieniem i podniesieniem ócz do nieba, jakby dla pokazania, ile wierzy w Opatrzność, czuwającą nad każdą ludzką istotą; to uśmiechem, którym objawiał, że wie niektóre okoliczności, których niewiadomość trapiła młodzieńca; to wyrazem oburzenia i gniewu, gdy przyszło do sceny u księżny W\*\*\*; to nareszcie oznaką czułości i wdzięczności dla tak dobrych i poświęconych ludzi, jak Maksym i jego rodzina. Gdy Tadeuszek opowiedział mu, dokąd jedzie, i jakie jego przeznaczenie, zafrasował się stary niezmiernie, zaczął się przechadzać, naciągając siwe swe wąsy, i nareszcie rzekł:

— Ha! cóż robić! Mogło być daleko gorzej! Służba cię nie zastraszy, a kiedy będziesz miał opiekę generała, to ci powinno być dobrze. Zkąd jednak jemu się wzięło, że się za tobą wstawił, i dał ci pieniędzy na drogę? Coś to w tém jest, to nie bez kozery. Bo choć to dobry człowiek, a już jaki dobry, to ci powiadam, że takich mało, żeby tak który jeździł, tak się znał na koniach, i tak lubił poczciwe stworzenia; ale nie idzie za tém, żeby zupełnie obcego chłopca w biedzie ratować, a jeszcze z tak daleka. — A! poczekaj! jestem w domu! — dodał Owsikowski, klasnąwszy w palce — już to nie inna musi być przyczyna, jak ta; rychtyk ta, że ciebie tu widział, kiedyś był dzieckiem, i że mu nasza pani musiała coś o tobie szepnąć. Bo on był szczególnym przyjacielem naszych państwa, a szczególniej pani,

którą szanował, tak jak i wszyscy ją szanują, którzy ją znają, bo to święta kobieta. Trzeba, Tadeuszk, żebyś jutro do niej poszedł; ona ciebie bardzo żałowała, kiedyś przepadł tak, żem cię znaleźć nie mógł; a najeździłem się z jej rozkazu dosyć.

— Z jej rozkazu? — zapytał Tadeuszek ze ściśnioném sercem. Tu Owsikowski opowiedział mu całą swą wyprawę, nie zapomniawszy dodać, że pieniądze, które mu dała, użyte zostały na edukacyę jego syna, że mu pani co roku w tém dopomagała, i teraz wysłała go zupełnie swoim kosztem do Kijowa, do otwierającego się właśnie uniwersytetu.

— I wszystko to — dodał stary z rozrzewnieniem, i biorąc za rękę bohatera naszego — nie za moje zasługi; bo jaka tam u licha moja zasługa może być w jej oczach, kiedy nawet nie wiem, ile koni mamy w stajni, ale za to jedynie, żem ciebie kochał.

Młody człowiek zamyślił się, potarł ręką szerokie swe czoło, potem zapytał:

— Panie Cypryanie! gdym wspomniał o tém, żem odbierał co kwartał w Krzemieńcu sto rubli z Odessy, uśmiechnęłaś się. Musisz wiedzieć, od kogo pochodził ten zasiłek.

— Alboż się nie domyślasz? — odpowiedział stary — od niej, od niej, mój kochany Tadeuszk! Przyjechał tu raz Maksym z listami od hrabiny, roku... ot, do djabła zapomniałem!

— Czy nie 1829? — poddał mu Tadeuszek.

— Ryehtyk 29go, tak jakoś po żniwach — mówił dalej Owsikowski. — Wieczorem pani zawołała mnie, i z taką twarzą uszczęśliwioną, jak gdyby jej kto sto tysięcy darował... tylko tfu! co dla niej sto tysięcy! Dość, że jak gdyby nie wiem co się stało, mówi mi, że się dowiedziała, żeś ty się znalazł, wyrósł, i uczysz się w Krzemieńcu. Ja naturalnie krzyknąłem z radości, nie zważając, że to przy pani. Ona kazała mi być cicho, i nikomu, co się zowie, ani słowa o tém nie pisać. Potem dała mi list do Odessy, w którym było sto rubli, kazała odwieźć na pocztę do Hajsyna, i ztamtąd wyprawić. Dla tego — mówiła mi — proszę cię, Owsikosiu, żebyś to sam załatwił i aż przez Odessę posyłam te pieniądze Tadeuszkowi, żeby się pan nie dowiedział, który na niego ciągle zagniewany, i mógłby mi zakazać wspierać tego biednego sierotę, a i na ciebieby się rozgniewał, że mi w tém pomagasz. — Ja naturalnie zrobiłem wszystko pod największym sekretem, i potem przez pięć kwartałów wozilem jeszcze dla ciebie po sto rubli, aż póki się wszystko nie urwało! — dodał stary, machnąwszy ręką i z ciężkiem westchnieniem.

Tadeusz najrozmaitszemi uczuciami miotany, przechadzał się po pokoju, tarł ręką czoło, wzdychał, zatrzymywał się pograżając się w myślach, to znowu zaczynał prędko chodzić, mrużąc: — Nie, nie,

to być nie może! — Stary patrzył na niego długo w milczeniu; narreszczie, przystępując do zdziwionego i jakby wychodzącego ze snu młodzieńca, zapytał:

— Co tobie, Tadeuszu?

— Nic, nic, panie Cypryanie — odpowiedział młodzieniec, biorąc jego rękę — dziękuję ci za te wszystkie wiadomości, których mi udzieliłeś. Niemaló już trudziłeś się dla mnie, a ja chciałem cię jeszcze o jedną łaskę prosić.

— Czyż wątpisz, że zrobię wszystko, co tylko zechcesz?

— O bynajmniej — odpowiedział młodzieniec. — I nie jest to rzecz tak bardzo trudna. Trochę fadygi, kilka mil drogi, nie więcej. Zrobiłem dwie obietnice, które dla serca mego są święte, a sam nie mam czasu przyprowadzić ich do skutku. Od razu pomyślałem, że nie kto inny je dokona, jak ty panie Cypryanie, którego serce znam i od którego tyle dowodów przywiązania odebrałem.

— Przrzekam ci najsolennie — odpowiedział stary, patrząc w oczy młodzieńcowi, którego ton mowy i postać cała były dziwnie uroczyście i przenikające. — Tylko nie mów takim tonem, bo już cię nie żegnamy się na wieki. Niechże Bóg uchwala, żebym cię już nie miał obaczyć! Bo wprowadzić jam już stary, ale mam nadzieję, że sobie wyproszę jeszcze tyle lat, żebym cię widział z oficerską szlifą, i z wolnością wyjścia ze służby i wrócenia do nas.

Młody człowiek uśmiechnął się melancholicznie na te słowa, kiwnął nieznacznie ręką, jak gdyby chciał powiedzieć, że to niepodobna, i rzekł:

— W kilku słowach powiem ci, o co cię proszę. Najprzód chciałbym, abys na tej dolinie, gdzie siedział i rozmawiał z bratem Leonem, postawił krzyż na pamiątkę; a powtóre, abys na grobie mojej drogiej Widalsi kazał położyć kamień, którego pewno nie ma. Pieniędzy na to wszystko i napisy, jakie mają być na kamieniu i na krzyżu, zostawię ci. Także proszę cię, abys jutro o godzinie szóstej rano kazał zaprzędz do wózka i pojechał ze mną do miasteczka. Chciałbym mszy wysłuchać i pomodlić się tam, gdzie spoczywa to serce, co mnie tak kochało i dla mnie pękło.

To powiedziawszy usiadł, zakrył oczy i rzewnie zapłakał. Owsikowski patrzył na niego rozrzewniony, kiwając głową, ale milczeniem uszanował te łzy pobożne, które z ócz jego płynęły. Po niejakiem czasie Tadeusz powstał, uściskał starego przyjaciela swego, prosząc, aby szedł już spać. Poszedł więc Owsikowski, ścisnąwszy rękę młodzieńca, ale smutny i oglądając się, jakby coś złego przeczuwał, a Tadeusz rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i tak leżał pograżony w myślach, aż póki dzień nie błysnął w oknie i nie wszedł koniuszy, dając znać, że bryczka już gotowa. W godzinę potem stanęli przed



kościółkiem parafii. Był to budynek drewniany, już cokolwiek pochylony i mały. Zdołyły go tylko wielkie lipy, wśród których się wznosił, i które ocieniały krzyże i mogiły na otaczającym go cmentarzu. Gdy dojeżdżali, sygnaturka ogłaszała Prymaryę, na którą zbierali się pobożni w małej bardzo liczbie. Tadeusz wszedł prosto do kościołka, ukląkł w tém samym miejscu, gdzie tyle razy obok Widalsi klęczał, i gorąco się modlił. Po mszy prosił Owsikowskiego, aby go do mogiły kochanej opiekunki jego zaprowadził, dodając, że mu właśnie wśród mszy przyszedł napis bardzo krótki i prosty, ale malujący jego stan i uczucia. Owsikowski uśmiechnął się i szedł przodem, wśród grobów zarosłych trawą i chwastem, wśród pochylonych krzyżów drewnianych, i sterczących gdzie niegdzie skromnych pomników kamiennych. Nareszcie przyszli do jednego miejsca, gdzie się kilka drzew gruppowało, formując jakby wysokie sklepienie przez wiążące się w górze gałęzie. Tam stał ładny marmurowy grobowiec, prosty co do form, ale mający na swych bokach napisy, które zwróciły uwagę Tadeuszka, i jeszcze bardziej otwały mu oczy. Był to grób Widalskiej. Świadczyły to napisy. Jeden oznaczał jój imię i nazwisko, datę urodzenia i śmierci; drugi, złożonemi literami na przeciwniej stronie wyryty, zamykał słowa następujące: „Dobra, prosta, pobożna. Cudze dziecię kochała sercem matki. Straciwszy je, umarła z żalu. Boże! zbaw jój duszę i nagroź miłość niezmierną“. Na frontowej stronie podłużnego grobowca, wznoszącego się na trzech schodach marmurowych, był krzyż prosty z emblematami śmierci, a na stronie przeciwległej napis: „Pomnik ten niewygastłej wdzięczności postawiła R. G. r. 1832“.

Tadeusz zdziwił się najprzód niezmiernie, znalazłszy na grobie prostej i biednej kobiety pomnik tak kosztowny co do materiału i tak piękny co do wyrobienia. Gdy go obszedł w milczeniu i wszystkie napisy przeczytał, ukląkł pobożnie, i długo się modlił. Owsikowski, zmówiwszy pacierz klęczący, powstał, oparł się o drzewo, i patrzył z rozrzewnieniem na wdzięcznego młodzieńca. Po niejakiem czasie Tadeuszek wstał także, obszedł jeszcze raz grobowiec, wszystkie napisy przeczytał na nowo, i stanąwszy przed ostatnim, który zawierał cyfrę tej, co pomnik ten postawiła, długo się w niego wpatrywał. Wtedy przystąpił Owsikowski, i rzekł:

— Widzisz tedy, że kamień już niepotrzebny.

— Tak — odpowiedział młody człowiek z melancholicznym uśmiechem — uprzedzono mnie. Pocziwa moja Widalsia nie spodziewała się, że pod tak pięknymi marmurami spoczywać będzie. Jabym się na taką okazałość nie zdobył. Mój kamień byłby prosty, ale wyrażałby miłość dla niej samej. Te marmury świadczą o innej miłości, o innym żalu, a może wyrażają niewczesny wstyd, który chowa się

tu na cichym cmentarzu biednego kościółka, do którego nikt taki nie zajdzie, przed którym niepięknie byłoby okazać miłość, lub żal objawić. O! mój kamień byłby stosowniejszym. Pod nim byłoby lżej sercu, co mnie tak kochało. Te marmury ciężą pewnie tym poczciwym prochom, a może je nawet gniewają.

— Tadeuszk! co się tobie stało? — zawołał zadziwiony Owsikowski — dla czego mówisz z taką goryczą o tej najlepszej pani, co taką pamiątką uczciła pamięć wiernej i poczciwej sługi? Czyby to druga zrobiła? pewnie żadna. A choć może w części ty jesteś przyczyną, że postawić kazała ten grobowiec, jak i tego, że łoży na edukacją mego chłopca, ale czyż to tobie może być przykrém, że ona pamięta o tych, którzy ciebie kochali?

— Nie zrozumiałeś mnie, kochany panie Cypryanie — rzekł Tadeusz czerwieniąc się, i biorąc rękę zasmuconego starca. — Myślałem zupełnie co innego i nie mogę ci nawet wytłómaczyć, co mi przyszło do głowy, gdy m to mówił. Ale chodźmy. Ja muszę śpieszyć. Chciałbym dziś jeszcze wyjechać.

— Dziś! — zawołał stary z żalem — obiecałeś przecie dwa dni zabawić. O! Tadeuszk! gdyby ona tam pod ziemią słyszała, że się tak odemnie wyrывasz, wierz mi, żeby się proch jej poruszył. Ona wiedziała dobrze, jak cię kochałem.

Tknięty do głębi serca młodzieniec, rzucił się na szyję Owsikowskiego i wołał płacząc:

— Zostanę, zostanę!

Wracali jednak milcząc. Owsikowski nie mógł skombinować, jakim sposobem z ust tak dobrego młodzieńca mogły wyjść słowa tak dojmujące i prawie niewdzięczne; a bohater nasz, im bliżej był tej chwili, którą w życiu swém za stanowczą uważał, tém bardziej się jęj obawiał i w tém głębszém pogrążał się zamysleniu. Wszystko to, czego się dowiedział o interesowaniu się Rozalii, o jej zamiarach wykradzenia go i ulokowania, o jej dobroci i szczodrém uposażeniu syna Owsikowskiego, potwierdzało jego domysły, że nie komu innemu winien życie, tylko jęj, i że przeczucie, które go do nięj tyle razy ciągnęło, nie było daremném i kłamliwém. Widok grobowca Widalskiej prawie go przekonał, że tak jest, a nie inaczej; że matka tylko i matka grzeszna, która dla bojaźni świata zaparła się swego dziecka, mogła odpłacać tym sposobem popiołom dobrej sługi tę miłość, jakiej sama okazać nie śmiała. Biedny młodzieniec znalazł się w okropném położeniu. Nieprzewyciężony głos natury ciągnął go do nóg tej kobiety, pod której sercem leżał, a wspomnienie tylu okoliczności, w których zdawała się obojętną na jego krzywdę, na jego tułactwo, w których, zapierając się go, chybiała najświętszemu dostojenstwu kobiety, i obrażała majestat macierzyństwa, napelniało go goryczą

i odpychało od niej jego serce. W takich walkach przebył całą drogę od kościołka do domu. Gdy się bryczka przed drzwiami zatrzymała, wybiegła pani Owsikowska, uwiadamiając męża, że pani, dowiedziawszy się, że Tadeuszek przyjechał, już ze sześć razy przysłała, aby do niej zaraz z nim przyszedł. Owsikowski widząc, że młody człowiek ma oczy spuszczone, zasepione czoło, jakby nie miał ochoty stanąć na to wezwanie, wziął go pod rękę i poprowadził z sobą do pałacu. Tadeuszek nie opierał się, ale był błady, drżący, leniwo postępował, tak mu widać było ciężko wyrzec się tego szczęścia, które przeczuwał, i stanąć przed tą kobietą, która mogła jednym słowem je zniszczyć, jednym spojrzeniem wtrącić go napowrót w tę mgłą niepewności, z której zdawał się wychodzić.

Zastali Rozalię w gabinecie, od którego drzwi do jej sypialnego pokoju były otwarte. Była w czarnej sukni, w czarnym czépeczku na głowie. Siedziała przy biurku, nad którym wisiał portret pana Klemensa, i pisała; ale widać, że pisała coś takiego, co ją mocno zajmowało i wzruszało, bo nie słyszała, jak weszli; w lewej ręce jej była chustka, którą co moment przytykała do oczu. Dopiero gdy Owsikowski chrząknął, obejrzała się prędko, rzuciła pióro, zasunęła pismo swe pod papiery, i powstawszy, chciała postąpić naprzód; ale gdy uczuła, że jej sił zabraknie, zatrzymała się na miejscu, oparła się o stół, i tak przypatrywała się młodemu człowiekowi, na którego bladym licu wybiły się wszystkie jego nadzieje i trwogi. Rozalia była niezmiernie blada, oczy jej zachodziły łzami, a ręce widocznie drżały. Tadeusz drżał także jak liść patrząc na tę postać pełną powagi i świętości, na tę piękną twarz, na której widział wyraz przywiązania, dobroci, i jakby niemą prośbę, aby jej przebaczył, że się z całą miłością swą wydać nie śmiała. Chwila ta przeszła na milczeniu, bo wszystko, co w sobie zawierała, skupiwszy się razem w sercu, zatamowało ich głos i w żadnym słowie zmieścić się nie mogło. Przenikniony do głębi duszy młodzieniec, zapomniał o wszystkich wymówkach, jakie miał już na ustach, gdy na próg tego domu wstępował; ciągniony nie przepartasiła, ośmielony potężnym głosem, który w sercu jego przemawiał, chciał uprzedzić pierwsze jej słowo, pierwsze poruszenie, i rzucając się jej do nóg, zawołał: — Matko! nie odpychaj mnie! — Ale Rozalia przyłożyła nagle chustkę do oczu, z których rzewne łzy trysnęły, zbliżyła się prędko do zmieszanego tém jej poruszeniem Tadeusza, chwyciła go za rękę, i pociągnawszy do swego pokoju, drzwi za sobą zatrzasnęła. Owsikowski został sam, dziwiąc się temu, co widział, i kombinując wszystkie okoliczności, które mu były wiadome. Po niejakiem czasie zdało mu się, że usłyszał mocniejszy głos Tadeuszka, a potem płacz i jakby szlochanie Rozalii. Potarł więc czoło stary

koniuszy, pokiwał głową, spojrzął na portret pana Klemensa i machnąwszy ręką, wyszedł.

W parę godzin potem wrócił Tadeusz. Na twarzy jego nie było już zaszępienia, nie było smutku; jakiś tylko melancholiczny wyraz, który okazywał wewnętrzne uszczęśliwienie z obecnej chwili, ale mało nadziei na przyszłość. O rozmowie swojej z Rozalią nie mówił ani słowa, i poczciwy koniuszy, widząc oczy jego zapuchłe od płaczu, zapytał go nieśmiało. Wieczorem znowu bohater nasz widział się z Rozalią i przebył u niej do późnej nocy. A gdy wrócił i zastał Owsikowskiego na ławeczce, w oczekiwaniu jego powrotu, rzucił mu się na szyję, i z synowską miłością uściskawszy, oddał mu tylko dobranoc. Rozłączyli się więc znowu bez żadnej rozmowy, a nazajutrz, koło godziny szóstej rano, stał Owsikowski na trakcie wiodącym do Humania; dzielny koń, na którym siedział, niecierpliwił się i grzebał ziemię kopytęm, a stary kawalerzysta, to pociągając wąsy, to ocierając oczy, zabiegające łzami, patrzył ciągle na dwóch jeźdźców, którzy już byli dość daleko i szybkim oddalali się krokiem. Wkrótce już tylko ślup kurzawy, wzbity kopytami koni, oznaczał, w którym znajdowali się miejscu. Po niejakiem czasie znikł i ten tuman, i na polu zrobiło się pusto i głucho. Wtedy łzy puściły się z ocz starca strumieniem. Zawołał on głośno: — Bądź zdrów! bądź zdrów mój drogi chłopcze! — i zwróciwszy nagle konia, spał go silnie i puścił się takim pędem, iż się zdawało, że o sędziwych latach swych zapomniawszy, śmiertelnego wroga ścigał, lub przed jakim nieszczęściem uciekał.

#### XIV.

W tydzień po rozstaniu się z przyjacielem swego dzieciństwa i miejscem swego wychowania, bohater nasz znajdował się w sali audyencyonalnej, poprzedzającej pokoje generała, gdzie go oficer ze sztabu przyprowadził, i szepnąwszy parę słów adjutantowi, czekać rozkazał. Już więcćć jak godzinę siedział tam Tadeusz, to rozmyślając o dalszém swém przeznaczeniu, to wyglądając, aż się otworzą drzwi i hrabia się ukaże, to rzucając wzrok obojętny na rozmaite figury, które się już w sali znajdowały, lub co chwila wchodziły, oczekując także audyencyi. Chociaż sala stawała się coraz pełniejszą, panowała tam prawie zupełna cisza. Czasem tylko dało się słyszeć chrząknięcie szlachcica, który przyszedł ze skargą, lub kaszel starego oficera niżkiej rangi, który miał prośbę za mundurem, lub westchnienie żyda podradczyka, któremu się zdawało, że jeszcze mało zyskał, lub szept urzędnika z komissoryatu, który przed sąsiadem usprawiedliwiał się z niesłusznych zarzutów, lub poziewania

adjutanta, który się bawił zmuśną swą służbą. W ciągu tego czasu głośniej i śmieliej weszło do sali dwóch oficerów ze sztabu, jeden z portfelem pełnym papierów, a drugi z kartami geograficznymi. Ale i ci dowiedziawszy się, że generał nie ma czasu, pogadali przez chwilę z adjutantami cichym basem, i usiadłszy, czekali w milczeniu, jak i inni. Potem głośniej jeszcze i jakby poufaliej, wszedł w pełnym mundurze jakiś przejezdny generał, dla zameldowania się, powiedział z pewną impozycją parę słów adjutantowi, który natychmiast doniósł o jego przybyciu, i powróciwszy, wprowadził go do pokojów hrabiego. I potem znowu zrobiło się cicho. Każdy stał lub siedział, każdy myślał tylko o sobie, na sąsiada nie zważał, nikt się nie przechadzał i nie poruszał; sala zdawała się zaludnioną przez woskowe figury bez życia; tylko zegar głośnym taktem oznaczał pulsa uchodzącego dnia i ostrzegał wszystkich, że czas żyje i postępuje.

Godziny przedaudyencyonalne mają właściwą swoją fizyognomię, i bardzo wyraźną artystyczno-moralną stronę. Potrafi ją uchwycić i zdoła się nią zabawić, ale tylko ten, kto nie przyszedł dla podania prośby, lub się nie spodziewa, że mu porządnie zmyją głowę. W takich bowiem razach, wszelkie filozoficzne usposobienie odpada, i najbieglejszy obserwator opuszcza uszy, i radby jak ślimak wciągnąć swe różki, i w swoją własną schować się skorupę. Bohater nasz z innych zupełnie powodów nie był usposobiony do robienia uwag. Serce jego było ściśnione i myśli jego były na przemian, to w Kalinowie, to w domu Rozalii. A chociaż i on stawał tu jako żołnierz, naznaczony pod dowództwo tego, którego wszyscy oczekiwali, nie interesował go wszakże generał, komenderujący korpusem, ale człowiek, którego oblicze pragnął obaczyć, którego rękę do ust swoich chciał przycisnąć.

Nareszcie otwarły się drzwi i wyszedł hrabia. Był w surducie, rozpięty, bez szlif, tylko na szyi jego błyskał wysoki znak łaski i dostojeństwa, kosztownymi obsypany brylantami. Na twarzy jego nie było już tej czerstwości, którąśmy przed ośmnastu laty widzieli. Cokolwiek wyłysiał, zupełnie osiwiiał, wasy jego straciły dawną barwę i przeszły w białorudawy kolor; ale czoło było równie jasne i gładkie, zęby zdrowe, usta z dawniejszym wyrazem pełnym uprzejmości i dobroci; słowem, całej tej postaci, jeszcze pięknej i silnej, nie ubyło nic z dawniej swobody i wytworności ułożenia; przybyło tylko więcej powagi i impozycji, którą wiek i siwa głowa koniecznie nadają.

Skoro hrabia wszedł i zatrzymał się przy swoich drzwiach, wszyscy powstali z uszanowaniem i uszykowali się tak, aby każdego mógł widzieć. Pożegnawszy najprzód generała, który mu się meldował, i który skłoniwszy się wyszedł, rzucił hrabia okiem po obec-

nych, i dawszy znak jednemu z adjutantów, aby był przy nim, poszedł z kolei do wszystkich osób, mających różne żądania, zaczynając od dwóch starych oficerów, którzy wyprostowani przy drzwiach stali, i których uprzejmym skinieniem głowy i łagodnym uśmiechem osmielił. Audyencya trwała dość długo, gdyż hrabia z dziwną cierpliwością i wyrozumiałością słuchał prośb, zażaleń i usprawiedliwienia się. A chociaż tam byli ludzie różnych stanów, i nie wszyscy tłómaczyli się zwięzle i jasno, okazał się dla każdego sprawiedliwym, ludzkim i uprzejmym. Tadeusz napatrzeć się na niego nie mógł; serce jego biło gwałtownie i pociągało go ku szlachetnemu i pełnemu godności człowiekowi, z którym tak święty łączył go związek. I gdy się hrabia do niego zbliżył, podniósł on ku niemu oczy z tym wyrazem, który malował wszystkie uczucia, jakich w tej chwili doświadczał. Zastanowiło to hrabiego, przyglądał się dorodnemu i pięknemu młodzieńcowi, jakby sobie chciał przypomnieć, że go kiedyś widział. Po chwili dopiero obrócił się do adjutanta z miną zapytującą. Ten przystąpił z uszanowaniem, objaśniając, że to jest młodzieniec skazany przez sąd wojenny Dubieński do służby wojсковej z awansem, którego jaśnie wielmożny generał za przybyciem do głównej kwatery, kazał sobie przedstawić.

— A! — odpowiedział hrabia, kiwnąwszy głową na znak, że już wie o co idzie, i spojrzawszy raz jeszcze na zdziwionego takim przyjęciem Tadeusza, przystąpił do innych osób, które za nim stały. Zaspokoiwszy żądanie każdej, chociaż z widocznym już słuchał ich roztargnieniem, dał znak oficerom ze sztabu, z których jeden trzymał w rękę portfel, a drugi karty geograficzne, aby się za nim udali, i powrócił do swego gabinetu, cokolwiek zamysłony i trąc palcami szerokie swe czoło.

I znowu w sali zrobiło się pusto i cicho; adjutanci tylko, ziewając, rozsiedli się wygodnie na kanapie, zegar oznaczał głośno każdą sekundę, a bohater nasz czekał. W godzinę dopiero, której trwanie rozmierzy każdy z czytelników, jeśliśmy go losem i położeniem biednego Tadeuszka zająć zdołali, wyszli obaj oficerowie z gabinetu swego naczelnika, a jeden z nich, kiwnąwszy na oczekującego młodzieńca, uwiadomił go, że mu generał wejść rozkazał.

Z biciem serca, które łatwo pojąć, obaczył się on w okazałym salonie, z którego drzwi do gabinetu były otwarte. Tam ujrzał generała, siedzącego przy wielkim stole, który stał na środku pokoju. Po bogatym kobiercu salonu i zielonem suknie, którym cały gabinet był wyłożony, przybliżył się Tadeusz cicho i drżąc od wzruszenia. Po chwili hrabia odsunął papiery, które odczytywał, odwrócił krzesło, i wzięwszy w rękę długi antypkowy cybuch z ogromnym bursztynem, wsparł lewą rękę na poręczu krzesła, łokieć prawej na stole,

i puszczając delikatnie wonny dym doskonałego sułtańskiego tytoniu, przypatrywać mu się zaczął. Młody człowiek, który słuchając natchnienia serca, chciał zacząć od rzucenia mu się do nóg, tak się zmięszał tą postawą obojętną i niespodziewaną, że spuściwszy oczy stanął w milczeniu, oczekując, co mu powie. Po jakimś czasie generał, nie przestając palić fajki, ale głosem łagodnym i jakby żartobliwym, rzekł wyborną i dźwięczną polszczyzną:

— Cóż, młodzieńcze! nabroiłeś, teraz musisz pokutować. Jeszcze to twoje szczęście, że się w porę o twoim położeniu dowiedział, i zdołał moim wpływem i staraniem los twój złagodzić. A choć nie wszystko zatwierdzono tak, jakem sobie życzył, potrafię jednak i z daleka nad tobą czuwać, byleś tylko umiał zasłużyć na względy tych, pod czyją komendą będziesz. Czegożeś się zasepił? — dodał, puszczając dymek — czyś niekontent z tego co mówię? Gdybym się był w tę rzecz nie wdał, byłoby daleko gorzej.

— Panie generale! — odpowiedział Tadeusz, jakby z jakiegoś snu ocucony — wiem o tym, że wyrok mój byłby zupełnie inny, gdyby nie wstawienie się i łaska pana generała, którą umiem czuć i oceniać. Darujesz jednak, panie generale, że nie przestając na tych dobrodziejstwach, które odebrałem, śmiem zaraz prosić o nowe.

— Czy nie chcesz naprzykład — rzekł hrabia uśmiechając się — abym cię od razu zrobił swoim adjutantem? Mój kochany! tego nie mogę, choćbym chciał.

— Nie, panie generale! — odpowiedział młody człowiek ze ściśnionem sercem. — Chociaż mam dopiero dwudziesty rok życia, ale puszczony od dzieciństwa na los szczęścia i o własnych siłach, nabyłem więcej doświadczenia, niż inni w tym wieku mieć go mogą. Dla tego wiem dobrze, że pan generał zrobić tego nie możesz, a nawet choćbyś mógł, tobyś nie chciał.

Generał spojrział na niego bystro, ale w tym spojrzeniu nie było ani gniewu, ani obrazy.

— O cóż tedy prosisz? — zapytał po krótkiej przerwie głosem, który widocznie zadrżał.

— Wiem, że w pierwiastkowym dekrete — odpowiedział Tadeusz, ochłonawszy już z pierwszego wzruszenia — przeznaczony byłem do korpusu, który ma szczęście mieć pana generała swoim wodzem. Pan generał raczyłeś wspomnieć, że wyrok ten cokolwiek zmienionym został, i że mam służyć gdzieindziej. Nie wiem dokąd mnie naznaczono, ale będę to uważał za dobrodziejstwo ze strony pana generała, jeżeli mi pozwolonym będzie służyć na Kaukazie.

Generał postawił fajkę, spojrział na bohatera naszego z ukontentowaniem i dumą, i rzekł:

— Dla pewnych względów, o których ci nie potrzeba wiedzieć, interesuję się tobą, młodzieńcze; dla tego chciałem cię mieć pod swoją komendą. Gdy mi się to nie udało, pozwoliłem ci stanąć przed sobą, aby ci oznajmić twój wyrok, i ze sposobu jakim go przyjmiesz, wnieść, czyś wart był mego interesowania się. Teraz widzę, żeś kilkanaście lat przeżył nie napróżno, żeś masz głowę, serce i odwagę. Cieszę się z tego i uwiadamiam cię, żeś przeznaczony na Kaukaz.

To powiedziawszy, wyciągnął do niego rękę, którą Tadeusz z uczuciem ucałował. Hrabia wstrząsł się od tego dotknięcia ust pięknego młodzieńca, usunął rękę, jakby się bał okazać mu więcej współczucia, i wzięwszy znowu cybuch, który mu widać dla kontensansu służył, mówił dalej z powagą:

— Masz więc przed sobą zawód chlubny, który cię prędko pokierować może, tém bardziej, że ci awans pozwolonym został. Ale musisz i to wiedzieć, że tam kule latają gradem, a Czerkiesi strzelają bardzo trafnie. Jakiż miałeś powód prosić o to sam, od czego się inni wypraszają?

— Pan generał wiesz bardzo dobrze — odpowiedział Tadeusz z mocą i przyciskiem — że nie mam nazwiska, nie mam żadnego stanu, żadnej przyszłości mieć nie będę, jeżeli jój sobie sam nie wyrobię. Obowiązkiem jest moim, choćby kosztem życia, starać się i otrzymać to, o czém mój ojciec nie pomyślał wcale. Bezimiennosc jest gorszym ciężarem niż nędza. Kładzie ona piętno odrzucenia na licu biednej istoty, wywołanej do życia bez świętego upoważnienia, i pisze na jej czole wstyd rodziców, który wszyscy sztydząc czytają. A wstyd rodziców, panie generale, gorzej boli, niż kula Czerkiesia.

— Czy znasz swoją matkę? — zapytał wówczas generał, spuszczać oczy, jakby nie śmiał ich podnieść na młodzieńca, którego słowa przeniknęły go do gruntu duszy.

— Znam i mego ojca, panie generale! — odpowiedział Tadeusz — a ten list mojej biednej matki, której żywot męczeński tyle lez mi wycisnął, poświędyczy zapewne, zem na to zasłużył, aby i mój ojciec inaczej się ze mną obszedł.

Generał porwał się z miejsca, rumieniec okrył jego twarz, w oczach jego błysnęło uczucie; wziął list Rozalii z rąk drżącego młodzieńca, i tylko co go chciał rozpieczętować, gdy nagle za ścianą dał się słyszeć silny i piękny sopran, który wyciągał jakąś arję Rossiniego. Dźwięk ten zmienił postanowienie i wyraz twarzy generała. Położył list na stole, zaambarasował się, zdawało się, że się zawstydził w obliczu młodzieńca, który z niego nie spuszczał oka, i obejrzawszy się niespokojnie na zasłonę, która widać zakrywała drzwi od dalszych jego pokojów, rzekł prędko:

— Idź teraz, idź. Jeszcze się obaczemy. Za parę dni poje-



dziesz. Wyprawię cię sam, opatrzę twoje potrzeby i dam ci listy rekomendacyjne. Spodziewam się, że tę bezimiennosc, którą mi z taką goryczą postawiłeś przed oczy, uczynisz mężstwem, i walecznymi czynami uszlachetnisz. Ze wszystkiego widzę, że tej nadziei mojej nie zawiedziesz. Jak zostaniesz oficerem, będziesz miał i nazwisko, o które prosić będę Monarchę, i który mi tej łaski nie odmówi, jeżeli do moich zasług przyłączysz i własne. A teraz uściskaj mnie, drogi chłopcze! kontent z ciebie jestem!

— Ojeze mój! — krzyknął Tadeusz w uniesieniu i rzucił się w otwarte ramiona generała. Hrabia przycisnął go silnie do swoich piersi, potem schylnego do swoich kolan pobłogosławił, a gdy młodzieniec, rozmarzony i nie wiedzący prawie, co się z nim dzieje, powstał, postrzegł we drzwiach gabinetu poważną postać pana Grodnickiego, który o każdej porze do generała bez meldowania się wchodził, a teraz na ojca i na syna z rozrzewnieniem spoglądał.

— Kochany Grodnicki! — rzekł wówczas hrabia, ocierając oczy z łez, których się przy przyjacielu nie wstydził. — Dobrze, żeś nas tu zszedł. Patrz, zwalczył mnie ten młodzik, zgromił, zawstydził, i do łez przyprowadził. Weź go do siebie, nim go wyprawiemy. Ja tam jeszcze dziś do was przyjdę, bo mi się spodobały jego reprimandy, które mi tu dawał. Dziękuję ci serdecznie przyjacielu, za to wszystko, coś dla niego i dla mnie zrobił. Ale idźcie już. Słyszałem głos księżnej, nie chciałbym, żeby go widziała.

Dektor uśmiechnął się, wziął za rękę Tadeusza, którego ojciec jeszcze raz pocałował w czoło, i wyszli.

We dwa dni potem, przed kwaterą doktora Grodnickiego stała wygodna i porządna bryczka; rzeczy już były upakowane, wszystkie papiery, listy i pieniądze na dalsze swe utrzymanie miał już Tadeusz przy sobie; pieniądze na drogę były w torbie podróżnej podoficera od żandarmeryi, który miał bohaterowi naszemu towarzyszyć, i któremu generał sam dał instrukcje i polecenie, aby nad młodym człowiekiem czuwał, jako nad jego krewnym, i we wszystkim był mu pomocnym i posłusznym. Zacharko, który w żaden sposób nie chciał pana swego odstąpić, i którego generał widział, za wierność i przywiązanie pochwalił i szczerze obdarzył, stał już także przy bryczce: czekano tylko na konie pocztowe, które za pół godziny przyjść miały. Tymczasem Tadeusz, pożegnawszy ojca, chodził sam po pokoju, i oczekując, aż zadzwoni chwila udania się tak daleko, na długo, a może i na zawsze, od tych wszystkich, których kochał, tłumił łzy, które mu się do oczu naciskały, i ostatnie jeszcze pożegnanie do Kalinowa przesłał. Wtedy wszedł pan Grodnicki, i oddał mu list, który pod swoim adresem z poczty odebrał. Rzucił okiem młody człowiek na adres i krzyknął uradowany. Rozpieczętował prędko

i czytał drżąc, a łzy potokiem z ocz jego płynęły. Był to list Anny i w nim drugi od Józia. Pierwszy zamykał następujące słowa:

„Kochany Tadeuszu! piszę na los szczęścia i w wielkiej niepewności, czy cię list mój dojdzie i kiedy cię dojdzie. Nie mogłam jednak przemódz na sobie, aby cię zostawić w tym stanie rozpaczy, której ślad wyraźny w liście twym, z Białobrzyniec pisany, wyczytałam. Nie niosę ci wprawdzie stanowczej pociechy, bo los twój, tyloma okolicznościami skrępowany, zależy od tak powikłanych trudności, że ciężko spodziewać się prędkiego ich rozwiązania; ale przynajmniej poznasz, żeś słusznie nas ocenił, iż pokochałeś serca takie, które umieją odplacać miłością, żeś się poświęcił dla istoty, która poświęcenia twego była godną. Od dawna już, drogi Tadeuszu, przeznaczyłam was w duszy mej dla siebie. Ale byliście oboje zanadto młodzi, abym mogła być dać wam poznać moją myśl i gorące serca mego życzenie. Kochałam cię zawsze, jak matka, i im więcej rosłeś i rozwijałeś się, im więcej znajdowałam w tobie podobieństwa do mego drogiego męża, któremu winnam szczęście całego życia, tém mocniej byłam przekonana, że ty tylko zapewnisz mojej córce taki spokój, taki byt błogosławiony, jakiego ja kosztowałam, i jaki jest dotąd moim udziałem. Los chciał inaczej; wyrwał cię z naszego łona, pogłoską o twojej śmierci skrzywił nasze zamiary, zaplątał cię w trudności, z których niech cię Bóg wyprowadzi, aby się one znowu sprostowały, aby wszystko wróciło do tego planu, jaki ja w ciszy macierzyńskiego serca, w kościele i przed Bogiem, układałam. Bo to wszystko jeszcze być może, mój drogi Tadeuszu; bo dowiedz się, że Sabinka, chociaż czuje serdeczną przyjaźń dla zacnego człowieka, którego już była narzeczoną, odesłała mu jego obrączkę, prosiła aby o nią przestał myśleć; że dla ważnych powodów, od których przeznaczenie życia jej zależy, żoną jego być nie może. To są jej własne słowa, które zdają się dowodzić, że w sercu jej jest coś więcej dla ciebie, niż przywiązanie siostry. Nie oddawaj się więc rozpaczy, dopełnij przeznaczenia swego tam, gdzie cię teraz okoliczności postawiły; dopełnij go z takim mężstwem, z taką odwagą i wytrwałością, jakiej dałeś dowody, gdyś był dzieckiem, opuszczonem od wszystkich, i w Bogu tylko i we własnych siłach ufajacem. Błogosławię cię, jak matka; daj Boże! abym cię wkrótce do serca mego przycisnęła zdrowym, z zapewnioną przyszłością, z przekonaniem, że i dla ciebie Bóg nie zamknał wszystkich dróg do życia i szczęścia ziemi, na które sercem szlachetnem i kochającą duszą zasługujesz. Mój mąż ściska cię z całej duszy i potwierdza wszystkie moje słowa. Józio pisze list osobny, a Sabinka, która teraz znacznie spowaźniała, pilnie pracuje i częściej zamyśla się, nic nie wie, że do ciebie piszemy. Pojmujesz to,

„mój drogi Tadeuszk, dla czego jęj o tēm nie wspomnieliśmy. Mo-  
 „żemyż wpływać na jęj postanowienia? tybys sam tego nie chciał.  
 „Niech Bóg rządzi jęj sercem i daje mu natchnienia, z wolą jego  
 „świętą zgodne! Bywaj zdrów raz jeszcze! jeżeli list ten otrzymasz,  
 „donieś, któredy i jak do ciebie pisywać? Nie zdaje mi się, abym  
 „i później miała coś takiego do doniesienia, coby cię mogło zasmucić,  
 „odebrać energię, jakiej potrzebujesz, i przyprowadzić do takiego  
 „stanu, w jakim cichy domek nasz, gdzie cię wszyscy z miłością  
 „wspominają, opuściles.“

List Józia był jeszcze dłuższy; zamykał więcj szczegółów o ro-  
 dzicach, o Sabine, o jęj zajęciach i sposobie, jakim o nim mówi, i jak  
 go wspomina; o ich życiu w ogólności i tęsknēm oczekiwaniu naj-  
 przód jego listu, a potēm powrotu. Serce i przyjaźń poczciwego  
 chłopca malowały się w każdym słowie, i ze wszystkiego Tadeuszek  
 mógł wniesć, że chociaż to była partya, dla tak ubogięj panienki, jak  
 Sabinka, prawie świetna i pod wszystkimi względami, i rozumu, i cha-  
 rakteru, i majątku pożądana, nie żalują jęj jednak, i wszyscy z serdecz-  
 ną radością Tadeuszka powitają, gdy do nich wróci i świętżemi  
 jeszcze węzłami, niż dotąd, z domem ich połączonym zostanie.

Łatwo wniesć, co się działo w sercu bohatera naszego, gdy te li-  
 sty odczytał. On, niedawno sierota opuszczony, szukający myślami  
 po świecie dawców swego życia, znalazł ojca i matkę, do których ca-  
 łą duszą przylgnął, wszystkimi zasobami miłości, które się w sercu  
 jego przez dwadzieścia lat zbierały, pokochał; on, przed którym nie-  
 dawno dzień i noc stał obraz kochanki, w ślubnej sukni, z wieńcem na  
 głowie, podającj rękę innemu; który dla tego prosił się na Kaukaz  
 i w tęj myśli tam dążył, aby szukać niebezpieczeństwa i w zaciętym  
 boju znaleźć nie chwałę, nie awans, ale koniec swęj męczarni; dziś  
 pojedzie tam z nadzieją, że śmiałość i męstwo dadzą mu nazwisko, że  
 tēm nazwiskiem, zdobytēm wśród gradu kul i szczęku oręża, będzie  
 mógł okryć tę, co czeka na niego z miłością, co go uśmiechem szczęś-  
 cia powita, i ziści wszystkie marzenia, któremi się w snach młodzień-  
 czych kołysał. Podziękowawszy Bogu za te wszystkie dobrodziejstwa  
 krótką, ale gorącą modlitwą, usiadł Tadeuszek i odpisał Annie te słowa:

„Najdroższa pani! matko i opiekunko moich lat dziecinnych! dzie-  
 „kuję ci ze łzami w oczach za te słowa pociechy, przez które wró-  
 „ciłaś mnie do życia. Twoje serce zgadło, że rozpacz była w męj du-  
 „szy i pędziła mnie tam, gdzie miał znaleźć prędki koniec dni, któ-  
 „re mi się zdały niepotrzebnemi na ziemi. Dziś czuję, żem nie za-  
 „służył na tyle radości, ile jęj Bóg wlewa w to serce, co zgrzeszyło  
 „zwątpieniem. Dowiedz się, najdroższa pani, żem znalazł matkę  
 „i ojca. Domysły moje sprawdziły się. Znasz je, bośmy o tēm mó-  
 „wili; ale tego nie wiesz, że czcę i kocham tę biedna męczennicę, co

„mi dała życie, a o której przywiązaniu wątpilem; że kocham i pysz-  
 „nię się tym ojcem, pod którego skrzydłem i opieką jadę teraz na  
 „Kaukaz, aby prędzej wysłużyć szlify, a z niemi nazwisko, którem  
 „nie miał, i stan, który mi da prawo rządzić swoją osobą. A potem  
 „będę mógł wrócić pod waszą szczęśliwą strzechę, wrócić z miłością  
 „syna, i zyskać tam, u nóg waszych, wszystkie do tego tytułu prawa.  
 „O! Bóg dobry, i świat ten piękny i cudny! Daruj mi, droga pani,  
 „jeżeli czego nie zrozumiesz, com tu napisał. Bóg widzi, ile uczuć  
 „zalewa moje serce, jak tłumnie zbiły się wszystkie myśli w to jedno  
 „wyobrażenie, że ta, którą od dzieciństwa kochałem, dla której chcia-  
 „łem umrzeć i byłbym pewnie umarł, może być jeszcze moją. Kłę-  
 „kam teraz przed tobą, droga pani, i przysięgam ci, że się stanę go-  
 „dnym tego skarbu, któryś mi przeznaczyła. Z tém postanowieniem  
 „ruszam w dalekie strony, i z odwagą, jaką we mnie słowa twoje  
 „wlały, zaczynam zawód, który mnie ma do nóg waszych doprowa-  
 „dzić, i da Pan Bóg! doprowadzi niezawodnie. A teraz żegnam cię,  
 „najdroższa opiekunko moja! Całuj odemnie ręce swego męża, uściskaj  
 „Józia, do którego napiszę już z miejsca. Córkę twoją żegnam tylko  
 „myślą, bo błagam cię na wszystko, nie mów jój o mnie; nie kieruj  
 „jój wolą, nie broń jój słuchać natchnienia serca. A jeśli ci powie:—  
 „matko! przyzwij tego, któremu raz już byłam przeznaczoną—przy-  
 „zwij go, zaklinam cię na najświętsze obowiązki, jakie matka ma dla  
 „swego dziecka! O mnie wówczas nie myśl; dla mnie dość szczęścia,  
 „jakiego teraz doznaję, i w które zaledwie wierzyć mogę, tak jest wiel-  
 „kie, tak niespodziewane! Listy wasze przysyłajcie pod tym samym  
 „adresem, pod jakim ten odebrałem, a dojdą mnie, gdziekolwiek bę-  
 „dę. Wszystko o was interesować mnie będzie. A nawet... Ale nie,  
 „o tém tylko jedném, droga pani, gdyby się stało, nie pisz! Z mil-  
 „czenia waszego dosyć się dowiem.“

I w pół godziny potem dzwonek rozlegał się po ukraińskim ste-  
 pie. Żandarm, z sumką na piersiach, z pistoletami za pasem, z suro-  
 wą, ale pocziwą i pełną rozgarnienia twarzą, siedział w milczeniu;  
 Zacharko wesoło spoglądał po obcej mu krainie, a bohater nasz, od-  
 dychając pełną piersią, szczęśliwy i swobodny, wyciągał ręce do téj  
 szerokiej ziemi, która mu się wydała tak zieloną, tak piękną, i podno-  
 sił oczy i ducha do tego nieba, którego błękit pierwszy raz w życiu  
 tak mu świetnie zajaśniał.

Nic nie ma trudniejszego, jak w porę skończyć czy wizytę, czy  
 obiad, czy jakie opowiadanie, czy jaki zawód publiczny, czy nawet  
 życie. Jedna chwilka nadto w odwiedzinach, a można się wyrwać  
 z jakieżćś głupstwem, które cofnąć się nie da; jedna chwilka dłu-  
 żej przy stole, a chorobliwe łakomstwo zastąpi miejsce zdrowego  
 apetytu i zaprowadzi do apteki, a czasem i na cmentarz; jedna ćwiar-

teczka w powieści więcej, niż trzeba, a całe zajęcie za nic; zamiast ciekawości przychodzi nuda, a miejsce łez i śmiechu zajmuje poziewanie. Tak i w zawodzie publicznym, tak i w życiu. Zręcznie i w miejscu umrzeć, jest to wielką sztuką, którą mało kto posiada. Mając na względzie te niezaprzeczone prawdy, śpieszymy i my do końca, zwłaszcza, że niesłychanym u nas przykładem, pozwoiliwszy sobie zacząć od kolébki bohatera, zbyt może polegaliśmy na pobłażliwości i łasce czytelników naszych, której nadużywać nie śmiemy, aby nas o zarozumiałość i zuchwałstwo nie posądzili.

Kończymy tedy, uwiadamiając tych, co będą mieli cierpliwość przerzucić jeszcze te kilka kartek, które pozostały, że Tadeuszek zdrów, wesół i pełen najpiękniejszych nadziei dojechał szczęśliwie do miejsca swego przeznaczenia, i że przyjętym był przez swych nowych naczelników z tą względnością, jakiej tam nie mógł nie doznać młody człowiek tak urodziwy, tak ochoczy, obdarzony od natury tak magnetyzującym wejrzeniem, i opatrzony przez ojca w tak poważne i prawie gorące rekomendacye. Ogromna armia, która wówczas na Kaukazie działała, rozdzielona była na dwa wielkie korpusa. Pierwszy znajdował się w Gruzji, i operacye jego koncentrowały się mianowicie w Mingrelji i Imercyi; drugi zajmował tak nazwany Kaukazki Obszar, rozciągający się z tej strony gór od ziemi czarnomorskich kozaków, aż do morza Kaspijskiego, i działał mianowicie nad rzekami Kubanią i Terekiem. Główna jego kwatera była wówczas w Gicorgiewsku, miasteczku leżącym u podnóża gór. Było ono jeszcze wtedy powiatowem, nim rząd, chcąc podnieść niedaleki ztamtąd Piatihorsk, gdzie natura, oprócz najcudniejszego położenia i widoków czarujących oko, zgromadziła jeszcze tyle rozmaitych wód mineralnych, do tego ostatniego miasteczka wszystkie władze przeniósł, i mieszkańcom tam przesiedlającym się znaczne dał przywileje. Do tego to korpusu należał pułk Nizegrodzkich dragonów, do którego Tadeuszek przeznaczonym został. Był to największy fawor, jakiego mógł doznać, gdyż ten pułk, najcelniejszy z całego korpusu, składał się z dobrego żołnierzy i oficerów, i był pod komendą znakomitego ze swjej waleczności wodza, który niegdyś w gwardyi korpusu litewskiego już miał reputacyę, i później do wysokich doszedł dostojenstw. Tam, między oficerami znalazł Tadeuszek wielu rodaków. Potrzeby jego były aż nadto opatrzone: oprócz bowiem znacznej summy, którą mu dał ojciec przy rozstaniu, odbierał jeszcze od niego hojne zasiłki, a od matki co miesiąc miał list długi, pełen wylania i czułości, a przy każdym był datek jej serca, któryby nawet na pańskie utrzymanie wystarczył, i mógłby być kogo innego zepsuć i na zdrożne naprowadzić ścieżki. Zdawało się, że biedna Rozalia chciała sobie nagrodzić te wszystkie lata walki macierzyństwa z opinią, i troskliwością bez gra-

nic pragnęła przebłagać syna i naturę, aby jęj dawniejsze opuszczenie i zapomnienie przebaczyli. Miał więc czém bohater nasz szafować dla biednych kolegów swych. Reputacya jego wspaniałomyślności nietylko w jego pułku, ale i w innych była prędko wiadoma; nieraz jęj nawet nadużywano, ale to nie zrażało szlachetnego młodzieńca, który sam żył jak żołnierz, a jak pan rozdawał. Niedziw więc, że takie postępowanie, takie użycie darów fortuny, że postać pełna wdzięku i świadcząca o rozumie i sercu, że humor szczęśliwy, który mu całkiem powrócił, że nareszcie determinacya, niesłychana odwaga i wielka znajomość służby, czego już w kilku potyczkach dał dowody, zjednały mu prędko szacunek oficerów, dały poznać wyższym zwierzchnikom, i zrobiły go kochankiem całego pułku. Tak przeszła jesień i dalej zima, na różnych stanowiskach, na wyprawach mniej więcej niebezpiecznych, w których Tadeuszek, jako już podoficer, miewał sobie poruczane małe komendy, nieraz hazardowne posterunki, nieraz konwoje znakomitych osób, które przyjeżdżały do Tyflisu, i przebywać miały tę drogę malowniczą i niebezpieczną, jaką rozpoczyna Darielski parów, ze sterczącymi nad nim skałami, z zamkiem Madziarskim wieńczącym ich granity, z widokiem śnieżnych szczytów Kazbeku i dalej wiecznym lodem okrytego Elbrusa, który z pasma ciemnych gór wysunął najwyżej podwójną i lśniącą swą głowę, jakby się chciał razem Europie i Azji przypatrzeć. W jednej takiej przeprawie, miał szczęście dać się poznać główno-komenderującemu całą armią, którego uwagę na siebie zwrócił dzielnością postawy i przytomnością w wykonaniu rozporządzeń, jakie mu były poruczone. Naczelny wódz mówił z nim, zapytał o nazwisko, przypomniał sobie, że miał o nim list od generała, i obiecał protekcyę i prędki awans.

Gdy przyszła wiosna, i śniegi z dwóch niższych gradusów gór znikły, a zostały tylko na najwyższym, wiecznie śnieżnym; gdy się zazieleniły ogromne lasy podgórza, i dalszego nad nim piętra, a ścieżki, parowy i nieprzejrzane kryjówki, dały wszędzie bezpieczne schronienie; gdy śmiałość gorców do tego doszła, że zaczęli spuszczać się licznemi tłumami, i przekraczali wody Kubani, powiększyła się praca wojska i wzrosły niebezpieczeństwa. Tadeuszek, w ciągu kwietnia i maja był w jedenastu drobnych potyczkach, wszędzie się narażał prawie zuchwale, i z każdej wychodził nie draśnięty ani szaszka, ani kulą, tak, że wszyscy żołnierze, którzy, jako ludzie w ustawicznych żyjących niebezpieczeństwach, są przesądni, zaczęli wierzyć w jego gwiazdę i nabywali przekonania, że go jakieś wysokie czeka przeznaczenie.

Te cząstkowe i drobne rozprawy, z różnym szczęściem staczenie, ośmieliły tak Zakubanów, że postanowili znaczniejszą przedsięwzięć wyprawę i zbrali się w kilkotysięczną gromadę. Ucieszyła ta wiadomość i wodzów i wojsko, gdyż ustawiczne czuwanie i ciągłe utarcz-

ki, z których żaden ważny nie wynikał rezultat, znużyły ich niezmiernie. Ściągnięto więc znaczne siły, przedsięwzięte zostały skuteczne środki ataku i obrony, i wszystko przyszykowano tak, aby wypadek był pomysłny, i drogi odwrotu zwyciężonym przecięte. Jakoż rzeczywiście, ostatnich dni maja przyszło do znaczniejszej bitwy na tym leśnym i nierównym łuku, który się znajduje między Kubanią i rzeką Łabą, wpadającą do niej przy twierdzy Ust-Łabińskiej. Górale, wsparci pozycją, zdołali długo opierać się przemagającej sile. Razili okropnie ścieśnione szeregi piechoty z za drzew, z parowów i kryjówek im tylko wiadomych; gdzie na otwarsze wypadli miejsce, bili się z wściekłością i szalonym impetem. Nic to wszakże nie pomogło. Sztuka, przeważna i dobrze uorganizowana siła, niezłomna wytrzymałość i męstwo, wzięły górę. Zostali odparci z wielką stratą i zdawało się, że zuchwałość ich na długo uskromioną została. Pułk dragonów, który oprócz kozaków, był tam jedynym pułkiem regularnej kawaleryi, gdzie tylko zdarzyła się sposobność, gdzie tylko odkryło się miejsce, dokazywał cudów waleczności, i w jednym zdarzeniu bohater nasz, pod okiem naczelnego wodza tak się odznaczył, że po skończonej bitwie generał wyzwał go przed front, publiczną oddał mu pochwałę, i zaraz nazajutrz do krzyża i rangi porucznika przedstawić kazał.

Tak więc w połowie lipca 1834 roku, miał już Tadeuszek krzyż, miał porucznikowskie szlify, i gdy po raz pierwszy w nowiuteńkim mundurze, na dzielnym koniu, przesliczny oficer pokazał się w szwadronie swoim, wszyscy żołnierze krzyknęli uradowani, a oficerowie ściskali go i wieszowali sobie takiego kollegi.

O tych wszystkich powodzeniach doniósł matce i ojcu. List jego do Rozalii kończył się temi słowy: „Tak więc widzisz, najmilsza matko, że błogosławieństwo, którem od ciebie wyjeżdżając otrzymał, wydało owoce. Bóg wejrzał na męczarnie całego życia twego, przyjął już je, jako expijacye za twoje winy, i teraz daje ci tę wielką radość, jakiej zapewne doznajesz, gdy czytasz o powodzeniach twego dziecka, gdy widzisz, że ludzie cenią więcej jego zasługę, niż warta, kochają je więcej, niż na to zasłużyć może. Czemuż nie mogę teraz upaść do nóg twoich, oblać łzami wdzięczności twoje ręce, otoczyć cię wszystkimi staraniami, jakich potrzebujesz w twém życiu samotném i pustelniczém, ucieszyć oczy twoje widokiem syna, który teraz wcale inaczej wygląda, niż w tej chwili błogiej i okrutnej, gdy płakał na twojem łonie, gdy ty, zstępując z godności matki, stałaś przed nim, jak przed sędzią twego życia, i tuląc do ust jego rękę, błagałaś go, aby ci przebaczył i cię uniewinnił? O, najmilsza matko! teraz dopiero czuję, jak krótko byłem z tobą, jak do wszelkiego szczęścia, które mnie otacza, jak do miłości tych dobrych ludzi, z którymi żyję, z którymi idę na śmierć, i z których każdy gotów

„mnie piersiami swemi zasłonić, nie dostaje mi twojej drogiej twarzy, twego wejrzenia, twego uśmiechu, twego słodkiego głosu, któryby mi powiedział:—synu! kocham cię, i zawsze cię kochałam!—Ciągniony do ciebie tą tęsknotą, której niczem ukoić nie mogę, chciałem wziąć urlop, i przelecieć z bijącym sercem tę ogromną przestrzeń, która nas rozdziela. Ale, choć mam do tego prawo, jako oficer, dwie ważne wstrzymują mnie okoliczności. Hippolit już musi być w domu. Biedna matko! znasz go dobrze, wiesz że jego charakter i serce jest przyczyną całej twój męczarni i mojego tułactwa. Ja podałbym mu rękę; ale czyż on przyzna mnie za brata, czy zapomni mojego słusznego uniesienia, którym shańbiłem go publicznie? Serce jego nie podniesie się tak wysoko, i boję się aby zejście się nasze, zamiast radości, nie uderzyło serca twego śmiertelnym ciosem. Daruj, droga matko, że to piszę. Nie jest to wymówka, nie! Bóg widzi, że w moich oczach jesteś oczyszczoną, że cię uważam za ofiarę, że gdyby świat i egoizm tej kobiety, której ani kochać, ani szanować nie mogę, nie nałożył był na ciebie tych kajdan, któreś całe życie nosiła, byłabyś zawsze taką jedyną i nieocenioną matką, jaką teraz dla mnie jesteś. Druga okoliczność jest ta, żeśmy nieprzyjaciół naszych nie pokonali, ale tylko rozdrażnili tą wielką stratą, jaką w ostatniej bitwie ponieśli. Zbierają się teraz w trzy razy większym tłumie, ozuchwalili się do tego stopnia, że o kilka mil za Kubań przebiegają, roznosząc w siedzibach kozackich i ormiańskich rabunek i pożogę. Za kilka tygodni uderzymy na nich całą siłą, i pójdziemy ich szukać w góry, niosąc straszliwy odwet. Nie wypada mi uciekać przed tą wielką wyprawą, która się gotuje. Jeżeli z niej wyjdę szczęśliwie, jeżeli Bóg przeznaczył mi jeszcze, abym zobaczył i ciebie, najmilsza matko, i tę ziemię, na której urodziłem się, i tych ludzi, którzy przyjęli i ukochali sierotę, wtedy uwolnię się, pośpieszę do was; wtedy zjedziemy się, droga matko, pod tą szczęśliwą strzechą, gdzie znalazł drugich rodziców, gdzie mnie czeka najwyższe na ziemi szczęście; gdzie nie tylko ty mnie przyciśniesz do twego serca, ale i ta, której obraz obok twego w piersiach mych noszę, i której imię brzmi w duszy mojej równie słodko, jak twoje. A teraz, bądź zdrowa, najmilsza matko! Smutno mi, tęskno, że nie jestem przy nogach twoich, że z tak daleka przeselałam ci te słowa, które nie wiem, czy ci całą miłość moją wytlómaczą.“

Właśnie wtedy, gdy Tadeuszek list ten pisał, przyjechał z zagranicy Hippolit. W niczem się on nie zmienił. Zapomniał tylko jeszcze bardziej języka, którego nigdy dobrze nie umiał, nauczył się z politowaniem patrzeć na wszystko, co go otaczało, dumnie traktował ofycjalistów, którzy, jako przyszlęmu panu, nadszkakiwać mu zaczęli, i z matką nawet obchodził się niemal zimno; a chociaż jej nie uchy-



biał, nie okazywał wszakże ani serdecznego uszanowania, ani téj wyłanej miłości, jakiej biedna Rozalia potrzebowała, a do jakiej sarkastyczny i hardy młodzian nie był wcale zdolnym. Że się zaczął wdać do interesów, wszystko znajdował złém, wszędzie widział polską nieudolność i niedbalstwo, które to słowo ciągle miał na ustach; że Rozalia, chociaż widziała to wtrącanie się jego i wzdardliwe pomiatanie wszystkiém swoim, starała się tylko łagodnością i perswazyą przyprowadzać go do pobłażliwszego zapatrywania się na zaprowadzony u nas z dawna tryb życia i gospodarowania, zdało się niektórym oficyalistom, że pani nie śmie już w nic wdać się przy synu, że on wkrótce obejmie sam majątek, a matkę od rządzenia dobrami usunie. Znając jego charakter, pewni byli, że do tego bardzo prędko przyjdzie. Zaczęli więc pochlebiać się młodemu panu i z ploteczkami się do niego podsuwać. Tym sposobem doszła go wiadomość, że Tadeuszek rok temu był we dworze, że z panią kilka godzin był zamknięty, że pani po jego wyjeździe ciągle płakała, że Ówsikowski co miesiąc wozi do niego listy i wielkie przesła mu pieniądze. Zły, ale niegłupi młodzieniec, skombinował prędko wszystkie okoliczności, a wspomniawszy dawniejsze z nim obchodzenie się matki, wszystkie mniemane krzywdy, jakie od niego odbierał, a szczególnie ów policzek, którego śladów jeszcze nie zmył i który dotąd go palił, wszedł zachmurzony, z zasuniętymi brwiami, i bledszy niż zwykle, do matki, i rzekł:

— Dowiedziałem się téż, że ten urwis Bezimienny śmiał tu być przeszłego lata, i że go mama przyjęła.

Rozalia zbladła, i jakby załękniiona wpatrzyła się w niego, ale serce jój tak się raptownie ścisnęło, że głos uwiązł w jój gardle i słowa wymówić nie mogła. Mściwy młodzieniec, patrząc na ten stan matki bezbożném okiem, i znajdując w nim potwierdzenie swoich domysłów, zamiast ulitować się i umilknąć, dodał z przyciskiem:

— Wchodzę ja w to, że on mamę interesować może; nie dziwię się tym łzom, które tu mama za nim wylewała, nie mam nawet nic przeciwko téj korespondencyi, która się z nim prowadzi i przeciwko tym wielkim summom, które mu się co miesiąc posyłają; ale zapowiadam mamie, że jeżeli ten mój bezimienny braciszek tu się kiedy zjawi, to go każę w dyby zakuć i jak włóczęgę do sądu odstawię.

— O! niegodziwe dziecko! — krzyknęła wówczas Rozalia, takim głosem, że krew zastygła w sercu zuchwalca, który śmiał temi słowy uderzyć w pierś własnej matki. Przeląkł się on sam siebie i uciekł, jakby go mściwe furyc ścigały, a nieszczęśliwa kobieta, widząc we własnym synu wcielenie téj kary bożej, która się jój za wyklamaną u świata cześć należała, upadła na kolana, i ledwie w parę godzin zdjęły ją z tego miejsca sługi, i prawie martwą i zaklesną ocuciły i położyły do łóżka. Od téj chwili nie widziała go już, a chociaż Hip-

polit prosił o pozwolenie wejścia, i pisał tłómacząc się i błagając o przebaczenie, nie mogła znieść jego widoku, i listy jego odsłałała mu nietknięte.

W takim stanie znajdowała się Rozalia, gdy ją doszedł list Tadeuszka. Słowa te serdeczne, były jakby echem z wyższego i lepszego świata, gdzie jest ulga, gdzie jest miłość, gdzie jest przebaczenie winy, gdzie wycierpiane męczarnie liczą się biednej grzesznicy, i lzy jej idą na wagę. Przeczytawszy je, zboliała matka porwała się z łóżka, wyzdrowiała pod urokiem tego głosu kochanego dziecka, przed którym stokroć więcej zawiniła; obraz cudnego młodzieńca stanął przed nią jak żywy, niebezpieczeństwa walki zawziętej, która się gotowała, wyobrażały się jej w całej zgrozie, i niewypowiedziana tęsknota widzenia go i wypłakania się jeszcze na jego męskiej i szlachetnej piersi, ogarnęła jej duszę. Zrobiwszy więc co prędzej wszystkie rozporządzenia, wzięła z sobą Owsikowskiego, kazała zabrać wszystkie pieniądze, jakie były w kassie, spaliła całą swą korespondencję z generałem, zabrała z sobą wszystkie swe klejnoty i nie widziawszy się nawet z synem, któremu wyznaczyła pensję, i który nie wiedział, co te przygotowania znaczą, na drugi dzień po odebraniu listu Tadeuszka, pojechała na Kaukaz.

Chociaż pora była przesłiczna, karetą lekka i wygodna, i droga w tych stepowych krajach doskonała, przecieź dziesiątego dopiero dnia stanęła Rozalia w Stawropolu, główném mieście kaukazkiego kraju, z téj strony gór leżącego. Czuła się niezmiernie sfatygowaną, gdyż im bliższą była miejsca, tém cięższa dręczyła ją tęsknota, tém groźniejsze przewidzenia opadały macierzyńskie jej serce, i tém prędzej i ciąglej jechać kazała. Napróžno Owsikowski błagał ją, aby sobie wypoczęła, aby nocowała. Na te jego prośby i perswazye odpowiadała stale: On tam może już poszedł w góry, może go już nie zobaczę. Nie śniał nalegać pocziwy starzec, którego niecierpliwość zobaczenia drogiego chłopca była niemniejsza, i którego serce niemniejszym dręczone było niepokojem.

Gdy stanęli przed domem pocztowym w Stawropolu, i Rozalia weszła do pokoju pasażerów, zastała tam przechadzającego się oficera, którego obejście, ułożenie i mundur zwróciły jej uwagę. Spozrzegłszy wchodzącą damę w czarném ubraniu, poważnej i pięknej jeszcze twarzy, i w której całej osobie było coś wrażliwego uszanowanie, zdjął natychmiast swój kaszkiet, położył fajkę, którą palił, i podawszy jej z grzecznością krzesło, prosił, aby usiadła i odpoczęła. Gdy po chwili wszedł Owsikowski, i zapytał ją, jak długo tu zabawia, i czy nie każe sobie co przynieść do posilenia się, oficer przystępując z grzecznością, zapytał dobrą francuzczyzną: — czy jest Polką? i czy jedzie do wód do Piatyhorska?

— Jestem Polka — odpowiedziała Rozalia — ale nie do wód ja-  
dę. Mam tu krewnego w korpusie kaukazkim, którym się opiekuję  
i którego pragnę widzieć.

— W jakim pułku, jeżeli wolno zapytać? — rzekł oficer.

— Był w drugim szwadronie Niżegrodzkiego dragońskiego pułku  
— rzekła Rozalia, patrząc niespokojnie w oczy oficera. — Teraz pi-  
sze mi, że awansował na porucznika, ale nie dodał, w którym szwa-  
dronie umieszczony.

— Czy nie nasz piękny bohater, Tadeusz Bezimienny? — zapy-  
tał oficer.

Rozalii puściły się łzy strumieniem; usiadła, zakryła oczy chustką  
i słowa wymówić nie mogła. Oficer sądząc, że ją jaką złą wieścią  
strwożono, przystąpił ze współczuciem i dodał:

— Niech się pani o niego nie trwoży, jest to mój kochany kolega  
i podkomendny; wczoraj rano zostawiłem go w twierdzy Grygoryo-  
polis, ztąd o 85 wiorst odległej, i zdałem mu szwadron, którym  
komenderować będzie do mego powrotu. Mogę panią upewnić, że  
go zostawił zdrowym i w najlepszym usposobieniu zdobycia szlif ge-  
neralskich, które go pewnie nie miną, jeżeli jeszcze dziesięć lat pożyje  
i pójdzie mu służba równie szczęśliwie, jak dotąd.

Rozalia podała mu rękę, ścisnęła jego dłoń z uczuciem za taką po-  
chwałę i wiadomość, prosząc aby usiadł, i dał jej o Tadeuszkuzku więcej  
szczegółów.

Rotmistrz Ustinow polubił bohatera naszego od pierwszego wstą-  
pienia jego do pułku. Nie mógł znaleźć dosyć słów na pochwałę je-  
go postępowania, jego odwagi i téj miłości, jaką ma u wszystkich swo-  
ich kolegów i u swoich zwierzchników. Uwiadomił on Rozalią, że  
teraz kwatery szwadronu jest w téjże twierdzy, gdzie go zostawił, i do  
której już tak niedaleko. Zakubańscy górale — mówił — pomimo  
klęski poniesionej w maju, niesłychanych dopuszczają się ekscesów,  
do tego stopnia, że niedawno jednego z wyższych oficerów, mającego  
polecenie zwiedzać Nadkubańskie twierdze, odbili od konwoju i w nie-  
wolę zabrali. Z tego powodu, dla wzmocnienia straży granicznej  
i utrzymania w czujności wojennej linii Kozackiej, odkomenderowane  
są dwa szwadrony naszego pułku i rozlokowane w całej długości tej li-  
nii, począwszy od głównej kwatery, aż na Ust-Łabińską twierdzę.  
Mój ma obowiązek czuwać na przestrzeni 60-ciu wiorst, od twierdzy  
Kaukazkiej, aż do tak nazwanego Silnego-Okopu. Po téj odległości  
przejeżdżamy się w kilkadziesiąt koni, i rzadko nam się zdarza spo-  
tykać z góralami, bo nas nie lubią — dodał z uśmiechem.

Wiadomość ta nie uspokoiła stroskanéj matki, a bliskość syna po-  
dała jej nieopisaną chęć zobaczyć go jak najprędzej. Zapytała więc  
rotmistrza, kiedy wraca do pułku. Odpowiedział jej, że jedzie do

Woroneża, i że dopiero za parę tygodni wracać będzie. — Bardzo żałuję — dodał — że tak się stało, bo tym sposobem Tadeusz nie będzie mógł się uwolnić, żeby tu do pani przyjechał, aż do mego powrotu.

— O! to ja pojedę do niego — odpowiedziała z odwagą i czuciem, które młodego oficera zastanowiło.

— Trochę to droga niebezpieczna dla kobiety — odpowiedział oficer; — wszakże, gdybyś, pani ztąd wzięła silny konwój, przynajmniej do naszej linii, tam mogłabyś pani spotkać moich dragonów, a ci dowiedziawszy się, że jesteś krewną ich faworyta, zasłoniliby panią pewnie swemi piersiami. Mam jeszcze godzinkę czasu — dodał, patrząc na zegarek — i jeśli pani pozwoli mi się tém zająć, mógłbym pani wyjednać u tutejszych władz konwój dostateczny i pewny.

Rozalia ze łzą w oku podziękowała za tę usłużność, w owych stronach zupełnie nie dziwną, zwłaszcza dla dam w tak niebezpieczne okolice puszczających się, a oficer popatrzywszy na nią ze współczuciem, i jakby z domyslnością, ukłonił się i wyszedł. W godzinę wrócił z asawulą kozackim, który z polecenia starszych miał ją konwojować z dwudziestoma kozakami do Silnego Okopu, a ztamtąd, wzmacniając konwój na stacyach wojennej linii, nie odstępować, aż do spotkania z oddziałem dragonów, linię tę lustrujących. Na wszelki przypadek, dał rotmistrz asawule kartę do oficera lub wachmistrza, któryby oddział prowadził, polecając ich pieczy damę, udającą się do Grygoryopolis, dla widzenia się z porucznikiem Tadeuszem Bezimiennym. Z serdeczném uczuciem, podziękowała jeszcze raz Rozalia pełnemu grzeczności oficerowi za jego interesowanie się, a on, przykazawszy asawule baczność, i obiecawszy w jej imieniu sowitą nagrodę jemu i jego ludziom, pożegnał ją, i w dalszą puścił się drogę.

Ponieważ do pomienionej twierdzy jest ze Stawropola pięćdziesiąt pięć wiorst, równie kozak, jak i Owsikowski, radzili Rozalii przemocować i wyruszyć dopiero o świcie. Tak się też i stało. Stary koniuszy dopilnował pocztylionów, konwój przybył w porę kozakom, którzy zdawali się dzielni i pełni ochoty; dano na wsiadaném każdemu po parę rubli; Owsikowski położył krzyż przed końmi, a Rozalia, westchnawszy do Boga, aby jej pozwolił dopełnić tak świętej powinności, i za dawniejsze zaniedbanie tak drogiego dziecka nie karał, wsiadła do powozu i równo ze dniem wyjechała.

Droga ta dziwna na niej robiła wrażenie i najrozmaitszemi napełniała ją uczuciami. Prędko stanęła przed jej okiem zdumioném ta olbrzymia przegroda, którą przyroda między Europą i Azją położyła. Kraj żyzny, ale dziki i pusty, rozlegał się na około niej: dalej, na podgórzu, czerniały zdala te ogromne puszcze, gdzie odwieczne dęby, olbrzymie buki i jawory, jesiony i brzozy, wiążąc z sobą cieniste swe głowy, nieprzejrzanym cieniem okrywają ziemię i two-

rzą nieprzebyte kryjówki. Wyżej i wyżej, za falami szumiącej Kubani, podnoszą się boki rozległego Kaukazu, czarne, posępne, głębokie, a w miarę podnoszenia się i oddalania coraz siwieją, mieszają się z chmurami, które się po ich szczytach przechodzą, sterczą tu i owdzie nagim granitem, aż póki nie podejżą do granicy nieba, gdzie błyszczą wiecznie śnieżnym nakryciem, i lodowe głowy nad cały obszar podnoszą.

Chociaż dręczona niepokojem i licząca minuty, które ją do syna zbliżały, nie mogła jednak oderwać oczu od tak wspaniałego widoku. Mimowolna modlitwa wyrwała się z jej duszy, a ogarniała ją razem nadzieja i trwoga. Trwoga ta powiększała się coraz, im bardziej się zagłębiali to w parowy, to w lasy, — im dzikszym stawał się kraj, im posępniejsze postacie przesuwały się kiedy niekiedy konno, i do okien jej powozu zaglądały. Wtedy Rozalia, z tym naturalnym instynktem kobiety, która w podobnych okolicznościach szuka odwagi w twarzy mężczyzny, obracała oczy na Owsikowskiego, jakby prosząc, aby ją umacniał i utrzymywał. Owsikowski był odważny: jawne niebezpieczeństwo i jemu tylko grożące, niezdolneby go było ustraszyć; ale tu, gdzie wszystko zdawało mu się tak obcym, tak dziwnym, gdzie nic nie można było przewidzieć, na nic się przygotować, nie mogąc wlać w nią ufności, której sam nie miał, milczał, i patrząc tylko w okna karety, szarpał siwe swe wąsy i mruczał na kozaków, z którymi nie mógł się dobrze rozmówić, że zostawali z tyłu, to wyprzedzali powóz, to który odzywał się jakimściś podejrzaniem gwizdaniem, lub wdawał się w rozmowę z jakim przejeżdżającym, którego twarz ogorzała, kosmata czapka, burka na plecach i strzelba z tyłu wisząca, nie wrażały zaufania.

Tak przyjechali do stacyi, leżącej o kilkanaście wiorst przed twierdzą, do której dążyli. Tu kozacy popaśli swe konie; z wielkim trudem i za znaczną summę znalazły się inne konie do karety, i Rozalia, wyruszywszy o południu, bez żadnej przygody, w półtorej godziny potem pod Silnym Okopem stanęła. Ztąd już szła droga linią wojenną, ciągnącą się wzdłuż z brzegiem rzeki na parę wiorst od jej koryta. Kiedy niekiedy jechało się tam po równej płaszczyźnie, czasem wśród szumiącego nad brzegiem lasu, czasem na zakrętach rzeki widzieć można było jej fale i słyszeć ich jednostajne pluskanie o brzeg wysoki i zwykle w tych miejscach urwisty. A z tamtej strony pokazywały się wszędzie, to strome skały, to głębokie puszcze, to wyniosłości malowniczo zaginające się, lub śmiało wyskakujące do zastraszającej oko wysokości. Ale wszelka piękność potrzebuje bezpieczeństwa, potrzebuje spokoju duszy, aby mogła być dostrzeżoną, uznaną i uczutą. Podróżni nasi zbyt byli zajęci obecnym położeniem swojém; miny kozaków, których orszak wzmocnionym jeszcze został

dziesięcioma ludźmi, odkomenderowanymi aż do Carycyńskiej twierdzy, były zbyt zafrasowane i jakby okazujące trwogę, — aby wszystkie cuda, które tu natura szczerą rozrzuciła ręką, mogły ucieszyć ich wzrok i podnieść ducha. Jedna tylko okoliczność dodawała odwagi Rozalii i Owsikowskiemu, i tę biedną matkę, którą przeznaczenie w tak dalekie zagnało strony, i jakąś gorączkową napełniło niecierpliwością posuwania się naprzód, ożywiła nadzieją prędszego jeszcze obaczenia syna, do którego serce jej gwałtownie się wyrывało. Kozacy, konwojujący ją od Stawropola, dowiedzieli się od straży pod twierdzą czuwającą, że oddział dragonów z kilkudziesięciu ludzi złożony, pod komendą oficera, był tu niedawno, i dobrze odpocząwszy, napowrót pojechał. Ucieszeni tą wiadomością, pragnący co najprędzej zbyć się ciężaru, który na nich włożono, zdać według rozkazu konwojowanie osoby oddziałowi dragońskiemu, postanowili wybrać z pomiędzy siebie trzech najśmielszych kozaków i puścić ich w pogoń za dragonami, z kartą ich rotmistrza, aby się przynajmniej zatrzymali na miejscu, jeśliby powrócić nie chcieli. Oddzielił więc asawuła trzech, mających najlepsze konie, i ci, uderzywszy w nahajki z piskiem i świstem, puścili się co konie mogły wyskoczyć.

Owsikowski zmieształ się tym podejrzanym manewrem, ale gdy się dowiedział, o co idzie, i gdy wiadomości téj Rozalii udzielił, uniesiona radością i pewna, że tym oficerem nie jest kto inny tylko Tadeusz, rozdała pieniądze pomiędzy kozaków, sownie udarowała zwoszczyka, i kazała śpieszyć, ile tylko można było po drodze złej i nierównej. W takich uczuciach, w takim pośpiechu, z biciem serca jadąc, i zapomniawszy prawie o niebezpieczeństwie, na pół drogi między dwiema twierdzami, wjechali w miejsce krzaczyste i przez deszczowe potoki poprzeryzane. Raptem spostrzegł Owsikowski, że dwóch kozaków, którzy przodem jechali, nazad śpiesznie się wrócili. Ci co otaczali powóz zmieszali się, zaczęli coraz głośniej między sobą rozmawiać, szykować strzelby, wydobywać z olster pistolety, i wołając na woźnicę, aby zawracał, zacinali sami konie, chcąc co prędzej wyjść z zarosli i zdążyć na otwartzsze miejsce, które je poprzedzało. Owsikowski wziął za rękę pobladłą i strwożoną Rozalię, i tylko co chciał wymówić parę słów uspokojenia, gdy się rozległ huk wystrzału; zwoszczyk zabity na miejscu upadł, a w téjże chwili kilkanaście kul z za krzaków i z parowów puszczonech z ośmiu kozaków zważyło z koni. Krzyk okropny powstał między obrońcami biednej kobiety, która w pół żywa leżała w kącie powozu, modląc się i oczekując swego przeznaczenia. Wkrótce ukryty nieprzyjaciel ponowił strzały, a kozacy, zmniejszeni do trzeciej części, nie widząc wroga, który ich raził, w różne rozbiegli się strony. Kilku puściwszy konie całym pędem, z szablą w jednej ręce, z pistoletem w drugiej, puściło się naprzód dla przy-

zwania na ratunek oddziału dragońskiego; dwóch poleciało napowrót do stacyi, aby tam rzucić alarm, a kilkunastu, którzy pozostali przy powozie, zaczęli śmiertelną walkę z góralami, którzy, z dziką i szyderską fizyognomią, w mgnieniu oka wyrosli z gęstwiny, i na dzielnych i szybkich swych koniach otoczywszy piorunem powóz i konwój, wsile znacznie przemagającej, wszelki opór uczynili daremnym i bezskutecznym.

— O mój Boże! nie karz mnie tak! — jęknęła Rozalia. Owsikowski załamał ręce milcząc, jakby skamieniały, patrzył tylko boleśnie na nieszczęśliwą kobietę, a Zakubańcy, powiązawszy kozaków, którym kazali zsiąść z koni, wyciągnawszy z karety Owsikowskiego i skrępowawszy go także, zawrócili konie, a śmiejąc się i szydząc, że tak łatwo im się udało, prowadzili jeńców swych na otwarte miejsce z zarosli, któredy łatwiej karete mogli sprowadzić do brzegu rzeki. Tam mieli ją obedrzeć i popsuć, a z jeńcami przeprowadzić się przez bród, który im tylko był wiadomy. Ośmieleni tém, że oddział regularnej kawaleryi, którego się bali, przeszedł już i nie tak prędko powróci, szli śmiało, i żartując sobie z swych jeńców, dążyli zwolna do brzegu. Już niezbyt dalekim był wielki las, nad samą rzeką sterczący, gdzie ostateczny rabunek miał się dokonać, gdy nagle dał się słyszeć z dala jakby huk oddalonej chmury, która grozi piorunem. Huk ten coraz wyraźniejszy, zbliżał się z nadzwyczajną szybkością, i wkrótce można było poznać, że to jest tentent koni, unoszących zbrojnych jeźdźców i całym pędem puszczonych. Nieupłynęła chwila, a pokazał się tuman kurzawy wzbitej kopytami, zbliżający się z szybkością uraganu. Górale domyślili się, co to znaczy. Że ich było z osiemdziesięciu, usunęli na stronę karete, wyciągnęli z niej na pół umarłą Rozalię, i jedni zaczęli odrzynać pakunki, odbijać kuferki i wyrzucać rzeczy, inni uprowadzali jeńców ku lasowi. Kilkudziesięciu najśmielszych uszykowało się, wymierzywszy wierne strzelby, i mając w pogotowiu te śmiertelne szaszki, których cięcie tak straszliwe i pewne. Ale postawa ta nie ustraszyła nadbiegających dragonów: pęd ich nie zmniejszył się, mimo strzałów z obojęd strony puszczonych. Uderzyli oni z pałaszami w rękę na pędzących także do ataku górali. Na czele ich leciał młody oficer, z twarzą cudnie piękną i straszliwie groźną. Rzucił on się w sam środek szyku, który w mgnieniu oka złamał się i zmięszał. Górale, straszniejsi w pojedynczych walkach i w rozsypce, uchodząc w bok, i uginając się, jak węże, powracali co chwila do ataku na szybkich swych, ale silnego natarcia nie mogących wytrzymać koniach. Wszakże ani męstwo, ani zręczność nie zdołały ocalić tych, co wpadli pod pałasz rozjuszonych żołnierzy, idących ślepo za swym nieustraszonym przywódcą. Tym sposobem doszli dragoni aż do tego miejsca, gdzie byli jeńcy.

Tam zbiegli się także wszyscy górale, chcąc bądź co bądź łup swój uprowadzić. Przystąpił tam pierwszy ów młody oficer, spostrzegł kobietę, którą góral ciągnął za rękę, a obejrawszy się na swoich, i ukazując im ją pałaszem, krzyknął przeraźliwie: — To matka moja! — I nie wyszło parę minut, a zuchwalec szarpiący nieszczęśliwą Rozalię, leżał już bez życia: napastnicy złamani i rozproszeni uciekli do lasu, obracając się jeszcze, i puszczając za goniącymi ich żołnierzami niepewne już strzały. Zwycięstwo było niewątpliwe, radość kozaków nadzwyczajna, ale gdy bohater nasz, rzuciwszy zakrwawiony pałasz, wyciągał ręce do klęczącej o kilka kroków Rozalii, świstnęła ostatnia kula i uderzyła w tę pierś heroiczną, tak pełną miłości i odwagi. Pochwiał się młodzieniec, krzyknęli żołnierze, którzy go w mgnieniu oka otoczyli i na ręce swe przyjęli, a Rozalia, wydawszy ten jęk, który tylko z serca matki wyjść może, upadła na ziemię bez zmysłów. Gdy w pół godziny potem otarła oczy, leżał przy niej Tadeusz na łożu, z płaszczów żołnierskich usłanem; w głowach jego klęczał Owsikowski ze złożonemi do modlitwy rękami, w około stali dragoni z pochyloną głową, i łzy płynęły po ich ogorziałych i zarosłych twarzach, za niemi byli kozacy, uwolnieni z więzów i trzymający ich konie, a dalej straż kozacka, która przybiegła z Silnego Okopu, lustrowała to nieszczęśliwe miejsce, i zbierała trupy i rannych. Na całą tę scenę padał promień zachodzącego słońca, boki Kaukazu oświeciły się dziwnie urozmaiconem światłem, śniegi na szczytach wydały się białsze, a daleki Elbrus okrył się żywą i wyrazistą tęczą, która lodowatą głowę jego, jakby różnokolorową wstęgą obwiodła.

Tadeusz żył jeszcze. Rozalia, spojrzawszy na jego twarz, nawet pod tą śmiertelną bledością tak cudnie piękną, nachyliła się nad nim, i z jękiem wymówiła jego imię. Młodzieniec otworzył oczy, spojrział na matkę łagodnym i jakby ucieszonym wzrokiem, uśmiechnął się jeszcze, jakby chciał jej powiedzieć, jak mu słodko za nią umierać, i gdy Rozalia objęła jego głowę i na twarz jego upadła, podniósł jeszcze ręce, przycisnął ją do siebie, i w jej objęciu skonał.

Tak skończył Tadeusz Bezimienny krótki swój, ale pełen znaczenia zawód. Jeżeli czytelnicy ciekawi co się stało z innemi osobami, któremi ich tak długo zajmowaliśmy, niech raczą jeszcze przerzucić te ostatnie karty, a znajdą bez wątpienia, że społeczność ludzka idzie niezmiennie tą drogą, jaką jej Opatrzność wytknęła; że na tej tylko drodze leży prawda i szczęście ziemskiego życia; że żadne wysilenie, ani rozumu, ani woli, nie zdoła wybawić tego, kto z niej schodzi, i bez praw bożych szuka grzesznej uciechy, a bez prawdy o cześć ludzką się dobija.

Zwłoki młodzieńca, tak przedwcześnie zgasłego, odprowadzone zostały do Grygoryopolis, gdzie była kwatera szwadronu. O parę wiorst od



twierdzy, wybrano piękne miejsce, na niewielkim, zielonym i foremnym pagórku, z kąd odkrywał się czarujący widok na kraj przyległy i na olbrzymie boki Kaukazu. Tam zebrał się cały szwadron, i z honorami wojskowemi młodego bohatera swego pochował. Oficerowie i żołnierze uczcili obrzęd ten szczerym żalem i łzami przyjaźni i uwielbienia, które tak zdobią męzkie twarze i tak zaszczycają serca, gardzące śmiercią i niebezpieczeństwem. Gdy go schowano i zarzuciono ziemią, wszyscy rzucili się do roboty, i na szczycie pagórka podnieśli jeszcze własnymi rękami wysoką mogiłę, odarniowali ją, dali sobie słowo, że ją na pamiątkę utrzymywać będą w tym stanie porządku i całości, póki tylko pułk ten na Kaukazie służyć będzie, a wszyscy bliżsi przyjaciele, którzy się tam znajdowali, kazawszy przygotować i wnieść na wierzch mogiły wielki kamień, wryli na nim własnymi rękami te słowa: *Tadeusz Bezimienny*.

Nie będziemy opisywać stanu Rozalii. Uszanowanie, należące się każdej wielkiej boleści, nie dozwala nam podnieść téj świętej zasłony, pod jaką spełnia się tajemnicza ofiara serca, które wszystkie swe nadzieje, wszystkie miłości ziemskie, składa na ołtarzu pokuty i w miłość karzącego i sprawiedliwego Boga zamienia. Jak zwykle w takich razach, znalazła ona w sobie więcej mocy, niż się sama spodziewała. Obecna była całemu obrzędowi, i pożegnawszy drogą mogiłę, pod którą zamknęło się wszystko, co mogła kochać i czego żałować na ziemi, udała się napowrót do Stawropola, a ztamtąd przybywszy do Rostowa, wsiadła na okręt, i po długiej a przykrzej żegludze przyplłynęła do Odessy. Tam zrobiła rozporządzenia tyczące się majątku, który się jój dostał po mężu. Ogólną plenipotencję do rządzenia nim i dysponowania dochodami, według oddzielnéj instrukcyi, dała Owsikowskiemu. Synowi wyznaczywszy 25 tysięcy rocznie, aż do swojej śmierci, wzbronila zupełnie wtrącać się do gospodarstwa, i nic nad wyznaczoną summę brać nie pozwoliła. Dla siebie kazała przysłać niewielką część dochodu, resztę zaś obracać na edukację sierot, których wybór miał zależeć od Owsikowskiego i Anny, a których imiona i ilość wydanych na nie pieniędzy, miał jój Owsikowski corocznie przesłać. Na przypadek, gdyby śmierć starego koniuszego uprzedziła jej zgon, wszystkie jego obowiązki i prawa przelewała na pana Karpińskiego. Jedną najmniejszą, ale do utrzymania familii dostateczną wieś, darowała żonie Owsikowskiego i jego dzieciom, sporządziwszy urzędowy akt, którym zupełne dziedzictwo téj wsi po jój śmierci miało im być przysądzone. Te były najpierwsze i najświętsze obowiązki, których po przybyciu swém do Odessy dopełniła. Owsikowski płakał jak bóbr, patrząc na tę kobietę poważną, niby spokojną, i z przytomnością umysłu, która go przerażała, rozbierając wszystkie okoliczności tych rozporządzeń, które jój święcie wypełniać

na cienie zgasłego młodzieńca przysiągł. Gdy wszystko to było ułożone, spisane, wszelkiemi formalnościami prawomocnie stwierdzone, wtedy Rozalia wzięła się do pisania listów. Generał znajdował się wówczas w Odessie. Przyjechał on tam na rozkaz księżny Castiani, wdowy po owym niegdyś adjutancie swym i przyjacielu, której nadzwyczajna piękność, zimne serce i świetne talenta, zawróciły do tego stopnia głowę tego znakomitego starca, że się stał jój niewolnikiem i nawet ożenić się z nią zamierzał. Związki hrabiego z Rozalią dawno się już przerwały, ale został stosunek przyjaźni, który, zwłaszcza ze strony Rozalii, był tém gorętszy, że go kochała wyłącznie, jedynie, i chociaż tylko kilkanaście razy w życiu widzieli się z sobą, miłość jój nie zmniejszała się oddaleniem i nie ostygła ani na chwilę. Dopiero przed wyjazdem swym do Włoch, dowiedziała się ona o związkach jego z księżną Castiani, i o tym despotyzmie, z jakim ta sławna kokietka, o władnawszy starym Lowelasem, afszowała jego dla siebie słabość. Od tej chwili ustała wszelka korespondencya, i serce jój, obrażone w tém jedyném uczuciu, które, chociaż zrobiło ją występłą i życie jój zamieniło na ciągłą męczarnię, było jój jednak tak drogiem, starało się wyrzec wszelkiej o nióm wzmianki. Po czterech latach zupełnego milczenia, był to pierwszy list, który Rozalia wręczyła Tadeuszowi, aby go ojcu oddał. Teraz napisała do niego drugi. W nim podziękowała mu za opiekę nad drogiem ich dzieckiem, za zasilki, jakie mu posyłał; odmałowała całą wartość tego złotego serca, które teraz przyciska mogiła na dalekiej ziemi; opisała okoliczności jego śmierci, powód, jaki ją na Kaukaz zaprowadził, a nareszcie zrobiła krótką, ale pełną bólu wzmiankę o złém sercu i niewdzięczności drugiego swojego syna, nad którym tak troskliwie czuwała, którego uczucia starała się pielęgnować, a który przecież stał się narzędziem téj zasłużonej kary, jakiej się z pokorą poddaje. Kończąc, opisała generałowi przywiązanie, jakiego Tadeuszek za życia i po zgonie od swoich kolegów doznawał, i przesławszy mu nazwiska wszystkich oficerów jego szwadronu i niektórych żołnierzy, prosiła go usilnie, aby swoim wpływem starał się im odplacić ich przychylność i do promocyi i awansów pomógł. Generał, odebrawszy ten list, przejęty niewymownym żalem, przyjechał do Rozalii, ale go nie przyjęła, i mimo kilkakrotnie powtórzonych odwiedzin i chęci podzielenia się wspólną boleścią, widzieć się z nim nie chciała. Następnie, napisawszy krótki list do syna, i długi, pełen czucia, pełen czci i wdzięczności do Anny, której serce, której życie, której zamiary poznała z notat Tadeusza, z jój listu i listu Józia, co się wszystko pomiędzy papierami jego znalazło; pożegnawszy Owsikowskiego, który rzucił się jój do nóg z takim bólem, iż go ledwie po kwardransie podnieść zdołano; obdarzwszy szczerze pocziwego Zacharka, Maksyma i jego żonę, wsia-

dła na okręt i pojechała do Rzymu. Tam osiadła w surowym klasztorze zakonnicy Santa Francesca Romana, który się posepnie wznosi na drodze do Kolizeum. I odtąd przez wiele lat, widziano co sobotę poważną kobietę, w czarnej grubej sukni, z odkrytą twarzą, idącą bosą do kościoła Dominikanów, znanego pod nazwiskiem Santa Maria Sopra Minerva, rozdającą przy wyjściu szczodre jałmużny, kłęczącą przez całe nieszpory przed pomnikiem marmurowym, na którym był napis: Klemens C\*\*; a gdy się nieszpory skończyły, zamiatającą ten kościół wraz z innymi biednymi kobietami, które wszystkie, po skończeniu roboty, otaczały ją, odbierały od niej zasiłek tygodniowy, i prosząc Boga, aby dobrej grzesznicy przebaczył, odprowadzały ją do domu.

List jój do syna zamykał tylko te słowa: — „Byłeś zawsze źródłem mego zmartwienia. Nie dałeś mi nigdy żadnej pociechy, jakiej matka po dziecku swém spodziewać się może. Bezbożnym słowem zraniłeś to serce, któremu od ciebie należała się miłość i wdzięczność. Nie obwiniam cię, bo widzę w tém karzącą rękę Bożą, która, mimo wszelkie moje starania, tajemne łzy i modlitwy, zostawiła ci złe i niewdzięczne serce. Nie zobaczysz mnie więcéj, i nie staraj się do mnie przybliżyć, ale staraj się żyć dobrze i szanować moje rozporządzenia. Póki mnie Bóg zostawi przy życiu, nie będziesz władał majątkiem, jaki posiadam z łaski męża, któremu cię narzucilam. Pamiętaj o tém i ucz się pokory. Jeżeli ośmielisz się podnieść głowę i powstać przeciwko mojej woli, opierając się na tych prawach, którem dla ciebie kosztem spokoju i sumienia przywłaszczyła, zniszczę je odkryciem publiczném mojego wstydu, i całą tę ogromną spuściznę człowieka, którego oszukała, oddam jego familii. Com ci naznaczyła aż do mojej śmierci, to ci wystarczy. O każdym kroku twoim wiedzieć będę. Pamiętajże, abym umierając przebaczyć ci mogła. Inaczéj, zniweczyłbyś cały owoc mojej pokuty, i wówczas byłbyś podwójnie występny.“

Hippolit, przeczytawszy ten list, zamknął się, i całe dwa dni nie spał i nie jadł, tak go przeraziły słowa matki, a szczególnie odkrycie, jakie zrobiła, i ta groźba, którą jój rozpacz podyktowała. Trzeciego dopiero dnia, przywoławszy Owsikowskiego, i dowiedziawszy się o wszystkich szczegółach jój podróży i o powodach, które ją do opuszczenia kraju skłoniły, gdy się przekonał, że wszystkie papiery, które mu stary pokazał, są formalne, że sprzeciwienie byłoby niedorzecznością, udał, że szanuje wolę matki, kazał sobie wypłacić część swojej pensyi, pałac zamknąć, i wybraawszy najlepszą czwórkę, najporządniejszy powóz i najrzęczniejszych dwóch ludzi, czego mu Owsikowski nie bronił, do Białobrzyniec pojechał.

Gdy się hrabina o wszystkiém dowiedziała, gdy przeczytała list

Rozalii do syna, usiadła na kanapie, oparła ubieloną przez siedemdziesiąt kilka lat głowę o jej poręczę, i podniosłszy oczy w sufit, z otwartą gębą i z tabakierką w rękę, tak przez kilka godzin siedziała. Ocknawszy się z tego odrętwienia, zadzwoniła i rzekła do wchodzącego Francuza:

— *J'écrirai une lettre.*

— *C'est bien, madame la comtesse* — odpowiedział, i przyrzędziwszy jej wszystko do pisania, wziął lichtarzyk ze świecą. Hrabina chciała się podnieść i nie mogła. Pomógł jej Francuz, i z wielkim trudem do fotelu doprowadziwszy, posadził i wyszedł. Gdy w pół godziny potem, sądząc że list już gotowy, wrócił z zapaloną świecą, zastał w krześle trupa, z głową opartą o poręcz, z otworzoną gębą i z tabakierką w rękę. Na papierze zaś przygotowanym na list, były tylko te słowa: „Moja córko! zrobiłaś wielkie głupstwo. Kobieta, jak ty urodzona, powinna pamiętać.....“ dalej były znaki nieczytelne, które już omdlewająca ręka nakreśliła.

Hippolit sprawił babce wspaniały pogrzeb, kazał jej postawić pomnik pełen okazałości i przepychu, i wszedłszy w posiadanie Biało-brzyniec, jako jedyny dóbr tych dziedzic, mieszkał odtąd w starożytnym przodków swych zamku, który co roku oporządzać i od ruiny bronić usiłował.

A w Kalinowie? — Tam po przeczytaniu listu Rozalii, który Owsikowski sam zawiózł, łzy serdeczne zalały wszystkie oczy, i poczciwe serca długa zaległa żałoba; tam codziennie rozmawiano o Tadeuszu i jego biednej matce; tam często odczytywano jej słowa pełne wdzięczności, i rozważano jej gorące prośby, aby w rodzinie tej imię sieroty, któremu dali przytułek i wychowanie, nie zaginęło. Jakoż, gdy we dwa lata potem Sabinka oddała rękę panu Kazimierzowi, a w rok później urodził się synek z jasnemi włoskami i błękitnym jak niebo okiem, dano znać staremu Owsikowskiemu, sprowadzono Maksyma i Tatyane, i ci byli rodzicami chrzestnemi chłopczyka, któremu dano imię Tadeusz.

---

# Wdowiec.

## I.

W pięknej Krakowskiej ziemi, między Stobnicą i Rakowem, jest wieś Rudnica, dziwnie malowniczo położona, i równie zabudowaniami dworskimi, jak utrzymaniem chat wiejskich okazująca, że właściciel jej jest człowiekiem zamożnym, mającym gust i lubiącym porządek. Mieszkanie jego, dalekie od rozmiarów i formy pałacu, było jednak obszerne, białe zewnątrz, z jaśniejącymi od czystości oknami, nie świadczące nigdzie o niedawnej ulewie przez opadłe tynki, i nie objawiające śladów zaniedbania przez niedokończone dachy, niedogrodzone płoty, powyjmowane i pogniłe sztachety, wiszące na jednej zawiasie bramy i furtki, co wszystko prawie w każdym szlacheckim dworze spostrzegać się daje.

Z boku przy domu był ogród obszerny, mający kilka alei z drzew starych i olbrzymich, co dowodziło, że wieś ta należała kiedyś do dóbr jakiegoś wielkiego pana, który tu czasową, zapewne letnią miał rezydencję. Sień ogromna, którą przy przerobieniach późniejszych w dawnych zachowano rozmiarach, i stary lamus murowany i pełny jeszcze gratów, które może panowanie Sasów pamiętały, potwierdzają to domniemanie. I nicby nie było dziwnego, gdyby tu dawniejszy magnat szukał wytchnienia po zgiełku trybunalskim, lub wrzawie zrywanych sejmów, lub gdyby w ostatnich czasach już, pan Krakowy i sfrancuziały ukrył tu jaką miłośćkę przed żoną, szukającą takiej samej rozrywki w Warszawie lub zagranicą, jakiej on szukał na wsi.

Ze wzgórza, na którym stał dom, rozciągał się rozległy widok na żyzne pola, przegrodzone tu i owdzie małemi laskami, i należące równie do Rudnicy samej, jak i do kilku innych wiosek, które widać było ze dworu, a które wszystkie do jednego właściciela należały. Z prawej strony ogrodu był niewielki parów, środkiem którego

biegła rzeczka dążąca do Wisły; a na wzgórzach, z obu jego stron wznoszących się i obrosłych tarniną, sliwami, a gdzie niedzie pokrzywionemi wprawdzie, niebardzo uderzającemi formą, ale rodzącemi mnóstwo owoców, gruszami, rozrzucone były zagrody chłopskie, także całe, nicobszarpane, i dowodzące, że czujność i staranność dworu rozciągały się i do tych biednych siedzib i przekonała wreszcie ich mieszkańców, iż porządek i czystość są równie potrzebne do życia, jak chleb i woda.

Na samym końcu wsi, między drzewami, stał niewielki murowany kościółek, dawniej daty i architektury. Na pochyłości idącej ku parowowi był cmentarz, z drewnianemi krzyżami, których ramiona, często ledwo ociosane i krzywe, rozciągały się nad cichemi mogiłami tych, co tam kładli się spokojnie do snu wiecznego wśród kości dziadów i pradziadów. Dwa tylko pomniki z krajowego marmuru widać tam było bliżej kościołka. Na jednym był napis: Tadeusz i Barbara Łuniewiccy, z datą ich zgonu, a na drugim: Teressa Łuniewicka, piękna, dobra, kochana. Żył lat 25.

Kończył całą osadę domek proboszcza, ogrodzony starym parkanem, i wraz z zabudowaniami niewielkiego księzego gospodarstwa wychodzący z prawej strony na wielką drogę, prowadzącą do Staszowa, i na pola, które się z tej strony już równiej i jednostajniej rozciągały.

Taki był zewnętrzny widok Rudnicy, która od lat kilkudziesięciu była własnością Łuniewickich, a obecnie znajdowała się w posiadaniu Tomasza Łuniewickiego, sędziego pokoju w okręgu Szydłowskim, obywatela znanego w okolicy ze swęj prawości, zamożnego i porządnego gospodarza, pana pełnego troskliwości o dobry byt podwładnych sobie wieśniaków, uprzejmego i gościnnego sąsiada, którego dom i serce były zawsze otwarte dla tych, co go odwiedzali, co pod dachem jego szukali rady, rozrywki, a czasem i sąsiedzkiej posługi.

Urządzenie domu jego trzymało pośredni stopień między pańskim i szlacheckim. Nie było tam tych niby wykwintnych ulepszeń, które zaraziły domy naszych panów, tych pretensyj i nedorzecznych ceremonij, zabijających dawną gościnność i przenoszących formy miejskie na wieś, gdzie się one zastosować nie dadzą; ale nie było także i owych najazdów kilkodniowych, hałaśliwych pijatyk i zgromadzeń próżniackich, zabijających czas i krępujących ręce gospodarza, co obowiązany bawić i zajmować ustawicznych gości, nie przedsięwziąć i żadną chwilą rozporządzić nie może. Pan Łuniewicki, jako wdowiec, przyjmował najczęściej mężczyzn, ale, że miał córkę wychowującą się w domu, że siostra jego przy niej bawiła i zastępowała jęj miejsce matki, dom jego opatrzony był we wszystko,

czego potrzebują domy, co im mogłoby zrobić przyjemność, czémby się mogły rozerwać i zabawić. Dwa duże pokoje gościnne były stosownie do tej potrzeby urządzone, były sługi wprawne i gotowe dla tych pań, które przyjeżdżały same, były karyolki do spaceru, dwa konie wierzchowe ujeżdżone odpowiednio, były w salonie wszystkie przybory do roboty kanwowej, i pozaczynane małe dywaniki, taśmy i tym podobne ręczne robótki, które panie chętnie brały do rąk, i kontynuowały dzieło swoich sąsiadek lub własne, w czasie poprzedniej wizyty zaczęte. Oprócz tego, która lubiła i umiała rysować, miała ładne książki ze sztychami, miała ołówki, farby, pędzle i papier pod ręką. Grzeczny wdowiec do tego stopnia posunął troskliwość o rozrywkę swoich pięknych gości, że w obu pokojach gościnnych była szafka z francuzkami książeczkami, której kluczyk udając się na spoczynek damie oddawano.

Dla mężczyzn było oddzielnych kilka pokoików w oficynie, mających wszystkie potrzebne wygody, i dwóch do nich przeznaczonych służących. I mężczyźni także mieli swoje rozrywki, wierzchowe konie na rozkaz, charty, strzelby, pistolety, bilard, szachy; było w sali bilardowej parę stolików do kart, ale inna gra nie była pozwolona, tylko wist, i warunki gry z oznaczeniem wysokości każdego punktu, zakładów na figury, i godziny, nad którą wieczorem nie miała się ona przeciągać, bez zrobienia przykrości gospodarzowi, oznaczone były na osobnych tablicach, które nad każdym stolikiem wisiały. Oprócz tego każdy miał na zawołanie jedną gazetę niemiecką, jedną francuzką i krajową, także książki podróży, historyi, biografii i t. p., które po kilka i kilkanaście na półeczkach w każdym pokoju przy łóżku gościa stały. Słowem, był dom urządzony wzorowo, słynął z tego w okolicy, że tam gość jest jak u siebie, tak swobodny, tak zajęty, że ani sam się nie nudzi, ani gospodarzowi nie cięży i nie przeszkadza.

Pan Tomasz Łuniewicki, oprócz tej wielkiej zalety, że był majątny, starowny, lubiący we wszystkim akuratność i porządek, że był gościnny i uprzejmy, chociaż ani sam, ani nikt u niego kieliszka nie nadużywał, że nie był szuler, i przepisami gry wygrał szuleryą ze swego domu, że zatem pod wieloma bardzo względami należał do wyjątku, był nadto bardzo dobrze ułożonym, przystojnym, i liczył zaledwie rok czterdziesty. Należał więc do tego rzędu wdowców, na których chętnie się oglądają panny, do których wdychają wdowy, na których polują rozwódki. Wszakże wszystkie w okolicy panie, które dom jego odwiedzały, i które on nawzajem odwiedzał, przekonały się od lat kilku, że zabiegi były daremne, że on o powtórnym ożenieniu się nie myślał wcale, że oddany był usługom współobywateli, gospodarstwu, przyjemnościom towarzyskim, które mu najmilsze

były w jego własnym domu, a nadewszystko wychowaniu córki, którą już i z tego względu niezmiernie kochał, iż była żywym matki swęj obrazem. Chciał on piękne to dziecko ozdobić wszystkimi przymiotami rozumu i serca, raz, że wychowanie dzieci daje najlepsze świadectwo, jak rodzice obowiązek swój wypełnili; a powtóre, że miała być bogatą, a zatem powinna była odebrać edukację, któraby nauczyła dobrze używać tych darów fortuny, jakie miały się stać jęj udziałem. Nie tań bowiem tego przed nikim człowiek ten prawy i szczerzy, że cały prawie majątek, jakim zarządza, jest już dziś własnością jego córki, że posagiem żony oczyścił z długów Rudnicę, jakie na nięj ciężły, dokupił kilka wiosek, któremi dobra te zaokręglił, i całą tę sumnę posagową, do miliona wynoszącą, na tychże dobrach zahypotekował. Nie mógł zatem myśleć wcale o powiększeniu rodziny, gdyż dzieci jego z powtórnego związku, albo przyszłyby na łaskę swęj starszęj siostry, gdyby ta chciała być wspaniałą, albo przestaćby musiały na tém, co w całej tęj massie było jego własném, a co w rzeczy samej dó niewielkiego ograniczało się funduszu. Wprawdzie jego wiek i przymioty osobiste dawały mu prawo starać się i o bogatą partyę, a zatem i następane swe dzieci uczynić niezależnemi, ale macocha z siebie majątna, wzięta z domu możnego, wychowana w pańskich narowach, tém bardziej go straszyla, gdyż i wychowaniu córki jego mogłaby skrzywiony dać kierunek, i zapragnąć samowładności w domu, w którym właściwa jego pani mogłaby pójść w ką, zostać zaniedbana, i na każdym punkcie doznawać upokorzenia; a on sam mógłby być narażonym albo na ustawiczną wojnę domową, albo na patrzyenie przez szpary na krzywdę swego dziecka, które mu tyle obiecywało pociechy.

W tych rozumnych zasadach, które wiadome były wszystkim, i ochraniały go od niepotrzebnych ataków, zwłaszcza owych wyróżzowanych i wyperfumowanych faktorek, jeżdżących karetami, jakich każda ma okolica, utrzymywała go jego własna siostra, bawiąca w jego domu, a szczerze do jego córki przywiązana, i ksiądz Studziński, miejscowy proboszcz, siedmdziesięcioletni staruszek, od lat czterdziestu czterech tęj cichęj przewodniczący parafii, i tak licznemi z domem właściciela połączony związkami, że on chrzcil pana Tomasza, on chował jego ojca i matkę, on mu dawał ślub, i żonę jego do ostatniego zaprowadził schronienia.

Pod taką opieką wzrastała szczęśliwa Bronisia, i dobrze jęj było, swobodnie i wesoło w tym domu, obfitującym we wszystko, gdzie każdy chętnie jęj służył, każdy rad dogadzał, gdzie nad nią czuwały rozum i miłość ojca, troskliwość przywiazanej ciotki, i modlitwy staroego przyjaciela, który codzień przy Mszy św. posęłał do Boga po bożne westchnienie za jęj wzrost i szczęśliwy na świecie kierunek.



Bronisia miała już trzynasty rok, i sercem i głową odpowiadała tym staraniom, tej miłości, tej opiece. Umiała ona już poznawać to wszystko, co odbierała, i być za to wdzięczną. Piękne to było nad podziw dziewczę, z błękitnym okiem, z jasnymi puklami bujnych włosów, z twarzą rumianą, zdrową, białą i puszystą, jak brzoskwinia, z wysmukłą kibicią, z ruchami pełnymi wdzięku i życia. Kiedy nie była zajęta, wszędzie jój było pełno, wszędzie dawał się słyszeć to jój śmiech serdeczny, to szczebiotanie wesole i żartobliwe, to śpiewka dzwieczna, melodyjna, nieuczona, ale tak szczerza i wierna, jakby miała coś z natury kanarka, którego miała wdzięk i pieszczotliwość. Swawolna była niezmiernie, lubiła biegać, skakać, tańczyć i komponować Bóg wie jakie tańce i figury, do których sobie sama przybierała śpiewki i takty; ale gdy w tych poruszeniach nad miarę i prawie zapamiętałych rzuciła okiem na ojca, ciotkę, lub na księdza Studzińskiego, który był ich codziennym gościem, gdy spostrzegła, że które z nich okaże najłżejszy znak nieukontentowania, przybiegała natychmiast, odrzucała wolanty i inne zabawki, które ją strudziły, i pieszcząc ich, mówiła: — może już dosyć! — i wtedy poddawała się z posłuszeństwem kierunkowi tych, co ją kochali, okazywała wdzięczność za ich troskliwość, dziękując za każde upomnienie, które miało na celu jój całość i zdrowie. Do nauki, którą od dwóch biegłych odbierała nauczycieli, starannie przez ojca jój wybranych, okazywała wielką ochotę, i pilnowała sama godzin na nią przeznaczonych; słowem, było to dziecię tak miłe, tak pełne powabu i wdzięku, obdarzone tyłoma przymiotami serca i umysłu, iż zdawało się, że przy tych warunkach zewnętrznych, co ją otaczały, pójdzie w dalszym życiu tylko po kwiatkach, i otrzyma na ziemi to szczęście, tak piękne i pewne w nadziejach, tak rzadkie i wątpliwe w rzeczywistości, a które jój rokowały i własne usposobienie, i miłość tych, co ją otaczali.

Jak wszystkie takie uprzywilejowane stworzenia, takie, że tak powiem przezroczyście i z delikatniejszej tkanki urobione istoty, miała i Bronisia chwile, w których zdawała się nie wierzyć w te obietnice losu i ludzi, i widząc okiem ducha, czego nie widziały oczy ciała, zdawała się zamysloną, dumającą, patrzyła w niebo często po godzinie całej, jakby tam szukała duszy matki i zapytywała ją o swą przyszłość. Zdarzało się to niezmiernie rzadko, ale zdarzało się jednak, a gdy było spostrzeżonem przez ciotkę, zaraz o tém wiedzieli ojciec i ksiądz Studziński. Obaj ganili jój ten stan tak nienaturalny w jój wieku i położeniu; ojciec uważał to za wątplenie o jego miłości i staraniach, ksiądz nazywał grzesznym niedowiarstwem w Opatrzność Boską, a Bronisia, która sama nie wiedziała, z kąd jój

to przychodzi, śmiejąc się i płacząc razem, przeproszała ich za to głupstwo, którym mimowolnie niepokoiła ich i martwiła.

Raz, było to wieczorem, na początku lipca, w lekkiej sukience, bez kapelusika, gdyż słońce już zachodziło, biegła Bronisia po ściętym gazonie, upędzała się za motylkami, których dognać nie mogła, i zbierała z krzaków krówki, których cętki przeliczywszy, zaraz wypuszczała. Nóżka jej delikatna zdawała się nie dotykać ziemi, wiatr igrał z jasnymi jej włosami, które w gęstych puklach okrężyły jej głowę i przylegały do spoconego czoła, a z rumianych jej ust wychodziły, to pogrożki motylkowi, co się ująć nie dawał, to czułe przemowy do niewinnych krówek, co się tuliły do listków, jakby się bały swawolnej ręki, co je swobody lub życia pozbawić miała. Pani Mikoszevska, siedząc na blizkiej kanapce, zajęta była robótką, i kiedy niekiedy podnosiła wzrok na bawiącą się dziewczeczkę, a ksiądz Studziński przechadzał się po alei, tuż obok tego miejsca ciągnącej się, i odmawiał pacierze. Wieczór był przesliczny, niebo czyste i zaciągające się coraz głębszym błękitem; na zachodzie tylko, na tle purpurowém, stały podłużne, w dziwne urobione kształty, ciemno-fioletowe chmury, za którymi kryło się słońce, a którego bytność nad horyzontem zdradzał rąbek złocisty, oblewający ich brzegi. Raptem Bronisia zwróciła oczy na ten cudny widok, zapatrzyła się na tę grę farb, jakich nie ma na ziemi, i czoło jej okryło zamyslenie, poblądła twarzyczka, i w całym jej ruchu widać było, jakby się chciała unieść ku tej krainie, gdzie tyle jest cudów, których pojąć nie umiemy. Po niejakiem czasie ciotka spostrzegła ją w tej jakby natchnionej postawie, a uważając to zawsze za jakiś chorobliwy objaw zbytcej drażliwości nerwów, z którego złe przewidywała skutki, mocniejszym niż zwykle i nieukontentowanym zawołała na nią głosem. Bronisia wstrząsła się, potarła rączką czoło, jakby chciała odegnąć te myśli, co ją prześladowały, i śmiejąc się, choć miała łzy w oczach, przybiegła do ciotki, i rzuciwszy się jej na szyję, rzekła:

— Nie, ciociu! jak cię kocham, to nie takie zamyslenie, za które mnie łajecie. Ostatnią razą, pamiętasz, kiedym się zapatrzyła na białe chmurki, co jak owieczki pasły się na tej błękitnej łące, zdawało mi się, że widziałam stojącą wśród nich jakąś kobietę bladą, bardzo smutną, w białem odzieniu, co ją owiewało tak wspaniale i poważnie; zdało mi się, że do mnie wyciąga ręce, i ja dla tego tak zapatrzyłam się, że im bardziej w nią wlepiałam oczy, tém podobniejszą robiła się do mamy.

— Przywidzenie — rzekła ciotka, ruszając ramionami.

— Zapewne, że przywidzenie — odpowiedziała dziewczynka — ja to sama rozumiem doskonale, że to było nie co innego, tylko to,

żem się tego samego dnia napatrzyła na portret mamy, i jakoś mi się tak tęskno zrobiło i smutno, żem aż musiała pacierz zmówić za jój duszę. Teraz to zupełnie co innego. Teraz tam nie widziałam nikogo, a jednak zdało mi się, że widzę samego Boga w tym cudnym i łagodnym blasku, na który patrzeć nam dozwolił. Pójdź ciociu, obacz sama, czy może być co wspanialszego! O! tam piękniej daleko, niż na ziemi, i ja sobie myślałam teraz, że tam musi być i daleko lepiej.

— Alboż ci tu źle? — zapytała pani Mikoszevska z uśmiechem.

— Mnie? czyż ja mówię o sobie? — rzekła dziewczynka, potrząsając głową. — To cała moja bieda, że ja jakoś nie umiem dobrze powiedzieć, co mi wtenczas jest, kiedy wam wszystkim zdaje się, że niby mnie tu źle z takim ojcem, z tobą ciociu, z tym oto dziadkiem, co się codziennie za mnie modli, i z temi wszystkimi, co mnie tak kochają. Mnie i wtenczas dobrze, tak... jakby to ci powiedzieć, ciociu żebyś mnie zrozumiała...? Oto tak naprzykład, jak musi być dobrze skowronkowi, kiedy leci w górę, że go aż nie widać, i śpiewa tak ładnie, iż ja myślę, iż aniołki wychylają główki z nieba i słuchają szczęśliwej ptaszyny. Otóż i moja dusza idzie wtedy tak wysoko, a może jeszcze i wyżej, i także sobie śpiewa, tylko cicho, że tego nie słychać. A wam się zdaje, żem ja wtedy smutna, albo, że mi tu źle? Daleko od tego, moja droga ciociu!

— Bredzisz, dziewczyno, bredzisz! — rzekła ciotka, patrząc z zajęciem na poetyczne dziecię. — Biegaj lepiej po ziemi, i śpiewaj tu głośno, wesoło, serdecznie, tak, żebyśmy wszyscy słyszeli i cieszyli się, żeś zdrowa i że rośniesz.

— Czyż ja tego nie umiem? — zawołała Bronisia, klaszcząc w ręce. — Oho! żebyście mi tylko pozwolili, tobym biegła po wierzchu wszystkich tych krzaczków, co ten gazon otaczają, tak lekko, tak prędko, żeby się żadna gałązka nie ugięła. Ale patrz-no, ciociu! Michaś przyniósł jakiś list księdzu Studzińskiemu. Czy nie od ojca? Mój Boże! mój Boże! jakby to było dobrze; bo doprawdy, już mnie ojciec zaczyna gniewać, że od dwóch miesięcy pojechał nie wiedzieć gdzie, siedzi, siedzi, że końca temu nie ma; a do tego tak rzadko pisuje, tak jakoś dziwnie, jakby był chory, albo nie chciał tego powiedzieć co myśli. Pobiegnę, ciociu, dowiem się, od kogo dziadek odebrał list.

— Pójdźmy, moje dziecię, razem — rzekła pani Mikoszevska, powstała i poszła za biegnącą naprzód Bronisją. Była ona także niespokojną, i znajdowała uwagę dziewczynki bardzo słuszną, że listy brata były i krótkie i takie, iż widocznym było, że nie chciał powiedzieć tego, co myśli. Gdy się zbliżyły, ksiądz Studziński odszedł kilkanaście kroków i czytał z wielkim zajęciem; był jakiś nieukon-

tentowany, marszczył się i lewą ręką zagartywał na tył długie, białe włosy, które poważną głowę jego zdobiły, a Michaś, o którym wspomniała Bronisia, przystąpił do pani Mikoszewskiej, pocałował ją w rękę, a dziewczynce ukłonił się, czerwieniąc się i spuszczać oczy.

— Pewnie Michaś nie przywiózł mi listu od ojca — rzekła Bronisia, zbliżając się do niego poufale — i dla tego tak czerwieni się i nie śmieć mi patrzeć w oczy. Przywiozłeś, czy nie przywiozłeś?

— Nie — odpowiedział student i twarz jego zrobiła się czerwienią, jak kołnierz jego mundurka.

— A widzisz — mówiła grożąc mu — boś chyba bąki zbijał po Stobnicy, a nie szukał dobrze na poczie. Gniewam się.

— Przerzuciłem wszystkie listy, Bronisiu — odpowiedział Michaś. — Ale cóżem ja temu winien, że wuj nic nie pisze?

— Więc i ten nie od ojca? — zapytała smutna Bronisia.

— Zdaje mi się, że nie. Inny charakter i ręka mi nieznajoma.

— Pani Mikoszevska nie śmiała przerywać starcowi czytania, i widocznie bała się go zapytać. Śmielsza i bardziej niecierpliwa Bronisia poskoczyła ku niemu, powiesiła się obiema rączkami na jego rękę i zaglądając w list zapytała:

— To nie od ojca, dziadku?

— Nie, moje dziecko — odpowiedział stary, usuwając pismo z pod jęj oczu i spojrzawszy na nią smutno, i jakby z żalem.

— Więc o ojcu, i coś złego, bo tak patrzysz, jakbyś był mocno zasmucony — zawołała dziewczynka — powiedz dziaduniu od razu. Bo jak będziecie przedemną taić, to tam mama zlituje się nademną i powie mi wszystko.

— Ależ uspokój się, dziewczyno! — mówił stary, łagodząc wyraz swęj twarzy i usiłując uśmiechnąć się do patrzącej na niego bystro Bronisi. — Co z ciebie będzie? kiedykolwiek zaczniesz jeszcze po dachach chodzić, jak miesiąc zaświeci.

— Na dach nie wleżę, ale doprawdy, że płakać będę, jak mi nie pokażesz tego listu — rzekła Bronisia.

— Pokazać nie pokażę — odpowiedział stary, chowając list, i przeciągając rozmowę tę umyślnie, aby ze wzruszenia swego ochłonał — bo wiesz dobrze, że ja nie jestem z tych, co to lada kaprysowi i zachceniu twemu dogadzają.

— O! co w tém, to przepraszam cię, dziadku. Psujesz mnie gorzej, niż ojciec, niż ciocia, niż nawet Michaś, coby doprawdy gotów wleźć na dach, żebym mu kazala — rzekła dziewczynka, czepiając się staruszka i zakładając rączkę za sutannę, gdzie list schował.

Stary uderzył ją z lekka po rękę, drugą ręką przycisnął papier do swych piersi i rzekł:

— Listu nie dostaniesz, bo to brzydko być tak ciekawą. Ale powiem i tobie i ciotce twojej to, co was interesować może. Wprzód jednak proszę mię przeprosić za ten gwałt, któryś mi zrobić chciała.

— Przepraszam, dziadku, przepraszam, *mea culpa!* jak mówi Michaś, kiedy do mszy służy — rzekła Bronisia śmiejąc się już, bijąc się w piersi i całując w rękę starca, który patrzył na nią z rozrzewnieniem, głaskał ją lewą ręką, a prawą cichaczem zęgnął.

— Otóż teraz, kiedyś taka grzeczna i tak cierpliwie czekasz — mówił stary, — to ci powiem, że to jest list od znajomego mi księdza w Lublinie, że mi pisze o interesie, który mnie zmartwił i rozgniewał, bo źle poszedł, a o ojcu twoim mi donosi, że częścią bawi w Lublinie, częścią w okolicy, że jest zupełnie zdrow, bardzo wesół i że wkrótce przyjedzie.

Bronisia patrzyła na niego z uwagą, potem spojrzała na ciotkę, której oczy były spuszczone w ziemię, potem na Michasia, jakby go błagała, aby jej powiedział, czy jej nie zwodzą, a po chwili rzekła:

— Wszystko to dobrze, mój drogi dziadku! jednakże, żebym ja była w Lublinie, była zdrowa i wesół, tobym napisała przynajmniej co tydzień.

— Co innego ty, a co innego ojciec — rzekł stary.

— Zapewne, że co innego — mówiła dziewczyna. — Jaby m powinna, a ojciec nie powinien. Ale mnie się zdaje, drogi dziadku, że kiedy kto bardzo kocha, to także powinien. Coś to w tém jest. Ale ja się dowiem. Pójdź, Michasiu!

I powiesiła się na rękę studenta i poszła z nim w górę aleją.

Ten Michaś, był to pasierb pani Mikoszewskiej, siedemnasto-letni chłopak, słuszny, dorodny, ładnej twarzy, z ciemnym okiem, pełnym melancholijnego i głębokiego wyrazu, z głosem rzewnym i łagodnym, który okazywał dużo serca i każde ucho uderzał miło i sympatycznie. Nie miał on téj żywości, tak właściwej młodemu wiekowi, i od dziecka nazywany był przez kolegów sensatem; ale że był łagodny, dobry, usłużny, że się uczył doskonale i z łatwością, że chętnie każdemu pomagał w tych trudnościach, jakie mniej dobrze przygotowani spotykali w nauce, że przytém nie był wcale mazgaj, ale chociaż spokojny, silny był duchem i wolą, wszyscy go téż kochali i szanowali, wszyscy chętnie ustępowali mu pierwszeństwa, i w każdym nagłym razie, gdzie się trzeba było pokazać, popisać, cała klasa oglądała się na niego, jak na swój filar, na którym jej reputacya spoczywa.

Michaś Mikoszewski, któremu ojciec umierając szczupły zostawił

fundusz, znalazł w macosze swęj prawdziwą matkę i opiekunkę. Kochał tęż ją bardzo, okazywał jęj zawsze synowskie przywiązanie, i starał się wszelkimi siłami wynagrodzić jęj ten brak, tę czezość w życiu, jaką czuje każda kobieta, która nie miała dzieci. Gdy posag pani Mikoszewskiej był daleko znaczniejszy, niż fortuna jęj męża, za którego poszła z miłości, nie oglądając się wcale na to, co miał, zacna kobieta wszystko wcześniej przeznaczyła pasierbowi swemu, o czém on wszakże nie wiedział. Z porady księzda Studzińskiego, który Michasia także wielce szacował i kochał, akt ten zapisowy został w sekrecie. Stary utrzymywał, iż to będzie dla młodego człowieka rzeczą daleko użyteczniejszą. Wiedząc bowiem, że nie ma się na co spuszczać, że nie będzie o czém próżnować i paniczować, silniej rozwinie te zdolności, jakie mu Bóg dał, i skrzętniej postara się o zasoby, któreby mu na całe wystarczyły życie. Jak przyjdzie czas, jak już stanie na własnych nogach, wtenczas ta pomoc będzie mu miłszą, i użyje jęj daleko korzystniej dla siebie i dla drugih.

Przy tych wszystkich przymiotach, Michaś miał jeszcze pokorę ducha i tę szczerą, głęboką pobożność, która często myśli jego skierowywała ku Bogu i napelniała go wdzięcznością za te wszystkie cuda, jakimi go otoczył. Od początku edukacji swęj znajdując się w gimnazyum Kieleckim, które w następnym roku szkolnym miał już ukończyć, przebywszy zatém pierwsze swe lata w tém mieście kapitulnym, gdzie miał zręczność poznać i rozmawiać z tyloma duchownymi wyższego ukształcenia, gdzie miał codzien przed oczami wspaniałą świątynię i tak uroczyste w nięj obrzędy, od dziecka karmił w sobie tę myśl, że zostanie księzdem, i życie swe usłudze ołtarza poświęcił. Ztąd często przebywał w kościele, znał się na wszystkich ceremoniach, rozumiał dobrze znaczenie każdego sprzętu, który w służbie bożęj był używany, co święto i niedziela do kilku mszy służył, a gdy podrósł, rozwinął się, gdy dusza jego nauczyła się w słowa i rymy sprzęgać te myśli i uczucia, które od dawna w nięj brzmiały, opisywał wierszami uroczystość Bożego Ciała, Wielki Czwartek, weselny dzień Zmartwychwstania, pisał dumania na Karczówce, na górze Sto-Krzyżkiej i tym podobne, które rozchodziły się po rękach kollegów, dostawały się nawet do professorów seminaryum, do niektórych lubiących czytać kanoników, i wszyscy utrzymywali go w tém chwalebny postanowieniu, dostarczali mu książek, i wspominając niby nawiasowo o księzdu biskupie Woroniczu, zdawali się prorokować, że go czeka i podobna poetyczna reputacya, i takież w kościele znaczenie. Ksiądz Studziński wiedział także o usposobieniu Michasia, i znał jego produkeye. Utrzymywał on go w tych uczuciach pobożności i pokory, jakie w nim z rozkoszą widział, ale nie był prędki ani do wychwalania jego poetycznych zdolności, ani do radzenia mu, aby trwał niezłomnie w tém po-

stanowieniu obrania stanu, którego całą świętość i znaczenie znał i pojmował.

— Mój kochany! — mówił mu nieraz staruszek — żeby być dobrym poetą i dobrym księdzem, trzeba wprzód nauczyć się żyć i przypatrzeć się, jak inni żyją i jakimi drogami chodzą. Dopóki nie wiesz, czém jesteś sam, dopóty nie możesz i nie powinienes brać się do uczenia drugich, ani jakimi być mają dla świata, ani jakimi być powinni dla Boga. Poezya i kapłaństwo z jednakowego płyną natchnienia, które Bóg zasiewa w duszy wtedy dopiero, gdy do przyjęcia tego ziarna łaski jest dobrze przygotowana i uprawniona. Jak przyjdzie twój czas, duch Boży wstąpi w ciebie. Gdy ci każe być poetą, będziesz śpiewał na Jego chwałę, czy cię ludzie uwieńczą za to laurem, czy cierniem; gdy ci każe być kapłanem, będziesz nim, choćby ojciec twój wstał z grobu i odradzał ci, choćby cię wszystkie świata tego otoczyły pokusy. Nie usłuchasz, bądź pewny, ani ojca, ani matki, zamkniesz oczy na piękność i bogactwo, i we snach i czuwaniu będziesz widział tylko hostyą, a na niej krzyż, który całą ukochasz miłością. Teraz, mój chłopcze, jesteś dopiero trawką, jesteś źdźbłem z dobrego wychodzącém gruntu, zieloném prawda, obiecującym, ale jednakowém prawie co do kształtu i barwy z innemi. Ani to źdźbło samo, ani przechodnie, co się niem cieszą, nie wiedzą, czy się z niego urodzi pszenica, czy żyto, jęczmień, czy owies. To wie tylko gospodarz, który siał, a tym gospodarzem jest Bóg, który sam da ci kłosa i powie ci w swoim czasie, czém jesteś. Masz na to przykład we mnie — dodał stary z uśmiechem — i ja smarowałem wiersze i nieraz myślałem sobie w duchu, że się i pan Kajetan Węgierski przedemną schowa. A jak twoje wszystkie pobożne są i eligijne, co ci bardzo chwałę, tak moje były wszystkie hulackie i światowe, tylko o kieliszku i koniku; w szkołach jeszcze będąc, nie marzyłem o czém inném, jak o szabelce i wojaczce. A tymczasem widzisz, co się stało. Taki teraz ze mnie poeta, jak i tancmistrz, a od czterdziestu kilku lat służę Bogu przy Jego ołtarzu i dziękuję Mu codziennie za to, że mnie niegodnego sługę swego wybrał, i na tym duchownym posterunku przy świętości Sakramentów swych postawił.

Michał słuchał z pokorą tych mów starego, i postanowił pilną na siebie zwracać uwagę, czy też czas i dalsze lata w myślach jego i postanowieniach jaką wprowadzą zmianę. Na wakacje zawsze przyjeżdżał do Rudnicy. Był to dla niego prawdziwy odpoczynek, bo mu nie pozwalano bardzo oddawać się pracy, nastreżano mu wszystkie rozrywki, jakie mogły umocnić jego siły i wpłynąć na rozwinięcie jego ciała. Musiał więc dużo chodzić, jeździć konno, strzelać, a nadewszystko biegać i bawić się z Bronisią, która go wkrótce opanowała i rządziła nim samowładnie. Z początku nudziła spokoj-

nego chłopca swawola żywej dziewczynki, ale stopniami przywykał do téj uległości, zaczął ją lubić, szukać sposobów przypodobania się ślicznemu dziecku, a gdy teraz przy końcu czerwca na wakacye przyjechał, i po roku niewidzenia rzucił okiem na trzynastoletnią Bronisię, która wyrosła, wypiękniała, wyrozumiała wejrzeniem i mową, a jednak obchodziła się z nim z dawniejszą poufałością, dawniejszego wymagała posłuszeństwa i do zwykłych ciągnęła zabawek, czerwił się za każdym jéj zbliżeniem się, za każdym niespodziewaném słowem, które nagle do niego zwracała. Gdy od niego odbiegła, gdy był pewnym, że biegając, skacząc i wysławiając, na niego nie zważa, nie spuszczał jęj z oka i ściagał wzrokiem każdy jęj ruch, notując w myśli, mimo woli i wiedzy, wszystkie te wdzięczne poruszenia, każde pochylenie i podniesienie prześlicznej główki, każde załamane słowiczego głosu, o którym długo zapomnieć nie mógł. A gdy mu raz powiedziała: — Wiiesz, Michasiu, jaka ja jestem szczęśliwa! Już to o ojcu nie wątpię, że często i prawie o mnie myśli, gdy o co prosi Boga. Ale o tém dowiedziałam się z pewnością, choć udaję, niby nie wiem, że ciocia przy każdym pacierzu osobną za mnie mówi modlitewkę, a dziadek przy każdej mszy, nawet przy śpiewanej, modli się i za mnie, i to wyobraż sobie, po łacinie! Ja im nic nie mówię i dziękować nie śmiem, i ciebie proszę, żebyś mnie nie zdradził, ale za to skomponowałam sobie także modlitewkę, i modlę się codziennie serdecznie, i to osobno za ojca, osobno za ciocię i osobno za pocziwego dziadka.

Michaś, usłyszawszy to, nie chciał być gorszym od innych, i także ułożył modlitewkę za jęj wzrost i zdrowie, którą od téj pory codziennie odmawiał. Tym sposobem biedny chłopiec do tego doszedł, że gdy modlił się jeszcze do Anioła Stróża, aby nad snem jego czuwał, widział czasem wyraźnie, jak ten anioł nad nim się nachylał, patrzył na niego oczami Bronisi, i jęj usteczkami o opiece go swęj zapewniał.

Gdy tak Michaś i Bronisia poszli w górę aleją, a z gościów i poruszeń dziewczynki widać było, że o coś chłopca wypytywała, lub jakicś dawała mu polecenia, ksiądz Studziński, nieobowiązany już udawać spokoju i dobrego humoru, usiadł na bliższej ławeczce, i wsparłszy głowę na rękę, zamyslił się i milczał. Pani Mikoszevska usiadła przy nim i rzekła:

— Księżę proboszczu! z tego co widzę, wnoszę żeś się czegoś złego dowiedział.

— Złe, kochana pani, i bardzo złe — odpowiedział ksiądz — i przyznać się muszę, żeś przedtęj spodziewał się śmierci, niż takięj nowiny.

— Straszysz mnie, księżę proboszczu — rzekła przysuwając się — czy to co mówisz, tyczy się mego brata?



— A któż inny mógłby mnie tak obejść i tak silnie uderzyć? — odpowiedział stary z westchnieniem.

— Na miłość boską! cóż się to stało? — zawołała przelękniona kobieta.

— Ukrzep się pani duchem i nie wydaj przed nią swego podziwienia i żalu — dodał stary, ukazując na Bronisję; potem, obróciwszy się do oczekującej słów jego z natężeniem, rzekł: — pan Tomasz ożenił się.

— Wszehmocny Boże! — zawołała, załamując ręce. — Z kim? gdzie? tak prędko? w sekrecie przed nami?

— Ostatnią razą — rzekł stary ciszej — gdy wyjeżdżał, widziałem, że mu coś jest, że go jakiś dręczy niepokój.

— I ja to uważałam — mówiła pani Mikoszevska — ale mi odpowiedział, że go niepokoi interes, który miał w Lubelskiem.

— Tak on i mnie mówił — dodał ksiądz, machnąwszy ręką — ale to zawsze tak bywa. Kiedy kto się wplącze tak, że musi uchybić swym obowiązkom i swojej zasadzie, to rad nie rad poniży się do kłamstwa, choćby był człowiekiem najuczciwszym. Z jego miny i mowy poznałem, że to nieprawda, że się wykręca i nie chce powiedzieć, co myśli, a z jednej rozmowy, z okazji ożenienia pana Ignacego Płazińskiego, który córkom swym dał macochę, i któremu to ganiłem, dostrzegłem, że i pan Tomasz coś podobnego zamysła, a przynajmniej, że się skłania do odstąpienia od tych zasad, w których dotąd trwał tak niezłomie, i w których staraliśmy się utrzymywać go i utwierdzać. Przytém te częste podróże do Lublina jakoś mi się nie zdawały odpowiedniami ważności interesu. Mając więc sam potrzebę napisania do księdza Smoleńskiego, przyłączyłem osobną karteczkę do pana Tomasza, prosząc, aby ją oddał, a mnie doniósł, czy pan Tomasz zdrów? co porabia? czemu tak rzadko pisuje? Otóż to jest odpowiedź na ów list, który mnie przekonywa, że mam rację z jakąś tajemną trwogą poglądać na pieczętkę, która przedemną leży, i zawsze wprzód zmówić *Pod Twoją obronę*, nim się do rozłamania jęj wezmę. Przeczytaj to sobie pani, jak będziesz sama — dodał, oddając list pani Mikoszevskiej — a tymczasem dowiedz się, że biedna nasza Bronisia od dziesięciu dni ma już macochę, która daj Boże, aby była taką, jakąś ty była dla tego poczciwego chłopca, który cię kocha i szanuje, jako matkę. No, no! nie płacz no pani tak — mówił dalej staruszek, biorąc za rękę rozżaloną kobietę, nie mogącą wymówić słowa. — Na pociechę pani, gdyż w każdym strapieniu jest zawsze i pociecha, jeżeli grzech nie jest jego źródłem, powiem pani i to, że bratowa twoja, jak mi pisze ksiądz Smoleński, ma być córką matki znaniej z cnót i pobożności, i sama téż bardzo gorliwa katoliczka, nie zaniedbująca dla roztargnień światowych ani odpustów, ani modlitwy,

ani spowiedzi, opatrująca przed kościołem ubogich co niedziela i święto, a choć jeszcze młoda i piękna, tak pokorna i słodka, że ją wszyscy uważają także za wzór cnoty i pobożności.

— Czy to nie panna Tączyńska Hieronima? — zapytała nagle pani Mikoszevska.

— Ona sama — odpowiedział ksiądz Studziński.

— Daj Boże, daj Boże — rzekła pani Mikoszevska, kładąc dłoń swą na czole — abym się myliła, aby trwogi moje były daremne. Ale widziałam ją kilka razy, słyszałam mówiącą, poznałam ją w jednym drobnym zdarzeniu, ale w którym nie takby postąpiła kobieta z sercem, z prawdziwem uczuciem, z prawdziwą pobożnością. Prawda, że jest piękną, że jest słodką, że może oczarować każdego, a zwłaszcza mężczyznę, którego tak łatwo ujmuje zewnętrzny powab, który, jeżeli sam jest uczciwy i dobry, nie uwierzy nigdy, aby uśmiech czarujący nie płynął z serca, aby słowa dobroci i pobłażliwości, wymówione takim głosem, jaki ona ma, nie płynęły prosto z duszy przejętej miłością dla wszystkiego, co święte i dobre. Księżu proboszczu! — dodała z mocą — może ja grzeszę temi myślami, jakie mam, ale gdy patrzę na to rozkoszne dziecię, dla którego chciałabym nieba przychylić, nie mogę się wstrzymać od płaczu, i tu jest głos, który mi mówi, że ten nieszczęśliwy ojciec zgotował sobie i córce swojej wielkie nieszczęście.

— Upredzenie, upredzenie, kochana pani! — rzekł stary, patrząc z niepokojem na zającą kobietę, której słowa, przerywane łkaniem, zdawały się płynąć z głębokiego przekonania — źle prawda pan Tomasz zrobił, i nigdy mu tego nie daruję. Człowiek w takim wieku, jak on, nie powinien się dać uwodzić namiętności i odstępować od zasad, które mu rozum podyktował i miłość jedynego dziecka natchnęła. Ale z drugiej strony nie mogę wierzyć, aby tak dalece dał się zaślepić, żeby bez gruntownego przekonania o charakterze i cnotach osoby, która ma być córki jego macochą, poddawał się pod panowanie kobiety złej i chytrzej, dla tego tylko, że piękna i że zewnętrznemi przymiotami oczarować go potrafiła. Nie, nie, tego nigdy nie przypuszczę.

— Dla czegoż się ukrywał? dla czego wszystko to zrobiło się w sekrecie przed nami? — mówiła z żalem pani Mikoszevska.

— Wstydził się, że przyszła na niego chwila, iż musiał zadać fałsz własnemu przekonaniu, które nam było dobrze znane — odpowiedział stary z gorzkim uśmiechem — a przytém wiedział dobrze, że będziemy perswadować i odradzać, chciał więc tego wszystkiego uniknąć.

— Kiedy się kto nie wstydzi swoich postępków przed sobą samym, i przekonany, że są dobre i uczciwe, to się ich nie wstydzi przed

tymi, co go kochają — mówiła z mocą; — ale on wie to dobrze, że poświęcił swe dziecię swój namiętności; on nie ma głębokiego przekonania, że ta, którą wybrał, odpowie obowiązkom, które na siebie bierze. Gdyby tego nie czuł, że się dał opętać, gdyby był pewnym, że wybór jego zyska naszą aprobacyę, toby nam był powiedział, prosiłby, abyśmy ją poznali, aby miłość nasza dla Bronisi dała kierunek jego skłonności. Ale on wie to dobrze, że ani jemu żona niepotrzebna, ani jego dziecku macocha. Jestto więc oczywiste dopuszczenie, którym Bóg chciał go ukarać; bo jużci to człowiek, jakich mało, rozumny, dobry, szlachetny, a przecież tak nisko upadł, że się zaparł samego siebie, płochym i nierozważnym postępkim zadał fałsz całemu swemu życiu, nie cofnął się przed tą myślą, że straci nasz szacunek i że na taki hazard narazi przyszłość téj biednej dziewczyny. O! to rzecz niepojęta! On! dla którego dziecko to było szczęściem całym, było światem, było wszystkiem, mógł się tak dalece zapomnieć! Księżu Studziński! — dodała, kładąc rękę swą na rękę starca — nauczże mnie teraz, jak ją uprzedzić, a uprzedzić ją trzeba do tego ciosu, którym jój serce uderzono. Ja się tego nie podejmuję, ja nie znajdę w sobie dość siły, abym jój bez ciężkiego płaczu powiedziała: — Bronisiu! biedna sieroto! masz ojca, który cię nie kocha!

— Trudno to będzie — mówił stary, zadumawszy się — ale wiesz pani, co mi na myśl przychodzi? Uprzedzić ją trzeba, ale trzeba, aby to zrobił ten, który ma prawo i obowiązek mówić ze czcią i miłością o macosze, jaką mu Bóg dał na miejsce matki, i zdjąć z tego nazwiska ową klątwę, jaką nań ściągnęły kobiety złe i nierozumne. O tém powie jój Michaś. A że to powie z sercem, że potrafi opisać, jaką byłas dla niego, choć nie wie jeszcze i sam, jak daleko rozciąga się nad nim twoja miłość i opieka, tegom aż nadto pewny. Jeżeli Bronisia już rozumie, co to jest macocha, jeżeli ze słyszenia pojmuje ciężkie słowa tego znaczenie, to on z własnego doświadczenia da jój obraz zupełnie inny, da jój taki, któremu ona tém łatwiej uwierzy, że ma go przed oczami. Michaś ją prędzej uspokoi, niż my, że i jój los będzie podobny; on prędzej ją nauczy, niż my, jakimi sposobami obudza się serce matki w téj, która kochając obce sobie dziecko, nie idzie za potężnym głosem natury, ale której miłość dla sieroty jest tylko cnotą i wielką przed Bogiem zasługą.

Nie mogąca powstrzymać łez i utaić głębokiego wzruszenia, kobieta ścisnęła rękę starca z wdzięcznością, i na tém stanęło, że jutro Michaś powie wszystko Bronisi, i przygotowuje ją do przyjęcia swego losu z pokorą i nadzieją, iż wypadek ten nie zmieni ani serca ojca, ani jój położenia, a przyda tylko jeszcze jedną osobę, którą ona pewnie kochać będzie.

Nazajutrz koło godziny jedenastój przechadzał się Michaś po alei, i rozmyślał na tém, jak się wywiąże z ważnej missyi, którą mu ksiądz Studziński powierzył, zabrawszy go jeszcze wczoraj w wieczór z sobą, uwiadomiwszy o wszystkiém, i dawszy potrzebną instrukcyę. Gdy się zbliżała stanowcza chwila, chodził coraz prędzej, i szukał sposobów, któreby jak najłagodniej ciężar taki złożyły na tém sercu, tak umiejącém czuć, tak łatwém do wszystkich wrażeń. Przychodziło mu na myśl, że to pierwsza bolesć téj, co go słuchoać miała, a pierwszy jego krok w tym zawodzie, do którego się gotował, i którego najgłówniejszém jest powołaniem łagodzić ciosy, jakimi Bóg serca ludzkie doświadcza, i umieć zamienić żal na rezygnacyą, trwogę na nadzieję. Cieszył się, że on był przeznaczonym na pocieszyciela tak drogiej mu istoty, ale niekontent był ze wszystkich oratorskich sposobów, jakie dotąd wynalazł, a szczególnie, że nie mógł znaleźć dobrego początku, tego pierwszego słowa, które wszystkiemu miało dać kierunek, i od którego zależał ów szyk postępnny, owa ścieżka rosnąca, rozszerzająca się coraz, podnosząca się coraz wyżej do owego szczytu, gdzie jest prawdziwa wymowa, która przekonywa, rozrzewnia, skłania do wierzenia, w co mówca wierzy, i do zrobienia tego, co chce, aby zrobioném było.

W tém szukaniu tak się pogrążył, praca ta głowy dało mu widać minę tak komicznie poważną, gięsta, któremi zapewne chciał dodać mocy swym wyrazom, musiały być tak dziwne i pocieszne, że Bronisia, która skończywszy ranne swe lekye, i zapomniawszy o wczorajszém niemilém wrazeniu z powodu listu, którego jój dziadek pokazać nie chciał, była w najlepszym humorze, gdy go spostrzegła, najprzód długo mu się przypatrywała, a potém, idąc za nim cichutko i przedrzeźniając jego gięsta, w najwymowniejszym zapewne momencie do mówienia, od którego cały zależał skutek, głośnym parsknęła śmiechem. Zmieszany Michaś obrócił się, zaczerwienił, a gdy spostrzegł przed sobą dziewczynkę śmiejącą się, wesołą, szczęśliwą, a nadewszystko piękniejszą, niż kiedykolwiek była, zapomniał o tém wszystkiém, co miał mówić, i cała ta budowa, z takiém wzniesioną staraniem, w najzupełniejsze rozsypała się gruzy. Niestety! zdarza się to nietylko studentom, którzy się gotują na wielkie efekta.

— Co tobie, Michasiu? — rzekła Bronisia — z kim ty tu gadasz?

— Alboż ja tu gadałem? — odpowiedział zawstydzony młodzieniaszek.

— Ach! gdybyś wiedział, jaki byłeś śmieszny, kiedy tu do téj lipy wymachiwałeś tak rękami! — mówiła śmiejąc się, i udając jego miny i gięsta. Michaś spojrział na nią smutno i nic nie odpowiedział, a ona, przybrawszy minę poważną, zapytała:

— Czegóż tak na mnie patrzysz, jak gdybyś się gniewał, żem

się zaśmiała? Może myślisz, że ja sobie z ciebie żartuję? Nie, nigdy; tylko jabym chciała, żebyś zawsze był wesoły, żebyś się śmiał i poswywolił czasem, to i mnie byłoby weselej z tobą. Wakacje prędko przejdą, ani się opatrzyysz, a potem, jak pojedziesz do Kielc, to będziesz musiał siedzieć nad książką, i tam nie dadzą ci ani pobiegać, ani pomysłu o koniu, ani żadnej nie pozwolą rozrywki. Czy tam zawsze do was po łacinie gadają?

— O nie! — odpowiedział Michaś z uśmiechem — tam nie gadają po łacinie, i tam pozwalają spaceru i rozrywek. Szkoła nie taka smutna, jak ci się wydaje.

— A czemuż ty jesteś taki sensat, taki jakiś, jakby ci było źle na świecie? — rzekła Bronisia. — Wiiesz, ja myślę, że temu tylko źle i powinien być smutny i zamyślony, kogo nie kochają. A tego nie możesz powiedzieć, bo tu w Rudnicy nie ma żywej duszy, któraby cię nie kochała. Wszyscy, wszyscy lubią cię, Michasiu, bardzo! A ja — dodała, spojrzawszy na czerwieniącego się chłopaka — to doprawdy, że cię kocham, jakbyś był prawdziwym moim braciszkiem. No, chodź, lepiej pogadaj ze mną, niż z temi lipami, które ci nie odpowiadają, choćbyś do nich tak słicznie mówił, jak czasem dziadek mówi w kościele.

I uczepiwszy się jego ręki, ciągnęła go za sobą i zachęcała, żeby z nią chodził, bawił się, żeby się rozruszał i rozweselił.

— Nie idźmy na słońce — rzekł Michaś. — Ciocia będzie się gniewać, jak się opalisz, i ojciec nie będzie kontent, jak wróci. Siądźmy lepiej tu, bo ja ci mam coś powiedzieć.

Bronisia zgodziła się, usiedli jedno przy drugim, i wtedy, bez długich przygotowań, po prostu, powiedział jej, co ją czekało. Słowa jego z początku niepewne, lękliwe, póki nie wyraził rzeczy o którą szło, później szły łatwo, wciskały się z rzewną pociechą do serca zatrwożonego dziewczyny, obalały jej wątpliwości o nieznaną kobiecie, która miała jej zastąpić matkę, a gdy przyszło do opisu jego własnego położenia i do obrazu tej, która nosi to sponiewierane imię macochy, a jest przecież dla niego najdroższą opiekunką i prawdziwą matką, słowa jego płynęły tak żywym, tak gorącym potokiem, że Bronisia, choć zraniona, choć zapłakana, uśmiechała się do niego przez łzy, położyła obie rączki na jego ramieniu i rzekła:

— O Michasiu! drogi mój braciszku! jaki ty dobry jesteś, że mi tak perswadujesz. Może się to wszystko sprawdzi, co mówisz. Ale jeżeli nie, o pamiętaj, Michasiu, wiele razy płakać będę potem, to ciebie zawołam, żebyś mnie cieszył.

Prośba dziwnie jakoś zabrzmiała w sercu młodzieńca i zaryła się w niem tak, jak kotwica, która wstrzymuje okręt, aby mu potem inny zupełnie dać kierunek.

Bronisia mocowała się z sobą resztę dnia, jak mogła. Udawała spokojną, a jednak tego samego wieczora leżała na grobie matki i serdecznie płakała. Nikt nie śmiał przerywać tego żalu dziecka, które na nową, na ciernistą w życiu swém wstępowało drogę, i wzywało ducha matki, do którego w swych widzeniach myśli i duszę podnosić przywykło. Ciotka, wsparta na ramieniu pasierba, stała z boku i płakała także, a stary kapłan, z którego białemi włosami wiatr igrał, odkrył głowę, i cichą modlitwą prosił Boga, aby to młode i niewinne serce umocnił i poddania się woli Swój nauczył.

## II.

W tymże samym czasie, w teatrze warszawskim, z powodu czerwonego afisza, było pełno. Przed zaczęciem sztuki wszystkie szklą zwrócone były na jedną łożę, gdzie siedziała zajęta sobą para. Mężczyzna słuszny, już niepierwszej młodości, przystojnej bardzo twarzy, siedział z prawej strony i przypatrywał się swój żonie, która wszystkich oczy na siebie ściągała. I rzeczywiście, było na co patrzeć i czém się zająć. Ułożenie jój było bardzo skromne, oczy najczęściej spuszczone, ale gdy je podniosła, uderzał ich blask, forma i wyraz. Rysy twarzy delikatne, poruszenie przesłicznych ust, gdy odpowiadała z uśmiechem i jakby z załękniem mężowi, okazywały kobietę łagodną, bojaźliwą i zażenowaną tém wrażeniem, jakie robiła, i jakiego nie mogła nie dostrzedz. Mogła mieć lat dwadzieścia kilka. Toaleta jój była pełna elegancyi: we włosach dość ciemnych kwiaty, w rękę, której delikatność wydawała się pod białą rękawiczką, trzymała wachlarz i chusteczkę, a gdy jój mąż podawał lorynetkę, aby się przypatrzyła publiczności, odmawiała, patrzyła najczęściej w ziemię, lub na męża, i gdy czasem rzuciła okiem około siebie, wtedy zdawała się kiwać głową, ruszać nieznacznie ramionami, spuszczała prędko oczy, jakby ją razilo to wszystko, co widzi, i jakby żalowała ludzi, że się takim oddają rozrywkom. To pobożne oburzenie szczególnie widocznem było wtedy, gdy patrzyła na łożę przeciwległą, w której siedziała niemłoda już elegantka, dobrej tuszy, wyróżzana, wygorsowana, z podrobionemi widocznie włosami, na których był podniesiony niewielki kapeluszek, a raczej stroik biały z ponsowem piórem. Kapeluszyk był podpięty białą wstążeczką, której fontaż leżał między brodą i podbródkiem, co twarz jój ściągała i ostrą, niby okrągłą czyniło. Na gorsie jój białym, pod blondynową, przezroczystą chusteczką, błyszczała wążka, ale gęsto brylancikami obsadzona kolia; wypukłe ręce objęte były rękawiczką i obłożone ciężką bransoletą; powabne jeszcze ramię obnażone było wyżej łokcia, gdzie je otaczała koronka, przez którą tém lepiej

wyglądały jego formy i zręcznie ukazywane na łokciach dołki. Suknia morowa, koloru jabłka, ubrana przy gorsie koronkową falbaną, obejmowała dobrze jej słuszną talię, spiętą szeroką wstążką w białe z ponsowém kraty. Wszystko to widoczném było dla każdego, kto był obecnym w teatrze, bo ta pani, z ptasią fizygnomią i jastrzębim wzrokiem kręciła się ustawicznie, co moment lornetowała to łoże, to krzesła, nie przepuszczając nawet galeryom, co moment uśmiechała się, kłaniała się to téj, to temu; ażeby dojrzyć siedzących w tym samym rzędzie łoż, a nawet w łożach parterowych, które były pod nią, powstawała, wychylała się, rozmawiając głośno ze swą towarzyszką i z sąsiadkami z jednej i drugiej strony, wypytując to o tego, to o innego, których bez ceremonii ukazywała swą lorynetką teleskopowych rozmiarów.

W krzesłach trzeciego rzędu stali mężczyźni, obrócenii tyłem do zapuszczonej jeszcze kurtyny, przypatrujący się łożom już prawie pełnym, a szczególnie tej, w której jaśniała nieznamiona im piękność. W samym środku stał jeden, mający minę wielkiego pana, tak już zawczasu ziewał; myśląc, jak nasi aktorowie masakrować będą tę sztukę, którą on widział w Paryżu, i drwiąc, spoglądał czasem na swojego towarzysza, który stał obok niego i trzymał się go poufale pod ramię, tak nachylając się ku niemu i głośno gadając, aby zwrócić na to uwagę obecnych, że się powiesił na ramieniu wielkiego pana, i że do niego mówi *ty*.

Młody ten człowiek, dość przystojny, wysoki blondyn, ubrany był bardzo starannie, czysto był wygolony, zaczesany i ufryzowany codziennie; zawsze nosił jasne rękawiczki i lakierowane buty, gdyż żadnej innej kłamki nie dotykał się, tylko pałacowej, która jej zbrudzić nie mogła; po żadnej innej podłodze nie chodził, tylko po posadzce lub kobiercach pałaców, a zawsze był gotów do wejścia tam, gdzie w różnej porze dnia wstęp mu był otwarty. Jeżeli go kto widział na ulicy, to w karyolce jakiego hrabiego lub księcia, trzymającego go pod ramię, lub na koniu tego lub owego pana, które miał na swoje zawołanie, zwłaszcza gdy panów nie było w mieście. Wówczas jeździł na spacer w aleje, w spencerze na fraku, w butach za kolana, podnosząc się na siodle po angielsku, aby wszyscy widzieli, że i w tém podziela sentymenta swych przyjaciół, i jak polskiego języka i obyczajów, tak i polskiego jeżdżenia nie lubi. Gdy przypadkiem o godzinie piątej lub szóstej nie miał takiego obiadu, po którym tuż przy stole płuczą się zęby w błękitnych szklaneczkach — co on zawsze dłużej i głośniej robił, niż inni, dla pokazania, że choć nie urodził się panem, ale ma wszystkie do tego warunki, wtedy podjadłszy gdzie cichaczem za parę złotych, szedł do ogrodu Saskiego. Wówczas widzieć go można było idącego prędko, szukającego niespokojnie, to go-

łém okiem, to szkiełkiem, czy nie znajdzie w kim urodzenia, tytułu lub milionów, aby wiaść je pod rękę i przejść się środkową aleją. W tych poszukiwaniach, przechudząc z zafrasowaną i osamotnioną twarzą, jaką ma każdy, który się znajdzie w niewłaściwej sobie kompanii, nie poznawał nikogo, nie witał się nawet z braćmi i siostrami, których starannie unikał. Jeżeli znalazł lub księcia, którego nazywał Olesiem, lub hrabiego, którego nazywał Jasiem lub Władziem, zaraz uśmiech jaśniał na jego ustach, rozpromieniało się lice, jak gdyby odszukał skarb, który zgubił. I wtedy, wzięwszy pod rękę takiego towarzysza, szedł nachylając się ku niemu i wypytując głośno, czy nie widział gdzie panny Aleksandryny, co miało oznaczać księżnę Z\*, lub panny Pauliny, co oznaczało hrabinę P\*, lub Fanny, co mogło oznaczać jaką bankierową wyższego tonu, i o której głośno wspomnieć nie było z ubliżeniem. Jeżeli nie spotkał żadnego pana, żadnej pani, wtedy chodził z jakim małym paniczem, trzymając go za rączkę i wypytując się o papę i o mamę; a gdy i tego nie było, uciekał z ogrodu jak z pustki, w której nie ma nikogo, lub przydybawszy gdzie w bocznej alei niankę, trzymającą na ręku jakie książętko lub hrabiątko, z nią spacerował. Przez kaprys jednego starego, lubiącego drwić z całego świata bogacza, który w nim dostrzegł dosyć materji na plastrona, wprowadzony w wyższe towarzystwo, tak się w niem zapoznał, zakochał, zakorzenił, że go już panowie od siebie wyrugować nie mogli, a choć z początku krzywiąc się i żartując, chcieli go się pozbyć, gdy spostrzegli, że to nic nie pomaga, dali pokój, i stopniami tak do niego przywykli, że już wszystkie drzwi stały dla niego otworem, wszyscy znali go lokaje, wszyscy czy seryo, czy na śmiech pozwolili mu z sobą wielkiej poufałości i zupełnego brata za brat postępowania. W zeszłych wiekach, człowiek z takim usposobieniem, gdyby miał więcej dowcipu, nosiłby czapkę z dzwonekami; ten, nie różny niczém, ani strojem, ani ułożeniem, ani dowcipem od panów, których się czepiał, przez to przypominał owe dawniejsze, różnobarwne i tak charakterystyczne postacie, że się z przyjaciółmi swemi poufalił, każdego imię pieścił, a oni nawzajem, przez delikatny odcień wyższości, który zawsze zachować umieli, zwali go po nazwisku i to przekręconém tak, jak niegdyś nazwiska sługusów totumfackich i kozaków przekręcano. Nazywał się ten młody człowiek Sroczyński Cypryan i stał z hrabią Franciszkim Z\*, człowiekiem jeszcze młodym i bardzo bogatym, który, także zapewne przez kaprys pański, szczególnie go sobie upodobał, zawsze z nim chodził, woził go i karmił, do teatru kupował bitety i najchętniej z nim rozmawiał, choć go na każdym kroku deptał i poniewierał.

— Ależ mój Franiu! mówił głośno pan Cypryan do hrabiego, trzymając się go pod rękę i przykładając do jego piersi lorynetkę —



gapisz się nie wiedzieć gdzie, a nie patrzysz na lewo. To sliczna kobieta, przypomina żonę twego brata, tylko Cesia niższa i chudsza.

— Widziałem już, widziałem, lepiej niż ty — odpowiedział hrabia — tylko że tam coś z nią siedzi nakształt męża, co zawsze kompromituje młodą i ładną kobietę. To coś nowego, i właśnie oglądam się, czy się jej kto nie kłania; chciałem cię, Sroko, posłać zaraz, żebyś się dowiedział.

— Widać, że cię to mocno zajęło — rzekł tak nazwany Sroka, przykładając szkła do oka. — Szkoda że tu nie ma twojej żony, a zwróciłbym na to jej uwagę. Ale pani Florentyna zna cię dobrze, i wie *à quoi s'en tenir*.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie i rzekł mu ciszej:

— Zapominasz o tém, że, aby dobrą plotkę zrobić, na to trzeba rozumu.

— Słuchaj, Franiu — podchwycił głośno pan Cypryan, udawszy, że nie zrozumiał przycinku hrabiego — jeżeli cię to tak zajmuje, to zobaczę, jaki numer łoży i pójdę do kassyera; dowiem się, kto zapisany.

— A wiesz, Sroko — mówił hrabia — zem się tego po tobie nie spodziewał! Z tego sposobu, jaki podajesz, widzę, zem się pomylił, i że mógłbyś nawet dobrą plotkę zrobić. Ale patrz! szambelanowa kłania się komuś do téj łoży. Twój więc genialny środek będzie niepotrzebny. Ona już pewnie przewąchała, co to za piękność, która zajmuje to pole, z którego ją spychają, a z którego zejszby nie chciała. Wszak znasz panią Eufrozyne Matraszyńską, którą nazywam dla tego, choć to nazwisko diabelnie Starém Miastem pachnie, zem przywykł nazywać kota kotem, a srokę sroką, choćby miała czubek dudka — dodał, spojrzawszy szydersko na głowę swego towarzysza.

— O! znam ją doskonale — odpowiedział nie zważający na takie fraszki pan Cypryan, i spojrzawszy w téj chwili ku łoży, zaczął się kłaniać owéj elegantce, którąśmy opisali.

— Prawda — mówił hrabia — kogo ty nie znasz? na jakim płocie nie siedziałeś? możeś u niéj nie jeden zjadł obiad, a możeś i w koczku jéj jechał. Tylko, jeżeliście jeździli razem, to nie wiem, jak zmieścili się. Zapewne siedziałeś na przodzie, a jeżeli to koczyk podwójny, to może na koźle, ty, coś taki galant dla dam.

— Włodziu! słuchaj, Włodziu! — rzekł pan Cypryan do hrabiego W\*, który właśnie wszedł i w trzecim rzędzie o kilka miejsc stanął — przysuń-no się do nas, i posłuchaj, w jakim osobliwszym humorze jest dzisiaj Franus. Jak tu przyjdiesz, to ci powiem na ucho dla czego.

— Mój Sroko, widzę znowu, że żadnej dobrej plotki nie zrobisz — rzekł hrabia Franciszek; — pójdź-no lepiej do téj strasznej baby,

która znowu się tam ukloniła, choć ci wytnie jaką prawdę w oczy; ale to u ciebie jak groch na ścianę; ty się nie zmieszasz, i dowiesz się, co to za piękność, której nikt nie zna, a ten jegomość, czy to jęj mąż, czy może jaki stryjaszek.

Podniesiona kortyna przeszkodziła temu Sozji wypełniać polecenie swego Amfitryona. Gdy się skończył pierwszy akt, z wielkimi przyjętymi oklaskami, pan Cyprian wyszedł, i otwarła się łoża szambelanowej, w której się pokazał i uklonił się jęj z taką miną, jak gdyby łaskę robił kobiecie, co choć bogata i wszędzie przyjmowana, ale której nazwisko strasznie Starém Miastem trąciło; a gdy panna, która towarzyszyła szambelanowej, usiadła z boku, usiadł na jęj miejscu, rozparł się na poręczy i zaczął rozmowę.

Szambelanowa, jakeśmy widzieli, ze spiczastym nosem, z ostremi, jak dziób jastrzębia, ustami, i z przeszywającym z daleka wzrokiem, nigdy nie była piękną; ale młodość, ładna kibić i majątek, dawały jęj jakie takie powodzenie i łagodziły ostrość jęj charakteru. Póki ten i ów nią się zajmował, ona mniej zajmowała się drugimi, pozwalała ludziom mieć wady i śmieszności, ukrywać grzechy i grzeszki, a czując, że sama nie lepsza od innych, była dla wykraczających popobliżliwszą. Ale gdy czas zepsuł do reszty to, czego nie dała natura, a sztuka nie mogła zakryć ani zmarszczków, ani żółtości i plam na twarzy; gdy peruczka, choć doskonała, mówiła głośno o łysinie, a wstawione zęby, choć się często na ich ból uskarżała, połyskiwały tu i owdzie złotymi blaszkami, — zmuszona do cnoty i moralności, zastrzyła tém bardziej sępi swój wzrok, zaczęła widzieć wszystko, i wyjawiając głośno to, co o każdym i każdej myślała, wyrobiła sobie tém straszniejszą pozycę, że nie było jęj za co z towarzystwa usunąć, a jako kobiecie, a do tego w pewnym wieku, mającej majątek i znaczenie, nie można było zamknąć gęby impertynencyą. Choć bowiem spotykały ją czasem odcinki ostre i dojmujące, że jednak miała rozum i śmiałość, a oprócz téj śmieszności, iż się stroiła nad wiek, trudno jęj było obecnie coś zarzucić, brała zawsze górę i przywodziła do milczenia tych, co się odcinali. Pana Sroczyńskiego, z którym rzeczywiście nie żenowała się wcale, przyjmowała chętnie, a szczególnie dla tego, że chwalać się ciągle swojemi stosunkami z wysokim towarzystwem, i o takich tylko domach i osobach mówiąc, wygadał się często z tém, co się jęj przydać mogło i czego używała potem wręcz, jako broni, którą kaleczyła bez miłosierdzia każdego, kto się jęj nawinął, a zwłaszcza kobiety młodsze od siebie, piękniejsze, i które mogły się spodziewać powodzenia, gdyby się zapomnieć chciały.

— Jak się masz, panie Sroczyński? — rzekła, patrząc szydersko, że usiadł i rozparł się, choć go jeszcze nie prosiła — siadaj, siadaj! Tylko nie rozpieraj się tak bardzo u mnie w łoży, żeby kto nie pomy-

ślał, żem ci dała prawo, abys mi chybiał. Panowie cię zepsuli i pozwalają ci wszystko; ale oni sobie z ciebie żartują, a ja nie, i dla tego daję ci tę maleńką przestrogę.

Pan Cypryan poprawił się i usiadł przyzwoicięj, a ona, ukłoniwszy się komus w krzesłach na lewo, potem komus w łoży na prawo, zwróciła się raptem do swego gościa, i obejrzawszy go bystro od stóp do głów, dodała:

— Ładnie wyglądasz, panie Sroczyński; prawie codzień jesteś ufryzowany i prawie codzień bierzesz świeże rękawiczki. To bardzo dobrze i elegancya zdobi młodego człowieka, ale dużo kosztuje. Nie wiem, z kąd ci wystarcza. Ojca nie masz, żeby na to łożył; bracia żyją z pracy i pewnie ci nic nie dają, siostry także nie; zresztą, podobno się z nimi nie zadajesz wcale i unikasz ich. Czy nie karteczki ci pomagają? To ślizkie rzemiosło, a tylko takim szulerom, uorganizowanym na wielką skalę, jak pan Narcyz, co ma dom, majątek i rozum, co ściąga do siebie bogatych i niedoświadczonych młodzików, uchodzi ten przemysł do jakiegoś czasu. Ale gdzieżeś był dziś na obiedzie i coś słyszał?

— Byłem u Celestyny — odpowiedział pan Cypryan, cokolwiek zmieszany takim przyjęciem, i zapomniawszy, że nie mówi z przyjaciółmi swemi, którzy mu tak poufalego nazywania żon swoich, rozumie się w ich nieobecności, dozwolali.

— Dodaj przynajmniej, u pani Celestyny — rzekła szambelanowa — chociaż i takie nazywanie kobiet zamężnych jest głupim waszém naśladowaniem francuzczyzny. Tak się po polsku nie mówi. U nas kobietę trzeba nazywać albo po nazwisku, albo po imieniu jęj męża. A ta Celestyna, którą nazwałeś tak, jakby była jaką gryzetską, nazywa się hrabiną Zenonową, albo.... — czy widzi pani tego wysokiego bruneta, co stoi przy parterowej łoży pani Koblickiej? — rzekła raptem, obróciwszy się do sąsiadki swęj zlewęj strony.

— To kuzyn pana Koblickiego — odpowiedziała młoda i przystojna kobieta, do której pytanie to było tak nagle zaadresowane.

— Tak — odpowiedziała szambelanowa — jest takim samym kuzynem pana Koblickiego, jakim dla męża pani jest pan Poliski Teofil.

— Cóżes słyszał, panie Sroczyński, na tym obiedzie? — mówiła znowu do pana Cypryana, nie czekając odpowiedzi swojej sąsiadki, która rzeczywiście nie byłaby jęj w stanie odpowiedzieć, tak się zaczerwieniła i zmieszła.

— To był obiadek niewielki dla księżnej Honoraty, na który zaproszeni byli tylko poufali — odpowiedział pan Cypryan, kładąc przycisk na ostatnim wyrazie, którym chciał się pochwalić.

— A zatem i ty, panie Sroczyński — odpowiedziała uśmiech-

nąwszy się — doprawdy, szczęśliwy jesteś, że do wszystkich poufałych obiadków należysz. Czy oni się ciebie nie żenują?

— Jakto? — zapytał młody człowiek, niby obrażony takiem podejrzeniem.

— To jest, czy rozmawiają przy tobie tak, jak gdyby byli sami? — rzekła szambelanowa. — Toby dopiero było ciekawe, ale dla kogo innego, panie Sroczyński. Ty pewnie na to nie zważasz. Czy dobrego ma teraz kucharza pani Zenonowa? dawnom u niej nie była na obiedzie. Któż tam był z poufałych prócz ciebie?

— Była księżna Kalixta — odpowiedział młody człowiek, odurzony tak ciągłemi zapytaniami, których ostrza nie czuł, lub udawał że nie czuje.

— I zapewne twój przyjaciel, hrabia Franciszek Z\* podał jej rękę i usiadł obok niej przy stole — rzekła szambelanowa, spojrzawszy raptem ku miejscu, gdzie stał wymieniony hrabia i potem na łożę nieznaną. — Czy miała księżna na szyi te przesliczne perły, których jej tak inne panie zazdroszczą, tém bardziej teraz, gdy je zapina fermuar brylantowy? Musiał się hrabia przypatrywać ciekawie, jak też wygląda na tak pięknej szyi tak piękna ozdoba, którą podjął się dać wyreperować w Paryżu. Tam wszystko drogo w tym Paryżu. Ta reperacya fermuaru i dodanie kilku kamyków, kosztuje go podobno pięć tysięcy franków. Czy już mu je księżna Kalixta oddała gotowizną, czy bonami? Ty, panie Sroczyński, który znasz tak zbliżka hrabiego, musisz wiedzieć.

— Ja nie wiem, ale pani szambelanowa widzi wszystko przez ścianę — rzekł młody człowiek, kontent, że mu się przecie udało, choć raz odplacić złośliwej kobiecie konceptem, który uważał za niezły.

— Cóż to trudnego, mój panie Sroczyński — rzekła, przykładając lorynetkę swą do oczu. — Ten przyjaciel twój bardzo jest przyjemny, bardzo miły, a nawet ma więcej w głowie, niż wielu jego znajomych i poufałych; ale ma tę wielką wadę, że mało kogo uznaje za osobę taką, którejby się warto żenować. Z tego względu podobnym jest do owiej księżnej, już nie wiem jakiej, która kąpiąc się w rzece, pod gołym niebem, kazała się swoim lokajom pilnować, żeby jaki mężczyzna nie nadszedł. On nie kryje się wcale ze swemi gustami, tém śmieliej, że żona jego ma zupełnie inne, i lubi kompromitować kobiety, które choć mu nie wierzą, ale lubią także być skompromitowanymi przez takiego, jak on, magnata. Ot i teraz, pewna jestem, że już zagał parol na tę śliczną parafiankę, której tak przypatrywalście się ciekawie obydwa, a której tu nikt nie zna.

— Ale pani szambelanowa — rzekł uśmiechając się pan Cy-

pryan, kontent, że nareszcie dała mu zbliżyć się do celu — musi wiedzieć, co to za pani i znać doskonale całą jej historję.

— Otóż widzisz, nawet i ja nie wiem jeszcze — odpowiedziała — ale to wiem doskonale, że cię tu hrabia przysłał po to, abys się dowiedział. Widzieliście, zem się kłaniała do ich łoży, i wnieśliście, że zapewne muszę ich znać. Powiedz-że hrabiemu, mój panie Sroczyński, że znam doskonale wszystkie te panie, w których już się kochał, ale naturalnie nie mogę znać tych, w których się kochać będzie.

— Zkąd-że pani szambelanowa wnosi — rzekł pan Cypryan, — że hrabia ma zamiar kochać się w tój pani?

— Niechący, panie Sroczyński, wyrwało ci się trafne wyrażenie — odpowiedziała szambelanowa. — Innym ludziom przychodzi miłość mimowolnie, niespodziewanie; ale twój przyjaciel zawsze zamierza sobie pokochać tę, lub inną. Ta przynajmniej warta takiego zamiaru, bo doprawdy że piękna, choć tak pobożnie oczy spuszcza. I wiesz, panie Sroczyński, właśnie dla tego, że tak pobożnie oczy spuszcza, twój przyjaciel, który ma rozum i doświadczenie, musiał powziąć zamiar pokochania się w niej. Ale jakież to nudziarz z tego referendarza — dodała, oglądając się ku drzwiom swojej łoży — pewnie tam gdzie zagadał się na korytarzu. Pójdź-no, panie Sroczyński, obacz. Jeżeli go spotkasz, powiedz, że go czekam niecierpliwie, bo wkrótce podniosą korytnę. Przepraszam cię, panie Sroczyński, że cię fatyguję. Ale ty, co jesteś tak usłużnym dla twoich przyjaciół, że zawsze w teatrach ich amatorskich, przyjmujesz rolę lokaja, możesz tę małą przysługę zrobić dla kobiety. Tylko bądź łaskaw, jak spotkasz referendarza, nie mów mu, że Eufrozyna go oczekuje, ale szambelanowa.

Gdy pan Cypryan powstał z krzesła, nieukontentowany i przywitaniem i pożegnaniem i całą rozmową, a mianowicie: że przewidywał podobne różgi i od hrabiego, gdy do niego wróci z niczém, drzwi łoży się otwały i wszedł referendarz.

Był to mężczyzna wysoki, chudy, nagięty cokolwiek naprzód, zapewne od grzeczności i ukłonów, których nie szczędził nikomu. Ubrany był bardzo starannie, dbając nawet więcej o swoją toaletę, niżby na wiek jego przystało. Znał on wszystkich, a że był dość zamożny i miał wszystek prawie czas do swęj dyspozycji, wizytował wszystkich jak najsumienniej, tak dalece, że gdy przypadek jaki zrządził, że mu wizyta jaka zaległa i w swoim czasie nie była oddana, to nocy nie dosypiał i wyrzucał sobie, że obowiązku takiego nie dopełnił. O imiennach wszystkich lepiej wiedział niż kalendarz, i nie tylko, że sam żadnych nie opuścił, ale kogo tylko spotkał na ulicy, lub w jakim domu, lub w teatrze, to każdemu przypominał, że za kilka dni jest albo Franciszka, albo Józefa, albo Celestyna, albo Barbary. Gdy kto

wracał z zagranicy, od wód lub ze wsi, on pierwszy wiedział; i jeszcze tłómoków podróźnych nie rozpakowano, gdy już jawił się i serdecznie witał, donosząc zaraz, kto jest w mieście, kogo nie ma, kto zdrow, a kto chory, kto się żeni, a kto umiera, kto dziś lub nazajutrz daje wieczór lub obiad, komu powinnować awansu, orderu lub imiennin. Był to człowiek trochę nudny, ale nieszkodliwy, uczynny, a czasem nawet użyteczny. Właśnie w obecnym razie przydał się szambelanowej. Spostrzegła go ona w łoży nieznanomych jej osób, widziała, że się witał uprzejmie z samym panem, że go ten rekomendował swojej damie. Widziała także, że po krótkiej rozmowie, owa pani zapytywała go o nią, że wtenczas referendarz spojrział ku jej łoży, a ona zaczęła mu się kłaniać i dała mu znak, aby do niej przyszedł. Referendarz zrozumiał ją, odpowiedział znakiem, że przyjdzie, i dla tego tak go niecierpliwie oczekiwała.

— A chodź-że już, chodź, nudny referendarzu! — rzekła wyciągając do niego rękę — już myślałam, że mi skrewisz, lub żeś mnie nie rozumiał, tak tam marudziłeś. I to moje szczęście, żeś na korytarzach żadnego solenizanta nie spotkał, bo byłabym musiała dać za wygraną, i pójść spać nie wiedząc, kto ta śliczna parafianka, na którą już Lowelasy strzelają oczami. Ale siadaj-że, referendarzu, i gadaj. Panie Sroczyński, puść-no pan referendarza na swoje miejsce, bo on i starszy, i więcej ma znajomości niż pan, choć nietak poufałych, a potem musiałabym się odwrócić od krzesel i od łoż, których inspekcyja jest tak interesująca. Siadaj-że, referendarzu, i mów prędko, nie zrażając się tém, że ja czasem gdzie indziej spojrzę. Zawsze słuchać cię będę z uwagą.

Gdy referendarz usiadł na miejscu pana Cypryana, który, chociaż nie proszony, ale kontent, że dopnie swego celu, zabrał miejsce na pozostałym czwartym krześle, postawił kapelusz między kolanami, oparł o niego laseczkę z elegancką rączką, utarł nos głośno, dwukrotnie zażył tabaki ze złotój tabakierki, którą prawie zawsze miał w ręku, i częstując tabaką pana Cypryana, rzekł z dobrodusznym, poczciwym uśmiechem:

— Najprzód trzeba pani wiedzieć, że gdyśmy byli razem z tym panem w konwikcie u Pijarów...

— Ale dajże pokój, mój referendarzu — przerwała szambelanowa, którą te wszystkie przybory do opowiadania niezmiernie niecierpliwiły. — Przyjdź do mnie jutro na obiad, to mi opowiesz te wszystkie szczegóły o waszym pobycie u Pijarów i o plagach, jakieście tam brali. A teraz bądź łaskaw odpowiadaj tylko na moje zapytania porządkiem materyj. A najprzód: kto jest ten pan? z kąd? czy ma jaki tytuł lub urząd? czy majątny i z edukacją? tylko prędko, mój referendarzu, kategorycznie, a z szczegółami przygotuj się na jutro, przy

doskonalej sztuce mięsa, która, jak wiiesz, u mnie lepsza, niż u generała X., który pod pretekstem dyety, jaką mu przepisał doktor, każe sobie na osobnym talerzu podawać rzeczy świeże i smaczne, a gości traktuje resztkami z onegdajszego obiadu. Cóż tedy?

— Jest-to pan sędzia Łuniewicki, z Krakowskiego — odpowiedział referendarz.

— *Un sędzia!* — zawołał uśmiechając się pan Cypryan.

— *A propos* tego odezwania się powiedziałabym ci coś, panie Sroczyński, ale nie chcę referendarzowi przerywać — rzekła szambelanowa.

— Człowiek to bardzo bogaty — mówił dalej referendarz — niezmiernie poważany w swojej okolicy, i mający piękny dom, wzorowo urządzony.

— *Un sędzia!*... widzisz pan, panie Sroczyński — mówiła szambelanowa, obróciwszy się raptem do młodego człowieka, który już i sam o panu Łuniewickim zaczął lepszej nabierać opinii.

— Ukształcenie ma piękne, ale więcej zajęty życiem praktycznym, gospodarstwem i posługą współ-obywateli, niż książką — mówił referendarz.

— Doprawdy, referendarzu — mówiła szambelanowa, wyrachowawszy swoje szkła na pana Tomasza — doskonale opowiadasz, kiedy cię kto dobrze trzyma na wodzy pytaniami. Wszystko to, coś powiedział, patrzy w oczy temu panu. Podobał mi się, muszę się z nim poznać. A teraz idźmy dalej. Ta pani, to jego żona?

— Żona — mówił referendarz, otwierając wielkim palcem swą tabakierkę i biorąc porządną szczyptę, której większa połowa, z wielką pociechą administracji tabacznój, wysypała się na ziemię.

— I zapewne niedawno się pobrali — rzekła, spojrzawszy bystro ku łoży — to zaraz widać. O trzecią łożę od nich siedzą także małżonkowie, a obacz, referendarzu, gdzie pan Adam patrzy, gdzie pani Adamowa. On wymierzył swoją lorynetkę ku łoży orkiestrowej, czy mu tam jaki chórzysta nie szyje butów; a ona swojej nie spuszcza z pana Poleczyńskiego Tytusa, czy ten niedawny akademik, którego wprowadziła w świat, nie spogląda na księżną Matyldę, która dziś ładniejsza niż zwykle. Gdybyś był mniej poczciwym, referendarzu, i mniej zajęтым imieninami twoich znajomych, zaprosiłabym ją także jutro na obiad, żeby ci sprawić uciechę, i zapytałabym ją o treść dzisiejszej sztuki. Obaczyłbyś, jakby się zaczerwieniła, bo ręczę, że dotąd nie słyszała ani jednego słowa. Więc dawno się pobrali?

— Przed trzema tygodniami — rzekł referendarz.

— Widzisz, zgadłam — mówiła szambelanowa — ale kontynuujmy: któż ona z domu? z kąd? wiele może mieć lat? czy z blizka tak piękna, jak z daleka? i dla czego tak często spuszcza oczy? O wszyst-

kiem t $\acute{e}$ m powinienesi $\acute{e}$ s $\acute{y}$  by $\acute{e}$ l dowiedzie $\acute{c}$  przez czas waszej rozmowy. Odpowiadaj- $\acute{z}$ e, tylko pr $\acute{e}$ dko, bo dr $\acute{z}$ e ca $\acute{a}$ ,  $\acute{z}$ eby nie podnieśli kurtyny.

— Pani  $\acute{L}$ uniewicka jest z Lubelskiego, T $\acute{a}$ czyńska z domu — mówi $\acute{l}$  referendarz.

— Panna Hieronima? wiec to ta sławna panna Hieronima — rzekła szambelanowa, przypatrując się j $\acute{e}$ y przez szkła — o której ciotka j $\acute{e}$ y, prezesowa, nagadać się nie może. Przecie $\acute{z}$  cho $\acute{c}$  raz w  $\acute{z}$ yciu prezesowa, mówiac o swoich krewnych, powiedziała prawdę, bo rzeczywiscie bardzo piękna. Ale to podobno nabo $\acute{z}$ nisia, bigotka, która się co miesiac spowiada i  $\acute{z}$ adnego odpustu nie opuszcza.

— O t $\acute{e}$ m nie s $\acute{l}$ ysza $\acute{l}$ em — mówi $\acute{l}$  referendarz, otwierajac tabakierkę — z rozmowy tylko wnoszę,  $\acute{z}$ e musi by $\acute{e}$ ć dziwnie dobra, słodka, pełna łagodności. Głos ma nadzwyczajnie sympatyczny, i w oczach wyraz nieskończenie ujmujacy.

— A, ty jesteś zanadto pocziwy, mój referendarzu — rzekła szambelanowa; niech-no ja z nią pogadam, to zajrzę głębiej niż ty. Nie wi $\acute{e}$ sz, nie będą oni jutro u prezesowej?

— W sobotę daje prezesowa wieczór bez tańców — mówi $\acute{l}$  referendarz — na który, jak mi mówi $\acute{l}$  pan Tomasz, ma zamiar zaprosić swoich najbliższych znajomych,  $\acute{z}$ eby im siostrzenicę swą zaprezentowa $\acute{c}$ .

— Doprawdy? to dobrze — mówiła — szkoda tylko,  $\acute{z}$ em tak dawno nie była u pani Rojskiej, gotowa o mnie zapomnie $\acute{c}$ . Ale to nie. Pojadę do niej jutro, a ty, referendarzu, jak u niej b $\acute{e}$ diesz,  $\acute{z}$ eby się nastroczy $\acute{c}$  j $\acute{e}$ y pamięci, aby cię nie pominęła, to użyj wszelkich środków,  $\acute{z}$ ebym otrzymała inwitacy $\acute{a}$ . Powiedz j $\acute{e}$ y,  $\acute{z}$ em się nie mogła napatry $\acute{c}$  na tę pani $\acute{a}$  w teatrze i mnóstwo dobrego o niej mówi $\acute{l}$ am. Możesz nawet dodać,  $\acute{z}$ e bardzo sobie  $\acute{z}$ yczę poznać się z nią bliżej.

W tej chwili da $\acute{l}$  się s $\acute{l}$ ysze $\acute{c}$  dzwonek i obaj panowie wstali. Szambelanowa, zatrzymujac referendarza, zapytała go jeszcze:

— W którym- $\acute{z}$ e to miejscu w Krakowski $\acute{e}$ m, mieszka ten pan sędzia?

— Niedaleko od Stobnicy — odpowiedzia $\acute{l}$  referendarz.

— Ach! wiec to ten? mam i ja tam parę wiosek ku Klimontowu — zawołała szambelanowa. — nigdy wprawdzie w nich nie bywam, ale s $\acute{l}$ ysza $\acute{l}$ am, s $\acute{l}$ ysza $\acute{l}$ am. To wdowiec i ma córkę. Biedne dziecko! szkoda. — Nie zapomnij- $\acute{z}$ e, referendarzu,  $\acute{z}$ ebym była zaproszona na sobotę, koniecznie.

Referendarz otworzył tabakierkę, zażył tabaki, i ukłoniwszy się szambelanowej, rzekł do pana Cypryana.

— A pan będzie u prezesowej? warto by $\acute{e}$ . A nie zapomnij pan,



że we czwartek Natalii, a jutro Jakóba. Pułkownik przyjechał pozawczoraj.

Gdy Referendarz wyszedł, szambelanowa posadziła jeszcze pana Sroczyńskiego, który się jęj także kłaniał i chciał wyjść, i rzekła eokolwiek ciszej:

— Słuchaj-no, panie Sroczyński, dowiedziałeś się wszystkiego, czegoś chciał, i zdasz zapewne relacyę przyjacielowi swemu, który na ciebie czeka i niecierpliwie tu zagłada. U prezesowej będziecie, tegom pewna. To nic, niech jęj hrabia zrobi ten honor; pocziwa ta prezesowa, oprócz tego, że się mija z prawdą, gdy mówi o swojej familii, jest jeszcze prózna, i będzie bardzo rada tak wysokiemu gościowi. Ale powiedz hrabiemu ode mnie, że jeżeli ta śliczna kobietka jest taką, jaką się wydaje, i to co o niej słyszałam nieprawda, to niech sobie na nią zębów nie ostrzy, bo ja będę miała oczy otwarte. Do widzenia, panie Sroczyński. Podnoszą kortynę.

Nazajutrz koło godziny dziesiątej, pan Tomasz już zupełnie ubrany, kończył list do siostry, w którym uwiadamał ją, że się zatrzyma jeszcze z tydzień w Warszawie dla interesów, a potem uda się z żoną prosto do domu. Odwołując się do poprzedniego swego listu, który pisał z Lublina w kilka dni po ślubie, przeproszał raz jeszcze siostrę i księdza Studzińskiego, że przed niemi zamiary swe utaił, powtarzając i rozwijając powody, jakie go do tego skłaniały. „Wiedziałem, — mówił jej — że mi będziecie odradzać, że w tém wszystkiem, com sam dawniej utrzymywał, i co wówczas nawet niezupełnie płynęło z mego przekonania, znajdziecie dosyć argumentów do zbicia mnie z tęg drogi, na której ujrzałem się postawionym. Nie znając osoby, która zmieniła mój sposób widzenia w tęg rzeczy, moglibyście mnie posądzić o płochosć, o chęć dogodzenia tylko jakiegś żądzy młodzieńczej, która w moim wieku musiałaby się wam wydać śmieszną i zagrażającą lub pokojowi mego domu, lub szczęściu tego dziecka, które, bądźcie pewni, nie przestawało na chwilę być najdroższym dla mnie skarbem. Chciałem więc być niezależnym w tém co robię, i dla tego unikałem starannie wszelkiej rady, wszelkiej wskazówki, nie tylko waszég, ale wszystkich moich znajomych i przyjaciół, abym potem nie miał nikomu do wyrzucenia, tylko sobie, gdyby mnie zawiodło natchnienie serca i oględne rozważanie wszystkich warunków, na których oparłem nadzieję tego szczęścia, jakie osiągnąć spodziewam się, a do jakiego od dawna tęskniłem, chociaż wam tego nie okazywałem. W sile wieku zostałem wdowcem. Cztery lata tylko kosztowałem tęg słodyczy, jaką daje związek dwóch serc, których każdy ruch, każda pulsacya objawia życie tym samym płynące prądem. Gdy się żal mój utulił za nieporównaną kobietą, którą tak wczesnie straciłem, i której pamięć będzie mi zawsze drogą, serce moje zaczęło poczuwać swoje siero-

ctwo, mimo waszej przyjaźni, waszej miłości, mimo tej rozkoszy, jaką mi dawał wzrost, wdzięki i pieszczoty Bronisi. Im zimniej zastanowicie się nad moim położeniem, im wyraźniej przypomnicie sobie, jakie wiodłem życie, które tak jawnie płynęło pod okiem waszém, tém mniej będziecie się dziwić, gdy wam powiem, że już od lat dwóch i więcej o powtórnych związkach myśleć zacząłem. Nie wydawałem się z tą chęcią, z tą potrzebą mego serca; owszem, utrzymywałem głośno zasady, które dowodziły przeciwnego usposobienia, a to dla tej przyczyny, że obejrzawszy się w koło siebie, nie znajdowałem nic, coby odpowiedziało wyobrażeniu, jakie powziąłem o kobiecie godnej zastąpić w sercu moim tę, którą straciłem, godnej być macochą dziecka, które mi tamta zostawiła. To wyznanie wiary, z którym nie tailem się wcale, zapewniło mi spokojność i uwolniło od tych nadstawiań się i stręczeń, jakich nie lubię w niczém, a dopieroż w rzeczy tak ważnej i interes całego życia obchodzącej. Czuję jednak, że jestem tylko połową jakiejś całości, że jestem niekompletną i ułamkową istotą. Gdybym wam powiedział, że to pragnienie, które ukrywało się w głębi moich piersi, miało źródło swoje w troskliwości rodzicielskiej; że jako mężczyzna, nie mogłem czuwać nad córką moją, jakby nad nią czuwała matka, kłamałbym, a wiész dobrze, kochana Anno, że do tego niezdolny. Widziałem aż nadto dobrze twoje starania, twoją miłość dla mego dziecka; wiedziałem o tém doskonale, że ja, ty i ten stary nasz i doświadczony przyjaciel, do którego tu równie piszę, jak i do ciebie, wystarczemy jej i wychowamy ją tak, że się stanie miłą Bogu i ludziom. Tym pretekstem, zwyczajnym wdowom i wdowcom, nie koloryzowałem moich zamiarów przed sobą samym, i teraz, gdy przyszły do skutku, nie chcę się nim ukrywać i drapować przed wami. Ja potrzebowałem żony dla siebie; ale szukając jej, oglądałem się za taką, któraby nam pomogła w tém dziele, za które odpowiedzialnym jestem przed Bogiem i sumieniem, i które więcej mi leży na sercu, niż moje własne szczęście i zaspokojenie się w tej tęsknocie i osamotnieniu, jakie mnie trawiło. Znasz mnie dobrze, kochana Anno, i wierzysz pewnie, że ani piękność, ani urodzenie, ani majątek, słowem: żaden z tych warunków, które stanowią to, co w języku towarzyskim nazywa się dobrą partją, lub co skłania ludzi z gorącym sercem do tak nazwanego zakochania się, nie skłoniłyby mnie do spuszczenia z uwagi powinności ojca. Przekonana o tém jesteś, że umiałbym siebie pokonać, i zamknąłbym oczy nawet na takie powaby, jakimi jasnieje ta, którą wybrałem, gdybym nie widział w niej tych wszystkich przymiotów, czyniących mnie zupełnie spokojnym o szczęście i spokój Bronisi, a które wy wkrótce poznacie i ocenicie sami. Ja poznałem ją od roku i pokochałem, nie z owym ogniem młodzieńca,

dającym ślepotę, olśnienie oczu i letarg rozważi, ale z tém przywiązaniem dojrzałego człowieka, którego miłość jest od razu przyjaźnią, nie tyle lgnącą do powabów ciała, jak do przymiotów serca i duszy, które widzi jasno, które może sądzić z pobłażaniem, ale zawsze rozbiiera i sądzi. Ani jej matka i krewni, ani ona sama, ani nikt z obcych nie spostrzegł tego bynajmniej, jakie miejsce dałem jej w mojem sercu. Długo więc przypatrywałem się jej życiu, jej obchodzeniu się z ludźmi, jej wypełnianiu obowiązków córki, przyjaciółki i chrześcianki. Rola pięknej kobiety w świecie jest niezmiernie ślizka i trudna; tém trudniejszą jest rola pięknej panny na wydaniu, gdy nie jest siedemnastoletnią dziewczynką. Najręczniejsza zdradzi się, wyda się ze swą próżnością, z chęcią złapania świetnej pozycyi, okaże swoje aktorstwo, jeżeli te wszystkie przymioty, któremi chce jaśnieć i ująć, są aktorstwem, nie są jej naturą, nie są nią samą. Obojętni nawet spostrzegą udawanie, a cóż dopiero człowiek, którego wzrok zaostrza serdeczne zajęcie, który każdy ruch śledzi, każdy krok widzi, każde spojrzenie i słowo rozbiiera tém baczniej i troskliwiej, im czystsza chciałby widzieć ich intencję, im ważniejszy ztąd dla niego wynika rezultat. Otóż takie przypatrzenie się zdecydowało mnie, moja najdroższa Anno. Pewny jestem, że wkrótce podasz mi rękę i powiesz:—dobrześ zrobił!—że ta, którą tém więcej kocham, im więcej poznaję, stanie się przyjaciółką twoją; że będzie przykładem dobroci, łagodności, pobożności dla Bronisi, że zatem nie tylko nam nie przeszkodzi w tém, co jest głównym celem naszego życia, ale owszem, pomoże z tém wylaniem i szczerością, którą w każdym jej kroku i słowie uwielbiam. Bądź zdrowa, moja najdroższa siostrze! Mam nadzieję, że przybycie do domu takiej istoty, jaką jest moja żona, nie zmieni ani jego trybu, ani jego spokoju, ani tych stosunków przyjaźni i braterstwa, które nas łączyły. Przybędzie tylko jeszcze jedna dźwięczna struna, i właśnie ta, której nam brakowało, aby akord naszego życia był zupełnym, i aby każdy, co mu się przysłuca, mógł powiedzieć, że szczęście może być i na ziemi. Ucałuj odemnie Bronisję. Nie piszę do niej osobno, bom zajęty, i trudnoby mi było dobrać słów, żeby dziecku wytłómaczyć to wszystko, com powiedział tobie. Ty potrafisz ją przygotować na przyjęcie otwartém sercem i dziecinném przywiązaniem tej, która już do niej tęskni, i radaby jak najprędzej przycisnąć ją do serca, które ją tak kocha. Powiedz jej przedewszystkiém, że wiozę jej taką macochę, jaką ty byłaś i jesteś dla syna twego męża, a pojmie to i zrozumie, bo jest w stanie zrozumieć, żem jej kochać nie przestał. Te drobne zmiany w organizacyi mego domu, o które cię prosiłem w poprzednim liście, racz skutecznie; zresztą, żona moja prosi cię, abyście żadnych na jej przyjęcie nie robili zachodów, gdyż ona pragnie tylko waszej

przyjaźni, waszego serca, a przywykła u matki, nie tak zamożnej, przestawać na małym, pewna jest, że znajdzie zawsze więcej wygod i starania, niż potrzebuje. Szanowną rękę księdza Studzińskiego ściskam z całego serca. Powiedz mu, że dostaje parafiankę szczerze pobożną, bardzo gorliwą i nie mającą za rzecz małej wagi i przydatek tylko wszystkich praktyk religijnych, które nakazuje Kościół, a które ona wypełnia z całym przeniknięciem się ich ważnością. Świat tak jest zepsuty, przyszliliśmy do takiego stopnia zubożenia na to wszystko, co ojcowie nasi tak szanowali, co matki nasze wykonywały tak jawnie i serdecznie, że byli tacy, którzy tę piękną pannę, myślącą częściej o Mszy S-tój niż o balu, nie wstydzącą się postu, idącą z pokorą za processyą, nazwali bigotką. Wiedziałem o tém, śledziłem to jej usposobienie, i przekonałem się ze smutkiem, że mało kto u nas wierzy, iż można szczerze wypełniać obowiązki względem Boga i bliźnich. Tylko w miłość swych uciech i interesu wierzą bezwarunkowo. Każda inna miłość jest w ich oczach udaniem i hipokryzyą. Ksiądz Studziński nauczył mnie nie wstydzić się spowiedzi, i dzięki mu za to. Czém on dla mnie, tém dla żony mojej była jej matka, i taką jest jej pobożność, jaką jest i moja, może pełniejsza tylko zewnętrznego wyrazu i czucia, bo to kobieta, oddająca się swym wrażeniom, i nie mogąca ich tak zmiarkować, jak może mężczyzna, który w każdym razie umie i powinien się opanować. Powiedz więc staremu naszemu przyjacielowi, niech się przygotuje na przyjęcie swjej owieczki tak, jak na to zasługuje. Cóż Michaś? czy zawsze trwa w chęci zostania księdzem? Ma zdolności, ma serce, dobrzeby było, żeby jaki powiew świata nie odwrócił myśli jego gdzie indziej. Takich księży, jakim on być może, bardzo nam potrzeba. Uściskaj go, droga Anno, jeżeli jest w Rudnicy, i powiedz mu, że jakąkolwiek pójdzie drogą, pomogę mu wszystkimi siłami. Twój przywiązany, i t. d.“

Gdy pan Tomasz list z wielką odczytywał uwagą, weszła do pokoju jego żona, w czarnym ubraniu, w lekkiej czarnej mantyli, przez którą widać było jej słuszną i kształtną kibić; w jednej ręce trzymała kapelusz z ciemnym woalem, a w drugiej książkę do nabożeństwa, nieozdobnie oprawną, ale grubą, z pozaginanych kart i starych brzegów okazującą, że jest w codziennym użyciu, a ze sterzących tu i owdzie białych karteczek zdradzającą, że w niej pełno obrazków Świętych i podpisanych jeszcze, zapewne własną ręką właścicielki, modlitew. Weszła zgrabnie i lekko, tak, że mąż zaczytany, wejścia jej nie słyszał, i zatrzymała się o kilka kroków. Na jej twarzy widać było jakąś ciekawą chęć dowiedzenia się, co napisał. Patrzyła więc na niego bystro, przenikliwie; brwi jej podnosiły się i marszczyły na przemian, spodnia warga zachodziła na wierzchnią,

którą zagryzała zębami, i cały ten chwilowy ruch jęj twarzy dał jęj wyraz surowy i niemiły, który zakrył na mgnienie oka cudny powab jęj rysów. Wkrótce pan Tomasz poruszył się, i jak para oddechu zsuwa się z polerowanej stali, tak wszystko to zsunęło się z jęj lica, na które znowu wystąpiły uśmiech łagodny, wejrzenie pełne miłości i właściwy mu blask i pięknosc.

— Przeszkadzam ci? — rzekła słodkim głosem.

— Bynajmniej — odpowiedział mąż, spojrzawszy na nią tak, jakby jęj nigdy jeszcze tak piękną nie widział. — Skończyłem już list do Anusi i zaraz odniosę go na pocztę, bo muszę wyjść za interesem.

— I zapewne tam o mnie dużo napisałeś? — rzekła, zbliżywszy się.

I gdy mąż wziął jęj rękę i do ust przyciskał, ona, oparłszy się drugą na jego ramieniu i całując go w czoło, w tymże samym czasie rzuciła wzrok tak przenikliwy na leżący na stole list, jakby jednym rzutem oka polapać chciała wszystkie wyrażenia, które się jęj tyczyły.

— Chcesz przeczytać? — zapytał pan Tomasz, przewracając karty swego listu do początkowej.

— Broń Boże! — odpowiedziała, podnosząc ręką jego twarz ku swojej twarzy. — Spojrzyj, czy widzisz w oczach moich ciekawosc, albo niepewnosć i obawę? Czyż nie wiem, co o mnie napisać możesz ty, który mnie znasz i nawet kochasz?

— Nawet? — rzekł pan Tomasz, obejmując jęj kibić.

— To jest, nawet tak — odpowiedziała w pół żartem, w pół seryo — że miłosć twoja wytrzyma ten surowy wzrok, jakim na mnie spojrzy twoja siostra, i nie zachwieje się, choćbym nawet nie potrafiła ująć jęj tyle, ile pragnę, i rozbroić tę niechęć, jaką może ma ku mnie.

— Bądź pewna, że jest taką i nie zachwieje się — rzekł pan Tomasz, topiąc oczy w przeslicznej jęj twarzy.

— Mam nadzieję w Bogu — odpowiedziała z pokorą — że ci to przyjdzie nietrudno, i że na tak ciężką próbę przywiązanie twoje do mnie wystawioném nie będzie. Znam całą ważnosć tych obowiązków, jakie na siebie wzięłam. A jednak nieraz mnie trwoży i uciska ta myśl, że nim siostra twoja uwierzy memu sercu, możesz mieć ciężkie dla siebie momenta. Bo i jęj ta wiara przyjdzie nielatwo. Bardzo mało mnie zna, ledwieśmy się kilka razy widziały. Ona sama była macochą i wié dobrze, jak wyższą być potrzeba, aby być taką, jaką ona była.

— Wkrótce przestaniesz o tém myśleć — rzekł pan Tomasz. — Moja siostra kocha mnie i pragnie mojego szczęscia. Obaczy je i uprzedzenia jęj znikną. Pozna cię i uwierzy, że ani ona, ani córka

moja nic na tém nie stracą, zem w sercu mojm dał miejsce i dla ciebie.

— Drogi mój mężu! — odpowiedziała, całując jego rękę. — Pierwsze należy Bronisi... i oto moja codzienna modlitwa do Boga, aby mi nigdy nie przyszło na myśl odbierać ję tego pierwszeństwa. Odeslij ję te kilka słów, którem tu do niej napisała. Ja idę do kościoła. Mam za co dziękować Bogu, który mi cię dał, i powinienam Go prosić, aby to drogie dziecko za Jego łaską uwierzyło, że te słowa moje płynęły z serca, przejętego świętością obowiązków, jakie na nie miłość twoja włożyła.

Pan Tomasz powstał, wziął list, przycisnął do piersi swych żonę, a ona, patrząc na niego z wyrazem czci i nieograniczonej miłości, i zawoławszy:

— O mój Boże! za co ja jestem tak szczęśliwą? — rzuciła mu się z uniesieniem na szyję; potem wyrwawszy się z jego objęcia, odskoczyła ku drzwiom, obejrzała się z uśmiechem, i przesławszy mu jeszcze jedno pocałowanie, wybiegła. Długo patrzył za nią rozmiłowaniem okiem poważny ów i pełen rozumu człowiek, i powtórzywszy w myśli te same słowa, które ona wyrzekła, zaczął czytać bilecik, który córce jego przesłać kazała. Zamykał on następujące wyrazy:

„Droga Bronisiu! Już musisz wiedzieć, że mnie ojciec twój wybrał, abym ci zastąpiła miejsce matki. Masz już lat trzynaście; słyszałam, żeś dziewczynka rozumna, że kochasz bardzo ojca, że zatem kochasz tych wszystkich, którzy go kochają. Dla tego tak ci drogą jest twoja ciocia; dla téj także przyczyny księdza Studzińskiego nazywasz dziadkiem, bo wiesz, że oni niczego więcej nie pragną, jak szczęścia tego dobrego człowieka, który ci dał życie. Otóż i ja jestem także ta, która niczego więcej nie pragnę, jak żeby ojciec twój był wesołym, spokojnym, żeby w każdej chwili czuł i widział, jak go wszyscy kochamy, jak chcemy, aby mu Bóg zesłał wszelkie szczęście, jakie człowiek może mieć na ziemi. Za to, moja droga Bronisiu, chciałabym, żebyś mnie także kochała, i pewna jestem, że jak mnie obaczysz i poznasz, jak się przekonasz, że to wszystko, co mówię, jest prawdą, kochać mnie będziesz tak, jak kochasz swoją ciocię, która ci dotąd tak zastępowała miejsce matki, iż tego nigdy nie czułaś, że ci prawdziwą mamę Pan Bóg odebrał. Otóż teraz, zamiast jednej, będziesz miała dwie takie przyjaciółki, które cię jednakowo, bądź pewna, kochać i pielęgnować będą, póki nie wyrośniesz i nie staniesz się dla ojca twego najdroższym skarbem i najwyższą jego pociechą. Może ci już kto powiedział, że macocha, to taka straszna, że trzeba się ję bać i ufać ję nie można. Nie wierz temu, moja droga Bronisiu! Są prawda złe, ale to wtedy, kiedy Pan Bóg rozgniewa się na dzieci, chce je ukarać i zaślepią

ich ojca tak, że nie widzi, czego dzieciom jego potrzeba i krzywdzić je pozwala. Czyżbyś ty zasłużyła na to, aby się tak Bóg na ciebie rozgniewał? Pewna jestem, że nie, bo wiem, żeś dobra, posłuszna, i kochasz, i wdzięczna jesteś tym wszystkim, co koło ciebie chodzą i starają się, abys była szczęśliwa. Zawierz mi więc, moja droga Bronisiu, a obaczysz jak nam będzie dobrze razem. Nim mnie bardzo a bardzo pokochasz, póty mnie nie nazywaj mamą, tylko swoją przyjaciółką, swoją Hieronimką. A jak się przekonasz, że nikt więcej nie dba o twoje szczęście odemnie, wtedy dopiero nazwij mnie mamą, a obaczysz, jak będę szczęśliwą, jak cię uściskam i jak podziękuję Panu Bogu, że mi pozwolił doczekać takiej nagrody za moją miłość dla twego ojca i dla ciebie. Do widzenia, moja droga! Uściskaj odemnie swoją ciocię i proś ją, żeby z tobą ten list przeczytała i wytłómaczyła ci, jeżeli czego nie zrozumiesz.“

Pan Tomasz przeczytał ten list parę razy, otarł łzę wdzięczności, która mu się nacisnęła na tę myśl, jak nieocenioną znalazł kobietę, i dodawszy jeszcze w liście do siostry kilka serdecznych słów do Bronisi, zapieczętował oba i wyszedł.

### III.

Wieczór u prezesowej Rojskiej rozpoczął się, dla pory letniej, dość późno. Pani ta, jeszcze niestara, ale nie jaśniejąca wcale wdziękami, bo była mała i trochę garbata, — choć rzeczywiście lubiła mijać się z prawdą, szczególnie w egzagerowanych pochwałach swojej rodziny i wynoszeniu jej stosunków, choć każda wizyta wielkiego pana i wielkiej pani niezmiernie lechtała jej próżność, — przyjmowała u siebie rozmaitego stanu osoby, była dla wszystkich gościnną i nadzwyczaj uprzejmą. Ztąd na zgromadzeniach, które się czasem u niej zbierały, widzieć można było i urzędników, i artystów i literatów, którzy po jednym lub po dwóch mieszały się pomiędzy o bywatełstwem, najczęściej przyjezdnym, i miejscowemi panami i pannami, których rada ściągała. Była to osoba daleko majątniejsza od siostry swęj Tączyńskiej, matki pani Tomaszowej, gdyż mąż jej miał wysoki urząd i był z siebie bogaty; ona zaś była gospodarna, skrzętna, mało tracąca na toaletę, gdyż wiedziała, że brzydka, mówiła o tém sama, i do postaci swęj żadnej nie przywiązywała próżności. W życiu codzienném była także oszczędną; lubiła tylko gościnnie przyjąć, dobrze utraktować, gdy zaprosiła, i wtedy cała jej skrzętność nikła: była wylaną, nie żałującą dużego nawet wydatku, byle było dobrze i suto. Ztąd gościom wesoło było u niej, obficie i swobodnie; chętnie więc stawiał się każdy wiele razy wezwała. Przytém była żywa, gadająca, wszędzie jej było pełno, pilnowała każdego, żeby

jadł, pił i bawił się; a choć temu i owemu naplotła jakąś banialukę o jakim krewnym lub krewniej, o wizycie jakiego księcia lub hrabiego, każdy słuchał jęj z pobłażaniem, i wszyscy ją lubili. Dwa salony, w których przyjmowała, nie były zbyt obszerne, ani bardzo świetnie umeblowane, ale wszystko było wyrachowane na wygodę tych, co ją odwiedzali. Mnóstwo tam znajdowało się kanapek, miękkich krzesełek, stolików i stoliczków, tak, że każdy miał gdzie dobrze usiąść, miał gdzie postawić gorącą szklankę z herbatą, i nie potrzebował parzyć sobie palców, lub oblewać swych sukien. Przytém w jesieni i w zimie było zawsze ciepło, w lecie chłodno, a w każdój porze tak doskonale oświecono, że można było szpilki zbierać.

Tego wieczora szczególnie wszystkie pokoje gorzały od światel, bo miała się w nich pokazać ta piękność, ta ukochana jęj siostrzenica, o którój wdziękach, tak w ogóle jak i w szczegółach, nie opuszczając nawet różowych jęj i podłużnych paznokci, a także tęg cudnej brodawki, którą miała na prawej łopatce, wielkie opowiadała dziwy każdemu, kogo tylko spotkać się zdarzyło, i wszystkim, których dla naocznego przekonania się, że to prawda, zaprosiła.

Już dobrze po godzinie dziewiętej zaczęli się zjeżdżać goście. Wszystkie panie, które lub widziały w teatrze przysłą zgromadzenia tego królowę, lub słyszały o nięj od ciotki, wiedząc, że będą porównywane, chciały przewyższać toaletą tęg, która je miała przewyższać wdziękami. Choć więc w letnich sukniach, były niezmiernie postrojone. Pani Tomaszowa także, wiedząc, że będzie obejrzana od stóp do głowy, równie przez instynkt, naturalny kobiecie pięknej, choć pobożnej, jak i przez ciągłe napominania ciotki, aby niczego nie zaniedbała, coby ją jeszcze ozdobić mogło, ubrana była z wielkim gustem i jaśniała równie kosztownością swego stroju, jak i doborem kolorów, kwiatów i kamieni, które najlepiej odpowiadały jęj twarzy, słusznęj figurze, połyskowi ciemnych jęj włosów i zadziwiającęg białości ramion i gorsu. Rzeczywiście, dawno Warszawa, tak obfita w piękności, nie widziała nic piękniejszego; mężczyzni nie taili się ze swęm zdaniem i aplauzem; kobiety umilkły, przypatrywały się jęj z tajonęm zmartwieniem, chwaliły półgębkiem, wyrzucając mężczyznom ich gust do nowości; a te, które o pierwszeństwie swęm były przekonane, widząc się opuszczonemi przez najstalszych swych wielbicieli, odwoływały się w duchu do sądu ogółu i do potomności, jak to czynią reputowani autorowie, gdy się zjawi nowy pisarz, mający zaćmić ich sławę, i ku któremu zwraca się uwaga czytelników, którego wszystkie krytyki biorą na ręce, stawiają na najwyższym piedestalu, okadzają ze wszystkich stron, nim go potęm należycie obryzgają i z wysokości tęg zdejmą. Największą jednak admiracyą,



największem uszczęśliwieniem na widok takiego tryumfu, przejęty był pan Tomasz, który ścigał ją rozkochanym wzrokiem i milczał; najgłośniej zaś chwaliły ją ciotka i szambelanowa. Gospodyni domu, w ciemnej, skromnej sukni, w czarnej koronkowej chustce, zsuwająca się jej co moment z ramienia, które było niższe, w białym czépeczku z białą wstążką, jaśniejącym czystością i prostotą, przesuwiała się żywo pomiędzy swemi gośćmi, uśmiechając się do téj, ścisłkając tego chudą swą ręką, dziękując wszystkim, że przyszli, i mówiąc z radością, której utaić nie mogła, to temu, to owemu:

— A co? nie mówiłam? macie teraz, admirujcie, bo jest co. Patrz-no, radco, co to za chód! jak ona trzyma tę przesliczną główkę, w której rozumek! ho! ho! ho! mógłbyś ją śmiało obok siebie na krzesle posadzić, i zakasowałaby swém zdaniem niejednego z twoich kolegów. Chodź, zaprezentuję cię. Pomów z nią, posłyszysz ten głos, co przenika i pieści. A co to za dobroć! to anioł w ludzkiém ciele. Zapytaj się ubogich przed kościołami. Już ją wszystkie baby znają, choć dopiero tydzień tu bawi. Co to, jest? — mówiła, przemknawszy się dalej, i nachylając się do jakiejś pani, która niby z wysoka patrzyła na całą kompanią — co to znaczy, że księżnej Matyldy jeszcze nie ma? Była u mnie wczoraj, siedziała więcj dwóch godzin i przyrzekła, że przyjdzie wcześniej, niż wszystkie. Ona zawsze do mnie pierwsza przyjeżdża i ostatnia wyjeżdża. Pewnie czeka na księżną Aleksandrę, z którą miały przyjechać razem, bo to przyjaciółki. O! będą pewnie, tém bardziej dziś. Czy pani widzi, jak nawet stary generał nie spuszcza oka z Hieronimki? I ma racją — dodała, śmiejąc się z radości — bo to rzadko w której rodzinie wyrośnie taki kwiatek. Matka była także bardzo piękna. Nie taka jak ja. A żebyś pani widziała mojego brata, który zginął. Ale musisz go pamiętać, tego oficera gwardyi, za którym tu wszystkie szalały, czy księżne, czy nie księżne...? Może ciasteczek do herbaty? Słuchaj — rzekła do przechodzącego lokaja — przynieś tu ciastek. A pani nie nie pije? nie nie je? Admirujesz tylko, przypatrujesz się — wszak to jedno drugiemu nie przeszkadza. Proszę bardzo, nie żałujcie sobie. — I poszła dalej innych gości bawić, prosić, zachęcać, aby brali co podają i przypatrywali się piękności, ułożeniu i toalecie pani Tomaszowej.

Koło godziny dziesiątej pokazał się hrabia Franciszek Z\* i z nim pan Sroczyński. Obaj stanęli przy drzwiach pełnej już sali i przypatrywali się, czy jest kto? czy nie ma nikogo? Hrabia, w roztwartym fraku, z miną pobłażającą, założywszy wielki palec prawej ręki za kamizelkę, od razu postrzegł Hieronimę, i przypatrując się tym pysznym formom, jakby dłutem starożytnego snycerza wyrobionym, tym ruchom, pełnym powabu i wdzięku, téj twarzy, której każdy

rys był doskonałym, nie żałował, że przyszedł, nawet, że przyszedł tak wcześnie. Pan Sroczyński, stojąc przy nim i trzymając go pod rękę, mówił mu :

— Patrz-no, Franiu, jaka tu słuszna kompania? Co tu radców, referendarzów, sędziów, nawet z Appellacyi! jak pięknie prowineya reprezentowana? co tu radczanek, prezesówien, naczelniczank! nawet mecenasówny są! aż miło! Ale żart na stronę; pani sędzina pokoju jest przesliczna. Warta grzechu, jak cię kocham, Franiu! Masz dobra w tym samym okręgu, gdzie szczęśliwy małżonek tój pani jest sędzią. Warto, żebyś tam kilka miesięcy pomieszkał i wykomponował sobie jaką sprawę *de la compétence* tego Sądu Pokoju. Florentyna, która jest tak dobrą, przebaczyłaby ci ten kaprys; ona, co ci już przebaczyła tyle innych, daleko brzydszych, nawet Justysię i Basię.

— Cicho bądź, Sroko! — rzekł hrabia, który nie mógł się napatrzeć na panią Tomaszową, i rzeczywiście myślał już o dobrach swych w Krakowskiem i o potrzebie ich odwiedzenia.

W tój chwili gospodyni domu wyszła z drugiej sali, i spostrzegła przy drzwiach znakomitego gościa swego. Uśmiechnąwszy się więc do niego z daleka, i puściwszy niejako naprzód prawą swą łopatkę, która była wyższa, w tój ukośnej postawie, jaką mają najczęściej ułomni, przesunęła się pędem przez ściśnionych gości, i witając go rzekła:

— Jak się masz, kochany hrabio? Otóż to akuratność! Jakżem ci wdzięczna!... Dobry wieczór, panie Sroczyński! dopilnowałeś hrabiego, że mi go gdzie nie'pochwycili. Dziękuję ci! Może herbaty? albo lepiej kawy z lodu, bo trochę gorąco. A co hrabio! przypatrzyłeś się? o! tyś znawca, osądź sam! A jakie to dobre, jakie miłosierne, jakie pobożne! Doprawdy, szczęśliwy ten pan Tomasz, że mu się ten skarb dostał. Ale i on bardzo godny człowiek, a choć już około czterdziestki, ale przystojny i dziwnie miły. To też powiadam ci, hrabio, kochają się, jak para gołąbków. Ale to już tak jest w mojej familii. Kobiety wszystkie śliczne jak Heleny, oprócz mnie, rozumie się — dodała śmiejąc się. — A wierne, powiadam ci, hrabio, jak Penelopy.

— Czy także oprócz pani prezesowej? — zapytał hrabia, patrząc na nią z uśmiechem.

Prezesowa zaśmiała się jeszcze głośniej i rzekła :

— Dobrześ się znalazł, kochany hrabio! Ach! byłabym mądra, gdybym chciała być niewierną z moim garbem i suchemi rękami. Ja kontenta jestem, żem złapała sobie jednego, poczciwego, dobrego mężyska, to też trzymam się go, jak pijany płotu. O! patrz-no hrabio, z jakim ona wdziękiem, z jaką łagodnością słucha tój pani. To

także niby to piękność lubelska; ściska Hieronimkę za rękę, a pewna jestem, żeby ją utopiła w łyżce wody. Może orszady, albo limoniady hrabia pozwoli? a pan Sroczyński, nie?

— Dziękuję pani — rzekł hrabia, odchylając tacę, którą mu podawali i którą pan Cypryan także odchylił, chociaż mu się pić chciało. — Jabym prosił pani, abys mnie panu Łuniewickiemu zaprezentowała. Chciałbym się z nim poznać.

— A pani Łuniewickiej nie? — zapytała prezesowa, patrząc mu w oczy.

— Jeżeli pani łaskawa, to proszę — odpowiedział hrabia.

Nastąpiło tedy poznanie, najprzód z panią, która była bliżej, a potem z panem Tomaszem, który spostrzegłszy, że taki pokazny mężczyzna, który miał minę wielkiego pana, żonie jego prezentuje się, przystąpił i z hrabią się poznał.

Przy drzwiach do drugiej sali siedziała szambelanowa, wystrojona, wygorsowana, obłożona drogiemi kamieniami, i wodząc bystry swój wzrok po całej kompanii, nie spuszczała z uwagi pięknej kobiety, nie wiedząc o tém, że ją tak przenikliwa koneserka studyje i każdy ruch jęj rozbiera. Szambelanową usiadła umyślnie na przesmyku, aby w tymże samym czasie, gdy robiła swe spostrzeżenia, mogła przyciąć, to téj, to innéj osobie, które się niebacznie na jęj strzał nawinęły.

— Chodź-że, nieznośny referendarzu, i usiądź tu przy mnie. Od godziny chodzisz, kłaniasz się, witasz wszystkich, winszujesz przeszłorocznych imienin, częstujesz tabaką, a do mnie się nie zbliżysz.

— A! dobry wieczór pani szambelanowej — rzekł referendarz, kłaniając się i trzymając swą złotą tabakierkę w lewej ręce, której wielki palec już sam, bez wiedzy jego, otwierał ją i zamykał. — Właśnie pani dobrodziejki szukałem.

— Widzisz, referendarzu — mówiła, sadzając go na pustém krzeselku, które nie lada kto odważał się zająć. — Widzisz, co to jest świat. Ty najuczciwszy człowiek, a jednak kłamiesz, jak pani Rzekowska przed mężem, gdy wychodzi z domu z książką do nabożeństwa. Na co mówić, żeś mnie szukał, kiedy widziałam dobrze, żeś biegł za panem Kożarowskim, żeby mu powinszować syna. Byłbyś, mówiąc między nami, wielkie głupstwo zrobił, referendarzu, bo to nie jemu trzeba winszować..... A, jak się pani ma? — mówiła do jakiejś elegantki, która chciała przejść do drugiej sali — cudna suknia! doprawdy, że to pani tylko umiesz wynaléźć takie piękne materye, tak lekkie i strojne. To zapewne ostatnia ampleta pani.

— Cztery dni temu znalazłam to na Krakowskiem-Przedmieściu — odpowiedziała elegantka, kontenta, że szambelanowa choć wybór jęj pochwaliła.

— Jaka pani szczęśliwa! i co to jest brać na kredyt. — rzekła

nieubłagana złościca. — Kupiec wydobywa dla tych, co nie płacą, co ma najładniejszego, sądząc, że choć tém ich ujmie. Dla mnie nie są tak grzeczni, choć zawsze uiszczam się gotowizną.... — Czy uważasz, referendarzu — mówiła dalej, nie zważając, że zaczerwieniona kobieta bez odpowiedzi poszła — hrabia Franciszek coś bardzo nową gwiadzę obserwuje.

— Pięknaż bo nad podziw! — odpowiedział referendarz.

— Prawda, zupełna prawda — mówiła szambelanowa — poznałam się z nią, rozmawiałam długo. Pełna słodyczy, dobrze mówi, ładnie patrzy, prześlicznie się uśmiecha, ale to spuszczenie oczu coś mnie nie cieszy. Nie mogę jeszcze nic o niej powiedzieć... ale patrz, patrz, zdaje się oglądać i czekać, żeby hrabia do niej przystąpił. I widzisz, on to zrozumiał od razu i już z sobą rozmawiają. To szeszwany lis i niebezpieczny tą pańską aureolą, która go otacza. Za prędko się prawda cokolwiek bierze, bo to dopiero kilka tygodni po ślubie. Ale on cierpliwy; powie sobie: — nie dziś, to jutro!

— Pani szambelanowa bardzo źle trzymasz o kobietach — rzekł referendarz, zażywając tabakę.

— Alboż nie nauczyłam się patrzeć? — odpowiedziała. — Ty, referendarzu nie masz czasu na takie obserwacje... A, jak się pani ma? — mówiła, zwracając się nagle do młodej i przystojnej mężatki, która zbliżywszy się, zaglądała niespokojnie do drugiej sali. — Mężulka pani szuka? czy już nie chory na reumatyzm? Ale nie widziałam go, żeby tam był w tamtej sali. A może też go pani znajdziesz... — gdy tamta poszła, szambelanowa odezwała się do młodego mężczyzny, który także w tę stronę dążył i oglądał się: — Książę! książę! nie tu patrzysz, gdzie trzeba; szukają księcia w tamtym pokoju, a kto niepotrzebny został w domu z reumatyzmem... Ależ nie uciekaj, referendarzu — dodała, zwracając się znowu do sąsiada swego i zatrzymując go — siedzisz jak na szpilkach, jakbyś się zemną nudził. Już cię korci przypomnieć prokuratorowi, że pojutrze Szymona. A wreszcie, kiedy ci się sprykrzyło siedzieć na jedném miejscu, to idź, ale przyprowadź mi tu pana Łuniewickiego. Chciałabym z nim pomówić, co mam robić z temi wioszczynami, które mam w Krakowskiem, a które mi okrutnie mały dochód przynoszą. Ja się ztąd nie ruszę. Idź, idź, referendarzu!

Gdy referendarz poszedł, nadeszły dwie damy, trzymające się pod rękę, mówiące z sobą po francuzku i ubrane prawie po domowemu. Z ruchu i postawy widać było wielkie panie, które przybyły z ciekawości, ale nie sądziły za przyzwoite stroić się dla takiej kompanii, w jakiej się znaleźć spodziewały. Szambelanowa zaczęła je zwykłym przywitaniem. Gdy się dość z pańska odkloniły, rzekła powstając:

— Jak to zaraz widać gust i wychowanie. Parafianki i urzędniczki postroiły się, jakby to miał być ostatni bal w ich życiu, a panie w codziennych toaletach, aż miło.

— *Cela vous choque, madame* Matraszyńska? — rzekła jedna, krzywiąc się.

— Ale bynajmniej — odpowiedziała niezmięszana szambelanowa — ja to owszem uwielbiam, jak uwielbiam zamiłowanie pani do starożytności Wschodu i ciekawości natury. Jeździłaś pani do Egiptu, widziałaś czterdzieści wieków na szczytach Piramid, i spuszczałaś się w górę Nilem dla widzenia łez krokodyla, a zostawiłaś w domu czworo płaczących dzieci.

— *Impertinente!* — rzekła ta pani do drugiej i obie poszły dalej. Szambelanowa zaśmiała się, i spostrzegłszy niedaleko nie młodego już mężczyznę, który stał sam jeden, z nachyloną cokolwiek głową, ale z ironicznym uśmiechem na ustach, jakby wzorki zbierał z tego, co się w koło niego działo, zawołała:

— Dyrektorze! dyrektorze! jak się masz? przybliż-no się tu do mnie. Widzę, że nas tu uważasz, podsluchujesz, i może gdzie umieścisz.

— Bynajmniej — odpowiedział przyzwany, kłaniając się — jestem tu i bawię się, jak inni.

— Ale co mi gadasz? niby ja cię nie znam, i nie wiem jaki z ciebie obserwator — rzekła szambelanowa pochlebnie. — Ja ci pomogę, bo wiesz, że ja nie ślepa. Tylko że ja mówię co widzę, i to wiatr unosi, a ty piszesz i drukujesz...

— I to mole jedzą — przerwał tak nazwany dyrektor, który widocznie musiał być autorem.

— Może jeszcze nie jedzą, ale jeść będą. A wiesz czemu? ja ci powiem — rzekła szambelanowa. Autor zmarszczył się i był niekontent. — Bo autorowie, choć sami z siebie żartują i biją się w pierś z pyszną pokorą, że niby fraszki piszą, bardzo jednak niekontenci, kiedy kto drugi to samo im powie i żart ich potwierdzi.

— Czemuż to? — zapytał zsunawszy brwi i z przymuszonym uśmiechem.

— Oto temu — odpowiedziała — że piszesz dużo i drukujesz za wiele, zwłaszcza teraz, kiedyś już stary. Choć ci się czasem udaje, i można cię czytać z przyjemnością, ale publiczność powie: a pókiż tego będzie! to już za nadto!... Publiczność, kochany dyrektorze, jest to kobieta wymyślna, łakoma coraz świeższych przysmaków. Stary autor, który się ciągle o jej względy ubiega, który jej nadskakuje i stara się, żeby o nim nie zapomniano, jest w jej oczach równie śmiesznym, jak stary umizgus, kręcący się przy młodej piękności,

śmieszny jest w jej oczach, kiedy nie widzi tego, że ją nudzi i przykrzy się. Nie mam-że racyi, dyrektorze?

— Zupełną masz pani racyą — odpowiedział zmartwiony w duszy autor, bo czuł że uwaga sprawiedliwa. — Przestać w porę, jest to wielka, choć bardzo trudna sztuka. Ale równie autorowie, jak i kobiety, które admirowano, jakoś nie widzą tego momentu, który na nich woła: daj pokój pióru, daj pokój wabieniu, bo już czas!

— Ale kiedy kto, a rozumie się z przyjaźni, ostrzega — rzekła szambelanowa — to rzecz bardzo ułatwia. Naprzykład, w obecnym razie... ja ci mówię szczerze: przestań pisać, bo już czas!

— Bardzo pani dziękuję — odpowiedział kłaniając się z uśmiechem, choć mu się coś w piersiach ścisnęło. — Będę korzystał z przestrogi i przestanę, ale wtedy, jak pani przestaniez gorsować się.

I odszedł zaczerwieniony, a szambelanowa, ruszywszy ramionami i zaśmiaawszy się, obróciła się do jakiegoś gburowatego mężczyzny, który puszcząc się, stał z boku i słuchał téj rozmowy. Ona rzekła:

— Czy uważałeś, kontrolerze? obraził się stary.

— Boś mu pani powiedziała prawdę — odpowiedział zagadniony, śmiejąc się tym śmiechem ordynaryjnym, który zdradza głowę i serce. — Ja nie czytam tego, co oni piszą; ale to fatalaszki, ja wiem. Ja teraz nic nie czytam, bo nie warto. Ja tylko z Kuryerka wiem, co wychodzi, bo ja prenumeruję Kuryerka — dodał ze znaczeniem i powagą. — Ja...

— Ty, kontrolerze! — przerwała spoglądając na niego z ironią — wszystko zaczynasz od *ja* i kończysz na *ja*. Jemu powiedziałam prawdę, bo to moje rzemiosło, ale i tobie powiedziałabym ją długo i szeroko. Tylko teraz nie mam czasu. Innym więc razem — i nie zważając bynajmniej, że się kontroler napuszył i zapęrzył. — Dziękuję ci panie sędzio! żeś i mnie znalazł — rzekła do pana Tomasza, który na wezwanie zbliżył się, i z właściwą sobie grzecznością się uklonił.

Gdy pan Tomasz, stanąwszy przy szambelanowej, z nią rozmawiał, żona jego, widząc zmęczona gorącem i ciągłemi komplementami, które odbierała, ciągłym witaniami i kłanianiem się tym, co się z nią poznawali i jej rekomendowali, poszła do sypialnego pokoju ciotki, i tam odpoczywając usiadła. Widząc się samą, nie potrzebując się przymlać, uśmiechać się łagodnie i słodko, spuszczać oczy, pozwoliła swym rysom swobodnie wrócić do właściwego ich wyrazu, i wtedy oczy jej patrzyły prosto i zimno, usta się zacisnęły tak, że wierzchnia warga znikła, którą przygryzała zębami, brwi marszczyły się i zsuwały, jak wtedy, gdy kto z natężeniem rachuje; słowem, gdyby się jej kto był wówczas przypatrzył, zaledwieby uwierzył, że ta surowa, zimna i jakby kalkulująca twarz jest tą samą, którą niedawno widział

tak słodką, tak uśmiechniętą, tak pełną skromności i pokory. Po jakim czasie, pani Tomaszowa powstała, zbliżyła się do toalety ciotki, i sięgnęła ręką do książek, które na niej leżały. Były to same książki do nabożeństwa. Hieronima wzięła jedną, zajrzała do niej niedbale i odsunęła na stronę, wzięła drugą i odrzuciła także, podniosła okładkę trzeciej, i spojrzawszy na jej tytuł, zamknęła, poskładała książki jak były, i obróciwszy się do zwierciadła, zaczęła się sobie przypatrywać, przyglądała włosy, nastawiała kwiaty, spoglądała na swój gors, wychylając się tak, aby w zwierciadle odbijały się jej cudne ramiona, a wszystko to robiła bez uśmiechu, bez tego dziecinnego upodobania w sobie samęj — które tak jest naturalnem ładnym kobietom, że mu się dziwić nie można — ale zimno, z powagą, z jakimściś zamysleniem, z jakim generał robi przegląd swęj armii przed mającą się zacząć kampanią.

Gdy rezultat téj inspekcyi zaspokoił ją, i gdy posłyszała głosy zbliżających się osób, odwróciła się prędko od zwierciadła i szła ku wchodzącym do pokoju z taką już twarzą, z takim spojrzeniem i uśmiechem, jaki miała w salonie. Byli to mąż i szambelanowa. Ta ostatnia rzekła:

— Szukamy panią, a mianowicie ja. Chciałam cię co prędej ostrzedz, żebyś się miała na baczości.

— W czémże to? — zapytała ze słodkim uśmiechem pani Tomaszowa.

— Mam reputacyę kobiety szczeręj i prawdomównęj. To znaczy, że myślę głośno i wojuję otwarcie. Tak chcę postąpić i z panią, i objawiam ci po prostu, że m się w mężu twoim zakochała. Nie uśmiechaj się pani tak, jak gdybyś była pewna swego. Nie trzeba mieć za nic czterdziesto-kilkoletnięj elegantki, ani bardzo ufać czterdziestoletniemu mężczyźnie.

— Mój uśmiech nie to znaczył, coś pani pomyślała — rzekła Hieronima, biorąc ją za rękę i ściskając z serdecznością.

— Odpląć że mi pani szczerością za szczerosc i powiedz — rzekła szambelanowa.

— A dla czegoż nie? — odpowiedziała młoda kobieta, i opierając się z wdziękiem na ramieniu męża, dodała: — Ten uśmiech mój oznaczał tylko radość, jaką uczułam, że mój mąż podobał się tak rozumnej kobiecie, której podobno mało kto podobać się może. Rada-bym bardzo, żeby m i ja była tak szczęśliwą.

— Panie sędzio! — mówiła szambelanowa śmiejąc się — masz teraz ręce rozwiązane. Twoja żona cieszy się z tego, żeś mi się podobał. Wszak słyszałaś?

— Na moje własne uszy — rzekł pan Tomasz, uśmiechając się — i korzystać z tego pozwolenia nie zaniedbam.

— *A co? rira bien, qui rira le dernier* — mówiła szambelanowa. — Ani myślałam być w Krakowskim, ale teraz jadę, i proszę pamiętać, że o cztery mile mam majątek, i że najmniej co tydzień będziesz mię pani miała u siebie. Co gorsza... ale panie sędzio! czy powiedzićć jój, o com cię prosiła i coś mi przyrzekł? boję się, żeby się bardzo nie zmartwiła.

— Mów pani śmiało — odpowiedział pan Tomasz, ściskając rękę żony.

— *Notez donc bien, madame* — mówiła szambelanowa — że zabieram mężulka do siebie, aby obejrzał moje wioski i poradził, jak je urządzić. Pani nie bledniesz?

— Widzisz pani, że nie — odpowiedziała Hieronima śmiejąc się.

— Ale to nie tylko ja mam takie do niego projekta — dodała szambelanowa, patrząc jój bystro w oczy. — O to samo, co ja go prosiłam, prosił go już i hrabia Franciszek, który także ma dobra niedaleko od was, i wybiera się urządzić tam sobie letnią rezydencyę.

Pani Tomaszowa odwróciła się nieznacznie i odeszła parę kroków ku toalecie ciotki, na której zostawiła wachlarz i chusteczkę, i wróciwszy, rzekła do męża:

— Może pójdziemy do sali? Ciocia będzie nas szukać. Proszę pani — dodała, podając uprzejmie rękę szambelanowej — ja tu jestem na wpół gospodynią.

I poszły obie naprzód, a pan Tomasz za niemi. Gdy się wieczór kończył i zaczęło ubywać osób, szambelanowa, która rzeczywiście powzięła dla pana Tomasza rzetelny szacunek, a żonę jego jakby odgadła, przystąpiwszy do hrabiego, nie przestającego ściagać wzrokiem piękną kobietę, która od wyjścia swego z sypialnego pokoju ciotki starannie go unikała, rzekła:

— A cóż, hrabio?

— Co? — zapytał dość dumnie.

— Jeżeli nie na te, to na przyszłe lato pojedziesz w Krakowskie.

— A jeżeli pojedę? — rzekł hrabia z ironicznym uśmiechem.

— To i ja pojedę — odpowiedziała szambelanowa i odeszła. Hrabia ruszył ramionami, rzucił jeszcze raz wzrokiem na żegnającą się z różnemi osobami Hieronimę, i wyszedł z panem Cypryanem, który się dość znudził, bo żadnej księżnej i hrabiny oddawna już nie było, a Franio był jakiś chmurny i zamyślony.

Tego samego dnia, kiedy na wieczorze u prezesowej pan Tomasz przekonał się, że wybór jego zyskał powszechną aprobację, odebrano w Rudnicy jego list, datowany z Warszawy, i list żony jego do Bronisi. Słowa brata do siostry, jakkolwiek zdawały się wyrażać jego zupełne przekonanie i dobrą wiarę; jakkolwiek znała jego przywiązanie do córki i wiedziała dobrze, jak umie szanować każdą swą powin-



ność, nie zaspokoily jednak jęj trwogi. Przypominając sobie, jaką jest ta, co opanowała jego serce, — widząc ze słów listu, że chociaż mówił o rozsądnem przywiązaniu, znajduje się pod wpływem namiętności silnej i potężnej, — smutną przewidywała przyszłość dla tego dziecka, które naturalnie przestanie być okiem w głowie ojca i wyłącznym starań jego i miłości przedmiotem. Książd Studziński, mniej znający serce kobiet, a zwłaszcza kobiet pięknych, w których chęć panowania jest tak górującą namiętnością, wierzący więcej w moc męzczyzny, którą sam miał, i w świętość obowiązków, które tak szanować umiał, daleko był spokojniejszym i przyjaciółkę swą uspokajał.

Bronisia, przeczytawszy list macochy, posmutniała, zamysliła się, i stanąwszy przy oknie otwartém, zaczęła swoim zwyczajem wpatrywać się w chmury. Rumiana jęj twarzyczka pobladła, oczy wyciężyły się w niebo, a ręce na piersiach jęj na krzyż złożone, dawały jęj natchnioną i świętą postać. Tak zastawszy ją pani Mikoszevska, i bojąc się naglém zawołaniem przestraszyć, gdyż zawsze utrzymywała, że to było coś somnambulicznego, przystąpiła cicho, stanęła przy nięj, i tak czekała, aż sama się obróci i ją spostrzeże. Po krótkiej chwili, dwie łzy wystąpiły z błękitnych i prawie w słuł stojących ócz dziewczynki, i potoczyły się po jęj twarzy; później złożyła ręce jak do modlitwy, i wreszcie, obracając się nieznacznie, i spostrzegłszy ciotkę, która patrzyła na nią okiem pełném żalu i przywiązania, z łagodnym uśmiechem rzekła :

— Już pżeszło, ciociu.

— Co, moje dziecię?

— To, co tam widziałam — odpowiedziała Bronisia.

— Cóżes widziała? co mogłas widziéć? — mówiła pani Mikoszevska — niedobra jesteś, Bronisiu! Obiecałs mi, że się nie będziesz zamyslać.

— Kiedy to, ciociu, jakoś samo przyszło po przeczytaniu tego listu — rzekła dziewczynka, ukazując na list macochy, który leżał przed nią. — Ty czytałs go, ciociu?

— Czytałam — odpowiedziała pani Mikoszevska, biorąc w rękę list i rzucając nań wzrok, w którym zapewne mimo jęj chęci wyraził się jakiś wstręt i niedowierzenie.

— Powiedz mi, ciociu, czy ona będzie dla mnie taką, jaką ty byłaś i jesteś dla Michasia?

— Alboż nie widzisz ze słów tego listu? — rzekła pani Mikoszevska. — Bronisia popatrzyła na nią uśmiechając się, i pokiwała główką z zaprzeczeniem.

Ciotka rzekła :

— Źle robisz że nie dowierzasz jęj słowom, do których nie jęj nie zmuszało. Tém samém nie dowierzasz sercu ojca, który wybierając

sobie żonę, musiał przecież myśleć o tobie, i wybierał taką, aby ci zastąpiła matkę.

Bronisia znowu kiwała główką, a potem wyciągając rękę ku niemu, rzekła:

— Matka tam, a ty, ciociu, tu! To było dla mnie dosyć. Ojciec nie myślał o mnie.

I to powiedziawszy, położyła twarz na piersiach ciotki i mocno płakać zaczęła.

Nieprędko pani Mikoszewska utuliła rozżaloną dziewczynkę, a gdy nadszedł wieczór, cichy, pogodny, gdy upał zniknął i chłód orzeźwił powietrze, poszła z nią na probostwo, gdzie na podwieczorek z fruktów i śmietany zaproszeni byli.

Probostwo, jakieśmy powiedzieli, znajdowało się na końcu wsi, przy kościele, do którego wchód, równie jak i do domu proboszcza, był od gościńca, prowadzącego od Staszowa. Domek sam był niewielki, o czterech czystych pokoikach, umeblowany z wygodą, ale jak z największą prostotą. Gospodarstwo księdza było z boku, z osobnym dziedzińcem, a przed domem znajdował się tylko ogródek, otoczony niskim parkanem, i mający furtkę od tego placu, na którym stał kościół, i kilka drzew tu i owdzie bez symetrii rozrzuconych. Przed wchodem do kościoła znajdowała się figura z kamienia, wyobrażająca Matkę Boską, wcale nieźle wyrobiona, na piedestale wysokim, kamiennym, mającym w koło trzy kamienne schody, które zwykle lud, zbierający się w niedzielę i święta na nabożeństwo, a osobliwie kobiety z dziećmi, czekając nim się Msza Święta zacznie, obsiadały. W ogródku księdza było mnóstwo doskonałych truskawek, po pod parkanem na około wielka ilość malin, wszystkie kwatery obsadzone były porzeczkami; było kilka drzew renglotów, kilkanaście wisien łutowych, parę starych jabłoni,—a z kwiatów bzy, malwa, lilie, rezeda, wszystko to niby w parterze bliżej okien, obsadzone w koło bukszpanem, po za którym wznosiły się gęste krzaki dzikich goździków. Bronisia w ogrodzie swoim miała kwiatów dużo i daleko piękniejszych, ale do truskawek księdza proboszcza, do jego malin, do przepysznych wisien, gdy dojrzały, znała drogę doskonale; nigdzie jej te owoce tak nie smakowały, i gdy się tam raz dostała, wielkie w zapasach dziadka robiła spustoszenie. Druga rzecz, co ją na probostwo nęciła, to była klatka z wiewiórkami, które ksiądz Studziński lubił, starannie hodował, i którymi się staruszek wraz z Bronisią bawił. Klatka ta była wielka, zbudowana z drzewa, i przez wędrownego druciarza starannie wpleciona. Stała przed oknami proboszcza, tak że z tego pokoju, w którym najczęściej przesiadywał, mógł widzieć wszystkie swywole wesołych i zgrabnych zwierzątek, które dobrze karmione, pieszczone i głaskane, tak się z nim oswoiły, że gdy drzwi-

czki klatki i okno pokoju były otwarte, miał gości na wszystkich stolikach, szafach i łóżku, na krzeselku na którym siedział, na ramionach swych i białej swej głowie. Wszystko to znosił cierpliwie, bawił się skokami i psotami, pilnując tylko kałamarza, żeby go nie wywróciły i nie polały mu książek i papierów. Gdy się chciał ich pozbyć, musiał wyjść, pokój zamknąć i stanawszy przed oknem, orzechami lub innym jakim przysmakiem przynęcić i napowrót do klatki zaprosić. Tam w głębi po dwóch bokach były gałęzie, wyobrażające las, były słupki z kołeczkami, drabinki, kółka, a nadewszystko na środku umocowane na obracającym się drażku duże koło, takiej budowy, jak są koła przy studniach głębokich, w którym faworytki jego biegając, obracając je mimo woli, rzucając na ziemię te, które czepiały się zewnątrz koła, najpocieszniejsze robiły figle. Broniszę gimnastyka ta cieszyła nieskończenie: skakała dziewczynka z radości, klaskała w dłonie i śmiała się tym śmiechem serdecznym, jakim tylko w takim wieku śmiać się można, gdy która wiewióreczka, porwana pędem koła, wydobyć się z niego nie mogła, gdyinna, jakby ją ratować chciała, wskoczyła także, i mimo woli biedz musiała, gdy potem obie, wyskakując na los szczęścia, padały na ziemię i w mgnieniu oka po kołkach i drutach dostawały się na gałęzie, jakby instynktem wiedzione do lasu, gdzie ich dom i ojczyzna.

Przed domem księdza, naprzeciw furtki wchodowej, był duży ganek nakryty, z ławkami po obu stronach, gdzie staruszek latem najczęściej przesiadywał, gdzie rozmawiał z parafianami swymi, którzy do niego w potrzebach duchownych przychodzili, gdzie także rano i w wieczór, patrząc na krzyż kościoła, pod którego opiekuńczym skrzydłem tyle lat mu ubiegło, odmawiał pacierze. Tam stół już był nakryty, a na nim stała różowa prawie śmietana, świeży sér i mléko, na talerzykach w około były ogromne truskawki, które się już kończyły, maliny świeże i nęcące wielkością i kolorem łutowe wiśnie, które sam wybierał, żeby były dojrzałe; stało doskonałe masło i chléb, który staruszka, gospoia księdza, piekła sławnie na całą okolicę, o czém już parafia dobrze wiedziała, a o czém, gdy przychodził odpust, lub jakie wielkie święto, głosiła wszystkim obcym, których tylko przed kościołem złapać mogła, i którzy słuchać ją chcieli. O godzinie siódmej ksiądz Studziński siedział już na ganku i gości swoich oczekiwał. Wkrótce téż przybyli i zasiedli w około stołu. Ale chociaż gospodarz był równie uprzejmym, jak i dawniej, a nawet wesołością i dobrym humorem starał się pokryć tajemną troskę, co go dręczyła, nie było jednak przy tym gościnnym stole takiego wylania, tych rozmów głośnych i bez długiego namysłu, tego szczebiotania i nucenia szczęśliwej Bronisi, która zwykle na takich podwieczorkach nie dawała spokoju dziadkowi swemu, o coraz nowe dopominała się

przysmaki, i co moment biegła, to skubnąć jaką truskawkę lub malinę z gałązki, choć gotowe miała na talerzu, to klasnąć i spłoszyć wiewiórki, jeżeli przypadkiem spokojnie siedziały. Dziś Bronisia jadła półgębkiem, odpowiadała prawie, poważnie i widocznie nie mogła powstrzymać łez, któremi przesliczne jej oczy zabiegały. Pani Mikoszevska także nie była bardzo rozmowna, a Michaś, którego humor i wesołość zależały od humoru i wesołości kuzynki, o której coraz częściej, coraz dłużej myślał, której jasne oblicze odbijało się we wszystkich jego marzeniach, gdziekolwiek je umieszczał, czy na niebie, czy na ziemi, spoglądał ukradkiem na jej czoło zasłte myślami, i także nie mógł znaleźć słów do ożywienia kompanii, a często odpowiedzi na to, co do niego ksiądz Studziński mówił:

— Coś wam moja księża uczta nie smakuje — mówił stary, wiedząc dobrze, że nie dla tego mało jedzą, iżby było niesmaczne. — A jednakowoż śmietana doskonała, chleb piekła stara Kurzesia, a wiśnie sam dla Bronisi wybierałem.

— Nie bierze coś ochota, księżu proboszczu — mówiła pani Mikoszevska.

— Bo zanadto w głowie, kochana pani — odpowiedział stary. — Jak tu co wlezie niestrawnego, to żadne marcepany nie pójdą do gęby. Ale to wszystko trzeba oddać Panu Bogu i powiedzieć sobie: niech będzie wola Twoja. Przymem, nie ma też czego tak bardzo oddawać się aprensji. Obaczycie, że wkrótce sami będziecie się śmiać z tego smutku, który wam dał wypadek bardzo zwyczajny, dla tego tylko, że się stał tak jakoś niespodziewanie i niezwyczajnym sposobem. Wieluż to wdowców żeni się, a dla tego ani dzieci, ani krewni nie desperują, i jak się zdarzy dobry podwieczorek pod dachem, choć ubogim, ale szczerym i gościnnym, to tak repetują, że aż miło patrzeć.

Bronisia uśmiechnęła się, i nabrawszy sobie śmietany, zaczęła jeść ze smakiem. Michaś także wziął się do wisien, pani Mikoszevska do truskawek, a stary, biorąc w rękę chleb i ukroiwszy parę kromek, dodał:

— Do chleba, to już chyba ja sam muszę się wziąć, bo gdyby zszedł cały ze stołu, moja Kurzeska zmartwiłaby się bardzo. Pomóżno mi, panie Michale, żeby oszczędzić stariej artystce przykrości, jakaby jej dała ta myśl, że się dzieło nie udało. Gotujesz się do autorskiego rzemiosła. Oj! mój kochany, wtedy to poznasz, jak to boli, kiedy ci, których dziełem swém potraktujesz, skrzywią się, jakby im nie smakowało.

Michaś usłuchał rady, ukroił sobie spory kawałek chleba, nasmarował świeżem masłem, i gdy się rozsmakował, jakoś nie spostrzegł się, że zjadł wszystko. Gdy tym sposobem apetyt wzrastał i roz-

mowa się ożywiła, gdy Bronisia pobiegła już do wiewiórek, pociągnęła za sobą Michasia, i ztamtąd już odzywał się głośny jój śmiech na widok figlów i swawoli wesółych zwierzątek, na gościńcu dał się słyszeć turkot powozu, który się zatrzymał wprost kościoła.

Bronisia przybiegła do siedzących pod gankiem i rzekła:

— Dziadku! ktoś do ciebie przyjechał. Widziałam wyraźnie, i Michaś widział, jak z krytej bryczki wyszła jakaś ręka w czarnej sukni, zatrzymała furmana i pokazywała mu palcem, że to tu.

— Być może, moje dziecię — odpowiedział proboszcz — tylko nie wiem, ktoby to taki. Ale ktokolwiek bądź, będę mu rad. A i w porę przybędzie, znajdzie posiłek gotowy. Lecz coś nie widać nikogo. Pójdź, panie Michale, obacz, może to kto nie do mnie, albo nie wie drogi, to mu pokaż. A jeżeli to mój jaki gość, to powiedz proszę, że mu będę rad z całego serca.

Michaś poszedł, a Bronisia pobiegła za nim i stanęła w furcie. Tam zatrzymał się i Michaś, i oboje stojąc blisko siebie, spostrzegli przed statua Matki Boskiej klęczącą osobę w czarném odzieniu, modlącą się z pokorą i przeniknieniem. Była to kobieta średniego wieku, przystojnej twarzy i dość słusznego wzrostu. Bryczka jój stała na gościńcu, a furman zszedł z keźla i coś koło koników poprawiał. Po krótkiej modlitwie, zakonnica powstała, obejrzała się dookoła, i spostrzegłszy studenta i obok niego stojącą przesliczną dziewczynkę, która się w nią ciekawie wpatrzyła, kiwnęła im głową zdaleka i uśmiechając się uprzejmie, zbliżyć się do nich zaczęła.

— Może to ta krewna dziadka z Krakowa? — rzekła Bronisia,

— Być bardzo może — odpowiedział Michaś, i oboje poskoczyli ku zakonnicy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła łagodnym głosem zakonnica.

— Na wieki! — odpowiedzieli oboje.

— Moje miłe dziatki! wszak to jest Rudnica? A to zapewne dom księdza Studzińskiego.

— To właśnie jest probostwo — rzekł Michaś.

— I dziadek wysłał nas — mówiła Bronisia, sprzedając flegmatyczniejszego towarzysza — abyśmy poprosili gościa, którego mu Pan Bóg daje.

— Moja miła dziewczynko! — rzekła zakonnica, gładząc zarumienioną i wpatrującą się w nią Bronisję, — niech ci Bóg da zdrowie i wzrost duży, duży, za to, żeś wybiegła przyjąć podróżną otwartymi rękami. Mam ja śliczne obrazki w moim woreczku, dostaniesz za to najładniejszy. Prowadź-że mnie, dziecię, prowadź. Jakże się ma ksiądz proboszcz? czy zdrow?

— O zdrowy i zawsze dobry i kochany — rzekła Bronisia.

— A któż ty jesteś, miła dziewczeczko? — zapytała zakonnica, biorąc Bronisję za rękę i idąc za nią ku furtce.

— To córka dziedzica tej wsi — rzekł Michaś, 'uprzedzając kuzynkę.

— A nie twoja siostrzyczka, panie studencie? — zapytała ciekawa zakonnica.

— Nie — odpowiedział Michaś, spojrział w tej samej chwili na Bronisję, i żywy rumieniec oblał twarz jego.

Wtedy weszli do furtki, a gdy ksiądz Studziński zbliżył się do nadchodzących, zakonnica puściła rączkę Bronisi, pobiegła żywo ku starcowi, i całując jego rękę, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! — odpowiedział ksiądz żegnając ją. — Tyżes to, siostrze Teofilo?

— Ja, księżu wuju, ja! — odpowiedziała, i poglądając na staruszkę, dodała: — Miły Boże, jakie białe włosy! toż bo już i wiek! I ja, dzięki Bogu, podstarzałam się na usłudze Bożego domu. Ale Pan Bóg daje siły i wesołość, bo w pokoju i cichości, a przy pracy i modlitwie schodzi dzień za dniem, że ani tego znać, ani widać. A teraz jeszcze, kiedym sobie uprosiła od Pana Boga to szczęście, że i księdza wuja obaczyłam zdrowym, to z pomocą Bożą i ja do takiego wieku dociągnę.

— Cóż tu robisz, siostrze Teofilo? — zapytał stary.

— Za interesami, za interesami, księżu wuju — odpowiedziała zakonnica. — Jam siostra domowa, sługa kongregacyi; poświęciłam ciało moje i serce moje Bogu na cześć i na chwałę, i uczyniłam ślub na posłuszeństwo i poddanie woli mojej według reguły naszego zgromadzenia. To też teraz robię, co mi każą, idę, gdzie każą, bo mi wolno być między ludźmi tyle, ile dla dobra klasztoru być powinnam. I właśnie kazali mi jechać do Warszawy, z poleceniem naszej przełożonej; to też i jadę do tamtejszej panny matki, którą niech Pan Bóg błogosławi i daje jej długie życie, bo to kobieta świętobliwa i dobra.

— Bardzo się cieszę, siostrze Teofilo — rzekł ksiądz — żeś o mnie nie zapomiała.

— Jakżebym mogła! — zawołała zakonnica. — Już dziękowałam Najświętszej Pannie Matce Bożej, żeś się tego szczęścia doczekała, i klęczałam z pokorą tam przed Jój wizerunkiem.

— Rozgosc-że się u mnie, siostrze Teofilo — rzekł staruszek, prowadząc ją ku gankowi — bo cię z parę dni od siebie nie puszcze, jeżeli masz czas zabawić.

— Parę dni mogę zabawić, a nawet trzy dni; mam na to pozwolenie panny matki, która wie, że tędy obróciłam drogę.

— To bardzo się cieszę—odpowiedział staruszek, i obracając się do Michasia, dodał: — Mój chłopcze, pogospodaruj i zaprowadź tam bryczkę i koniki siostry Teofili.

Michaś pobiegł, a Bronisia rzekła:

— Dziadku! może Kurzeskiój zawołać, żebyś jęj także co każał przygotować w pokoju? Ja pobiegnę i tam pogospodaruję, dobrze?

I nie czekając odpowiedzi, poskoczyła we drzwi, i wkrótce dał się słyszeć jęj srebrny głosik, którym starej gospodyni proboszcza wołała.

— Cóż to za dziecię! co za dziecię! — rzekła siostra Teofila. — Taki anioł w ludzkim ciele ściągnie błogosławieństwo na dom cały. Co daj Boże! — dodała, podnosząc w górę oczy.

— Amen — odpowiedział stary.

Pani Mikoszevska ścisnęła za rękę siostrę Teofilę, poznała się z nią, i nim Bronisia wróciła, o niej mówili, wychwalając przymioty serca jęj i duszy.

Gdy siostra Teofila posiliła się, i wszystko dla niej było przyrządzone, rozmawiali wesoło, do czego pomógł szczególny humor zakonnicy, którą każda rzecz cieszyła niezmiernie, a na której twarzy i czole był taki spokój, takie jakieś zaspokojenie wewnętrzne ze stanu, który sobie obrała, że wszystkich to uderzyło, i Bronisia przysłuchiwała jęj się z zajęciem, wpatrując się w jęj twarz, i egzaminując szczegóły jęj ubrania.

— Dawnoż pani jesteś w zgromadzeniu panien Wizytek? — zapytała pani Mikoszevska.

— Ach, mój Boże — odpowiedziała siostra Teofila — i dawno i niedawno. Jak pomyślę, że mam już podobno czterdzieści kilka lat, i że nie miałam dwudziestu wtedy, gdym się poświęciła usłudze Bożego domu, i uczyniłam ślub posłuszeństwa i oddania woli, to jakoś to wydaje się niby dawno; ale gdy sobie przypomnę, jak mi ten czas przeszedł w zdrowiu i pokoju, jak nie było żadnego zmartwienia, żadnej troski, jak Pan Bóg strzegł od wszelkiej niepotrzebnej pokusy, a codzienna praca dodawała ochoty do modlitwy, a modlitwa ochoty do pracy, to mi się zdaje, że to było wczoraj. I sama nie wiem, kiedy przeszły te dni i godziny. Jednak wiosna za wiosną przesuwiała się, i wiele się koło mnie zmieniło. Nieraz, przypatrując się której, co była młoda, rumiana i żywa jak sarneczka wtedy, kiedym weszła do zgromadzenia, a teraz, choć zdrowa, ale bez rumieńca, choć spokojna i wesoła, ale nie ma tęg żywości, jaką miała, tylko powagę i spokój, to myślę sobie:—oho! już i na mojej twarzy musi także być jakoś nie tak, jak pierwój było!—Ale, co tu—dodała, pokazując na pierś — to nie ma żadnej różnicy, i da Pan Bóg, nie będzie do śmierci.

Bronisia nie spuszczała z niej oczu i nie straciła ani jednego

słowa. Siostrę Teofilę zastanowiła ta uwaga i to zajęcie dziewczynki, przed którą świat był otwarty i wszystkie jego uciechy. Uśmiechając się więc i głaszcząc jej twarzyczkę, rzekła:

— Jak ona słucha, co ja mówię o naszym życiu. Nie dla ciebie to, aniołku!... choć prawdę mówiąc, nikt nie wie co komu Pan Bóg przeznacza, i gdzie mu da zestarzyć się, jeżeli mu pozwoli dożyć późnego wieku. Są u nas i takie, co się urodziły w pałacach, wychowały się na jedwabiach i aksamitach, którym w młodości marzył się tylko świat i śniły się same róże życia, a jednakowo teraz poślubiły Bogu czystość i ubóstwo, i ani im do głowy nie przyjdzie, że się znajdują złocone pokoje, w których dawniej śmiały się ich usta, a płakało serce, że są stroje, za którymi, jak niejedna nam teraz rozpowiada, wychodziła z bolącą duszą i kładła się spać z zapłakanymi oczami. One dziś takie dobre przed Bogiem, jak i my, cośmy za młodu pracowały na kawałek chleba; za to też takie wesołe, jak my, choć zamknięte kratą na wieki. Po kilkunastu latach spokoju, pracy i modlitwy, zapomniały o wszystkich próżnościach ziemskich, dziękują Panu Bogu, że nie widzą więcej świata, tylko tyle, co z okna swojej celi, i gdyby przed nimi raptem otwarły się rygle klasztoru i powiedzieli im:—idźcie!—żadna pewno nie chciałaby wrócić do tego pałacu, z którego wyszła. O! bo to najpiękniejszy pałac, gdzie oblubieńcem wszystkich jest Jezus Chrystus, a gospodynią domu Przenajświętsza Matka Jego.

—Więc tam w klasztorze -- zapytała Bronisia -- nie jest tak smutno, jak mówiła pani Łątkowska, która najwięcej płakała tego, że w takim smutnym miejscu swoją Zosię zostawiła?

— Jakże może być smutno, moje dziecię—rzekła siostra Teofila— tam, gdzie jest dwadzieścia kilka kobiet dobrych, spokojnych i zajętych tylko modlitwą i pracą. Wtenczas smutno człowiekowi, kiedy czego żałuje, co już minęło i wrócić nie może, kiedy pragnie czegoś, co ma przyjść, a otrzymać nie może. A my niczego nie żałujemy, bośmy przyniosły z sobą do klasztoru wszystko co było nasze, to jest, pokorne serce i oddaną wolę; nie pragniemy nic, bo to, cośmy ukochały, to jest Zbawiciel świata i Jego Przenajświętsza Matka, są z nami zawsze, o każdej godzinie dnia i nocy; niczego się też nie spodziewamy od ludzi, którzy mogą zawieść, oszukać, nie dać, a wszystkiego spodziewamy się od Boga, którego obietnice pewno nas nie omylą, jeżeli na nie zasłużymy cierpliwym czekaniem. Dla czegożby miało tam być smutno? Rozrywki takie, jakich tu ludzie na świecie pragną, nam i niepotrzebne i nie ma do nich czasu. Rozrywki, moje dziecię, tylko temu miłe, kto sam nie wie, co z sobą robić, i nudzi się. A my tak, jak pszczoły w ulu, ruszamy się, kręcimy i pracujemy; każda ma swoje zajęcie, i każdą



godzinę oznaczoną. A taki dzień jeden jak drugi, tak, że już same ręce wiedzą do czego się brać, i nogi dokąd zanieść mają, czy do chóru, czy do ogrodu, czy do kuchni, czy do koła. Bo dom nasz, moje dziecię, musi wystarczyć sam sobie. Tam nikt obcy nie a nie dla nas nie robi. Wszystko musimy sobie same i uprać, i uszyć, i przyrządzić i zgotować. A do tego mamy szkołę i dzieci cudze, które trzeba wykarmić, pilnować i uczyć. Kiedyż tu być smutną i myśleć o niebieskich migdałach! To też żadnej nigdy ani w głowie nie powstało. I żebyś zobaczyła, jak w piękny wieczór latem, po skończonej robocie, zbiorą się siostry do ogrodu, nim zadzwonią do chóru, to przekonałabyś się, jakie to dobre, wesole i szczęśliwe kobiety. Dziękują też Panu Bogu serdecznie za przebyty dzień, a gdy skończywszy wieczorne pacierze, każda, wróciwszy do swojej celi, poleci duszę swą Aniołowi Stróżowi i położy się w twardém łóżeczku swoim, to śpi jak zabita do rana, póki na jutrznię nie zadzwonią. O! bo też nikt tak nie śpi, moja miła dziewczeczko, jak śpią dzieci i zakonnice. Ta pani, co płakała, że w klasztorze córeczkę swoją zostawiła, pewnie nie przypatrzyła się naszemu życiu, albo może zanadto kocha uciechy światowe. Tych tam nie ma, to prawda; od wszystkich próżności ziemskich i od ziemi bardzo tam daleko, ale za to do nieba bez porównania bliżej, niż z każdego pałacu.

Po tej rozmowie, której każdemu słowu dodawała wagi i przekonania twarz zakonnicy wyrazista, łagodna, i uśmiechająca się tém samym szczęściem, o którym mówiła, Bronisia szła zamysłona do domu, a gdy zmówiła pacierz i położyła się, długo marzyła o tém wszystkiém, co słyszała; zdawało się jej, że chodzi po korytarzach, że się modli i pracuje z siostrami; i bujna imaginacya dziewczynki tak się tém zajęła, że sen nawet powtórzył jej te same obrazy, które na jawie tak mocno ją uderzyły.

#### IV.

W Jędrzejowie, historycznym mieście i sławnym nie tylko przebywaniem i ukazywaną dotąd celą Wincentego Kadłubka, ale i zjadem walnym, który poparł elekcyą Stefana, i drugim, którym panowie i szlachta chcieli przeszkodzić wjazdowi do kraju Anny, córki arcy-księcia Karola, i jeszcze jednym, w czasie rokосу przeciw Zygmunutowi III, jest karczma ogromna na rynku, nad samym traktem leżąca, i mająca jedną izbę wielką, i obok niej jeszcze dwie mniejsze. We wszystkich były łóżka, wysłane zmiętém sianem, brudne stoliki pod oknami, i po kilka stołków w takim stanie, że niejedyn potrzebował wsparcia ściany, żeby mógł odpowiedzieć swemu przeznaczeniu. Ponieważ to było latem, goście, którzy wszystkie te trzy po-

koje zajmowali, nie zważali na to, że piece nie miały drzwiczek, że w każdym oknie brakowało szyby, choć przy wszystkich były firanki z frendlami, i na każdym wazoniki z geranium, z goździkami i innymi liściastymi krzewami, które brak szyb zakrywały i tamowały zbyt obficie wypadające do pokoju powietrze.

Kompania, która zajmowała te pokoje, gwarna, choć nie bardzo wesola, z miny i stroju nie okazywała zamożności i wyższego wychowania. Składała się ona z siedmiu mężczyzn i czterech kobiet, zajętych to rozmową, to szyciem, to chodzeniem po izbie wielkimi krokami, z dziwną i przesadną gestykulacją i uczeniem się na pamięć z pomiętych i brudnych seksternów. Niektórzy z mężczyzn bawili się kuflem i piwem; inni trzymali w gębie drewniane cybuszki, i zbliżając się do siedzących kobiet, zajętych to naszywaniem błyszczących blaszek na jakieś wypłowiałe stroje, to przymocowujących wyskubane pióra do aksamitnych toków, lub hiszpańskich kapeluszków, puszczały im pod nos kłęby dymu. Za to jeden odbierał komplement odpowiedni: — idź do djabła! — inny, gdy ścieg nie przeszkadzał powstać i dogonić psotnika, dostawał potężnego klapsa, który rozlegał się po izbie wraz z hucznym śmiechem pozostałej kompanii. Czasem taki sam traktament silnej męskiej dłoni spotykał i kobietę, gdy ta, rozłożywszy manatki swe na łóżku, nachylona i zakłopotana, oddzielała całe koszule od dziurawych. Doznawszy tak niemiłej przerwy w swém zajęciu, rozgniewana dama porywała pęk brudnych pończoch i biegła po pokoju za niegrzecznym kawalerem, który widząc niebezpieczeństwo, stawał w heroicznej pozycji i wołał: — Pani! daruj śmiałości, którą wdzięki twe wywołały. O! nie karz nieszczęśliwego, który dni i nocy myśli o powabach, co uderzyły oczy wszystkich, a których okrutna ukrywać nie chciałaś! — Śmiech kompanii towarzyszył tej apostrofie; a obrażona, czując się ujętą i wzruszoną, niby płacząc z rozczulenia, zakrywała twarz pękiem tym samym pończoch, którym miała uderzyć krzywdziela, a ten, odchyłając ową dziurawą, i wydeptaną zasłonę ze śmiejącą się twarzy, ścisnął przebłaganą i zamiast policzka, odbierał pocałowanie.

Z tego wszystkiego łatwo poznać, że to była wędrowna truppa aktorów na spoczynku swym, przed wjazdem do gubernialnego miasta, i przygotowująca się do zbierania nowych laurów i oklasków, które jej często służyły zamiast kolacyi.

Aktorki tej kompanii, mniej więcej niestare, niektóre nawet z ładnymi rysami, w ogóle jednak miały w ruchach i fizyognomii coś ordynaryjnego; w odzieży zaś niedbałość, brak właściwej kobietom wstydlivosti, a szczególniej brak gustu, który nawet ubogie ubranie czyni powabnym i przystojnym. Przeciwnie, w twarzach mężczyzn różnego wieku, choć prawie wszyscy mieli na sobie powycierane sur-

duciki, niektórzy nawet świecili dziurami na łokciach, choć nankinowe pluderki obfitowały w plamy, a wykrzywione buty napróżno zdawały się wołać o szewca, o szuwaks, widać było daleko więcej rozwinięcia umysłowego i myśli.

Jednego nawet z młodszych i fizyognomia, i rysy, i postawa były prawdziwie uderzające. Wysoki to był, pleczysty i dziwnie kształtny brunet; głowa jego, okryta bogactwem kruczych włosów, jaśniała czołem szerokiém, białém, z lekka nachmurzoném. Oczy czarne błyskały namiętnością, na pięknych ustach widać było jakąś pogardę, gdy patrzył na to, co go otaczało; a chociaż odzienie jego nie było lepsze od innych, jakoś szlachetniej i przystojniej na nim leżało. Siedział on na kanapie, wgłębiwszy się w jej kąt, piękną i białą ręką zaczesywał swe kędziory, i założywszy nogę na nogę, wyciągał stopę małą i zgrabną, niby spoglądając czasem na buty, zapewne jedyne, i rozważając, jak długo jeszcze wytrzymają chód jego mężki i silny.

Jeden z dwóch starszych, którzy siedzieli przy stoliku i popijali piwo, rzekł do drugiego:

— Patrz, szlachetny ojczy, jak najpierwszy kochanek przypatruje się swoim bucikom. Nie długo ci podobno służyć będą. Jeżeli nam tak dopiszą Kielce, jak Busk, to nie będzie za co załatać téj dziurki, która ztąd bieleje.

— Cicho bądź, ty czarny charakterze! — odezwał się jeden z młodszych, chodzących po pokoju z seksternem w ręku. — Wszędzie widzisz złe i zdradasz to, co się ukrywa. W sercu twém jest tyle sady, że będzie czém zaczernić tę dziurkę, która bieleje.

— Fagasio! nie obrażaj się dla tego, że mowa o butach — odpowiedział czarny charakter. — Pilnuj lepiej subretki i suflera, co tam pod piecem podpowiada jej wcale nie to, co napisano w roli, którą ona sobie buzię zasłania.

W téj samej chwili rozległ się odgłos, jakby policzka, który dostał sufler za fałszywe widać podpowiadanie, a szczególnie za zbyt śmiałe gestykulacye, któremi chciał dodać mocy swym słowom.

Młody aktor, któremu lokajskie amploa dało odpowiednie ruchy i wyraz, zaśmiał się głupowato i rzekł do subretki:

— Basiu! Fruziu! Zuziu! Magdusiu! Będę ci wiernym za tę dzielną i głośną odpowiedź, jakąś dała temu zachrypłemu napastnikowi.

— Odplącę ja jej za to w budce — odpowiedział sufler — a i tobie także. Kiedy mnie nazywasz zachrypłym, choć tego żaden spektator, nawet na ostatniej ławce siedzący, nie powie, to będę zachrypłym, a obaczmy, jakie miny do mnie robić będziesz, ty, co nigdy roli nie umiesz.

— A gdzieżes ty widział — odpowiedział młody człowiek, jakby

z obrazą — aby który aktor na prowincyi umiał swą rolę? To warszawscy tylko tak dobrodusznym, że co im dadzą do rąk, to się wyuczą od deski do deski, jak żaki. My potrafimy i tak swego dokazać, kiedy potrzeba. A jeżeli się tam jakie słowo połknie lub przemieni, to nie wielka bieda. Tu idzie o efekt ogólny, i o owe dwa złote na obiad, których czasem nie ma. Oj! obiad, obiad! ten nieszczęśliwy obiad!

— Myślisz, że będzie? wyperswaduj sobie. Prosiłam oberżystki: nie chce nam kredytować, a ten stary przepadł w Kielcach i nie wraca — rzekła panna, której oko było dość bystre, a ręka, jak widzieliśmy, nie leniwa, i która zbliżywszy się do młodego człowieka, oparła się na nim poufale i dodała:

— Słuchaj-no, Kasperku! obiecujesz być wiernym, ale cóż mi z tego, kiedy bardzo głodna. Pójdź, kup mi ciastek, bo niestety! obiadu nie będzie!

— Kobieto! — zawołał młodzieniec, stanąwszy w odpowiedniej pozycji. — Każdy daje tylko to, co ma. Ja mam serce i dziurawe buty, i z tych jedno dać ci mogę. Wybieraj!

— Co mi po tém, kiedy ja jeść chcę — rzekła subretka, odwracając się.

— Buty jeszcze dobre — mówił młody człowiek, podnosząc jedną nogę i drugą — a choć dziurawe, ale są dziury historyczne. Patrz! ta pokazała się wtedy, gdym tupnął nogą w szlachetnym gniewie na niewierną kochankę; ta zrobiła się wtedy, gdym uciekał przed zbójcą, i w ucieczce tej towarzyszyły oklaski.

— Lepiej daj mi drugą parę, a całą, to może co za nią dostanę — mówiła panna.

— Wymyślna kobieto! zalotna okrutnico! — wołał młody człowiek z deklamacją. — Chcesz od prowincjonalnego aktora drugiej pary butów? chcesz więc dwóch wiosen na rok? dwóch słońc na niebie? Ach! opuść go raczej, niemiłosierna! albo weź jego serce, które ci dawał do wyboru, i zanieś je do cukierni za ciastka, co mają próżność twą zaspokoić!

Za to patetyczne wystąpienie, młody człowiek dostał brawo od niektórych kolegów, a z drugiego pokoju wyszedł aktor, w gorszym niż inni surducie, z kołnierzami od koszuli wysoko podchodzącymi, z głową już siwą i rozczochraną, ale z fizygnomią wyrazistą, ruchliwą, okazującą amatora butelki.

— Panowie! — rzekł nowo przybyły.

— Cicho! — krzyknął czarny charakter. — Trefniś chce mówić; będziemy mieli coś mądrego.

— Lepsza mądrość błazna, niż mądrość chytrego — rzekł czystym i brzmiącym głosem ów brunet, który powstał z kanapy, i postąpiwszy parę kroków, dodał tonem imponującym: — Mów, kuflu,

coś miał mówić, tylko z konceptem. Umiész bawić publiczność która niegłodna, zabaw-że i kollegów, którym się jeść chce, a nie mają prawa spodziewać się obiadu.

— Panowie — rzekł wtedy ów aktor, do którego amploa należały role trefnisiów, karykatur, oszukanych ojców, mężów i stryjów — powiedźcie, czego wart trefniś, który bawi niegłodną publiczność?

— Rozumię się, że oklasków i dobrej pieczęzi — odpowiedział jeden z obecnych.

— A czego warta publiczność, która zostawia głodnym tego, co ją bawi dowcipnie? — zapytał znowu z komicznym oczekiwaniem odpowiedzi.

— Warta, żeby była wygwizdana, i żeby sama była głodną — odezwał się inny.

— Słusznie powiedział — zawołał trefniś — i ja takie przekleństwo rzucam na publiczność Buską. Niech te panie, co się tam stroją w lichem miasteczku, jakby były w Paryżu, a nie idą na teatr, będą głodne! niech ci panowie, co tam po całych dniach i nocach grają w karty, a nie idą na teatr, będą głodni! niech ci panicze, co kupują atlasy pannom, przesiadują u nich całe wieczory bez fraka i chustki na szyi, a nie idą na teatr, będą głodni! Niech wszyscy poznają choć przez tydzień, jakim chlebem karmią dowcip, jaką lurą utrzymują za pał, jak odziewają tę sztukę, co świeci łokeiami, i której pięty z czerwonanych pończoch wylażą!

— Bravo dać trefnisiowi, a wygwizdać publiczność Buską — krzyknął inny — i zaczął razem klaskać i sykać, co wszyscy, śmiejąc się, za nim powtarzali.

Trefniś, składając ręce na piersiach, kłaniał się na trzy strony z tak pocieszoną pokorą, że się podwoiły oklaski i śmiech ogólny rozweselił całe to dziwaczne grono, które o swój wielkiej biedzie i głodzie zapominało na chwilę. Ale łatwiej żyda przegadać i rozgniewanego recenzenta przyprowadzić do milczenia, niż ukołysać pusty żołądek i wyperswadować mu, aby spokojnie czekał do jutra. Wkrótce znowu posmutniały twarze biednej rzeszy Melpomeny, nawet ów brunet młody i przystojny chodził po pokoju i spluwał, gdy trefniś wystąpił znowu, przybrał minę niezmiernie seryo, i wyciągając do wszystkich obie ręce, zawołał:

— Panowie i panie! posłuchajcie jeszcze: teraz wam powiem słowa prawdy.

— Ach! żeby to prawda zastąpiła zrazy i kaszę ze słoniną — rzekł jeden spluwając.

— Prawda jest gorzką potrawą, nieznaną na wielkim świecie — zarzucił inny.

— Na wielkim, to być może, ale nie na naszym — przerwał po-

nuro ów brunet, i obracając się do Kuflewicza, dodał — mów, kufiu, słowa prawdy, choćby była gorzka.

— Sarkamy — odezwał się wtedy trefniś, przybrawszy stosowną postawę — sarkamy, mówię, na publiczność, że nas opuszcza i na przedstawienia nasze nie przychodzi. Ale któż temu winien, jeśli nie my sami? Dla czego ty, pierwszy amancie, co masz taką figurę, taki głos, taką twarz okazałą, co wiész jak zdobyć oklaski i przyciągnąć ciekawych, występujesz najczęściej na scenę, jakby cię kto ciągnął na sznurku? czemu stajesz do publiczności profilem, jakbyś się chciał od niej odwrócić na zawsze, cedzisz słowa przez zęby, i, jak wygadasz swoje, zamysłasz się, i ani ci w głowie, czém jesteś, i co do ciebie mówią? Tyś winien, że nie mamy dziś obiadu.

— Bravo! bravo! to prawda — wołali niektórzy.

— A ty, ojcze szlachetny — mówił dalej trefniś — czemu takim samym jesteś ojcem, jak i stryjem, takim Piotrem, jak i Pawłem, takim Michałem jak i Ambrozym? kto cię raz widział, już więcej nie pójdzie. I tyś winien także, że dziś nie mamy obiadu.

— I to prawda — odezwał się mający amploa służących i gapiów. Stary zaraz się do niego obrócił i rzekł:

— A ty, gapiu, czemuś zawsze gap', czyś lokaj, czy szyldwach, czy woźny, czy sekretarz? czemu nigdy roli nie umiesz i do głupstw autora dodajesz swoje, jeszcze większe? Czyś ty nie winien temu, że dziś nie mamy obiadu?

— Wszyscy się zaśmieli, szczególnie kobiety, które zaczęły ukazywać palcami na skonfundowanego i krzywiącego się młodego aktora. Dostrzegł to trefniś, i zwracając się do nich, mówił:

— A wy myślicie, że wam nie powiem, co się wam należy? Ty naprzykład, pierwsza kochanko! czemużeś opuściła magazyn swojej pryncypalki, a nie nauczyłaś się rozumieć tego, co mówisz? Dla czego gadasz nie swoim głosem, jakby cię kto dławił, chwiejesz się, jak żerdź od wiatru, gdy jesteś wielką panią — stękasz, gdy ci potrzeba jęzczyć, i ryczysz, gdy się śmiesz z rozpaczy? Ty, co się teraz uśmiechasz, subretko i naiwna dziewczyno! czemu się kręcisz ciągle jak sroka na płocie, mówisz tak, jakbyś miała pełną gębę kłaków, i poruszasz zawsze ręką tak, jakbyś manewrowała żelazkiem? A ty, szlachetna matko, czemuś zawsze płakiwa i brudna? czemu otwierasz gębę, jakbyś kogo połknąć chciała, i takie robisz omyłki, że się mężczyźni śmieją, a kobiety uszy zatykają? Czyście wy niewinne, że dziś nie mamy obiadu? I tyś winien, intryganciel! który myślisz, że chytróść zależy na zawracaniu oczu, na przygarbieniu się i chodzeniu bokiem, na mówieniu jednostajnym, przeciągłym i mazgajowatym głosem?

— Dosyć już tych bredni, dosyć — odezwał się obrażony czarny charakter — o sobic-no jeszcze powiedz, to lepiej zrobisz.

— Mam powiedzieć o sobie — mówił stary jowialista. — Dobrze więc, powiem, i taką samą prawdę, jaką wam mówiłem.

— Ja ci potrzynam zwierciadło — rzekł inny, zdejmując lustro, które wisiało przy oknie. Kuflewicz stanawszy przed nim i wyciągając rękę ku swemu obrazowi, pokiwał głową i tak mówił:

— Karykaturę! trefnisiu! stary i siwy błaznie! ty, co widzisz cudze pod lasem, spojrzij na siebie i powiedz, czemu tak często występujesz na scenę pijany, bijesz się wówczas o kulisy i psujesz rolę, ty, cobys mógł każdą utrzymać i podnieść? czemu myślisz, że fizyognomią i ruchem twarzy można zastąpić słowa, których zapomniałeś? Czemu, chodząc po ruszających się deskach miasteczkowej sceny, patrząc z boleścią na łożowe świeczki, które ci dymią przed nosem, złorzeczysz losowi, że cię tak nisko postawił? czemu wówczas wyobrazasz sobie, że mógłbyś być między pierwszymi i tam, gdzie sto lamp goreje, gdzie w łożach złoto i aksamity, gdzie tysiąc rozumnych oczu na ciebie patrzy, i gdzieby ci tysiąc rąk zasłużone oddało oklaski? Powiedz, dla czego wtedy zapominasz o śmiechu i błażeniu, polykasz gorzką łzę, która ci spływa po twarzy, i uciekasz ze sceny, nie powiedziawszy nawet owego słowa, które jest hasłem dla innych, jest sprężyną, bez której te nieudolne lalki, co z tobą grają, nie umieją się ruszać i iść dalej? O! tys najwięcej winien, że dziś nie mamy obiadu!

Perory jedni słuchali z obrazą, inni z obojętnością i ruszając ramionami; tylko ów brunet miał łzę w oku, zbliżył się do starego, wziął jego rękę w obie dłonie, i patrząc na tę twarz tak zmienną, tak pocieszoną, a w tej chwili szczerze zasmuconą i głębsze objawiającą wzruszenie, rzekł:

— Szkoda cię, panie Janie! zmarnowałeś życie, i piękny talent rzuciłeś w błoto.

— A ty nie zmarnujesz i jednego i drugiego? — odpowiedział stary, ścisnąwszy rękę pięknego młodzieńca. — Aleś ty jeszcze młody, przed tobą droga otwarta i pole szerokie. Jam już przepadł.

— I dla mnie nie ma już żadnej drogi, żadnego pola — odpowiedział młody człowiek wyprostowawszy się, a zgartując włosy z szerokiego czoła, na które chmurne wystąpiły myśli, dodał: — W tej biedzie, której tu doznaję, jest dla mnie rozrywka; w oklaskach, którymi mnie obsypują, jaka taka ulga, a w butelce zapomnienie i rozkosz, bydłęca wprawdzie, ale zupełna, bo przestaję być tém, czém byłem i sam nie wiem, czém jestem.

— Edmundzie! — rzekł stary — przestań pić. Widzisz, ja, nałogowy pijak, upominam cię! Dzisiaj może cię jakiś ukryty ból do tego prowadzi, a wkrótce staniesz się niewolnikiem uciechy, która cię zgubi, jak i mnie zgubiła.

— Co mi tam! im prędzej, tém lepiej; obaczmy — dodał — może ten bestya oberzysta pokredytuje mi choć jedną butelkę wina. Pójdź, stary, spróbujemy.

I ciągnął go za sobą, a inni chodzili po izbie i spluwając, uskarżali się na głód, który ten bułką, ten fajką, a ten szklanką piwa, jak mógł odpędzał.

Powodem tak krytycznego położenia, w jakim się kompania ta znajdowała, było wielkie jej niepowodzenie w Busku. Pomimo znakomitych zdolności, wyższego ukształcenia i pięknych przymiotów powierzchownych młodego człowieka, który grywał role kochanków, pomimo znajomości sceny i szczęśliwej fizygnomii starego jowialisty, który, jak widzieliśmy, czuł swoją wartość, i na każdyn teatrze mógłby zyskać oklaski, publiczność zgromadzona u wód zupełnie innych szukała rozrywek, nie mogła znieść widoku aktorek, rzeczywiście niezgrabnych, nie rozumiejących i bez ukształcenia; brzydziła się brudną szopą, w której się odbywały widowiska; zatykała nosy od kopciu świec łożowych, i parę razy odwiedziwszy teatr, dla zaspokojenia ciekawości, jak téż wygląda jego personale, więcej już nie poszła.

Jest zwyczaj w teatrach naszych prowincjonalnych, że antreprenner, który prawie nigdy nie jest w stanie brać wszystkich kosztów na siebie, przypuszcza całą swą kompanię do wspólności zysków i strat, jakie pobyt w pewnym miejscu przyniesie. W ugodzie więc, którą robi z aktorami, naznacza każdemu z nich pensyę, odpowiednią ważności jego tak nazwanego *amploa*, i reputacyi, jaką już zyskał. Pensye te nie są wcale wysokie. Pierwszy amant miewa sobie naznaczone od 150 do 100 dukatów rocznie; pierwsza kochanka od 100 do 80; szlachetny ojciec i matka po 70 lub i mniej; czarny charakter 60, a ważne niezmiernie dla prowincyi *amploa*, jakim jest karykatura i wszystkie charaktery śmieszące, jakie tu grywał stary Kuflewicz, ledwie 75 do 80 dukatów wynoszą. Ale wszystkie te pensye są idealne, i antreprenner nie podejmuje się uiszczać ich kwartalnie lub miesięcznie. Po każdej reprezentacyi odtrąca się pewna kwota na koszt, w które wchodzi pensya samego antreprennera, najem lokalu, światło i procent od oznaczonego wydatku na garderobę. Resztę co pozostaje, dzieli się pomiędzy wszystkich, proporcjonalnie do pensyi każdemu oznaczonej. Jeżeli reprezentacya się powiodła i wpływ był znaczny, każdy dostaje przynajmniej tyle, że ma za co żyć na jaki tydzień i podłatać buty, surducik, i kupić świeże rękawiczki. Wszakże bywają także przedstawienia, że pierwszy amant dostaje pół rubla, a niższe *amploa* po złotówce i po dziesięć groszy za cały trud wieczoru, za trzy godziny gadania i ekspensowania uczuć i dowcipu. Zdarzają się nawet takie wypadki, że gdy koszt



przewyższają przychód, biedne dzieci Melpomeny muszą jeszcze dopłacać, znowu proporcjonalnie do przeznaczonj im pensyi, obnażyć się ze wszystkich dawniejszych zapasików, jakie który miał, a często zastawić fraczek lub sukienkę, żeby pokryć dług, bez czego by następne przedstawienie, cała nadzieja ich wstrzemięźliwych żołądków, miejsca mieć nie mogło. Nikt bowiem u nas nie ma mniej kredytu, jak ci nieszczęśliwi, od których tyle pracy, tyle zdolności, tyle poświęcenia się swj zabawie wymaga publiczność, nieświadoma ich wielkiej biedy, i nie wyobrażająca sobie nawet tych wszystkich niedostatków, jakie ich trapią.

Otóż takich reprezentacyj była w Busku większa połowa. Choć wjęc pora kąpeli jeszcze się nie skończyła, obnażony ze wszystkich środków dalszej egzystencyi antreprenier, musiał uciekać i zabrał swoją kompanię wygłodzoną, obdartą ze wszystkiego, co miała i nie mającą już ani grosza. Wszystkie koszta przejazdu z jednego miejsca na drugie, przewiezienie garderoby, płócien i samych aktorów, należy do antreprenera. Zostawiwszy wjęc swoją kompanię w Jędrzejowie, że go taniej kosztował lokal na jej tymczasowe pomieszczenie, a zabrawszy z sobą wszystkie pałace, chaty, lasy i ogrody, jak niemniej wszystkie płaszcze, rycerskie odzienia, korony, berła i miecze, pojechał zmartwiony i goły pan Dyonizy do Kielc, dla urządzenia teatru, porobienia potrzebnych przygotowań i zyskania sobie łaskawych protektorów, a dla kompanii swj zamówił i zapłacił w Jędrzejowie pomieszczenie i utrzymanie na trzy dni, po których upływie miał wrócić lub po nią przysłać. Ale już szósty dzień mijał, a pan Dyonizy nie wracał i nie przysłał. Oberżysta, który nie miał żadnej ekwicyi, bo wszystkie rupiecie teatru poszły z jego gospodarzem, a aktorowie zostali prawie tak, jak każdy stał; mantelzaczki zaś kobiet, z koniecznemi ich manatkami, wszystkie razem nie warte były i dwóch obiadów, karmił ich jeszcze jako tako przez dwa dni na własne ryzyko, ale już trzeciego dnia, desperując, że mu zalegają oberżę, że nikogo przyjąć nie może, że już i tak na nich ogromnie traci, odmówił stanowczo obiadu, zapowiedziawszy, że odtąd temu tylko da jeść, kto zapłaci za siebie. W tém to była i trudność, bo żaden już nie miał pieniędzy, a ostatek, jaki który miał, poszedł na bułki, na serdelki, na tyton i na piwo.

W tak krytycznym położeniu znajdowała się sztuka dramatyczna, którą jak na złość, gdy Edmund otworzył drzwi, ciągnąc za sobą starego Kufła, z przeciwnj kuchni doszedł zapach barszczu, huzarskiej pieczeni z cebulką i kartofelków ze słoninką. Jeszcze młody człowiek stał na progu i trzymał za kłamkę, kiedy rozległo się klaskanie z bicza, i przed oberżą stanął czterokonnj koczyk, z którego wyskoczył jakiś obywatel i wszedł do sieni.

Edmund, postrzegłszy go, cofnął się zaraz i drzwi za sobą zamknawszy, wrócił ku kanapie i rzucił się na nią z zakrytą twarzą, jakby przejęty czy żalem, czy wstydem. Ale wkrótce drzwi się otwarły, i ów obywatel, człowiek młody, bardzo przystojnie odziany, z wyrazem na twarzy pełnym uprzejmości, wszedł, i rzucił okiem w około, jakby szukał tego, co się przed nim schował.

— Jeżeli tu pan szukasz człowieka sytego — rzekł mu stary Jowialista — to go nie znajdziesz pewnie. Tu widzisz pan kompanię artystów dramatycznych prowincjonalnych, która w tym momencie odgrywa trudną komedię wstrzemięźliwości i wyrzeczenia się owego barszczu i tych kartofli, których egzystencyę zdradzasz pan, trzymając drzwi otwarte.

Młody człowiek uśmiechnął się, zamknął drzwi, i postąpiwszy parę kroków, rzekł:

— Bardzo panów przepraszam, ale zdawało mi się, że w tych samych drzwiach dostrzegł młodego człowieka, którego twarz tak mi znajoma i miła...

— Więc go poznałeś, choć okryty obdartym surducikiem? — zawołał Edmund, powstając i wyciągając do niego ręce. — Chodź, Karolu! chodź, to ten sam, dzisiejszy biedny i głodny aktor, ale kocha cię zawsze tak, jak kochał w gimnazyum, jak kochał w uniwersytecie.

Młodzi ludzie rzucili się sobie w objęcia, ściskali się długo i serdecznie, a cała kompania patrzyła z zajęciem, szczególnie stary Kufel, w którego oczach łza nawet błysnęła.

— Więc bez żartów jesteś aktorem prowincjonalnym? — zapytał przyjezdny.

— Czyż nie widzisz tego po téj kompanii, w jakiej się znajduję? czy nie miarkujesz po tym surducie wytartym, pękniętych butach, wychudzonej twarzy i artystowskiej czuprynie? — odpowiedział Edmund, potrząsając głową i kędziorami, jak lew grzywą.

— Ale widzę to wszystko i wierzyć muszę — odpowiedział młody obywatel, poglądając po otaczających go osobach — tylko tego nie widzę, co cię mogło skłonić, żeś tak użył tych sił, jakie ci Bóg dał, i któreś pracą wykształcił.

— Przykra to historia, mój kochany — odpowiedział Edmund. — I każdy z tych ludzi dobrych i uczciwych, z którymi dzielę się chętnie ich jałową i nieużyteczną pracą, i gorzkim kawałkiem chleba, ma także swoją historię, bez której nie rzuciłby się w ten zawód upokorzenia, z którego, jakby z jakiego zaklętego koła, nie ma już wyjścia. Z desek prowincjonalnego teatru, mój kochany, dwie tylko drogi prowadzą: albo pod kościół z torbą, albo do szpitala

z połamanemi klepkami w głowie. Jeżeli ci nie pilno i masz ochotę posłuchać, to ci powiem, co mnie na nią zaprowadziło.

— Z chęcią, kochany Edmundzie — odpowiedział pan Karol. — Stałem tu na popas, ale mogę zabawić z tobą cały wieczór, a nawet przenocować. Czy już po obiedzie?

— Albożes nie słyszał, co ci ten stary powiedział — rzekł Edmund z gorzkim uśmiechem — że tu odgrywany komedję wstrzemięźliwości!

— Zaczynamy się odzwyczajając od obiadów! — dodał stary z grymasem.

— To chodź-że, chodź — mówił Karol, biorąc pod rękę dawnego kolegę — zjemy obiad razem, a potem przy kawie i fajeczce wysłucham tej historyi, której przyznam ci się, złorzeczę z serca, bom cię nie raz widział w myśli na innej drodze, i pragnąłbym jeszcze z duszy, abys zszedł z tej, na której stanąłeś.

— Przepraszam cię, kochany Karolu — odpowiedział Edmund, zagartując włosy i patrząc ze współczuciem na swoich kolegów. — To wszystko ludzie dobrzy, współ-bracia mojej biedy i poniżenia. Przynależę im, że się dzielić będę wiernie ich powodzeniem i nędzą, i nie mogę być sytym wtedy, kiedy oni głodni. Idź, zjedz swój obiad, i daj mi znać, gdy skończysz. Pójdziemy wtedy na spacer i opowiem ci co cię interesuje.

— A nie moglibyśmy zjeść obiadu wszyscy razem? — zapytał pan Karol, patrząc na tych biedaków, których fizyognomie rozjaśniły się. — Czy panowie przyjmiecie? Na jaką ucztę tutejsza oberża zdobyć się zdoła, taką ofiaruję chętnie przyjaciółom tego, co był zawsze moim serdecznym towarzyszem.

— Szanowny panie! — rzekł występując stary jowialista — przyjmujemy zwykle od panów oklaski bez pieczeni huzarskiej, dla czegożbyśmy nie mieli przyjąć pieczeni bez oklasków?

— Dziękuję ci, kochany Karolku — rzekł Edmund, ściskając jego rękę. — Szlachetny to uczynek. Serce moje nie zawiodło się na tobie, choć nie zawsze było w wyborze swoim tak trafne.

— Jest nas dwanaście osób — rzekł pan Karol, rzuciwszy okiem po wszystkich.

— A zatem Judasza nie ma — zawołał stary Kufel.

— Tém lepij, tém nam będzie weseliej, Zaraz panom służę — powiedział Karol, i wyszedł.

Cała kompania w radości i rozrzewnieniu podziękowała szlachetnemu młodzieńcowi, że dał tak piękny przykład koleżeństwa, a pan Karol, kazawszy konie wyprządz, zajął się obstalowaniem obiadu. Że to było około godziny pierwszej, i wszystko znalazł gotowém w kuchni gospodarza, kazał więc co prędzej nakryć duży stół, ogarniować

go kilkoma butelkami dobrego wina i dwoma półmiskami ciast, które przyniesiono z cukierni. Wkrótce więc dzieci Melpomeny zasiadły wesoło do tak zaimprovizowanego stołu, a zając ten barszcz z rurą, tę pieczeń huzarską, te kartofle ze słoninką, których zapach rozdrażniał dotąd napróżno ich apetyt, sprząając trochę twarde i nieświeże ciastka, i popijając je dobrém winem, wznosiły toasty na cześć wszelkiego koleżeństwa, które w każdym zawodzie, równie na polu chwały, jak i na polu sztuki, łączy tylko uczciwych, i czyni wszelki trud lżejszym, wszelką nędzę znośniejszą, wszelkiemu powodzeniu dodaje blasku i słodyczy. Dawno już w Jędrzejowie nie było uczty tak wesołej, tak jednoczącej dłonie biesiadników, i żadna może zaproszonym gościom więcej nie smakowała. A jeżeli na owych zjazdach, o których na początku wspomnieliśmy, brzęczały na stołach srebrne talerze, kurzyły się na złocistych półmiskach udźce dzików i combry jeleni, jeżeli z półgarncowych puharów lał się stary węgrzyn strumieniem i grmiały wiwaty, to pewnie więcej tam było komedyi w wyłaniu panów i szlachty dla znakomitych amfitryonów tych uczt zbytkowych, niż tu we wdzięczności komedyantów dla szlachetnego młodzieńca, który im dał na chwilę o prawdziwej ich nędzy zapomnieć.

Gdy się biesiada skończyła i każdy zajął się sobą, pan Karol zaprowadził przyjaciela swego do pozostałej jeszcze w oberży stacyjki, gdzie sobie łóżko przyrządzić kazał. Edmund chodził długo po pokoju i pocierał ręką szerokie swe czoło. Nareszcie, stanawszy przed przyjacielem, który mu się ze współczuciem przypatrywał, rzekł z uśmiechem:

— Widziałeś próbkę mojego życia.

— Tém więcej cię żałuję — odpowiedział Karol — dobrzy to ludzie; ten stary ma dowcip i serce, w innych widzę uczciwość i uznanie twój wyższości; ale, kochany Edmundzie, czyż to miejsce dla ciebie?

— Chciałżebyś, abym ich opuścił teraz, gdy przyszli do ostateczności? — odpowiedział Edmund. — Oni patrzą na mnie, jak na swój filar, mają mnie seryo za coś niepospolitego, spodziewają się, że choć nie nie zdołało w Busku przewyciężyć wstępu publiczności, chorującej na państwo, to w mieście gubernialném takiem, jak Kielce, ja i ten stary trefniś obudzimy zapał i podłatamy się w naszych finansach. Mogę zdradzić ich nadzieję? odplacić opuszczeniem za ich życzliwość? Tego nie zrobię. Ich wiara w moją wyższość jest szczerą, i to jest ogniwo, które mnie trzyma. Bo wierz mi, na waszym świecie więcej jest zazdrości na widok cudzej zasługi, niż na deskach prowincjonalnego teatru, gdzie wprawdzie świeci tylko szcych, zielenieją tylko malowane drzewa, ale gdzie nędza jest równie prawdziwą jak

między wami, a wdzięczność dla tych, co mogą i chcą zakryć jej lachmany, daleko prawdziwsza i szersza.

Młody obywatel uśmiechnął się i ruszył ramionami, a Edmund dodał:

— Nie wierzysz mi i ruszasz ramionami. Myśl sobie o tém, jak chcesz, ale masz przykład na sobie samym. Niejedną już zapewne dawałeś ucztę, nieraz traktowałeś swoich przyjaciół i współobywateli. I cóż? zjedli twoje pieczone, wypili twoje wino, może cię jeszcze ograli i zapomnieli. A jeżeli kto wspomniał, to drwiąc, żeś mu dał starą kurę zamiast pulardy, i kwasną poczęstował lura, schowawszy dla siebie zapleśniałą butelkę. Ci, póki żyć będą, nie zapomną tych przypalonych kartofli, tych ciast z gorzkim masłem i tego zieleńca, którym pili twe zdrowie. Oni ocenią twe serce, nie twą możność, i bądź pewny, ile razy głód do ich drzwi zakolacze, o co u nas nie trudno, przyjdiesz im na myśl i zapłacą ci znowu za twój obiad wdzięcznym wspomnieniem, a może lżą w oku, boś ich zobowiązał na zawsze.

— Wszystko to być może, kochany Edmundzie — rzekł pan Karol. — A jednak dałbym, nie wiem co, za to, żebyś cię widział gdzie indziej. Jeżeli czas jeszcze, wyrwij się z tych więzów, szukaj innej kariery na tym świecie szerokim i prawdziwym, którego obraz odbija się między waszemi płótnami krzywo i fałszywie, jak twarz piękna w brudnym i rozbitym lusterku.

— Cóż chcesz, żebyś robił? — zawołał aktor chodząc po pokoju, i zatrzymawszy się przed przyjacielem, dodał: — Jam już do niczego niezdolny, wierz mi: każde przedsięwzięcie, każdy urząd jest obowiązkiem ścisłym, wymaga wytrwania, porządku, ciągłego zajęcia, a ja zbrzydziłem sobie jednostajność, i ta myśl, że każdy dzień mego życia byłby takim jeden jak drugi, że poniedziałek byłby podobny do wtorku, a wtorek do środy, stała się dla mnie straszidłem, którego znieść nie mogę. Moja imaginacja polubiła waleśanie z dołu na górę, z głębi lasu na zieloną niwę, z piaszczystej zarośli, między pola bujnym okryte żniwem. I ja miałbym iść ciągle bitą drogą i może jeszcze aleją wysadzoną topolami? Nie, za nic! wolę łaty mego surduta, czasem tylko serdelka i kawałek chleba na obiad, byłem miał przytęm swobodę i różnorodność.

— Biedny, biedny Edmundzie! dawniej nie byłeś takim! — rzekł Karol, spoglądając na niego ze smutkiem. — Jakiś fatalny wypadek, jakaś zła namiętność wepchnęła cię w tę kalużę.

— Być może! — odpowiedział młody człowiek, zatopiwszy swe palce we włosach. — Przeprowadzono mnie do tego, że mi przyszła myśl samobójstwa. Może łatwiej było roztrzaskać sobie głowę iskończyć wszystko! Ja wybrałem inną śmierć... i zabiłem swoją przyszłą

karyerę. Żyję więc, jak widzisz, i czolgam się do tego kresu, jaki mi naznaczono. A czy ten grunt, po którym pelzam, byłby twardą i kamienistą drogą, czy jest, jak go nazywasz, kałużą, to mi wszystko jedno. Skrzydła moje złamane; wiem, że się już nie podniosę i podlecieć nie zdołam.

To powiedziawszy, z wyrazem przenikającym duszę, rzucił się na krzesło, i wsparłszy głowę na dłoni, umilkł. Karol długo patrzył na niego ze łzą w oku, potem, zbliżywszy się i kładąc dłoń na jego ramieniu, rzekł:

— Edmudzie! jeżeli ci to sprawi ulgę, powiedz, jaką drogą przyszedłeś do tak oplakanego stanu? Zostawiłem cię w Petersburgu innym zupełnie, takim prawie, jakim byłeś w młodości: żywym, namiętnym, aleś patrzył wysoko i wzrokiem orlim sięgałeś w rozległe przestworze.

— Ba! nie razem Kraków zbudowano, kochany Karolu! — odpowiedział Edmund — tak i ja nie od razu upadłem tak nisko. Po jakiej zsunąłem się pochyłości, powiem ci, ale z jednym warunkiem. Ty, człowiek rozsądny, umiarkowany we wszystkim, coś mnie zawsze nazywał waryatem, gdyśmy jeszcze byli malcami obaj, wysłuchawszy mnie, pomyślisz może, że niewarto było zabijać się moralnie, wlec życie w poniżeniu, bratać się z biedakami, z których jednych nędzą, drugich próżniactwem, zapędziły na deski; może w duszy nazwiesz głupstwem to, co dla mnie stało się sprawą całego życia; może powiesz sobie, że powinien być uczuć pogardę tylko, a nie rozpacz... Przyjacielu! — dodał biorąc go za rękę — pomyśl sobie co chcesz, powiedz sobie w duchu, co ci się spodoba, ale głośno nie urągaj się tym popiołom, które w piersi mojej zostawił ów pożar, jaki przez nią przeszedł.

Karol uściskał przyjaciela, upewnił go o swojej przyjaźni i serdecznym udziale w tém wszystkim, co go tak boleśnie dotknęło, a Edmund, przeszedłszy się parę razy po pokoju, dla pokonania tych wzruszeń, co go opanowały, usiadł i tak mówił:

— Pamiętasz nasze marzenia szkolne, nasze wędrówki po zielonych łąkach, które wązką wstęgą przerzyna Bystrzyca, nasze rozmowy, gdy wracając z przechadzki przypatrywaliśmy się pięknemu miastu, jego zamkowi, jego wieżom i kościołom, gdzie nasza myśl pod-rastała wraz z ciałem, i poczuwała te skrzydła, co nas wysoko unieść miały? Piękne to były chwile, jak pięknym bywa ranek na wiosnę, jak piękną jest ta wiosna, jak piękną jest każda nadzieja. Przypomnij sobie, jakeśmy wierzyli w te wszystkie tęcze, co się tak cudnie na niebie naszym malowały! O! nie masz nic tak prawdziwego, nic tak obudzającego zupełną wiarę i ufność, jak nadzieje osiemnastoletnie. Ktoby nam był wówczas powiedział, że z tych kwiatów

nie będzie owocu, że ten złoty ranek zajdzie chmurnym i słotnym wieśmorem, byłby się nam wydał głupcem, nie znającym potęgi ludzkiej woli, zrzęda osowiałym, bluźniercą wreszcie, nie wierzącym w to natchnienie boże, które w sercach naszych było tak wyraźnym, tak szeroki i pełny dawało nam oddech. A jednak pierwszy krok w świat zaczynał podkopywać tę budowę, z tak pięknych złożoną przezroczy. Każde zetknięcie się z ludźmi odkrywało fałsz tej ułudy, i gdyśmy już byli w uniwersytecie, bojąc się, aby gmach ten nie runął do reszty, zamknęliśmy się z sobą, z naszemi projektami, i staraliśmy się całą siłą woli utrzymywać w dawnej wierze, od której unosił nas prąd życia i nasuwająca się jedna za drugą fala doświadczenia. Przepraszam cię, że z tak daleka zaczynam, ale twój widok przypomniał mi tę zwodniczą siejbę młodości, z której widzisz, co się urodziło. Gdybyś jeszcze był został ze mną, możeby to wszystko było inaczej; aleś ty mnie porzucił, a z twoim odjazdem, koniecznym, niestety! i za który obwinać cię nie mogę, odwrócił się zapewne ode mnie i ten Anioł-Stróż, co dotąd nad życiem mém czuwał. Egzamen drugo-kursowy skończyłem dobrze, ale gdy się zaczęły wakacje, im więcej miałem czasu, tém bardziej czułem się osamotnionym. Błąkałem się między pysznemi gmachami stolicy, jak w jakiej pustyni; do żadnej twarzy ludzi krążących po ulicach nie mogłem przyłgnąć ze współczuciem; Nawa, owa głęboka i groźna Nawa, zamknięta olbrzymią siłą w łożo z granitu, przestała do mnie mówić swym jednostajnym szumem; nawet słońce téj strefy gniewało mnie, że nie zachodziło, że nie miał nocy, coby przed oczami memi zakryła wszystkie roboty ludzkie, coby dała wypoczynek oczom, i rzuciwszy płaszcz swój na ziemię, pozwoliła myśli zagłębić się tam, gdzie się nic nie kończy i gdzie się nic nie zaczynało. Tyś zapewne nigdy takiego stanu nie doświadczał i doświadczać nie możesz; ale masz dosyć w sobie serca, dosyć imaginacyi, i gdy zechcesz, zrozumieć go potrafisz.

— Przypominam sobie twój list ostatni — rzekł Karol — zmarł on mnie i przestraszył. Odpisałem ci zaraz, aleś mi odpowiedział milczeniem.

— Bardzo prosta racya — odpowiedział Edmund — bom listu twego nie odebrał. Postanowiłem porzucić Petersburg i kończyć kursa swe w Moskwie. Chciałem poznać to serce Rossyi, potrzebowałem widoku innej ziemi, żyźniejszych pól, zieleńszych lasów, i słońca takiego, jak nasze, któreby lubiło wypocząć i nie kazało czuwać bez ustanku. Jaka okoliczność natchnęła mi tę myśl, już nie pomnę. Pamiętam tylko, że się jej pozbyć nie mogłem, wyperswadować sobie nie dałem, że czułem, iż mnie coś ciągnie, tak jak przepaść ciągnie ku sobie oczy i ciała tego, co w nią patrzy. Widać, że to było zrządzenie i wola Tego, który chciał, abym został tém, czém jestem. Ta droga z jednej stolicy do drugiej,

którą tyle tysięcy przejeżdża tak spokojnie, i z której 'tyle tysięcy wraca z taką samą głową, z takim samym sercem, była dla mnie owym najwyższym punktem, do którego życie dochodzi rosnąc i uzanaiając się. Od niej zaczyna się ta pochyłość, co mnie aż tu zsunęła.

— Biedaku! — rzekł Karol z melancholicznym uśmiechem — potrzebowałeś widzę paska, na którym cię dotąd przyjaźń moja prowadziła. Więc to pewnie jakiś przypadek, jakieś spotkanie...

— Przypadek! przypadek! — przerwał Edmund, potarłszy czoło i zagarnawszy swe włosy. — Nazywaj to jak chcesz, ale policz wszystkie powodzenia, wszystkie klęski, wszystkie tryumfy, czy ludów, czy ludzi pojedynczych takie, które wyrachował rozum i wykonała wola, i porównaj je z liczbą powodzeń i klęsk, które sprowadził tak nazwany przypadek, a obaczysz, czy można o tym tajemniczym olbrzymie, którego ręka niewidoma i niespodziewana wszędzie jest i cięży nad każdym, mówić z uśmiechem i ruszając ramionami, tak jak ty mówisz. Rzeczywiście był to traf, był przypadek, ponieważ tak rzecz tę nazywamy, i na pozór prosty i zwyczajny, ale w skutkach stanowczy. Zapisalem się na dyliżans prywatny. Dyliżanse te, jak wiesz, są to karety na cztery osoby, ale przegrodzone we środku tak, że dwie tylko siedzą razem, a o drugich dwóch nie wie się wcale. Osoby te siadają wedle numerów, jaki który opłaci. Ja miałem pierwszy numer. Gdym przyszedł z tłómczkiem swym na naznaczoną godzinę wyjazdu, zastałem w pokoju passażerskim trzy tylko kobiety. Zajrzałem do książki, dla dowiedzenia się, kto jedzie, i spostrzegłem, że to są towarzyski mojej podróży. Numer drugi miała jakaś Elena Iwanowna. Ciekawie, co łatwo pojdziesz w moim wieku, rzuciłem okiem po twarzach tych pań, i dochodziłem myślą, którą też przypadek mi zdarzy. Przysłuchiwałem się, czy która nie zostanie nazwana Eleną Iwanowną; ale wszystkie milczały. Jedna z nich była bardzo już stara, druga w średnim wieku, ale rysów grubych i ordynaryjnych; trzecia wysoka, kształtna i przesliczna brunetka, stała przed zwierciadłem, i podnosząc białe i pulchne rączki, odkrywając po łokieć ramiona cudnej formy, mszystym okryte puchem, nucąc piosnkę z jakiejś opery, przyczesywała krucze swe włosy i uśmiechała się do siebie, widząc się tak ładną. Po niej jakim czasie, czarne jej oko błysnęło ku mnie, ale odwróciła się prędko, i spojrzawszy na zegarek, nadąsała się, że się spóźniamy, i usiadła milcząc, jak inne. Nareszcie dał się słyszeć dzwonek; podróżne poszły śpiesznie; ja umyślnie zostałem ostatni, aby mój widok i pośpiech nie był powodem do jakich pomiędzy niemi układów, i aby już zastać towarzyszkę mą, jaką mi los zdarzy, w tej klatce, co nas do miejsca powieźć miała. Gdym się zbliżył i zajrzał... — rzekł Edmund, zmarzszył się, i zakrywszy twarz obiema rękami, umilkł.



— Zastałeś staruszkę — przerwał Karol.

Edmund powstał, popatrzył na niego surowo i dodał:

— Nie żartuj, Karolu, proszę cię! Ten stan, w jakim mnie widzisz, świadczy ci, że to jest rzecz bardzo seryo.

— Przepraszam cię, mój drogi! — zawołał młody człowiek i ścisnął z uczuciem rękę aktora, który usiadł i tak dalej mówił:

— Gdym zajrzał, obaczyłem wyteżone na mnie czarne i błyszczące oczy młodej kobiety. Wtedy zadrżałem w głębi duszy i taki mnie strach ogarnął, jak gdyby potwór jaki zgrzytnął do mnie zębami. Cofnąłem się więc, czoło się moje zachmurzyło, zacząłem się wahać, czy wsiąść lub nie, i już przychodziło mi na myśl zamknąć drzwiczki i wrócić nazad do tego pokoiku, gdzieśmy dwa lata przebyli razem tak cicho, tak spokojnie. Wtedy Elena Iwanowna wpół żartem, wpół z gniewem rzekła: — Siadaj-że pan, kiedy masz siadać! I tak straciłszy już z godzinę, a tam mąż mój wygląda mnie od tygodnia. — Nie wiem, dla czego ten wyraz: mąż, uspokoił mnie, i niebezpieczeństwo wydało mi się mniejszém. Usiadłem więc z poważnym wyrazem twarzy i z mocnym postanowieniem nie dania najmniejszego powodu do grzechu, nie korzystania z wypadku, który dla innego wydałby się wielkim losem, wygranym na loteryi życia. Parę mil przejechaliśmy milcząc; potem zaczęła się rozmowa zwyczajna i obojętna, z której ja dowiedziałem się, że ona jest aktorką z Moskiewskiego teatru, a ona, że jestem studentem i jadę kończyć mój kurs do Moskwy. Stopniami rozmowa stawała się poufalszą, noc chłodna i wilgotna zrobiła ją trwożliwszą, i bardziej potrzebującą mojej opieki, a mnie czyniła śmielszym i troskliwszym. Zamykałem więc okna, okrywałem ją, i cóż dziwnego? — dodał powstając i chodząc po pokoju. — Na cztery dni i pięć nocy los szalony zamknął dwudziesto-trzyletniego studenta z dwudziestoletnią piękną aktorką, i co się stać miało, stało się. Zapomniałem o wszystkiém, co było, nie myślałem o tém, co będzie, i zdawało mi się, że dopiero żyć zaczął. Po przybyciu naszym do Moskwy, stosunek nasz nie zerwał się wcale. Owszem, przywiązałem się do niej całą młodzieńczą siłą, i zdawało mi się, że bez niej żyć i oddychać nie będę. Poznałem się z jej mężem, zaprzyjaźniłem się z nim; dla jej miłości wszedłem i wcieliłem się zupełnie w tę kompanię aktorską, piłem z niemi, marnowałem czas i zdrowie, i tam nawyklełem do tego życia, gdzie dusza równie wagabunduje jak ciało, które mnie dziś nie razi, które polubiłem, mimo jego nędzy i ponizenia, i w którym szukałem czy ulgi, czy dobicia się, gdy rozpacz i wzgarda dla waszego świata zajrzała do mego serca. Pod koniec roku, w ciągu którego częściej bywałem za kulisami, niż na prelekcjach, mąż Eleny Iwanowny przyszedł raz pijany do domu, kiedyśmy się go nie spodziewali. Uderzył mnie, i jej o mało nie zabił. Sil-

niejszy od tego głupca, co przez cały rok nie wiedział o tém, o czém wszyscy w teatrze wiedzieli, oburzony własną obrazą i jój krzywdą i jęczeniem, zacząłem go tak mordować, że się zbiegli sąsiedzi; zawołano policyę i zaprowadzono mnie do aresztu. Gdy rzecz doszła do rady uniwersytetu, kazano mi opuścić szkołę i Moskwę. Tak ukończyłem moje studia, tak się zbiegły w nic te wszystkie plany mojej młodości, taki kierunek wzięła owa powietrzna droga, co nas miała wnieść do czarownego pałacu naszych nadziei!

Edmund umilkł znowu, a przyjaciel jego, zasmucony do głębi duszy, zaczął się przechadzać po pokoju, nie przerywając tego zamyślenia, w jakim się młody aktor pograżył.

Po chwili, Edmund podniósł głowę i rzekł:

— Czy chcesz słuchać dalej?

— Czy chcę? — odpowiedział Karol, jakby z wymówką — wszak to musi być dopiero połowa tego dramatu, w którym tak smutną odegrałeś rolę.

— To połowa — rzekł Edmund — w której sponiewierało się ciało i obyczaje. Teraz następuje druga, w której ręka piękniejsza od tamtej, odebrała duszy mojej ten przyzmat, przez który jeszcze patrzyła na świat, i złamała do reszty nadwichnięte już skrzydła mojego ducha. Trzy lata temu powróciłem w Lubelskie. Zastałem matkę chorą, zmizerowaną i zadłużoną. Wszystko co miała, poszło dla mnie, w tej nadziei, że wyjdę na człowieka, będę miał naukę, stan, i podam rękę tej, co już sama sobie radzić nie mogła. Biedna kobieta zawiodła się na mnie tak, jak ja sam zawiodłem się na siebie. Niedługo jednak piła tę gorycz, jaką jój dał widok syna, do którego wszystkie przywiązała swoje nadzieje, a który nie ziścił żadnej. Moja matka umarła; folwarczek jój sprzedałem, zapłaciłem wierzycieli, a mnie zostało tysiąc kilkaset złotych do dalszej karyery. Sumka ta nie na długo wystarczyć mi mogła, tém bardziej, że niejeden złoty przepadł w winiarni, do której ciągnął mnie już jakiś niepokój, który przywykłem uciszać trunkiem. Oporządziłem się jednak cokolwiek, a nie chcąc się udawać do wuja, o którym miałem wyobrażenie, że dziwak i skąpiec, zacząłem się oglądać za zajęciem, któreby mi dało choć tymczasowe utrzymanie. Byli jeszcze niektórzy z dawnych profesorów naszych w Lublinie. Jeden z nich wezwał mnie raz do siebie i zaproponował, czybym się nie podjął edukacji dwunastoletniego chłopczyka na wsi, niedaleko od Lublina, w domu bardzo zacnym, którego gospodyni i jój córka są wzorami pobożności i wszelkich cnót, jakie dawniej nasze matrony zdobyły. Przyjąłem, nie pytając nawet o warunki, nie dla tego tak chętnie i skwapliwie, zem nie miał co jeść, ale dla tego, zem potrzebował widoku ludzi dobrze wychowanych, ludzi moralnych i pobożnych, aby się od-

nowić, oczyścić duchem, wrócić może do dawnych rojeń, dawnych nadziei, i obmyć się ze wszystkich plam, jakie na mojem ciele i umyśle zostawił rok rozpusty i wszelkiego wyuzdania. Poczciwy matematyk, który znał moje zdolności, widział rozwinięcie i ukształcenie, jakie mi dał pobyt w uniwersytecie, który dobrodusznie uwierzył improwizowanej przyczynie, dla której fakultetu skończyć nie mogłem, napisał za mną list, jakby za własnym synem. We trzy dni potem obaczyłem się w domu obywatelskim, który, tak urządzeniem wewnętrznym, jak i formami domowego pożycia, okazywał, że gospodyni jego więcej myślała o Bogu i kościele, niż o świecie. Widać było wprawdzie, że jest dostatek, ale widać było także, że się rachowano. Przyjęto mnie poważnie, z wielką grzecznością, ale spostrzegłem od razu, że chciano zbadać, jakim jestem katolikiem, i czy nie dam z siebie komubądź jakiego zgorzenia. Przybyłem w sobotę w wieczór; nazajutrz w niedzielę przyszedł do mnie rano służący, oznajmując, że panie już są w kościele, i że pani życzy sobie, abym i ja przyszedł. Kościółek był to niewielki, wiejski, ale wszędzie widać było, że każdy jego zakątek ubierały pracą rąk własnych. Wszędzie antepedia, poduszki, ornat kapłana i inne ozdoby były haftowane, nowe i bogate. Przed wielkim ołtarzem stała skromna ławka dla matki i córki. Ale matka klęczała całą mszę, modliła się gorąco, nie spuszczała oka z obrazu Zbawiciela i z kapłana, a córka, która klęczała także i miała ręce ciągle złożone, kilka razy rzuciła okiem na kościół, póki nie spostrzegła, że ja to widzę, i że nawzajem z niej oczu nie spuszczam. Ach! bo i było na co patrzeć, kochany Karolu! — zawołał Edmund podnosząc się, i przesunawszy rękę po oczach, zdawał się zgartywać i odsuwać z nich ten obraz, który z serca jego ustąpić nie chciał. Potem siadając, dodał: — Wprzód jednak powiem ci o matce. Była to kobieta już czterdziesto-kilkoletnia, ale jeszcze tak piękna, że zdawała się siostrą swój córki, o kilka lat od niej starszą. Ubierała się z wielkim gustem, ale odpowiednio swojemu wiekowi; na czole jój były zawsze spokój i pogoda, odbijające się z zewnątrz; na ustach uśmiech dobroci i uprzejmości; oczy patrzyły łagodnie, czasem schylały się ku ziemi, a głos tak był urobiony, tak melodyjny, że niepodobna jój było słuchać obojętnie. Widząc jój postępowanie z otaczającymi ją ludźmi, widząc tę cześć, jaką ją otaczali wszyscy sąsiedzi, słuchając jój rozmów o tém, co się działo w okolicy, jak każdy postępek tłómaczyła, jak wszystko widziała z dobrej strony, jak z pobłażliwością chrześcijańską sądziła tych, których inni potępiali, byłem od razu ujęty, i poczułem mimowolne dla niej uszanowanie. Pobożność jój, zbyt może jawna, raziła mnie z początku, jak razi każde otwarte i szczerze serce wszelkie podejrzenie o hypokryzją; ale przekonawszy się później, że modlitwa była potrzebą jój duszy, że poddanie się

przepisom Kościoła, wykonywanie wszystkich praktyk pobożności, były jej głębokiem przekonaniem i łączyły się ze szczerem podniesieniem ducha; że nie zawsze potrzebowała oka ludzkiego, bom ją często spotykał samotną, na kolanach przede drzwiami kościoła, lub w ogrodzie przed krzyżem zawieszonym na drzewie, przed posągami Matki Boskiej, który gęste osłaniały zarośla; widząc jej dobroczynność dla biednych, cichą, stateczną, niezmordowaną, przejąłem się dla niej taką czcią, że po kilkunastu tygodniach pobytu w jej domu, ze schyleniem młodziej głowy, z upokorzeniem rozbujającej myśli, zbliżałem się do niej, szukałem jej towarzystwa, jej rozmowy, modliłem się gorąco i szczerze wtedy, gdy ona się modliła, aby moja prośba mogła się połączyć z jej prośbą, bom był pewny, że tak dojdzie tam, gdzie duch mój, oczyszczający się jej widokiem, zaczynał się podnosić i ulatywać. O! jeszcze dziś — dodał z zapalem — w mym upadku i poniżeniu, gdyby nie była matką swjej córki, poszedłbym do niej, rzuciłbym się jej do nóg i wołałbym: — święta kobieto! ratuj mnie i podnieś!

Łzy potoczyły się strumieniem z ócz nieszczęśliwego młodzieńca, a Karol przystąpił do niego, ujął obiema rękami tę piękną i skołataną głowę, i przycisnąwszy do swoich piersi, tulił, jak kochająca nianka tuli dziecię rozżalone. Gdy się cokolwiek uspokoił, i Karol usiadł na dawnym miejscu, tak dalej mówił:

— Dla czego pod sercem tak wylaném, tak kochającym Boga i ludzi, zaczęło uderzać serce tak pełne obłudy i egoizmu; jakim sposobem pod okiem matki, na której piękném obliczu jest czystość i prawda, wychowała się kokietka zimna, rachująca, co oszukuje Boga modlitwą, a ludzi postacią, wejrzeniem i głosem anioła, to należy do owych zjawisk, którym niejednen pedagog zaprzeczy, a o których prawdzie i egzystencji świadczą moje łachmany. Łatwo pojdziesz, iż ja, z namiętném sercem, z płonąca głową, z okiem szukającym bóstwa, coby mnie sprowadziło z tej drogi potępienia, na której już tak daleko zaszedłem, dałem się także oszukać. Olsniony jej pięknoscią, widząc w niej wszystkie cnoty matki, której jest wierną kopią; oczarowany tym wdziękiem, jaki towarzyszy każdemu jej ruchowi, tą poważną dobrocią i współczuciem, jakie mi okazywać zaczęła, gdy poznała moje osamotnienie, moje odczarowanie i stratę złotych mar młodości; wabiony do rozmów poufanych, w których, jako starsza odmnie, przybierała ton doświadczonej przyjaciółki, podnosiła myśli moje, ukrzepiała duszę... zaprzedałem jej tę duszę bezwzruszająco, pokochałem ją tą miłością świętą, nieskażoną żadnym popędem ciała, jaką młodzieniec, czujący, że może i powinno być niebo na ziemi, kocha w wybranej przez siebie kobiecie obraz wcielony tego wszystkiego, co piękne, wielkie i nie-

śmiertelne. Tak przeżyłem szczęśliwy kilka miesięcy. Przez cały ten czas nie śmiałem dotknąć żadnej z tych rzeczy, które ona dotykała, nie śmiałem zbliżyć się, aby słowa, które z ust jej wychodziły, nie padły na twarz moją wraz z jej oddechem; nie śmiałem zajrzeć w to oko ciemne, wyraziste, które spuszczała tak pokornie przy obcych, którym patrzyła tak słodko na tych, co ją otaczali, którym czasem starała się przeniknąć do głębi mojej duszy, jakby szukając, czy tam już jest ten płomień, który jeszcze rozdmuchać chciała. Wejście takie dawało mi zawrót głowy, a ta myśl, że ona zrozumie stan mego serca, że mnie może pokocha taką samą miłością, jaką podnosiła i uszczęśliwiała moje piersi, dawała mi uniesienia, z którymi uciekałem, aby ich żadne nie skalało oko, które wtedy dopiero, gdy był sam, wyrwały się na jaw w łzach rozkoszy i w gorącej do Boga modlitwie.

Raz był bal w sąsiedztwie. Chciałem zostać w domu; dała mi poznać, że będą wracać późno, same, że droga zła i lesista, że się boją. Pojechałem więc. Pierwszy raz wówczas widziałem ją wystrojoną. Jeżeli już kochał, choć po swojemu, z umiarkowaniem, to domyślisz się, jakim okiem patrzyłem na nią, kiedy strój podwoił jej piękność, kiedy i ciało na widok tych powabów ozwało się ze swemi prawami, kiedy podziwienie, jakie obudziła, zlało się niejako zewsząd do mojej duszy, i ogarnęło ją miłością, pomnożoną całym tym obcym zapasem żądy i uwielbienia. Wśród zabiegów, jakimi ją otoczono, nie zapomniała o mnie. Widziałem od początku, że spogląda, gdzie jestem i czy ją widzę. Czasem słodki jej uśmiech dolatywał aż tam, gdzie stałem, czasem takie samo spojrzenie, o jakim mówiłem ci, przenikało mnie i palić zaczynało. Raz przystąpiła do mnie, i kładąc rękę, w której były wachlarz i chusteczka, na cudnym swym gorsie, jakby go przed moim okiem zakryć chciała, rzekła słodko: — Czy widzisz pan, co się ze mną robi? to niedobrze; takie uciechy, to nie dla mnie. Chciałabym już być w domu, gdzie nam tak miło. Tyle razy słyszałeś pan odemnie kazanie: strzeż-że mnie teraz, i powiedz mi jutro, czy nie za nadto oddaję się tym marnościom świata. Niestety! idzie już mój kawaler; potrzymaj pan mój wachlarz i chusteczkę... — I oddała mi wachlarz i chusteczkę, które leżały na jej obnażonych piersiach. Teraz widzę dobrze, że to była najprostsza kokieteria, i osmielenie, abym jej nie spuszczał z oka, abym się rozmiłował w tych wdziękach, którymi tak hojnie uposażyła ją natura. Wówczas to tylko przyszło mi do głowy, że anioł zdaje się zstępować ku mnie, i szczęście moje było równie nieograniczonem, jak ta miłość, która zalewała moje piersi. Gdysmy wracali do domu, noc była ciemna i karetą szła wolno i cicho po piasku. Ona nachyliła się cokolwiek ku mnie i rzekła cicho: —

Biedna mama! sfatygowała się i usnęła. — Ja nie śmiałem odpowiedzieć, nie śmiałem się poruszyć, nie śmiałem przypuścić, żeby to była zaczepka. Wtedy ona dodała jeszcze ciszej: — oddaj mi pan wachlarz. — Wyciągnąłem więc rękę, w której był wachlarz tylko, a chusteczka została na moich piersiach. Ona brała go nie biorąc, ręką obnażoną z rękawiczki, której dotknąłem drżący, trzymałem bez oporu, przyciągnąłem do ust, i kilka łez upadło z moich oczu. Wtedy cofnęła rękę, cofnęła się sama, ale o chusteczkę nie upominała się wcale. Nazajutrz spacerowaliśmy wieczorem sami prawie po ogrodzie; mój malec upędzał się za wróblami, które strzelał z małej fuzyjki, a my, chodząc obok siebie, rozmawialiśmy o wczorajszym wieczorze: o tym niesmaku i fatydze duszy, jaką nabawia każde takie oddanie się tym mniemanym rozrywkom, gdzie tylko próżność znajduje zaspokojenie; jak nisko stoją zwłaszcza kobiety, które o niczem inném nie myślą; jak trudno wyłamać się z tych ciężkich obowiązków, jakie nakłada sąsiedztwo, stosunki towarzyskie i t. d. Wtedy ona, jakby z niechcenia, podniosła na mnie oczy i zapytała z uśmiechem: — A moja chusteczka? — Zacerwieniłem się, skłamałem, że ją musiał upuścić, podając matce jej salopę. Nic mi na to nie odpowiedziała, ale zamiast gniewu, zamiast wymówki, popatrzawszy na mnie znowu z takim wyrazem dobroci i jakby żalu, że mi się łzy w oczach zakręciły, rzekła stłumionym głosem: — Podaj mi pan rękę. — I tak szliśmy blisko siebie, krętą i zarosłą uliczką; ręka jej leżała na mojem ramieniu, głowa pochylała się ku mnie, a słowa jej, gdy mówiła, słodkiem owiewały mnie tchnieniem. Nie powtórzę ci tych słów, choćby warto, tak stuczna w nich była trucizna. Powiem ci tylko, że mówiła o mnie, o mojem położeniu, że w głosie jej i wyrazach była troskliwość opiekunki, była tkliwość przyjaciółki, a czasem zapal szlachetnej kochanki, któraby rada widzieć tego, którego ukochała, wysoko mocnym, wierzącym w swoją przyszłość, uskrzydłym do wzniesłego lotu, coby ją napęlił dumą i podwoił jej przywiązanie. Gdy usiadła, a ja odurzony upadłem jej do nóg, i wyciągnąłem do niej ręce, położyła dłoń swą na mojem czole, i rzekła: — Głowa panu płonie; to nie dobrze, rozejdźmy się. Pisz pan wszystko, co czujesz i myślisz. Pisz z wylaniem, wyświadcaj się z całą swą duszą. — Dla kogóż to? zapytałem. — Dla mnie — wymówiła jakby tłumiąc płacz, co ją opanowywał; podała mi obie ręce, które okryłem pocałowaniem... i uciekła... I to wszystko, uważaj dobrze — zawołał Edmund, zrywając się z miejsca — to wszystko był fałsz, udanie, komedia, aktorstwo. O! nie powiem ci, jakie zdarzenie otworzyło mi oczy, jak przekonałem się, że to zimna kokietka, która na mnie siłą swych próbowała; nie wymagaj odemnie, abym ci teraz powtórzył, z jakim upokorzeniem zrzuciła

mnie z mojego nieba, z jakim śmiechem ironii i wzgardy zdeptała całą świętość mojej miłości! To wspomnienie rozdarłoby moje piersi! Może kiedyś, później, jeżeli jeszcze spotkamy się w życiu, opowiem ci te szczegóły. Na dziś dosyć. Bądź zdrow, Kochany Karolu! Pójdę się przejść, trzeba mi powietrza, trzeba szerokiego pola, żebym odetchnął.

— Jakto? więc nie obaczymy się? — zapytał młody obywatel.

— Tym razem zapewne nie — odpowiedział Edmund. — Jedź w swoją drogę, poczywy Karolu. Ale napisz do mnie do Kielc. Nazywam się teraz Edmund Fabrycy.

Karol ścisnął jego rękę, patrzył długo na zmienioną twarz pięknego młodzieńca, potem dodał:

— Słuchaj Edmundzie! jesteś goły, nie masz odzienia; kto wie, jak się wam powiedzie w Kielcach? Nie obrażaj się, ale weź od przyjaciela młodości, co ci udzielić może.

— Dziękuję ci — odpowiedział Edmund, spuścił oczy, ścisnął rękę Karola, i wzięwszy rulonik z kilkunastu dukatami, wyszedł pędkiem.

Karol kazał sprzątnąć swoje łóżko, mieć konie ubrane, a sam, głęboko zmartwiony losem i położeniem młodego człowieka, o którego głowie i sercu miał zawsze tak wysokie wyobrażenie, poszedł także przejść się, i medytował nad środkami wydobycia go z téj biedy, i wyszukania mu innej kariery. W takich myślach doszedł prawie aż do klasztoru Cystersów, i tam zatrzymawszy się, patrzył ze smutkiem na tę drugą ruinę, na wspaniałe dzieło wieków, oddane na pastwę mniemanéj filozofii i przeznaczone na zniszczenie. Gdy po dwugodzinnéj przechadzce wrócił do oberży, usłyszał z sieni w mieszkaniu aktorów huczne śmiechy, wesołe wysławiania, tupanie nogami, brzęk butelek i szklanek. Zdziwiony młody człowiek, otworzył drzwi, wszedł do izby, i obaczył widok, który mu ścisnął serce.

Na stole stało kilkanaście butelek. Stary Kufel z dwoma innymi siedział zarumieniony, z najeżoną siwą głową, i trzymając w jednej ręce pełną szlankę, drugą bił takt po stole. Pierwsza kochanka siedziała z lewej strony, z kieliszkiem w ręku, inne kobiety to na kanapie, to na krzesłach, a młodzi aktorowie byli przy nich, to uderzając swoją szlanką o ich kieliszki, to mizdrząc się do nich, to śmiejąc się i hałasując na całe gardło. Edmund, z rozpiętym surdudem, bez chustki, z rozrzuconą koszulą, tak, że całą potężną jego pierś było widać, stał na środku pijany, potrząsał głową, i kazawszy sobie nalać pełną szlankę, zawołał pełnym głosem: — Do broni wszyscy! niech każdy ma wino w ręku i wesołość w sercu. Pał diabli wszystkie troski! Kto głupi niech się smuci i myśli o jutrze, a wy pijcie

i powtarzajcie ze mną ostatni wiersz każdej strofy! — Potém, zatóczywszy się parę razy, ustawił się jakoś mocniej na nogach, wyciągnął prawą rękę, w której była szklanka, lewą zagarnął swe kędziory, i pięknym głosem i dobrą metodą zaśpiewał pieśń, zapewne własną swęj kompozycyi. Ostatni wiersz każdej strofy powtarzali wszyscy chórem, a pierwszą strofę na końcu, jako zwrotkę, cała kompania w uniesieniu po dwakroć śpiewała. Słowa były następane :

## 1.

Czyście zacni, czyście franci,  
Szlanka w szklankę, toast wznieść!  
Niechaj żyją komedjanci,  
I komparsy i amanci!  
Cześć kulisom! deskom cześć!

CHÓR. Cześć kulisom! deskom cześć!

## 2.

Wszędzie maski i obłuda,  
Cóż jest życie? — istna gra;  
Ten łże cnotę, a ten cuda,  
Każdy myśli, że się uda,  
I komedya ciągle trwa!

CHÓR. I komedya ciągle trwa

## 3.

Farsą jest politowanie,  
Równie jak rumieniec dam;  
Farsą mężów przywiązanie,  
Farsą żon nadszkakiwanie;  
Świat się sceną nazwał sam!

CHÓR. Świat się sceną nazwał sam!

## 4.

Lecz gdy tamten cudze traci,  
Ta sprzedaje się za strój;  
Ten ukłonem długi płaci,  
Inny krzywdzi siostry, braci,  
By podwoić spadek swój, —

CHÓR. By podwoić spadek swój, —

## 5.

Kiedy magnat nos zadziera,  
Gdy się wychrztą w koczu dmie,  
Gdy żyd z lichwy krocie zbiera,



Panna kradnie kawalera,  
 My widzimy wszystko złe  
 CHÓR. My widzimy wszystko złe!

6.

I wnet, co się skrycie dzieje,  
 Błyska wśród płóciennych ścian,  
 A choć w duchu kto truchleje.  
 Każdy z siebie się naśmieje,  
 Bo zwierciadłem jest nasz stan!  
 CHÓR. Bo zwierciadłem jest nasz stan!

7.

Prawda, goliśmy za katy,  
 Często cierpim chłód i głód,  
 Lecz uczciwe nasze łaty;  
 Dla żydostwa są dukaty,  
 A oklaski za nasz trud!  
 CHÓR. A oklaski za nasz trud!

8.

Więc, czy zacni, czyście franci,  
 Szklanka w szklankę, toast wzniesić!  
 Niechaj żyją komedjanci,  
 I komparsy i amanci!  
 Cześć kulisom, deskom cześć!

Gdy chór powtórzył tę strofę i wszyscy wychylili znowu po szklance i ścisnąć się zaczęli, Edmund obrócił się ku drzwiom, i spostrzegł Karola, który stał osłupiały i zaledwie oczom swym wierzył.

— Pójdź tu, Karolku, do nas! — zawołał wówczas aktor — zabaw się z nami. Choć to za twoje pieniądze, ale niech je piorun trzaśnie! na to są okrągłe, aby się toczyły. Słyszałeś jedną piosnkę; to pieśń głupia, bo moja. On ci zaśpiewa inną. Jego lepsza, bo to błazen, co ma rozum. Dalej, Kuflu! ozwij się dla Karolka; to chłopiec jedyny i mój przyjaciel. Kiedyś, przed laty, byliśmy młodzi obaj i kochaliśmy się serdecznie; razem patrzyliśmy na wschód słońca i na zielone listki brzoźowych lasów. Teraz... ale co tam! bierz djabli co było! co jest, to nasze. Chodź, Karolku! a nie mów, żeś lajdak i pijak; patrz, jeszcze trzymam się na nogach i dojdę do ciebie.

I postąpiwszy parę kroków, zatoczył się i upadł na kolana przy nogach prima donny. Wszyscy na głos się zaśmieli, a Edmund, wsparty na niej oburękami, wołał:

— Piękna księżniczko! masz jakiś wagnes, co mię do nóg twoich

przyciąga. O! jeżeli mnie kochasz, prosz tego zacnego młodzieńca, żeby się zbliżył i z nami zabawił. Co, nie chce? To niech sobie idzie do diabła! obejdzimy się bez niego. Księżniczko, pocałuj mnie!

I zarzuciwszy rękę na szyję dziewczyny, przyciągnął jęj twarz ku sobie i na dobre całować się zaczęli.

Karol odwrócił się ze wstrętem od tego obrazu, uciekł, zatrzasnął drzwi, kazał co prędzej zaprzęgać i za sobą jechać, a sam poszedł naprzód piechotą.

Gdy się ujrzał za miastem, na czystém polu, usiadł na kamieniach nad drogą, załamał ręce i dwa strumienie łez, łez czystych i świętych, bo łez żalu za przyjaźnią szkolną, za wspomnieniami młodości, za wszystkimi nadziejami tego złotego wieku życia, popłynęły po jego twarzy.

## V.

Pan Tomasz po owym wieczorze, który staraliśmy się opisać, zabawiał jeszcze tydzień w Warszawie. Nie mógł on odmówić licznym zaproszeniom, któremi znajomi i przyjaciele prezesowej, chcąc jęj odplacić za tę serdeczność, z jaką ich zawsze w domu swoim przyjmowała, fetowali z kolei piękną jęj siostrzenicę. Na dwóch takich wieczorach znajdował się i hrabia Franciszek z towarzyszem swym, panem Sroczyńskim, który tylko tyle wymógł na przyjacielu, że później od innych przychodził i wychodził wcześniej od wszystkich. Ale to kompromitowanie się wielkiego pana po domach szlachty i urzędników, nie uszło oka szambelanowej. Ze złośliwą uciechą przywiązała się ona do pani Tomaszowej, jak jęj cień, nie odstępowała jęj na krok, prześladowając ją swoją admiracją, i rzucając kiedy niekiedy szydercze spojrzenie na hrabiego, którego to tak niecierpliwilo, że już więcej nie przyszedł. Szambelanowa widziała to dobrze, że nieobecność ta zmieniała humor młodej kobiety, że na twarzy jęj było ciągle oczekiwanie, że choć słodko mówiła ze wszystkimi, za każdym jednak otwarciem drzwi wchodowych, oczy jęj zwracały się w tę stronę, i jakieś poruszenie brwi i ust okazywało jęj nieukontentowanie i jakby zawód. Zanotowała to sobie dobrze bystra spostrzegaczka cudzych grzechów i ułomności, ale choć ją świerzbiał język, nie dała tego poznać co widzi, ani mężowi, ani żonie, i zostawiła spostrzeżenie swe do dalszego użytku.

Po dwóch dniach drogi, przybyli małżonkowie do Kielc dość rano, z kąd już pan Tomasz swojemi końmi, którym tu przyjść kazał, u dać się miał do domu. Ale koni nie zastał, gdyż o kilkanaście godzin wprzód wyjechał z Warszawy, niż się spodziewał; postanowił

więc wypocząć w Kielcach, a choć to była niedziela, dowiedzieć się o stanie niektórych interesów, jakie miał w Rządzie gubernialnym, pokazać żonie piękną kielecką kollegiatę, zamek biskupów, Karczówkę z klasztorem, tak malowniczo położonym, i przenocowawszy, nazajutrz dopiero wrócić do domu. Odgłos o piękności pani Łuniewickiej doszedł już do Kielc z Warszawy, gdzie właśnie jeden z radców gubernialnych znajdował się w czasie jej pobytu, widział ją parę razy w teatrze i na jednym z wieczorów na cześć jej danych, a wróciwszy do domu, cuda rozpowiadał o nowej obywatelce gubernii kieleckiej. Gdy się więc rozeszło po mieście, że przyjechała, i cały dzień zostanie, ścigali ją ciekawi i szli za nią wszędzie, gdzie się obróciła. W czasie summy, a szczególnie na nieszporach, w kościele, nie tak zapchanym pobożnym ludem, wszyscy przypatrywali się z podziwieniem jej postaci i twarzy, a ze zbudowaniem tej pobożności, z jaką nie tała się wcale, modląc się cały czas na kolanach, ze złożonymi rękami, całując obrazki, które miała w swej książce, i schylając się pokornie do ziemi, do której przykładła piękne swe usta. Po skończonych nieszporach, gdy wychodzili z kościoła bocznymi drzwiami naprzeciw dzwonnicy, wielu jeszcze przypatrywało się jej mężczyźni. Hieronima wydobyła woreczek, i wszystkim ubogim z kolei rozdawać zaczęła jałmużnę, rzucając okiem zniechęca, czy są spektatorowie.

Właśnie w tym momencie, gdy się tak obejrzała, za szeregiem widzów dał się słyszeć głośny i szyderczy śmiech, na który i ona się wstrzęsła i inni się obejrzel. Ale nikt nie dostrzegł, z czyich ust wyszedł ten jakby znak niedowierzania w szczerść jej miłosierdzia; widziano tylko, że jakiś wysoki mężczyzna, w czapce aksamitnej, przykrywającej gęste jego włosy, w wytartym surducie, poszedł szybko po za dzwonicę. Choć niejeden był obrażony takim brutalstwem, a pan Tomasz więc jak inni, że ów mężczyzna miał minę wcale niepoczesną przez ubranie, jakie go odziewało, osadzili więc człowieka z sukni, wzięli go za jakiegoś wędrownego szubrawca, i wypadek ten wkrótce zapomnianym został.

Ponieważ pan Łuniewicki, tak z interesu, jak i z grzeczności, jeszcze przed południem oddał wizytę celniejszym urzędnikom, wszyscy tedy po nieszporach zeszli się do niego, i w pokoju jego bawialnym znalazło się dosyć gości, między którymi gubernator i najpierwsze w mieście osoby. Wtedy pan Dyonizy, antreprenier teatru, nie zaniedbujący hotelów, korzystając z bytności przyjezdnych, a nade wszystko wiedząc, jako doświadczony dyplomata, że, jak się publiczność dowie, iż tak znakomita piękność będzie w teatrze, zbiegnie się hurmem, chętniej może niż na widok zachęcającego afiszu i wszystkich jego ponętnych obietnic, wszedł z pokorą i głębokimi ukłonami, i obracając się do obecnych, rzekł :

— Jasnie wielmożni panowie! jestem antreprenierem świeżo przybyłego tu teatru; miałem honor się już przedstawić jasnie wielmożnemu gubernatorowi, który raczy poświadczyć o mojej gorliwości, jako pan łaskawy i protektor sztuki. A mam znakomite talenta i staram się *ridendo*, to jest, mówiąc po polsku, śmiejąc się i bawiąc, sprawić przyjemność światłej publiczności. Ale przed kimże śmiać się będziemy i rozwijać nasze usiłowania, jeśli łaskawa publiczność będzie niełaskawą? Bez publiczności każdy antreprenier jest, jak ryba bez wody; każda sztuka jest to głos wołającego na puszczy, każdy talent jest to piękność wystrojona w pustym pokoju, gdzie na nią nikt nie patrzy. A jeżeli....

Pan Tomasz, widząc, że się zanosi na długą oracyę, przerwał tę mowę pana Dyonizego, zapytując:

— O cóż tedy idzie, panie antreprenierze?

— Łoże, jasnie wielmożny panie, łoże! — rzekł pan Dyonizy, trzymając w ręku paczkę biletów — to rzecz kardynalna, to źródło naszego dochodu, to podnieta naszej energii. Jeżeli łoże są puste, nie ma zapału w krzesłach, chłód i zimno wieje na całą publiczność z próżnych siedlisk piękności; oklaski, które są dla nas chlebem powszednim, na którym nieraz przestawać musimy, nie lecą jak grad na scenę, jeżeli w łożach nie błyszczą piękne oczy, jeżeli z nich nie pada na publiczność męzką ten uśmiech, który podnieca wszelką odwagę. Wielka to prawda, szanowi panowie! że piękne panie — dodał obracając się do pani Tomaszowej — są zawsze i wszędzie wszystkiem. I gdyby na placu boju były łoże, przyznacie panowie, że każda bitwa byłaby pewnie wygrana. Otóż dla tego ja, chudy antreprenier....

Wszyscy śmiać się zaczęli, patrząc na brzuch pana Dyonizego, a pan Tomasz, spojrzawszy na żonę, i widząc, że kiwa głową odmownie, rzekł:

— Łożę mogę zapłacić, panie antreprenierze, ale podaruj ją komu innemu, lub sprzedaj powtórnie, gdyż trudno nam dziś widzieć te pańskie talenta. Jesteśmy w drodze i sfatygowani.

— O! jasnie wielmożny panie! — odpowiedział wówczas pan Dyonizy z polityką, gdyż mu więcej szło o obecność pani Tomaszowej, niż o dochód nawet podwójny z jednej łoży — nie o to mi idzie, aby łoża była zapłaconą, jeżeli ma być pustą. To pierwsze przedstawienie, to wstęp przed publicznością tutejszą moich utalentowanych aktorów. Jeżeli dziś będą pełne łoże, będzie i teatr pełnym, a jeżeli teatr będzie pełnym, wtedy powiem sobie: wygrałem! i moi wierzyciele w Busku połączą swój oklask z tym, jaki tu otrzymać spodziewam się. Inaczej, sztuka dramatyczna będzie musiała paść cielecia i dość krowy u jakiego żyda pachciarza.

Gubernator i wszyscy obecni, śmiejąc się z biedy antrepreniera,

zaczęli prosić panią Łuniewicką, aby wraz z niemi podała rękę sztuce dramatycznej, zagrożonej tak niskiem zajęciem. Rozebrali więc łożę; pan Tomasz zapłacił za swoją, i pani Tomaszowa, uśmiechnąwszy się słodko, przyrzekła, że będzie.

Uradowany pan Dyonizy, stoczył się jak bomba ze schodów, wybiegł na ulicę, i kogo tylko spotkał ze swoich znajomych, a miał ich już dosyć, każdemu mówił, że już ani jednej łoży nie ma do wzięcia, że będzie gubernator, wszyscy radcy, wszyscy naczelnicy, a w numerze pierwszym od sceny będzie owa piękność, jakiej jeszcze w Kielcach nie widziano. Ten, komu antreprenier zwiastował tę nowinę, udzielił jej swoim znajomym, ci znowu swoim; wszyscy panowie, którzy się znajdowali u pana Tomasza, ze swęj strony starali się uwiadomić tych, co mogli i powinni byli być w teatrze, kiedy miał być gubernator i najpierwsze osoby, które zrobiły postanowienie dopomódz panu Dyonizemu, co ich zabawił; panie, dowiedziawszy się od swych mężów, że będzie ta, o której wszyscy mężczyźni nagadać się nie mogą, zaczęły posłać po łożę i krzesła, rzuciły się do swoich pudełek i kartonów, pewne, że owa piękność, może przechwalona, po to tylko przyjdzie, aby się pokazać w Kielcach z toaletą warszawską i wszystkie elegantki miejscowe zakasować. Słowem, rozruch ogromny zrobił się w Kielcach; służący i służące biegały z ulicy na ulicę, z domu do domu; ten i ów śpieszył co prędzej do teatru, żeby zastać jeszcze bilet i dobre zabezpieczyć sobie miejsce, a pan Dyonizy zacierał ręce, bił się po swoim brzuchu, i śmiejąc się, zachęcając swoje talenta, żeby się pokazały, zsuwał w szufladkę ruble srebrne i papierowe, pięcio-złotówki i dukaty, i własnym oczom nie wierzył, patrząc na taką ich kupkę, z jaką się już dawno, bardzo dawno nie widział.

— Kufiu! jedyny kufiu! — mówił do starego jowialisty — zmiłuj się, nie załej swego geniuszu i miej oko na Edmunda, żeby mi figla nie zrobił. Wy, moje filary, zgubicie mnie, jeżeli wprzódy wino wyleje się z waszjej butelki, nim dowcip z twojjej głowy, a wymowa z jego serca. Patrzcie, com ja tu o was napisał w afiszu; wypijemy po reprezentazyi, jak was kocham.

Afisz, na którym tytuł dzieła wydrukowano największemi literami, jakie się znalazły w Kielcach, był następujący: — Za pozwoleniem zwierzchności. Dziś, w niedzielę, w mieście tutejszém dany będzie, nigdy tu jeszcze nie przedstawiany wielki dramat, we 3-ch aktach, przez znakomitego autora po francuzku napisany, a przez równie znakomitego tłómacza na język polski słowo w słowo przełożony, pod tytułem: „Tułacz Merida, albo Noc okropna w pałacu Romana de Romani; akt 1-szy pod nazwą: Mniemany Rozbójnik; akt 2-gi: Morderstwo; akt 3-ci: Wykryta zbrodnia.“ — Po wymienieniu osób działających i nazwisk aktorów, dodano: „Rzecz odbywa się we Włoszech,

w przepysznych kostiumach hiszpańskich. Teatr będzie jarzącym światłem rzesisto oświecony. Trudną i interesującą rolę Meridy przedstawi pan Fabrycy, młody artysta, jakiego jeszcze tutejsza publiczność w murach swych nie miała, a rolę Pietro, dozorca pałacu, odda z właściwym sobie talentem i nieporównaną mimiką znany w całym kraju i za granicą, pan Jan Kuflewicz. W czasie antraktów grać będzie na harfach familia Hüenthal, a panna Hege odgrywać będzie gwizdaniem najładniejsze sztuki z najnowszych oper, przy akompaniamencie dwóch 10-letnich panienek, z których jedna grać będzie na skrzypcach, a druga na trąbie. Szanowna publiczności! mówić ci o naszym wysileniu w chęci zabawienia cię, byłoby rzeczą zbyteczną. Afisz mówi za nas.... a resztę przyjdź i obacz!\*

Teatr w Kielcach urządzony był w starym i pustym magazynie. Był on obszerniejszy, niż zwykle prowincjonalne teatrzyki; miał dziesięć łóż, nad niemi galerią, a na parterze dość przestronnym ławki. Wszystko to było zdezolowane i opuszczone przez parę lat, przez które żadna truppa nie pokazała się. Pan Dyonizy, znalazłszy w gubernatorze protekcją, a w jednym z ryzykownych amatorów pomoc pieniężną, w przeciągu tygodnia przyprowadził go do znośnego stanu. Wykleił łoże papierem, pierwsze trzy rzędy ustawił wyproszonemi u mieszkańców krzesłami, nadsztukował swoją korytnę staremi obrusami, wziętymi na kredyt z hotelu; nad kulisy, że były trochę za niskie, nadsunął papierowe obłoki, drzwi środkowe w tylnej korytnie pomalować kazał na swojej kołdrze pikowej, a sam dla miłości sztuki spał pod lasem sosnowym, wymalowanym na jednej zdartej kulisie; po kilka świec, i w rzeczy samej woskowych, osadził w blaszanych lichtarzach na słupach między łóżami; gęsty rząd świec palił się przed budką suflera; słowem, co tylko można było zrobić w tak krótkim czasie, przy środkach, jakie wyżebrał biedny pan Dyonizy, zrobionem zostało.

O godzinie 8-jej, ponieważ to było w lipcu, teatr już był pełny. Wszystkie łoże były zajęte, wszystkie krzesła zasiadły kieleckie panie w najpiękniejszych strojach, a mężczyźni tłoczyli się na ławkach i stali pod ścianami. Nareszcie pokazał się w łoży gubernator, a z drugiej strony w numerze pierwszym, pan Tomasz z żoną. Lorynetek w Kielcach było ledwie kilka, i na tak małą przestrzeń był to zbytek niepotrzebny. W takim teatrze, i w rzeczy samej wcale nieźle oświeconym, każdy mógł dobrze widzieć gołem okiem. Jakoż wszystkie oczy i perspektywy, jakie się znalazły, zwróciły się ku łoży, i powszechny szmer aprobacyi dał się słyszeć. Kobiety nawet musiały oddać sprawiedliwość piękności, gustowi niepretensjonalnego, ale powabnego stroju, skromności i wdziękowi ułożenia. To tylko miały jęć do zarzucenia, że pani Tomaszowa spojrziała na nie parę razy przez

elegancką, w słoniową kość oprawną lorynetkę, którą zresztą więcej trzymała w rękę, niż przy oczach, najczęściej spuszczonej.

Wreszcie dał się słyszeć dzwonek, i ciekawość publiczności zwróciła się ku aktorom. Pierwsza scena zamykała rozmowę sług o tój krętaninie, jaką mają z okazji tak znakomitego gościa; o zbójcach, którzy dziwne w okolicy robią psoty, a szczególnie o cudach wspałałości, a czasem okrucieństwa ich herszta. Na to nadchodzi zakłopotany Pietro, rodzaj major domo, który wśród uwag o trudności swego położenia, jako mający urządzać wielki festyn za niewielkie pieniądze, karci próżnujących i upomina, aby każdy z siebie robił dwóch, tak jak on z jednego skuda robi dwa. W scenie tój i w późniejszym monologu starego Pietro, dowiaduje się publiczność, że się znajduje w ogrodzie letniego pałacu księcia Romana di Romani; że właściciel tój rezydencyi jest już siwy, ale gwałtowny i zazdrośny; że księżna, z którą się niedawno ożenił, jest bardzo piękną i pobożną, ale że mąż w to nabożeństwo nie wierzy, i w ciągłym ma ją podejrzeniu; że ucztę tę daje dla uczczenia markiza di Soranza, niby magnata ze dworu księcia Medyolańskiego, którego, widać, chce ująć i co prędzej wyprawić, bo ten jegomość jakoś za blisko przysuwa się do samej pani, która, mimo swój pobożnej miny, jakoś nie bardzo krzywo na niego patrzy; że on, Pietro, ma jakies podejrzenie, na co mu skóra cierpnie, że ten mniemany markiz nie jest kto inny, jak herszt tych zbójców, a o czém i książę musi się domyslać, i dla tego tak mu nadskakuje i t. d. Wszystko to odegrał stary Kuflewicz rzeczywiście wybornie; mina jego wpół drwiąca, wpół strwożona, jako z natury tchórza, była tak zabawna, każde zdanie moralne, którym nadziewał swoje opowiadanie, wypowiedział z tak komiczną powagą, że ucieszył zupełnie publiczność i rzęsimi był obsypany oklaskami. Gdy przy końcu swego monologu obejrzał się na lewo, i spostrzegł pod drzewem jakiegoś młodego, wysokiego mężczyznę, zawiniętego w wielkim płaszczu, z pod którego wyglądał pałasz, z kapeluszem z piórami, naciśniętym na oczy, i w masce, tak oddał przestach i zmieszanie, tak miłosierdnym głosem wyraził a parte, że to nie tamten jest zbójcą, ale to właśnie musi być ów sławny herszt, a może jest ich dwóch, i tamten i ten, z takiem drzeniem i udaną zuchwałością, jako znajdujący się na swoich śmieciach, przystąpił do nieznanomego, gdy ten pistoletem, który miał w rękę, kiwał na niego, żeby się zbliżył, że spektatorowie śmieli się serdecznie i znowu klaskali. Na końcu, gdy nieznanomy wziął go za rękę i zawołał: — Pójdź ze mną! — to stary Pietro tak pocieszenie się junaczył, z takiem tchórzowstwem mu groził, a potem tak dobrze oddał, że duch w niego wstąpił, gdy nieznanomy zaśmiał mu się, rzucił mu woreczek z pieniędzmi i rzekł: — Nie bój-że się mnie, stary głupeze! — że gdy wyszedł z zamaskowanym rycerzem,

biorąc go już odważniej pod rękę, a drugą ręką macając nieznacznie, czy jest więcej pistoletów, grzmot oklasków rozległ się po sali i wołania Kuflewicza powtórzyły się trzykrotnie. W następnej scenie pokazała się księżna, zmieszana, pognębiona i szukająca w ogrodzie odechnienia. Za nią w ślad przybyła niby konfidentka, użalająca się nad jej położeniem, że musi tak niesprawiedliwie znosić przymówki od zazdrosnego męża, że właśnie niedawno, nim książę z markizem wyjechał, słyszała wszystkie jego pogroźki za te grzeczności, jakie ten markiz Soranza jej robi. Publiczność dowiaduje się z ust księżnej, że ten pan markiz jest wszechwładnym faworytem księcia Medyolańskiego, że przez niego jedynie może nastąpić ulaskawienie jej męża, na którego monarcha strasznie rozgniewany, że mąż musi mu nadskakiwać i grzeczności robić, że ona stara się także go ująć; ale że markiz ją kocha, że ona tę miłość, którą niestety podziela, choć się z tém kryje, i prześladowania męża, dla którego udawała przywiązanie, uważa jako karę za biednego młodzieńca, który kilka lat temu ubóstwiał ją, a którego zgubiła swoją niewzajemnością, a co gorsza, wabieniem i pozorem miłości, co czyniła dla tego, że ją to bawiło, i póty, póki nie spostrzegła, że go prawie do szaleństwa doprowadziła. Szczegóły, malujące jej winę, rozwlekłe napisane, oddane bez talentu i życia, znudziły publiczność, która tymczasem patrzyła do loży pani Tomaszowej, co ją szczególniejszym sposobem mięszało. Po takim objaśnieniu, z dodatkiem, że młody człowiek gdzieś przepadł, że niewiadomo, czy sobie życie odebrał, czy może chwycił się haniebnej jakiej karyery, bo był gwałtowny i namiętny, że lęka się, czy się gdzie w górach nie kryje i czy nie jest to właśnie ten.... na to słowo, naturalnie dla efektu, wszedł stary Pietro drżący i blady, i oznajmił księżnie, że chciałby z nią pomówić. Księżna, zmieszana, zapytuje, o co rzecz idzie? On, oglądając się z trwogą po za siebie, i dając znaki, że tu świadek niepotrzebny, zaczął od uwag nad trudnością dochowania sekretu między dwiema osobami, a cóż, gdy wie trzy o tém, co i dla jednej za ciężko. Księżna zakazała mu gawędzić i wdawać się w rezonowania, a powiedziéć rzecz wprost, jak jest, dodając, że przed tą, która jest obecną, żadnych sekretów nie ma. Wtedy Pietro, nie bez okrażen jednak i pociesznych grymasów, opisał jej swoje zdarzenie i rozmowę z nieznanym, który prosi księżnę, aby raczyła mu dać posłuchanie; przytém radził jej, aby mu nie odmawiała, bo on tego koniecznie wymaga, i to zaraz, a to jest człowiek, dodał, który wszystko bierze sam, i gdy prosi, to ma takie argumenta, że w żaden sposób odmówić mu nie można. — Cóż to za jeden? — pyta księżna. — Ach! to właśnie w tém rzecz, że on zdaje się tylko jeden, ale jak gwizdnie, to jest pięćdziesięciu i stu, którzy jak jeden robią to, co każe, a szczególnie jak jeden dążą wszyscy do dwóch rzeczy: do gardła



uczciwych ludzi i do kieszeni takich, w których jest czegoś nadto. Wszystko to powiedziane było z takim tłumieniem w sobie strachu, z tak naturalną drzącą nog, które nie mogły sobie znaleźć gruntu, z takim oglądaniem się po za siebie, że znowu huczne oklaski dały się słyszeć. Stary kiwnął głową publiczności na podziękowanie, ale przytém pogroził jój nieznacznie, ukazując na nieznanego i jakby prosząc, żeby była cicho i nie żartowała sobie z takim strasznym człowiekiem. Wszyscy tэм bardziej klaskali i śmieli się, a księżna zapytała, jak on wygląda? Tu dopiero Pietro zaczął opisywać jego wzrost, pałasz, pistolety, kapelusz, wszystko w hiperbolicznych rozmiarach, a gdy przyszło do twarzy, opisał ją tak straszną, że konfidentka ręce załamała i zapytała, co tu robić, tэм bardziej, że książę z markizem wyjechali na kilka godzin do Werony, i że w letniej těj rezydencyi, gdzie tak mało ludzi, nie ma środków obrony. Może on i nie taki straszny — mówił Pietro — widziałem go w masce, ale że moralnie — dodał ciszej i oglądając się — musi być zapewne brzydszy, niż go opisałem, na to dałbym gardło... to samo gardło, koło którego czuję już, jak się kręcą niby sznurki, ślizgają się niby noże i sztylety. O! pani — dodał błagając — nie odmawiaj mu těj rozmowy! Czego on tam chce, to chce; mniejsza z tэм. Ale zbędiem się go z karku. Jeżeli to nawet taki człowiek, coby dziesięciu podobnych do mnie z najzimniejszą krwią powiesił, to przed tobą, księżno, uklęknie i twoje słowo wszystkim nam wróci spokojność. — Tchórz jesteś, mój Pietro! — rzekła księżna do niego. — Każ mu przyjść. Ale daj mu poznać, że jeżeli mu tę łaskę robię, to nie dla tego, że się go lękam. — Ja powiem — rzekł Pietro — że księżna pani, naturalnie jako kobieta, tylko ciekawa i nic więcej. — Księżna ruszyła ramionami, dała staremu znak, żeby szedł, a konfidentce kazała wejść do pałacu, pilnować drzwi, i dać jój znać, gdyby przypadkiem mąż jój wrócił, sługom zaś zapowiedzieć, że chce być samą w ogrodzie.

Wtedy wszedł nieznanomy w tymże płaszczu, kapeluszu, masce, ale bez broni, o której Pietro tyle nagadał, a obróciwszy się do starego tchórze, wziął go za rękę i rzekł: — Dziękuję ci, stary! dobry z ciebie poseł. Idź-że teraz i pilnuj, żeby mi kto nie przeszkodził; nie odchodź zupełnie, będziesz mi potrzebny. Ale w takiój bądź odległości, żebyś twarzy mojej nie widział i rozmowy naszej nie słyszał. Bo jeżeli zmiarkuję, żeś był ciekawy, i choćby jedno słowo uszów twych doleciało, każe cię na bramie pałacu powiesić. Idź teraz!

Pietro, odchodząc bokiem i patrząc na publiczność, dodał *a parte*: — A co? nie argumencik? któżby tu był tak twardy, żeby mu odmówił? Od kiedy stanąłem na tym stopniu, że mnie ludzie proszą, jeszcze mnie nikt tak czule nie prosił. Ładna rzecz! rządca pałacu, jako

sztyldwach na bramie pałacowej, a do tego na sznurku! — I z komi-  
cznym grymasem trwogi i zwątpienia oddalił się.

Gdy Pietro wyszedł, następująca scena miała miejsce. Niezna-  
jomy postąpił parę kroków ku księżnie, która stała niezmiészana,  
zmierzył ją okiem, i zwracając się potem ku łożu, w której była pani  
Luniewicka, jakby sam do siebie mówił:

— Nie zmieniła się bynajmniej! Taż sama piękność rysów, taż  
pogoda i pokój na czole, ten sam uśmiech, co przenika do głębi piersi,  
ten sam blask oka, co jak szkło doskonale wypolerowane, bryzga  
iskrami prawdziwego brylantu. I któżby się nie oszukał? ktoby ode-  
pchnął od siebie aniola, podającego mu słodki napój z wejrzeniem,  
obietującym szczęście wybranych, i rzekł mu: — Idź precz masko! bo ręka  
twoja zimna, pierś twa kamienna, a na dnie twojej czary... trucizna!

Słowa te powiedziane były głosem tak czystym, tak brzmiącym,  
z mocą i intonacją tak pełną prawdy, że grzmot oklasków przyjął  
młodego aktora; nawet pan Tomasz klaskał, a żona jego, usunawszy  
się cokolwiek w tył, pocierała palcami czoło, jakby sobie co przypom-  
nieć starała się. Nikt jednak tego nie zauważył, bo prędko zaczęto sy-  
kać na klaszczących, wkrótce głęboka nastąpiła cichość, i wszyscy  
z największą zajęciem słuchać zaczęli. Wtedy aktor, jakby nie sły-  
szał oklasków i nawet głową nie kiwnął, wracając do swojej roli,  
i zwróciwszy się już zupełnie do zmieszanej aktorki, rzekł:

— Patrzysz na mnie, księżno, z dumą i podziwieniem. Wierzę,  
że cię zadziwia śmiałek, co tak staje przed tobą zakryty. Ale nie  
bój się, przychodzi on jeszcze z pokorą i prośbą.

— Nie widzę — odpowiedziała dumnie — dla czego bym się miała  
bać w moim własnym domu i pod okiem męża, który mi nie da krzy-  
wdy zrobić! Postać pana mogłaby mnie nastraszyć w lesie, albo na  
pustej drodze, ale nie tu. Prosiłeś mnie o posłuchanie, zezwoliłam na  
to. Ale jeżeli chcesz ze mną mówić, odsłoń się. Jeżeli zaś nie śmie-  
sz zdjąć maski, to odejdź.

Nieznajomy zrzucił płaszcz, kapelusz, maskę, zbliżył się do księż-  
nicy, ale więcej patrząc ku łożu, zapytał z ironią i jakby ze stłumio-  
nym gniewem:

— Mam więc odejść?

— Merida! — krzyknęła aktorka zdziwiona, i w tym samym cza-  
sie dał mu się słyszeć lekki krzyk zadziwienia w łożu.

— Poznała mię! proszę — rzekł wówczas aktor, postępując na  
przód sceny, ale z takim akcentem szyderstwa i jakby tryumfu, że  
się pomścił; tyle było mocy w jego poruszeniu, tyle prawdy w jego  
głosie, że powszechny oklask znowu dał poznać zajęcie i zadowolenie  
widzów. Wśród tej wrzawy nikt nie uważał na owe wykrzyknienie  
w łożu, nikt nie dostrzegł, że potem, gdy z oka pani Tomaszowej nie

spuszczał, ona zbladła i powstała, jakby wyjść zamierzając. Widział to jednak Edmund, korzystał z poruszenia aktorki, przepisanego w roli, która także chciała się oddalić, i obróciwszy się do niej, ale giestem dając znak, że do łoży mówi, zawołał z mocnym postanowieniem dokonania pogroźki:

— Zostań pani, bo cię nazwę!

Słowo to przykuło napowrót do krzesła przełknięą kobietę, a on, postąpiwszy parę kroków ku aktorce, co się także zatrzymała, dodał z goryczą:

— Zostań, bo zdjęję z twój twarzy tę maskę świętej, dam cię poznać mężowi, którym mnie straszysz, i nauczę go czytać w twojem sercu. A on ci bezwątpienia wierzy, ten twój mąż, on cię pewno kocha miłością młodzieńca, choć głowa jego siwa, i lata dały mu wzrok doświadczenia. Oh! bo można ci nie wierzyć, można cię nie kochać, kiedy kłamiesz okiem, oszukujesz uśmiechem, łudzisz głosem i upajasz słodyczą i pokorą? można cię zapomnieć, kiedy sobie postanowisz wpisać głęboko na sercu, co ci się oddaje, swe imię i swój obraz? I ja uwierzyłem ci, i jam cię kochał, i ja pamiętam cię także. Rysy, któreś tu wyrzyła zimną ręką, dla igraszki, dla próby swój sztuki, są i trwają, choć je krew zalała, choć zakrzepła ta plama pokrywa je i brudzi.

Gdy się uciszyły okłaski, które słowa te wywołały, dodał z goryczą i energią: — Ale nie myśl, żem tu przyszedł upaść przed tobą na kolana; nie, tego się nie spodziewaj. Ostatni raz leżałem u nóg twoich wtedy, kiedym cię prosił o litość, kiedym cię błagał, abys odwołała słowa wzgardy i poniżenia, któreś o mnie przed stryjem swoim wyrzekła; i wiesz, czemu wtedy oblewałem łzami twoje kolana po raz ostatni? Oto temu, żeś była niemilosierna, żeś tego nie pojęła, że moje podniesienie się z upadku, moja wiara we wszystko wielkie i święte zależała od ciebie; żeś mnie odepchnęła głośnym i szyderskim śmiechem i skaleczyła śmiertelnie swojemi słowy. — Biedny chłopcze! — rzekłaś wówczas, pamiętasz? — uwierzyłeś żartom; idź lepiej w świat i szukaj sobie komedyantki takiej, jakąś już raz kochał. Otóż teraz — dodał z wściekłością prawie, porywając za rękę przestraszoną aktorkę, a patrząc do łoży — przyszedłem ci powiedzieć, żem rady twojej usłuchał, żem chodził po świecie, tarzał się po kałużach życia i szukał tej komedyantki, którąbym mógł pokochać; alem nie znalazł nigdzie takiej, jaką ty jesteś, i dla tego wrócę do ciebie.

To słowo wrócę wymówił tak, że pani Łuniewicka w głębi serca zadrżała. Ale że w ciągu tej sceny miała już cokolwiek czasu upamiętać się, opanować swoje wzruszenie, i wyrachowawszy, że tylko obojętność i zimna krew potrafi ją wyprowadzić bez szwanku z tak fatalnego spotkania się, w tej samej chwili, gdy jej wyraźnie zagroził

powrotem, podniosła lorynetkę, przyłożyła ją do oczu, i trzymając obiema rękami, skierowała szkła swoje na nieszczęśliwego młodzieńca, na którego twarzy malowały się wszystkie te uczucia, jakich rzeczywistość doznawał. Widok takiej obojętności, doprowadził go do najwyższego stopnia oburzenia. — Oh! — krzyknął — słowa moje padają na kamień bez uczucia! — I miotany gniewem, boleścią i rozpaczą, szybko postąpił na przód sceny, jakby chciał przekroczyć tę granicę, co oddziela udanie od rzeczywistości, teatr od prawdziwego świata. Ale tam, spojrzawszy w około obłąkanym wzrokiem, widząc wszystkie oczy wyteżone na siebie z niemym oczekiwaniem, zmiarkował się nagle, stanął, zaśmiał się szydersko, i uderzając ręką w czoło, rzekł:

— O ja głupiec! zapomniałem, że i to komedia!

I wybiegł ze sceny.... a od oklasków i krzyku, uniesionych taką grą spektatorów, zatrzęsł się teatr. Wrzawa ta trwała parę minut, potem zaczęto wołać Fabrycego z uniesieniem coraz mocniejszym, coraz powszechniejszym, tak, że nawet głosy kobiet dawały się słyszeć, i widać było bijące ich dłonie. Aktorka, która grała księżnę, nie powiedziawszy uciekła; sufler zdesperowany, który napróżno przewracał rękopism i szukał tych słów, co taki wywołały entuzjazm, zamknął książkę, a aktor, takim uczczony przyjęciem, nie wychodził. To opóźnienie zaczęło oziębzać publiczność; wśród powtarzającego się jeszcze wołania, dało się słyszeć sykanie; nareszcie na opróżnionej scenie pokazał się pan Dyonizy, ze spuszczoną głową, z twarzą zasmuconą i pełną konfuzji. Gdy się wszyscy ucisz yli, uklonił się na trzy strony, i składając tłuste swe ręce, rzekł miłosierdnym głosem:

— Szanowna publiczności! Sztuka dzisiejsza dokończoną być nie może. Niestety! pan Fabrycy zachorował, i nie jest w stanie podziękować za tę łaskę, jakiej wystąpienie jego doznało.

Gdy szmer, który powstał, uciszyl się, pan Dyonizy dodał:

— Szanowna publiczności! Jeżeli raczysz być cierpliwą, damy na prędce co innego, i przedstawioną będzie komedia ze śpiewami, w jednym akcie, pod tytułem: Obiadek z Magdusią, i komedia w jednym akcie, bez śpiewów, pod tytułem: Dwaj roztargnieni.

Brawo i sykanie razem, jak grad z deszczem, dało się słyszeć, kurtyna zapadła, a spektatorowie, to śmiejąc się, to żałując znakomitego aktora, to przypisując jemu chorobę zbytecznemu wysileniu, zaczęli jedni wychodzić, inni siadać na powrót.

Wtedy gubernator wszedł do łoży pana Tomasza, pani Łuniewicka zwróciła się ku niemu, przyjęła go z uśmiechem, a on siadając, rzekł:

— Szkoda młodego człowieka, on dobrze grał.

— Ale jak dobrze! — mówił pan Tomasz — dawno nie widziałem

takięj prawdy i mocy w oddaniu uczuć! Przymięt piękna postawa, głos śliczny. Ten człowiek ma przyszłość przed sobą.

— Jakże go pani znajduje? — zapytał gubernator.

— Mój mąż ma racyą — odpowiedziała z łagodnością i słodyczą. — Żałuję tylko, że nie mógł skończyć tęg sztuki, bo i rzecz dosyć interesująca, i patrzyłabym na niego z przyjemnością i ciekawie, jakim byłby w innych sytuacyach. Ta dla niego nie była zbyt trudna — dodała z uśmiechem, a potem kładąc rękę na rękę męża, zapytała: — czy każesz mi zostać i na tych komedyach?

— Broń Boże! — odpowiedział mąż — jeżeli chcesz, jedźmy do domu.

— Wolalabym — odpowiedziała z uśmiechem, który chwycił za serce pana Tomasza. — Jeżeli pan gubernator nie pogardzi naszą podrózną herbatą, to proszę bardzo.

Gubernator ukłonił się, pomyślał w duchu: cóż to za anioł w ludzkiem cie! szczęśliwy pan Tomasz!.... i pojechali razem.

Gdy Edmund wbiegł za kulisy, skrył się w najciemniejszym kącie, upadł na stołek, który tam zastał, i zakrywszy twarz obu rękami, płakać zaczął. Oklaski, które grzmiały na parterze, wydały mu się jakimścisi dzikim szumem, którego nie rozumiał. Nie słyszał powtarzanego stokrotnie nazwiska, które przybrał, nic nie widział przed sobą, tylko te dwa szkła, które na niego skierowała, które jak oczy węża błyskały w jego myśli. Koledzy upominali go, żeby wyszedł; nie zważał na to wcale. Nareszcie przybiegł pan Dyonizy, odjął ręce od jego twarzy i wołał:

— Człowieku! co ty robisz? gubisz mnie, już sykać zaczynają. Wyjdz, zmiłuj się!

— Nie mogę — odpowiedział Edmund — nie wyjdę i grać dalej nie będę!

— Jezus Marya! — wołał antreprenier łamiąc ręce — cóż ja zrobię?

— Rób co chcesz... zabij mię, a nie ruszę się i słowa nie wymówię — rzekł Edmund — w piersiach moich nie ma głosu, w głowie nie ma nic, żadnej myśli, żadnego obrazu, tylko szum straszny, który ją rozerwie. Idź, powiedz żem chory. O! bo ja to odchoruję. Przekłęte spotkanie! bezczelna efrontka! — wołał dzikim głosem, i zerwawszy się z miejsca, jak stał, bez czapki, uciekł do domu.

Drugiego dnia przed wieczorem, państwo Łuniewiczzy przybyli do Rudnicy. Gdy klaskanie z bicza rozległo się przede dworem, wyszli wszyscy na ganek, na powitanie gospodarza i nowęj pani domu, której twarz piękna, jasna, i pełna uśmiechu dobroci i łagodności, jaśniała z okna karety.

Książd Studziński, w nowęj sutannie, ze stułą na ramionach, z krzy-

zem w rękę, stał na przodzie; przy nim na stolyczku stała woda święcona i kropidło, a za stolikiem Michaś, w nowym mundurku, pełnił funkcję zakrystyana. Z lewej strony stała pani Mikoszewska, a przy niej Bronisia, piękna jak gwiazda, z twarzą zamgloną lekkim smutkiem i oczekiwaniem, które jej dało minę zaleknioną, niedowierzającą i poważną. Dalej byli słudzy, przybrani w najlepsze swe suknie i czekający w porządku i milczeniu, i najstarsi ze wsi gospodarze i gospodynie.

Pan Tomasz wysiadł pierwszy, podał rękę żonie, która spojrzawszy na obecnych, zbliżyła się do progu ganku ze spuszczoneymi oczyma, uklękła, i złożyłwszy ręce z pokorą, z pochyłą głową, czekała błogosławieństwa kapłana. Mąż ukląkł przy niej, ksiądz Studziński pokropił ich święconą wodą, dał krzyż do pocałowania, i gdy powstali, rzekł:

— Witam cię, panie Tomaszu, w tym domu, który rodzice twoi założyli na fundamencie cnoty i pobożności, w który wniosła zamożność pierwsza twoja żona, ozdobiła go spokojem, umocniła czystością obyczajów. Twoi rodzice i żona twoja, leżą już w grobie; ale ich duchy czuwały odtąd nad tobą, nad twym domem i nad twym dzieckiem, i Bóg błogosławił ci, żeś był takim, jakim cię oni widzieć pragnęli, że pod twym dachem panowała zgoda, łączyła wszystkich miłość, rósł dostatek i nadzieja pięknej przyszłości zakwitła na czole twój córki. Teraz wprowadzasz pod ten sam dach, nową życia twego towarzyszkę, nową współniczkę wszystkich łask Bożych, jakie cnoty tamtęj na ciebie zlały, nową opiekunkę dziecka, na którego radość i lzy, ona patrzeć będzie z nieba, i porachuje ci tak jedno, jak i drugie. Pokaż-że jej wszystkie ślady świętej kobiety, co cię za wcześniej opuściła, i naucz ją chodzić jej drogami, bo to były drogi dobre, które pokora, miłość i wiara uczyniła prostymi. Witam i ciebie, nowa gospodyni, w tej winnicy dobrze uprawionej, i której Pan błogosławił. Utrzymuj w niej dawny porządek, radzę ci, bo to porządek dobry i wydał już owoce. Pielęgnuj w niej tę latorośl, którąś już zastała, bujną i pełną nadziei, aby te, które sama zaszczepisz, rosły szczęśliwie, zazieleniły się tak, jak się ta zieleni, i rozradowały tak twoje oczy, jak tu dotąd oczy i serca nasze radowała. Zawód twój trudny, ale pełen zasługi. Masz dać szczęście mężowi, który już miał wielkie; masz do piersi swój przycisnąć to dziecko, które jeszcze nie zapomniało, jak uderza i ogrzewa serce prawdziwej matki; masz rządzić czeladką wierną i włością rozległą, ale która przywykła widzieć w pani swój opiekunkę i dobrodziejkę, uciekać się do niej w chorobie, radzić się w trudnościach i kłopotach gospodarskich, oglądać się na jej życie, jako na wzór cnoty i obyczajów, i widzieć ją zawsze pierwszą u stóp ołtarza i u świętych Sakramentów, co równie mądrym, jak i prostaczkom, dają ulgę i zbawienie. Umocnij-

ze się duchem i ufaj, że Bóg wesprze twoje dobre chęci, które, że masz, wiemy to już dostatecznie. Postanów sobie zaszcześcić tu pokój i zgodę, a będziesz miała szczęście i poważanie. Przystępujesz do domu twego z pokorą, przestąpże progi jego z Bogiem i wiarą, a będziesz w nim panować miłością. Ja, stary pleban tutejszy, który od lat czterdziestu znam wszystkie skrytości serc, które cię kochać i ulegać ci będą, błogosławię twemu wstępowi i w imieniu tych, których byłem przyjacielem, a których synowi masz dać szczęście, i w imieniu téj, której ostatnie tchnienie przyjąłem, a której córce masz zastąpić matkę! Boże! który rządysz myślą ludzką i każde serce trzymasz w swém ręku, spraw, aby się tak stało, jeżeli taka jest święta wola Twoja! Amen.

Wszyscy mieli łzy w oczach, a Bronisia, tuląc się do piersi ciotki, rzewnie płakać zaczęła. Oczy pani Tomaszowej były suche, ale, gdy ksiądz Studziński skończył, pochwyciwszy rękę starca, ucałowała ją ze wzruszeniem, i z wyrazem głębokiej wdzięczności. Wtedy nastąpiło przywitanie ojca z córką i siostrą, i poznanie się pani Mikoszewskiej z bratową, Bronisi z macochą, a także ukłony sług i wieśniaków.

Nowa pani zastała dom przygotowany na swoje przyjęcie, i tak ze wszystkiego była kontenta, tak wszystko znajdowała dobrém, miłym, wygodném, tak ją cieszył porządek domowy, z którego szczegółami wkrótce się obeznała, że prosiła męża, żeby wszystko zostawił jak jest, aby nic dla niej nie zmienił, aby jój pozwolił używać tylko tego pokoju, téj swobody, tego szczęścia, jakie jój przygotował, i zajmować się jedynie tém, aby mogła zyskać serca tych wszystkich, co ją otaczają. I wkrótce dopięła tego celu. Po kilkunastu tygodniach, uprzedzenia siostry mężowskiej znikły, słudzy uwielbiali ją, sąsiedzi i sąsiadki, nawet ładne, oddawały jój sprawiedliwość. Wieśniacy, których odwiedzała, którym niosła pomoc, radę, pociechę, patrzyli ze czcią na swą piękną panią, i często przed kościołem, oczekując jój przybycia, rozmawiali o jój dobroci, o jój miłosierdziu i pobożności. Ksiądz Studziński mówił o niej, jak o wzorowej kobiecie, i cytował Michasiowi wiersz Kochanowskiego, w którym stary wieszcz, śpiewając o dobrej żonie, dodaje: ...mężowej ona głowy korona! Pan Tomasz codzień ją więcej kochał, a widząc jój postępowanie z Bronisią, jój troskliwość macierzyńską, i prawie zabiegi o zyskanie jój miłości i zaufania, błogosławił tę chwilę, w której ją poznał, winał sobie, że z taką przezornością wybierał, a czując, jak jest nad wszelki wyraz szczęśliwym, jak dom jego rozjaśnił się i jakby rozpromienił obecnością anioła, co mu każdą chwilę osładza i złości, nieraz w duchu sobie mówił:—dobrzem zrobił; to było natchnienie Boże! — Bronisia tylko nie mogła znaleźć w sercu swém czystej, wylaniej miłości dla téj, którą wszyscy kochali i którą także pokochać żądała. Lgnęła ona do niej, pieściła ją cza-

sem; gdy razem pracowały, razem śmiały się i swawoliły jak siostry, nazywała ją bez zająknięcia mamą; widziała to dobrze, że żona jej ojca więcej nawet dla niej robi, niżby może rodzona matka robiła; a jednak częściej niż dawniej czoło rozwijającej się dziewczynki zachodziło zamysleniem, częściej wpatrywała się w niebo, tonęła okiem zachodzącym łzą w przebiegających chmurach, i tam szukając ducha tój, co ją zawczasie odbiegła, ze złożonemi na piersiach rączkami szeptała: — Matko! wstaw się za twoją sierotą!

## VI.

Po pięciu latach od przybycia pani Tomaszowej do domu męża, w salonie, który przez ten przeciąg czasu mało się zmienił, siedziała ona w swoim fotelu i wyszywała na kanwie stulę, mającą dokompletować cały aparat do Mszy Stój, który do kościołka w Rudnicy ofiarować chciała. Dwoje przeslicznych dzieci bawiło się w pokoju. Staś, czteroletni chłopczyk, biegał, hałasował, wsiadał na konika na kółkach, zlaził z niego, zaprzęgał urojone siwosze, które popędzał batożkiem, i jechał do Warszawy i do Krakowa; a Terenia, na pamiątkę pierwszej żony pana Tomasza tak nazwana, o rok młodsza od braciszka, równie piękna, ale daleko spokojniejsza dziewczynka, bliżej matki siedząc na kanapie, ubierała lalkę i tkliwą jakąś z nią prowadziła rozmowę. Pan Tomasz siedział bliżej okna, i czytając gazetę, poglądał z rozkoszą na bawiące się dzieci, i ogarniał okiem pełnym miłości ich matkę, która widząc to, słodko się do niego uśmiechała. Szczęście zupełne wyrażało się na twarzy tego zacnego człowieka; a chociaż głowa jego znacznie posiwiała, i na wusach pokazywał się szron, który świadczył, że już przeszedł tę połowę wieku, jaki Opatrzność życiu ludzkiemu naznaczyła, ale czerstwość jaśniejąca na jego licu i spokój, który się wyraźnie malował na jego czole, dawały szlachetnym rysom jego tę prawdziwie męzką i dojrzałą piękność, która wróżyła mu długie lata, a tym dzieciom, chociaż drobnym jeszcze, rokowała, że opieka takiego ojca nie opuści ich, aż wtedy, gdy o własnych siłach będą już mogły wystąpić do walki z życiem, jaką im położenie ich niezupełnie korzystne gotowało.

Pani Luniewicka niewiele się także zmieniła powierzchownie, chociaż cokolwiek utyłła i spoważniała. Jako matka dwojga dzieci, jeszcze może piękniejszą się wydawała przez to, że do wyrazu dobroci, pokory i pobożności, który miała na zawołanie, przybyło uczucie macierzyńskie, którego żadna kobieta nie udaje, a które twarzy jej dało tę piękność, jaką każda prawdziwa miłość foremne ożywia rysy. To też gdy patrzyła na igrające swe dzieci, urządzała ich zabawki, gdy jako pierwsza i ostatnia instancja rozstrzygała ich spory, gdy słuchając



ich szczebiotania, tuliła je do łona, i wówczas spoglądała na męża, jakby dziękując mu za to szczęście, jakim ją obdarzył, pan Tomasz rozplýwał się, padał myślą przed aniołem, którego mu Bóg do domu zesłał, i coraz mocniej poddawał się obecnemu urokowi, który go otaczał, zapominając o przeszłości i o obowiązkach, jakie ona na niego włożyła. Jakkolwiek hypokryzya była fundamentem charakteru tej rzadkiej w swoim rodzaju kobiety, jakkolwiek do tych wszystkich środków zyskania czci i miłości ludzkiej, których się nauczyła od matki, umiała w potrzebie dołączyć powaby swego ciała i kokieteryą, przez którą wlała tak szaloną namiętność Edmundowi, tak bezwarunkową, głęboką miłość panu Łuniewickiemu, przez którą lat kilka trzymała na wodzy hrabiego Franciszka, to nie można jednak powiedzieć, aby była złą żoną, złą panią, nieuprzejmą i niemilą wszystkim sąsiadom obywatelką. Cnoty i przymioty, które postanowiła sobie jaśnić, udawane były tak dobrze, z taką wytrwałością, że zamieniwszy się w nałóg, stawszy się drugą prawie naturą, wydawały się wszystkim najrzetelniejszą prawdą. Zycżliwość swą dla męża, może nawet i prawdziwą, umiała podnieść do pozoru namiętności, gdzie temperament i uczucie równie wysoką odzywały się nutą. Nie schodząc dotąd z tego tonu, spętała go bezwarunkowo, i jednakiem ciągle darząc szczęściem, pod jednaka i coraz wzrastającą trzymała władzą. Kokieterya jej była tak zręczną, tak powściągliwą, że nie dawała niepokoju mężowi, niczyjego nie razila oka, że ten co jej był celem, chociaż wielki pan, a zatem przywykły do prędkiego zaspokojenia swych kaprysów i żądź chwilowych, z wielkiem swém podziwieniem postrzegł, że się w niej doprawdy zakochał, że znalazł w sobie stałość, czego się nie spodziewał, że ciągle nią zajęty, nie śmiał przekroczyć tej granicy, jaką mu naznaczyła. Jak wylaną była matką, o tém nie ma już co mówić, gdyż dzieci te były jedynym na świecie przedmiotem, który kochała prawdziwie. Ale właśnie ta dobra i gorąca strona jej serca czyniła tém zimniejszą i bardziej rażącą wyrachowaniem stronę jego przeciwną, która w niekorzystném świetle okazałaby się każdemu, gdyby ktokolwiek przez sztuczne zasłony, któremi ją pokrywała, mógł widzieć, jaką była w rzeczy samej. Dla miłości tych dzieci, z taką wytrwałością afiszowała przywiązanie do Bronisi, jednające jej cześć i miłość ludzką; chciała bowiem, aby nikt nie mógł jej posądzić o egoizm, jakieś macosze zamiary i niechęć ku najstarszej córce swego męża; dla miłości tych dzieci upajała pana Tomasza wszystkiemi szczęśliwościami małżeńskiego życia, aby się nawet nie postrzegł, jak z serca jego usuwała stopniami pamięć pierwszej żony, i tę miłość i obowiązki, jakie miał dla swój córki; dla téjże samej przyczyny, a może i dla rozrywki, w tém pracowitem życiu, na jakie się skazała, trzymała na wodzy hrabiego, aby w przypadku, gdyby jej miłość i pieczyoty sprzykrzyły się mężowi, mogła iskrą zazdrości

podniecić dawne zapaly, i według swych widoków kierować jego sercem i sumieniem. Ponieważ zaś pan Tomasz był rzeczywiście człowiekiem z rozumem, uczciwością i sumieniem, zadanie było bardzo trudne, i z tego widać, jak czujną być musiała w tej pajęczej robocie, jak delikatne, niewidzialne, a jednak jak silne musiały być te nitki, któremi go osnuć starała się, aby tego nie postrzegli ludzie, co ją okrzyczeli kobietą wzorową, żoną i macochą nieporównaną, aby tego nie postrzegł pan Tomasz, który ją miał za anioła, i co dzień winszował sobie, że tak rozumnie wybierał i tak szczęśliwie trafił. Czujność jej musiała być tém większą, że były osoby, co ją przenikały, a nie miała jeszcze zupełnego przekonania, że mąż tak już jest splątany, iż choćby mu nawet kto chciał oczy otworzyć, choćby obaczył się, co go obwiązuje, nie miałby już dosyć sił do jej zerwania.

Jedną z tych, co nie wierzyła, ani w jej złożone ręce, ani w jej pieszczoty i nadszakiwania dla Bronisi, była pani Mikoszevska. Drobnym wypadkiem, o którym nie warto mówić obszerniej, a o którym zagnała, prosta i pełna szczerości kobieta wspomniała wyżej w rozmowie swej z księdzem Studzińskim, dał jej niekorzystne wyobrażenie o sercu młodej Hieronimy, która wówczas wprawiała się dopiero do tej roli, jaką później z taką odgrywała sztuką. Patrzyła więc na nią pani Mikoszevska z uprzedzeniem, zaostrzonym jeszcze miłością dla brata i jego córki, a nadewszystko tém przekonaniem, że nowy ten związek stanie się zgubnym dla szczęścia dziecka, które tak serdecznie kochała. Wprawdzie z początku uprzedzenie to jakoś znikło. Widok szczęścia brata, szacunek i okrzyk całej okolicy, starania o zyskanie serca Bronisi, czarujące postępowanie z nią samą, rozbroiły kobietę ostróżną i niedowierzającą, i ustanowiły pomiędzy niemi niby stosunki przyjaźni i wzajemnego zaufania. Ale później ciągle z sobą przebywanie, życie pod jednym dachem i prawie w tymże samym pokoju, nastroczyły znowu owe drobne wypadki, które niedyskretnie podnosiły nieco maskę, jakkolwiek doskonale do twarzy przylegała. Tym sposobem dawne uprzedzenie, obudziło się, przyjaźń się oziębila, zaufanie przeszło w ceremonię, wzrok się zaostrzył. Wprawdzie z początku nie miała jej pani Mikoszevska nic takiego do zarzucenia, coby jawnie dowodziło chytryści jej postępowania, lub zagrażało szczęściu brata, i dalszemu losowi jego córki, ale straciła wiarę w jej szczerość i tém pilniej ją śledziła. Gdy się urodzili Staś i Terenia, gdy nowe te, a tak potężne ogniwa silniej jeszcze pana Tomasza do niej przykuły, tém pilniej postrzegać ją zaczęła. Widząc tedy jej wyłączne własnymi dziećmi zajęcie, pochwycawszy czasem w przelocie jej zimne i prawie niechętnie spojrzenie na Bronisję, jakby na jaką zawadę do ich dalszego kierunku, złapawszy w rozmowie nieostróżne słówko, jak echo zdradzające jej zazdrość i smartwienie, że tak wielka nierówność ma-

jątkowa będzie między rodzeństwem, zniechęciła się zupełnie. Wprawdzie pani Tomaszowa nie ostygła w zabiegach swych o serce Bronisi, ale pani Mikoszevska postrzegła ze zmartwieniem, że pan Tomasz coraz wyłącźniej oddawał się nowemu swemu potomstwu, że, choć nie ustawał w swój troskliwości o wychowanie dorastającej córki, nie było już w jego twarzy tego szczęścia, gdy patrzył na rozwijający się jej rozum i piękność, nie było już w jego pieszczotach tój całości serca, które podzielone, i widocznie tęskniące za nowemi przedmiotami swój miłości, wyrывało się z jej objęcia i śpieszyło gdzie indziej. Widok ten dawał jej boleść tém przykrzejszą, że ją tała, że perswadowała sobie, iż to jest złudzenie, że nie chciała i nie śmiała wdać się o tém w rozmowę z bratem, wystąpić z jakimis̄ wymówkami, aby stanu tego nie pogorszyć i nie rozjątrzyć tój, od której już w domu wszystko zależało. Wszakże długo pani Mikoszevska, chociaż miała żal do bratowój, i jej przypisywała oziębienie serca ojca dla Bronisi, nie mogła jej odmówić szacunku, i w szczęściu brata znajdowała pociechę. Ale, gdy postrzegła, że hrabia Franciszek co rok dwa i trzy miesiące letnie przepędza na wsi, czego wprzód nigdy nie czynił; gdy zaczął dość często odwiedzać Rudnicę, przyjaźnić się z panem Tomaszem; gdy z jego oczu i twarzy wyczytała silne zajęcie, czego naturalnie pan Tomasz nie widział, a nie spuszczać z oka bratowój, dostrzegła mimo jej świętości i widocznego oddania się obowiązkom żony i matki, że jej ten hołd nie obraża; gdy parę razy w czasie bytności szambelanowój w Rudnicy, widziała wyraźnie, jak ta bystra postrzegaczka cudzych słabości wzrokiem swym ścięgała każde ich poruszenie, i nieraz ostremi przycinkami wywołała równie ostrą odpowiedź ze strony hrabiego, a nieznaczny rumieniec na twarz bratowój; gdy od tójże szambelanowój dowiedziała się, że hrabia był także u tychże samych wód zagranicą, dokąd pan Tomasz z żoną, z porady doktorów, po urodzeniu Tereni jeździł, — przekonała się, że nadskakiwanie to wielkiego pana nie jest bez zachęty, nie trwa tak stale bez podniecającej kokieteryi, i chociaż może tylko pochlebia próżności pięknej kobiety, już stawia ją na pochyłości, z której jej honor, a z nim honor i szczęście męża może się zsunąć i upaść. Przekonanie to odjęło jej szacunek dla świętoszki, której hypokryzyja tém wybitniej objawiła się jej zniechęconemu oku, i uczyniła jej pobyt w domu brata nieznośnym. Bojąc się więc, aby się nie wydała ze swemi podejrzeniami i swą niechęcią, aby jej te uczucia przykre i bolesne nie skusiły do otworzenia oczu bratu, a tém samém do zepsucia jego spokoju i szczęścia, które się opierały na niezłomnej wierze jego we wszystkie cnoty i miłości żony, korzystała z ukończenia dzierżawy swój wioski, Mędrówki, niedaleko Łagowa i Daleszyc leżącej, pożegnała dom brata, i oddawszy Bronisję opiece księdza Studzińskiego, wyjechała do siebie.

Do tego samego rezultatu, do którego pani Mikoszevska doszła przez pilną bacność, doświadczenie i kombinacyę, przyszła Bronisia instynktem serca, które się zaraz od początku zamknęło dla macochy, i mimo wszelkich z jęj strony usiłowań, mimo najlepszej woli ze strony dziecka, które czuło to, że mu już wyłączną miłość ojca odebrano, otworzyć się nie chciało. Bronisia admirowała swą macochę, ceniła te wszystkie karesy, któremi ją obsypywano, nigdy jęj nie uchybiła; ale nie mogła wyrobić w sobie wiary w jęj miłość, której tyle widziała pozorów, i na którą patrzyła zawsze, jak na coś udanego, co dziś jest, a za okazyą może się w zupełnie inne przemienić uczucie. Jest-to fakt prawie codzienném doświadczeniem stwierdzony, że dzieci pierwszej żony wtedy tylko kochają swoich przyrodnich, gdy je matka zostawiła w niemowlęctwie, gdy się ojciec ożenił prędko po jęj zejściu, gdy druga jego żona wychowała je wraz ze swemi dziećmi, nie czyniąc pomiędzy niemi żadnej różnicy, i utrzymując długo w niewiadomości straty, jaką poniosły. Ale dorosłe dziecko, a zwłaszcza córka, która już to pojmuje, że nowi przybysze do rodziny odbierają jęj prawa, jakie miała sama, nigdy się do takich braci i sióstr nie przywiąże sercem, braterskiego nie poczuje przywiązania, i choćby macocha była najlepszą w świecie kobietą, będzie dla nięj miała przyjaźń, szacunek, cześć nawet, ale na dzieci jęj patrzy zawsze jako na obcych, z któremi ją tylko prawny łączy stosunek. W takim położeniu i w takim usposobieniu względem tych ślicznych dziatek, któremi pani Tomaszowa obdarzyła jęj ojca, znajdowała się Bronisia. Pomimo najlepszego serca, tak skłonnego do kochania tych wszystkich, co ją otaczali, patrzyła na braciszka swego i siostrzyczkę obojętnie, i zmuszała się tylko do pieszczot, jakich od nięj doświadczali; a chociaż porzucała czytanie i rozumną rozmowę, bawiła się nawet z niemi czasem, ale przenikliwy wzrok matki czytał w jęj sercu, a nawet ojciec postrzegał, że to przymus, że się jęj to prędko przykrzyło, i że zwykła obojętność malowała się na jęj pięknej i pełnej wyrazu twarzy. Wszakże ani ojciec, ani macocha, nie śmieli jęj w tęg mierze żadnej robić wymówki; tylko pan Tomasz, przekonywając się coraz bardziej, że tak jest istotnie, że Bronisia, im się stawała starszą, w swoim postępowaniu, zajęciach i rozrywkach bardziej niezależną i nawet samowolną, tęg mniej sobie zadawała pracy w zmuszaniu się do uczuć, których nie miała, stygł w miłości swęj dla córki, a żona tęg bardziej czuła potrzebę osnucia go i splątania tak, aby to przywiązanie ojcowskie nie zawadzało w jęj przeprowadzeniu planu, jaki dojrzewał w jęj głowie.

W takim stanie były rzeczy w Rudnicy, gdy małżonkowie jednego poobiedzia, w pierwszych dniach czerwca, siedząc w salonie, jakeśmy to na początku powiedzieli, przypatrywali się igraszkom swych dzieci.

Pani Tomaszowa, przyglądając na kolanie robotę, którą była zajęta, i uśmiechnawszy się do męża tym słodkim uśmiechem, który go zawsze za serce chwycił, rzekła:

— Szczęśliwe dzieci, budują sobie zamki na lodzie, i nie wiedzą, co ich w dalszém życiu czeka.

— Cóż ich może czekać tak złego—odpowiedział mąż—jeżeli Bóg pozwoli im żyć, i da im zdrowie i moc ciała, a my damy im wychowanie takie, aby w każdym przypadku radzić sobie umiały?

— Zapewne — odpowiedziała, podnosząc ku niebu piękne swe oczy—jeżeli podoba się Opatrzności zachować nas przy życiu do tego czasu, który im da dojrzałość. Ale w przeciwnym razie... wszak nikt z nas nie wie, co go jutro czeka.

— Zkądże znowu takie myśli ci przychodzą, moja droga?—rzekł pan Tomasz, patrząc na nią wzrokiem, w którym całą jego miłość wyczytać mogła.

— Te myśli nie odstępują mnie nigdy — odpowiedziała. — Biją one we mnie ciągle, jak pulsa, które świadczą, że żyję; biją raz mnie dotkliwie, znowu bardziej boleśnie, i wtedy tylko się łagodzą, gdy głowa moja leży na twych piersiach, i gdy czuję uderzenia twego szlachetnego serca, bom wtedy tylko pewna, że póki serce to uderza i kocha, póty się żadna krzywda nie stanie ani mnie, ani tym aniołkom, którym dałeś istnienie, aby szczęście moje dopełniło się, nie tak jak zasłużyłam, ale tak jak Bóg łaskaw i wielki.

Głos jej drżał, wejrzenie jej przenikało do jego duszy. Pan Tomasz przysunął się do niej z krzesłem, objął jej kibić, a ona, związując się obiema rękami na jego ramionach, przychyliła twarz swą do jego twarzy, i z jakimś gorączkowym uniesieniem, jakby się bała, żeby go jej nie odebrano, całować go zaczęła. Pan Tomasz poił się temi pieścotami słicznej kobiety, a dzieci, widząc karesy rodziców, przybiegły, zaczęły się wdrapywać na kolana ojca i matki, wołając:—a my! a my!—Oboje więc w uniesieniu pochwycili je, tulili do piersi, tulili się do siebie, i tym sposobem urobiła się gruppa tak tkliwie matrymonialna, że obcemu oku, któreby wśród rąk i rączek obejmujących i głaszczących pana Tomasza postrzegło najpierw jego siwe włosy, wydałaby się może śmieszną. Ale szczęściem nikt na to nie patrzył, a małżonkowie i z sobą i z dziećmi pieścić się mogli bezkarnie. Gdy dzieci poskoczyły znowu do swoich zabawek, a pani Tomaszowa dalej stulę wyszywać zaczęła, rzekł mąż:

— Moja droga Hieronimko! niepotrzebnie niepokoisz się przypuszczeniami, które, da Pan Bóg, ziścić się nie mogą. To prawda, że dzień jutrzejszy nie zależy od nas, ale przyszłość jest zwykłe

skutkiem przeszłości, i co kto sieje na wiosnę, to mu się urodzi w jesieni.

— A grad, a posucha, a ulewy! jeżeli, mój znakomity gospodarzu, pozwolisz mi dopełnić po gospodarsku swój poetyczny frazes — przerwała pani Tomaszowa, uśmiechając się i spoglądając słodko na męża.

— Zapewne — odpowiedział — za przypadek nikt z ludzi ręczyć nie może. Ale sędzę jednak, i ty kobieta religijna, wierzysz bez wątpienia, że gdy cegła upada z dachu i zabija na miejscu tego, co w tej chwili przechodził, to jest ktoś, co wie, dla czego upadła. Przekonałem się w życiu mojem, że surowa sprawiedliwość trzyma tę szalę, na której ważą się koleje ludzkie na ziemi. Niecierpliwość tylko nasza i fałszywe wyobrażenie o tém, co jest dobrem ziemskim, i czego się często niebaczenie napiéramy, jest przyczyną, że los nazywamy ślepym, kiedy to właśnie my sami jesteśmy ślepi. Widzimy nieraz, że tacy, których mamy za złych, i którzy w gruncie serca zgadzają się z powszechném o nich mniemaniem, otrzymują dostatki, honory, żyją długo i cieszą się dumnie tém, co i oni i wszyscy nazywają darami ślepej fortuny. Gdybyśmy byli cierpliwi, możebyśmy i sami spostrzegli, że to mniemane dobro było dla nich właśnie początkiem owéj kary, jaka się dopełni gdzie indziej i zapewne inaczej, niż się tu zaczęła. Z drugieój strony, kiedy takim, których wszyscy mają za dobrych, i którzy w przekonaniu swém i sumieniu mają się za takich, wiedzie się na ziemi, kiedy mają szacunek ludzi uczciwych, pokój w domu, dostatek taki, jaki odpowiada ich niewygórowanym żądzom, zdrowie i siły do korzystania z tych darów Nieba i wypełnienia wszystkich obowiązków, jakie na nich leżą, to sędzę i przekonany jestem, że to także jest początkiem téj nagrody, jaka ciągnąć się powinna nieprzerwanie na ziemi, dopóki nie zacznie się inna, tam gdzie im przejść przeznaczono.

Pan Tomasz mówił to z powagą i z głębokiém przekonaniem, a żona, słuchając go z wyrazem przeniknienia i miłości, złożyła robotę i patrzyła na niego nieprzerwanie.

— Jeżeli teraz spojrzymy na siebie — mówił dalej, biorąc jéj rękę i tuląc w swoich dłoniach — a także, jeżeli zajrzymy w siebie i sumiennie ocenimy nasze położenie na ziemi, nasze życie przeszłe, wszystkie nasze myśli i chęci względem Boga i ludzi, wszystkie nasze plany i zamiary na przyszłość, nie możemyż jasno widzieć, i bez po-błażania i pochlebiania sobie powiedzieć, że to powodzenie, które nam Bóg daje, jest początkiem nagrody, jaką kiedyś lepszą otrzymać mamy za czystość naszych myśli i uczciwość naszych chęci? Jakaż tedy jest racya, aby się przerwała nieszczęściem?

Pani Tomaszowa spuściła oczy i cokolwiek pobladła, a mąż ścisnął jej rękę i mówił dalej:

— Znam ja twoją pokorę, moja droga Hieronimko! Wiem, jak surowo siebie oceniasz, i dla czego teraz oko się twoje schyliło ku ziemi i twarz pobladła. Podnieś je śmiało i spojrzysz śmiało w przeszłość, bo ja tak wierzę w trwanie błogosławieństwa Bożego, którym się cieszymy, jak przekonany jestem, że żadna umyślna krzywda nie ciąży na mojem sumieniu, jak wierzę w świętość twego życia i wszystkich twoich chęci dla szczęścia tych, co cię czczą i kochają.

Pani Tomaszowa odetchnęła i podniosła oczy na męża, w których było tyle wdzięczności, że mu się zdawało, iż ją uspokoił zupełnie. Zachęcony tym wyrazem jej twarzy, w którą z taką rozkoszą się wpatrywał, mówił dalej z ożywieniem:

— Od pierwszego otwarcia oczu uczulem tę miłosierną rękę, która mnie dotąd prowadzi po drodze życia. Bóg mi dał urodzić się w domu uczciwym, z rodziców bogobojnych i sumiennych, otoczył młodość moją przykładami pracowitości, umiarkowania, sprawiedliwości i miłosierdzia, dał mi od pierwszych lat przyjaciela i poradnika w kapłanie światłym i pojmującym świętość swego powołania; wniósł do domu mego zamożność wraz z nieocenionymi przymiotami serca i rozumu żony, która mnie nauczyla, co to jest miłość i poświęcenie oddanej mężowi kobiety. A jeżeli mi ją zabrał zbyt wcześnie, nie zostawiłże mi jej obrazu w córce, która dorosła szczęśliwie do wieku samopoznania, a zatem do pory prawdziwego i godnego rozumnej istoty życia; jeżeli mnie na czas niejaki zasmucił tak wielką stratą i dał uczuć na chwilę potężną swą rękę, czyż mnie nie pocieszył stokrotnie, czyż mi straty tej nie nagroził, uzbroiwszy serce moje przeciwko wszelkim pokusom, które mnie tu i owdzie nęciły, zrobiwszy mnie głuchym na wszelkie nanowy i rady, a zaprowadziwszy kroki moje jakby umyślnie pod dach bogobojnej kobiety, abym tam znalazł ciebie, obdarzoną takim sercem, które mnie uszczęśliwia, takim umysłem, który życie moje zdobi, ubogaconą takimi przykładami enoty i świątobliwości, które dla córek moich staną się największym bogactwem.

Pan Tomasz, mówiąc te słowa, był rzeczywiście wzruszonym, a żona jego, której oczy niezmiernie rzadko i z wielką trudnością plakały, zwątpiwszy, aby i w tej chwili oddały jej tę przysługę, nachyliła się zupełnie ku kolanom męża, i ręce i nogi jego całować zaczęła. On podniósł ją, i przycisnąwszy głowę jej do piersi, tak dalej mówił:

— Czyż takie dzieci nie są widomym błogosławieństwem tej samej ręki, która się nami opiekuje? Ich zdrowie, ich siły, ich rzeźwość i wesołość rokuja im długie życie, ich dobre serce i po-

słuszeństwo rokują nam z nich wielką pociechę. Tyle jest rodzin obsypanych darami fortuny, zasługujących swém postępowaniem na powszechny szacunek, nie obrażających oka ludzkiego żadną jawną nieprawością, żadną krzywdą, któraby głośno o zadosyć uczynienie wołała; a jednak życie ich przechodzi bezowocnie, a fortuna w cudze dostaje się ręce. Bo oko Opatrzności musi widzieć głębiej i inaczej, niż ludzie widzą, i nie tak rozporządza, jakby się im zdawało sprawiedliwém i słuszném. My nie mamy milionów, ale mamy ten skarb od nich droższy. Miliony bez dzieci uważałem zawsze za karę, jeżeli nie za grzechy tego, co ją ponosi, to za grzechy pokolenia, które zdaje się na to być przeznaczoném, aby wyginęło zupełnie.

— Wszyscy ci — mówił dalej pan Tomasz, napatrzywszy się przez chwilę na Stasia i Terenię — którzy mówią codziennie pacierz, proszą Boga codziennie o miłość ludzką. Czyż ją wszyscy mają? Niejeden zdaje się zasługiwać na tę łaskę nieba, a jednak jój nie dostał, bo musi być coś lub w głębi jego serca, lub w kierunku jego myśli, lub w jego tajemnych czynach, których oczy ludzkie nie widzą, co mu ją odbiera i niegodnym jój czyni. Ja od młodości mojej cieszę się tym darem bożym, który tak wysoko cenię, i za który codziennie niebu dziękuję. A odkąd mnie Bóg z tobą połączył, zdaje mi się, że dar ten pomnożył się w dwójnasób, że ten szacunek i przychylność, jaką mieli dla mnie przyjaciele, sąsiedzi, znajomi i podwładni, podwoiły się tą czią, jaką mają dla ciebie. Od tego też czasu, jak cię mam, żadna strata nawet materyalna nie dotknęła mnie, żaden ważniejszy smutek nie zasępił mego czoła. Dom mój kwitnie, wszystko rośnie: i drzewa w naszych ogrodach, i zboża na naszych polach, i dobytek w naszych oborach, i dzieci przy naszym łonie, i liczba życzliwych przy naszym stole. Raz tylko serce moje zatrwożyło się seryo, gdyś uczuła siły słabnące wtedy, gdyś tak ciężko wydała na świat to słodkie dziecię, tę rozkoszną dziewczynkę, co tam, patrz, z takim zajęciem stroi swoją lalkę i gotuje się do tych uciech macierzyństwa, jakie tobie przynosi. Ale i tu postrzegłem tę samą rękę, która wszelki ostry kamień usuwa z méj drogi. Lekarz twój poradził ci właśnie takie wody, które ci pomogły. A wieleż razy oni się mylą! Ten widać z téj łaski opatrznej, która czuwa nademną, nie pomylił się, i siła i zdrowie wróciły do twego ciała, rumieniec powrócił na twe słodkie lice, a pokój i ufność zagościły znowu w mojej duszy.

Pani Tomaszowa, może przypomniawszy sobie, że te wody zaordynowała sobie sama, zaczerwieniła się niezmiernie i spuściła oczy. Mąż przypisał to skutkowi wód przeciągającym się aż dotąd, i z tém większém uspokojeniem i ufnością dodał:



— Wprawdzie jako dobry katolik wierzę, że bez łaski nie może być człowiek ani dobrym, ani wolnym od win i grzechów, ani szczęśliwym tu na ziemi: ale jeżeli ta łaska jest widoczną we wszystkim musi być i zasługa. A jeżeli jest zasługa, jest i będzie nagroda, trwająca póty, póki zasługa trwać będzie. Uspokój się więc, moja droga Hieronimko, i ufaj, bo chęci moje jak były, tak i są czystymi, a Bóg nam dopomoże, że jak dotąd, tak i dalej, szczerze szukać będziemy dróg prostych, któremi iść będziem póty, póki życie nasze dla nich potrzebnem się stanie.

— O mój najmilszy mężu! — rzekła pani Tomaszowa, całując z przeniknieniem jego rękę — każde słowo twoje jest dla mnie dobrodziejstwem, jest ulgą, jest balsamem; a jednak nie wszystko to, coś o sobie z taką słusnością powiedział, mogę zastosować do siebie. Nie powinnam też równać się z tobą, ja kobieta zwyczajna i ułomna, chyba w chęciach, chyba w szczerém szukaniu owych dróg prostych, i w prośbie serdecznej do Boga — dodała, podnosząc oczy swe w górę i z westchnieniem, — aby mi je znaleźć pozwolił i zawsze na nich utrzymał. Zapewne, jest wiele w życiu mojem okoliczności, któreby mi powinny takie same dać przekonanie o trwaniu mojego szczęścia, jakie ty masz, i jakie, daj Boże, abys miał zawsze. Urodzić się z takiej matki, jaką mi Bóg dał, być tak wychowaną, jak ja byłam, zyskać za młodu taką życzliwość ludzką, jaka mnie otaczała, otrzymać wreszcie takiego jak ty męża, i stać się matką takich dzieci, o! to są jawne dowody miłosierdzia Bożego i zlewającej się na mnie łaski, któraby mnie uspokajać powinna. Nawet tu, w nowém miejscu, gdzie cnoty mojej matki nie utorowały mi drogi do serc ludzkich, gdzie mnie uprzedził okrzyczany tytuł drugiej żony, gdzie każdy chciał czytać na mojem czole to już przedwcześnie potępiające słowo: macocha, przy pomocy miłości twojej i tej samej łaski Bożej, zyskałam i miłość i szacunek. Uznali ludzie moje dobre chęci, obdarzyli mnie przyjaźnią i poważaniem nawet tacy, których urodzenie i życie światowe przyuczyło widzieć w młodej kobiecie tylko cacko, tylko igraszkę, nasuwającą się chętnie ręką, co je biorą z nudy i odrzucają złamawszy. A jednak, wśród tego powodzenia jest rzecz, co mnie straszy, co mi tém bardziej teraz, gdym cię z taką wysłuchała uwaga, odbiera ufność i każe myśleć nad sobą.

— Cóż to takiego? — zapytał mąż, patrząc pilnie na jej twarz i oczy schylone do ziemi.

— Ach mój drogi Tomaszu! — rzekła, składając ręce z takim wyrazem, jakby się uniewinniać chciała. — Wierz mi, ja codziennie mówię pacierz, codziennie proszę Boga o miłość ludzką, a jednak dwie istoty najbliższe mego serca, za których przyjaźń i ufność dałabym

część mego życia, nie kochają mnie, a co gorsza, nie szanują i nie wierzą mi.

Pan Tomasz schylił głowę i nie zapytał, kto to taki. Spozstrzegł on to i sam, chociaż odsuwał od siebie te myśli, chociaż nie sprawdził, nie zgłębiał tych postrzeżeń, bojąc się, aby się nie zamieniły w przekonanie, któreby szczęście jego podkopać mogło. Przenikliwa kobieta zgadła, co się w tej chwili działo w jego duszy, i dodała:

— Daruj mi, że ci to mówię. Wiem, że tej materji nie lubisz, że nie powinnam dotykać tej struny, która boleśnie brzmi w twém sercu. Ale ból, jaki mi ta okoliczność daje, za ciężki jest na mnie samą. Ja ci przysięgłam przed Bogiem, że się podzielę każdym twoim smutkiem, dla czegoż ty nie masz nieść połowy mojego? Że to nie jest przywidzenie, sam to czujesz. Ale moją to wina? Widziałeś od początku, com robiła, żeby zyskać przyjaźń i ufność twojej siostry. I zdawało mi się, że usiłowania moje nie były daremne. Jak mnie to uszczęśliwiło, to ci nie tajno. Czuleś nieraz pod swoją ręką tę radość, jaką biło moje serce, gdym ci o tem mówiła: widziałeś mnie nieraz na kolanach modlącą się i dziękującą Bogu, że mi dał to zwycięstwo, któregom tak gorąco pragnęła. Nieszczęściem, krótko trwało moje złudzenie. Wkrótce spostrzegłam przymus w jej obejściu, nieszczerosć w jej uśmiechu, nieufność w moję miłość dla twojej córki; dostrzegłam, że wątpi, czy szczerze korzę się w kościele, czy nie dla oka ludzkiego wypełniam wszystkie te obowiązki, które dla mnie są tak święte i drogie. A nawet nie uwierzysz — że temu, ty, co znasz moją miłość dla siebie, widziałam w jej oczach i twarzy, domysliłam się z dalekich alluzyj i ubocznych przymówek, że miała w podejrzeniu nasze stosunki życzliwości i sąsiedztwa z hrabią, posądzając go — dodała, ruszając ramionami — o jakies niby mną zajęcie się, a mnie, matkę twoich dzieci, kobietę, której Bóg dał pokochać takiego, jak ty, człowieka, o wywołanie grzeczności, o kokieteryą wielkiego pana, który może mieć swoje zalety, ale nie szanowałby mnie pewnie, jak szanuje, i nie żenowałby się wcale, gdybym mu do złej myśli najmniejszy dała powód.

— Co za głupstwo — rzekł pan Tomasz machnąwszy ręką.

— Zapewne — odpowiedziała Hieronima — że to jest taka niedorzeczność, na którą tylko można się uśmiechnąć i ruszyć ramionami. Nie inne też to na mnie zrobiło wrażenie, gdym spostrzegła, że szambelanowa nie spuszczała z ocz hrabięgo, i ważyła w swym złośliwym rozumie każde nasze słowo. Ale szambelanowej to wolno: to jej rzemiosło, widzieć wszędzie złe, gdzie go nawet nie ma, i z zapomnieniem o ósmém przykazaniu, gdyż pewnie już o wszystkich dziesięciu zapomniała, mówić fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu swemu. Lecz widzieć takiego rodzaju krzywdzące podejrzenia w kobiecie tak

ludzkiej, tak poważnej, tak szanownej, którą wielbię, chociaż ona mnie nie kocha i w myśli swęj obraża, to już, mój drogi mężu, nie jest niedorzecznością, to ból głęboki, to zapewne, według tego coś mówił, początek owęj kary Bożęj za grzech, który może popełniłam, który musi na mnie ciężyć, choć go w duszy swęj nie widzę i oczyścić się z niego nie mogę, ani przed tobą, ani przed Bogiem.

Pani Tomaszowa zakryła twarz obiema rękami, schyliła się ku piersiom męża, który objął jęj głowę i serdecznie do siebie przycisnął. Ale nim się zebrał na perswazyę, ona podniosła się, i kładąc rękę na jego rękę, dodała:

— Żal mi, żeśmy te materye rozpoczęli, żal tęp większy, że to jeszcze nie koniec. Ale ty, co po Bogu jesteś jedynym lekarzem mego serca, miałabyś tylko połowę rany jego widzieć, kiedy druga połowa jeszcze bardziej niż ta zajątrzona. Nie patrz na mnie z takim smutkiem i z taką trwogą. Niestety! domyślasz się, o czém mam mówić! Ale może to jeszcze Bóg odmieni, może mi natchnie jaki środek, który zdoła otworzyć to młode serce tak dla mnie zamknięte. Dotąd robiłam wszystko, com mogła. Przywiązanie i troskliwość rodzonęj matki nie byłyby większe. Oddawałeś mi w tęp świadectwo i ty, i ksiądz Studziński, i wszyscy, którzy patrzyli i patrzą na moje postępowanie. A jednak Bronisia nie kocha mnie. Istota tak pełna serca, która do matki mojęj przylgnęła od razu z taką czcią i miłością; przy żywości swęj i samowolności tak jednak tkliwa, kochająca wszystkich, co ją otaczają; tak dojrzała rozumem, tak zdolna przeniknąć szczerosć i prawdę w każdym kroku, który widzi, w każdym słowie, które słyszy; tak mogąca ocenić, czém jestem dla ciebie, i czy daję ci, czy nie, to szczęście, na które zasługujesz; a jednak nie kocha mnie. Ona nie uznaje we mnie matki, której serce otwarłoby się na każdy jęj smutek i na każdą radość: dobrém słowem, wdzięcznym ściśnieniem ręki nie płaci mi za moję miłość, ani dla ciebie, ani dla nięj. Nie chybia mi, to prawda, ale cóż mi z tego, kiedy w jęj obejściu się z każdym, ze sługą nawet, jest serce, a w obejściu się ze mną tylko grzeczność, tylko forma czczy, pusta i bez duszy.

Pan Tomasz spuścił głowę i zakrył oczy, a Hieronima mówiła dalej:

— Ale to jeszcze nic. Ja jestem dla nięj obcą, a nawet gorzej, niż obcą. Bo choć w sercu mojęm go nie ma, ale na mojęm czole jest to słowo: *Macocho*. Ależ te dzieci!... wszak to twoje dzieci, to jęj brat, to jęj siostra, a jednak...

Pan Tomasz podniósł głowę i wpatrzył się na żonę, która dodała z mocą i przekonaniem:

— Ona ich nie kocha... i jeżeli gniew Boży dopuści, że zostaną na jęj lasce... O! wtenczas...

W tejże samej chwili drzwi się otwarły, i weszła panna słuszną, wysmukłą, pięknych rysów, z rumieńcem na twarzy białej i puszystej, z błękitnym okiem, które patrzyło śmiało i wesoło. Miała na sobie czarną sukienką amazonkę, wydającą słizny jej biust, i której długi ogon trzymała zgrabnie na lewej ręce. W prawej miała szpierzogę, a na głowie aksamitny czarny berecik z piórem, leżący zgrabnie na włosach jasnych, zwiniętych w gęste pukle, i podpięty pod brodą wążutką aksamitką. To była Bronisia.

Przy niej wszedł dwudziesto-trzyletni młodzieniec, jasno-włosy, wysoki, dobrze ułożony, przystojnie bardzo ubrany, i trzymający w jednej ręce kaszkieciak, a w drugiej także szpierzogę. W pięknej jego twarzy widać było tylko powagę i moc woli, na czole zamyslenie, a choć ładne błękitne oczy patrzyły spokojnie, a rumiane usta uśmiechały się pod wąsikami, które tylko co puszczać się zaczynały, w ogólnym wyrazie jego twarzy było coś melancholicznego, zdradzającego głębokie uczucie. To był Michaś Mikoszewski.

Gdy mały Staś, który bawił się przy drugim końcu pokoju, spostrzegł Bronisję przybraną do spaceru, konno, puścił się ku niej pędem; ale zaczepiwszy się o sznurek, który się za nim ciągnął, upadł jak długi przy jej nogach, i mocno płakać zaczął. Bronisia zatrzymała się, spojrzała na niego niedbale, i wyminawszy leżącego twarzą ku ziemi chłopca, szła dalej. Wtedy gniew i nienawiść błysnęła przelotnie w oczach macochy, a pan Tomasz zmarszczył czoło, powstał i rzekł do córki, jakby z wymówką:

— Czemużes go nie podjęła?

— Chłopiec powinien sobie radzić sam — odpowiedziała Bronisia i szła dalej do ojca, który usiadł na dawnym miejscu, i spojrzawszy na nią, zapytał obojętnie:

— Dokąd-że to?

— Jedziemy z Michasiem na spacer. Przyszłam opowiedzieć się.

— Sami? — zapytał ojciec.

— Stefan jedzie za nami. Zresztą spacer będzie niedaleki.

— Chmurzy się — mówił znowu pan Tomasz, spojrzawszy w okno.

— To nic — odpowiedziała Bronisia wesoło. — Ja lubię burzę. A przytém wiész, ojeze, że tam w obłokach mam przyjaciół i opiekę. Nic mi się złego nie stanie.

Pan Tomasz ruszył ramionami, a ona, pocałowawszy go w rękę, dodała:

— Do widzenia, drogi ojeze! z herbatą proszę na nas nie czekać. Zaproszeni jesteśmy do dziadka, u niego przepędzimy wieczór. Au revoir Maman! — dodała, nachylając się ku pani Tomaszowej, i przyłożyła usta swe zaciśnięte do jej czoła. Bronisia, ile razy chciała na-

zwać ją t $\acute{e}$ m imieniem, do kt $\acute{o}$ rego wszystkie macochy tak wielk $\acute{a}$  maj $\acute{a}$  pretensy $\acute{e}$ , zawsze wyraz ten wymawiała po francuzku. Serdeczne to s $\acute{l}$ owo: mam $\acute{o}$ ! matko! kt $\acute{o}$ r $\acute{e}$ m nazywała t $\acute{e}$ , co j $\acute{e}$ j dała życie, do kt $\acute{o}$ r $\acute{e}$ j myśli j $\acute{e}$ j wznosiły si $\acute{e}$  z t $\acute{e}$ s $\acute{m}$ not $\acute{a}$ , by $\acute{o}$  dla ni $\acute{e}$ j zanadto s $\acute{w}$ ięt $\acute{e}$ m brzmieniem, aby je rzucać bez serca i bez mi $\acute{o}$ sci, kt $\acute{o}$ r $\acute{e}$ j nie czuła. Macocha niby przestawała na t $\acute{e}$ m, ojciec by $\acute{l}$  kontent, i tak zachowywały si $\acute{e}$  owe formy, kt $\acute{o}$ rych ch $\acute{l}$ ód Hieronima dobrze czuła. Gdy Michaś uklonił si $\acute{e}$  z uszanowaniem obojgu, a Bronisia by $\acute{l}$ a ju $\acute{z}$  bli $\acute{z$ ej drzwi, znowu Staś biegł za ni $\acute{a}$  i wołał:

— Bronisiu, weź i mnie; ja pojed $\acute{e}$  z tob $\acute{a}$  na żywym koniku! — I dop $\acute{e}$ dziwszy j $\acute{a}$ , chcia $\acute{l}$  si $\acute{e}$  uczepić j $\acute{e}$ j sukni.

Wtedy Bronisia jakby miała wstr $\acute{e}$ t, żeby si $\acute{e}$  j $\acute{e}$ j dotkn $\acute{a}$ ł, odwinęła poły sw $\acute{e}$ j amazonki, i usuwaj $\acute{a}$ c si $\acute{e}$  na bok, rzekła:

— Powalasz mi sukni $\acute{a}$ . Brudne masz r $\acute{e}$ ce. Idź umyj si $\acute{e}$  i nosek sobie obetrzyj — i poszła żywo, nie zważaj $\acute{a}$ c na płaczącego i zawstydzonego ch $\acute{l}$ opca.

— Słyszalesz — zawołała z j $\acute{e}$ kiem Hieronima, i rzuciwszy sw $\acute{a}$  robot $\acute{e}$  i zakrywaj $\acute{a}$ c twarz chustk $\acute{a}$ , jakby t $\acute{u}$ miła w sobie łkanie, powstała i wyszła do swojego pokoju.

Pan Tomasz odurzony t $\acute{e}$ m, co na wlasne oczy widzia $\acute{l}$ , położył r $\acute{e}$ k $\acute{e}$  na czole, i tak siedzia $\acute{l}$  d $\acute{l}$ ugo, pograżony w ci $\acute{e}$ żkich myslach. Pot $\acute{e}$ m, rzuciwszy okiem do pokoju żony, i widz $\acute{a}$ c j $\acute{a}$  ci $\acute{a}$ gle z chustk $\acute{a}$  przy oczach i kiwaj $\acute{a}$ c $\acute{a}$  g $\acute{o}$ w $\acute{a}$ , jakby ci $\acute{e}$ żko płakała, powstał i szedł ku ni $\acute{e}$ j z zamiarem u $\acute{z}$ ycia s $\acute{l}$ odkich s $\acute{l}$ ów, prośb i perswazyj, coby j $\acute{e}$ j boleś $\acute{c}$ , kt $\acute{o}$ r $\acute{a}$  t $\acute{a}$  raz $\acute{a}$  uwa $\acute{z}$ al za s $\acute{l}$ uszn $\acute{a}$ , chocia $\acute{z}$  zawsze coś m $\acute{n}$ szep $\acute{t}$ alo, że post $\acute{e}$ pek Bronisi ze Stasiem by $\acute{l}$  racz $\acute{e}$ j skutkiem roztrzepania, ni $\acute{z}$  z $\acute{l}$ ej woli, ukoić mogły. Ale Hieronima, posłyszawszy jego kroki, uprzedziła go p $\acute{r}$ ędko, otarła oczy, powstała, i ze s $\acute{l}$ odkim uśmiejchem składaj $\acute{a}$ c r $\acute{e}$ ce i kład $\acute{a}$ c je na jego piersiach, rzekła:

— Drogi mój, nieoceniony m $\acute{e}$ żu! daruj mi! przebacz matce wst $\acute{e}$ pek żony. Zmartwiłam ci $\acute{e}$  niepotrzebnie. Chwila namysłu i szczere westchnienie do Boga, aby mnie oświecił, przekonały mnie, że to by $\acute{l}$  przypadek, że to humor Bronisi, a nie zła ch $\acute{e}$ ć dla dziecka naszego, poda $\acute{l}$  niejako powód, iż to by $\acute{l}$ a prawda, com ci w t $\acute{e}$ j chwili mówiła. Zapomnij wi $\acute{e}$ c o t $\acute{e}$ m, jak ja ju $\acute{z}$  zapomniałam i przebaczyłam, i nie rób j $\acute{e}$ j żadnej wym $\acute{o}$ wki; błagam ci $\acute{e}$  o to na kolanach — i zsuwaj $\acute{a}$ c si $\acute{e}$  do jego kolan, nogi jego obejmować zaczęła. Pan Tomasz rozrzewniony podni $\acute{o}$ sł j $\acute{a}$ , pochwycił w swoje ramiona, i tul $\acute{a}$ c do ukonj $\acute{o}$ nej, wierząc $\acute{e}$ j i rozmi $\acute{o}$ wanej piersi, wołał:

— O! tyś anioł, Hieronimko! gdzie jest druga kobieta, kt $\acute{o}$ raby warta by $\acute{l}$ a rzemyk u trzewika twojego rozwi $\acute{a}$ zać?

Pięć lat przesunęło si $\acute{e}$  nad g $\acute{o}$ w $\acute{a}$  Bronisi od t $\acute{e}$ j chwili, gdy bieg $\acute{a}$ ła za motylkami, gdy rachowała centki na skrzydełkach kr $\acute{o}$ wek,

gdy się bawiła z wiewiórkami dziadka i lasowała jego truskawki i wiśnie. Pięć lat w tej porze życia, to przedział ogromny: od pączka do pełnego kwiatu, od zamglonej jeszcze ostatkiem nocy jutrzynki, do zupełnej jasności świeżego ranku, od marzeń niewyraźnych, splątanych, bez formy i wymiarów, do zupełnego rozbudzenia się duszy, do uznania siebie i cudów świata. Wszakże, jakkolwiek wielkim jest przedział ten dla wszystkich dziewcząt, nie jednaką jednak ścieżką, nie jednakowo prędko wstępują one na tę wysokość, z kądem przed ich okiem odkrywa się szeroki horyzont rzeczywistego życia, z kądem rozmaite prowadzą drogi, gdzie głos niewidomy mówi każdej, która tam staje:— wybieraj! idź teraz o własnej sile! idź na prawo lub na lewo!— Czasem źle zrozumiana miłość rodzicielska przedłuża tę ścieżkę, czasem skrzywione wychowanie paczy ją, wykręca i błędną czyni: najszczęśliwsza ta, którą rozumna matka przyprowadzi na ten punkt, i pokaże jej drogę, którą przeżegna i łąką swoją poświęci. Bronisia tego szczęścia nie miała, ale inne okoliczności postawiły ją wcześniej na tym szczytce, gdzie poznała sama siebie, i dojrzałym okiem spojrziała na to wszystko, co ją otaczało. Strata matki i tęsknota za nią rozwinęły w niej ten popęd do szukania ulgi, pociechy i rady w nadziemskim świecie, a zatem do częstego i wczesnego zamysłania się i pocuwania w sobie duszy. Wychowywała się prawie samotnie, nie wśród towarzyszek płochych, dziecinnych, oddanych zabawkom nic nieznośnym i nie obudzającym żadnej myśli; ale wszyscy, ojciec, ciotka, ksiądz Studziński, dwaj jej nauczyciele, były to osoby poważne; wszyscy pozwalali jej swawoli właściwych jej wiekowi, ale w częstych z nią rozmowach, zniżając się do jej pojęcia, zawsze ją podnosili do siebie. Nawet Michaś, jakkolwiek o cztery lata tylko od niej starszy, przez swe usposobienie i kierunek myśli, taki sam wpływ na nią wywierał. Przybycie do domu macochy, od której coś ją odpychało, której ani otworzyć swego serca, ani jej go oddać nie mogła, jeszcze ją bardziej osamotniło, uczyniło baczniejszą na siebie, uważniejszą na wszystko, i wygnawszy ją niejako z koła rodzinnego, gdzie często wśród pieśczęt rodziców i rodzeństwa dusza dziewczyny gnuśnieje, wyrzuciło wcześniej jej myśl za dom, na szeroką ziemię, w wir życia, którego nie znała wprawdzie, ale o którym wiedzieć się starała przez naukę, czytanie i rozmowę z tymi, co nad nią z taką usilnością pracowali. Ztąd, mimo bystrości imaginacji i tkliwości najlepszego serca, skłonnego do kochania tych wszystkich, w których widziała prawdziwą dobroć i prawdziwą miłość, coś męzkiego objawiało się w jej umyśle, w jej charakterze, a nawet w jej manierach i rozrywkach, któremi naukę, pracę i obcowanie z ludźmi poważnymi urozmaić chciała. Gdyby się była wychowała w mieście, wśród świata oddanego uciechom i próżności, byłaby może inną. Ale Bronisia, któ-

ra do osiemnastego roku życia nie opuszczała Rudnicy, choć w domu ojca, zwłaszcza po jego ożenieniu, widywała kobiety próżne, zajęte sobą, swoim strojem, strzelające oczami i kokietujące, nie zważała na to bynajmniej i nie pomyślała nawet, aby której z nich pozazdrościć, lub ją naśladować. Cudny ranek, głęboki las, szerokie pole, to była jej namiętność. Upředzenie czasem księdza Studzińskiego w ranném wstaniu, zaroszenie się w pogoni za rzadkimi roślinami, uchodzenie się tak, że wszyscy, co jej towarzyszyli, ustawiali na nogach, upędzanie się konno po polach, to jej największa rozkosz i cała próżność. Garderoba jej była piękna i liczna, bo i ojciec chciał ją stroić, i macocha starała się tym sposobem ująć ją i przypodobać się. Wszystko to jednak leżało nieużyte. Ona miała kilka upodobanych sukienek, dobranych wprawdzie z gustem, leżących na niej ślicznie, wydających jej kibić doskonale, ale takich, co jej nie krępowały, co każdy jej ruch swobodnym czyniły, w które mogła się ubrać prędko, prawie bez zwierciadła, zupełnie tak, jak mężczyzna rozsądny ubiera się w swoją zawsze prawie tę samą suknię, czysto, z pewną elegancją, nie przywiązując jednak do téj powłoki ciała jakiegóś próżności i wagi, nie namysławiac się i nie wybredzając. Wtenczas tylko zajrzała czasem do zwierciadła, kiedy występowała w amazońce, jakby to była jej najparadniejsza suknia, w której lubiła na siebie spojrzeć. Przy téj jednak pozornej niedbałości o swe powaby, wydała się wszystkim dziwnie piękną. Czystość dziewicza, która była w jej myśli i sercu, rozlewała się na jej powierzchowność, a brak pretensyi, niezajmowanie się sobą i tém, co jest dla niej, sprawiły, że choć nie wystrojona, była prawie zawsze lepiej od innych ubrana. Taką była w osiemnastym roku owa swawolna, skacząca, śpiewająca, a czasem zamysłona Bronisia. Wesołość i dobry humor zostały jej, śmiech serdeczny nie opuszczał, zwłaszcza w obecności tych, których kochała, i gdy nie miała przed sobą słodko ułożonej twarzy macochy; ale śpiew, taniec, szczebiotanie zastąpiły książka, rozmowa, spacer i koń; a to w pół senne najczęściej i mimowolne zapatrywanie się w niebo zastąpiło przytomne, świadome budowy świata zagłębianie się w nieskończoności, gdzie duch jej lubił przebywać, gdzie często po godzinach całych błąkała się od gwiazdy do gwiazdy, gdy siedziała samotnie w swém oknie, lub gdy w ogrodzie położyła głowę na ramieniu starego księdza, a on jej mówił o Bogu, i o nieśmiertelności duszy nauczał.

Michał, ukończywszy gimnazyum w Kielcach, bawił parę miesięcy w Rudnicy. Już wówczas osiemnastoletni chłopak, przypatrując się rozwijającym szybko wdziękóm Bronisi, widząc, jak lubiła jego towarzysztwo i szuka jego rozmowy, czując się dumnym i podniesionym w oczach własnych przez to, że on tylko jeden miał jej zupełną ufność,

że przed nim tylko mówiła śmiało i otwarcie, co o macosze swęj myślała, że w jego radach szukała umocnienia, w jego słowach pociechy, zaprzestał prawie myśleć o zawodzie duchownym, a czując w sercu swém objawy jakiegoś niewysłowionego stanu, doznając już wyraźnie uczucia, co się miało stać treścią jego życia, z całego zaś jęj postępowania z sobą wnosząc, że gdy dorosnie, gdy dusza się jęj rozbudzi, to się rozbudzi dla niego, nie chciał sam zagradzać sobie drogi do tego szczęścia, o które wolno mu było pokusić się, które, widać, zgadzało się z wolą Bożą, kiedy wszystko tak się składało, aby było prawdopodobném. Gdy więc pan Łuniewicki, po długiej konferencji z siostrą i księdzem Studzińskim, wezwał go do siebie i zapytał, jaki sobie stan obiera, czy trwa w dawniejszych swych chęciach i życzy sobie, aby go do akademii duchownej wysłał, zaczerwienił się chłopak mocno, potem zbladł, pomyślawszy, coby tym sposobem utracił, i po krótkim namyśle, drżącym głosem, ale z postanowieniem niezłomném oświadczył, że nie czuje w sobie jeszcze natchnienia do tego stanu, którego całą świętość pojmuje, że jeżeli mu ono przyjdzie później, to nic nie przeszkodzi, że będzie starszym i więcej ukształconym, że zatem prosi matki i wuja, jeżeli ich łaska łożyć dalej na jego utrzymanie, aby go wysłali do Dorpatu, gdzie tymczasem na wydział filologiczny uczęszczać będzie. Życzeniu jego stało się zadość. Michaś wysłany został do Dorpatu, i po czterech latach pobytu między Niemcami, nauczywszy się dobrze po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku, przejrzawszy starożytność od kąta do kąta, napatrzywszy się na własne oczy rozmaitych edycyj starożytnych autorów *cum notis variorum*, ale przy drobiazgach filologicznych nakarmiwszy ducha prawdziwą nauką, głębszém zbadaniem tych kolei, przez jakie myśl ludzka przechodziła, powrócił do domu ze stopniem akademickim, a co lepsza, z głową rozwiniętą, przygotowaną i umocnioną do dalszej drogi o własnych siłach, bez tego zarozumienia, że już doszła do słupów granicznych wiedzy ludzkiej, ale o tyle dojrzała i mocną, że mogła ocenić każdego przewodnika, który się jęj do dalszego kierunku nastęrczał, czy warto, czy nie warto iść za nim dalej i zapuszczać się w te przestrzenie, które się przed nią coraz szerzej i szerzej otwierały.

Prowadząc życie umiarkowane, i, o ile to wolno między burszami, ustronne, nie nabywszy wraz z erudycją i złych nałogów, nie oberwawszy ani szramy, ani guza, bo zaraz z początku pokazał, że chociaż spokojny i łagodny, zepchnie silnie każdego, kto mu nastąpi na nogi, zachował zdrowie i obyczaje, nie zbrudził niczém serca, bo je uważał za świątynię, w której to tylko mieścić się powinno, co jest najwyższém na niebie, co jest najczystszyćm na ziemi. Gdy się żegnał z Bronisią, podała mu obie rączki i ze łzą w oku rzekła: — Michasiu,



nie zapomnij o mnie! — I słowa brzmiały w jego uszach przez cały ciąg pobytu jego w uniwersytecie, mieszały się nieraz z głosami starej Hellady, i jak echo serdeczne odzywały się wtedy, gdy Wirgiliusz, jedyny starożytności poeta, chrześcjanin już sercem i miłością, rozrzucał go swoją harmonią i pobożnym wyrazem przenikał. Nie zapomniał więc cudnego dziecka, które ukochał świętym przywiązaniem, i tak strzegł swych myśli, aby na ten obraz niewinności, który czeił w duszy, jakakolwiek nie padła plama. Po trzech latach, na wiosnę, odebrał od Bronisi list tak pełen tęsknoty, tak malujący jej osamotnienie po odjeździe ciotki, tak wzywający od niego rady i pociechy, przytém okazujący taką dojrzałość myśli, tak rozumne ocenienie jej położenia i wszystkich okoliczności, co ją otaczały, opisujący tak dokładnie i żywo jej zajęcia, jej naukę i rozrywki, że Michaś, w którego myśli Bronisia była zawsze dzieckiem dobrém, żywém, rozumnym, pełnym imaginacyi, ale dzieckiem, które jeszcze swawoliło, śmiało się i płakało razem, nie mógł się upamiętać i wyjść z podziwienia. Gdy się obrachował z czasem, przekonał się, że Bronisia ma już lat siedemnastu, że to już panna której rozum dojrzał, której dusza rozbudziła się i serce nabrało mowy i głosu. Wtedy zaczął ją sobie wyobrażać, jaką być mogła w tym wieku, w tém pełnym rozwinięciu, i tak cudną urobił sobie postać, że serce jego drżało z niecierpliwości sprawdzenia ideału z rzeczywistością, i ukochania jej równie czystą, równie nieskażoną, ale gorącą miłością młodzieńca, który już także i sam dojrzał i całą już swą istotą żyć zaczął.

Łatwo więc sobie wyobrazić, z jakimi myślami dojeżdżał do Rudnicy, gdy po odbyciu trzecio-kursowego egzaminu, na parę miesięcy wyrwał się z Dorpatu. Zdawało mu się, że serce jego pęknie od radości i uniesienia, gdy ją zobaczy, że upadnie jej do nóg i wypowie od razu wszystko, co się tam przez trzy lata oddalenia nabrało. Ale na widok tej panny, piękniejszej jeszcze i inszej, niż było jego wyobrażenie, która go po dawnemu przyjęła, która obchodziła się z nim, jak siostra, cieszyła się nim, i wynurzała się z tém wszystkiém co jej na sercu leżało, znikła jego śmiałość. Jakiś wstyd go ogarnął, a miłość jego, im bardziej wzmagała się jej postępowaniem, zasuwawała się jakoś w głąb jego serca, i mimowolnie przybrać musiała pozory braterskiego przywiązania. Niemniej przeto stawała się coraz głębszą, i tém melancholiczniejszy wyraz dawała jego rysom i spojrzeniu. Z takim uczuciem wyjechał Michaś z Rudnicy, nie widząc w Bronisi nic, prócz przywiązania siostry, nie zdobywszy się na żaden głos, któryby wydał prawdziwy stan jego serca, i z takim, a stokroć głębiej zakorzeniem, po zupełnym ukończeniu uniwersytetu powrócił.

I teraz, ile razy przybywał do Rudnicy, witała go Bronisia jak wówczas, kiedy przyjeżdżał na wakacje z Kielc. Zawsze go na-

zywała Michasiem, czepiała się jego ręki, gdy szli razem, rezonowała z nim i sprzeczała się, w ogólnej rozmowie, gdy on co utrzymywał, zawsze trzymała jego stronę, dbała o jego wygodę w domu, siadała przy nim przy stole, z nim najlepiej lubiła jeździć, czasem żartowała sobie z niego, gdy nieśmiało zążywał wierzchowca, którego mu wybrała, czasem siadała z nim na koźle, gdy się uparła, aby on wioził ich na spacer, karyolką, i śmiejąc się, odbierała od niego lejce w miejscach niebezpiecznych, jak dziecku, nad którym swą rozciągała opiekę; troszczyła się o jego przyszłość, o jego karierę, ale nigdy ręka jej nie zadrżała, gdy jej dotykał, nie zarumieniko się jej lice na jego widok, nigdy uśmiech jej nie powiedział mu, że o nim marzy, nigdy wejrzenie jej nie próbowało zajrzeć do głębi duszy, aby zbadać, co się tam dzieje. A tymczasem dla tej duszy, pełnej miłości Boga, prawdy i tego świata, co płynie z nieba, jej obraz był jednem ogniwem, co ją łączył z ziemią i dawał ziemskiego szczęścia nadzieje.

Już była przeszło ósma. Chmury, które groziły burzą, przeszły, i wieczór cichy, pogodny i świeży orzeźwił powietrze, i pozwalał oddychać swobodnie i całą piersią. Stefan, stary i doświadczony towarzysz, który jej konie ujeżdżał i na wszystkich wycieczkach towarzyszył, siedział sobie na schodach pod figurą Matki Boskiej, i odmawiał pacierze, a chłopak stajenny, któremu Bronisia kazała czekać na probostwie, przeprowadzał po gościńcu zgrzane konie.

Tymczasem na ganku przed domem proboszcza kończył się już podwieczorek. Bronisia odsunęła od siebie prózną filiżankę, wsparła głowę na rękę, i kontynuując zaczęłą rozmowę, rzekła:

— Ach dziwna to rzecz, mój drogi dziadku, jaka ja już jestem stara.

— W ósmnastym roku — odpowiedział ksiądz Studziński, kiwając głową.

— Bo starość jest podwójna: starość ciała i starość duszy. Ty naprzykład, dziadku, stary jesteś ciałem, włosy twoje białe, twarz pomarszczona, ręce zaczynają się trząść, i nogi odmawiają swęj posługi; ale twoja dusza nie zmieniła się nic, nie straciła swęj dawniejszęj żywości, i czego w świętęm powołaniu twęm pragnęła i spodziewała się przed czterdziestu laty, tego pragnie i gorąco życzy i dziś. Jęj droga jedna i wiadoma; idzie nią rzeźko, ciągle naprzód i naprzód, niecierpliwie oczekuje nowego święta, aby słowem bożęm nakarmić tych, co po nie przyjdą zgłodniali; marzy o mającym nastąpić odpusćie, aby z miłością spuściła się na padających na twarz grzeszników; spodziewa się, że może choć jeden przelamie, jednę przynajmniej pychę ukorzy, jedną zbłąkaną owieczkę weźmie na ramiona i do owczarni bożęj zaniesie. Wśród tych żąd, co ją nieustannie grzeją, wśród tych nadziei, co jęj świecą, zieleni się, jak młoda brzoza

na starej i złamanej ruinie. A gdy Anioł śmierci przyjdzie i weźmie ją z ziemi, i dłońmi swemi otuli, bądź pewny, że ją równie pełną życia, gorejącą równie, zaniesie przed tron Boga, jaką tu była. A ja...

— Ty — odpowiedział ksiądz Studziński — stanęłaś dopiero na tej granicy, która dzieli dziecko od kobiety, i sama nie wiesz, gdzie jest to słońce, które powinno duszę twoją grzać i jej świecić, czy przed tobą, czy za tobą.

— Nie, nie, mój drogi dziadku! — mówiła Bronisia — ja już dawno przestałam być dzieckiem, i wiem, że młodość i życie duszy jest w miłości, jest w nadziejach, jest w ustawicznym po nie sięganiu, jest w żądzy uchwycenia tej uludnej mary, co jak motyl przed dzieckiem, unosi się przed sercem kobiety na tęczyowych swych skrzydłach. Ale cóż mi z tej wiadomości, kiedy ją wzięłam nie z siebie, ale z książki, kiedym nauczyła się tych słów jak papuga z martwej karty, a nie złożyła ich z uderzeń własnego serca, nie przeczytała ich w swém uniesieniu lub jęku, nie ochrzczyła ich własnymi łzami, aby nabrały charakteru prawdy i trwałszem życiem żyć zaczęły.

— Jako chrześcianka i córka, nie powinnaś tak mówić — rzekł ksiądz Studziński.

— Bo też niepodobna — odezwał się Michaś, błędąc cokolwiek — aby panna Bronisława mówiła to seryo. Milczenie takiej duszy może być tylko chwilowym letargiem, może być tylko umyślnem złożeniem skrzydeł dla wypoczynku, dla obejrzenia się, gdzie lot swój ma skierować, gdzie jest to wielkie i piękne, którego pragnie. Miłość wyższa, ogólniejsza natury i ludzkości, nie może zamrzeć w takim sercu. A to już nie uludna mara, to prawda nieśmiertelna, która każdemu, czy jest sędziwym kapłanem, czy dojrzewającym mężczyzną, czy kobietą, szukającą jeszcze, na kogoby skarb takiej miłości zlać mogła, daje tę wieczną młodość, której się zapierasz.

— O! nie tłumaczcież bo sobie fałszywie słów moich — rzekła Bronisia. — Taka miłość, jaka ożywia każde serce, co zna Boga, widzi i pojmuje cuda świata, w każdej kropli rosy, padającej na zeschłą trawkę, czuje miłosierną Opatrzność, a w życiu i budowie najlichszej trawki, widzi nieograniczoną mądrość i moc, przechodzącą wszelką ludzką potęgę; taka miłość jest w mojem łonie, jedna, wielka i rozlewająca się na wszystko, co mnie otacza. Spływa ona na ojca, na ciebie, dziadku, na moją drogą ciotkę, na ciebie, Michasiu, na wszystkich ludzi szczerych, dobrych, czujących co radość i smutek, wznoszących korną myśl do tego Stwórcy, przez którego ich wszystkich ukochałam. Bez tego żywego źródła życia, byłabym lalką, trupem, bydlęciem. Bez nadziei, jakie z tej miłości płyną, bez gorącej żądzy, aby się ziściły, byłabym niegodna tych łask,

jakie z rąk Stwórcy odbieram. Bo możecież myśleć, że nie pragnę, nie proszę Boga o to, aby ojciec był zawsze spokojnym i szczęśliwym? abys ty dziadku żył długo i czuwał nad tą trzódką, która twój opiece i modłom powierzona? abys ty, mój serdeczny łacinniku, wyszedł na człowieka, zyskał szacunek ludzki, rozślawił swoje imię, a co lepsza, zasłużył na reputację pracą użyteczną i wielką? Możecież myśleć, abym nie pragnęła dobra wszystkim ludzi, ja co pragnę, aby burza nie łamała lasów, które szumem swoim składają hołd Temu, co je umiał; aby wichur nie zrzucił z gałęzi gniazdek ptasząt, które pieśnią swą noszą Mu poranną modlitwę? Taką miłością, takimi pragnieniami jestem młodą i młodą będę do śmierci. Ale dla siebie nie pragnę nic, dla siebie nie spodziewam się żadnej radości, żadnego uniesienia, jak gdyby zawód mój już był skończony, jak gdybym stanęła u kresu, za którym już żadnej nie ma drogi. I dla tego mówię, że jestem stara, zgrzybiała nawet duszą, bo ta dusza nie unosi się do żadnej nadziei, we mgle, co przed nią leży, nie widzi nawet żadnej mary, którąby ująć chciała i której dotknięcie oddałoby jęj młodość i skrzydła. Ale to przedmiot za smutny, i słowa takie jakoś dziwnie brzmią w ustach ośmnastoletniej dziewczyny, a zwłaszcza w amazonce i ze szpierzgą w ręku. A jednak, w położeniu mojem przedmiot-to bardzo naturalny. Sieroctwo, to ciężar, pod którym ugiąć się może największa siła, pod którym nieraz pęka serce, które Bóg nawet wielką natchnął odwagą. A moje sieroctwo coraz cięższe, codzień, co godzina serce ojca odwraca się odemnie. Jego miłość zupełna, bezwarunkowa, taka, jakaby mnie była kochała ta, co tam leży pod ziemią, byłaby dla duszy mojej tém światłem, przy którego złotych promieniach widziałabym dokąd dążyć, czego pragnąć, gdzie szukać tego słońca, coby mnie ogrzało. Gdy światło to zgaśnie dla mnie zupełnie, będę jak ptak spłoszony w nocy. Podlatuje on, leci, bo ma skrzydła i strach go goni, ale w locie swym na oslep rozbija się o pierwsze drzewo, które staje na jego drodze. Ach! nie kiwaj tak głową, mój drogi dziadku! — dodała z żywością. — Może nie widzisz, lub niechcesz widzieć co się dzieje; ale ja czuję, że ten czas blizki. I wtedy, wiesz, co zrobię?

— Zrobisz to, coś powinna — rzekł ksiądz Studziński seryo — pójdziesz za męża, będziesz kochać męża i dzieci, które ci Pan Bóg da, i nie będziesz miała za złe ojcu, że kocha żonę i dzieci, któremi Bóg obdarzył go, prócz ciebie.

— Nie, nie, dziadku kochany — odpowiedziała, kiwając głową. — Widać, że ta proza nie dla mnie, kiedy w téj chwili zupełnie co innego na myśl mi przyszło, przypomniało się żywo, wyobraziło się tak, jakbym to wczoraj słyszała i widziała. A przecież to temu lat pięć. Byłam wówczas dzieckiem, swywoliłam z twemi wiewiór-

kami, a jednak pamiętasz, z jaką uwagą, z jakim zajęciem słuchałam siostry Teofili, gdy nam tu o życiu klasztorńm mówiła. Dziś wszystko to zabrzmiało na nowo w mojej duszy, która może dla tego nie rozlatuje się po świecie, nie widzi tam przed sobą żadnej drogi, aby zebrawszy swe siły, skupiła w sobie całą miłość, jakiej jest zdolną, i wszystkie żądze i pragnienia, które z niej płyną, zlawszy na tego, który jest samą miłością, w nim szukała tych uniesień, jakich tu nie znajduje.

Michał pobladł, a ksiądz Studziński powstał, oparł obie ręce na stole, i pochyliwszy się ku niej, patrzył poważnie, a nawet surowo.

Bronisia podniosła ku niemu głowę; odgarnęła obiema rękami loki ze swęj twarzy, jakby z kokieterią, aby ją mógł widzieć całą, i patrząc mu bystro w oczy, ale z wyrażeniem miłości i czci, zapytała:

— Gniewasz się na mnie, dziadku?

— Gdyby się twój ojciec był nie ożenił — rzekł wtedy ksiądz Studziński — byłabyś zupełnie inszą, i to wszystko coś tu mówiła, nie przyszłoby ci pewno do głowy.

— Być może, kochany dziadku — odpowiedziała Bronisia z uśmiechem.

— Te wszystkie myśli, któreś tu wyraziła — mówił dalej starszek, i rumieniec jakby zagniewania wystąpił na twarz jego — tak nienaturalne w twoim wieku i w twojem położeniu; to zniechęcenie do życia, do którego ci Bóg dał dosyć sił, abys je sobie wyrobiła pięknem i użytecznem, zasiał w tobie ten, który na swoją korzyść zasiewa w sercu człowieka chwasty nienawiści, aby zagłuszyły te nasiona miłości, które Bóg w niem składa. Jesteś na drodze niesprawiedliwego sądu, a ta droga jest zawsze krótka, i dla tego nie widzisz przed sobą. W myślach twych nie ma pokory, dla tego zamiary twe nie są natchnieniem bożem, i ja nie mogę na nie powiedzieć Amen.

— Dziadku! dziadku drogi! zanadto surowo mnie sądzisz — rzekła Bronisia trochę zmieszana.

— Tak, jak ty sądzisz twego ojca — mówił stary siadając. — A jednak ojciec twój nie uchybił żadnej swęj względem ciebie powinności. Dał ci wychowanie, otworzył oczy twe, aby widziały, uszy, aby słyszały; starał się wszelkimi siłami, abys pojęła Boga, nauczyła się w jego dziełach czytać jego mądrość i miłosierdzie, ochronił cię od skaz tego świata, od wrzodów próżności i ubiegania się za jego marnościami; w tym wieku, w którym rozum twoich rówienniczek zaledwie wychodzi z pieluch zaniedbania i ciemnoty, zaledwie puszcza się na pasku, na którym go ładajaka ręka prowadzi, twój stoi na własnych nogach, pełen mocy i dojrzałości; w tym

wieku, w którym do serca dziewczyny przylegają złe przykłady, wnika w nie nasienie zarazy moralnej, którego zgubny owoc rozwija się w dalszém jęj życiu i spływa na jęj dzieci, on, i nietylko on, ale śmiało mogę powiedzieć oni, słowem i życiem dają ci tylko przykłady zbawienne i uczą każdym swym czynem, jaką być masz, aby cię tak wszyscy kochali i szanowali, jak ich kochają i szanują. Przycięm masz wszystko, cobyś miała i wtedy, gdybyś była jednym celem ich życia, jedną tylko źrenicą w ich oku, tak jakbyś w grzesznym egoizmie być chciała. Zapewne, nie przebierasz miary w swych chęciach, nie zachciewa ci się nic takiego, czego by ci przez wzgląd na siebie samą musieli odmówić, i to także jest jednym z dobrodziejstw ojca, że cię tak ukształcił; ale wszystko to, czego chcesz rozumnie i odpowiednio twemu wiekowi i położeniu, masz i masz w pełnej mierze. Nikt tu nie krępuje ani twego życia, ani twoich zajęć, ani twoich rozrywek. Zkądże ta niesprawiedliwość, kiedy masz, masz wszystko od nich, co ci dać mogą, i co ci dać powinni?

— Ztąd, mój drogi dziadku — odpowiedziała Bronisia z mocą i czerwieniąc się — że wszystko to mam od nich, a nie od niego. Dobrodziejstwa te, któreś wyliczył, uznaję. Odebrałam je i odbieram, ale odbieram je dla tego, że ona uznała za potrzebne, abym je miała. Mam je więc przez miłość ojca dla niej, a nie przez miłość jego dla mnie. Ona serce jego trzyma w swém ręku. Wydziela mi jeszcze z niego tyle, ile jęj się zdaje koniecznym; ale jak przyjdzie chwila, zamknie je, i ja z tego skarbu, który jedynie może mi świat boży otworzyć, nie dostanę nic a nic. Dla tego to, mój drogi dziadku, moja dusza tak mało przed sobą widzi, i te słowa siostry Teofili, które tu przed pięciu laty słyszała, słyszy teraz na nowo, i słyszy silniej niżbyś rozumiał.

— Ta chwila nie przyjdzie — rzekł ksiądz Studziński — to uprzedzenie, błąd, sąd pośpieszny i niesłuszny. Pięć lat patrzę na jęj życie, na jęj postęпки. To kobieta pełna łagodności, pełna dobroci i miłości.

— Jeżeli wszystko to — odpowiedziała Bronisia prędko i stanowczo — co okazuje dobroć, łagodność i miłość, płynąc z wychowania, a nie z serca, czyni człowieka dobrym, to dobrą jest bez wątpienia. Ale jabym sądziła, mój drogi dziadku, że w czynach ludzkich, równie jak w modlitwie, są dwie rzeczy: ciało i dusza, intencya i znak. Z jedną tylko z tych rzeczy może być człowiek dobrym i pobożnym przed ludźmi, ale nie będzie dobrym, ani pobożnym przed Bogiem.

— Dziewczyno! co ty mówisz — zawołał stary, patrząc na nią przenikliwie — więc doszłaś do tego stopnia niesłusznej niechęci, że

ją nawet pod tym względem posądzasz o hypokryzyą? Podzielałażbys i w tém opinie świata, który znasz tylko z książek, że jak tylko kto modli się jawnie i bez wstydu, spowiada się częściej niż inni, zachowuje posty i wykonywa wszystko, czego po nim Kościół wymaga, to należy mieć go w podejrzeniu o aktorstwo i zamknąć przed nim serce?

— Nie ja sama, mój drogi dziadku, tak o niej myślę — rzekła Bronisia powstając. — Tak o niej myśli i ciocia, której serce znasz przecież doskonale, i która dla tego opuściła mnie i oddała Bogu i tobie, ażeby nie patrzeć na tę komedye, ponieważ już sam wymówiłeś to słowo, który pierwszy raz przed tobą z ust moich wychodzi. Ale daruj! takie same myśli pewnie przychodzą i tobie, choć je od siebie odsuwasz; choć jako człowiek święty i pełen pokory, jakiej my nie mamy, nie czujesz się jeszcze sam dość czystym i bez zmayı, abys wziął kamień i na nią rzucił. Świata, mój drogi dziadku, nie znam ja ani z książek, ani z doświadczenia; opinii i wstrętów jego do ludzi jawnie pobożnych nie podzielam. Widziałeś, z jaką miłością i czcią przylgnęłam od razu do jej matki, bo serce moje uczuło zaraz prawdę w jej rękach złożonych, w jej ukorzonej postawie, bom widziała duszę jej w tych oczach podniesionych w niebo, bo gdy mnie przycisnęła do swych piersi, gdy położyła rękę na mojej głowie, usłyszałam uderzenie prawdziwej miłości, i zdawało mi się, że błogosławieństwo mojej matki spływa na mnie z jej dłoni. Do tej przystępuję ze ściśnioném sercem, odchodzę od niej zimna, jej karesy bołą mnie, jej łaski upokarzają; a w jej dobroci, w jej uśmiechu, w jej jałmużnach, w jej gorliwości religijnej, widzę tylko wytrzymałość woli, która obudza moje podziwienie, ale nie zdola i nie zdola obudzić we mnie wiary.

Ksiądz Studziński wsparł głowę na rękę, i nic na to nie odpowiedział, a Michaś, który dotąd milczał i słuchał z podziwieniem, miłością i trwogą energicznych słów panienki, które tak dobrze stan jej duszy malowały, rzekł:

— Znadto mało znam żonę mego wuja, abym mógł sam o niej sądzić; matki jej nie widziałem wcale, ale oprócz panny Bronisławy, znam jeszcze kogoś, co taką samą pomiędzy niemi czyni różnicę i podobnemi zupełnie, tak dla jednej, jak i dla drugiej, przejęty jest uczuciami. Tamtę wielbi i czci jako kobietę świętą, o tej mówi ze wstrętem, jako o komedyantce, której sztuka tylko i wytrwałość zasługują na podziwienie.

— Któż to taki, mój Michasiu? powiedz! — zapytała Bronisia z żywością, jakby się ucieszyła, że jest jeszcze więcej ludzi, co tak myślą, jak ona, że tym sposobem usprawiedliwi się w oczach księdza Studzińskiego, który może w tej chwili to samo myślał.

— Jest to młody człowiek, z którym po powrocie z uniwersytetu zszedłem się raz na przejażdżce, poznałem się, polubiłem go, jako pełnego zdolności i oryginalnego życia, i widywałem się później dość często, równie na wspólnych naszych przejażdżkach konno, po ślicznych okolicach Łągowa, gdzie mieszka, jak i w domu naszym, gdzie go zaciągnął i matce mojej zaprezentował.

— Gdzie on te panie poznał? — zapytała Bronisia.

— W ich domu — odpowiedział Michaś — podobno wtedy jeszcze, gdy żona mego wuja była panną. Nie śmiałem go wypytywać o stosunki, jakie ich łączyły, bo widziałem, że mu to wielką robiło przykrość, tak dalece, że na pięknej jego, choć wyniszczonej twarzy, widać było jakiś ślad bólu i goryczy, które to wspomnienie wywoływało. Ale gdyśmy, nie wiem już z jakiego powodu, zaczęli mówić o pani Tączyńskiej i jej córce, gdy matka wydała się mniej więcej w rozmowie swój z opinią, jaką ma o jednej i o drugiej, wtedy on odezwał się także, i w wyrazach pełnych wymowy i siły, które okazywały jawnie jego uwielbienie, dał nam obraz matki, a córkę nazwał dobrą i sztuczną kopią tego oryginału, pełnego prawdziwej świętobliwości.

— To rzecz szczególna! — dodała Bronisia zainteresowana. — Cóż to za jeden? jak się nazywa?

— Nazywa się Edmund Surewicz — odpowiedział Michaś — może mieć ze trzydzieści lat. Jaka była jego przeszłość, tego dobrze nie wiem, bo niechętnie o tém mówi. Zdaje mi się jednak, że musiał już w burzliwym życiu swém przez różne przechodzić koleje, i może nie zawsze był na takiej drodze, którąby później śmiało można odsłonić każdemu, z kim się wchodzi w stosunki przyjaźni i czyjogo się szacunku szuka. To podejrzenie czyni mnie względem niego ostrożnym. Ale mimo to, nie mogę się obronić jakiejś sympatii, która mnie do tego człowieka przyciąga. Mówi dobrze, widział wiele; był w Petersburgu i Moskwie, gdzie chodził na uniwersytet; a teraz, jakby już skończył wszelki zawód życia, w tak młodym wieku, w sile samej rozumu i niepospolitych zdolności, zamknął się u wuja starego, także oryginalnego szlachcica, zapalonego myśliwca, posiadającego na przedmieściu Łągowa mały folwarczek, i tam tylko we dwóch żyją, polują, hodują psy i niewielkiem zajmują się gospodarstwem. Ponieważ rozmawiam z nim chętnie o rozmaitych przedmiotach, rzecz naturalna, że, zwłaszcza w obecności mojej matki, przychodziła kolej i na pannę Bronisławę — dodał młody człowiek rumieniąc się. — Wspominał mi raz, że cię widział.

— Mnie? a toż gdzie? — zapytała, czerwieniąc się mimowoli.

— Przeszłego roku, na Zielone Święta podobno, w czasie nabo-



żeństwa, na którym był w kościele w Rudnicy, jadąc, jak mówił, do Staszowa — rzekł Michaś.

— Przeszłego roku — powtórzyła panienska, pocierając ręką czoło — drugiego dnia świąt? Wysoki brunet z szerokiém czołem, dużemi włosami, twarzą znaczącą i bladą, w której widać moc myśli i energię serca?

— Portret podobny — odpowiedział Michaś.

— Przypominam sobie — rzekła ze spuszczonei oczami — jeżeli to ten, stał długo oparty o ścianę, niedaleko ambony. Uważałam, że patrzył z nateżeniem na moją macochę i brwi jego zsuwały się i twarz się mieniła. Ale gdy dziadek skończył sumnę, gdy nas przeżegnał, i ja potem podniosłam się i spojrzalam, już go nie było. To dziwne, doprawdy. Ale jedźmy już — dodała, spojrzawszy na niebo — już prawie ciemno. Dobranoc, drogi dziadku! zmartwiłam cię trochę. Złem ci zapłaciła za twoje serdeczne przyjęcie. Daruj, opiekunie, mojej biednej duszy! Każdy podobno ma chwile gorsze i lepsze. Raz czarno, znowu mniej czarno patrzy na świat i na swoje życie. To była chwila zła, którą przeżegnaj i odsuń od mojej głowy.

I uknęła przed nim, a stary podniósłszy się, trzymał rękę nad jej głową, cichą odmówił modlitwę, i przeżegnawszy ją, rzekł:

— Idź z Bogiem, i niech anieli Jego czuwają nad tobą i od serca twego odsuwają wszelką trwogę przyszłości i wszelką gorycz nienawiści.

Bronisia ucałowała jego rękę i poszła wspierając się na ramieniu Michasia. Droga była niedaleka, wieczór cichy, spokojny, milczenie wsi otaczało ich do koła, tak, że słycać było każde stąpienie koni, które szły stępo. Młodzi ludzie nic do siebie nie mówili. W duszy Michasia brzmiały jakoś boleśnie wszystkie te słowa, które słycał, które mu mówić zdawały się, że nadzieje jego coraz usuwają się przed jego okiem i giną w pomroce; że może sam winien, iż dotąd w tém sercu energiczném nie obudził żadnego pragnienia, nie przyspieszył jego bicia i téj mniemanéj starości jego nie odmłodził i nie uskrzydlił. Bronisia jechała z pochyłą głową, i zapewne z powodu zgodności zdania o macosze i jej matce, nie myślała już o siostrze Teofli i zachwaloném przez nią życiu klasztorném, ale w imaginacyi jej rysował się kościółek w Rudnicy, jego ambona i tam pod ścianą postać młodego człowieka, z bladą twarzą, z szerokiém czołem, z wyrazem tak energicznym czy gniewu, czy żalu i pogardy. Przypominała sobie okoliczności, jakie zjawieniu się jego towarzyszyły, — dochodziła, dla czego się zjawił i tak prędko zniknął, i tak się tém mocno zajęła, że gdy stanęli przed gankiem, dopiero podniosła głowę, i spojrzawszy w około, rzekła:

— Czy już?

Michaś zeskokczył z konia i zbliżył się, żeby jej pomódz. Ona oparła się na jego ramionach, dała się prawie zdjąć z siodła, opuszczając się i nachylając tak, że loki jej prawie dotknęły twarzy młodego człowieka, którego serce pod tém dotknięciem zadrżało. A gdy już stała na ziemi, wzięła jego rękę w obie dłonie, i ściskając ją, rzekła dziwnie rzewnym i dźwięcznym głosem:

— Dziękuję ci, dziękuję, mój drogi Michasiu!

Za co mu Bronisia dziękowała? czy za to, że jej towarzyszył na spacerze? czy za to, że ją zsadził z konia? któż to zgadnie!

## VII.

Jeżeli któremu z czytelników naszych, zdarzyło się kiedy jechać na Raków do Łagowa, przypomni sobie zapewne tę drogę tak przykrą, po gruncie gliniastym, wśród parowów i pagórków podnoszących się coraz nad piaszczystą dolinę, na której środku samym, leżą stare Aryańskie Ateny. Ale, w miarę zbliżania się ku Łagowu, położonemu w punkcie tak malowniczym u stóp gór Święto-Krzyżkich, gdy obaczy przysunioną przed siebie wysoką i zieloną wyniosłość, podnoszącą się coraz wyżej i wyżej, a na szczycie jej ujrzy klasztor, jakby wzniosłą głowę téj korony; gdy przed okiem jego rozciągnie się znaczny pas lasów, pogiętych po wzgórzach, i ciągnących się w różnobarwnych fałdach, jakby ogromna poła za tym zielonym płaszczem, którym się osłoniła góra; gdy podniosłszy się już dość wysoko, ujrzy w dalekości porozrzucane wioski, tam kościółek z małą wieżyczką, ówdzie dwór z topolową strażą, a u stóp swych małą rzeczkę, z jakiegoś źródła w górach zebraną, i po zielonej sączącej się dolinie; gdy wzrok i myśl jego zajmie tu łożna zagroda, do pochyłości przyczepiona, i ozdobiona cudnej formy klonem, lipą lub jaworem, tam małe pólko żyta lub owsa, odmiennéj zieloności, jakby na paletrze malarza, pewnie zapomni o tém, że tam droga wązka i niegodziwa, że się co moment spuszcza na dół i podnosi do góry, że nieraz musi wysiadać i iść pieszo, żeby nie złamał ręki albo nogi.

O ćwierć mili od miasteczka za wioską, wyżej od samego Łagowa leżąca, jest kawałek tak urozmaicony, tak romantyczny, tak ubogawiony przeslicznymi drzewami, jakie tylko w górach się wychowują, że nie można się dość napatrzeć na te zmiany barw, na te zagięcia i podniesienia, na te cienia i ustronia, na zieloną łączkę, przy której idzie droga, na położenie rozkoszne chat i dworków oddzielnych, i już do miasteczka należących; pod wieczór zaś, na dymy miasteczka, podnoszące się po nad głowami drzew, i umalowane przez promienie zachodzącego słońca. Tam właśnie leży majątność pana Macieja Ła-

guny, sławnego myśliwca, którego zna cała okolica, którego psy grają często po tamtejszych lasach, a wierna dubeltówka sprząta lisy, które należą do niego, szaraki i wszelkiego gatunku ptastwo, które jak najsumienniejsz oddaje tym, na czym gruncie ubite.

Z prawej strony drogi, na zagięciu wzgórza, stoi jego dworek obszerniejszy od innych, dobrze ogrodzony i mający za sobą zabudowania, w których całe się jego mieści gospodarstwo. Ode drogi widać tylko dwa okna we frontowej ścianie, we środku drzwi wchodowe z gankiem, od którego ułożone schody z kamieni nieforemnych prowadzą do niewielkiego dziedzińca, który zajmuje kawałek mały płaskiego gruntu. Od niskiego ogrodzenia, idzie ukośnie po uboczu wzgórza drożynka, prowadząca do gościńca, tak wązka i usiana różnej wielkości kamieniami, że tylko wózkiem małym, lub konno, dostać się można do bramy, zawsze szczelnie zamkniętej.

We dworku samym, zbudowanym według odwiecznego planu dworków szlacheckich, była sień, a z niej na lewo wielka izba z alkierzem, gdzie mieszkał sam gospodarz, a z drugiej strony, takąż izba ze spiżarnią, gdzie mieściła się jego czeladź. Wszystko to było porządne, czyste, i nie okazywało wcale ubóstwa. W pierwszej izbie, wymiecionej zawsze chędogo, były sprzęty niezmiernie proste i dwie szafki, jedna przy drzwiach z kredensem, a druga przy oknie z kilkudziesięcią książkami. Bo pan Maciej, jeżeli nie polował, to w samotnym swym życiu bawił się czytaniem. Fundamentem tej biblioteki były kroniki, herbarz Niesieckiego, cokolwiek z dawnych i Stanisławowskich poetów, Naruszewicz, a przede wszystkim Nowe Ateny księdza Chmielewskiego. Z nich stary szlachcic czerpał wszelką mądrość, i co moment je cytował w rozmowie, wyuczywszy się już niektórych miejsc, co go mocniej interesowały, na pamięć. Gdy przyszedł jaki punkt ciekawy i sporny, wtedy sięgając po kluczyk, mówił: — Czekać wasz, zaraz ci oczy wykolę... — i szedł do Aten, znajdował konwinkujące miejsce, i ukazując je niedowierzającemu, dodawał:

— Masz wasz, przeczytaj sam! Na co tu dysputować i szukać argumentów za górami, kiedy tu jest, mosanie, wszystko?

Co kraj który ma w sobie różnych ciekawości,  
Cały świat opisany jest z gruntu w słów krótkości.

Za granicę wiadomości, w tej najdawniejszej i rzeczywiście bardzo ciekawej encyklopedyi naszej znajdujących się, nie przechodził. A gdy się o czym nowym z rozmowy lub z gazety, którą czasem dostawał, dowiedział, mówił: — to, mosanie, wszystko nie nie warte, inwencye i wierutne kłamstwa, bo patrz wasz... — i znowu pokazywał miejsce w Atenach, które inaczej świadczyło. Gdy kto chwalił po-

rządek i czystość jego zagrody, zaraz odpowiadał słowami Aten: — Ba! quid vetat pięknie, honeste mieszkać szlachcicowi! Może mieć, jeżeli nie pokoje, tedy pokoiki, a miasto sali, izbę obszerną, i ganki seperowane od obór i chlewków, aby nie śmierdział między ludźmi gnojem, i nie siedział między gęsiami, kurami i kaczkami, polonae Aquilae pullus. Niewielka jest mosanie rezydencya żółwia, przecież wygodna i modna; jeszcze mniejsza ślimaka, a i ta nie lada jaka, bo modniejsza od niektórych szlachty rezydencyi, co jactantur titulo gospodarzów, a mądrój ekonomiki nec vestigium u nich, bo wszędzie szpetnie, nieregularnie; przy wielkim ich znoju, pełno gnoju; w worku tylko niektórzy porządni, nie w dworku. Ale przy takim nieporządku, jaki dziś, mosanie, widzimy, i srebro zaśniedzieje, i złoto zblednieje.

W alkierzu, gdzie sypiał, był razem jego myśliwski arsenał. Całą ścianę zajmowały strzelby, kordelasy już nieużywane, gdyż na grubego zwierza nie chciał i nie mógł polować, i inna broń w części połamana, nieużyteczna, i tylko jako ciekawość lub pamiątka, tam znajdująca się. Z fabryk niemieckich miał tak zwaną grzbietówkę, kapucynkę, parę strzelb kasselskich do ptastwa, i wielką osobliwość, którą się zawsze chwalił i najczęściej używał, to jest, dubeltówkę Kuchenrejtera. Tam także wisiało parę pasów, na 12 ładunków strzeleckich, już w miarę kalibru strzelby przyrządzonych, które między ładunkami i nakryciem, miały przegródkę na pakuły, nożyk, grajcarek, a także parę pudełek blaszanych, w których były fiaszeczki z octem i z wódką. Zgrzawszy się bowiem na polowaniu, nigdy wody samej nie pił, ale zawsze dodawał do niej trochę wódki, lub octu. Rzadko jednak tych pasów używał, przenosząc nad nie torby, i to nie insze, jak borsucze, spore, podłużne, włosem do góry obrócone, i na końcu wierzchniej kłapy mające mordę i łapki przednie tego zwierzątka. Wnętrze miało dwie przegródki, z których w jednej była amunicya, a w drugiej trochę zapasu żywności.

Na pasie skórzanym, na którym zawieszał taką torbę, miał zawsze z przodu kieszonkę, w której były wabiki jego własnej fabryki z kostek drobiu, który spożywał. Wszystkie innego rodzaju torby, nazywał nowomodną inwencyą, i nie radził w czasie wielkiego polowania stawiać na ważnych stanowiskach takich myśliwych, co mają strzelby niebiesko szmelcowane, i oprawne w srebro, a torbę albo siatkową, albo jedwabną, albo wyszywaną ręką panięską. Ukazując takich myśliwych elegantów, uśmiechał się, i wzięwszy na bok starego, doświadczonego strzelca, mówił mu: — Widzisz waść tego wymuskanego ptaszka?

Od kraszy kraszką, ptak ten jest nazwany,  
Bo w piękne pióra jest umalowany;

Ale obyczaj i sposób żywota  
(Tylko się przypatrz!) szczerza to lichota.

Daléj wisiały pulwersaki rozmaite, pojedyncze, podwójne z miarkami i bez miarek, a w każdym był szrót rozdzielony według numerów. Na cietrzewie i kuropatwy Nr. 5 i 6, na bekasy i krzyki Nr. 6, na drobne ptastwo Nr. 8, na zające Nr. 3 i 4, na lisy i zające na przynętach Nr. 1 i 2. Potém szły różki na proch, rogowe i metalowe, ze sprężynkami, wypuszczającemi tyle prochu, ile było potrzeba. Trąbkę uważał za niezmiernie ważne narzędzie polowania, i miał ich kilka. Były tam kniejówki z głosem cienkim i donośnym, i borówki z głosem grubszym i głębszym. Ale wszystkie były drewniane, z musztuczka-mi ze słoniowej kości: z jarzębiny, jabłoni lub gruszy, drugie z klonu lub sosny, wewnątrz dobrze i czysto wyrobione, ale niczém nie wylane, zewnątrz zaś oplecione drutem i obszyte skórą. Trąbki rogowéj lub metalowéj cierpieć nie mógł, i Bóg wie co wygadywał na myśliwych, którzy ich używali. Szereg ten narzędzi kończyły sfory, obróże karne do układania wyżłów, harapniki i. t. p.

Inszego polowania nie lubił, jak z gończemi na zwierza, i wyżłem na pole lub błoto.—To mi jest, mosanie, ars venatoria, a wszystko inne, to jatka lub zdrada.—Ale chociaż wielkim był amatorem psów, często z niemi przebywał, pieścił i dobrze karmił, nie trzymał ich jednak wiele, ale tyle tylko, ile mu szczupłe fundusze do ich utrzymania pozwalały, i żeby z dobrej rassy nie wychodził. Gończych miał dwie sfory starych i dwie młodych. Były to polskie ogary, pochodzące z dobrego gniazda, sporéj wielkości, ale przytém lekkie i wytrzymałe do pracy, zwłaszcza po kniejach tak nierównych w pozycyi wzgórkowatej. Kolor grzbietu był mu obojętny, ale każdy musiał być podzary i mieć piękne uszy. Z nazwisk ich, ułożył kiedyś czworowiersz następujący:

Kiedy Dobosz zabębni, Zagraj wnet zagrywa,  
Grzmi w kniei głos Grzmiłasa, gdy Dzwonek zadzwoni,  
Duda z Lutnią w akordzie równym się odzywa,  
A Sapka, chociaż sapie, w parze z Lotką goni.

Dla miłości tego czworowiersza, według którego psy te bywały zawsze sforowane, Dobosz z Dudą, Dzwonek z Lotką i t. p., psiarnia jego innych nazwisk nie znała. Pieski młode zajmowały zawsze wakujące miejsca Dobosza albo Dzwonka, a suczki Dudy lub Lotki. Gdy wakansu nie było, to nie jednak nie przeszkadzało do dania właściwych po rodzicach nazwisk, mającym się zachować szczeniętom, które podchowawszy, rozdawał okolicznym myśliwym, z tym jednak wyraźnym warunkiem, aby nazwisk ich nie zmieniali, aby pokolenie Doboszów, Zagrajów, Dud i Lotek rozchodziło się po kraju.

Legowych miał tylko parę starych i parę młodych. Te zawsze nosiły nazwiska czterech elementów: Ogień, Wicher, przez skrócenie powietrza, Woda i Ziemia. Były to psy dobrej rasy, piękne i doskonale utresowane, i ułożone do pola i błota. Do polowania używał tylko starego psa, który był jego faworytem, i jeden tylko przed innemi miał ten przywilej, że zawsze chodził wolno, w dzień leżał sobie na ganku, a w nocy spał na wilczej skórze, przy łóżku pana Macieja. Młode psy, skoro były już dobrze ułożone, i miał pięknych parę szczeniąt, które podraszały i obiecywały godnie jeden z ubywających elementów zastąpić, ustępował ochotnikom, na których nie zbywało i którzy mu nawet drogo za taką parę płacili. Wszystkie psy, oprócz faworyta, zamknięte były w psiarni, oddzielnie na ten cel zbudowanej, dobrze opatrzonej, mającej w około ścian gradus, podniesiony z desek szerokich i uścielony słomą, na którym psy spały; drzwi psiarni obrócone były na południe; miała ona posadzkę kamienną, z rowkiem osuszającym, i osobną komórkę dla suk szczennych i karmiących. Nade drzwiami tego budyneczku, był napis z Firlejowskiej inskrypcyi, przez niego przerobiony, i zamykający niejako kodeks, jakiego się psy trzymać miały:

W polu stanąć i wyczekać,  
 W kniei równo trop oszczekać;  
 Znać wołanie, słyszeć rogi,  
 I pilnować pańskiej nogi.

Pan Maciej Łaguna, w tym czasie, o którym mówimy, miał już blisko sześćdziesiąt lat, i równie jak jego ojciec i dziad, urodził się i wyrósł w dobrach Potockich, u których rozmaite pełnił funkcje. Gust do myśliwstwa wczesnie się w nim rozwinął i wraz z krwią ojca przeszedł do syna. Że zaś nowy pan, u którego służbę swą zaczął, wcale co innego miał w głowie, w dobrach swych nie siedział, o kniejach nie myślał, sam nawet podobno strzelać nie umiał, ale zajęty był cały sprawami kraju, książką i piórem, a pan Maciej miał fundusik po ojcu, i po stryju bezdzielnym dość okrągłą sumkę dostał, porzucił więc służbę, zapragnął swobody i samotności, szukał w okolicy, gdzieby mógł najrozmaitszym sposobem passyi swęj dogodzić, i znalazłszy pod Łagowem ów dworek z dwiema włókami gruntu, upodobał sobie miejsce ustronne i piękne, kupił go, i tu przed dwudziestu pięciu laty osiadł. Resztę funduszu, jaki miał, który jednak ze trzydzieści kilka tysięcy wynosił, ulokował na dobrach opatowskich, i akuratnie pobierając ztamtąd procenta, żył sobie swobodnie i spokojnie, gospodarując po trosze, więcej jednak polując i bawiąc się starych ksiąg czytaniem. Nie miał nigdy żony, gdyż w młodym bardzo wieku wypro-

wadzony w pole przez jakąś niewdzięcznicę, i na pośmiewisko narażony, nabrał wstrętu do płci pięknej, posądzając już wszystkie kobiety o chytrą, na którą żaden rozum nie znajdzie rady, i żadna scyencya lekarstwa. W domu od dawnego czasu miewał tylko jedną kobietę, do kuchni i do krów, których trzymał kilka. Był to mus, na który zawsze narzekał, ale od którego wyłamać się nie mógł. Wszakże w wyborze takiej sługi obserwował tę regułę, aby była niemłoda, wzrostem i siłą podobniejsza do mężczyzny, niż do kobiety, i tak brzydka, żeby jej nawet do głowy nie przyszło mizdrzyć się do którego z parobków, a tém bardziej do niego. Z terażniejszej swój Magdy bardzo był kontent, zawsze ją nazywał Tersytesem w spódnicy, i ową sławną Wenustą Marcyalisa, co miała wzrost i siłę liktora, trzy tylko zęby i czoło tak pomarszczone, jak skiby na polu pooraném. Nigdy też jej inaczej, jak Magdą-Wenustą, nie nazywał.

Sam pan Maciej był wysoki, chudy, kościsty, przez ciągły ruch i umiarkowane życie zdrów i niezmiernej siły. Czoło miał otwarte, okryte siwym włosem, trochę przerzedzoném na ciemieniu, oczy siwe i bystre, brwi duże, rysy twarzy foremne, ale policzki przy ustach zapadłe, a kości podoczne bardzo wystające, zęby jeszcze zdrowe, i wielkie wąsy rudawo siwe, które jak dwie strzechy nad ustami jego sterczały. Ubiór jego był bardzo prosty: w domu krótka płócienna kapota latem, w zimie także z grubego sukna. Miał parę lepszych sukien, których bardzo rzadko używał, chyba w wielkie święto do kościoła, czasem do proboszcza na maryasza, lub w podróży do rządcey Opatowa, w terminie odebrania prowizyi od swego kapitaliku. Myśliwski strój jego składał się z czapki z daszkiem, i odkładanemi na przypadek zinną barankowemi uszami; z kurtki zielonej sukiennój, z połami nie dochodzącemi do kolan i z przodu odchyłonemi. Pod tę wierzchnią suknię w jesieni kładł łosiowy kaftan, a w zimie kożuszek barankowy, także nie dosięgający do kolan i czarnym pasem ciasno opięty. Na wielką wilgoć brał łosiowe spodnie i buty jałowicze, wyżej kolan zachodzące, zabezpieczone od rosy, śniegu i błota smarowaniem, na które receptę miał zawsze w torbie, ale i na pamięć ją umiał, i spojrzawszy na myśliwego, który niewłaściwie był obóty, zaraz mu mówił: — to źle mosanie. Weź waśc wieprzowego sadła pół funta, terpentynowego olejku lutów 10, wosku lutów 10, oliwy lutów 8, sadzy ile trzeba, ugotuj to waśc dobrze i wysmaruj sobie buty, to będziesz kpił z doktora, i aptekarzowi pokażesz figę.

Dzień za dniem upływał panu Maciejowi jednostajnie, w spokoju, w ruchu i zajęciu, to polowaniem, to gospodarstwem, to książką. Pilnował on, żeby wszystko u niego szło porządnie, ale nie gderał, ani kłócił się ze sługami, nie martwił się nigdy, gdy się co nie udało, gdyż do zbiorów nie przywiązywał wielkiej wagi. Był umiarkowanym,

oszczędnym, ale nie skąpym wcale, mając dosyć ze swego kawałka ziemi i z procentów na potrzeby swe, niezmiernie ograniczone. Wszakże słudzy jego mieli niezłą płacę i wygodę, bo dla nich i dla niego stół był prawie ten sam, a o konikach i krowach, szczególnie zaś o psach, pamiętał więcej niż o sobie. Prowadził życie prawie samotne, lub w kniei z ogarami, lub na ściernisku, albo na błotach z wyżłem, lub w domu, — latem, pod wielkim klonem ogródka, w jesieni zaś i w zimie, w izbie swój, niedaleko od kominka, na którym palił się wieczny ogień, i gdzie przysuwał sobie stół i krzesło z wysokimi poręczami, rozkładał Ateny, albo kronikę, lub jaką inną księgę, byle z większych foliantów, dawną i wyraźnym odbitą drukiem. Nowych książeczek, a zwłaszcza małych, cierpieć nie mógł, i taki sam do nich miał wstręt, jak do siatkowej torby i metalowej trąbki. Wtedy to w izbie tej, wielkiej i nie zarzuconej gratami, wśród ciszy, którą przerywał tylko trzask drzewek gorejących na kominie, chód jednostajny zegara, a czasem świst wichru na dworze, dziwnie malowniczo wyglądał stary ten szlachcic, ze śniadą, wyschlą, kościstą twarzą, z napuszoną brwią i sterczącymi wąsami, siedzący samotnie przy dużym stole, zarzuconym foliantami, wsparty na twardej i silnej ręce, mający przy nogach swoich potężnego legawca, który nie śmiał się poruszyć, a jednak czuwał, — medytując lub o *Rzeczypospolitej, której ornament szlachta, której ozdobą akademie, którą Foedera wzmacniają*, lub o *Osobliwem ptastwie i zwierzętach*, lub rozważający *Series różnych w świecie narodów*, lub z figlarnym uśmiechem uczący się z *Sekretarza, proditora tajemnic nietajemnych*, lub patrzący z upodobaniem w *Zwierciadło geniuszów*, albo przeglądający *Ciekawą o rozmaitych językach sciencyą*.

Wszakże pan Maciej nie był zupełnym odludkiem. Wiele razy w okolicy było większe polowanie, zapraszano go, jako naczelnego wodza wyprawy. Stawiał się on wtedy chętnie w zielonej kurcie, w butach według przepisów wysmarowanych, w borsuczej torbie, z trąbką kniejówką, i przyprowadzał z sobą jedną zwykle sfore, która, jak on myśliwym, tak całej zgrai gończych przewodniczyła. Do tego pierwszeństwa Dobosza i Dudy, Zagraja i Lutni, wielką przywiązywał próżność. Często zdarzało się, że gdy stary jaki gracz szarak, lub czasem rogacz, kiedy polowano na sarny, puścił się na dwumilowe okładanie i zmylił tropy; gdy wszyscy myśliwi znudzeni schodzili się na punkt zborny, a psy inne zbiegły się zawstyżone, pan Maciej zawsze jeszcze nasłuchiwał, i kurka dubeltówki swój nie spuszczał, póki psów swych nie widział. I patrz! często po godzinie i więcej wypoczynku i zwątpienia, zrywał się z miejsca, wszystkie psy kazał brać na sfory, aby nie przeszkodziły, zwracał uwagę na daleki odgłos, który zwolna, zwolna, dawał się słyszeć, jak jakieś niewyraźne echo, który zbliżał się stopniami, dwoił się drugim znanym mu głosem do harmonijnego akor-



du, a gdy się stawał coraz wyraźniejszym, gdy wszyscy rozbiegli się na stanowiska, gdy huk się rozległ i kot stary lub kozioł zjający upadł pod trafnym czyimkolwiek strzałem, wtedy pan Maciej patrzył z dumą i miłością na swoje psy, które bez sił kładły się przy jego nogach, głaskał je ze łzą w oku, brał jednego po drugim na ręce, i niósł na swój wózek, przy którym najczęściej wracał do domu pieszo, aby im było wygodniej, aby mogły wypocząć po tym trudzie, który czoło jego okrył laurami.

Chociaż sam nie szukał nikogo, u nikogo nie bywał, chyba rzadko, i to na powtórzone prośby, przychodził do proboszcza na maryasza, przyjmował jednak dobrą sercem i skromnym bardzo traktamentem, co dom miał, wszystkich, co go nawiedzali. Nade drzwiami nawet jego izby była tablica, a na niej napis z inskrypcyj Firlejowskich wyjęty:

Chudopacholskie, gościu, gdy nawiedzasz progi,  
Zda się gospodarzowi, że tu goszczą Bogi,  
Gdzie ci rad sercem szczerem przy chlebie i soli,  
Nim lepij stół zastawi Niebieski Podstoli.

Był wszakże w Łagowie mieszczanin jeden, nazwiskiem Andrzej Zaleski, który mu stał się miłszym od innych, i którego zawsze otwartymi rękami przyjmował. Powodem tej życzliwości starego, było lepsze pana Andrzeja ukształcenie, jego łagodność, cierpliwe słuchanie wszystkiego, co mu pan Maciej mówił, i ta okoliczność, że życie pana Andrzeja potwierdziło niejako faktem żywym, wstręt jego do płci pięknej. Zaleski w młodości uczył się, skończył dobrze szkoły w Kielcach, umiał wcale nieźle po łacinie, gdyż się sposobił na księdza, ale gdy miał już wstąpić do seminaryum, wrócił jeszcze do domu, aby czas jakiś pomiędzy swojemi zabawić. Wtedy to, mówił pan Maciej wierszami i śmiejąc się: — Djabeł podsunął waci dziewczynę, co ci wybiła z głowy łacinę, i tak przyszłego może biskupa, do małżeńskie-go przywiązała słupa, że cię wiek cały, nędzny człowiecze, trzyma na smyczy i językiem siecze. — W rzeczy samej, przyszły seminarzysta zakochał się, ożenił, i dawszy za wygraną wszelkiej promocji, zaczął gospodarować. Ale, że dostał żonę złą, zgryźliwą i nieporządną, upadł na duchu i na majątku, czasem popijał, i tylko wtedy przypominał sobie, czem był i czem mógł być, gdy rozmawiał z panem Maciejem, i w jego towarzystwie pociechę w gorzkim życiu swém czerpał. Był to człek już niemłody, potulny, znoszący dość filozoficznie swoje położenie, a gdy go pana Macieja jaki koncept, lub jaka dykteryjka, albo ciekawa wiadomość z Aten lub kroniki jakiej wyczerpnięta, w dobry humor wprowadziły, pomagał szczerze staremu do zepchnięcia w otchłań przeszłości długich godzin samotnego życia, śmiał się z nim, żartował z siebie i ze swego położenia, i krzepiąc się w swój

biedzie, kończył najczęściej wierszem Horacyusza: *justum et tenacem* i t. p.

Pan Maciej tak przywykł do jego kompanii, że chociaż się nigdy nie nudził, często jednak, lub czując potrzebę pogadania, lub mając do udzielenia jaką ciekawość, którą w starej książce wynalazł, lub chcąc opowiedzieć co o swoich pieskach, ich instynkcie, przywiązaniu lub biegłości, siadał na ganku i wyglądał, czy nie zjawi się granatowa kapota niewielkiego, przygarbionego człowieka, czapka z siwym baramkiem, i wyglądająca z pod niej twarz dobroduszną, z uczciwym uśmiechem, ze szczerem spojrzeniem i z zaczerwienionym już nosem.

Takim był wuj znanego nam dobrze Edmunda Surewicza. Za tak długie opisanie jego domu, charakteru i sposobu życia, uprzejmie przepraszamy. Ale zdawało się nam, że dziś, wśród takiej niwelacji stanów, chęci i usposobienia, w tym czasie, który każdego i wszystkich na jedną wylewa formę, wybitniejsza ta i z umarłej już epoki zabłąkana postać, czytelników naszych zajmie i zainteresuje. Przytęm sądziliśmy, że wśród nacisku wszystkich do owej jarki, gdzie fortuna siedzi i każdemu porcyą wydziela, dając jednym połędwicę, a innym koci, ten obraz samotnego człowieka, który wśród poetycznej natury, przy zajęciu równie poetycznym, jak wpływającym na spokój duszy i zdrowie ciała, zapomniał o świecie i jego zachodach, i wyrobił sobie szczęście, którego mu niejedno pozazdrości, stanie się miłym, i w gorące naszego życia zdrowym i ochładzającym.

Edmund po owém fatalném spotkaniu z kobietą, do której przesadzoną miał pretensyę, rzeczywiście był chorym, długo melancholiznym i do pracy niezdatnym. Nędza, do której tym sposobem przyszedł, i konieczność utrzymania życia, wykurowały go w części z żalu i smutku, i powróciły prowincjonalnej scenie. Gdy po niej jakim czasie pan Dyonizy zbankrutował, i kompanię swą rozpuścił, przyłączył się Edmund wraz z Kuflewiczem do innej, podnieśli ją obaj, parę lat wałęsali się po różnych miejscach Królestwa; zaszli potem na Wołyń, na Podole, pilnując się kontraktów i jarmarków, i nareszcie Edmund, który umiał doskonale po rossyjsku, widząc w truppach polskich wszędzie nędzę i upadek, powędrował do Rossyi, i tam występował w Kijowie, w Charkowie, w Romnach, w Kursku i innych miejscach, gdzie się zbierała większa masa publiczności, i gdzie ogromne krążyły kapitały. Tam, odbierając większą płacę od zamożniejszych antreprenorów, oporządził się i usatkwował. Ale im bardziej zbliżał się ku Moskwie, tém większa brała go chęć powrócenia do tego miejsca, gdzie go tyle wspomnień, tyle doznanych uciech ciągnęło. Obraz Eleny Iwanowny snuł się przed jego oczami; jej miłość tak żywa, tak namiętna, jakkolwiek skalana wszelkiemi popędami ciała, podniosła się w myśli jego wyżej nad kokieterię zimną i bez serca; postanowił więc

w objęciu tej, co pierwsza dała mu poznać wartość życia, choć je do jego niższej, zwierzęcej połowy, zredukowała, zapomniać o tej, co nie umiała i nie chciała podnieść go z tego poniżenia, i uniesieniami ducha uczynić rozkosz miłości zupełną, i szczęście jakie ona daje, całkowitem i ludzkim. Napisał więc do jednego ze znajomych sobie dobrze aktorów moskiewskiego teatru, czém jest, jaki był od lat kilku jego zawód, w jakich rolach celuje, i czy nie mógłby się pomiędzy nimi pomieścić. Nawiasem jednak zapytując o obecnym składzie teatru, wspomniał o mężu Eleny Iwanowny, prosząc o doniesienie o niej, o jej zdrowiu i powodzeniu w domu i na scenie.

Na ten list odebrał odpowiedź, że chociaż mógłby może się pomieścić w teatrze, ale nigdy jako pierwszy kochanek, gdyż na to amploa mają aktorów, których publiczność lubi. Ze przytęm Moskwa, tak pięknie mówiąca sama i tak dbała o czystą wymowę ruską, raziłaby się jego akcentem, nie oceniałaby zatem gry jego według zasługi. Musiałby więc zawsze zostać podrzędnym, co w każdym zawodzie jest rzeczą upokarzającą i niemłą. O Elenie Iwanownie doniósł mu korespondent, że nie wie co się z nią dzieje, gdyż przed dwoma laty, zakochawszy się w jakimś wojskowym, porzuciła męża i teatr, i pojechała z nim na Kaukaz.

Uśmiechnął się Edmund, przypomniawszy, jak studencką i niedorzeczną myśl powziął, i nie zmartwiwszy się bynajmniej wiadomością o pierwszej kochance, przestał o niej myśleć zupełnie, a straciwszy ten powab, który go ciągnął w tamte strony, zaczął tęsknić za krajem, za wytchnieniem po tylu doznanym burzom, za jakimś życiem bardziej ustronnem, zamkniętym, cichym, co by dało odpoczynek jego ciału, i pozwoliło zebrać się cokolwiek z duchem i uporządkować myśli rozstrzelone i rzucające się bez celu, jak próżna łódka, którą fale niosą i gwoli wiatrom na różne rzucają strony. Dla przywiedzenia do skutku tego zamiaru, który się stał silną serca jego potrzebą, udał się do Karola, przesławszy mu czule wyrazy, opisał swój stan moralny i materialne zasoby, i prosząc, aby mu pozwolił, jeżeli nie jest jeszcze żonatym, odetchnąć przy sobie z pół roku przynajmniej, nabrać sił do dalszego szukania jakiej innej kariery, ożywić się wyzdrowieć duchem przy jego piersi, wśród wspomnień, które dziś, gdy przez tyle już przeszedł zmian i kolei, coraz miłsze sercu się jego stają. Dodał przytęm, że niczego od niego nie potrzebuje, że ma porządną garderobę, nawet paręset rubli w kieszeni, że pragnąc tylko samotności i pokoju dla wytchnienia i wypoczynku, żenować go wcale nie będzie i oszczędzi mu przykrości wypowiedzania swojego domu, domyśliwszy się z najłżejszego jego skrzywienia się, kiedy mu się stanie uprzykrzonym. Na to odebrał prędko odpowiedź serdeczną, wylaną, godną towarzysza dzieciństwa, szkolnego kolegi i współnika wszystkich mło-

dzieńnych rojeń. Przy końcu listu swego Karol dodał:—We wszystko, coś mi napisał, kochany Edmundzie, wierzę; wierzę, że ci się ta włóczęga ciała i myśl sprzykrzyła, że dusza twoja szuka lepszego, zdrowszego pokarmu; wierzę, że nie masz za złe pierwszej kochance twojej, iż drapnęła z nowym swym czcicielem, że przebaczasz kokieterę tej, co tak młode twe serce zraniła. We wszystko to, powiadam ci, wierzę, bo znam twoją głowę i serce, i spodziewałem się, że do tego przyjdzie. Ale daruj! nie wierzę w owe hiperboliczne dwieście rubli, które niby to masz w kieszeni i któreś oszczędził, i dla tego posyłam ci sto na drogę. — List ten doszedł Edmunda w Kursku, z kąd zaraz drugiego dnia wyjechał. W przejeździe przez Charkow, zniewolony prośbą współrodaka Młotkowskiego, tamtejszego antreprenera, odegrał jeszcze dwa razy Hamleta, ową nieporównaną rolę, w której każdy myślący aktor może pokazać wszystkie zasoby swego ducha, całą kształtność swego ciała, całą moc i skalę swego talentu. Tak napoiwszy się po raz ostatni zapałem światłej publiczności, widokiem nabitego teatru, i prosto z desek, z którymi pożegnał się na zawsze i może nie bez żalu, zrzuciwszy czarne odzienie królewicza Duńskiego, ale nie mogąc zdjąć z serca tej żałoby, jaką nosił po zmarnowanej młodości i rozwijaniu się jej nadziei, rzucił się na bryczkę pocztową, dzień i noc pędził, póki nie odetchnął w Lublinie. Tam odpocząwszy kilka dni, puścił się na Radom i Kielce w Sandomierskie, gdzie przyjaciel jego mieszkał. W Kielcach przypomniawszy mu się największa boleść, jakiej w życiu swém doznał. Hieronima w całym blasku swój piękności, z całą czelnością swego znalezienia się w teatrze, stanęła przed jego imaginacją. Nieprzewyciężona chęć obaczenia jej jeszcze raz w życiu, obudziła się w jego sercu. Dowiedziawszy się więc o nazwisku wsi pana Tomasza, o drodze do niej, udał się tamtędy, mogąc na Staszów dostać się do domu przyjaciela, bez wielkiego nawet nakładania drogi.

Wtedy to, i właśnie na drugi dzień Zielonych Świątek, jadąc traktem prowadzącym przed kościołkiem i domem proboszcza, i dowiedziawszy od dążących do kościoła ludzi, że to jest Rudnica, wysiadł z bryczki, i z bijącym sercem, stanął na stopniach posągu Matki Boskiej, oparł się o piedestał, i przypomniał sobie pacierz i te modlitwy, które w młodości tak dobrze umiał i tak regularnie odmawiał. Przez drzwi roztwarte na oścież widział gorejące światła na wielkim ołtarzu, dostrzegł w złocistej szacie stojącego przy nim kapłana, którego białe włosy zasłaniała w części monstrancya, jaką przed sobą trzymał. Widok ten wzruszył go i rozrzewnił. A gdy do uszu jego doszły słowa i ton wzniosłej tej pieśni: „Przed tak wielkim Sakramentem“... gdy się zmieszały głosy odpowiedzi z brzmieniem organów i dźwiękiem dzwonek, gdy oficyant zaczął żegnać monstrancyą, a lud uko-

rzony upadł na twarz, i wznosząc głos i duszę do nieba, chylił głowę swą ku ziemi, Edmund ukląkł także, i lzy, jakimi już dawno nie płakał, puściły się z jego oczów. Gdy się summa zaczęła, oczyszczony pobożnym wzruszeniem, podniesiony pokorą, wszedł do kościoła i stanął przy ambonie, przypatrując się ze zbudowaniem tej wiejskiej ceremonii, ciesząc się widokiem tych wieśniaków i wieśniaczek, tak czysto odzianych, tak pobożnie modlących się, po większej części na książkach, tak widocznie objawiających twarzą i postawą, że rzeczywiście pojmują, gdzie są, i wiedzą, co robią.

Edmund dojeżdżał do Rudnicy z goryczą w sercu, z zamiarem upokorzenia i zawstydzenia kobiety, której zapomnieć nie mógł. Nasłuchawszy się w Kielcach, jak jest szanowaną w okolicy, jak szczęśliwą w pożyciu, jak kochaną przez męża, powziął mściwą chęć zamącenia jej życia, otwarcia oczu zaślepionemu mężowi, a nawet jako okup za sekret, zażądania od niej schadзки, upomnienia się o swój pamiętnik, w którym dobrodusznie całą jej otworzył duszę, a który dotąd był w jej ręku. Ale te uczucia głębokie i święte, jakich przed wejściem do kościoła doznał, w kościele zaś ten urok świętości, który go ogarnął, a nawet widok Hieronimy, równie pięknej jak dawniej, przewodniczącej z taką pokorą orszakowi wiejskich niewiast, które za nią klęczały, modlącej się tak przykładnie, i uczącej dziatki swe, jak składać ręce do Boga, złamały jego zawziętość, złagodziły gorycz doznanej obojętności i szyderstwa, i wywołały z serca jego głos przebaczenia. Wtedy to Edmund widział Bronisję i był od niej widziany. Postrzegł on dobrze, że piękna panienska kilka razy obejrzała się na niego i przypatrywała mu się z zajęciem. Przypisał to ciekawości, jak zapewne i było, jaką w niej obudził w kościółku wiejskim, wśród samych wieśniaków, nieznany i porządnie odziany mężczyzna. Od stojącego przy sobie staruszka dowiedział się, że to ich panna, córka s. p. zmarłej pani, z dodatkiem wielu pochwał, które czyniły honor jej młodemu wiekowi. Chociaż Edmund o panią Tomaszową nie pytał wcale, znając ją aż nadto dobrze, staruszek jednak dodał, że tamta druga, to nowa ich pani, której także niech Pan Bóg da zdrowie i pociechę z tych ślicznych dziatek, taka dobra, taka pobożna i miłosierna. Ta pochwała prostego człowieka, zapewne szczerą i wyrażającą opinię wsi całej, w innym czasie wywołałaby tylko na jego usta uśmiech ironiczny, i możeby go rozgniewała. Dziś słuchał jej obojętnie, a nawet rad był, że tak ludzie o niej myślą. Podziękował więc Bogu za taką zmianę swych uczuć, spojrzął raz jeszcze na tę, co życie jego miała w swém ręku, i czując w głębi duszy, że matka zaślania przed jego szaleństwem kobietę zimną i zdrađną, — Bóg z tobą, pomyślał, zostań w spokoju! — i wymknął się z kościoła, wsiadł

na bryczkę, i nie oglądając się nawet na dwór i wieś, jechać kazał prędko i bez zatrzymania.

Całe lato i część zimy przebył Edmund w domu przyjaciela, starając się ponaprawiać wszystkie te szczyrby, jakie nieszczęście, co go dotknęło, i życie, jakie prowadził, zrobiły w jego sercu i głowie. Żył po większej części samotnie, nie nastęrczał się tym kompaniom, jakie u Karola się zbierały, unikał ile mógł nowych znajomości, nie chciał na żadne z nim wybrać się odwiedziny. Czasu, którego miał tyle, używał w lecie na przechadzki, dochodził aż do Powiśla, i tam błakając się po górach i lasach tak malowniczych, przypatrując się wspinałemu biegowi rzeki, przysłuchując się charakterystycznym jój głosem, wołaniu retmanów, wykrzykom wesołych wiosłarzy, pieśniami góralów, spuszcających się na tratwach za robotą, przebywał nieraz dni całe. W jesieni i zimie często polował, który to gust już widać z krwią miał sobie przelany. Gdy nie mógł być na otwartem powietrzu, siedział zamknięty w swoim pokoiku, czytał, medytował nad tém, co czytał, a najczęściej rozpamiętywał swoje koleje, i wyprowadzał z nich wnioski dla siebie na przyszłość. Lubił on to rozpamiętywanie chociaż najczęściej kończyło się westchnieniem zwątpienia. Gdy Karol był sam, gdy wiedział, że mu nic w zajęciach jego gospodarskich nie, przeszkodzi, wtedy szukał jego towarzystwa i ożywiał się jego rozmową, wspomnieniami lat ubiegłych, odbudowywaniem tych zamków, które młodzieńcza imaginacya wznosiła, które niedoświadczenie przedstawiało tak potężnymi, jakby były z granitu, a które czas późniejszy jak bańkę mydlaną dmuchnął i zniszczył. W ciągu tych kilku miesięcy, przy staraniach przyjaźni i spokoju, jakiego doznawał, Edmund wyzdrowiał znacznie duszą i ciałem. Chmury, które zalegały jego myśli, rozchodziły się stopniowo, a zmarszczki, gdzie się kryło wspomnienie głębokich namiętności, przez jakie przeszedł, wygładzając się i niknąc, pięknemu czołu jego wróciły dawniejszą pogodę; bladeść chorobliwa, świadcząca o chwilach rozpusty i wszelkiego rodzaju nadużyć, zsunęła się z jego znaczącej twarzy, i cera zdrowsza oddała jój prawdziwie męską piękność. Nie był on wprawdzie wesołym, nie podzielał uciech i zabaw tych, z którymi żyć musiał, rzadko nawet uśmiech pokazywał się na pięknych jego ustach, ale jakże interesującym zrobiło go to zamyslenie, które przyrosło niejako do jego czoła, ta powaga, jaką mu dało doświadczenie rozlicznych dróg, przez które przeszedł, to spojrzenie, w którym był jeszcze niedotłały wulkan, i ten głos czysty, brzmiący, w którym każdy czuł tony lwa, który sam naturę swą trzyma na uwięzi, ale nie chce wydać się z wrodzoną mocą swój piersi i gwałtownością serca, co w niej uderza.

Gdy się Karol przy końcu zapust ożenił, i kochając serdecznie, ale spokojnie młodą swą i przystojną żonę, równie od niej kochany,

doznawał tego zwyczajnego szczęścia, jakiego doznawać może każdy, którego życie nie wychodzi z granic rozumu i powinności; tego szczęścia, które dalekie od blasku, siły pochłaniającej i gwałtowności pożaru, ogrzewa łagodnie i ciągle, jak ogień kominka ustawicznie podsycany, cieszący oczy i zajmujący myśl tych, których tém domowém ciepłem ożywia, — Edmund, którego widok ten ośmucił, nie chcąc czołem swém zachmurzoném psuć i mącić miodowych dni przyjaciela, opuścił dom jego i postanowił udać się do Warszawy, dla wynalezienia jakiegoś zajęcia, jakiejś pracy, bez której tak energiczna dusza, skoro już raz postanowiła okiełznać się i zejść z bezdroża, obejść się nie mogła. Niektórzy z amatorów myśliwstwa, odwiedzających dom Karola, znali pana Macieja Łagunę, jedni z reputacyi, inni osobiście ze znaczniejszych polowań, na których się znajdowali. Wzmianki te, przypomniły mu wuja i obudziły w nim chęć odwiedzenia go. Przybywszy więc do Łagowa, i tam dowiedziawszy się o jego mieszkaniu i sposobie życia, nasłuchawszy się wiele dobrego o samotnym, trochę dzikim, ale uczciwym szlachciem od mieszczan grzejących się w karczmie, i umacniających się kieliszkiem przeciwko śnieżycy, która wiała na dworze, a także przeciwko téj burzy, jaka ich czekała w domu od żon zniecierpliwionych i może głodnych, wziął sobie miejscowego chłopa za przewodnika, i przy schyłku dnia, kiedy silny wiatr miótł śniegiem, kiedy położeniu temu, załomom wzgórków, rozsianym na nich drzewom, domkom i zagrodom przyczepionym do ich boków, i wiszącym tu i owdzie nad głębokimi parowami, właściwój porze téj dodawał ozdoby, zbliżył się do cichego i wysoko podniesionego dworku. Tam zatrzymawszy się u dołu, odprawiwszy swego przewodnika, stał jeszcze czas niejaki oparty o drzewo, i patrzył ze wzruszeniem na światło migocące w oknie mieszkania i na słup dymu, który się szybko podnosił z komina, mieszał się z padającym śniegiem i rozbił pod silném wiatru uderzeniem.

W tymże samym czasie, w izbie dobrze nam znajomój, przy tym rogu stołu, który obrócony był ku drzwiom i ku kominowi, siedział w krześle swoim pan Maciej, a na przeciw niego pan Andrzej. Na stole paliła się świeca, stała karafka z piwem, do której czasem sięgali obaj, leżało parę tomów ulubionego autora, którego:

Imię wiosna zaczyna Wielkiénocy blisko.

Głowę w piwie i miodzie zawraca nazwisko.

Przy nogach pana Macieja leżał legawiec i niespokojnie spoglądał ku drzwiom, a wielki ogień, gorejący z trzaskiem na kominie, ogrzewał dobrze całą izbę i rzucał mocne światło na rozmawiających spokojnie przyjaciół, szczególnie na wyrazistą i uśmiechniętą twarz

pana Macieja, który jedną rękę trzymał na otwartej księdze Aten, a drugą słuchaczowi swemu wyciągał.

— Widzisz waśc, panie Andrzeju — mówił stary szlachcic — że już ciemno. Choć znasz drogę doskonale, i odemnie wychodząc, nie wychodzisz tak, jak się waści zdarza wyjść czasem z austeryi pani Szymonowej, od czego ci téż i nos poczerwieniał, ja jednak waści nie puszczę. Wiatr dmie silnie i miecie tak, żeby cię gdzie czart, który zwykle w takiej porze nie śpi, w rów i między kamienie wrzucił. Prześpisz się u mnie, a jutro, gdy żona twoja chrapać będzie, odprowadzę cię pod same miasto.

Pan Andrzej poskrobał się w głowę, i spojrzawszy niespokojnie ku drzwiom, rzekł:

— Lepiejby mi było być wchałupie dziś; ale cóż robić, kiedy jegomość żądaś, zstanę. Niech się tymczasem wichur wyszumi na dworze, a żona w domu.

— Często ja tu przemyślałem nad tém — mówił pan Maciej, przechylając się ku swemu słuchaczowi i opierając łokieć lewej ręki na kolanie — jakieby wynaléć remedium, aby między wami była zgoda, i żeby życie waścine cokolwiek spokojniej upływało. Waśc kiwasz głową, jakbyś już zdesperował. A jednakże patrz-no, co ja tu między innemi wynalazłem. Autoritates poważne świadczą o skutku. A jeżeli waśc w tém zechcesz uniknąć grzechu superstycyi, jeślibyś zbytecznie uwierzył, to złóż to na sympatyę, które także w wielu razach prawie cudów dokazują.

— Może to taki sam sekret — mówił Zaleski, uśmiechając się — jaki mi już jegomość raz podawałeś do poczernienia siwéj mojej czupryny. Gdyby to ta czarność nie była tylko blichtrzem, ale wróciła młodość i siły, to możeby to co i pomogło. A tak, na djabła się nie zda. Vana sine viribus ira, i czarne włosy także.

— Co się tyczy owéj czarności — rzekł pan Maciej, sliniąc palec i przewracając karty — na jaką Mizaldus podaje sposób siwym babom i dziadom, udającym się za młodych, to waśc masz racją. Bo simulacrum rei non est res ipsa. Ale tu posłuchaj-no waśc, co innego radzi Orpheus, autor traktujący o kamieniach, by w zgodzie żyło małżeństwo.

— Cóż on tedy radzi? — mówił pan Andrzej, poprawiając się do uważniejszego słuchania — jeżeli to jakie jest lekarstwo na język babi, żeby z niego nie był tartak i perpetuum mobile. to może się na co i przyda.

Pan Maciej zaśmiał się i patrząc w książkę, mówił:

— Pomieniony autor radzi, aby mąż nosił przy sobie róg jeleni, tedy zgodne będzie małżeństwo; a tenże sam Mizaldus, w którego receptę waśc co do czarności włosów nie wierzysz, dodaje, że mąż,



piastując przy sobie serce samca przepiórki, a żona serce samicy, żadnej mieć nie będą między sobą zwady. Rzecz nietrudna do zrobienia — dodał, bijąc palcami po karcie książki i patrząc filuternie na swego słuchacza — ja waści choćby i zaraz jeleniego rogu dostarczę, ile zechcesz, a jak przyjdzie pora, to i serc przepiórczych będziesz miał ad necessitatem et ultra. Ale tu w tém sęk, jak skłonisz swoją magnifikę, aby piastowała serce samicy, kiedy widno, zwađa milsza jój, niż zgoda, bo jużci, gdyby ją mieć chciała, toby miała bez przepiórki, gdyż od waści pewnie zwađa się nie poczyna.

— Dajno jegomość pokój tym żartom! — rzekł zasmucony trochę Zaleski. — Już to taka moja gwiazda. Złe widać urodziłem się, i żadne remedium z téj biedy mnie nie wykuruje.

— Wprawdzie tu pod tym sekretem — mówił dalej pan Maciej — nie podpisano *probatum*, jak pod owym: *Jak twarze umarłych reprezentować*, wszakże próbę zrobić nie zawadzi. A jeśli waśc do jeleniego rogu dodasz jeszcze summum remedium in omni calamitate.

— To jest *patientiam* — dodał pan Andrzej, uśmiechając się dobrodusznie.

— A tak, *patientiam*, *patientiami*, kochany panie Andrzeju — odpowiedział stary — to w takim razie Orpheus mówi prawdę, a i Mizaldus z przepiórkami swemi nie kłamie. Chyba, że imośc waścina jest *aere Dodonaeo loquator*. Co i być musi, boś mi waśc djabelnie spuścił nos na kwintę. Dajmy więc temu pokój. Co się zaś tyczy tego złego urodzenia waści — dodał, biorąc inny tom ulubionego swego poradnika i przewracając w nim karty — to się także wyjaśni. Powiedzno mi, panie Andrzeju, w którym roku twego życia umarł ci ojciec?

— Miałem lat siedm — odpowiedział Zaleski.

— A wieleż miałeś, gdy cię matka, mosanie, posłała do Kielc? — zapytał stary.

— Zdaje mi się, że czternaście — mówił Zaleski, patrząc mu ciekawie w oczy, do czego dąży.

— A skończyłeś szkoły i przybyłeś tu? — dodał stary, pochrząkując figlarnie.

— Jegomość, widzę, znowu już do czegoś zmierzasz — rzekł, kiwając głową pan Andrzej.

— Obaczysz waśc — odpowiedział pan Maciej z uśmiechem — tylko powiedz. Albo wreszcie już i nie mów, ja teraz i sam zgadnę, że ta calamitas, która waści spotkała, nie mogła ci się zdarzyć tylko w dwudziestym pierwszym roku życia, albo mało co więcej.

— Istotnie tak było — rzekł Zaleski z westchnieniem.

— Otóż widzisz waśc — mówił pan Maciej, przewróciwszy kilka kart i kładąc na jednej z nich szeroką swą i żylastą rękę. — Wszyst-

ko to zrobiły *anni climacterici*, lata podejrzone, czyli jaką niefortunności pachnące notą i przywarą, i które właśnie dla waści były *hebdomatici*, to jest posiódmane, czyli po siedm liezb w sobie mające. Ztąd to poszło, że co siedm lat wieku musiałeś waść albo jakies głupstwo zrobić, albo jakies metamorphosim czyli crisim przecierpieć. Z tych siódemek najfatalniejsza jest trzecia, bo w 21 roku życia zagłada w oczy młodzieńcowi dziewczyna rumiana i hoża, i wiedzie go na pokuszenie, że, mosanie, o seminaryum zapomina; a także dziewiąta, gdyż znowu w roku 63cim wyszczerza do człeka zęby śmierć, i tak przemożnie wabi, że choćby miał skarby i potęgę całego świata, wszystko porzuci i za nią pójdzie. Wszakże nie idzie za tem, aby, gdy jedno się zdarzy i drugie się zdarzyło. Patrz waść, jak to jest wyrażone u Majolusa, który wierszem opisał te gradus, przez które człek do coraz większej przychodzi pory:

Znowu siedm gdy doczeka, już o żonie myśli.

No! tegoś waść nie dopełnił. Bo Majolus mówi tu o roku trzydziestym piątym, a waść pośpie szyłeś się cokolwiek — dodał stary, grożąc mu z uśmiechem — ale za to dalsze reguły jego dopełniłes akuratnie i święcie: Mówi on:

Dalsze siedm lat radzą mu, by głowę mądrością  
Wszelką z praktyki nabił, brzydził się lekkością.

— Oj! panie Andrzeju, taka żona, jak waścina, do téj praktyki djable waści pomogła i lekkości żadnej nie dopuściła. Zamiast tedy na nią się gniewać, powinienes jój być wdzięcznym i brać ztąd assumpt do otuchy, gdyż według reguły tegoż Majolusa, nie w sześćdziesiątym trzecim, ale:

Ledwie w lat siedmdziesiąt śmierć cię nieużyta  
Zwabi z sobą do grobu i t. d.

Dzięki Bogu, jeszcze waści, panie Andrzeju, do tego daleko, a tymczasem bądź dobrej myśli i nie trap się bardzo jutrzejszém przywitaniem, jakiego doznasz, żeś u przyjaciela przenocował.

Zaleski uśmiechnął się i wyciągnął rękę, którą stary ujął i serdecznie uścisnął.

Gdy się taką bawili rozmową, i siedząc pod dachem bezpiecznym, przy dobrym ogniu, w zakątku ziemi zapomnianym i zarzuconym, używali wczasu w całym znaczeniu tego słowa, nie dbając o wichur, który miótl śniegiem na dworze, i nie myśląc o tych wszystkich wichrach, które miotają sercami ludzkimi na świecie, faworyt pana Macieja podniósł głowę i warknął. W téjże samej chwili drzwi się otwały i wszedł Edmund. Pan Maciej krzyknął na psa: — Ogień, w ruju! — i gdy legawiec położył znowu głowę między łapami i bystro

tylko patrzył na przybyłego, jakby zdawał się śledzić każdy ruch jego fizyognomii, stary szlachcic rzucił także okiem przenikliwem na pięknego mężczyznę, dość przystojnie odzianego, obrzuconego śniegiem, który odgartywał włosy z czoła jaśniejącego myślą, a wzrostem, budową i wyrazem twarzy okazywał zupełną dojrzałość ciała i duszy.

— Kogóż mam honor witać w ubogim domku moim? — zapytał wreszcie pan Maciej powstawszy, i zbliżając się do młodzieńca, wzruszonego widokiem starca, którego w dzieciństwie tylko parę razy widział.

— Jestem Edmund Surewicz, kochany wuju — odpowiedział młody człowiek drżącym głosem, i przystępując do pana Macieja, wziął jego rękę i do ust przycisnął.

— Więc to jedynak mojej s. p. siostry — mówił stary, patrząc z ukontentowaniem na dorodnego młodzieńca — przecież waść sobie przypomniałeś, że żyję i znalazłeś mię za górami. Ale pójdź-że no waść bliżej, niech ci się lepiej przypatrzę, ogrzej się i rozgość, bo ci rad jestem i chwałę to waści, żeś z wysokich może progów, gdzieś zapewne wykierował się na świecie, zajął pod ten niski dach, zakryty i zasłonięty, na który tylko Pan Bóg patrzy z góry, a dobrzy ludzie kiedy niekiedy z dołu podnoszą nań życzliwe spojrzanie. Z tej właśnie liczby jest oto pan Andrzej Zaleski, obywatel tutejszego miasta, którego waści rekomenduję, jako mego przyjaciela. Tylko ostrzegam cię z góry, mój panie siostrzeńcze — rzekł stary uśmiechając się — jeżeli umiesz po łacinie, żebyś się nie wrywał z jaką o nim uwagą w tym języku, który on umie może lepiej, niż go waść, jako człek dzisiejszej edukacji, posiadasz. Nie zważaj waść na tę mieszczańską kapotę. Pokrywa ona niedosłego kanonika, a może i biskupa, tylko, że Wenus zaszła mu drogę nie w porę i skrzywiła mu promocyą. Co może i waści się zdarzyło — dodał, mnąc między palcami jego włosy i potem macając pierś szeroką i potężną. — Gdyż z włosów waścinych sądzę, że masz w sobie coś ze lwiej natury, a z piersi twych wnoszę, że pono grzeszysz zbytnią serca gorącością.

Edmund zaczerwienił się, stary spostrzegł to, ale udając, że nie widzi, mówił dalej: — Otóż zagadałem się, patrząc na waścina fizyognomią i przypominając sobie twoją matkę, a moją nieboszczkę siostrę, do której trochę podobnym jesteś, i zapomniałem, że waść po drodze musisz być głodny, gdyż tam w austeryi u pani Szymonowej niewiele musiałeś się pożywić.

— Nie myślałem téż o tém, kochany wuju — odpowiedział Edmund — słuchałem tylko z radością ludzi mówiących o tobie, i śpieszyłem, żeby co prędzej rękę twą ucałować.

— A widzisz waść, zgadłem — mówił stary, pogładziwszy go

z upodobaniem po głowie. — *Plenus venter non studet, mosanie, libenter, ale téż kiedy żołądek pusty, to wszystko jedno, jak kiedy pusta kieszenia.* Człek wtedy zły i niezdalny ani do rozmowy, ani do karesów. Siądźcie-no wascie i pogadajcie z sobą, choćby o tych przygodach, które się wam obydwom zapewne w trzeciej siódemce *anni hebdomatici* zdarzyły, a ja pójdę do mojej Magdy-Wenusty i cokolwiek z nią pogospodaruję. Wara, pieszku! to swój, poznaj się i połaś! — dodał do warczącego legawca, dorzucił parę polan do komina i wyszedł.

Nim stary powrócił, Edmund dowiedział się od pana Andrzeja wiele szczegółów o jego charakterze, jego humorze, jego predykcjach i zajęciach. Wszystko to zainteresowało go niezmiernie, i postanowił zostać czas jakiś z wujem, jeżeli na to zezwoli, aby bliżej przypatrzeć się téj postaci, tak już u nas rzadkiej i wyginionej, i unocnić się do dalszych zapasów z życiem, widokiem szczęśliwego w swoim rodzaju człowieka, który tak urządził swoje, że mu wszelka walka stała się niepotrzebną.

Po niejakim czasie powrócił pan Maciej, i zastawszy obu w najlepsze rozmawiających, wniósł się do ich rozmowy, to wypytyując Edmunda z kąd i jak przybył, jakie ma zamiary, to zwracając często mowę do pana Andrzeja i żartując sobie z tych snów, jakie z daleka od żony trapić go będą; to zaglądając znowu do Aten, i szukając wykładu tychże snów, które sam komponował, i z których dla pana Andrzeja burzliwe wyprowadzał omina. Wśród tych rozmów często spoglądał na Edmunda i z widocznym przypatrywał mu się ukontentowaniem. Wiele razy młody człowiek się odezwał, słuchał go z uwagą i cieszył się jawnie, że Edmund trafiał w jego myśl, i chociaż młody, inaczej zupełnie wychowany, nie wyrwał się z niczem, coby obrażało starego samotnika, który myślą i duszą przebywając w wieku i wyobrażeniach, jakich już i śladu nie było w rzeczywistości, z nowym światem żadną nicią związanym, żadnym współczuciem zespolonym być nie mógł.

Gdy Magda Wenustya, już niemłoda, szerokich pleców, śniadéj i porytéj przez ospę twarzy dziewczka, stanowiąca egzemplarz brzydoty z wielką wynalezioną sztuką, ale pracowita, pilna i do domu przywiązana, zastawiła stół do wieczerzy na prędce przyrządzonej, Edmund, po całodziennéj podróży na zimnie i przechadzce wieczornej wśród zawiei i wichru, z wielkim sprzątnął ją apetytem. Pan Maciej rad był swemu gościowi, tém bardziej, że widział w jego twarzy, iż mu się wszystko w domu jego spodoba, że przyjmuje serdecznie jego przyjęcie, że każdym słowem, każdym ruchem okazuje to uszanowanie, jakie starzy tak lubią widzieć w młodych. Postrzegli pan Maciej, że Edmund ani myślą, ani rozumem nie starał

się go przenosić, aby się okazał mędrszym, i jako człowiek terażniejszego wieku więcej wiedzającym, lub dawniejszą pogardzającym mądrością. Przystąpił więc znowu do niego, przypatrywał mu się z przywiązaniem, i żylastą swą ręką pogładziwszy jego głowę, położył ją na jego ramieniu, oparł się na nim silnie, i czując, że młody człowiek ani się ugiął, rzekł z uśmiechem:

— Na wasci widzę można się oprzeć staremu. Nie dałbyś mu upaść. Dobrze, dobrze, mój chłopcze! trzymaj się wasć mocno na nogach, pókiś młody, abys się stał podporą tych, co tego będą potrzebować. Zle wasć na tém nie wyjdiesz.

Edmund pocałował jego rękę, czego mu stary nie bronił, ścisnął go tylko tak mocno, że młody człowiek zmiarkował, jak potężna jeszcze siła była w tój dłoni, pod której naciskiem ukląkłby pewnie nie jeden z młodzieniaszków. Wtedy pan Maciej, spojrzawszy na prosty zegar ścienny, który przy szafie kredensowej wisiał, rzekł:

— Gadu, gadu, a patrzcie-no wascie, już po dziewiątej. Czas tedy wam przyrzadzić posłanie.

I wyszedł znowu, a wnet parobczak przyniósł wiązkę dużą siana, przysła Magda z kilimkami, znalazły się prześcieradła i poduszki, urządzono dwa posłania pod ścianą, i dawnym naszym zwyczajem, który wykwinność terażniejsza gani, a który każdemu, co pamięta, jak smaczno zasypiał w gościnnym staro-szlacheckim domu na sianie, którego ręka gospodarza dotykała, a serce jego chciało zrobić miękkim i sprężystym, drogim jest zawsze i szanownym.

W pół godziny potem, pod owym dachem cichym i spokojnym, w tój izbie niebogatej i nie błyszczącej, spał gospodarz pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, spali goście pod wielkim krucyfiksem, wiszącym nad ich głowami. Pies tylko czuwał przy łóżku swego pana, i ogień na kominie trzaskał, połyskał ogrzewającym płomieniem i oświecał tę siedzibę pokoju, uczciwej niezależności, dawnej prostoty i staroświeckiego rozumu.

Po kilku dniach, pan Maciej przywiązał się szczerze do swego siostrzeńca, i Edmund, który nie miał przed sobą żadnych widoków, i przeszedłszy przez tyle kolei w życiu, wyczerpawszy już prawie wszystko, co mogło mieć w sobie upojenia i goryczy, nie tęskniący wcale za światem, przyjął propozycję wuja, aby z nim zamieszkał, aby podzielił się jego samotnością, jego skromnym chlebem i zajęciami pełnymi swobody i poezji, do jakich stary już przywykł, a które Edmundowi stały się pożądanymi i miłymi. Poznał się prędko Edmund z arsenalem pana Macieja, z jego pieskami, które go polubiły i wkrótce stały mu się jak i panu swemu posłuszne; polował z nim razem, i często widywano ich, jak szli obaj, prawie jednakowo odziani, równi wzrostem, równi siłą, choć jeden ledwie lat trzy-

dzieści, a drugi już sześćdziesiąt kończył. Na pięknej twarzy młodego człowieka i oryginalném licu starca był ten sam spokój, jednakowe zapomnienie świata i zamilowanie głuchej puszczy, szerokich lasów i tych wyniosłości, na które wchodzili z jednakową szybkością, gdy ich głos gończych powoływał. Tam, ubiwszy zwierza i dając odpoczynek sobie i pieskom, siedzieli na kamieniu, spożywali prosty, myśliwski posiłek, i ztamtąd patrząc na rozległą ziemię, co się z całą różnorodnością przed ich okiem malowała, rozmawiali o jej przeszłości, którą stary znał tak dobrze, a której Edmund z taką uczył się ochotą.

Raz, gdy niedaleko od kościoła Śgo Krzyża siedzieli, rzekł mu stary:

— Podobasz mi się waśc, mój chłopcze, w każdym słowie i kroku. Ale nie znam przeszłości waściniej. A z życiem każdego człowieka jest to samo, co i z życiem każdej nacyi. Nie może dobrze wiedzieć czém ona jest i będzie ten, kto nie wie czém była. Z wielu rzeczy miarkuję, że waśc, choć jesteś jeszcze młokos, przechodził przez ogień i wodę, żeś jadł chleb nie z jednego pieca, czerpał nie z jednego stawu, a może i nie z jednej kałuży. Powiedz mi waśc wszystko otwarcie, jak przed spowiednikiem, jeżeli się spowiadasz, bo i tego, mosanie, nie wiem. Nie bój się, abym się od ciebie odwrócił, choćby tam było i co zdrożnego. Nie każdemu Pan Bóg dał, tak jak mnie, w młodym jeszcze wieku uchronić się od zgorzzenia, i z zużyą i psem schować się do lasu przed ludźmi, często głupszymi i gorszemi od tych zwierząt, które polują.

Edmund, zachęcony dobrocią wuja, opowiedział mu całą historję swojej młodości, swojego serca, swojego późniejszego życia i jego ekscesów. Stary, słuchając z uwagą, czasem się uśmiechnął, czasem kiwnął głową, a gdy młody człowiek przyszedł do chwili swego upamiętania, odmalował mu stan swego umysłu i serca w czasie kilkumiesięcznego pobytu u przyjaciela, i nareszcie ten spokój i to przychodzenie do zupełnego wyzdrowienia przy boku człowieka, który umiał sobie wyrobić szczęście tak proste, tak łatwe, a tak poetyczne i rzadkie w obecném społeczeństwie naszej dążeniu, stary, ujęty wymownym obrazem całej téj burzliwej drogi, i umiejętnie i serdecznie skreślonym wizerunkiem jego własnego życia i téj mądrości, do której przyszedł, trzymając się dawnych szlacheckich tradycyj, uściskał młodego człowieka ze wzruszeniem, i rzekł:

— Zostań, zostań ze mną, kochany chłopcze. Jeszcze, mosanie, nie wszystkie rany twoje pogojone, jeszcze potrzebujesz świeżego powietrza, aby się płuca twoje odżywiły, abys mógł znowu, jeżeli ci tak Pan Bóg przeznaczył, oddychać bez szkody w tym zaduchu świata, do jakiego może wrócisz, gdy ci się sprzykrzy ta moja pu-

stynia, którąś mi mosanie, z takim poetyckim kunsztem odmalował. Nie znam ja tych wszystkich wykwintnych ścieżek, po których myśli wasze dziś chodzić nauczyły się. Ale pokazuje się, mosanie, że one są po większej części błędne. Weź się do naszego starego rozumu, nie gardź naszą szlachecką mądrością, którą w moich księgach znajdziesz, a obaczysz, że ci się ona spodoba, że jest w niej więcej zdrowia i siły, niż się wam zdaje; że cię na prostsze wyprowadzi drogi, po których prędejj i do spokoju trafisz i grzesznego zabląkania się unikniesz.

Został więc Edmund, polubił lekturę swego wuja, przekonał się, jak płocho, jak niesłusznie ją okrzyczano; pokochał jego ustronie, zwłaszcza gdy wszystko przywdziało szatę wiosny, gdy je ciepłem swém wyższe ogrzało słońce, gdy czarowne położenie to pod zielenością dopiero całą swą objawiło piękność. Po minionej porze polowania, całe dni prawie błakał się po załomach wzgórków, wspinał się na szczyt Świętokrzyżkiej wyniosłości, i schodził często aż na drugą stronę do tego pokutnika, który tam na klęczkach idąc, kamieniał. Gdy chciał dalsze poznać okolice, puszczał się na dzielnym stępaku, którego mu wuj używać pozwalał, i tak nieraz przejeżdżał okoliczne wioski i miasteczka. Raz w takiej wycieczce na początku maja, spotkał się w miejscu ustronném i dzikiém z Michaśm Mikoszewskim, po powrocie jego z Dorpatu i po zupełném ukończeniu uniwersytetu. Z sercem pełném głębokiej i trawiącej go miłości dla Bronisi, która, czy nie widziała, czy nie chciała widzieć prawdziwego stanu jego duszy, przebywał właśnie Michaś u matki, i nie mogąc nigdzie znaleźć spokoju, dosiadał często konia, i błakał się po okolicy samotny. Przez mgłę uczucia, którego wyjawić nieśmiał ani matce, ani kochance, patrząc na świat boży, w cudach jego szukał ulgi, a w tchnieniu wiosny i w świeżych jój barwach balsamu rozrywki i uspokojenia.

To usposobienie jego wewnętrzne rozlało melancholię pełną interesu po twarzy pięknego młodzieńca, i wprawne oko Edmunda od razu odgadło, że w głowie tej myślącej i poważniejszej, niżby wiek dopuszczał, tkwi jedna główna myśl, około której wszystko się obraca, a w sercu pełném prostoty i szczeroci jest rana głęboka i boląca, która się tai pod ogólną miłością wszystkiego, co piękne i dobre; która czasem tylko zdradza się cichym jękiem, bolesnym uśmiechem, objawiającym cierpliwość anielską i siłę w znoszeniu cicha, ale potężną. To odkrycie pociągnęło mimowolnie serce Edmunda ku młodszemu daleko, ale wysoko ukształconemu kolledze, tak, że szukał jego towarzystwa, rad się z nim spotykał, i do domu matki jego na pierwsze wezwanie dał się wprowadzić. Michaś nawzajem, widząc w Edmundzie rozum, wielką łatwość

w tłumaczeniu się, a czasem nawet potęgę porywającą słowa, czując, że ma jego sympatyę, że może z czasem będzie mógł przed nim wynurzyć swe serce i wypowiedać się z tych męczarni, które go trawiły; chociaż nie znał jego przeszłości i zapytywać o nią nie śmiał, choć raz tylko czy dwa zajrzał do dworku pana Macieja, i sam jeszcze nie wiedział, co o nim trzymać, Ignął jednak do Edmunda, i także towarzystwa jego szukał. W czasie jednych takich odwiedzin, miała miejsce powyżej wzmiankowana rozmowa o pani Tomaszowej i jej matce, z której Michaś wniósł o bliższym jakimścis Edmunda z temi paniami stosunku, ale o który wypytywać nie śmiał. W czasie tych odwiedzin także mówiono czasem o Bronisi. Na takim stopniu zażyłości znajdowali się młodzi ludzie, gdy Michaś odebrał od wuja wezwanie i do Rudnicy pojechał. Gdy się żegnał z Edmudem, ten, ściskając jego rękę, z uśmiechem domyślnym, rzekł:

— Widzę, jaką radością napelnia cię, panie Michale, ta podróż. Zdaje mi się, że jedziesz tam, gdzie cię myśl twoja dawno uprzedziła. Złote to chwile! Pełne czarownej poezyi są te głosy, które wołają na pierś tak silną, tak głęboko czującą, jak twoja. Życzę ci szczęścia, życzę z całego serca, aby ta pieśń, jaka brzmi teraz w twojej duszy, nie zakończyła się gorzką i szyderską zwrotką. Bo to się zdarza czasem — dodał ponuro i zatapiając palce w swych kędziarach; — czasem, z całej tej harmonii, która długo pieściła i upajała, zostaje tylko brzęk przeraźliwy, jak kiedy wszystkie razem pękają struny, i instrument, który przemawiał do duszy, staje się tylko martwém i zimném drewnem. Nie blednij tak, przyjacielu! tobie się to zapewne nie zdarzy. Widziałem tę, z którą wychowałeś się prawie i której obraz w sercu swém nosisz, chociaż mi o tém mówić nie śmiałeś. Widziałem ją w roku przeszłym, w kościółku Rudnicy, kiedym tamtędy w czasie Zielonych Świąt przejeżdżał. Piękność jej uderzyła mnie, ale więcej uderzyła mnie ta prawda, którą wyczytałem w jej twarzy. Od pewnego czasu, ile razy patrzę na piękną kobietę, najprzód szukam w jej licu tego piętna, łączącego ją z niebem, tego charakteru świętości, który jest rękojmnią szczęścia dla tych, co jej wdzięk pokochają. Córka pana Łuniewickiego ma wryty na czole ten znak, po którym poznać można, że szatan hypokryzyi nie dotknął jeszcze jej serca. O! bo są piękniejsze od niej, a jednak kłamią, kłamią tém wszystkiém, czém człowiek skłamać może: spojrzeniem, uśmiechem, głosem, przenikającym słowem, durzącą pieszczotą. Szczęśliwys, że ci taka maska nie zaszła drogi. Wtedy bowiem... bardzo dziwnie — dodał z gorzkim uśmiechem — i bardzo niewesoło wygląda reduta życia.

To powiedziawszy, ścisnął raz jeszcze rękę młodzieńca, zawsty-



dzionego nagł<sup>ę</sup>m odkryciem t<sup>ę</sup>j tajemnicy, kt<sup>o</sup>ra dla niego była tak święt<sup>ą</sup>, wskoczył na konia i szybko odjechał.

W parę tygodni po odjeździe Michasia z Mędr<sup>o</sup>wki, tak się nazywała wieś pani Mikoszewskiej, o dobr<sup>ą</sup> milę od Łagowa poło<sup>ż</sup>ona, przybył do miasteczka tego Karol, w przejeździe swym do Warszawy, i wiedząc z korespondencyi o pobycie Edmunda u wuja, postanowił go odwiedzić. Stary przyjął otwartemi rękami tak zacnego i doznanego przyjaciela, o którym Edmund tyle mu naopowiadał i o którym tak często wspominał. Dzień cały przebył Karol u pana Macieja. Jako sam myśliwy, z wielką przyjemnością słuchał wszystkich reguł t<sup>ę</sup>j sztuki, na tak długim opartej doświadczeniu. Humor starego i jego koncepta dziwnie mu się podobały. Sam pełen rozumu, umiarkowania, prostoty i szczeroci ducha, szlachcic dawny myśl<sup>ą</sup> i sercem, chocia<sup>ż</sup> ogł<sup>ą</sup>da i wychowaniem do dzisiejszego pokolenia nale<sup>ż</sup>ący, ocenił prędko rozum starego, spokój i szczęście jego życia. Pan Maciej nawzajem dziwnie go t<sup>ę</sup>ż polubił i <sup>ż</sup>alował, że tak krótko u niego gości. Karol obiecał, po ułatwieniu interesów, kt<sup>o</sup>re pośpiechu wymagały, powrócić i kilka dni zabawić.

— Zapomnisz waś, panie Karolu dobrodzieju — mówił pan Maciej — zapomnisz starego i śpieszyć się będziesz do młod<sup>ę</sup>j, mosanie, żony. Ale wi<sup>ę</sup>sz waś co? — dodał spojrzawszy z przywiązaniem na Edmunda — żebym miał rękojmię, że nie inn<sup>ą</sup> pojedziesz drog<sup>ą</sup>, tylko na Łagów, we<sup>ż</sup> go waś, panie Karolu dobrodzieju, z sob<sup>ą</sup>. Będziesz musiał mi go odwieźć, a tak już pewnym będę, że mi<sup>ę</sup> ta przyjemność nie minie.

Ta myśl wzięcia Edmunda z sob<sup>ą</sup> na parę tygodni do Warszawy, dokąd jechał teraz sam jeden, uderzyła tak Karola, że się j<sup>ę</sup>j uczepił rękami i nogami, i mimo oporu Edmunda, odstąpić od ni<sup>ę</sup>j nie chciał. Ponieważ Edmund widział, że to jest tak<sup>ż</sup>e i życzenie wuja, kt<sup>o</sup>ry chciał, aby się młody człowiek wypróbował, czy mu świat i jego przyne<sup>ż</sup>ty nie stan<sup>ą</sup> się milszemi od t<sup>ę</sup>j samotności i pustelniczego prawie życia, skłonił się wreszcie z t<sup>ę</sup>m przekonaniem, że wracać będzie z t<sup>ę</sup>m większą tęsknot<sup>ą</sup> do t<sup>ę</sup>j ciszy i swobody, im żywi<sup>ę</sup>j odnowi się przed jego okiem zamęt miasta i ta niewola, jak<sup>ą</sup> tam jedni na drugich nakładają. Uściskawszy więc serdecznie starego, opatrzony niewielkim zapasem na drogę, w drugiej połowie czerwca ruszył Edmund do Warszawy.

Nazajutrz po owym podwieczorku u księdza Studzińskiego, na którym poprzedzając zakończyliśmy rozdział, przybył do Rudnicy pan Seweryn T<sup>ę</sup>czyński, stryj pani Tomaszowej. Już Edmund, opowiadając przyjacielowi swemu dzieje swego serca, lekk<sup>ą</sup> o nim zrobił wzmiankę. Ale ponieważ pan Seweryn był oddawna powiernikiem Hieronimy, znał ją doskonale, i nie sprowadzał j<sup>ę</sup>j wcale z t<sup>ę</sup>j drogi

aktorstwa, na której tak daleko zaszła, musimy mu kilka słów poświęcić, aby go lepiej czytelnikom naszym dać poznać.

Pan Seweryn, jako niezbyt szczerze obdarzony od fortuny, zwłaszcza póki ojciec żył, i majątek trzymał w swém ręku, znaczną część młodości swojej i dojrzałego wieku przepędził w Warszawie, gdzie próbował pokierować się w służbie cywilnej, gdzie starał się powiększać swoje dochody, wysługując się jednej bogatej i niemłodej już pani, i przesiadując częściej za zielonym stolikiem, niż za stołem swojego biura. Mimo to, szczęście służyło mu we wszystkim. W biurze miał wziętość, choć nic nie robił; protektorę swą obdzierał bez skrupułu, a miał u niej wiarę, choć utrzymywał i inne kobiety; w grze nie uważał na drobnostki sumienia przy tasowaniu i rozdawaniu kart, ale złapać się na uczynku nie dał, i płacąc gotówką gdy przegrał, miał szacunek tych, krórych ogrywał. Słowem, znaczenie i pieniądze napływały mu coraz odnawiającym się strumieniem, a pan Seweryn używał ich nieskąpo i prawie nieogłędnie dogadzał sobie we wszystkim. Mieszkał z elegancyą, miał przez drzwi ładną sąsiadkę, za której lokal płacił, rzadko chodził piechotą, jadł doskonale, pił jeszcze lepiej, szczególnie na wszystkich śniadankach oficjalnych, które się zdarzały prawie codzień, i gdzie się robiły interesa, rozdawały promocyje i miejsca. Tam on często pomiędzy innymi biegłymi rej wodził, kierował wyborem najwykwintniejszych potraw, najdroższych win; a gdy biedny pacjent skrobał się w głowę i przeczuwał klęskę, pan Seweryn drwił z niego, obiecując mu gruszki na wierzbie i ciesząc go widokiem apetytu i dobrego humoru tych, od których jego sprawa lub los zależały. Przez takie to życie i takie obcowanie przyszedł do tego rezultatu, że człowiek składał się z dwóch części: *najprzód* z pierwszej i głównej, t. j. z ciała, które przeznaczone na ziemi żyć, tu zaczynać i kończyć swój zawód i istnienie, które zatem powinno użyć wszystkiego, co ziemia dać może, i kosztować wszystkich tych drobnych słodczy, których summa stanowi to, co się szczęściem ziemskim nazywa; *powtóre*, z drugiej części, podrzędnej t. j. rozumu, który na to tylko przeznaczony, aby posługiwał ciału, aby umiał wynaléźć wszystkie środki do dogodzenia jego apetytowi; któryby usuwał wszystkie przeszkody używania ziemskiego szczęścia i uczynił je o tyle pewnym i trwałym, o ile tylko budowa fizyczna człowieka dozwala, o ile dopuszcza organizacya społeczności, której pewne prawidła, przez wzgląd na niebezpieczeństwo tegoż ciała, rozum powinien uznać i nauczyć się zachowywać. Całej moralnej i duchowej strony życia pan Seweryn nie przypuszczał, i drwił sobie z niej w najlepsze; a o przyszłym bycie naszym mówił śmiejąc się tak, jak Kaunitz o losach Europy, po złożeniu portfelu: *après moi le déluge*. Był to więc materialista zupełny i wyrozumowany, nie wierzący w za-

dne sentymenta, żadne poświęcenie dla jakiej bądź wyższej myśli, dla ludzi lub Boga. W to tylko wierzył, czego mógł dotknąć, co widział, co jakimkolwiek zmysłowi jego sprawiało przyjemność lub przykrość. Ale jednakowo cenił dobry półmisek, jak ładną kobietę, wygodne krzesło, jak łatwego w pożyciu towarzysza, ładny spektakl, jak i okazałą religijną ceremonię. W kompanii poufałej, a zwłaszcza podochociwszy się, nie taił się ze swym sposobem zapatrywania się na życie; owszem z pewnym cynizmem afiszował swoje zasady, a czasem nawet dowcipnie zrzucał w błoto każde poetyczne uniesienie, które przy nim wyrwać się śmiało, i plugawił brudnym dotknięciem każde uczucie, gdy się kto niebacznie z nié m zdradził. Umiał jednak w téj mierze trzymać się na wodzy, gdy jakikolwiek wzgląd nakazywał mu moderowanie się i milczenie, zwłaszcza, gdy zmiarkował, że przez szczere pokazanie się jakim był, mógłby na siebie ściągnąć jaką przykrość, lub ciało swe narazić na jaką bądź prywacyą. Dla téj to przyczyny potakiwał czasem rodzicom, objawiającym miłość dla dzieci, lub żał po ich stracie; mężowi, mówiącemu ze czcią i miłością o swéj cnotliwej żonie; filantropowi, którego potrzebował, mówiącemu z zapalem o ludzkości; miłośniernej pani, zakłopotanej o pomoc ubogim; pobożnemu zwierzełnikowi, wychwałającemu świętobliwego kaznodzieję. Dla téj jedynie przyczyny bywał nawet kiedy niekiedy w kościele. Nazywali go wprawdzie niektórzy materyalistą, smakoszem, niedowiarkiem; ale większość lubiła jego towarzystwo, utrzymywała, że ma rozum, że dobry do kompanii, że bierze życie jak jest, z jego strony rzeczywistej, że nie sentymentalny wprawdzie, ale nie skrzywdził nikogo, jak przegrał oddał, cudzego, broń Boże, nie wziął, że to zatém człek uczciwy, z którym żyć można. Pan Seweryn, który w czterdziestym roku życia miał się dobrze, i przez spadek wzięty po ojcu, który w tym czasie umarł, i przez własny przemyśl, porzucił urząd, ale przemieszkował częściej w Warszawie, niż na wsi. Gdy mu brat umarł, został opiekunem wdowy i jéj córki Hieronimy. Miała ona już wówczas osmnasty rok, była piękna, i idąc śladami matki, postanowiła zyskać równą jéj cześć i miłość. Pan Seweryn, który zmiarkował od razu, że matka jest prawdziwie świętobliwą kobietą i w głębi duszy pobożną, nazwał ją *une imbécile*, i dał jéj pokój. Ale córkę zaczął studyować i przekonał się prędko, że to komedia. Choć to dla niego była rzecz obojętna, że to była córka jego brata, gdyż takich romansów pokrewieństwa nie pojmował, ale, że mu się podobała z młodości, wdzięków i téj zamaskowanej nabożeństwem kokieteryi, którą przeniknął, wziął się szczerze do zyskania jéj przychyłności, i gotował się nie zatrzymywać w połowie drogi. Panna Hieronima, która także intencye stryja swego odgadła, miała więcej rozumu, niż on skrupułów; skończyło się więc tylko na dobrej zażyłości, wzajemnych

konfidencyach i stosowaniu się do rad stryjaszka, które jej wyszły na dobre. Temi to powodując się radami, pozbyła się romansu z Edmundem, który ją mógł skompromitować, i zyskała takiego męża, jak pan Łuniewicki, gdyż pan Seweryn, poznawszy go w Lublinie, zmiarkowawszy, że się da złapać, zawiózł go do bratowej, i zaczął ten interes, który piękność, sztuka, reputacya panny i miłość stęsknionego za bijącym sercem wdowca dokończyły. W tym czasie, o którym mówimy, miał pan Seweryn przeszło lat pięćdziesiąt. Był miernego wzrostu, dość otyły, miał twarz dużą i niebrzydłą, ale usta wystające, szeroko otwierające się, co mu dawało jakiś wyraz zwierzęcy, zwłaszcza, gdy śmiejąc się lub mówiąc, tak poruszał wargami, jakby co smakował. Oczy miał siwe, patrzące z równą poządliwością na piękny gors, jak na zakopconą butelkę, czoło wypukłe, błyszczące i cokolwiek lyse. Włosy rudawe, z tyłu nisko przystrzyżone, z przodu delikatnie fryzował, równie jak i bakenbardy tegoż koloru, których zagięcie użycie żelazka zdradzało. W ubraniu był niezmiernie czysty; szczególnie w bieliźnie elegancyę posuwał do wielkiej wykwinności. Że nie był nigdy żonatym, to się samo przez się rozumie.

Rzadko bardzo pan Seweryn bywał w Rudnicy. Ton tego domu, gdzie mąż był rzeczywiście człowiekiem moralnym, z gruntu uczciwym i szlachetnym, z duszy pobożnym: gdzie żona, we wszystkie te cnoty wypełniając także, jeżeli nie z popędu serca, to z zasady i wyrachowania, musiała się ciągle mieć na baczości, nie przypadłał mu do smaku. Coś ciężkiego leżało na jego barkach pod tym dachem, gdzie obecność starego księdza i przenikliwe spojrzenia Bronisi, która zdawała się go przenikać, na wszystko zaś co do niej mówił, odpowiadała zinnno, wszystkie jego komplementa odpychała mileczeniem, z żadnego nie zaśmiała się konceptu, pętały jego język, i zmuszały go do roli sentymentów i ducha, której nienawidził. Bawił więc zwykle krótko, i po jednej i drugiej konferencyi z panią Tomaszową, której celem była zawsze strona materyalna i majątkowa, jej samęj i jej dzieci, wyjeżdżał.

Po smacznym i wykwinnym obiedzie, którym gospodyni domu starała się dogodzić swemu gościowi, siedział pan Seweryn w wygodnym krześle, opierał na krzyż założone nogi, objęte zgrabnym, miękkim i giąnsownym bucikiem, na aksamitnym podnóżku swęj synowicy, palce splecione tłustych rąk swych złożył na wypukłym swym brzuszku, i ruszając jeszcze wargami, jakby smakował, przez reminiscencyą zapewne tego mięsiwa i sosów, które spożył, zabrał się do spokojnego trawienia obiadu. Pani Tomaszowa siedziała blisko niego w swojem krześle i kończyła stulę. Bronisia wyciągnęła księdza Studzińskiego do ogrodu, a pan Tomasz, który czuł jakąś ciężkość, gdyż dla dania dobrego przykładu swemu gościowi, jadł za wiele, przecha-

dział się po pokoju, i zaglądał co moment w okno, gdzie go świeże nęciło powietrze.

— Pan, panie Tomaszu — rzekł, widząc to pan Seweryn — zapewne po obiedzie przechadzasz się, albo drzemiesz; co jedno i drugie nie jest szkodliwem, byle przespać się krótko i chodzić powoli. Nie żenuj się więc dla mnie i uważaj mnie za niebyłego. My sobie tu z Hieronimą posiedzimy.

— Stryj zapewne chodzić nie lubi — mówił pan Tomasz, korzystając z wezwania i biorąc za kaszkiet.

— Nie; przyznam ci, panie Tomaszu — odpowiedział pan Seweryn smakując — że ja wolę jeździć, niż chodzić, a zwłaszcza po takim obiedzie jak twój. A nawet, jeżeli znajdę takie krzesło, jak to, i taką sąsiadkę, jak twoja żona, to i za najlepszy kocz dziękuję, i wolę patrzeć na czysty sufit i drzewa malowane nie trzęsąc się, niż przy wybojach waszych dróg zadzierać głowę na brudne chmury i krzaki okryte kurzawą.

— Jednak w takiej porze — rzekł pan Tomasz z uśmiechem — niebo i natura, co nas otacza, mają swoje powaby.

— Tak, ale niè po obiedzie — odpowiedział pan Seweryn — zresztą ja do nieba nie mam żadnej pretensyi, a naturę lubię, ale organiczną, i to wtedy, gdy przeszła przez ręce takiego kucharza, jak twój, panie Tomaszu.

Pan Tomasz spojrział jakoś dziwnie na pana Seweryna, a żona jego, widząc, że stryj jest na drodze szczeroci, i chcąc przerwać tę rozmowę, spojrziała słodko na męża, i wyciągając do niego rękę, rzekła:

— Staś i Terenia są w ogrodzie. Może obaczysz, co robią?

— Chętnie, moje życie — odpowiedział pan Tomasz, i oparłszy się na poręczy jój krzesła, nachylił się ku niej dla pożegnania się. Ona podniosła ku niemu głowę, spojrziała mu w oczy z takim wyrazem, jak gdyby się żegnali przynajmniej na miesiąc, i nastawiła mu słiczne swe usta, które on serdecznie ucałował. Pan Seweryn patrzył na to, i smakując odwrócił się, a gdy pan Tomasz wyszedł, poglądając za nim ze śmiechem szyderskim, rzekł do synowicy:

— *Le brave homme!* więc on zawsze wierzy w swoje szczęście.

— Wierzy w to, co jest, czego w każdej chwili doznaje. A taka wiara nietrudna. Wszak widziałeś — dodała ze spojrzeniem takim samym, jakim patrzyła na męża.

— A widziałem, widziałem — odpowiedział, patrząc na nią pożądliwie — zamiast starzec się i brzydnać, jesteś coraz piękniejsza. A choć trochę przybyło ci ciała, ale czyż takie skarby, które czas dodał do twojej postaci, nie dopełniają twój piękności i tego szczęścia, jakiego ten excepcjonalny mąż używa.

— Dla czegoż excepcjonalny? — zapytała pani Tomaszowa z uśmiechem.

— Bo już lat pięć pragnie cię jednakowo — odpowiedział stary lubieżnik, przychyłając się do niej mimowolnie. Ale cóż to dziwnego, jeżeli tak często na niego patrzysz, jak teraz na mnie.

— Tak ciągle, ale tylko na niego — odpowiedziała pani Tomaszowa prostując się, i zaczęła przyglądać się stule, do której dalszego wyszywania się wzięła.

— *L'heureux drôle!* — zawołał stryj — zazdroścę mu do prawdy.

— Czy tego, żem jego żoną? — rzekła z dziwną w tak pobożnej kobiecie intonacją.

— No, tego nie, bo to nazwisko obrzydziłoby mi nawet ciebie — odpowiedział, i posmakowawszy przez chwilę dodał — ale tego mu zazdroścę, że cię miał przez te lat pięć. Ach! gdyby się był djabeł do téj sprawy nie wmięszal, i nie zrobił mnie twoim stryjem, jego szczęście nie byłoby takie, jakiego kosztował, dostawszy cię z mojej łaski.

Pani Tomaszowa uśmiechnęła się, położyła mu dłoń na ustach, którą pocałować pozwoliła. Potém odsunawszy się z krzesłem, rzekła:

— Dosyć tego. Rozum przedewszystkiém, *mon cher oncle!* jak wtedy, tak i teraz, jak z tobą, tak i z każdym, któremu się coś niepotrzebnego uroi. Taką drogą iść, jaką ja idę, niełatwo. A jednak widzisz, że idę nią i mocno trzymam się na nogach. Té m bardziej teraz zbaczać z niej nie powinnam, kiedy jestem matką, i kiedy o tém tylko myślę, aby dzieci jednego ojca zrównać i w ich położeniu materialném.

— Zrób je nierównymi w jego sercu, a zrównają się w majątku — rzekł pan Seweryn.

— Nad tém téż pracuję — dodała, wyszywając właśnie krzyż na stule.

— I dla tego upajasz szczęśliwościami ich ojca — odpowiedział, patrząc na nią i znowu smakując — *c'est de la bonne politique.*

— Wcale nie: to jest miłość — odpowiedziała niby seryo. Pan Seweryn parsknął głośnym śmiechem, a ona, ruszając ramionami, dodała: — Niedowiarek! zresztą dla niego to wszystko jedno. Dość, że nie widzi, co to jest, że mu dają szczęście, które odemnie mieć powinien, a które dzieciom moim zapłacić musi.

— A dziedziczka? — zapytał pan Seweryn. Hieronimka zagryzła wierzchnią wargę, brwi się jój zsunęły i w oczach błysnęła niechęć. Potém powstała, poszła do swego biurka, wyjęła ztamtąd papier, i dając go stryjowi rzekła:

— Przeczytaj to i obacz, czy się to da zwalić. Pan Seweryn czytał głośno akt następujący:

„Przed Antonim Kwaskowskim rejentem i t. d. stawił się osobiście Tomasz Łuniewicki, sędzia Pokoju okręgu Szydłowskiego, dziedzic dóbr Rudnica z przyległościami, i zeznał akt w osnowie następującej:

„Zeznawający Tomasz Łuniewicki, zawarł w roku 1823 związek małżeński z Teresą Zgliszewską, bez interczyzy przedślubnej, a zatem żył z nią pod rządem posagowym. Z majątku posagowego żony swojej, zeznawający otrzymał od jej rodziców Andrzeja i Katarzyny Zgliszewskich, summę ogólną 925,000 złotych polskich, wyraźnie dziewięćset dwadzieścia pięć tysięcy złotych polskich.

— Toż to prawie milion! — rzekł pan Seweryn, bijąc palcami po papierze i poruszając wargami tak, jakby smakował — piękna rzecz! I to wszystko należy do dziedziczki! która oprócz tego wcale ładna, chociaż to musi być zimne, jak ryba, i bez temperamentu.

— Czytaj-no dalej, czytaj — mówiła pani Tomaszowa, zaciskając wargi, zsuwając brwi i wyszywając krzyż na stole.

„Dziewięććroć dwadzieścia pięć tysięcy złotych polskich — czytał dalej pan Seweryn — której to summy użył na spłacenie długów dobra jego Rudnicę ciężących, oraz na zapłacenie szacunku za przykupione do tychże dóbr wsie: Skrobaczyn, Strojnowkę i Pierzchnicę małą. Wyż wymieniona żona zeznawającego, Teresa Łuniewicka, zesła z tego świata, pozostawiwszy successorką swoją, jedyną córkę Bronisławę.

— Mającą prawie milion, wdzięki i dobrego kucharza—przerwał pan Seweryn i ruszając wzgardliwie ramionami, zawołał — *l'imbécile!*

— Kończ, kończ — rzekła pani Tomaszowa — bo mój mąż może wrócić.

— „Zeznawający—czytał dalej pan Seweryn— przyznaje, iż z tego tytułu winien jest téjże nieletniej córce swojej Bronisławie, z s. p. Teresy Łuniewickiej spłodzonej, summę ogólną 925,000 złotych polskich, jako z majątku posagowego matki jej otrzymaną, którą, jako dług swój prosty i czysty, zabezpiecza na wszelkim majątku swoim ruchomym i nieruchomym w ogólnosci, a w szczególności na dobrach swoich Rudnicy z przyległościami: Skrobaczynie, Strojnowce i Pierzchnicy małej, w okręgu Szydłowskim, gubernii Kieleckiej położonych, i na intabulacyą téjże summy w wykazie hipotecznym zezwała, z tém zastrzeżeniem, że na jej połowie zeznawającemu służy dożywocie. Nadto zeznawający obowiązuje się, pod egzekucyą wprost z aktu tego wypływającą, wypłacić summę tę w monecie grubej, kurs w kraju mającej, córce swój Bronisławie po dojsciu jej do pełnoletności, za

poprzedniem jednak zabezpieczeniem go co do służącego mu prawa dożywotniego użytkowania z jej połowy.“

— Tym sposobem — mówił pan Seweryn składając akt — twój mąż, którego uszczęśliwiasz, nie ma prawie nic.

— Nic, nie — odpowiedziała pani Tomaszowa. — Bo już-ci te dobra szacowane są dziś na milion dwakroć kilkadziesiąt tysięcy, a oprócz tego długu, żaden więcej na nich nie ciąży. Ale cóż to będzie za ogromna różnica w uposażeniu tych dzieci. Zwłaszcza... — dodała, zatrzymując się i spuszcżając oczy.

— Zwłaszcza, że ich przybędzie więcej — przerwał pan Seweryn smakując, i patrząc na zarumienioną kobietę, którą ta suppoz, cya jeszcze piękniejszą zrobiła. — 725-ty art. Kodeksu Cywilnego stoi jak wół, i obejść go twój mąż nie może, pomimo wszystkich szczęśliwości, jakimi go obsypujesz. *Donc toute cette nichée*, którą go obdarzyłaś i obdarzysz, przypuściwszy nawet, żeby tam było coś i mego i hrabiego Franciszka, jeżeli cię nareszcie niedorzeczne skrupuły opuszczą, będzie musiała przestać na tém, co istotnie wasze. A to djable niewiele. Gdyż po matce nie dostaniesz prawie nic. Twoja matka więcej myśli o kościele, o dewocyi i o ubogich, niż o sobie, i co zostawi, to juźci oddasz bratu, który bez tego poszedłby z torbami, on, którego matka twoja tak wychowała, że choć ma już dwudziesty rok, dotąd nie umie rozróżnić dany kierowój od waleta pikowego i trufla od kartofli. Po mnie także nic nie dostaniesz. *Pas si bête, ma chère amie!* żebyś myślał o tobie, lub dla dzieci pana Tomasza skazywał się na jakieś prywacye, kiedy nie mam ci za co być wdzięcznym. Na przypadek śmierci twego męża, której mu z tego tylko względu nie życzę, żeby cię to postawiło w dość krytycznym położeniu, zostałabyś i ty i twoja progenitura na łasce tej dziewczyny, która, jak sądzę, nie podziela łatwości swego ojca, i patrząc na twoje ręce złożone, słodki dla siebie uśmiech i twoje karesy, wie *à quoi s'en tenir*.

— *Vous êtes terrible* — rzekła pani Tomaszowa, spojrzawszy na starego cynika prawie z gniewem.

— *Je suis franc*, i biorę rzeczy jak są — odpowiedział. — Ta amazonka ma osiemnaście lat; szlachta w okolicy musiała już przewąchać, że to panna milionowa; przytém piękna, a choć pewny jestem, że to zimne i bez krwi, ale mało który młody człowiek zna się na pasztecie i kobiecie. Byle mu ładnie wyglądała z wierzchu, zapali się i ożeni. Wtedy oboje pójda do reagenta i ten akt otworzy im oczy. Czy ma już jakiego wielbiciela?

— Robię co mogę, żeby ich nie miała — odpowiedziała pani Tomaszowa z westchnieniem.

— Pomimo całej zřeczności, jaką w tej mierze rozwiniiesz —



rzekł pan Seweryn — rzecz to jednak nieunikniona. *Il se trouvera toujours un niais*, który pomyśli, że milion potrafi mu zawsze smaczniemi uczynić *ces éternelles perdreaux*, jakiemigo stan małżeński poczęstuje. Chyba, żeby ją jakim sposobem zapakować do klasztoru.

— Ba! — rzekła pani Tomaszowa, spojrzawszy na zacnego stryjaszka roziskrzoném okiem, a spuściwszy potém oczy i patrząc na krzyż stuły, który właśnie skończyła i wygładzała na kolanie, dodała po chwili — myślałam już o tém, ale to trudno, bardzo trudno.

— Daj-no mi tę kopię tego mądrego aktu — rzekł wtedy pan Seweryn powstając i chowając papier do kieszeni. — Poradzę się z jurystami. Wszakże oni nie na to są, aby prowadzić ludzi drogą prostą, jaką wytknęło prawo, ale na to, aby nauczyć, jak tę drogę wyminąć. Może się uda łeb skręcić *à cette honnêteté* twojego męża. Ale jeżeli nie, a zdaje mi się, że to będzie trudno, pozostaje jeszcze jeden środek.

— Jakiż to? — zapytała pani Tomaszowa powstając, i wziąwszy go pod rękę, szła z nim po pokoju.

— Wszak hrabia Franciszek kochał się w tobie na prawdę? — zapytał, patrząc jéj w oczy.

— Podobno — odpowiedziała z uśmiechem.

— *L'imbécile* — zawołał pan Seweryn — wdawać się w sentymenta, mając pięćkroć intraty. Ale ponieważ już doprowadziłaś rozumnego człowieka do takiej głupoty, którójbym sobie nigdy nie darował, *malgré tous vos charmes*, od których stanowczo recessu nie czynię, miej-że przynajmniej ty rozum i umiej z niéj korzystać. Cóż to zaszkodzi panu Łuniewickiemu, że dzieci jego będą o kilka wiosek bogatsze? Wszak dobra hrabiego są w tym samym okręgu, gdzie on jest sędzią Połkoju — dodał śmiejąc się i smakując.

Pani Tomaszowa odstępiała od niego, potarła palcami czoło, potém kiwając głową i ręką, rzekła:

— *Jamais.*

W téj saméj chwili wszedł pan Tomasz, niosąc Terenię na rękę i prowadząc za rękę Stasia. Zona podbiegła ku niemu, i przytuliła się do męża. Terenia nachyliła się do jéj twarzy; Staś zaczął się na nią wdrapywać, i znowu ułożyła się gruppa matrymonialna, na którój widok pan Seweryn odwrócił się i nieznacznie splunął.

Tego samego dnia pan Tączyński wyjechał, a nazajutrz odebrała pani Tomaszowa z Warszawy dwa listy. Jeden był od prezesowój, w którym donosiła jéj, że chora, że za nią tęskni, że pije wody w ogrodzie Krasieńskich, że najszczęśliwsza byłaby, gdyby miała takie towarzystwo, tém bardziej, że pewna jest, że powtórzenie Emskich wód, do których przed dwoma laty jeździła, choć nawet sztucznych,

przyniosłoby i jej zdrowiu zupełne polepszenie, i uczyniłoby ją jeszcze śliczniejszą, niż jest, i zacnemu jej mężowi stokroć miłszą.

Drugi list był od szambelanowej, następującej treści:

„Kochana pani! Świat tak wywrócił się do góry nogami, tak idzie coraz dalej i dalej bez sądu i prawa, hamulca i bojaźni bożej, że rola moja bociana, czyszczącego ziemię z gadów bezwstydu i efronteryi, sprzykrzyła mi się zupełnie, tak, jakby się sprzykrzyła rola nauczyciela każdemu rozsądnemu kaznodziei, gdyby mógł wiedzieć, że słowa jego padają na serca ludzkie, jak groch pada na ścianę, do której żadne ziarno przylgnąć nie może. Patrząc więc na to, co się w około mnie na różnych szczeblach społeczności naszej dzieje, zażęskniłam za widokiem waszego domu, za obcowaniem z ludźmi, którzy tak święcie wypełniają swoje powinności, tak się kochają, jak gołąbki, tak żyją i postępują, jakby wszyscy żyć i postępować powinni, aby tę funkcją, jaką na siebie włożyłam, uczynić niepotrzebną, i skłonić mnie przy moich latach, których, niestety! skryć nie można, do rozpamiętywania tylko tych grzechów i grzeszków, jakich dopuszczałam się sama, gdym była młodsza, gdym szła za tym prądem zepsucia, na który teraz tak bezskutecznie powstaję. Ale cóż! kiedy dla okoliczności, które każdego potępiają, a których tu wyszczególniać nie warto, nie mogę się teraz wychylić z Warszawy i przybiedz do was, aby pod waszym gościnnym dachem kilka dni odetchnąć zdrowszem i niezepsutem powietrzem. Przestaję więc na korespondencyj, łudząc się choć przez parę godzin tą myślą, że z wami jestem i z wami rozmawiam. Przepraszam cię tylko, kochana pani, za mój egoizm, gdyż pisząc ten list, ja się tylko bawię, ja się uzdrawiam, a ciebie nudzę i odrywam od słodkiego obcowania z tym droгим mężulkiem, który powinien dzień i noc dziękować Panu Bogu, że cię dostał za żonę, a także od karesów i zbawiennych nauk tych ślicznych dzieł, które kiedyś poczują łaskę nieba, co im taką dało matkę. Chciałabym choć trochę nagrodzić ci ten trud, jaki ci da czytanie mego listu, i przykrość, jaką ci sprawi, odrywając cię od twych zajęć i rozkoszy domowych, udzieleniem ciekawych wiadomości o naszym mieście, a choćby i ploteczek o tych wszystkich grzesznikach i grzesznicach, na których manewra patrzę, a którzy oddawna przestawszy bać się Pana Boga, już się nawet i mnie nie boją. Ale na swoje szczęście mało ich znasz, i cała ta kronika, chodząca po ulicach Warszawy i wałęsająca się po salonach panów, po pokojach i sypialniach szlachty i urzędników, interesować cię nie będzie. I w rzeczy samej nie zajmie cię to wcale, że księżna Matylda pięknego swego akademika pięć lat już przygotowuje do egzaminu doktorskiego, i wespół z panią Adamową, jak dwie matki rywalki, wydzierają go sobie i prowadzą dalej w tajnikach życia, niż wszyscy profesorowie, jakich słuchał;

że pani Rzeczkowska wychodzi często z domu z książką do nabożeństwa i udaje się wprost na Długą ulicę, gdzie Bóg widzi, od Miodowej ulicy do ulicy Przejazd żadnego kościoła nie ma; że pani Baszycka, wyszukując rozmaite przywary, jak to zwykle bywa, w swęj synowej, przyprowadziła ją do tego, że ładniutka ta kobiecina znalazła głos hrabiego Władysława daleko miłszym i jego wąsy daleko zgrabniej ułożonemi, niż był głos męża i rudawe jego wąsiska; że pani Oczarkowska, ta śliczna brunetka, którą u ciotki swęj admirowałaś, dostaje często w prezencie aksamitne szubki z sobolami, cudne koronki i chusteczki paryzkie od swych siostr, które same chodzą w lisach, w sukienkach perkalikowych i potężne swe nosy ucierają chustkami z domowego płótna, a poczciwy pan Oczarkowski pod niebiosa wynosi to przywiązanie, jakie między rodzeństwem jego żony panuje; że jak żurnal jaki peryodycznie się okazuje, tak hrabina Zenonowa peryodycznie niknie z Warszawy i wraca potém świeższa i delikatniejsza, niż była; że... że... ale doprawdy, wszystko to są rzeczy tak zwyczajne, tak codzienne, jak rano kawa, jak na obiad sztuka mięsa, że już nawet mnie nie rażą, i nikt sobie nie wyobraża, aby mogło być inaczej. Dla tego nie będę cię, kochana pani, fraszkami temi zajmować, a powiem ci o tém, co cię bliżej zainteresuje. Patrzyłam zawsze z przykrością, jak hrabia Franciszek, tak pełen zdolności i nadziei, obsypany tak szczerze darami fortuny, tak ubogacony przez naturę w powaby zewnętrzne, takim życiem marnował swą młodość i te przymioty, których mógłby wcale inaczej użyć. Gniewały mię jego liczne romanse z paniami równięj mu kondycyi, a mianowicie z księżną Kalikstą, i jego brudne związki na niższych szczeblach, które niszczyły go moralnie i materyalnie, a które afsizował nie żenując się, jako pan, przywykły do tego, aby się inni dla niego żenowali. Ztąd ścięgałam go okiem, a choć nieproszona, postanowiłam, nieraz nawet z narażeniem się na impertynencyę, prześladować go i reflektować słowami prawdy, dojmującym żartem, lub poważną perorą. Wkrótce przekonałam się, że i to groch na ścianę. Otóż, gdy m spostrzegła, że się zajął tobą, kochana pani, i że się zajął seryo, ucieszyłam się tą miłością, *tant soit peu illégitime*, pewną będąc, że wyprowadzisz go z tego bezdroża, że go podniesiesz, i natchnąwszy mu uczucie prawdziwe i głębsze, opolerujesz ten kamień, który sądziłam godnym twęj ręki. Pomyślałam sobie tak: ona ma rozum, jest cnotliwa i pobożna. O nią się nie boję; ale jeżeli miłość jego potrafi utrzymać, i zręcznie, bez uszkodzenia swęj godności matki i żony, karmić ją w nim zdoła, zbrzydzi mu dawniejsze jego stosunki, przyzwyczai do uczciwego kochania, które zawsze obudzało i obudzać będzie w każdym człowieku z sercem i głową, stronę moralną i duchową. Przestałam go więc prześladować, tobie nie dałam po-

znać, że wszystko widzę, choć przekonana jestem, że masz aż nadto przenikliwości, i zmiarkowałaś to dostatecznie, że mam was na oku i śledzę, jak się to też skończy — *et si le diable y gagnera quelque chose ou non*. Gdybym była spostrzegła, że słabnieisz, że jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagraża twojej reputacji kobiety świątobliwej i wzorowej żony, byłabym cię natychmiast ostrzegła: bo mi jednakowo na sercu leży twój honor, jak i spokój twego męża, którego szacuję i kocham. Aleś ty równie mądra, jak cnotliwa i piękna. Admirowałam cię tylko, że z taką pewnością szłaś po ostrzu, na którymby się każda inna niezawodnie skaleczyła. Ta admiracya moja dla ciebie, kochana pani, doszła do najwyższego stopnia, gdy przypadek podał mi w rękę korespondencyą romansową naszego Lowelasa, którego ja morałami, a ty pięknosciami i udanym afektem starasz się naprowadzić na drogę właściwą, i uchronić od zgubnych i brudzących związków. Szczególnie zachwycił mnie twój bilecik na zielonkawym i pełnym nadzici papierze, napisany tym ślicznym charakterem, który tak dobrze znam, napisany widocznie w Ems, wtedy gdyście tam byli razem, i gdzie wam było tak dobrze. Zapewne go pamiętasz, zaczyna się on tak: — *J'ai lu avec une secrète et profonde émotion les douces paroles, par lesquelles vous tâchez de me convaincre de la sincerité de l'affection, que vous me portez* i t. d. Co to za zręczność! jak delikatnie odsadziłaś kotka od mleka, pozwoleńszy mu wprzód myśleć, że już go jest blizkiem; z jaką sztuką, nie zrażając go, nie oziębując, owszem, umacniając jego nadzieje, odłożyłaś ich spełnienie do nie wiedzieć jakiego czasu, aby biedak ciągle marzył o tych gruszkach na wierzbie, ciągle je widział, pragnął, a dostać nie mógł. Al! przyznam ci się, droga pani, że miałam wysokie pojęcie o twoim rozumie; ale ten list pokazał mi dopiero, co może kobieta z głową, gdy ma tak dobre zamiary, i tak święcie postanowiła sobie sprowadzić gubiącego się człowieka na drogę zbawienia. A czy to tylko ten taki genialny! mam ich trzy w różnych czasach pisane, a wszystkie warte druku; i gdybym je jakiemu romansiście oddała, dawszy mu przytém niektóre objaśniające skazówki, ucałowałby mi ręce i nogi. Ale widzisz, droga pani, co to jest gadulstwo starej egoistki, która rada, że się dorwała do téj piśmiennéj pogadanki z osobą, którą tak wysoko ceni, a której cnoty i życie dają wypoczynek jéj oczom, patrzącym tylko na zdrożności, iż ani się spostrzegła, że to już czwarta ćwiartka, którą musisz czytać ziewając, i wyglądając niecierpliwie końca, aby co prędzej oddać się słodkim i świętym obowiązkom żony i matki. Przez litość więc nad tobą kończę, i nie uwiadamiam cię nawet, jakim sposobem ta korespondencya, o której zrobiłam ci wzmiankę niechcący, dostała się do rąk moich. Powiem ci to kiedyś za widzeniem się. Musiałabym jeszcze dużo nabazgrać,

gdybym ci chciała wszystkie te okoliczności wyłuszczać na piśmie. Do widzenia. Twoja szczerze przywiązana wielbicielka *Eufrozyna Matraszyńska*."

"P. S. Czém się to dzieje, że my kobiety najważniejszą nowinę zachowujemy do przypisku, tego nie wiem; ale widno, że to już musi być w porządku naturalnym, kiedy nawet w tych rozumnych bilecikach twoich, o których ei wspomniałam, najlepsze słówka, któreby każdą głowę zawrócić mogły, znajdują się w przypiskach. Dla czegoż i ja nie mam nasładować ciebie, która jesteś we wszystkim wzorową. Donoszę ci tedy, kochana pani, że podobno na nic się nie zdadzą równie moje sarkazmy i perory, jak i twoja piękność i dyplomatyczna kokieterya. Przepraszam cię za to wyrażenie, ale cel szlachetny, jakiś sobie założyła, i mądrość, z jaką rzecz tę prowadzisz, słowu temu odejmują jego trywialne znaczenie. Wyobraź tedy sobie, że ta śliczna księżna Kaliksta, której przed pięciu laty hrabia nasz hołdował, od której odwiódłś go tak zwycięzko i trzymałaś z daleka tak długo, od roku podobno ma go znowu w swoich pulchnych łapkach. Niestety! muszę ci powiedzieć, że zamiast zbrzydnać, przez te pięć lat jeszcze wyładniała i doszła dopiero do swojej pory. A że, jak i pierwój, tak i teraz, nie miała ani twoich skrupułów, ani twojój cnoty i pobożności, ani tych świętych obowiązków, które ty tak szanujesz, ani tego celu moralnego, jakiś ty sobie założyła; a uśmiecha się cudnie, gorsuje się bardzo, patrzy dziwnie słodko, i nie waha się dotrzymać, jeżeli miała czoło obiecać, zdaje mi się tedy, że nasz *Lovelas* odwrócił się od wszystkich innych, a nawet od ciebie, kochana pani, i przyłgnawszy stanowczo do tój syreny, zawiódł tym sposobem i moje nad nim czuwanie i twoją przyjacielską o jego dobro troskliwość. *L'es absents ont toujours tort*. Przepraszam cię, kochana pani, jeżeli cię ten przypisek zmartwi, ale list kobiety bez przypisku, jest jak pieczone bez salaty. — *Au revoir donc*."

Wielkie to było szczęście dla pani Tomaszowój, że jej oba te listy oddano, gdy nie było nikogo w pokoju. Rzuciwszy okiem na adresa, i-poznawszy rękę szambelanowój, zadrżała mimowolnie, jakby ją jakie przeczucie ostrzegło, że tam będzie przysmak, który sama powinna spożyć i z nikim się nim nie podzielić. Poszła więc do swego gabinetu, zamknęła się, i przejrzawszy prędko list ciotki, zabrała się do czytania ogromnój ramoty swojej serdecznój przyjaciółki. Z początku uśmiech wżgardliwy przebiegł po jej ustach, parę razy ruszyła ramionami, pokiwała głową, gdy przyszło do nowinek warszawskich, już nawet dla niej nienowych; nareszcie zaczęła czytać to, co ją rzeczywiście bliżej zainteresowało. Im bardziej posuwała się w czytaniu, tém prędziej czytała, i tém silniej wpatrywała się

w ten papier, z którego każde słowo zdradzieckich pochwał powsta-  
wało ku niej jak sztylet, i głaszcząc niby i łechcąc, przeszywało ją  
na wylot. Wkrótce twarz jej zbladła jak ściana, usta zaczęły się  
trząść, oczy drgały i zachodziły jakąś mgłą, która jej nie pozwalała  
dojść do końca tak prędko, jak ją niecierpliwosć dowiedzenia się  
wszystkiego gnała. Gdy wreszcie skończyła, jęknęła głęboko, i po-  
łożywszy papier na stole, splotła ręce, wyciągnęła je, i cisnąc mię-  
dzy kolanami, zsuwając brwi i wlepiwszy oczy w jeden punkt ko-  
bierca, który był pod jej nogami, siedziała tak długo, pierwszy raz  
w życiu przyprowadzona do takiego stanu. Stan ten był tém bo-  
leśniejszy, że z tego wszystkiego, co przeczytała, zapamiętała tylko  
to, że złośliwa kobieta ma ją w swém ręku, bezsilną, nie mogącą się  
bronić, skrępowaną i spowitą jak dziecko. Po jakimś czasie wzięła  
znowu list, przeczytała go od połowy raz drugi, i odrzuciwszy go od  
siebie i przetarłszy oczy, jakby się chciała przekonać, że to nie sen,  
ale prawda, ale rzeczywista przepaść, z której bądź co bądź trzeba się  
wydobyć, porwała się z miejsca, jak lwica zraniona, i ta gotowość  
do śmiertelnej walki z przeciwniczką, której siłę знаła doskonale,  
rozlała na jej twarz tak groźną, tak straszliwą, ale tak cudną pięk-  
ność, że nigdy Dyana nie była piękniejszą, gdy zabijającym wzro-  
kiem i śmiertelną strzałą razila tych, co ją obrazili.

Wszakże stan ten nie trwał długo. Pochodziwszy z pół godziny  
po pokoju i przekonawszy się, że w tém fatalném zdarzeniu idzie  
głównie o to, aby te ślady nieuwagi z jednej strony, a niedbałości  
i lekceważenie takiej tajemnicy ze strony hrabiego, z rąk szambela-  
nowej wydobyć, postanowiła korzystać z listu ciotki, z jej rad kon-  
tynowania kuracyi, i wyjechać na trzy lub cztery tygodnie do War-  
szawy. Hieronima, przywykła od tylu lat panować nad sobą, umie-  
jająca w gnieniu oka nadać swój twarzy taki wyraz, jaki sama chciała,  
ukryła najprzód głęboko list swojej szczerzej wielbicielki, a wzięwszy  
do rąk list przesowój, i spojrzawszy w zwierciadło, czy jest o tyle  
bladą, ile potrzeba dla przekonania męża, że jej powracają cierpie-  
nia, na jakie kurowała się w Ems, i o tyle zmartwioną, ile potrzeba  
dla przekonania go, jak głęboko stan ciotki i prośbę jej wzięła do  
serca, udała się do pana Tomasza, z zamiarem wyproszenia się na  
kilka tygodni do Warszawy.

Pan Tomasz naturalnie pozwolił natychmiast; ale widząc ją nad-  
zwyczaj bladą, w podrobionym uśmiechu i słodyczy czując coś nie-  
zwyczajnego, gdyż ją rzeczywiście wewnętrzny trawil niepokój i gniew  
tajony palił, przestraszył się o jej stan i chciał z nią sam jechać, aby  
nad drogiem jej zdrowiem czuwać. Troskliwość ta wcale jej była  
nie na rękę. Rzuciła mu się więc na szyję, zaczęła go pieścić, kare-  
sować i dziękować za jego dobroć; ale wiedząc, że ma właśnie w tym

czasie ważne zatrudnienia, a przytém nie chcąc dzieci zostawić bez opieki swojej lub jego, wyszeptła mu przy słodkich pocałunkach, że nie może przyjąć jego ofiary, i woli wyrzec się téj kuracyi, która by może w rzeczy samej ukrzepiła ją znowu na lat parę.

— Zapewne, lepiej żebym został — mówił pan Tomasz, patrząc z podziwieniem na taką abnegacyą swoją żony. — Ale z kimże cię posłę, żeby w przypadku jakim nad tobą czuwał? Gdybyś mogła mieszkać u ciotki, byłbyś spokojnym, ale to niepodobna. Ich lokal ciasny, i żenowałybyście się wzajemnie dla siebie. A nie chciałbym abyś traciła dobrą porę, gdyż widzę sam, że ci coś jest, i że ci potrzebna i rozrywka, i pomoc twojego dobrego lekarza.

Pani Tomaszowa ucałowała jego ręce, i patrząc mu w oczy z taką miłością, żeby się i kamień wzruszył, rzekła:

— Nie domyślisz się, o czyje towarzystwo chciałam cię prosić? Ale jeżeli na to przystaniesz, będę ci stokroć wdzięczniejszą, niż gdybyś sam dla mnie wyrzekł się i swoich interesów, i naraził się na trudy podróży. Bo wierz mi, więcej mi to leży na sercu, niż moje własne zdrowie.

— Czyjéjże to kompanii tak bardzo pragniesz? powiedz, zrobię wszystko co zechcesz — rzekł pan Tomasz.

— Skłoń Bronisję, żeby ze mną jechała — mówiła tuląc się do niego pieścizotliwie. — Chciałabym być z nią czas jakiś sam na sam, chciałabym, aby musiała patrzeć na mnie, widzieć moje postępowanie z sobą i z innymi, aby niejako zależała odemnie i przekonała się, jakie mam dla niej serce, jakie intencye. Może to będzie chwila szczęścia, w której ją Bóg inaczej natchnie; może ta podróż złamie jej niechęć, i do mojego wielkiego szczęścia doda jeszcze to, czego mu jedynie brakuje, to jest jej przyjaźń i ufność. Nie odmawiaj mi tego!

Pan Tomasz z uniesieniem i ze łzami wdzięczności w oczach uścił żonę i przyrzekł. I tego samego dnia, kiedy Karol z Edmundem wjeżdżali do miasta przez Jerozolimskie rogatki, pani Tomaszowa wyjeżdżała z Rudnicy z Bronisją.

W Warszawie tymczasem zaszły niektóre zmiany w stosunkach osób, któreśmy przed pięciu laty widzieli. Hrabia Franciszek był już rzeczywiście znudzony platonicznym swym romansem z panią Tomaszową. Przed rokiem jeszcze kochał on ją doprawdy i więcej, niżeli się sam spodziewał, i gdyby wówczas chciała była korzystać z jego słabości, Bóg wie, jak daleko mogły były zajść rzeczy. Ale na szczęście pana Tomasz, w téj chwili, gdy hrabia, wytrzymaniem go ciąglem w pewnych granicach oziębł się, gdy wpadł na myśl, że zręczna kobieta durzy go tylko i trzyma jakby na wodzy, nawinęła mu się znowu na oczy księżna Kaliksta, w rzeczy samej piękniejsza, niż była, i ubogacona kilkoletniém doświadczeniem, które jej pozwoliło więcej rozwinąć sztuki w przywabianiu i utrzymaniu w swych

wieżach dawnego wielbiciela. Zawiązał się więc na nowo bliższy stosunek, z początku bardzo sekretny, ale który wkrótce stał się widoczniejszym, a nawet głośnym, raz z tego powodu, że hrabia, który krył się ze słabością swą dla pani Tomaszowej, bo ją prawdziwie kochał, nie zbyt żenował się z kobietą, dla której wielkiego nie miał szacunku; a ona przez próżność prawie chwaliła się zajęciem człowieka, dla swej młodości, przymiotów i majątku tak od różnych pań pożądanego. Gdy więc w skutek zapewne wzajemnej umowy, przeszłej jesieni wyjeżdżali oboje za granicę, wyjeżdżali w tak blizkich przedziałach, wprzód on, a potem ona, że to wszystkich zwróciło uwagę, że na efronterą księżny Kaliksty sarkały takie nawet panie, które nie powinnyby się były schylać po ten kamień, jaki na nią rzucały. Przed wyjazdem swym hrabia był jakiś smutny, roztargniony i niekontent z siebie i ze wszystkiego, co go otaczało. Ciągnął go ten powab, jaki dla niego miała oddana mu zupełnie kochanka, i któremu spodziewał się swobodnie dogodzić we Włoszech, pod południowem słońcem Neapolu, wśród czarów, jakimi szczęśliwe to miejsce obdarzyła natura; a jednak żal mu było tego serdecznego przywiązania, które miał dla Hieronimy, które go we własnych oczach podnosiło, które grzało i jego duszę. Była nawet chwila, że się wahał, czy jechać do Neapolu, czy w Krakowskie; ale widać, że brak zupełny nadziei, aby miłość jego uwieńczoną została, niecierpliwość pańska, gdyż tu nie miał potrzeby czekać, a nadewszystko nałóg używania wszystkich uciech, jakie ziemia dać może, do czego pozycya jego socyalna i majątek dawały mu prawo, skłoniły go do podróży za granicę. Już był zupełnie gotów do drogi i miał tylko co wyjechać dla oddania wizyt pożegnalnych, i wmówienia wszystkim, że jedzie prosto do Paryża, gdy przypomniawszy sobie jeszcze szufladę sekretną swojego biura, gdzie od kilku lat rzucał rozmaite papiery, otworzył ją i rzekł do pana Cypryana, który zawsze był jeszcze w łaskach, wypalał pańskie cygara, kładł się na pańskich sofach, ale czuł, że koniec tej karyery już blizki, i że koń, na którym jechał, coraz bardziej robił się pstrokatym:

— Ach! co tu szpargałów, Bóg wie jakich! to jest nieszczęście z tém mojm lenistwem i nieładem w papierach. Dziś już sam nie wiem, co tam jest, inaczej wrzuciłbym to wszystko w ogień. Mój Sroko! zamiast tak leżeć i wypalać mi najlepsze cygara, żebyś też ruszył się i przebrał mi te papiery. Może znajdziesz co potrzebnego, i co się przydać może, to odłóż na bok, a resztę spal, proszę cię. Bo nie chciałbym tak zostawić tego w domu, skoro Bóg wie, kiedy wrócę.

— Cóż tam jest? — zapytał pan Cypryan.

— Czyż ja wiem, co tam jest? wszystko — odpowiedział hrabia. — Powiadam ci, że od trzech lat rzucałem te papierki, które mi ciążyły



po kieszeniach, a których nie zniszczyłem od razu, gotując się zrobić ogólne *auto-da-fé*. I tak odwlokło się aż dotąd. Dziś już nie mam czasu zająć się tém sam. Mam jeszcze z ośmnaście wizyt do zrobienia. Zresztą, rzecz djable to nudna—dodał ziewając—Pan Bóg na to przecie was stworzył, abyście nas wyręczali w tém, co nas nudzi. Za to macie przyzwoite towarzystwo, dobry obiad i złotowe cygara.

— Zapewne tam są także liściki na cienkim papierze, drobnutkim charakterem, bez wyrażenia miejsca i daty — rzekł pan Cypryan, przystępując do biura.

— Być może, że są — odpowiedział hrabia naciągając rękawiczki.

— Czy mam je także spalić? — odpowiedział pan Cypryan.

— Jeżeli podpisane cyfrą lub imieniem, albo jest co wyraźniejszego, że są do mnie, to je spal, — mówił hrabia, pociągając za sznur od dzwonka.

— A jeżeli bez tych wszystkich indykacyj? — zapytał pan Cypryan, zanurzając rękę w szufladzie i przerzucając papiery.

— Nudny jesteś, Sroko! — rzekł hrabia. — Takie wszystkie daruję ci. Będiesz mógł pochwalić się, że do ciebie pisane, a może zdurzysz jakiego sekretarza referenta, z którym, jak słyszę, zadawać cię zaczynasz. Karetą! — dodał, obracając się do stojącego przy drzwiach lokaja.

— Gotowa, jasnie panie — odpowiedział sługa wygalowany.

— Spraw-że mi się dobrze, mój Sroko! — dodał hrabia — a jak wyjadę, każe ci tu u siebie zostawić kawałek plotu, żeby sekretarze widzieli, że ci wolno na nim usiąść.

I wyszedł poświstując, a pan Sroczyński, który przez lat pięć tyle postąpił, że już czuł i rozumiał, jakim piolunem okładane są wszystkie pańskie cukierki, niekontent z siebie, ale z nałogu ulegający jeszcze dawnym nawyknieniom, wziął się do rozgatunkowania papierów.

Wszystkie przeglądał ciekawie, przeziarał sumiennie, żeby czego nie przesłepić. Poznajdował rozmaite rachunczki z eleganckich magazynów, gdzie się znajdują cacka tak upodobane kobietom, i te przeznaczył na zniszczenie; listy i rachunki od rządów dóbr i plenipotentów, które, jako dawniejsze i pełne poezyi, do téj samój odniósł kategorii; listy z podziękowaniami, to za wyrobione miejsce rządowe lub prywatne, to za danie funkcyi we własnych dobrach, to za pomoc udzieloną, to za wsparcie 50-ciu, 60-ciu, a nawet stu dukatami różnych wdów, sierot, a także rozmaite rewera biedaków, którym hrabia na wieczne oddanie pożyczył, i których było dosyć, odłożył na bok i postanowił zachować, jako dokumenta świadczące o dobrém sercu Frania, do którego szerególną miał słabość, choć go ten zawsze udrapnął wtedy, gdy go głaskał i pieścił. Kupę innych szpargałów nie znaczących odrzucił, a od samego początku swéj roboty, odkła-

dając na bok każdy welinowy, często na pół przedarty, lub w ułamku tylko zostawiony, ale pachnący jeszcze bilecik, który zdradzał drżącą rączkę i bijące serduszko, przejrzenie ich i przebranie na koniec sobie zostawił. Znalazł pomiędzy niemi rzeczywiście niektóre bardzo wyraźnie kompromitujące albo hrabiego, albo te, co je pisały, z wyrażeniem miejsca, z cyfrą lub z całym imieniem, z początkiem: *cher Comte*, pisane charakterem nic niezmiennym, jawnym i zbyt znanym. Te wszystkie przejrzał wprawdzie ciekawie, kiwał nieraz głową, widząc ślady upadku takich nawet kobiet, o którychby mu to i do głowy nie przyszło, zazdrościł nieraz Franiowi szalonego szczęścia, żałował go nieraz, że go to szczęście tyle kosztowało, ale ukończywszy ten ciekawy przegląd, zapalił świecę, złożył te wszystkie dokumenta słabości ludzkiej i trybu życia naszego świata na kominku, podпалиł je wraz z innymi papierami, przeznaczonemi na zniszczenie, i stał przy tym ogniu póty, póki z tych wszystkich kłamstw, fałszywych cyfr, uniesień, może i prawdziwych, ale grzesznych, nie zrobiła się kupa popiołu. — Pozostało w ręku jego kilka liścików tak zgrabnych i sztucznych, że ani on, ani nikt nie mógłby się domysleć, od kogo są i do kogo. Te, jako słuszną, niezaprzeczoną i należną sobie własność zachował, i dla dokładniejszego ich przejrzenia wziął z sobą. Gdy hrabia wrócił z wizyt, już pana Cypryana u siebie nie zastał, a nazajutrz, nad samem wsiadanem, odebrał tylko kluczyk od swego biurka, ale ze zwykłą sobie niedbałością, przestając na ogółowej relacji, którą przerwał tém: — dobrze, dobrze, mój Sroko, dziękuję ci, ale nie nudź-że mię choć teraz — nie chciał wchodzić w szczegóły, co pan Cypryan zostawił, a co zniszczył, — — wsiadł i pojechał. Otóż w téj liczbie kilku miłosnych liścików, które przy panu Sroczyńskim zostały, były trzy pani Tomaszowej.

Téj samej zimy, gdy wszyscy myśleli, że hrabia był w Paryżu, a on tymczasem w Neapolu, w Villa Lucia z księżną Kalikstą, admirał czarowne miejsca tego położenia, zaszła w życiu pana Sroczyńskiego zmiana, która się już od dawna przygotowywała, a która, szczęśliwem dla niego zdarzeniem, na właściwszej postawiła go drodze. Pan Cypryan tak przywykł do towarzystwa wielkich panów, tak przejął wszystkie ich maniere i sposób zapatrywania się na świat i ludzi, poniżej ich snujących się, tak się wcielił w to grono wonne, pełne smaku i powabu, iż się dziwić nie można, że sobie wyobraził, iż do niego organicznie należy, i on jest jedną z tych jagód przezroczystych i pachnących, z których się ono w całości swéj składa.

Ztąd jego znudzona fizyognomia, gdy się w innéj czasem obaczył kompanii, ztąd ta poufalość do mężczyzn mających tytuł i majątek, ztąd ta admiracya dla dam mających wdzięki, rozum, wychowanie i toaletę. Nie pojmował on kobiety inaczej, jak w karecie, na akssa-

mitném krześle, na kosztowném kobiercu i mogącą do iskier oczu przydać iskry brylantów. Długo pan Sroczyński kochał tylko swoich Franiów, Władziów, Olesiów, i t. p., a wszystkim Celestynom, Józefinom, Kalikstom i Matyldom nadskakiwał z daleka, był zawsze na ich zawołanie, nosił za nimi szale i wachlarze, zapinał salopy przy wyjściu, sprowadzał ze schodów, podawał rękę do karety lub z karety, spacerował z nimi po ogrodzie i odwiedzał je w łóżach. Ale, gdy po kilku latach Władziowie i Olesiowie znudzili się jego fizyognomią, i jego poufałość przykrzyć im się zaczęła; gdy się zjawił inny plastron, dawny ex-wojskowy, rubaszny i z dobrą fantazją, daleko dowcipniejszy od pana Cypryana, który drwił sobie w duchu z tych, co go do swój kompanii przypuścili, ogrywał ich i objadał, a za to lgąc im niestworzone rzeczy, przyjmując z zimną krwią ich żarciki, bawił i śmieszył, postać pana Cypryana zbladła przy téj wybitniejszej postaci, i dawni przyjaciele zaczęli go zimno traktować, nie poznawali go często na ulicy, nie brali pod rękę, kazali go często lokajom swym meldować, a gdy go przyjęli, na szarym sadzali końcu. Martwił się tém pan Cypryan, nie pojmował, co się to stało, ale straciwszy cokolwiek z dawnego rezonu, nie stracił nic z dawnego nałogu, i odprawiony przy jednym pałacu, szedł do drugiego i tam pukał do drzwi, które się niegdyś same przed nim otwierały. Panie, z natury lepsze, litościwsze, i bardziej przyzwyczajające się do wszystkich istot, które je otaczają, przyjmowały pana Sroczyńskiego po dawnemu, uśmiechały się do niego, jak i pierwej, i przez dobroć serca prawie grzeczniejsze były, niż poprzednio, bo postrzegły wyraźnie, że mężowie ich i znajomi odpychają od siebie, nie wiedzieć za co, tego, którego pierwej, nie wiedzieć za co, tak mocno przyciągali. To ich postępowanie wprowadziło pana Cypryana na fałszywą drogę. Odtracony od tych, z któremi się tak długo poufał, przeniósł tę poufałość do tych, których podwójnej dla siebie łaskowości nie rozumiał. Obraził więc to tę, to ową; splótł czasem coś takiego, co wszystkie uczyniło ostróżniejszymi; czas, który dawniej poświęcał Franiom i Władziom, poświęcał teraz całkiem Celestynom i Matyldom, zaczął więc je także nudzić i stawać się uprzykrzonym, a nareszcie, przypatrując się bliżej i częściej tym wdziękom, któremi jaśnieją, zapomniał się do tego stopnia, że nie mogąc już kochać mężów, którzy go zupełnie unikali, zaczął jakoś serdeczniej zbliżać się do ich żon, zwłaszcza do tych, które miał w podejrzeniu, że niezupełnie gardzą młodością i do przystojnej twarzy niewielki wstręt okazują. Krok ten nieroztropny, o który jednak bardzo winić go nie można, dał hasło do jego upadku. Obrażone śmiałością kobiety, podniosły dumną głowę, i dały mu uczuć czém są. Inne postrzegły to, i zaczęły je imitować. A że między panami i paniami jest jakaś solidarność opinij i sentymentów, bo

wszyscy chcą się utrzymać na tej samej wysokości, a zatem, co jeden kocha lub nienawidzi, to samo drugi musi i powinien kochać i nienawidzić, ztąd poszło, że wszyscy obniesli się prędko pomiędzy sobą, i w przeciągu miesiąca żaden lokaj już przed nim czapki nie zdejmował, i drzwi wszystkich pałaców zamknęły mu się przed nosem. Cios ten odurzył pana Cypryana i osamotnił tak, że przez kilka tygodni chodził jak błędny, nie wiedząc, co z sobą robić i do jakiej się ściany przytulić! Od równych sobie, od kolegów, od krewnych, a nawet od rodzeństwa stroniąc od lat tyłu, tak ich od siebie odzwyczaił, że nawzajem unikali go, i chociaż jedni żartowali sobie z jego słabości i zaślepienia, inni żalowali zmarnowanych lat i siły młodości, wszyscy jednak traktowali go zupełnie tak, jakby był obcym i nieznanym. Wstydział się więc swego upokorzenia, taił się ze swém odrzuceniem, i oczekiwał powrotu hrabiego Franciszka, sądząc, że go Franiu do łona swego przytuli, i że udrapnawszy parę razy, zlituje się przeciw nad swym Sroką, i na dawnym go posadzi płocie. Ale, gdy przy końcu Kwietnia hrabia przybył i prędko się od przyjaciół swych o katastrofie pana Sroczyńskiego dowiedział, nie tylko, że o żadnej restauracyi nie pomyślał, ale spotkawszy go na ulicy i widząc dążącego do siebie z uśmiechem na ustach i wołającego: — Franiu! Franiu! jak się masz? — zatrzymał się, przywitał go z tą grzecznością, jaką czasem panowie nasi umieją policzkować tego, co się do nich garnie, nazywając go po nazwisku, lub mówiąc do niego w trzeciej osobie, i wypytując o jego zdrowie, o zdrowie i powodzenie brata, siostry, siostrzeńców i siostrzeniczek.

— Dokąd-że idziesz teraz, Franiu? — zapytał go po dawnemu pan Sroczyński, i chciał go wzięść pod ramię. Hrabia się usunął i odpowiedział, że idzie na spacer.

— To pójdziemy razem, mam ci wiele do powiedzenia — rzekł pan Cypryan.

— Przepraszam pana Sroczyńskiego, że mu służyć nie mogę — odpowiedział hrabia, odwracając się — przypomniałem sobie, że muszę wrócić do domu.

— To tém lepiej, idę z tobą Franiu! — mówił jeszcze pan Sroczyński, czepiając się tego słowa, jak tonący brzytwy.

— Przypomniałem sobie, że mam jeszcze interes gdzie indziej — rzekł hrabia uśmiechając się złośliwie, i zwrócił się na prawo.

— Kiedyż cię zastanę? — pytał zdesperowany pan Cypryan.

— Rzadko teraz bywam w domu; niech się więc nie fatyguje — odpowiedział hrabia, i ukłoniwszy się, poszedł w swoją drogę.

Pan Cypryan stanął, jak skamieniały, w oczach mu się zaćmiło, łza zakręciła się i upadła na poblaskie lice. Nie wiedząc, co z sobą robić, poszedł do ogrodu, tam usiadł na ustronnej ławeczce, i nie

widząc zieleniejącą murawę, świeżych i delikatnych listków, wydobywających się z więzienia pączków lepkich i technieniem wiosny otwartych, nie czując tego nowego życia, które zdawało się wydobywać z ziemi, oddychającej zdrowo i balsamicznie, rozmyślał tylko o przeszłości, i nad marnościami rzeczy ludzkich gorzkie robił uwagi.

— To nie może być! — zawołał po godzinie takiej medytacji. — To jakaś pomyłka; jakaś niktzemna plotka! Wyjaśnię mu to wszystko. — I poszedł do domu hrabiego, gdzie lokaje tak dobrze znajomi, tak niegdyś nadskakujący, zmierzili go od stóp do głowy, odpowiadając, że pana nie ma w domu. Takiego przyjęcia doznawszy kilka razy i w różnych porach, napisał jeszcze do hrabiego list, list długi, pełen tkliwości i błagający o powrót przyjaźni, którą się tak pysznił, i która się stała potrzebą jego serca. Wkrótce odebrał odpowiedź; adres napisany był ręką hrabiego, pieczęć jego herbowa. Rozerwał ją pan Sroczyński pełen nadziei, że przecież Franio udobruchał się. Ale jakież było jego zadziwienie, gdy w kopercie nie było nic, tylko własny jego list z nietkniętą pieczętką. Tym sposobem straciwszy ostatnią nadzieję, upadł na ducha i zmartwił się tak, że dostawszy jakiegś złej gorączki, na seryo zachorował. Gdy bracia i siostry dowiedzieli się o stanie pana Cypryana i jego powodach, zapomnieli o tém jego odurzeniu, którem ich od siebie odstręczył, przybiegli z pomocą, otoczyli go najczulszemi staraniami, z kolei czuwali nad nim, póki się choroba nie przesiliła, a gdy się już miał lepiej, gdy zaczął wstawać, zaczęli mu perswadować i nareszcie przekonali go, że jeżeli śmiesznym był, pyszniąc się łaską pańską, tém śmieszniejszym będzie, gdy okaże, że tak mocno utratę jej czuje. Przy takich rozmowach rodzeństwa, kolegów i dawniejszych przyjaciół, którzy na prośby braci i sióstr także go odwiedzali, zapomniawszy mu jego odstępstwa i obłąkania, wkrótce pan Cypryan przyszedł zupełnie do zdrowia i do rozumu. Wziął się więc do pracy, zaczął regularnie chodzić do biura, starał się, aby jego dawniejsi kolledzy, którzy przez te osiem lat jego pańskości już prawie na zwierzchników jego poawansowali, widzieli jego pilność, słowem, przeradzając się usilnie, wyskubując z siebie starannie wszystkie cudze piórka, któremi się puszył, — śmiał się sam ze swego głupstwa, żałował straconego tak marnie czasu, i ze zmartwieniem przypominał sobie tylko te upokorzenia, którym się przez lat tyle i niewiedziéć dla czego poddawał. W miesiącu po téj jego prawdziwej, moralnej restauracyi, to jest na początku czerwca, wieczorem szedł raz pan Sroczyński środkową aleją ogrodu Saskiego, prowadził pod rękę starszą swą siostrę, a małego jej synka trzymał za rączkę. Był zawsze przystojnie ubrany, ale bez pretensyi; twarz jego była cokolwiek bledsza, ale spokojna i poważniejsza. Nie od-

wracał się od panów, ale im się pierwszy nie kłaniał, wszystkich znajomych poznawał, kolegom podawał rękę, kłaniał się z życzliwością lub uszanowaniem wszystkim radcom, prokuratorom, naczelnikom i prezesom, jak co komu należało, słowem, tak witał wszystkich, jak to czynią ludzie porządni, dobrze wychowani, czujący i swoją wartość i wiedzący, co się komu od nich należy. Tak idącego wtedy pana Cypryana spotkała wtedy szambelanowa. Chciał on ją wyminąć, ale ona, biegnąc ku niemu i wyciągając rękę, zawołała głośno:

— Panie Sroczyński! panie Sroczyński! jak się masz? słyszałam, żeś był chory. Ale widzę, że ci ta choroba wyszła na dobre. Wiem o wszystkiem, wiem. Wyklóciłam się nie z jedną o ciebie. Ale ci wiesz, żeś się opamiętał. Dużo prawda czasu straciłeś, ale jak zechcesz, to naprawisz wszystko. To zapewne twoja siostra, panie Sroczyński. Zarekomenduj-że mnie jej, proszę.

— Pani szambelanowa Matraszyńska — rzekł pan Cypryan z uśmiechem.

— Stara weredyczka, kochana pani — mówiła dalej szambelanowa — która mu zmyła nieraz głowę porządnie. Ale cóż! tak go zdurzyli, że to wszystko wówczas padało jak groch na ścianę. Musiało to wam dać dużo zmartwienia. A to zapewne siostrzeńczyk twój, panie Sroczyński?

— Mój syn — odpowiedziała siostra pana Sroczyńskiego.

— Sliczne dziecko! — zawołała stara, karesując chłopczyka. — Widzisz, panie Sroczyński, daleko ci ładniej teraz, że synka swęj siostry prowadzisz, i familii swęj nie wstydzisz się, niż było wówczas, kiedyś tu publicznie panięta niańczył, że się wszyscy z ciebie śmieli, oprócz mnie, któram cię zawsze żałowała. Ale strzeż się recydywy! Bo oni gotowi wrócić do ciebie ze zdradzieckimi umizgami, jak im przyjdzie kaprys. Kto twój zwierzchnik, panie Sroczyński?

Pan Cypryan go nazwał, a szambelanowa dodała:

— Przyjdź-że do mnie jutro na obiad, panie Sroczyński, o godzinie czwartęj. Zaproszę go także, żebyście się lepiej poznali.

I podała mu rękę, pożegnała uprzejmie jego siostrę, pogłaskała chłopczyka i poszła dalej, kłaniając się jednym, zatrzymując drugich, a téj lub owęj przycinając ostrém słowem, lub chytrą pochwałą.

Pan Cypryan, widząc szczerą życzliwość szambelanowej i czując, że jej protekcyja może mu pomódz do wynagrodzenia straconego czasu i popchnięcia się co prędzej na tę posadę, na której byłby już niezawodnie, gdyby nie przyjaźń Olesiów i Władziów, i poufałe obiadki u Celestyny i Matyldy, zaczął często u niej bywać, i polubił tę rozmowę ostrą, czasem szorstką i bolącą, ale pełną rozumu i doświadczenia. Przyćém i to go jeszcze ciągnęło, że szambelanowa znała całą kronikę wielkiego świata, i nie żenowała się wcale, mówiąc o tych,

z którymi pan Cypryan żył tak blisko, i na których postępowanie i życie patrzył. Wśród jednej takiej rozmowy rzekła:

— A jakie są między niemi gąski! niedosyć, że źle robią, jeszcze piszą, korespondują ze swym kochankiem, nazywając go po imieniu: Mon cher Antoine, luby Antolku! i podpisują się wyraźnie: M... albo Do... Któż u Boga nie wie, że ten Antoine, ten Antolek, to ów niedgdyś przesłiczny akademik, a owa M... to księżna Matylda; a owa Do... to Dorota, żona pana Adama. I takie liściki wpadają w dobre ręce.

— Jużci nie w ręce pani — rzekł z uśmiechem pan Sroczyński.

— To nie — odpowiedziała śmiejąc się. — Byłby to już zupełnie palec Boży nad temi grzesznicami, gdyby takie dokumenta ich płochości w moje dostały się ręce. Znalazł je kto inny wraz z pugilaresikiem, który kawaler zgubił. Ale znam ich treść. Z treści domyśliłam się, kto je pisał, a cóż dopiero, gdybym je obaczyła. Może i ty, panie Sroczyński, masz wpugilaresie swym takie dowody słabości czyjś dla ciebie. Nie rób tego, bo to rzecz niebezpieczna.

— Mam wprawdzie w pugilaresie moim — rzekł pan Sroczyński — parę takich bilecików. Ale ręczę, że pani szambelanowa nie domyślasz się, od kogo są i do kogo, tak są zręczne, i tak wszystko w nich zakryte. To tylko pani powiedzieć mogę, że nie do mnie są pisane.

— Od kogoż je masz? — zapytała.

— Tego pani nie powiem — odpowiedział pan Sroczyński, uśmiechając się i dobywając pugilaresik.

— Mało ja wprawdzie jestem oswojoną z pismem tych pań, które mogą być ich autorkami — dodała niby obojętnie, żeby zbyteczną ciekawością nie obudzić jego skrupułów. — Ale czyż tu o to idzie, która pisała i do kogo? Znam ja je wszystkie na palcach, i wiem bez tego, które warte szacunku i uwielbienia za te cnoty, na jakie nawiasem mówiąc, mężowie ich nie zawsze zasługują. Pokaż jednak, jeżeliś taki pewny, że nie zgadnę.

— Za to ręczę — odpowiedział pan Sroczyński, uśmiechając się i pokazując jej z daleka listy Hieronimy, które ze wszystkich, jakie od hrabiego wyniósł, jako najmniej kompromitujące zachował, i teraz, niewiadomo z jakiego przypadku, który musi się wtrącić do wszystkiego, w swoim miał pugilaresie. — A cóż, zna pani tę rękę?

Przebiegła kobieta rzuciwszy na nie okiem, poznała od razu rękę Hieronimy, której kilka listów i modlitw przez nią przepisanych widziała u prezesowej, i od której przed rokiem jeszcze sama na swoje listy parę odebrała odpowiedzi; ale udawszy że nie może w żaden sposób wpaść na ślad, czyjeby to były, dla lepszego przypatrzenia się wzięła je na moment i prawie gwałtem z rąk pana Cypryana, a gdy

w téjże chwili nadeszło parę osób, także zaproszonych na obiad, włożyła je za gors i kazała dawać do stołu. Po obiedzie, nie chcąc niby przy obcych wszczynać téj rozmowy, szepnęła panu Cypryanowi:

— Mój panie Sroczyński, widzisz że teraz przypatrzyć się tym szpargalikom nie mogę. A choć doprawdy aż w głowę zachodzę, zgadnąć niepodobna, kto to pisał; że jednak miarkuję z jednego liściku, którego początek przebiegłam, że pisane są nadzwyczaj mądrze, nie oddam ci ich, aż jutro.

Pan Sroczyński prosił i z nieukontentowaniem wymawiał jéj, że mu gwałt robi; a ona, wydobywając je trochę z zagorsu, z kąd ich naturalnie wyrzucić nie mógł, i śmiejąc się głośno, mówiła:

— Jakież z ciebie dziecko! Wiész przecie, że w tém nie ma z twojej strony żadnej niedyskrecyi. Gdyby tak było, gdybym się czegokolwiek domyślała, powiedziałabym ci to najpierwsza.

Pan Sroczyński, chociaż pewny był, że cała biegłość szambelanowej nie jéj tu nie pomoże, niekontent jednak ze swego pośpiechu, rad nie rad musiał je w rękę zręczniejszej od siebie kobiety zostawić.

Skoro się goście rozeszli, szambelanowa zamknęła się, nie kazała nikogo przyjmować i zabrała się do roboty. Przeczytawszy z uwagą wszystkie trzy listy, porównawszy je ze swemi, nad których wyszukaniem całą strawiła godzinę, przekonała się, że je nie kto inny pisał, tylko ta, której szacować nie mogła, której kokieterję dla hrabięgo dobrze widziała, której hypokryzję przenikała od dawna, i którą teraz mając w swém rękę, rada była skłóć i upokorzyć. Tęgo samego więc wieczora napisała ów list, któryśmy czytali, tak zjadliwy przez swą admiracyę, który takim bólem napełnił serce świętoszki, gdy poczuła, że z twarzy jéj zdejmują ową doskonałą i tak wytrwale noszoną maskę.

Gdy pan Sroczyński seryo się upominał o swą własność, i przykre jéj nawet robił wymówki, szambelanowa śmiała się i zbywała go to tém, to owém, udając, że nie miała czasu, że nic zupełnie nie doszła, że nie warto sobie łamać głowy nad hieroglifami, których wyczytać nie można.

— Gdybyś przynajmniej — mówiła dobrodusznie — powiedział mi, z kąd je masz, do kogo były adresowane, to możebym co i wysyłałabizowała. Ale tego mi nie powiesz, byłaby to z twojej strony nie delikatność, o której nawet względem tych, co ci tyle złęgo wyrządzili i swoją przyjaźnią, i swém odtrąceniem od siebie, zapominać nie powinieneś. Bądź więc spokojnym. Jak będę wolniejsza, zaproszę cię kiedyś wieczorem, przejrzymy je raz jeszcze, pośmiejemy się i spalimy razem. Bo takie rzeczy, choć zręczne i zakryte, egzystować nie powinny. Mogą zawsze, Bóg wié jakim przypadkiem, bo te-



go przewidzieć nie można, dostać się do rąk takiemu, co pozna z jakiego źródła wszystkie te słodczyce płyną. A na cóż-to? trzeba mieć litość nad biednymi grzesznicami. Wprawdzie ja nie miałam jej dotąd, ale im bardziej się starzeję, tém więcej stają mi przed oczami moje dawniejsze ułomności, i tém pobłażliwszą się robię. Niech więc to tymczasem zostanie u mnie; u mnie nawet będzie bezpieczniejszém, niż u ciebie. Wy nie macie nawet zamków porządných przy waszych biurkach; przyjaciele wasi plądrują wszędzie, gdy was nie zastaną, szukając cygar i tytoniu, a pugilaresy gubią się, jak masz przykład na pugilaresie pana Antoniego.

Chociaż pan Cypryan rozgniewał się na seryo na szambelanową i zerwał z nią dalsze swe stosunki, te jednak dokumenta płochości kobiety, którą wszyscy mieli za świętą, zostały w jej ręku do dalszego czasu.

## VIII.

Pewnego dnia, koło godziny jedenastej z rana, wszedł lokaj do pokoju szambelanowej, i zaanonsował jej panią Łuniewicką.

— Aha! — zawołała szambelanowa, klasnąwszy w ręce — spodziewałam się tego — i kazała prosić; a gdy lokaj wyszedł, powstała, poprawiła sobie ranny czépeczek w zwierciadle, i uśmiechając się złośliwie, wyszła do salonu; a zacierając ręce i patrząc niecierpliwie ku drzwiom, mówiła sama do siebie: — Bardzom ciekawa, co téż ona mi powie. Fatalne położenie dla takiej świętoszki. Nie można dwóm panom służyć, nie można!

Wkrótce drzwi się otwarły i weszła pani Tomaszowa, w czarném ubraniu, pełném gustu i powagi, które w ważniejszych zdarzeniach zawsze przywdziewała. Gniew, zmieszanie i trudność pozycyi, w jakiej się znalazła, odbijały się na jej licu, bledszém niż zwykle, nie uśmiechającém się, nie wyrażającém pokory i słodczy, ale przy całej swjej surowości dziwnie uderzającém i piękném. Wszystkie te uczucia, które ją ogarnęły, gdy się zobaczyła w obec kobiety, która jej tak bolesne zadała rany, spętały jej kroki tak, że się zatrzymała przy drzwiach, i patrząc na szambelanową, oczekującą spokojnie i z uśmiechem jej zbliżenia, zdawała się myśleć nad tém pierwszém słowem, które z ust jej zaciśniętych wyjść miało. Niema ta scena trwała krótką chwilę. Szambelanowa czując, że jej obowiązkiem jest ułatwić początek rozprawy, do której dała powód, zbliżyła się ku niej z wielką uprzejmością, i wyciągając ręce rzekła:

— Cóż to za nieoceniona siurpryza! po dwóch latach i więcej niebytności w Warszawie, przypomniałaś nas sobie pani. A jaka zaw-

sze piękna! choć zdajesz się trochę bladą i nachmurzyłaś mi się cokolwiek...

— Sądzę — odpowiedziała seryo pani Tomaszowa, i nie biorąc wyciągniętej ku sobie ręki — że ani moje przybycie nie jest dla pani siurpryżą, ani moja bladeść i nachmurzenie się zadziwiać jęj nie powinno.

— Nie wiem doprawdy — mówiła szambelanowa — dla czego pani jesteś tak bladą, bo podobno wody w Ems wyrestauowały cię zupełnie. Jeżeli się na mnie chmurzysz, to także nie wiem za co, bom ci dała dowód mojej admiracyi; co zaś do twego tu przybycia, to inna rzecz. Prawie byłam pewna, że przyjedziesz. Ten mój przypisek.....

— Przypisek! — zawołała Hieronima, spojrzawszy na nią dumnie — więc pani sądzisz, że mnie przypisek twój obszedł, że on mnie tu sprowadził? Oh! nie znasz mnie pani. I w tęg słodkiej banialuce, którąś mi przysłała, daleką jesteś od prawdy.

— Gdzie tam daleką! znam cię doskonale, znam, i jak powiedziałam, szczerze panią admiruję — rzekła szambelanowa. — Ale za głośno mówimy przy drzwiach. Wejdz pani do mego gabinetu, ja każę zamknąć drzwi, żeby nam kto nie przeszkodził, bo widzę, że będziemy miały do pogadania.

Pani Tomaszowa wyprostowała się, i spojrzawszy z niechęcią na starą grzesznicę, poszła prędko, a szambelanowa kazawszy nie przyjmować nikogo, weszła za nią i rzekła:

— Usiądz-no sobie kochana pani wygodnie, i mówmy jak kobiety dobrze wychowane, z których jednej Pan Bóg dał dużo lat, wzrok bystry, i dosyć doświadczenia, a drugiej bardzo dużo wdzięków, wiele rozumu, ale za wiele zaufania w sztuce i biegłości. Tylko mówmy otwarcie, szczerze, bez żadnej komedyi, a może się porozumiemy, i kto wie, może w skutek tęg rozmowy *le diable perdra la partie*, który już prawie był pewnym.

— Taka szczerść, jaką pani afiszujesz, czy trzeba, czy nie trzeba — odpowiedziała ostro pani Tomaszowa — nie zawsze jest cnotą. Wymówiona, może być tylko grubiaństwem. Ale napisana i przesłana na los szczęścia, w czyjekolwiekby się dostała ręce, mogła się stać występkiem, zepsuć życie dwojga ludzi, którym Pan Bóg dał spokój i zgodę domową, i zatruc szczęście uczciwego człowieka, przeciw któremu pani nawet nie znajdziesz nic, co byś mu zarzucić mogła.

— W rzeczy samej, szacuję go serdecznie — odpowiedziała szambelanowa — i nie było moją chęcią otwierać mu oczów, kiedy szczęście jego opiera się na ślepotcie, jak szczęście największęg części mężów, ludzi z kąd inną najzacniejszych. Intencya moja była zupełnie

inna. A ten doskonały zwyczaj, że ani mąż nie dotyka się listów żony, ani żona listów męża, zabezpieczał mnie prawie, że pan Tomasz czytać nie będzie tego, co do pani napisałam.

— Intencją pani było dogodzić swojej złości — rzekła pani Tomaszowa z przyciskiem — zakłóc i zranic serce kobiety, która ci nic złego nie zrobiła. W tej mierze stało ci się zadość. Możesz pochłubić się swém zwycięstwem. Zraniłaś mnie głęboko, zatrulaś moją spokojność, zalałaś goryczą moje piersi.

— To bardzo żałuję, bardzo, bardzo żałuję — odpowiedziała szambelanowa, patrząc jej spokojnie w oczy. — Intencya moja była wcale inna. Tymczasem z tego tonu wymówek tak cierpkich i ostrych, do jakich nie sądziłam cię zdolną, widząc cię zawsze tak słodką i dobrą, z tej twarzy twojej bladej i surowej, z czém ci, nawiasem mówiąc, cudnie pięknie, widzę, niestety! żeś nie zrozumiała, jaki był mój cel prawdziwy.

— Czy nie chciałaś mi pani dać dowodu życzliwości? — rzekła pani Tomaszowa z gorzkiem uśmiechem — czy miałam o tej chęci przekonać się z tych zdradzieckich komplementów, któremi list jej nadziany? z tej chytrój admiracyi, którą pozłociłaś swoje ostrza? Mogę mieć wiele wad, bo któż jest bez nich, ale tak ograniczoną nie jestem, abym wzięła złość za przyjaźń, i tryumf stariej grzesznicy, że odkryła uchybienie kobiety, którą wszyscy szanują, za jakąś życzliwą radę i chęć powstrzymania jej na złej drodze.

— A jeżeliby rzeczywiście intencya moja była taka? — zapytała szambelanowa.

— Ta droga, jakąś pani do tego obrała, była zła — odpowiedziała prędko pani Tomaszowa — i należało wprzód zyskać sobie prawo do robienia mi uwag, którego pani nie masz, ani przez swą dawniejszą konduite, ani przez obecną reputacyę, ani przez zyskanie mojej ufności i serca. Zresztą, fatyga była niepotrzebną i troskliwość zbyteczną. Za mój honor, za spokój i szczęście mego męża, ja sama odpowiadam przed Bogiem i przed ludźmi. Ale nie po to tu przyszłam — dodała powstając. — Ten rozbiór postępku pani zemną, mógłby nas za daleko zaprowadzić, i pokazałoby się, że i kobiety dobrze wychowane mogą zapomnieć o wszystkich regułach przyzwoitości, gdy słuszny żal weźmie górę, i wywoła zasłużoną pogardę, którą obowiązkowa grzeczność przyglądała. Zresztą, pani wiesz dobrze, coś chciała osiągnąć swém pismem, a ja ci mówię, żeś cel swój osiągnęła. Przestań więc na tém i oddaj mi moje listy.

— Ponieważ takim tonem do mnie przemawiasz, kochana pani — rzekła szambelanowa, powstawszy także z ułożoną miną — to ci powiem, że ich nie mam. Zrobiłam z nich taki użytek, jaki mi się zda-

wał najlepszym, dla twego dobra... i spaliłam je — dodała uśmiechając się.

— To fałsz! — krzyknęła Hieronima, patrząc prawie z rozpaczą na stół zarzucony papierami i na duże zamknięte biuro.

— Jakże cię przekonam — odpowiedziała szambelanowa — chyba zechcesz zrobić rewizję papierów stariej grzesznicy. Ale nie wiem, czy ta ciekawość byłaby użyteczną dla tak światobliwej kobiety, jak ty. Spróbuj jednak — i wydobywszy kluczyki z kieszeni, wyciągnęła je ku niej.

Hieronima odgarnęła jej rękę i potarłszy mocno czoło, rzekła:

— Więc pani jesteś pewną, że to są moje listy?

— Nie tylko ja, ale i pani jesteś aż nadto pewną — odpowiedziała szambelanowa.

— A jeżeli nie? — mówiła Hieronima.

— To cóż cię to ma obchodzić i alterować? — odpowiedziała stara. — Gdyby mi przyszła fantazya pokazać je panu Tomaszowi, zadałby mi fałsz, i jako złośliwej plotkarce zamknąłby mi drzwi przed nosem.

Pani Tomaszowa przygryzła wargi, postąpiła parę kroków ku drzwiom; potem zwracając się, zapytała:

— Czy hrabia wie o tém, że te ślady mojej nieuwagi są w ręku pani?

— Więc myślisz — odpowiedziała szambelanowa śmiejąc się ironicznie — że on tak dbał o to, coś do niego pisała, żeby dziś jeszcze pamiętał, czy je zachował, czy zniszczył, czy są u niego, czy gdzie indziej? A tém bardziej teraz, kiedy całą zimę przebył we Włoszech z tą, co mu pewnie nie obiecywała gruszek na wierzbie. Radzę ci, droga pani, nie zaczynać z nim nawet rozmowy, bo cię to lekceważenie tych słówek tak zręcznych, a tak jednak słodkich, o jakim przekonasz się niezawodnie, mocno zmartwi, uprzedzam cię.

— Bardzo dziękuję za radę — mówiła Hieronima, drżąc od gniewu.

— A nawet dobrze zrobisz — dodała szambelanowa — jeżeli z nim wcale widzieć się nie będziesz. On cię podobno kochał seryo, choć niedługo. Potem przენiewierzył się. Jeżeli się tedy nawróci, zacznie przeproszać, to boję się bardzo, żebyś się z nim nie obezła tak, jak ów pasterz ze zbląkaną owieczką, ty, kobieta tak miłośnierna, co tak często ewangelię masz w ręku.

— Pani nie masz Boga w sercu! — rzekła wówczas pani Tomaszowa, przystępując do niej z wyrazem twarzy, w której się malowała cała jej nienawiść.

— W sercu ja Go mam, kochana pani — odpowiedziała szambelanowa spokojnie — choć niezbyt często na ustach.

— W okropne dostałam się ręce! — zawołała Hieronima, wyciążając na nią wzrok przenikający — i nie mam żadnego środka wydobycia się z takich szponów. Ale nie tryumfuj pani zawczasie — dodała po chwili — znajdą się tacy, co się upomną o to, coś sobie pewnie jakąś zdradą przywłaszczyła.

— Czy przysiesz tu do mnie na egzekucję męża, czy kochanka? — zapytała z zimną krwią szambelanowa.

— Ha! zbłąkałam się nieszczęśliwa — jęknęła upokorzona kobieta, a widząc, jak daleko zaszła, usiadła napowrót, i zakrywszy twarz, zaczęła płakać, czy z żalu, czy ze złości, że trafiła na tak mocnego przeciwnika. Szambelanowa zmiękła prawie na widok jęj położenia, zbliżyła się, i kładąc rękę na jęj ramię, rzekła łagodniej:

— Widzisz tedy, droga pani, że list mój był potrzebny i przyszedł w porę; a chociaż przykry i szczypiący, stał się owym zbawienym plastrem, który wygryza trochę ciała, ale ratuje życie.

Gdy Hieronima podniosła głowę, szambelanowa usiadła i tak mówiła dalej:

— Pracowałaś dotąd na reputację kobiety świątobliwej i wiernej wszystkim swym obowiązkom; i przyznać muszę, żeś pracowała mądrze, wytrwale, z taką sztuką, która zasługuje na podziwienie. Jak tam Pan Bóg te cnoty twoje widzi, to już rzecz twego sumienia; ale ludzie usilną pracę twoją i wielką zręczność wynagrodzili czią i szacunkiem. Tymczasem zaufałaś zanadto swemu rozumowi i swojej sztuce, i byłaś blizką utracenia całego owocu tęg usilności. Bo i najrozumniejszy, gdy wejdzie na złą drogę, błądzi tak dobrze, jak i najgłupszy. Gdybym była inszy użytek zrobiła z twoich listów, byłabyś zgubioną. Ale ja ciebie tylko uwiadomiłam o tém, że je mam, i żywa dusza ani się domyśla, że leżą tu u mnie zamknięte, i leżec będą póty, póki nie dasz powodu do sądenia, że cię już niewarto oszczędzać. Nawet ta osoba, od której ten dowód lekkości twojéj i nieuwagi wydarłam prawie, do czego się przyznaję, nie wie, ani domyśla się, że on należy do ciebie. Uspokój się więc, młoda i piękna grzesznico, i bądź ostrożniejszą, bo doprawdy szkoda i ciebie, a nadewszystko szkoda tego zacnego człowieka, który ci tak ufa, i do tego wyobrażenia, jakie ma o tobie, całe przywiązał życie. Żeś się tak bardzo zatrwożyła, to nic nie szkodzi. Wyjdzie ci to na dobre. Ale korzystaj z tęg lekcyi starej grzesznicy, która, wierz mi, nie jest tak złą, jak o niej rozumiałaś.

Pani Luniewicka, której czoło płonęło od wstydu, a serce burzyło się od upokorzenia, że musiała słuchać moralów tęg kobiety, o której najgorsze miała wyobrażenie, zwalczywszy w sobie te uczucia, przybrała twarz nibą spokojniejszą, powstała, i rzekła tonem, w którym przebił się ten ból, który ją szarpał:

— Tak, widzę to dobrze, że pani masz tylko moralność na celu. Bardzom tedy pani wdzięczna, żeś mi zrobiła tyle złego, ile zrobić mogłaś, i dziękuję za te morały, jakich tu wysłuchałam. Ale uspokoiwszy się z tego względu, chciałabym także i panią uspokoić, że ta lekcya, jaką mi dałaś, będzie dostateczną, że opieka dalsza pani nad moją konduita, stanie się niepotrzebną, a zatem i to, co ma być jęją rękojmiał, na nic ci się nie przyda. Oddaj mi więc pani moje listy.

— Nie oddam — odpowiedziała szambelanowa. — Nie oddam.... Z tych słów twoich widzę, że mi nie wierzysz. Mam więc prawo nie wierzyć ci także. Lepiej więc, że cię będę miała w ręku, niż żebyś sobie potem ze mnie żartowała. Daję ci tylko słowo, na którym polegać możesz, że ich nie użyję póty, póki na to nie zasłużysz.

Pani Tomaszowa patrzyła jęją długo w oczy, jakby przeniknąć chciała, jak dalece to wszystko prawda. Nareszcie jakieś uspokojenie złagodziło wyraz jęją pięknej twarzy, brwi jęją rozsunęły się, czoło się wypogodziło, i uśmiech słodczy i rezygnacyi pokazał się na jęją ustach. Szambelanowa widząc to, klasnęła w ręce, i uśmiechając się rzekła:

— Otóż teraz dopięro poznaję cię. Nie przybieraj nigdy tęją twarzy groźnej Meduzy, która wprawdzie piękna, ale taka sto razy piękniejsza i bardziej ci przystoi.

— Więc inaczej być nie może? — zapytała słodko pani Tomaszowa, i z umizgiem prawie dodała. — Nie oddasz mi pani tęją głupięją ramoty?

— Nie, nie, za nic — odpowiedziała szambelanowa — ale nie bój się mnie; masz na to moje słowo. Tylko się pilnuj, pilnuj się, bo to warunek!

— *Au revoir donc, Madame la Morale!* — rzekła Hieronima niby żartem, a jednak z przyciskiem i prędko. Szambelanowa roześmiała się głośno, wybiegła za nią aż do przedpokoju, gdzie w obec lokajów najprzychylnięją i najgrzecznięją z sobą się pożegnały.

Chociaż to było w lipcu i pora wód już się kończyła, że jednak zakład w ogrodzie Saskim jeszcze wówczas nie egzystował, ogród Krasieńskich niewał dużo i kurujacych się, i odwiedzajacych go z ciekawości, zwłaszcza w niedziele i we święta.

Jednęją niedzieli, w kilka dni po w idzeniu siędwóch tych niepospolitych kobiet, które się z sobą zmierzały, i jak dwaj równi zapasnicy, rozeszły się z placu, podawszy sobie ręce, siedziała szambelanowa na ławce środkowięją alei, a przed nią stał Karol, przyjaciel Edmunda, i Edmund. Karol poznał się z nią w Krakowskiem, gdy wioski swoje odwiedzała, zawsze potem bywał u nięją, wiele razy przybył do Warszawy, a teraz przedstawił jęją Edmunda. Szambelanowa, spojrzawszy na pięknego męczyznęją, na którego czole malowała się

burzliwa przeszłość, zajrzawszy w te czarne oczy, które na nią bawczo i ciekawie patrzyły, posłyszawszy ten głos mężki i brzmiały, do którego urabiania wprawił go tyloletni aktorski zawód, ujęta była od razu, i przeniknęła, że to nie jest człowiek zwyczajny, którego życie szło, jak po masle. Rozmawiała więc z nim z przyjemnością i za każdym słowem, za każdą jego odpowiedzią, więcej w nim znajdowała interesu.

To zajęcie, jakie w niej obudzał Edmund, nie przeszkadzało jęj jednak rzucić okiem na prawo i na lewo, śledzić poruszenia przechodzących, zwłaszcza kobiet, i z towarzystwa, w jakim się znajdowały, wnosić, o czém toczyła się pomiędzy niemi rozmowa. Niektóre z pań, przechodząc spostrzegały szambelanową, i naskoczywszy na nią niespodzianie, musiały się przywitać, ale odchodziły prędko, bojąc się jakiegóś uwagi, jakiegóś pochwały lub zapytania, coby na twarz ich wywołało rumieniec. Inne, którym się udało dostrzedz ją, lub usłyszeć z daleka, zwłaszcza, gdy były w takim towarzystwie, z którego stara złośnica wyprowadziłaby pewnie jakiś wniosek i wypowiedziałyby go głośno, usuwały się na drugi bok alei, odwracały się niby w rozmowie, i udając, że jęj nie widzą, już więcej na tęg nie pokazywały się drodze. Tym sposobem rozmowa jęj z młodymi ludźmi niewielkiey doznawała przerwy i trwała z pół godziny, gdy szambelanowa, rzuciwszy okiem na prawo, potem na lewo, rzekła:

— Zbliża się ku nam niepospolita osoba, z piękności, charakteru i wielu a wielu przymiotów jawnych i ukrytych, kobieta bardzo szanowna, bardzo świątobliwa, którąbyście panowie poznać powinni. Z kilku uwag pana — dodała, obracając się do Edmunda — wnoszę, żeś pan już studyował niejednę. Ta warta oka filozofa i moralisty. Egzemplarz to bardzo rzadki. Sądzę, że mnie nie wyminie tak, jak te gąski, co się mnie boją. Ona ma rozum. Poznam was z nią, jak się zbliży, a we wtorek przyjdźcie do mnie o czwartęj na obiad; przyrzekła mi, że będzie ze swoją pasierbicą, która także warta poznania. Panienka rozumna, trochę za śmiała, ale to nie jest nadstawianie się niedojrzałej kokietki, lecz śmiałość młodey głowy, prawie mężkiey, która pierwszy raz widzi świat prawdziwy, i porównywa go z tęg wyobrażeniem, jakie sobie o nim wyrobiła przez samotne wychowanie. Przytém piękna, bardzo piękna.

— O kim-że to pani szambelanowa mówi? — zapytał Karol, spojrzawszy ku tęg stronie, z kąd dużo zbliżało się osób.

— Pan może ją i znasz, a przynajmniej słyszałeś o niey niezawodnie — rzekła szambelanowa zwracając się do Karola. — Jęj imię, i imię jęj męża głośne są w Krakowskiém. Ale co pan, to wątpię, żebyś kiedy o niey słyszał. To pani Tomaszowa Łuniewicka — do-

dała ciszej. — Przypatrzcie się panowie, już niedaleko. Jak pięknie oczy spuszcza, nie prawdaż? O! to bardzo dystyngwowana osoba.

Obaj zwrócili się ku tej stronie, którą im lekkim ukazała znakiem. Karol spojrzawszy niespokojnie na Edmunda, który zadrzał, zbladł i odwrócił się, rzekł:

— Słyszałem o niej bardzo wiele.

— A ja znam ją aż nadto dobrze — dodał Edmund ciszej, i starał się ironicznym śmiechem pokryć wzruszenie, jakiego doznał.

— Pan znasz ją aż nadto dobrze? — zawołała szambelanowa, dosłyszawszy słów jego, a patrząc mu bystro w oczy, dodała: — I tak pan pobladłeś!... Przyjdźcież panowie dziś do mnie na herbatę.

Tymczasem zbliżyła się ku temu miejscu pani Tomaszowa z Bronisią. Pierwsza, w błękitnym materyalnym szlafroczku, w kapeluszu takiegoż koloru, niosąc lekki szal na rękę, szła poważnie, z łagodnym wyrazem twarzy, ze spuszczonej najczęściej oczami; druga, w jasnej lekkiej sukience, skromnej, ale ubierającej ją doskonale, w kapelusiku liliowym, od którego odbłysek padał na twarz jej rumianą, w jednej ręce niosąc kubek macochy, a rączką od parasolika, który miała w drugiej, odgartując swe jasne loki, szła z podniesioną głową, patrzyła śmiało, a w oczach jej była ciekawość, z jaką przypatrywała się snującym się ludziom, a na ustach wesoły uśmiech, jakby ją cieszył ten widok różnobarwnych strojów, ta mozaika głośnej rozmowy, ten wyraz tak rozmaitych twarzy starych i młodych, wesołych i skrzywionych, wabiących i gniewnych, zdrowych i chorych. Gdy na-deszły, szambelanowa zawołała:

— Dzień dobry, dzień dobry kochanej pani! proszę nas nie mijać.

Na ten głos wstrzęsła się młoda kobieta, podniosła oczy, i widząc, że przyjaciółki swęj nie wyminie, wyciągnęła ku niej ręce, i ze słodkim uśmiechem podchodząc, oddała jej powitanie. Szambelanowa, powstawszy i uściskawszy dłoń Hieronimy, podała rękę Bronisi, i uśmiechając się do niej uprzejmie, dodała:

— Jak się masz, drogie dziecię? wesołaś, piękna wieśniaczko, i uśmiechasz się, patrząc na nas, że tak pracujemy, żeby odzyskać zdrowie. A! żebyś ty wiedziała, jak my pracujemy na to, żeby je stracić! Kochana pani, już pańszczyznę swą odbyłaś? To dosyć smaczne, te Emskie wody — dodała, rzucając na nią wzrok przenikliwy.

— Już skończyłam jedną, teraz druga pańszczyzna — rzekła pani Tomaszowa. — Trzeba chodzić, żeby zasłużyć na kawę.

— Pójdziemy razem. Wysiedziałam się też tu z tymi panami — rzekła szambelanowa. — Ale czas przeszedł mi bardzo miło, jak zwykle w towarzystwie ludzi rozumnych. Pozwolą panie, żebym ich wam zaprezentowała. Pan Karol Osinowski, obywatel



z Sandomierskiego, a to pan Edmund Surewicz — dodała, patrząc na panią Tomaszową. Ale ona spostrzegła pierwój już Edmunda, i z całą mocą, jakiej była zdolną, utaiła w sobie wrażenie, jakie niespodziewany widok jego mógł na nią zrobić. Z uśmiechem tedy, choć cokolwiek przymuszonym, ukłoniła się młodym ludziom, którzy przy rekomendacyi szambelanowej nachylili przed nią głowy. Gdy Karol z ciekawością się jej przypatrywał, a Edmund czując, że mu się piersi ściskają i nogi pod nim drżą, mocował się z sobą, aby zostać na miejscu, szambelanowa dodała:

— Postrzegłam cię z daleka, kochana pani, i uprzedziłam już tych panów o tobie. A jak? to łatwo się domyślisz, znając moje uwielbienie dla ciebie. O! bo też mało jest ludzi, coby cię tak znali, jak ja, i tak wysoko cenili.

— Bardzo pani dziękuję — odpowiedziała pani Tomaszowa z uśmiechem, jakby serdecznym. — Ale nie wiem, czy to wszystko, coś tu pani o mnie mogła mówić, było potrzebném.

— Masz rację; było prawie niepotrzebném — odpowiedziała szambelanowa — gdyż pan Osinowski, jako tamtejszy, nasłuchiwał się o tobie, droga pani, niemało w twojej okolicy, gdzie cię wszyscy szanują, a pan Surewicz mówił mi, że cię zna bardzo dobrze.

Edmund, chociaż niekontent był z tego odezwania się szambelanowej, patrzył jednak poważnie i seryo na panią Tomaszową, ciekawy, jak się też znajdzie. Młoda kobieta, mimo całej władzy, jaką miała nad sobą, nie mogła ukryć zmieszania i zbladła; prędko jednak przychodząc do siebie, odpowiedziała:

— Prawda, przypominam sobie. Miałam przyjemność znać pana Surewicza, kiedy bawił w domu mojej matki, i zajmował się wychowaniem mego brata. Wiele to już lat upłynęło od tego czasu! Czy pan odtąd nie widziałeś już Henryka?

— Nie pani, nie widziałem go — rzekł Edmund dość cicho, tak mu brzmienie jej głosu i wszystkie wspomnienia, które w sercu jego obudził, ścisnęły piersi.

— Pan podobno innemu oddałeś się zawodowi i w innych byłeś stronach? — mówiła pani Tomaszowa coraz naturalniej, i coraz śmiejlej już spoglądając na młodego człowieka, w którego wejrzeniu i głosie wyczytała, że się nie odezwie z niczém, coby ją zdradzić mogło. — Henryk wyrósł, już prawie takiego wzrostu co pan. Ale wspomina najpierwszego nauczyciela swego, bo to na dzieciach najmocniejsze robi wrażenie.

— Tak, jak na kobietach pierwszy mężczyzna, na którego widok serce ich zadrżało, — mówiła szambelanowa śmiejąc się.

Bronisia, która dotąd pilnie przypatrywała się Edmundowi, starając się przypomnieć sobie, gdzie go już widziała, usłyszawszy te

słowa szambelanowej, zacerwieniła się, jakby w rzeczy samej serce jój zdrząło. Ale nikt tego nie uważał, a pani Tomaszowa rzekła:

— Może pójdziemy chodzić. Trzeba odbywać swoją powinność.

Poszli więc wszyscy szeregiem. Szambelanowa we środku, z lewej jój strony pani Tomaszowa, a przy niej Karol, z prawej Bronisia, a przy niej Edmund.

Rozmowa tak była podzielona, że pani Łuniewicka mówiła najwięcej z Karolem, a szambelanowa z Bronisią. Edmund kiedy niekiedy tylko odezwał się, gdy się zdarzyła sposobność, lub gdy stara wyraźnie do niego mowę swą zwróciła. Tak przechodzili już trzeci raz aleją tam i napowrót, gdy jakiś interesujący przedmiot skłonił szambelanową, że wzięwszy panią Łuniewicką pod rękę, z nią tylko ciszej mówić zaczęła. Wtedy Edmund rzekł do Bronisi:

— Z tego, com tu słyszał, wnoszę, że pani jesteś pierwszy raz w Warszawie.

— Wyobraź-że pan sobie — odpowiedziała Bronisia, podnosząc na niego błękitne i pogodne oczy — że tak jest istotnie. Widziałam tu kilka panien, moich rówieczniczek co do wieku, które nie pojmują, jak mogłam nie mieć téj ciekawości, mając środki dogodzenia jój, i nigdy o tém ani pomyśleć.

— Musiałaś pani być szczęśliwą w domu — rzekł Edmund.

— Szczęśliwą! — odpowiedziała, spojrzawszy nań znowu ze znaczeniem — tak, do pewnego wieku byłam bardzo szczęśliwą. Ale widzi pan, szczęście i myślenie, to są jak księżyc i słońce. Gdy jedno wschodzi, drugie zachodzi, lub przynajmniej błednieje tak, że go nie widać. Szczęśliwém bezwarunkowo jest tylko dziecko. A moje wychowanie było takie, że do dość wczesnie niém być przestała. I szkoda, bo to złote chwile, których potem nic nie nagrodzi.

— Są jeszcze piękniejsze — rzekł Edmund, spoglądając z zajęciem na piękną panienkę, w której tonie i gościach było coś męskiego, coś zdradzającego duszę niezajętą fraszkami.

— Jakież to? — zapytała ciekawie.

— Są marzenia młodości, są te wszystkie nadzieje, do których z takim zaufaniem unosi się dojrzewająca dusza — rzekł Edmund.

— Zapewne, zapewne — mówiła Bronisa — jeżeli są, jeżeli zaludniają swemi marami ten daleki horyzont, który dusza widzi. Ale jeżeli naprózno wysiła wzrok — dodała, patrząc mu w oczy — i nie dojrzyć nie może, to wyjdzie na moje, że szczęśliwém jest tylko dziecko, jakim ja byłam. Wszakże nie mogę się użalać; i później nie było mi tak źle na wsi, żebym tęskniła za czém inném. Miałam zajęcie, miałam rozumnych przyjaciół, którzy oczy moje otwierali i podnosili serce. I dom stał mi się wszystkiém. Nie nudziłam się

wcale, i dla tego nie przyszło mi nigdy do głowy poprosić ojca, żeby mnie tu przywiózł, i pokazał ten wir ludzi, na który patrzę bardzo ciekawie, ale który jest jeszcze dla mnie zagadką, której słowa nie odgadłam.

— Klucz do téj zagadki daje zwykle nieszczęście. Życzę więc pani, abys jój jak najdłużej nie rozumiała — mówił Edmund, patrząc na nią ze współczuciem. Bronisi wzrok spotkał przelotnie to jego wejrzenie, twarz jego okryła się rumieńcem i oczy schyliły się ku ziemi. Edmund dodał: — Ja wyczytałem ją, i znam to gorzkie słowo, które, jak ziarnko robaczliwe, kryje się pod tą świetną i różnobarwną łupiną, i mogę panią upewnić, że masz czego pragnąć i czego żałować. Przytém, o ile panią znam, przekonany jestem, że dla tak poetycznej istoty, życie z Bogiem i naturą ma i mieć będzie zawsze więcej powabów, niż ten wielki zachód, a maluczki interes, pokazania się nie tém, czém człowiek jest w istocie.

Słowa te dziwném i słodkiém echem zabrzmiały w jój sercu, i na dalekim horyzoncie jój myśli i nadziei, o którym niedawno mówiła, pokazała się piękna postać młodego człowieka, równie uderzająca powierzchownością, jak tą siłą wewnętrzną, która wyrażała się w jego twarzy, i brzmiała jak potężna struna w jego głosie. Podnosząc więc na niego wzrok, w którym byłby wyczytał to wrażenie, jakie na niej sprawił, gdyby myśl jego i oczy nie były gdzie indziej, zapytała:

— Pan mnie znasz?

— Miałem już szczęście widzieć panią — odpowiedział Edmund.

— Przeszłego lata, w kościółku w Rudnicy — rzekła lekko czerwieniąc się. — Przypominam sobie. Stałeś pan pod amboną, i przypatrywałeś się bardzo seryo naszej wiejskiej uroczystości.

— Bardzo pani dziękuje — mówił Edmund — żeś to postrzegła, i że o tém pamiętasz. Ja oprócz tego zapamiętałem kilka rysów z wiejskiego życia pani, jakie mi dał poznać stary wieśniak, którego o panią zapytałem. Piękna-to strona serca młodej panienki, i nie dziwię się, że z takim usposobieniem, z takimi uczuciami, zamilowałaś pani wieś. żeś pokochała pola i lasy, i przeniosłaś ich oddech czysty i szeroki nad tę zaduchę miejską, której nie pragnęłaś poznać. Zdaje mi się nawet, że się pani nigdy nie zdasz do téj szklarni, co się nazywa życiem światowém. Strojne owe kwiaty, które zrodziły się w tém więzieniu, i nawykły ogrzewać się sztuczném jego ciepłem, możeby panią zgłuszyły swym czczym przepychem; ale nawzajem, jakżeby one prędko zwędły i gasły, gdyby spróbowały żyć życiem pani, tam, gdzie natura i szczęśliwe wychowanie przeznaczyły ci jaśnieć i rozkwitać.

— I to ten stary wieśniak dał mnie panu tak dobrze poznać? — zapytała Bronisia z uśmiechem, w którym malowały się razem tęskność

i radość, jakie łączą się zwykle i towarzyszą rozbudzaniu się serca energicznej i niepróżnej kobiety.

— Każda nauka — mówił Edmund — okupuje się kosztem życia i pokoju. Taką drogą i ja przyszedłem do tej biegłości, że mi niewiele potrzeba, jak wprawnemu jubilerowi, do odróżnienia szkiełka od brylantu. Ale oprócz tego pomogły mi rozmowy o pani tam, gdzie panią znają i kochają. Nie były one częste, ale dla mnie dostateczne.

— U mojej ciotki? u mojej drogiej matki? nie prawdaż? — rzekła Bronisia rozrzewnionym głosem.

— Zkąd-że pani wiesz, że znam ciotkę pani? — zapytał Edmund.

— Michaś Mikoszewski wspominał mi, że pana poznał — odpowiedziała.

— Zacny to, dobry i światły młodzieniec — mówił Edmund — szczęśliwy jestem, że mam takiego sąsiada, że w tym pięknym zakątku, gdzieśmy się znaleźli, możemy się często spotykać, często razem przebiegać lasy i te wzgórza, jedynie na naszej ziemi, i które też natura ubrała z taką miłością, z jaką matka stroi swoją jedynaczkę. Wychowaliśmy się prawie jednakowo. Takie same szkoły wypielegnowały naszą pierwszą młodość, podobnie organizowane uniwersyteta posunęły nas dalej na drodze wiadomości i zdobyczy rozumu. Wprawdzie jest między nami różnica, ale to właśnie dodaje powabu naszemu obcowaniu z sobą. Pan Michał wie daleko więcej odemnie, ma naukę gruntowną i obszerną. Ale to serce niedoświadczone, dziewicze, to umysł marzący, i, że tak powiem, przez książkę patrzący na świat, którego nie zna, i który go jeszcze nie skaleczył. Wszakże pewny jestem, że gdy przyjdzie pora, stanie mężnie do walki, bo w tej cichej i religijnej duszy jest siła dębu, co się nie zachwieje i nie jęknie pod toporem, który w pierś jego uderza. Ja nauczyłem się mało z książek, ale wiele z tej książki życia, często krwią i łzami pisaną, której nauki tkwią żywo i mocno, bo się nabywają z bólem, bo na miejscu młodzieńczych rojeń, szykują w myśli i sercu, jak w jakim gabinecie anatomicznym, same szkielety doświadczenia. Tak więc, czego mnie nie dostaje, biorę od niego pełną ręką, bo ma dosyć dla siebie, i dla drugich; a czego on nie ma, daję mu ostrożnie i po odrobinie, bo to gorycz, bo mi żal dmuchnąć od razu na tę bańkę, co jeszcze przed myślą jego ulata, a tak ślicznymi odziana kolorami. Z tego pani wnies, jak nam idzie rozmowa, jak jesteśmy z siebie kontenci, kiedy razem jedziemy na naszych konikach, lub głębokim parowem, lub głuchą puszczą; gdy odpoczywając na szczycie góry, pod stuletnim drzewem, lub pod starszemi od wszystkich tych lasów murami klasztoru Sto-Krzyckiego, patrzymy na rozległą przestrzeń, na ten daleki świat, do którego on się jeszcze wyrывa, a z którego już ja uciekłem.

Gdy tak Edmund mówił cichszym, ale wnikającym głosem, Bro-

nisia mimowolnie zbliżyła się do niego. Choć patrzyła przed siebie na rojących się tam i napowrót ludzi, choć w około niej rozlegały się śmiechy i głośna przechodniów rozmowa, żadne jego słowo nie zginęło, wszystkie poszły do jej bijącego serca, a to co się działo przed jej oczami, tak się jej stało obcym, że gdy macocha zawołała na nią, że czas wracać do domu, ocknęła się jak ze snu, spojrzała z nietajonem zajęciem na młodego człowieka, który się jej z uszanowaniem uklonił, i szła milcząc przy pani Tomaszowej, która także do rozmawiania żadnej nie miała ochoty. Gdy przyszedli do hotelu, Bronisia wbiegła do swojego pokoiku, zamknęła się, i usiadłszy, zakryła twarz obiema rączkami, i patrzyła długo w ten nowy świat, który się tak niespodziewanie przed jej duszą otworzył. Cały ten dzień przeszedł jej na samotnym dumaniu; przy obiedzie u prezesowej była roztargniona, zapominająca się, a gdy przyszła noc, a sen nie przychodził, nie przywoływała go nawet, tak jej słodko było marzyć. W marzeniach tych chodziła niby po ogrodzie, słuchała tylko słów, tak miłych, tak dobrze ułożonych, z taką łatwością płynących i w takiej będących harmonii z jego szlachetnym wyrazem twarzy. Wszystko się jej w nim podobało, postawa, ruchy, ułożenie, nawet strój skromny, czysty, ale niewykwintny. Nie postrzegła w nim ani śladu niesmacznego nadskakiwania. To, co mówił o niej samą, okazywało jego przenikliwość, było grzeczne, miłe dla jej ucha, ale miało na sobie piętno prawdy, wypowiedzianej śmiało, szczerze i bez pochlebstw; to co mówił o Michasiu, ujęło ją nieskończenie, jako okazujące i trafność w osądzeniu jego wartości, i szlachetną życzliwość człowieka wyższego charakterem i doświadczeniem dla skromnego młodzieńca, którego tak serdecznie kochała; to co mówił o sobie, zainteresowało ją obrazem tych cierpień, tych walk, których wzmiankę dopełniała w swą imaginacyi, stawiając go jako bohatera w zapasach z losem i ludźmi. Tak Bronisia bawiła się prawie noc całą, a gdy sen nad ranem skleił jej powieki, gdy wkrótce słońce, zagładające do okna, nasłało na nią jakieś słodkie marzenie, i cicha łaza zawisła na jej rzęsach, obudziła się zupełnie inną, jakąś starszą, inaczej na świat patrzącą, biedniejszą, ale i szczęśliwszą razem.

Edmund tego wieczora na herbatę do szambelanowej nie poszedł. Ze sposobu zaproszenia ich zmiarkował, że się domyśliła jego stosunku z panią Tomaszową, i że go będzie ciągnąć za język. To go zraziło. Nie mogąc pozbyć z myśli i serca obrazu kobiety, którą tak kochał, nie unikał on jej spotkania, chciał jej pokazać swą obojętność, upokorzyć wyrazem pokoju, i, że mu go nie odebrała na zawsze, ale szkodzić wyjawieniem jej płochości, lub prześladować wymówkami, nie miał już serca. Rana jego zakrzepła, krew ostygła, nie chciał więc odnawiać bólu, które czas złagodził. Dla tego prosił nawet Karola,

aby poszedł sam, wymówił go jakimbądź pretekstem, ale żeby rozmowy o znajomości jego z panią Tomaszową unikał.

We wtorek, w czasie obiadu, na którym była prezesowa i kilka innych obcych osób, powitał ją tak, jak zwyczajną i daleką znajomość. Najwięcej rozmawiał z Bronisią, która go nie unikała wcale, jęj podał rękę i przy niej usiadł. Po obiedzie, gdy dla uniknienia oka szambelanowej i jęj domysłów, pani Tomaszowa sama do niego przystąpiła, i wszczać z nim chciała rozmowę, odpowiedział jęj sucho, krótko, chociaż nie chybiając w niczém, tak, że odeszła prędko, zmiarkowawszy, że to, co pomiędzy nimi było, pogrzebał w sercu, i karze ją tylko zupełną obojętnością. Chociaż to jego postępowanie i obejście się z nią w części ją zmartwiło, w części rozgniewało, jak każdą kobietę zimną i prózną gniewa i martwi widok kochanka, który się wykurował, postrzegła jednak z ukontentowaniem, że się nim Bronisia zajęła, i szersze na tém tle budować zaczęła plany.

Chociaż Bronisia, zwykle śmiała, otwarta, nie tająca się ani ze swemi myślami, ani uczuciami, powstrzymała się przez naturalną wstydlivość dziewicy przełęcznionęj, zawstydzonęj tym głosem serca, które zagadało tak słodkim, tak nowym dla niej językiem, nie umiała jednak zupełnie przerobić swego charakteru, i dała poznać Edmundowi, jak jęj miłe jego towarzystwo.

— Nie mogę zapomnieć — rzekła, gdy stali oboje usunięci od reszty kompanii — téj niedzieli, w której pana poznałam, tak mi miłą była rozmowa z panem, wspomnienie wsi, do której już zaczynam tęsknić, wzmianka o mojej drogiej cioei i obraz Michasia, z którym prawie wychowałam się, i którego szczerze kocham i szacuję. Ani wczoraj, ani dziś pan nie przyszedłeś, i moja służba, jaką przy macosze mojej pełnię, dopiero mi się wydała prawdziwą pańszczyzną. Nie znam tu nikogo; ci panowie, których tu poznałam, i którzy nam czasem towarzyszą, bardzo nudni, i nie wiem z jakiej beczki można z nimi zacząć. Macoszę moję znasz pan dobrze, o tém wiem, gdyż właśnie zgodność opinii mojej o nią z opinią pana, była powodem Michasiowi, że o panu wspomniał. Łatwo więc pan wniesiesz, że mi rozmowa z nią nie idzie, gdyż nie ma żadnej wiążącej nas struny, na którejbyśmy zgodnie zagrać mogły. Doprawdy, że to byłby ze strony pana miłosierny uczynek, gdybyś przyszedł choć pod koniec, na ten nudny i obowiązkowy spacer, który się odbywa przed kawą.

Edmund uklonił się i przyrzekł, a pani Tomaszowa postrzegłszy, jak po téj rozmowie rozpromieniła się twarz Bronisi, jak później była wesolą, dla niej nawet uprzejmą i prawie karesującą, jak sama upomniała się, aby posłać po lożę i pojechać na teatr, jak gustownie się ubrała, jak nazajutrz wstała z ochotą do ogrodu, ubierała się dłużej, niż zwykle, spojrziała w zwierciadło wychodząc, a idąc przy niej, wzię-

ła ją pod rękę i prawie skacząc zwieszała się na jej ramieniu, wniosła, że Edmund przyjdzie. Jakoż, gdy po wypiciu ostatniego kubka wychodziły do dużego ogrodu, postrzegły obie Edmunda i Karola, którzy stali przy wyjściu i oczekiwać na nie zdawali się. Twarz Bronisi zajaśniała rumieńcem i oczy jej błysnęły radością. Pani Tomaszowa widziała to, a chociaż postrzegła przytém, że na licu Edmunda żadnej nie było zmiany, równa obojętność, równie zimna jak lód grzeczność, gdy się z nią witał, przyjęła go bardzo uprzejmie, z tym uśmiechem i tą słodyczą, którą on znał i której nie wierzył wcale.

— Jakże to dobrze, żeście panowie przyszli — rzekła zwracając się bardziej do Karola — spodziewam się, że panowie nas nie opuścicie i zechcecie nam towarzyszyć w naszym spacerze, od którego wyłamać się nie można, a który, niestety! zaczyna nas nudzić, a szczególnie biedną Bronisię, co się dla mnie poświęca. I jeżeli to nie jest przypadek, ale umyślna panów grzeczność, to doprawdy bardzo panom jestem wdzięczną, i tém wdzięczniejszą będę — dodała z uśmiechem — jeżeli się powtórzy.

Karol skłonił się na znak przyzwolenia, Bronisia spojrzała prawie z wdzięcznością na macochę, i poszli razem. Z początku rozmowa była wspólna, ale wkrótce Hieronima, wzięwszy za przedmiot Krakowskie, wyłącznie zwróciła się do Karola. Mówiła mu o dobrach męża, o swych sąsiadach, o gospodarstwie, wypytywała o jego okolice, o młodą żonę, która zapewne za nim tęskni, i o inne interesujące go przedmioty. Tak zajmując się zupełnie słuchaniem Karola, który oczarowany jej wdziękiem rozgadał się, zostawiła Edmunda pełnym panem materji, jakaby sobie w rozmowie z Bronisią chciał obrać.

Takie spacerki powtórzyły się jeszcze kilka razy, i mniej więcej z podobnym manewrem ze strony pani Tomaszowej. Zawsze znalazł się ktoś, co ją zajął wyłącznie, a Bronisia mogła swobodnie upajać się łatwą, urozmaiconą, a często poetyczną rozmową Edmunda, którą bez zamiaru, i nie myśląc wcale o tém, rozkołysał jej duszę. Przez cały ten czas była ona nad wszelki wyraz szczęśliwą. Pokochała, pokochała całą mocą tak energicznego serca, widziała w nim wszystkie powaby powierzchowne, oceniła wysokie zdolności, rozum jasny i zdrowy, i ani jej przyszło do głowy zapytać się, co to za jeden, jaka jego przeszłość, jakie przeszkody staną murcem pomiędzy niemi i rozdziela ich na zawsze. Wszystko to wiedziała dobrze macocha, i dla tego sprzyjała jej zajęciu, pomagała prawie temu biednemu sercu, aby się splątało stanowczo. Wszakże nie dała jej poznać bynajmniej, że cokolwiek widzi i miarkuje, a pisząc do męża donosiła mu tylko o zdrowiu swoim i Bronisi, dziękowała Bogu, że ją natchnął tą myślą wzięcia jej z sobą, gdyż się jej zdaje, że nareszcie znalazła drogę do tego serca, co tak długo dla niej było zamknięte.

Dla szczęśliwej Bronisi wszystko wydawało się miłym, dobrém i piękném, ze wszystkiego była kontenta, radowała się każdą drobnostką, nawet macocha wydała się jej zupełnie inną, niż ją dawniej widziała. Pod wpływem tego usposobienia napisany list do ojca, potwierdził to, co Hieronima pisała, i uradował serce pana Tomasza.

Jednego ranku rzekł jój Edmund:

— Jutro wyjeżdżamy. Przyjaciel mój śpieszy się do żony, a i mnie tęskno już do lasu.

— Odejdziesz pan! — zawołała stłumionym głosem biedna Bronisia, i serce jej ścisnęło się jakimściś nieznanym bólem. Edmund, czy nie widział, czy zdawał się nie widzieć w rażenia, jakie słowa jego wywołały, i dodał:

— Może mi pani powierzy jakie listy. Bardzo mi będzie miło oddać je, i pochwalić się tém szczęśliwém spotkaniem, które liczę do najpiękniejszych chwil mego życia.

— Napiszę do ciotki — mówiła Bronisia, której te słowa jego przyniosły ulgę, i jak świeży oddech owiały jej piersi.

— A do pana Michała nie? — zapytał Edmund. Bronisia podniosła na niego oczy, jakby przeniknąć chciała, dla czego zrobił jój to zapytanie. Ale twarz jego była poważna, zamysłona, tak, że nie mogła dojść, jaka jój odpowiedź zmartwi go, a jaka ucieszy. Poszła więc za natchnieniem dobrego serca swego, usłuchała głosu dawnych wspomnień, stanął przed jej oczami biedny Michaś, z piękną i melancholiczną twarzą, i rzekła wzruszona:

— Kochany Michaś! współnik moich igraszek dziecinnych, brat sercem i przywiązaniem, jakżebym o nim zapomiała? Napiszę i do niego. A pana proszę, abys go odrywał od téj pracy, której się zanadto oddaje. I ja lubię książki, i wiem, jak czasem dobrze jest sercu i głowie, gdy się przy nich zapomni, innym otoczy światem, gdy ucieka z teraźniejszej chwili, jak z ciasnego pokoiku, zarzuconego samemi drobiazgami, na szerokie pole przeszłości, gdzie wszystko przez czas wyrosło. Ale on w tém przesadza i o zdrowiu swém nie pamięta. Takim był i w pierwszej młodości, wtedy kiedym była dzieckiem, i kiedym musiała ciągnąć go swawolic. Niech mu pan to przypomni. A gdy przestrogi pana nie pomogą, przyslij go pan do mnie do Rudnicy.

— Wykonam chętnie polecenia pani — odpowiedział Edmund — i zdaje mi się, że mi to nie będzie trudno. Polubił on już nasze lasy i góry, i polubi je więcej, gdy na tych przejażdżkach rozmawiać będziemy o tém wszystkiém, com tu widział i słyszał. Książki wydadzą mu się zanadto zimne i unarłe, w porównaniu z tém, co uderzać będzie jego oczy i uszy. Niech go pani wyegzaminuje, jak przyjedzie



do Rudnicy, z treści naszych rozmów. Będzie to dla mnie nagrodą za wierne spełnienie rozkazów pani, bo przy takich rozmowach znajdzie się może wzmianka i o mnie.

Serce Bronisi zadrżało na te słowa. Wytłómaczyła ona je sobie tak, jakby je każda kochająca kobieta tłómaczyć mogła. Tém większym więc smutkiem i prawie bólem napęknął ją odjazd Edmunda. Wszystko straciło dla niej powab, jaki ją na chwilę ożywiał. Warszawa wydała się jej nudną, gwar jej niezrozumiałym i przykrym, ogród Krasieńskich pustym i morduującym, a macocha ze swym uśmiechem, ze swemi pieszczotami, do których przez parę tygodni nawykła, pokazała się jej znowu chytrą i nieznośną.

Dotąd Bronisia zajęta całkiem sobą, swém szczęściem, swemi rojeńciami, które teraz tłunnie zaludniały ów horyzont, tak niegdys pusty, nie zważała wcale na wizyty, jakie macocha jej odbierała. Woląла ona być w swoim pokoju, marzyć i dumać, niż słuchać trywialnych rozmów i potocznej miejskiej banaluki, która jej nie interesowała wcale. Kilka słów szambelanowej zwróciło na to jej uwagę. Raz w ogrodzie przystąpiła ona do Bronisi i zapytała:

— Długo jeszcze tu zabawicie?

— Chciałabym jak najprędzej wyjechać — odpowiedziała Bronisia. — Tęsknię do ojca, do wsi, do moich książek i do konia, którego brak czuję, równie jak brak szerokiego pola, na którym pobujałabym po dawnemu. Takie życie nie dla mnie.

— A pani Tomaszowa nie śpieszy się do męża i do dzieci? — zapytała szambelanowa.

— Nie widzę tego — rzekła Bronisia, ruszywszy ramionami — mówi o nich ciągle, a siedzi, choć już parę razy prosiłam, żebyśmy jechały.

— Wody jej widać służą — mówiła stara — ładnie wyglądają; chciałyby zapewne kurs swój skończyć sumiennie, ona, tak sumienna we wszystkiém.

Gdy Bronisia spojrzała na nią, chcąc przeniknąć, czy to szczera pochwała, czy ironia, szambelanowa bez uśmiechu, bez ciekawości, niby niechcący zapytała:

— Czy hrabia Franciszek często u was bywa?

— Z początku bardzo rzadko, teraz częściej — odpowiedziała Bronisia — ale mnie te wizyty mojej macochy nudzą okropnie, i nie zważam na nie wcale.

— Dobrze robisz, moje życie, że nie zważasz — rzekła szambelanowa, i zaczęła o czém inném rozmawiać.

To ostrzeżenie, a szczególnie ton, z jakim było zrobione, zwróciło uwagę Bronisi.

Oddawna hrabia nie miał u niej łaski. Choć w domu pana Tomasza, gdzie go jedynie widywała, był bardzo grzecznym, ale ona sama szczerą, otwartą i umiejącą te przymioty z nadwyzajną bystrością w twarzy innych wyczytać, dostrzegła, że w grzeczności wielkiego pana dla jej ojca jest jakiś fałsz, że to nie jego życie i cnoty, nie ten powszechny szacunek, jaki miał u współobywateli, ale coś innego wywoływało ze strony hrabiego. To prawie nadszkakiwanie, szesnastoletnią, bystrą i rozumną panienkę raziło, wydawało się jej niewłaściwem, a nawet ironicznem. Choć pani Tomaszowa we wszystkich tych sposobach, któremi pociągała do siebie hrabiego, była nadwyzajnie ostrożna, i bała się szczególnie Bronisi, może mniej dla owego przepisu Ewangelii, aby nie dać zgorszenia, ale że znała jej bystrość i niechęć, — hrabia natomiast mniej był baczny, zresztą zajął się na prawdę, zdradzał się więc nieraz tak, że dojrzewająca panienka, jakkolwiek niewinna wszystkimi myślami, która żadnego romansu nie miała jeszcze w ręku, nie mogła nie wpaść na myśl, że powodem częstego bywania hrabiego i tych grzeczności, które okazuje ojcu, jest bardziej piękność żony, niż zalety i cnoty męża. Postrzeżenie to, którego nikomu udzielić nie śmiała, zatarło się z czasem, gdy wizyty hrabiego w Rudnicy ustały, ale powiększyło jej niechęć względem macochy, a hrabiego, jako nastającego na pokój ojca, zrobiło jej podejrzanym i niemilym. Ten wstręt powiększył się jeszcze przez to, że chociaż to był człowiek zdolny, z rozumem, otarty w świecie, i który wiele widział, w zdaniach jednak swoich i sądzie o wielu przedmiotach, zdradzał dążenie bardziej materyalne, nabyte przez pańskie wychowanie, a wprost przeciwne z jej wyobrażeniami, bardziej duchowemi, bardziej dążącemi do ideału i poezji. Gdy więc teraz przestroga szambelanowej i jej zapytanie, czy często hrabia bywa obudziło jej baczność, przypomniała sobie dawniejsze jego zabiegi, i w terażniejszym ich obojga postępowaniu znalazła potwierdzenie swych podejrzeń. Na drugi dzień po przybyciu swém do Warszawy, byli w teatrze. Hrabia był w krzesłach, postrzegł ich w między-akcie, przyszedł do łoży. Ale macocha przyjęła go tak zimno, z tak zacisniętymi wargami, bez wszystkich tych słodkości, któremi tak dobrze umiała szafować, tak półgębkiem odpowiadała na jego zapytania, że hrabia prędko wyszedł, a Bronisia wniosła, że ją musiał czémścis obrazić. Potem trzy razy przychodził z wizytą, nie przyjęła go. Potem zeszedł się, zapewne przypadkiem, u prezesowej na herbacie, i zapewne w tłumie kilkunastu osób musieli się z sobą rozmówić, choć tego nie uważała, gdyż nazajutrz hrabia przyszedł, był przyjętym i siedział z godzinę. Później przychodził wprawdzie bardzo rzadko, ale zawsze był powitany z dawniejszą uprzejmością i z tym uśmiechem, co jej wszystkie serca zjednywał. Wszakże, gdy o tém wszyst-

kiem teraz myślała, zastanowiło ją to bardzo, dla czego człowiek, który tyle razy w domu ich gościł, tu zaś coraz częściej ich odwiedza, i zawsze przyjmowany z wszelkimi oznakami życzliwości, nie zbliża się nigdy do macochy jej publicznie, ani w teatrze, choć zawsze jest, ani w ogrodzie, choć czasem zjawi się, lecz przechodzi mimo, i z daleka tylko obojętny oddaje ukłon. Wszystko to wydawało się jej jakimś nieprostym, nie w zwyczajnym porządku towarzyskiego życia, przyjacielskich i jawnych między ludźmi stosunków; wszystko to gniewać ją zaczęło, niecierpliwić i prawie oburzać tém bardziej, że sama prawie była nieszczęśliwa, nie wiedząc, kiedy i gdzie Edmunda obaczy, że tęskniła już do domu, spodziewając się przybycia Michasia i rozmowy o tym, który serce jej tak mocno rozmarzył; a tu macocha udawała, że nie widzi ani jej smutku, ani jej niecierpliwości, i od dnia do dnia odkładała swój wyjazd.

Jednej niedzieli, gdy już picie wód ustało, między dziewiątą a jedenastą, weszła Bronisia do pokoju macochy i zapytała jej, czy nie pójdzie na sumnę do Śgo Jana, że ma mówić kaznodzieja, którego pobożność i mowę wszyscy niezmiernie chwala.

— Byłam na rannéj mszy — odpowiedziała macocha, trzymając się za głowę — a teraz tak mi niedobrze, tak mnie głowa boli, że zostanę w domu.

— To szkoda — odpowiedziała Bronisia niekontenta, gdy i tęsknota i potrzeba serca ciągnęły ją do kościoła, gdzie mogła Bogu troskę swą powierzyć — a ja tak chciałam słyszeć tego kaznodzieję. Ksiądz Studziński będzie mi miał za złe taką obojętność.

— A to idź, weź z sobą Jana. Ja się przez ten czas bez niego obejść — rzekła macocha.

— Nie wiem, czy to ujdzie w tém nieznośnym miescie, z którego radabym się wyrwać jak najprędzej. Że też ten ból głowy przyszedł tak nie w porę — rzekła Bronisia, patrząc w oczy macosze, i zdało się jej, że lekki rumieniec przebiegł po jej licu.

— Jak myślisz — odpowiedziała pani Tomaszowa — ale mnie się zdaje, że ci tego nikt nie weźmie za złe.

— Tak i ja myślę i pójdę. *Au revoir donc, maman* — rzekła Bronisia — ale proszę być prędko zdrową, żebyśmy mogły jechać jutro.

— Jutro poniedziałek — odpowiedziała pani Tomaszowa, spuszczając pobożnie oczy.

— Toż już we wtorek koniecznie — mówiła Bronisia.

— We wtorek zapewne. Mnie pilniej niż tobie — odpowiedziała pani Tomaszowa, a Bronisia poszła ubrać się. Gdy się odziewała, uderzyło ją to trochę, że macocha weszła do jej pokoju, nalala sobie

kolońskiej wody z jej flaszeczki na chusteczkę i obwiązała czoło, i potem z uśmiechem, w którym było widać cierpienie, rzekła:

— Widziałam, że twoja flaszeczka prawie pełna, taka z ciebie elegantka. Moja już wyszła. Ale śpiesz się, śpiesz, bo już jedenasta, a nabożeństwo zaczyna się od kazania. Już kazałam Janowi, aby był gotów.

Bronisia prędko skończywszy toaletę, wzięła książeczkę i poszła. Gdy już była na środku tego placu, który jest przed hotelem Wileńskim, w którym stały, z drugiej strony znajdującego się tam klubu postrzegła hrabiego. Szedł sobie z wolna, ze schyloną głową, puszczał laseczkę swą na kamienie i łapał ją podskakującą. Ten widok boleśnie ją dotknął. Poszła jednak dalej powoli, oglądając się tylko w którą stronę wejdzie. Hrabia wszedł w tę, w której było ich mieszkanie. Bronisia zadrżała na tę myśl, że macocha jej, kobieta tak świętobliwa, mająca takiego męża, jak jej ojciec, pozwala na to, aby jej ktokolwiek niejawnie robił grzeczności. Żal jej było, że się naparła wyjść, i sama nie wiedziała, czy wrócić, czy iść dalej. Ale hotel był wówczas pełny; mógł hrabia do kogo innego dążyć z odwiedzinami. Nie chcąc tedy na próżno się dręczyć i posadzać kobietę, której wprawdzie kochać nie mogła, ale na której postępowanie i życie patrzyła z bliska, wróciła prędko, kazała lokajowi zostać na dole, a sama z bijącym sercem wbiegła na schody. Drzwi od przedpokoju były otwarte; służącej, która miała miejsce Jana zastąpić, nie było. Bronisia weszła najprzód do swego pokoiku, a nie słysząc rozmowy w ich salonie, sądziła uradowana, że i tam nie ma nikogo, i że chora macocha położyła się. Otworzyła więc drzwi, a gniew i oburzenie zatrzymały ją na chwilę na progu. Chusteczki na głowie pani Tomaszowej nie było. Siedziała ona na kanapie, trzymała jedną ręką chusteczkę przy oczach, niby płacząc, a hrabia, który siedział przed nią na krześle, w postawie proszącej, w ręce swęj wyciągniętej trzymał drugą jej rękę. Wkrótce Bronisia zatrzęsnęła drzwi, i prędko wybiegła do przedpokoju. Gdy już wychodziła, pani Tomaszowa otwarła drzwi od salonu i obaczyła dobrze, że to nie kto inny, tylko Bronisia.

Łatwo wyobrazić sobie stan i uczucia tej biednej córki, która nie pojmowała wprawdzie, jak daleko grzech posunąć się może, ale widziała to dobrze, że ojca jej oszukują. Bez tehu prawie biegła ulicą Bielańską, potem Senatorską, a gdy weszła do kościoła, gdy ją uderzył głos organów, śpiew kapłana, widok tyłu ludzi, którzy w troskach swych szukają ulgi w tym przybytku łaski i miłosierdzia, upadła na kolana, prawie przy drzwiach, wpatrzyła się w ołtarz, i gorzkie łzy płynęły z tych ocz, które od dzieciństwa nauczyły się wznosić ku niebu, i tam szukać rady i pociechy.

Nie upłynął kwadrans, gdy zjawiała się przy niej pani Tomaszowa. Spostrzegłszy ją płaczącą tak blisko drzwi, nachyliła się ku niej i rzekła:

— Namysliłam się. Nie należało mi puszczać cię samą. Wstańże; pójdziemy dalej, ztąd nic nie usłyszysz.

Bronisia usłyszawszy ten głos, wstrzęsła się cała, i gniew wziął górę nad żalem. Podniosła więc głowę, popatrzyła przez chwilę w oczy macosze, i wstając i przysuwając się do niej, szepnęła jęj z zaciętymi wargami:

— Już więc panią głowa nie boli. Bardzo się cieszę. Będziesz pani mogła słyszeć kazanie. Pójdźmy.

I poszła naprzód, a pani Tomaszowa, zmięszana tym tonem, szła za nią namysławjąc się, co tu począć, i jaki tak fatalnemu wypadkowi dać obrót.

Przekonawszy się od lat tyłu, że Bronisia, ani słodyczą, ani pieśzcotami ukołysać się nie da, i liczmanów tych za szczere złoto nie weźmie, postanowiła od razu użyć powagi starszej kobiety i ojca jęj żony, aby się rozmówić z nią stanowczo, i wiedzieć, jakiej nadal trzymać się drogi. Gdy więc wrócili do domu, pani Tomaszowa wezwała ją do siebie, i patrząc na nią z powagą, rzekła:

— Zrobiłaś mi Bronisiu wielką przykrość.

— Przerwałam czułą rozmowę: to przepraszam — odpowiedziała prędko zaczerwieniona od gniewu panna.

— Co? co? — zawołała przystępując do niej macocha. — Co znaczą te słowa?

— Te słowa znaczą — odpowiedziała Bronisia — że widziałam to, czego bym widzieć nie powinna, jako córka takiego ojca, który jest mężem pani.

— Zanadtoś mądra — rzekła wzgardliwie pani Tomaszowa — kiedy z prostego pożegnania życziwego domowi naszemu człowieka, wyciągasz wnioski, które by ci, jako pannie i patrzącej dobrze na moje życie, przyjść nie powinny.

— Nie mam się ja w tym względzie za bardzo mądrą — odpowiedziała Bronisia — ale tyle mądrą jestem, iż widzę, że przy takiem prostém pożegnaniu nie miałaś pani powodu udawać płaczącą, ani hrabia nie potrzebował trzymać ręki pani w swoich dłoniach.

— Opowiedz to przywidzenie swemu ojcu, a zobaczysz, czy ci uwierzy — mówiła pani Tomaszowa, zaciskając usta.

— Tego nie zrobię — odpowiedziała Bronisia ze łzą żalu w oku — zanadto cenię jego spokojność. On by to inaczej przeboleł, niż ja.

— Powiem mu to sama — mówiła macocha — aby się przekonał, jakie ma serce dla mnie jego córka, i do jakiego poniżenia przysłałam w jęj oczach. Zabieraj się. Jedziemy dziś.

— Ja do domu nie pojedę — odpowiedziała Bronisia. — Będiesz pani miała pole otwarte, i nikt zasępioném czołem i źle tajonym płaczem nie otworzy oczów memu ojcu, i nie zepsuje jego szczęścia, jakiego ma.

— Dokąd-że się udasz? — zapytała pani Tomaszowa, patrząc na nią z tą powstrzymywaną nienawiścią, jaką w téj chwili w dwójnasób uczuła.

— Pojadę do ciotki — mówiła Bronisia, i poczuwszy, że mimowolny rumieniec wystąpił na jój lice, dodała — do której wybieram się oddawna, i którą kocham, jak matkę.

— A! do ciotki — odpowiedziała uśmiechnąwszy domyślnie macocha — dobrze, dobrze. Pojedziesz do ciotki. Biorę to na siebie, że ci ojciec pozwoli. Ale nie inaczej jak z domu. — Po chwili dodała seryo i z mocném postanowieniem: — Mogłabym cię odwieźć ztąd, ale twoja ciotka nie zasługuje na to, abym ubliżała sobie, szukając jój wtedy, kiedy ona mnie, nie wiedzieć dla czego, unika. Przycém nie chcę, aby wyjazd twój rzucał na moje postępowanie z tobą jakiś cień, którego nie ma, i aby ojciec twój myślał, że cię do tego kroku czémkolwiek bądź zmusiła.

— Więc pozory mają być zachowane tak w tém, jak i we wszystkiém — rzekła Bronisia z przyciskiem. — Zgoda, niech i tak będzie; ale chcę wyjechać zaraz nazajutrz po przybyciu do domu.

— Wyjedziesz, jak najprędzej będzie można, bo wiem, że ci pilno — rzekła pani Tomaszowa, patrząc na nią przenikliwie. Bronisia zaczerwieniła się i mruknąwszy prawie głośno: — świętoszka! — odeszła do swojego pokoju.

Tak się rozmówiły z sobą te dwie energiczne kobiety. W drodze, w którą się tego samego dnia puściły, jedna do drugiej nie przemówiła ani słowa: podobnież przez trzy dni w domu. A gdy Bronisia siedziała już w koczku z księdzem Studzińskim, który ją do pani Mikoszewskiej miał odprowadzić, i tam na parę tygodni zostawić, gdy rzucała w około tęskném okiem i rozstawała się w duchu może na zawsze z tym domem, gdzie się urodziła; z tém miejscem, gdzie był grób jój matki, z temi polami i lasami, wśród których tyle przemysliwała myśli, ojciec żegnał ją z ganku, a macocha, stojąc przy nim z pełną słodyczy twarzą, i przesyłając jój od ust pocałowania, mówiła:

— Adieu, Bronisiu! bądź zdrowa, Bronko droga! niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi!

We dwa tygodnie, gdy ojciec wyglądał powrotu córki, i wszystkie na jój przyjęcie robił przygotowania, gdy kazał przejeżdżać jój konia, sam porządkował jój książki i papiery, i gdy żona jego, pomagając mu gorliwie, zajęta była urządzeniem jój pokoju, kazała oczysz-

czać meble, wytrzepywać kobierce, przeglądała jej garderobę, nowe zawieszała franki, i różne gotując jej siurpryzy, ubierała jej stoły w nowe graciki, a na schodkach w oknach stojących najświeższe i najpiękniejsze ustawiać kazała kwiaty, odebrał pan Tomasz list następujący od Bronisi:

„Najdroższy ojcze! Dziwnie czasem i niespodziewanie Bóg kieruje myśli ludzkie i stawia życie na drodze, która się przed nim nagle otwiera, a z której zejść nie może bez zadania gwałtu swemu szczęściu i zwichnięcia swojej przyszłości. W takim ja teraz znajduję się położeniu, i oddawszy się z ufnością wyższej woli, którą czcić i słuchać nauczyłeś mnie od dzieciństwa, zaczynam moją drogę, nie bardzo troszcząc się o to, dokąd mnie ona zaprowadzi. Wszakże, kochany mój ojcze, nie przestraszaj się tym ciemnym początkiem mojego listu. Ciemny on, prawda, widzę to sama, ale jaśniej ci teraz tego wszystkiego wytłómaczyć nie mogę. W około mnie także jeszcze ciemno, jeszcze mgła leży przed tym światłem, które mi w jej łonie miga zdaleka, i ku któremu iść postanowiłam. Jak sama przejrzę lepiej, słowa moje przestaną być zagadką i uspokoję twoją ojcowską troskliwość. Tymczasem niech będzie dla ciebie dosyć, że jestem pod dachem i pod okiem tej, co mnie wychowała, co mnie kochała, i dziś kocha, jak matka, i przy której boku jestem równie bezpieczna, jakbym była pod skrzydłem twojej rodzicielskiej opieki. Teraz uwiadamiam cię, drogi ojcze, że w tej chwili do domu wrócić się nie mogę, i kiedy powrócę, nie wiem. Wszystko to, co się w około mnie i we mnie dzieje, dało mi to postanowienie, od którego nie odstąpię. Błagam cię tylko, abys nie chciał używać swój powagi, dla złamania tego, com postanowiła, bo będę musiała być ci nieposłuszną, a to byłoby dla mnie wielkim nieszczęściem. Proszę cię także, abys mnie nie badał i nie egzaminował, bo nie powiem nic, i uporne milczenie moje zmartwi cię niepotrzebnie. Wierz tylko, że mi tak dobrze, że będzie, mam w Bogu nadzieję, coraz lepiej; wierz, że nie zapomnę ani na chwilę, że jestem córką kobiety, której cnoty świecą mi, jak gwiazdy przewodniczki, że jestem dzieckiem twojem, którego imię i spokój są mi droższe nad życie. Całuję ręce i nogi twoje, najdroższy ojcze! i proszę Boga, kładąc się i wstając, aby to szczęście, jakie masz, nie zamgliło się żadną chmurką; abys długo radował się miłością i zdrowiem tych wszystkich, których kochasz z takim wylaniem. *Bronisława.*“

P. S. „Choć ze mnie nie tęga muzykantka, jeżeli to jednak nie będzie połączone z wielkim kłopotem, przyślij mi ojcze fortepian i nuty. Wszakże to uważam za kaprys, któremu, jeżeli nie dogodzisz, nie zmartwię się bynajmniej. Do dalszych prośb większą przywiązuję wagę i nie racz mi ich odmawiać. A mianowicie: proszę cię

o wybranie z szaf i przysłanie mi książek, według załączonego rejestru. Cobyś jeszcze sam, drogi ojcze, uważał za użyteczne do oświecenia mnie, to dołącz. Szpargały inoje wszystkie każ zapakować, i także mi je przyslij. Dziadka kochanego, którego ręce całuję ze czcią i pokorą, poproś, aby mi wszystkie kazania swe i nauki ewangeliczne, które ma gotowe, przysłał; resztę każ przepisać i odeslij mi później. O bieliznę i część garderoby, szczególnież o to, co do codziennego użycia, do spacerów i do konia, tak w lecie, jak i w zimie służyć mi może, proszę. Ze strojniejszych sukienek chciałabym mieć tylko dwie lub trzy, i to niezbyt paradnych. Teraz następuje rzecz najistotniejsza. Przyslij mi, ojcze, mego siwosza i klacz angielską dla zmiany; bo tu, gdzie okolice tak cudne, lasy tak głębokie, wzgórza tak wielkie i kamieniste, a córka twoja tak szalona, i tak żądna szerokiego powietrza, i dzikszéj, niż zwyczajna płaszczyzna, natury, jeden koń nie wytrzyma. Jeżeli będziesz tak dobrym, kochany ojcze, że temu zachcenju zadosyć uczynisz, to przyslij-że mi także i starego Stefana, który tak wiernie chodzi koło tych poczciwych zwierząt, tak umie nademną czuwać, i ma prawo łajać mnie i gdęrać, gdy zanadto męcę siebie i konie.“

P. S. „Jeszcze przypisek! ale ten już będzie ostatni, jeżeli sobie czego nie przypomnę. Nie chciałabym, drogi ojcze, być ciężarem, cioci, która ma tak niewiele na potrzeby swoje i Michasia. Wypadnie mi zawsze coś wyekspensować, kogoś obdarzyć, kogoś opatrzeć. Naznacz mi, ojcze, jaką chcesz pensyjkę, bylem miała cokolwiek. Teraz już zdaje się koniec. Pieczętuję więc, i jeszcze raz ściskam ręce i nogi twoje, najdroższy ojcze!“

P. S. „Rozpieczętowałam! i niestety! jeszcze jeden przypisek. Ale będziesz-że się dziwił, drogi ojcze, żem go zrobiła? O! pewnie nie. Za kilka tygodni rocznica śmierci mamy. Wiem, że dziadek, o żalobném nabożeństwie nie zapomni. Ale mnie tam nie będzie. Ojcze! ojcze! wysłuchaj téj mszy za spokój jéj duszy, i potém uklękni na jéj grobie i pomódl się za mnie!“

Pan Tomasz zdziwił się i przestraszył początkiem tego listu, którego nie zrozumiał. Gdy skończył, zmartwił się seryo i zaczął myśleć o powodach tak nagłego postanowienia. Z razu zdało mu się, że może Michaś obudził w córce jego chęć zostania u ciotki. Ale gdy się zastanowił, że taka miłość, gdyby miała powstać w jéj sercu, powstałaby była dawno, że nie podobnego nie dostrzegł, że przywiązanie jéj do tego młodzieńca, którego sam kochał, było raczej przywiązaniem siostry, i to starszéj, która młodszego brata prowadzi i musztruje, przyszedł do téj konkluzyi, że to nie innego nie jest, jak niechęć do macochy, do młodszego rodzeństwa, że jéj ich obecność niemiła, obcowanie z niemi nieznośne, i że dla uniknienia widoku



jego miłości dla żony i dzieci, wyrzekła się domu i od ojca nawet chce być z daleka. Ta myśl, w której go żona zręcznie i z właściwą sobie sztuką, z pozorami żalu i zmartwienia, ugruntowała, napełniła serce jego goryczą, i odjęła mu chęć widzenia dziecka, które niegdyś tak mocno kochał. Wprawdzie żona zaklinała go na wszystko, aby serca swego dla córki nie zamykał; ale radziła mu także, aby dla jej własnego dobra udawał obojętność, dogodził jej kaprysowi, aby nie kompromitował swęj władzy, nakazując jej powrót, a nadewszystko, aby nie wybadywał ją o przyczynę tego dziwactwa, z którego wyleczy się prędko i sama będzie prosić o przebaczenie, skoro spostrzeże, że ojciec nie przywiązuje tak wielkiej wagi do jej obecności w domu, i nie uważa tego za warunek nieodzowny do swego życia i szczęścia.

— Wiem ja, że tak nie jest, i tak być nie powinno — dodała z przenikającym wejrzeniem — nie kochałabym cię nawet i nie czciła tak, jak czczę i kocham, gdybym wierzyła, że ten kaprys odrazi od nięj twe serce. Ale Bronisia, przy całej swęj mężkiej zamaszystości, jest prawdziwą kobietą. A ja znam serce kobiece lepiej od ciebie, mój mężu, chociażęs ty człowiek rozumny i doświadczony. Obaczysz, że to będzie najlepsze lekarstwo. Przekonaj się tylko na czas niejaki i udaj obojętność, to ona zapłonie; nie idź ku nięj, to ona przyjdzie do ciebie; dogodź bez oporu jej zachceniu, a zbrzydzi sobie wnet to, czego tak gorąco pragnęła.

— To wy takie jesteście? — rzekł pan Tomasz z uśmiechem. — Dobrze wiedzieć. Przekonam się, czy uwaga prawdziwa.

I w takim duchu odpowiedział listem dość obojętnym, ani pozwalając, ani broniąc zostać jej za domem, nie pytając wcale, co ją do tego skłoniło, i oddając zupełnie jej woli i wyborowi, czy zechce, czy nie zechce powrócić. Wszystko czego żądała przesłane jej było akuratanie; wkrótce przy staraniach pani Tomaszowej, jej karesach i zabiegach, tęskniący z początku ojciec nie spostrzegł nieobecności swęj córki. I nie wyszło dwóch miesięcy, a ślad Bronisi zginął w tym domu, którego była pieszczotą i ozdoba.

Na probostwie tylko trwała jej pamięć w myśli i w sercu starego księdza, którego często widziano siedzącego na grobie jej matki, gdzie odmawiając swe pacierze, modlił się przytém za spokój jednęj, a za zdrowie i szczęście drugięj.

## IX.

Dom pani Mikoszewskięj w Mędrówce był stary, wcale nieokazały, przez kilkoletnią dzierżawę i nieobecność w nim właścicielki zniszczony, ale jednak dość obszerny, że oprócz nięj i Michasia, Bronisia także wygodnie pomieścić się mogła. Martwiło to zanaż

kobietę, że pieszczoszka jej nie miała takiego apartamentu, jak w Rudnicy. Ale Bronisia prędko wyperswadowała jej ten kłopot, okazując się tak kontentą z dwóch pokojów, które dla niej były naznaczone, urządziwszy się w nich tak starannie i wygodnie, zdobiąc je coraz świeższymi kwiatami, jakie kończące się lato i nadchodząca jesień wydawały, a nadewszystko upiększając je tak wesołą twarzą, tak śmiejącami się oczami, tak głośną i serdeczną śpiewką, że ciotka przekonała się wreszcie, że jej u niej dobrze i myśleć o tem przestała.

W rzeczy samej zdawało się, że ciężar jakiś spadł z serca panny, że się odrodziła i odmłodziła od tego czasu, jak odebrała list od ojca, który oddawał to do jej woli, czy zostać, czy wrócić. Wprawdzie po pierwszym przeczytaniu tych słów poważnych, ale obojętnych, zalała się łzami i zawołała:

— Patrz ciociu! co się z sercem tego człowieka zrobiło. — Ale pomyślawszy potem, że nie okazując się nieposłuszną, uwalnia się od widoku macochy, do której więcej niż wstręt poczuła od owjej sceny w Warszawie, której słodkie potem spojrzenia, miłe uśmiechy, a nadewszystko ostatnie słowa pożegnania, przesładowały ją, jak zmory w śnie bolesnym, z którego obudzić się nie można, zapomniała prędko o dotkliwem wrażeniu, jakie na niej list ojcowski sprawił, i oddała się całkiem obecnemu swemu szczęściu.

A szczęście to było wielorakie. Znalazła się w miejscu nowem, prawie odludnem, a jednak różnaitością swą, wspaniałą ciszą głębokich lasów, rozległością widoków z wyniosłych wyżyn i cudnemi formami tychże wyżyn, czarującym jej oczy i imaginację; znalazła się pod skrzydłem i opieką tej, z której ukochaną twarzą i związane były wszystkie wspomnienia jej szczęśliwego dzieciństwa i ten złoty poranek duszy, budzącej się ze snu do modlitwy i miłości; miała obok siebie Michasia, do którego najserdeczniejsze czuła przywiązanie, na którego rękę wspierała się z takim bezpieczeństwem i ufnością, którego światło i nauka czyniły jej długie z nim rozmowy coraz miłszemi; a nareszcie widywała czasem i wiedziała o tem, że tak blizkim jej jest ten, do którego serce jej drżało, którego postać, głos, wyraz twarzy smutny i poważny, napełniały ją niewysłowionem wzruszeniem, w którym czuła energiczną i namiętą duszę, pełny szlachetności charakter, w którego nawet przeszłości, jakkolwiek była, przeczuwała dziwny interes i powab, które powiększały jej dla niego miłość.

Zycie Bronisi było niezmiernie czynne i zapełnione. W dni slotne i brzydkie zajmowało ją czytanie, najczęściej z Michasiem, i ztąd miła i użyteczna rozmowa. Dla przerwy i wypoczynku pomagała chętnie ciotce w jej gospodarstwie. Wdawała się z dzieciną

uciechą w takie szczegóły, o których w Rudnicy nie wiedziała wcale. Zarzuciwszy na głowę chustkę, jak jaka zagonowa szlachcianeczka, przywiązawszy fartuszek płócienny, napełniała go ziarnem i szła do drobiu, a rzucając mu pokarm, zwoływała go srebrnym swym głosem, ciesząc się serdecznie, gdy się kury, kaczkę, indyki na jęj wołanie zbiegały i otaczały zewsząd piękną swą karmicielkę. Z krówkami poznała się prędko, często była przy dojeniu, i nieraz Michaś, którego czasem z sobą do tego gospodarstwa zaciągała, z rozkosznym uśmiechem patrzył, jak wzięwszy wiązki siana, lub świeżej karmi naciętęj w ogrodzie, niosła ją tym faworytkom, co ją już znały i patrzyły na nią owem pięknem wejrzeniem, w które zdaje się, że natura jakąś pokorną duszę zakłęła. Ale najupodobańszem jęj zajęciem było przewodniczenie przy pieczeniu bułeczek, obwarzaneczków i sucharków do kawy i herbaty.

W takim domu, jak pani Mikoszewskiej, w gospodarstwie na jednej wiosce, nie było do każdéj rzeczy osobnych ludzi, jak w Rudnicy, gdzie wszystko jakoś samo się robiło, tak, że panienska prawie nie wiedziała o tém, jak i gdzie się to odbywa. Tu, w garderobie był osobny piecyk, i przysmaki te do śniadania i podwieczorku robiły się najczęściej pod okiem gospodyni. Bronisi niezmiernie się to spodobało, i często zakasawszy rękawy za łokcie, obwiązawszy sztucznie głowę białą chustką, przywiązawszy fartuszek, miesiła ciasto, wyrabiała z niego bułeczki, wyginała je w kółka, w serca, w ósemki i inne dziwaczne figurki; a gdy Michaś nadszedł i patrzył na tę robotę, mówiła mu śmiejąc się:

— To są hieroglify takiej szlachcianki, jak ja; zgadnij-że teraz, filologu! domyśl się, uczony Szampolionie, co one znaczą?

Najgorliwiej jednak zajmowała się tém przygotowaniem wtedy, gdy się spodziewała, albo raczej przeczuła, że Edmund przyjedzie i kilka godzin zabawi. Zdarzało się to rzadko, i najczęściej na prośbę Michasia, gdyż Edmund stawał się coraz dzikszym, posepniejszym, coraz bardziej lubił samotność; ale gdy przyjechał, zdawało się, że się ożywił w tém towarzystwie pełném wdzięku, rozumu i serdecznej uprzejmości. Tu rozwiązywały się jego usta, słowa jego płynęły czasem porywającym strumieniem, wypogadzało się czoło, i Bronisia z biciem serca widziała na tém pięknem obliczu odbicie wewnętrznego uspokojenia, nawet radości, co wszystko przypisywała sobie i temu tajemniczemu wpływowi, jaki obecność, spojrzenie i głos kochającej kobiety na mężczyznę wywierają. Zdarzało się, że tym sposobem Edmund zasiedziało się do późna, że go Michaś puścić nie chciał i na noc z sobą zatrzymał.

Wtedy z wieczora umówili się na ranny spacer. Przejazdźki te odbywały się każdą razą konno, dochodziły daleko, tak, że często

koło południa dopiero wracali. Jesień nie przeszkadzała im wcale. Choć ranek był chłodny i z przymrozkiem, jeżeli tylko zabłysło słońce, Bronisia występowała na swym siwoszu, w watowanej, sukiennej spódnicy, która jej dobrze zakrywała i otulała nogi, w aksamitnej ciepłej kurteczce, obłożonej sobolami, w takiejże czapeczce rogatęj, z sobolową obwódką i ciepłą podpinką, osłaniającą uszy. Z początkiem zimy, gdy mróz był silniejszy, a pogoda sprzyjała, zarzucała jeszcze na siebie, jak burkę, zielony aksamitny płaszczyk, cały podszyty futrem, i tak opatrzona, mając przy sobie z jednej strony Michasia, z drugiej Edmunda, pod okiem wiernego Stefana, który czasem mruzczał, czasem kiwał głową, ale każdemu jej zachceniowi dogadzał, puszczała się aż na szczyt góry, ku klasztorowi, i ztamtąd przypatrywała się z rozkoszą tej różnaitości barw, w jaką jesień stroi lasy, lub tej grze kolorów, które słońce wydobywa ze śniegów, i fantastycznemu prawie widokowi drzew, wiosek i dolin, pokrytych tym białym całunem, z pod którego natura na wiosnę, jak feniks odrodzony, powstaje młoda i świeża, pełna życia i miłości.

Żadnych w sąsiedztwie wizyt nie robiła, unikając jak najstaranniej nowych znajomości i stosunków. Dla niektórych osób, odwiedzających ciotkę, była grzeczną, zwłaszcza z wielkiem uszanowaniem obchodziła się z ludźmi starymi, mężczyznami i kobietami, to też miała ich wszystkich za sobą. Ale młodsze, próżne elegantki, traktowała bardzo obojętnie, a dwóch czy trzech młodych mężczyzn, którzy mogli sobie jakieś na nią robić projekta, przyjęła tak zimno i sucho, że okrzyczeli ją jako huzara, jako panienkę niemoralną, która z dwoma młodymi ludźmi, a czasem z jednym tylko, pod pretekstem kuzynowstwa, upędza się po lasach konno i po pół dnia z nimi na samotności trawi. Śmiała się Bronisia z tej o sobie opinii, która pod rozmaitemi postaciami przyjacielskich przestróg dochodziła do pani Mikoszewskiej, i kontenta była, że jej to dawało zupełną swobodę i nie narażało na nudy i marnowanie czasu na częstą rozmowę.

Nasłuchawszy się wiele o panu Macieju od Michasia, który poznawszy lepiej tego samotnika, szczerze go pokochał, i nową swą niemiecką erudycję z jego szlacheckim zapasem zmierzyszy, przekonał się, że często bardzo bez wstydu ustąpić mu może, zachciało się Bronisi poznać starego, i odwiedzić go w jego własnym domu. Raz tedy, gdy dzień zimowy był piękny, i gdy się we troje na daleki spacer wybrali, tak skierowała drogę, że przyjechali pod sam Łągów, i stanęli na tém miejscu, z kąd widać było na wzgórkach dworek pana Macieja.

— Widzi pani — rzekł wówczas Edmund — ten dworek na wzgórkach, niskim obwiedziony parkanem, z bramą zawsze zamkniętą, z tym gankiem, na którym stoi stary szlachcic, czyści swą strzelbę

i rozmawia ze swym legawcem, który go z taką uwagą słucha. Ten dworek, to jest moje ulubione schronienie, cichsze i bezpieczniejsze, niż największy pałac, gdzie namiętności buszują, a ten stary, to mój wuj, który z większą mądrością zaczął swe życie, niż je nienajeden kończy, i który na bardzo łatwej i prostej drodze, bo na wyrzeczeniu się próżności i zabiegów światowych, znalazł spokój i szczęście.

Bronisia spojrzała na niego z takim wyrazem, jakby w oczach jej była odpowiedź: — jeżeli chcesz, z tobą i ja na tej drodze szukać będę spokoju i szczęścia — i zaciąwszy konia, puściła się galopem wąską, zasypaną śniegiem i ukośnie po pochyłości wzgórza idącą drożyną, która prowadziła do bramy. Młodzi ludzie spojrzeli po sobie. Edmund uśmiechnął się i zawołał:

— Za mną, panie Michale — i wkrótce obaj dopędzili ją, gdy już przy bramie stała, i odrzuciwszy z ramienia swój płaszczyk, zdejmując z głowy jasnemi okrytej włosami czapczkę, kłaniała się starymu z okiem pełnym życzliwości, z uśmiechem na rumianych ustach, który twarz jej śliczną, przez zimno uróżowaną, jeszcze piękniejszą uczynił. Stary zdziwił się z początku, spostrzegłszy przed swą zagrodą tak cudne zjawisko; ale gdy obaczył za nią Edmunda i Michasia, domyślił się, jakiego gościa Pan Bóg mu zesłał. Postawił więc strzelbę, czekającego psa poskromił, i zbliżywszy się do bramy, którą otworzył, rzekł:

— Witam aśkę i proszę. Domyślam się, że jejność panne sędziankę mam honor mieć przed swoim progiem. Ale kiedy aśka raczyła, jako druga Penthesilea, albo owa sławna Tomiris przygłopolować po takiej drodze, to i pod dach mój wejdiesz i odpocząć pod nim raczysz.

I wzięwszy za cugle jej konia, wprowadził ją na podwórko, a gdy młodzi ludzie, wjechawszy tuż za nią, zeskoczyli z koni i rękę jej podawali, stary odsunął ich i rzekł:

— Pozwólcie no waście mnie: ja tu jestem gospodarzem.

I przystąpiwszy do ucieszonej Bronisi, zdjął ją z siodła, wziął na ręce, i gdy ona objęła jego szyję, zaniósł ją jak piórko po kamiennych schodkach, i na ganku postawił. Bronisia, wzruszona takim przyjęciem tego, o którego wstręcie do kobiet słyszała, którego w miłości swej dla Edmunda ogarniała już sercem, spojrzała na uśmiechającą się filuternie twarz starego z wdzięcznością, i wzięwszy prędko jego rękę, do ust ją przycisnęła.

— Hm! — pomyślał stary, wprowadzając do izby — nie życzyłbym żadnemu świętemu spotkać się z taką pokusą. Ale to musi być złote serce.

Tego przekonania nabył pan Maciej tém bardziej, gdy wrócił

z izby czeladnej, gdzie dla przyjęcia jęj robił dyspozycye, i zastał Bronisję już rozgoszczoną, siedzącą niedaleko od kominka w jego krzesle, a swojego psa tuż przy niej, trzymającego głowę na jęj kolanach i patrzącego jęj w oczy, jakby z wdzięcznością, że go głaskała i z uszami się jego bawiła.

— Już się, jak uważam — rzekł pan Maciej — mój faworyt poznał z asęką i zaprzyjaźnił. To dobry znak!

— Dla niego, czy dla mnie, panie Łaguno? — zapytała Bronisia z uśmiechem.

— Dla asęki, moja mościa dobrodziejko — odpowiedział pan Maciej — a szczególniej dla mnie. Pies z wielu cnót swoich notandus, oprócz tego, że jest symbolem wierności i wdzięczności, ale jeszcze ma taki instykt, że czuje, gdzie jest dobre serce i życzliwy dla pana jego afekt. Wtedy zaraz łasi się i przymila, jak nawzajem warczy, i schowawszy pod siebie ogon, odchodzi od takiego, kto zły, niemilosierny, lub względem pana jego zgubne ma zamiary. Musiałas asęka słyszeć o owym sławnym pojedynku psa z dworakiem, zabójcą jego pana, i którego zawsze warczeniem i szczekaniem oskarżał. Gdy dworak ów pozwany do sądu bronił się i zapierał, a pies na niego instygował, sąd z woli króla wydał wyrok, aby się z psem pojedynkował, od którego téż rozszarpany został. Wszystko to w sali królewskiego pałacu ad vivum malarska wyraziła sztuka, a Scaliger uczenie factum to opisał. Miłych zaś i życzliwych panu lub pani tak umieją psy poznawać, że jednemu z nich dowcipny rymotwórca, w mieście Peruzie, napisał nagrobek, który ja tylko waści panie, Łacinniku — dodał stary, obracając się z uśmiechem do Michasia — po łacinie powiedzieć mogę:

*Latrabam ad fures, sed amantum furta tacebam.  
Sic placui Domino, sic placui Dominae.*

Z tego tedy asęka widzisz — mówił dalej, patrząc na nią z upodobaniem tém większém, że od razu tyloletnią jego zasadę w niwecz obróciła — co ja dla siebie wróżyć mogę z tak nagłej dla asęki przyjaźni mojego pieska. Dajże mi asęka rękę na znak dobrej znajomości, gdyż on mnie uczy, że śmiało żądać mogę tego, co mi pewnie odmówioném nie będzie.

Bronisia wyciągnęła do niego obie ręce, a stary otulił je w swych twardych dłoniach, patrzył na nią z życzliwością, i przenikliwie rzucił nieznacznie wzrok na obu młodych ludzi, jakby chciał dojść, którego wybierze, i w oczach jego było wyraźne uszczęśliwienie.

Gdy odpocząwszy i posiliwszy się odjeżdżała, stary usadowił ją sam na siodle, otulił ją płaszczem, trzymał jęj konia, i tak sprowadził

ją po pochyłej drożynie aż na dół. Tam pożegnawszy i wskazawszy młodemu ludziom drogę krótszą i lepszą, niż ta, którą przyjechali, szepnął im :

— A pilnujcież mi jój wascie dobrze, bo miałbym was za cztery litery, gdyby się jój co złego stało.

Gdy wrócił do bramy swej zagrody, gdy stanął przy niej, poglądał jeszcze za odjeżdżającymi, a Bronisia mu się z daleka z uśmiechem kłaniała, on, przeniewierzając się swojej tyloletniej zasadzie, mówił sam do siebie, uśmiechając się pod wąsem :

— To jest skarb, nie dziewczyna, i jeśli taką była owa sławna królowa Zenobia, to się, mosanie, nie dziwuję wcale, że na pustyni wybudowała takie miasto, jak Palmira.

Na takich zajęciach, na rozrywkach tak prostych, pełnych poezyi, i umacniających jój ciało i duszę, przeszła Bronisi jesień i część zimy. Otoczona miłością i czcią tych wszystkich, którzy się do niej zbliżali, na których rozlewała urok piękności, dobroci i żywości rozumu i imaginacyi, była wesołą, zdrową i tak szczęśliwą, że co dzień każdy ranek witała z uśmiechem, jak się wita miłego towarzysza, który dobrą niesie wiadomość, każdy dzień żegnała z tym spokojem i ufnością, z jaką się żegna wiernego przyjaciela, który jutro powróci taki sam, jakim był wczora. Ale nie na ziemi nie może trwać w jednakowej mierze, bo życie jest ciągłym ruchem, a każdy ruch jest ustawiczną przemianą.

W połowie grudnia pani Mikoszevska odebrała list od brata, z którego widać było, że go pani Tomaszowa nie czytała. Serce ojcowskie przemawiało w nim tęsknięciem i głośnięciem, niż dawniej, w owych listach jakby oficjalnych, jakby obowiązkowych, które raz lub dwa razy na miesiąc pisywał do siostry i córki, a z których można było poznać, że przyjąłby Bronisję pod swój dach z ukontentowaniem, ale nie pragnął jój powrotu tak, jakby ojciec pragnąć powinien. W tym ostatnim czuć było, że obecność jój jest znowu potrzebą jego serca, że jest w nim zakątek, w którym dawna dla niej miłość tkwi ukryta i tajona. Między innymi były tam słowa następujące:—„Dotąd nie mogę zgadnąć, co ją tak odstręczyło od rodzicielskiego domu, że w żadnym liście jój nie widzę najmniejszego do niego tęsknoty, że jakby zapomniała o tém miejscu, gdzie się urodziła i wyrosła, gdzie ma ojca, który ją kocha, gdzie ten stary jój przyjaciel, który za nią tęskni, gdzie grób jój matki, który tak często odwiedzała. Nie używam mojej ojcowskiej władzy i nie rozkazuję jój powrócić, bo nigdy, od nikogo nie żądam tego, co zadaje gwałt jego woli, bom przywykł do posłuszeństwa z miłości, nawet od sług; — jakżeby mię mogło cieszyć posłuszeństwo z musu od mego własnego dziecka? Zresztą zagroziła mi w pierwszym liście swoim, że mię nie usłucha; wypadaj mi narażać ją i siebie

na taki krok, który mógłby zerwać, a przynajmniej naruszyć mocno ten słodki węzeł, jakim natura serca nasze spoila. Wolę więc czekać, aż się opamięta sama. Zakłęła mnie także, żebym nie wypytywał o powody tego nienaturalnego rozłączenia. Milczę więc, bo znam jej charakter, i wiem dobrze, że postanowiwszy sobie, iż mi nic nie powie, nie otworzy mi serca swego i nie przyzna się, dla czego mnie niepotrzebnie zasmuca. Ale z tobą, droga Anno, mogę w tej mierze pomówić otwarcie, prosząc cię, abys jej tego listu nie pokazywała, ale od siebie zbadawszy jej serce, doniosła mi co odkryjesz. Że na to jej postanowienie wpłynęła niechęć do mojej żony, w której nie sądzę, abys ją niesłusznemi uprzedzeniami umacniała, o tém nie wątpię. Jest to los każdej prawie macochy, i ciebie tylko Bóg wyjątkowo od tego nieszczęścia uchronił. Ale nie myślę, aby to był powód jedyny. Tyle lat przecież z nią przeżyła; Hieronima w ostatnich czasach nie zmieniła się dla niej ani na włos, i zawsze równe jej okazywała przywiązanie; mam nawet list od Bronisi, który do mnie pisała z Warszawy, i z którego widzę, że zaczynała otwierać oczy na cnoty mojej żony, i skłaniała ku niej swe serce. Musi więc być coś innego, co ją tak nagle zdecydowało. Przypatrz się dobrze, droga Anno, jej postępowaniu z Michasiem, i zbadaj jej dla niego uczucia. Wiem dobrze, że ona tego zacnego młodzieńca kocha serdecznie; ale zdawało mi się zawsze, że go kocha jak siostra. Być może, że przebywanie jej u ciebie, to życie ich tak oddzielone od świata, pod jednym dachem, te ich wspólne czytania, rozmowy, spacer, rozwinęły w sercu jej wcale inne uczucia. Bronisia ma już dziewiętnaście lat, jest w tym wieku, w którym kobieta dojrzewa, w którym serce jej o prawa swe głośniej i wymowniej dopominać się zaczyna. Jeżeli tak jest, jeżeli pokochała go tą serdeczną i wyłączną miłością, którą ja tak dobrze pojmuję, daj jej do zrozumienia, że powinna przyjechać, i mnie, który jestem najpierwszym jej przyjacielem, serce swe otworzyć. Przy tylu przymiotach, jakie ma, mógłbym spodziewać się dla niej i żądać party daleko świetniejszej według rozumienia świata. Odbierałem nawet i odbieram takie insynuacje, któreby mnie zupełnie zaspokoić mogły. Ale ja nie chcę nie stanowić o niej bez niej. Bóg mi dał niewysłowione szczęście, które płynie z serca, z miłości dla tej, którą wybrałem, i takiego samego dla córki mojej pragnę. Jeżeli więc i ona powzięła dla Michasia taką miłość, że rozerwanie jej rzuciłoby całun na całe jej życie, niech będzie szerszą, niech się nie lęka, abym jej nie rozumiał, niech dla tej obawy, abym nie pozwolił jej oczu rozkoszy widzenia go, nie unika ojcowskiego domu i nie wydziera się z ojcowskiego objęcia. Ja przycisnę do serca oboje, i pobłogosławię ich wspólnemu życiu, jeżeli Bóg tak chciał, łącząc z sobą ich dusze.“

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką radością przeczytała ten list ta za-



ena kobieta, której jedyną w terażniejszym jęj położeniu troską było to, aby brat nie pomyślał, że przytrzymuje jego córkę w celu, by przywiązanie Bronisi do jęj pasierba, którego kochała jak matka, roztlęło się do miłości, któraby innemu, świetniejszemu postanowieniu jęj na przeszkodzie stanąć mogła. Mając teraz w rękę wyraźne jego zezwolenie, sądziła, że może ośmielić Michasia do jawniejszego pokazania swych uczuć, które widziała dobrze, o których z nim mówiła tajemnie, zaklinając go przytęm, aby je w sobie pokonywał, i wprawiał się zawczasu do używania nad sobą tęj mocy, jaką go Bóg zapewne w tym celu obdarzył, że mu w stanowczęj chwili potrzebną i zbawienną być może. — Widzę ja to dobrze — mówiła mu — że ona cię kocha, może nie tak głęboło, jak ty do nięj jesteś przywiązany, ale zna całą twoją wartość, i wie, jakim byłoby jęj życie, gdyby je tobie oddała. Lecz widzisz to także, jakie jest jęj położenie, jaka zależność od woli ojca, na którego, niestety! wpływać nie mogę i nie chcę. Owszem, byłoby to dla mnie największe zmartwienie, gdybyś jęj przed czasem okazał swoje uczucia, gdyby je przyjęła, gdyby dla dogodzenia temu szczęściu, jakiego pragnienie obudziłbyś w jęj duszy, chciała się sprzeciwić ojcu, który zapewne dla nięj zupełnie inne ma zamiary. Zresztą, któz wie? może serce jego było za wami; ale czyż zdoła się oprzeć odradzaniom żony, która, choćby dla tęj przyczyny, że wie, jakby mnie tęm zmartwiła, sprzeciwi się waszemu szczęściu. A czyż nie wiesz, jak ona kieruje jego wolą?

Gdy główna ta obawa dziś znikła, pani Mikoszevska zawołała pasierba do swego pokoju i pokazała mu list brata. Uradowany Michaś upadł jęj do nóg, i oświadczywszy podziękowanie, że go dotąd powstrzymywała od otworzenia Bronisi swego serca, a zatęm, że go ochroniła od tęj boleści, jakąby uczuł, gdyby przekonawszy się o jęj wzajemności, przez ojca odepchniętym został, oddał się cały nadziejom, jakie miał, i uszczęśliwieniu, jakie z nich do piersi jego spływało. Ale z natury nieśmiały i niedowierający tym wszystkim oznakom przywiązania, jakie od nięj odbierał, prosił i zaklinał matkę, aby o tęm z Bronisią nie mówiła, aby jęj nie wspominała o treści ojcowskiego listu, aby mu pozwoliła jeszcze parę dni do zebrania myśli i sił, i do upatrzenia tęj chwili, w której odważy się sam dać jęj poznać, częm dla niego jest, i jak całe jego przyszłe życie od jęj słowa zależy.

Rzeczywiście, młody, uczony i kochający Michaś, który nie znał życia, tylko z ksiązek, który, każdy znak przychylności, każde poufalsze zbliżenie się panienki, traktującej go jako brata, każde w drobnych i codziennych okolicznościach przenoszenia go nad innych, brał za ten pociąg potęzny i wyłączny, jakiego sam doświadczał, mógł się ludzić i karmić nadziejami, które stały się istotą jego bytu, chociaż ich wyjawić nie śmiał. Bronisia witała go zawsze z serdecznym uśmiechem,

podawała mu rączkę z wdzięczną i czarującą poufałością, lubiła jego obecność, jego rozmowę, słuchała z wielką uwagą jego wykładów o życiu Grecyi i Rzymu, o prawach Solona i Likurga, o stanie kobiet u starożytnych, o obrzędach religijnych, o misteryach, o dębie Dodony, o Tomirach, kapłanach Jowisza dających tam wyrocznie, o świątyni w Delfach i ich prorokiniach, przepowiadających przyszłość z trójnoga. Ciekawość jej zachwycała młodego filcloga, i dawała mu tę słodką myśl, że ona dla jego miłości tak pokochała starożytność. Im głębszą, im bardziej ogarniającą całe jej istnienie, była jej miłość dla Edmunda, tém staranniej ukrywała ją przed ciotką i przed Michaśm. Gdy więc Edmund był obecnym, gdy czoło jego wyjaśniało się pod jej okiem, gdy głos jego nabierał jakiegoś serdecznego brzmienia, gdy czasem dostrzegła w jego oku, że ją przenikającym duszę ogarnia spojrzeniem, im bardziej rwało się jej serce do pięknego młodego człowieka, którego zajęcie widziała, tém wyraźniej Michaś we wszystkim odbierał od niej pierwszeństwo. Do niego się zwracała o potwierdzenie swego zdania, gdy jej Edmund przeczył; jego prosiła o te drobne przysługi, któremi kochająca kobieta wie, jak uszczęśliwia mężczyznę; gdy szli razem na spacer, jemu zawsze podawała rękę; w dalszych przejażdżkach konno, gdy się zdarzyło jakie miejsce przykre, nie Edmunda, ale Michaśia wzywała na ratunek; gdy ją, lub konia co przestraszyło, do niego się zbliżała, pod jego się oddawała opiekę. Wszystko robiło się przez tę naturalną wstydlivość serca, które boi się zdradzać swą tajemnicę, gdy od niej życie i ruch tegoż serca zależy. Nie można więc ani jej obwiniać, że tym sposobem oszukiwała niedoświadczonego młodzieńca, ani jego, że się temi pozorami dał oszukać, że prawdziwego stanu jej duszy nie przeniknął, że go nawet zazdrość nie oświeciła. bo w Edmundzie widział tylko przyjaciela, więcej swego, niż jej; bo go miał za powiernika swych serdecznych tęsknot, z któremi się także przed jej okiem ukrywał; bo znajdował w nim tylko współczucie, tylko radę, tylko pociechę, a w postępowaniu jego, pełném, prawda, życzliwości dla Bronisi, nie dostrzegł biedny Michaś nic, oprócz powagi, i zwyczajnej, a nawet powściągliwej grzeczności.

Przez parę dni po owym liście pana Tomasza, Michaś był jakiś rozmarzony, zamysłony, mało mówiący, i nawet unikał Bronisi, którą ten stan jego zastanowił, że, aż sobie z niego żartowała, a nawet go połajała. Trzeciego dnia, zaraz po obiedzie, Michaś pojechał do Kielec, a żegnając się z nią, miał łzy w oczach, przycisnął jej rękę do serca, i drżącym głosem wymówiwszy:

— Bądź zdrowa, panno Bronisławo! obym cię mógł jak najprędzej powitać! — wybiegł z pokoju, rzucił się na sanki przygotowane i przedko pojechał. Bronisię zdziwiło to, ale że pani Mikoszevska dla bólu

głowy nie wychodziła wcale, i od południa położyła się, nie chciała jej przerywać odpoczynku pytaniami, i usiadła sama jedna w pokoju bawialnym z książką w ręku. Z początku myślała o biednym Michasiu i dochodziła, jakiby mógł być powód jego wzruszenia; ale wkrótce, zapatrzwszy się na ogień płonący na kominku, zupełnie o czém innym marzyć zaczęła. W imaginacyi jej odrysowała się piękna postać Edmunda, jego szlachetne poruszenia, jego czoło tak pełne myśli, i twarz, w której było tyle śladów namiętności minionych, prawie zagasłych, a jednak migających czasem silnym, choć chwilowym połyskiem, gdy na nią patrzył, i gdy widział, że ani ona, ani żadne obce oko tego nie uważa. Czy on mnie kocha? myślała, czy on mnie rozumie? czy postrzegł to od pierwszej rozmowy naszej, że mu serce moje oddało się bezwarunkowo, że on tylko jeden obudził je ze snu dzieciństwa i przestrzenie życia przed nim otworzył?... I wtedy przypominała sobie jego słowa w różnych chwilach wyrzeczone, tłumaczyła je według swjej chęci i swych nadziei, znajdowała w nich to ciepło, które płynie z gorącego serca, widziała rozmaite alluzye do jego stanu, do jego przeszłości, a zatém do téj przepaści, co ich rozdziela, i temu uczuciu zwątpienia, niepewności i trwogi, aby słowem wyraźnym nie rozbiły się czary, któremi się ludził, przypisywała, że postępowanie jego z nią było tak oględne, tak powściągliwe, a słowa jego tak niewyraźne, i tak z daleka tylko jego uczucia tłumaczące. Wdzięczna mu była poniekąd, że tak panował nad sobą, że się ten związek tajemny ich myśli i serc nie wydaje, że nawet ciotka i Michaś niczego się nie domyślają, bo się zawsze spodziewała, że ojciec zatęskni za nią, że przyjedzie ją odwiedzić, że pozna Edmunda, że on go pewnie ujmie i oczaruje, tak jak ją i ciotkę i Michasia ujął i oczarował, że ona wtedy otworzy ojcu swoje serce i zaklnie go, aby szczęścia jej życia marnemi względami świata nie niweczył.

Gdy Bronisia takim oddawała się marzeniom, na dworze tymczasem szumiał wicher, śnieg wił się po dziedzińcu i sypał się na okna, okiennice stukwały, ogień płonął z trzaskiem i z głuchym jęczeniem podnosił dym do komina. Stan ten atmosfery i samotność, co ją otaczała, napełniły ją smutkiem, i jakieś zwątpienie wlało się do jej serca. Zaczęła ją boleć ta ciągła powaga Edmunda, rzadkie jego odwiedziny, unikanie staranne samotnej z nią rozmowy. Przypomniła sobie, że nie tylko nie ucieszył się tém prawie jawném wyznaniem miłości, które mu dała, odwiedzając jego wuja, i tyle starcówi temu okazując przywiązania, ale owszem zaszepiony był i jakby niekontent, całą drogę napowrót prawie nie do niej nie mówił, a od tego czasu już prawie dwa tygodnie, nie pokazał się wcale. Na to wspomnienie ścisnęło się jej serce, i lzy zalały jej lice. Zakrywszy więc oczy chusteczką, i cisnąc ją do twarzy obiema rękami, siedziała tak przez chwilę.

Wtedy usłyszawszy, że drzwi skrzypnęły, odjęła chustkę, i spostrzegła stojącego przy drzwiach Edmunda, z zamysłoném czołem, z wytężonym na nią wzrokiem. Widok ten zmięszał ją niezmiernie. Twarz okryła się rumieńcem, a serce jój tak się zalekło, że uczucia podobnej trwogi nigdy jeszcze w życiu swém nie doznawała. Zdawało się jój, że ta chwila rozstrzygnie jej przyszłość, że każde słowo, które jój powie, odbije się w całym jój życiu, i przypominać będzie ten moment, którego tak mocno pragnęła, a który dziś odsunąćby chciała daleko. W tej myśli utwierdziło ją i to, że twarz Edmunda była bledszą niż zwykle, że stał nieporuszony przy progu, i niespokojnie oglądał się po pokoju, jakby szukał kogoś, coby był świadkiem ich powitania i rozmowy. Bronisia przemogła w sobie to pierwsze wrażenie, spojrziała na niego wzrokiem, w którym się cała jój odmalowała dusza, i uśmiechając się słodko i melancholicznie, rzekła:

— Dziwisz się pan zapewne, że tak siedzę sama, i medytuję przy ogniu. Ciocia chora i położyła się, Michaś pojechał do Kiele, a na dworze tak jakoś straszno, że można się zasmucić i rozmarzać. Chodź pan, usiądź i ogrzej się. Tém bardziej dziś zasłużyłeś pan na serdeczne przyjęcie.

— Nie sądzę — rzekł Edmund siadając — aby to był taki smutek, który boli. Ten przychodzi nam jedynie od ludzi. Zasepiona natura daje tylko zamyslenie, nie zawsze przykre.

— Zapewne — odpowiedziała Bronisia — czasem nawet miłe, rozkoszne zamyslenie. Ciągłe słońce przykrzy się niekiedy, jak ciągła pomysłność. Chce się czasem burzy, jak się chce łez. Ale wtedy przynajmniej człowiek wie, że go słońce znudziło, że mu się śmicch uprzykrzył. Są chwile gorsze, są takie, w których serce rozkaprysi się, jak dziecko rozpieszczone, pragnie, samo nie wie czego, wyszukuje sobie preteksta żeby się mazać, występuje z pretensjami i wymówkami do wszystkiego, co je otacza. Otóż i ja w takim byłam usposobieniu. Miałam żal do cioci, że ją głowa rozbolała, do Michasia, że pojechał, do wiatru, że szumiał, do śniegu, że zasypywał okna, nawet do tego ognia, że trząskał, grzał mię i niby starał się pocieszyć.

— To bardzo żałuję — rzekł Edmund, patrząc na nią ze współczuciem, jakby czytał w jój sercu — żem trafił na taką chwilę. Boję się i sam...

— Abym i do pana nie miała żalu, żeś taką złą chwilę przerwał — rzekła z uśmiechem, a potem wyciągając do niego rękę, którą on z uszanowaniem ujął i lekko uściśnił, z wyrazem miłości, którego utaić nie mogła, dodała: — O nie, nie! Tego się pan nie bój. Mogłażbym być niewdzięczna, żeś pan sobie nas po całych dwóch tygodniach przypomniał, i jeszcze w takim momencie?

— Widzi pani, żem także nie uniknął wymówki — odpowiedział

Edmund. — Ale chociaż za tę, jaką odbieram w tej chwili, dziękować mi tylko wypada, ja jednak chciałbym się usprawiedliwić. Całe te dwa tygodnie przepędziłem na walce z sobą, na walce ciężkiej, która mnie zanadto zajmowała, abym mógł być gościem jakkolwiek znośnym. Jestem tego przekonania, że gdy taka chwila przychodzi, nie godzi się pokazywać zasępionego czoła przyjaciołom swoim, i zajmować ich sobą wtedy, gdy się troską swą podzielić z nimi nie można. Taki stan wymaga samotności, gdy myśl najprędzej dojrzewa i serce wahać się przestaje.

— Czy ta walka już minęła? — zapytała Bronisia ze drżeniem.

— Przeszła w postanowienie i skończyła się — odpowiedział Edmund, i twarz jego mocno pobladła.

— Toż przynajmniejś tym postanowieniem — mówiła mocniej i jakby z niecierpliwością — jako rzeczą obmyślaną i już dojrzałą, możesz się pan z przyjaciółmi swemi podzielić.

— Byłoby to nawet z mojej strony niewdzięcznością za doznane współczucie, gdybyin postąpił inaczej — odpowiedział. — Tym bardziej, że Bóg wie, kiedy się z nimi obaczę, i czy się obaczę kiedykolwiek.

— Jako? — zawołała przestraszona — pan chciałbyś się ztąd oddalić!

— Przeżyłem już dużo na świecie kolei — mówił Edmund, jakby nie uważał wrażenia, jakie poprzednie słowa jego na nią zrobiły — doznałem wiele zawodów: za kroplę słodyczy, którą mi życie poczęstowało, musiałem wiele gorzkich wychylić kieliszków; straciłem wszystkie złudzenia, i świat, z temi kołami i kółkami, które w nim turkoczą, wydał mi się warsztatem, gdzie w połowie trzeźwi, a w połowie pijani rzemieślnicy, śpiewając i płacząc, szamocząc się i wrzeszcząc, wyrabiają... cacka dla dzieci! Widok ten odstręczył mnie, uciekłem od niego, uczułem potrzebę samotności, i Bóg mi zdarzył zakąt, gdzie mogł z czoła obetrzeć ten nieużyteczny pot, jaki i mnie oblewał, strzepnąć z odzieży swej tę kurzawę, jaką ją czyzy ten zakręt obsypał, i dać wypoczynek sercu, które bolało, i głowie, która chciała rozpatrzyć się spokojnie w świecie, swojej własnej kreacyi. Dobrze mi było z początku z tą piękną naturą, co się codzień nowemi stroiła wdziękami, żeby się spodobać temu, co się w niej rozmiłowywać zaczynał; odżyłem pod okiem tego starca, który mnie serdecznie pokochał, i który, jak mi się zdawało, odkrył sekret szczęścia i pokoju na ziemi; towarzystwo pana Michała, życzliwość jego matki, a nade wszystko przyjaźń pani... bo czemuż nie mam tej serdecznej dobroci jaką mi okazujesz, właściwem nazwać nazwiskiem?... dały dziwny urok, memu życiu i prawie szczęśliwym mnie uczyniły. A jednak postrzegłem, że tak długo być nie może, że na wypoczynek trzeba użytecz-

ném zasłużyć życiem, lub do niego przywyknąć od młodości; poczułem w sobie siły, które nie zgasły we mnie, wraz ze złudzeniami lepszego wieku, które w trzydziestym roku życia spętać się nie dają, rwą się do ruchu i do działania, i ciągną mnie napowrót w ten odnęt, z którego wyszedłem przed czasem, poraniony wprawdzie, ale widać jeszcze nie tyle, abym do dalszego boju zdatnym być nie mógł. To był właśnie przedmiot mojej dwutygodniowej walki, i teraz chcę uskutecznić postanowienie, które mi natchnęła.

— I cóż pan postanowił? — zapytała Bronisia, cichym głosem i blada jak ściana.

— Postanowiłem wyrzec się przyjaźni waszej, wyrwać się z objęcia starca, który mnie może łąz żalu pożegna, i pójść szukać tego stanowiska, gdzie zapewne ostatnią odbiorę ranę—rzekł Edmund smutno.

— Pojmuję ja — odpowiedziała Bronisia, mocując się z sobą — że w wieku pana, przy zdolnościach jakie masz, mogło ci przyjść podobne postanowienie. Ale w takich okolicznościach, w jakich się znajdujesz, możesz-że je sumiennie uskutecznić?

— Sumiennie? — zapytał Edmund.

— Tak, sumiennie — odpowiedziała mocniej. — Człowiek z takim doświadczeniem, jak pan, musi to wiedzieć i czuć, czém się stał dla tych, którzyci porzuca. A jakkolwiek silna pędzi go żądza, jakkolwiek głośno może nawet przemawiać jego przekonanie, że inaczej powinien użyć sił, jakie Bóg złożył w jego łonie, czyż nie głośniejsz odezwie się w nim uczucie, które nie sądzę, aby mimo wszystkich zawodów, jakich doznał, mogło zamrzeć zupełnie, że złamie serce, które odmłodził swoją obecnością, które przyczył do téj słodkiej nadziei, że pod jego ręką zastygnie i stanie?

— Pani mówisz o moim wuju?—rzekł Edmund, patrząc jej w oczy.

— Mówię o wuju pana — odpowiedziała z mocą, i czerwieniąc się od wstydu i prawie od gniewu, że jej nie rozumie, czy rozumieć nie chce — o tym zacnym starcu, który pana tak pokochał, którego oduczyłeś od téj samotności, do jakiej był nawykł; któremu nie możesz bez grzechu narzucić znowu téj pustki, którą już kochać przestał.

— Zapewne, byłby to wzgląd bardzo ważny, gdyby nie było ważniejszych, które mnie zmagają—rzekł Edmund, spuszczaając oczy. — Wiem o tém, że starzec ten pokochał mnie, że mnie żałować będzie. Ale pierś jego zanadto mężka, aby mnie nie pojęła, a serce zanadto zahartowane, aby się złamało. Tego się nie lękam.

— O! muszą te względy być bardzo ważne — mówiła Bronisia rozżalonym głosem — kiedy nie dają panu widzieć i tego, że może być i inne jeszcze serce, które nie jest tak zahartowane, jak serce tego starca.

— Bóg widzi, że tego nie chciałem, i byłbym bardzo nieszczęśliwym, gdyby tak było istotnie — mówił Edmund ze wzruszeniem.

— Nieszczęśliwym? dla czego? — zapytała Bronisia, wpatrzywszy się w jego twarz, która jeszcze mocniej pobraźla.

— Bo musiałbym i to serce złamać — odpowiedział stanowczo.

— Pan? człowiek uczciwy? — zawołała powstając.

— Właśnie dla tego, że człowiek uczciwy — odpowiedział, powstawszy także — że nie mogę oszukiwać serca, któreby mnie pokochało bez mojego przyczynienia się, mimo wszelkich usiłowań, aby i to serce i moje uniknęło klęski, którą nam resztę dni zatruc musiała.

— Jesteś więc pan związany gdzie indziej? — zapytała, patrząc mu w oczy.

— Jestem związany moją przeszłością — odpowiedział z mocą — mojem poniżeniem, mojami nałogami, moim stanem wewnętrznym. Tej istocie pięknej, niewinnej i wierzącej, która wiem, żeby miała dość odwagi oddać mi dni swoje, mimo wszystkie względy świata, nie mógłbym odplacić takim szczęściem, jakiego od niej odbierałem. Nie mówię o tym, że byłem waleśającym się po świecie komediantem. Stan ten może być nieszczęściem, lecz hańbą nie jest. Ale najlepsze lata młodości mojej przeszły mi w rozpucie i w pijaństwie; odrzucony od społeczności ludzkiej, walałem się po rynsztokach życia, i przywykłem pić rozkosz z kałuży. Mógłbym bez obrazy Boga i ludzi, nachylić się do czystego źródła, aby go usta moje skalaly? Nigdy, za nic! Raz, zdawało mi się, że mnie miłość prawdziwa i święta uratuje, że mnie z grzechów mych obmyje promień tego oka, które anielską objawiało duszę. Kołysany tą nadzieją, ciągniony powabem, któremu nie opierałem się wcale, bo mi się zdawał drogą do zbawienia, pokochałem głęboko, na całe życie, i niestety! nie postrzegłem się, jak w sercu mém zajął się daremny płomień, który je tylko wypalił ze szczętem.

— Pan kochałeś moją macochę! — rzekła Bronisia, patrząc na niego z politowaniem.

— Mogęż teraz — odpowiedział prędko — wpośród popiołów, jakie ta miłość zostawiła w mojem sercu, gdzie już nie ma ani młodości, ani życia, gdzie tkwi tylko twarz tamtej, co mnie oszukała, umieścić niewinne oblicze tej, coby mi się oddała z zaufaniem i wiarą, że ona tylko w duszy mej panować będzie? Byłbym niegodziwym oszustem, gdybym się na coś podobnego odważył.

— A gdyby ta wierząca, nieszczęśliwa istota, o której pan mówisz — rzekła Bronisia, przystępując ze drżeniem — powiedziała panu: przyjmuję cię z całą twą przeszłością, odżywię technieniem miłości mej zagasłe twoje serce? Cóżbyś pan jej na to odpowiedział?

— Odpowiedziałbym jej to: — rzekł Edmund wzruszony. — Masz przy boku swym serce równie młode, jak twoje, równie czyste i dźwięczne, jak twoje, które oprócz Boga i ciebie, nie w życiu swém nie kochało. To serce godne jest twojego, a nie moje. Jemu się oddaj. Połóż zbolalą głowę na tej wiernej piersi, a obaczysz, że ci ztamtąd spłynie ulga i uspokojenie. Miłość cicha i głęboka, szlachetnego młodzieńca, którego rozumić nie chciałaś, da ci z czasem szczęście, na które zasługujesz... O mnie zapomnij!

Bronisia potarła ręką czoło, przeszła się po pokoju, potem, wróciwszy do stojącego Edmunda, patrzyła długo na jego twarz piękną, wyrażającą wielką boleść, i łzy płynęły po bladym jej licu strumieniem. Edmund złożył ręce i przeniknionym głosem rzekł:

— O! nie mnie obwiniaj pani o tę boleść, jaką ci ta chwila daje. Przez cześć dla twojej niewinności, twojego wieku, twojej piękności i tej dobroci, jaką masz dla mnie, winienem ci być prawdę. Teraz znasz mnie i pojmujesz to, że poświęcenia twego przyjąć nie mogę, że cię muszę pożegnać, i pożegnać na zawsze.

— Jedź pan — rzekła po chwili Bronisia, podając mu rękę, którą on trzymał w swojej dłoni, ale do ust przycisnąć nie śmiał. — Zapewne, powinniśmy się rozstać na zawsze. Jeżeli to panu przyda się na co, i może ci być pociechą, to powiem ci na wieczne pożegnanie: Bądź zdrow! kochałam cię, a teraz szacuję cię i złorzeczyć ci nie będę.

To powiedziawszy poszła, tłumiąc w sobie łkanie, które piersi jej rozrywało.

Gdy po niejakiem czasie obejrzała się po swoim pokoju, spostrzegła na biurku swém spory zapieczętowany pakiet. Adres był do niej, do rąk własnych; charakter Michasia. Bronisia rozpieczętowała go i znalazła dwa listy. Jeden od ojca do ciotki, który już znany, a drugi od Michasia do niej.

List jego zaczynał się od tych słów:

„Com ci powinien był, najdroższa Bronisiu, w kilku powiedzielić słowach, trzymając przy sercu twoją rękę i patrząc ci w oczy, abys w moich wyczytała to, czego by niedołączne te słowa domówić nie zdołały, to piszę ze drzeniem, i zimnej karcie powierzam gorące moje uczucia, ściskam w wyrazy całą nieskończoną rozległość tej prośby, od której kierunek całego życia mego zależeć będzie. Daruj mi to, Bronisiu, i nie dziw się temu wcale. Szczęście, jakiego się od ciebie domagam, jest zanadto wielkie, kocham cię zanadto głęboko, abym cię narażał na widok tego bólu, jakibyś spostrzegła w mojej twarzy, gdybym z ust twych usłyszał to, czego się nie spodziewam, gdybyś musiała rozwalić tę cudną budowę moich marzeń i nadziei, którą od lat tylu cicho i cierpliwie w duszy mej nosiłem. Dla tego nie odważy-



łem się nawet listu mego oddać ci sam, zostawiłem go tylko, aby dziś ręk twoich doszedł, i jutro w Kielcach czekać będę na twoją odpowiedź, co jak gwiazda wynurzająca się z nocy, która mnie dziś otacza, drogę mi moję ukaże. O! nie zwlekaj jęj, dobra, szlachetna, droga moja Bronisiu! bo serce moje drży, bo czas, przez który ten głos zbawienia oczekiwać będę, rozłożył się na pojedyncze uderzenia mych pulsów i daje mi uczuć każdą swą sekundę.“

Potém Michaś w tkliwych i poetycznych obrazach wywoływał wspomnienia dzieciennego jęj wieku, tego przywiązania, jakie w nięj widział, tęg ufności, która go czyniła tak szczęśliwym. Mówił jęj o sobie, o swęj młodości, o rozwijaniu się jego uczuć w miarę lat, w miarę dojrzewania jego duszy, w miarę rozszerzenia się horyzontu jego myśli, który cały, w nieograniczonęj jego przestrzeni, obrazem jęj zaludniał. Dalęj kreslił jęj swój stan, swoje wrażenia; gdy ją ujrzał dojrzał, tak silną duchem i myślą, a jednak z taką miłością schodzącą do niego z tęg wysokiej drogi, po któręj szła, i po któręj tak mu było słodko iść za nią. Opisawszy szczęście swe, jakiego wówczas kosztował, i tęg bojaźń, aby zażądaniem wyższego uszczęśliwienia nie odsunął od siebie tęg rozkoszy, jaką mu dawały jęj widok, jęj obchodzenie się z nim i wszystkie znaki jęj przywiązania, starał się dać jęj poznać, jak wielkiej mu potrzeba było siły, aby się utaić z prawdziwym stanem swęj duszy, aby nie obrazić jęj ojca, który miał wszelkie prawo do daleko świetniejszych, według świata, dla córki swęj widoków. Te same powody powstrzymywały go i tu, w domu jego matki, gdzie ręka Opatrzności sprowadziła ją. aby tęg bliżęj, tęg ściślej dusze się ich połączyły. Potém mówił jęj o tajemnych cierpieniach swych, jakie mu dawało z początku jęj obchodzenie się z Edmudem, póki się nie przekonał, że ma w nim przyjaciela a nie współzawodnika, póki ona każdym niemal ruchem i słowem nie dała mu poznać, że dla tamtego ma tylko życzliwość przyjaciółki, a sercem i myślą skłania się ku niemu. Nakoniec prosił ją, aby przeczytała list ojca, który odjął mu te obawy, jakie dawnięj usta jego krępowały, i po którego przeczytaniu wyrwywają się już głośno z jego serca te słowa:— czezę cię i kocham, bądź moją, Bronisiu!“

Biedny Michaś, długo się zbierał z wyjawieniem swych uczuć, i wybrał się w takięj chwili, kiedy dusza jęj była rozdarta, kiedy do wysłuchania tęg prosby, jaką do nięj zanosił, najmnięj była usposobioną. Bo są ludzie z głową i z sercem, którym nic nie brakuje, prócz odwagi odezwania się w porę. Jakkolwiek jednak niewczesnemi były te wynurzenia miłości, powziętęj w dzieciństwie, karmionęj tak cicho i wytrwale, widać jednak, jak jęj był miłym skromny ten i światły towarzysz igraszek, jęj dojrzałych zabaw i uczeńszych rozrywek, kiedy długi jego list czytała z największą uwagą, z wyra-

zem serdecznego współczucia, a ostatnie jego słowa bolesnemi oblała łzami. Słowa te były następujące:

„Bądź więc zdrowa, moja najdroższa Bronisiu, i daruj, zem cię w całym ciągu tego listu nazywał tak, jak cię nazywałem wtedy, gdyśmy oboje byli dziećmi, gdym cię tak serdecznie pokochał. W imieniu twém, gdy je tak wynawiam, brzmia wszystkie echa, jakie dolatują do mnie z najlepszych chwil mego życia. Z drogiém tém imieniem w sercu wzrastałem, słyszałem je w każdym głosie, który mnie zajmował i uczył, czy w wielkiej pieśni natury, czy w tych odgłosach potężnych, jakimi wieki upłynione do piersi naszej przemawiają. Z niém pójdę i dalej w życiu, i póki serce moje uderzać nie przestanie, imię to będzie stróżem jego czystości, będzie tą słodką nutą, która brzmi w niém zawsze jako pociecha i umocnienie, gdy przyjdzie ciężka chwila, która mi wszelkiej innéj pociechy odmówi.“

Bronisia, która sama takiej właśnie doznawała chwili, odczytawszy list ojca, i ucałowawszy to miejsce, w którém poczuła odgłos jego miłości, usiadła, i bez wahania się i namysłu, prędko i jednym pociągiem pióra, następującą Michasiowi przesłała odpowiedź:

„Drogi mój, biedny Michasiu! na twój list, który mi przyniósł tyle pociechy i sprawił tyle bólu, w kilku tyłku odpisuję słowach. Powiedzą ci one wszystko i powiedzą prędko, abys nie czekał, bo wiem, że w położeniu twém byłoby to największą męczarnią. Bóg połączył nasze dusze, to prawda, mój drogi Michasiu, ale nie połączył ich tak, jak rozumiałeś, jak się ludziłeś. Ten sam Bóg, który nas tak blisko siebie postawił, a niejednakowo usposobił, widzi to, i świadczą się nim śmiało, że złudzenie to nie z mojej pochodzi winy. Gdym była dzieckiem, kochałam cię jak brata, i dziś miłość moja dla ciebie nie stała się inszą. Słowo to może rozbić twoje nadzieje: ale mogęż kłamać przed tobą, któryś w sieroctwie mém stał się jedynym przytulkiem mojej duszy, który dziś, gdyśmy dojrzeli oboje, nie przestał byś moim najmiłszym bratem, moim jedynym przyjacielem, którego myśl moja stawia tak wysoko, a serce tak czei i szacuje? Ale, o mój drogi Michasiu, to złamane dziś serce nie może się oddać nikomu, tylko Bogu. Jeżeli więc przyjmiesz mię taką, jaką jestem, ciałem na ziemi, duszą i myślą w niebie; jeżeli chcesz być moim opiekunem i przyjacielem, i wodzić mnie ślepą i niemą po drogach życia, przyjeżdżaj i zaprowadź mnie przed ołtarz. Tam stanę z tobą bez wahania się, przysięgnę ci wiarę, której dotrzymam do śmierci, i miłość... ale miłość siostry, mój drogi Michasiu, która ci wystarczy, tobie, coś tak szlachetny, tak wspaniały, który od biednego serca mego innéj żądać nie będziesz, bo ci jéj dać nie może.“

Na ten list, odebrała Bronisia drugiego dnia te słów kilka:

„Bądź zdrowa, Bronisiu! Żegnaj cię na zawsze, moja najmiłsza

siostró! Domyslałam się teraz, co serce twoje złamało, i nie obwiniam cię bynajmniej. Wskazałaś mi moją drogę, pójdę więc nią, pójdę się usposobić tak, bym mógł skuteczniej zanosić modły do Boga, aby nam obojgu, póki tu na ziemi być nam rozkaże, zesłał pociechę i umocnienie. Tam, gdzie się obaczymy, wszystkie miłości zlewają się w jedną, świętą i nieskończoną, i tam nie będzie tej różnicy, która nas tu rozdzieliła.“

W tym samym czasie, kiedy Bronisia przez tak ciężką przeszła chwilę, która, równie jak śmierć, raz tylko w życiu uderza, gdyż rzeczywiście jest śmiercią wszystkich nadziei i złudzeń młodego serca, pani Tomaszowa, osądziwszy, że czas już dać poznać mężowi, jaki jest właśnie powód, który skłonił Bronisję do opuszczenia rodzicielskiego domu, i stale zatrzymuje ją u ciotki, weszła do męża z listem pana Seweryna Taczyńskiego, zawierającym mniej więcej szczegółowe całe curriculum vitae Edmunda, rozumie się, prócz tego epizodu, w którym ona sama tak ważną odegrała rolę. List ten ułożony był z notat, wyciągniętych przez nią z dziennika Edmunda, z wiadomości jakie miała, śledząc sekretnie terażniejsze jego życie i stosunki z domem pani Mikoszewskiej, i tego wszystkiego, co o życiu jego aktorskiem i o jego namiętnościach, nałogach i obyczajach, dowiedział się pan Seweryn od pana Dyonizego, którego nazwisko pani Tomaszowa od owiej sceny w Kielcach dobrze zapamiętała, i prosiła stryja, aby się z nim koniecznie skomunikował. Widziała ona dobrze jeszcze w Warszawie to oczarowanie, jakiemu biedna Bronisia uległa, i wyrachowawszy natychmiast, jakie ztąd wyciągnąć się dadzą konsekwencje, jak łatwo oburzyć będzie przeciwko niej serce ojca, który w żaden sposób nie mógłby na to pozwolić, aby jego córka przeszła w takie ręce, nie tylko nie ostrzegła Bronisi, ale owszem, kontenta, że Edmund traktował ją tak, jakby jej nie znał, pomagała biednemu sercu pasierbicy swęj, do silniejszego zaplątania się. W rozmowach swych z Karolem, któremi, jakżeśmy widzieli, umyślnie zajęta była pilniej, aby młodym ludziom zostawić czas swobodnego nagadania się z sobą, dowiedziawszy się o przebywaniu Edmunda tak blisko siostry jej męża, nietylko nie wzbraniała Bronisi oddalić się z ojcowskiego domu, ale owszem, całym swym wpływem do tego jej dopomogła. Gdy tak wszystko według jej życzenia ułożyło się i zbliżało ją do celu, którym było wyrugowanie córki z ojcowskiego serca, czekała przez kilka miesięcy cierpliwie, udając nieraz, że zachodzi w głowę, co może mieć za powód Bronisia, że tak stale od domu ojcowskiego stroni. Pan Tomasz, w skutek takich rozmów z żoną, i przeniknięty widokiem jej smutku i zmartwienia, napisał ów list do siostry, który przypieszył zozwiązanie zagadki, jaka nad życiem córki jego ciążyła.

Wkrótce po wyprawieniu pomienionego listu pana Tomasza, odebrała

Hieronima od stryja uwiadomienie, że, ile miarkuje z rozmów z jurystami, akt ten, który czyni Bronisję dziedziczką całego majątku, przekreślić się nie da, że zatem inną potrzebą szukać drogi, aby podział fortuny pomiędzy dziećmi zrobić równiejszym. — Jako kobieta rozumna — mówił pan Seweryn przy końcu swęj korespondencyi — i mająca w ręku serce twego męża, który mimo całego rozumu i przymiotów, jakie ma, *est un grand imbécile*, potrafisz zapewne wyciągnąć jakiś rezultat z drugiego listu mego, który ci tu osobno na żądanie twe przyłączam, a w którym z notat, jakie mi dałaś, z wiadomości, jakie powziąłem od pana Dyonizego, dodawszy jeszcze dla twojego dobra, *toute ingrate que vous êtes*, niektóre rzeczy mojęj własnej inwencyi, zamknąłem cały żywot tego bohatera, od którego obroniłem cię kiedyś, abys równie mnie, jak i jego, jak i wszystkich, *qui ont la bêtise de vous trouver charmante*, wystrychnęła na dudka. Użyj-że tego listu, jak rozumiesz, a jeśli ci się powiedzie, przypomnij sobie, *que je ne renonce pas à la récompense, que vous me devez.*“

Otóż z tym to listem w ręku, pani Tomaszowa przystąpiła do wielkiego i dawno obmyślanego dzieła. Gdy weszła do męża, miała twarz zalterowaną, oczy czerwone, jakby od płaczu. Już ten widok przeraził pana Tomasza, a gdy list cały przeczytał, zakłamał ręce i zawołał:

— Toż prawdziwe nieszczęście! z takim uporem dziewczyna! — i powstawszy, i chodząc po pokoju pełen trwogi i ciężkiego bólu, powtarzał po kilka razy: — Niechże Bóg odwróci odemnie tę klęskę!

Gdy przebiegł znowu fatalne to pismo i spojrział na żonę, której twarz wyrażała głęboki smutek i serdeczne współczucie nad tak wielkiem cierpieniem męża, przycisnęła ją do siebie, pocałował w czoło i rzekł:

— Biedaczko! jak ty podzielasz tę boleść, która mnie tak niespodziewanie dotknęła!

— Ale jak niespodziewanie! — zawołała Hieronima, składając ręce i kiwając głową.

— Gdzież go ona u Boga poznać mogła? — zapytał pan Tomasz — czy u mojęj siostry? O nigdy jęj tego nie daruję, że na to pozwoliła, aby człowiek taki zbliżył się do jęj domu i do mojęj córki. Grzeszna to doprawdy niedbałość, za którą odpowiedź przed Bogiem.

— Tęm grzesniejsza, mój mężu — odpowiedziała pani Tomaszowa — że to człowiek powabnej powierzchowności, z pięknym głosem i zapewne z rozumem, co już z jego sposobu tłómaczenia się i gry widać było. Bo patrz, kochany Tomasz, z tych słów mojego stryja wnoszę, że to jest niezawodnie ten sam, któregośmy w Kielcach widzieli na owęj sztuce, której skończyć nie mógł.

— Tęm gorzej, jeżeli to ten — rzekł pan Tomasz. — Biedne

moje dziecko!... Ale ja nie pozwolę na to, aby się tak zmarnowało. Jadę natychmiast.

— Słuchaj, mój drogi mężu — rzekła Hieronima — przekonałeś się, że nie zawsze rada moja była zła. Boję się, abyś obecnością swoją nie pogorszył stanu rzeczy. Szczególnie boję się tego, aby cię zanadto nie dotknęło, jeżeli Bronisia uprze się i wrócić do domu nie zechce.

— To ją osadzę w klasztorze — rzekł pan Tomasz — a tam nie zostawię jej za nic.

Pani Tomaszowa odetchnęła, jak człowiek, który po długiej podróży obaczy się wreszcie na tym gruncie, do którego tak usilnie i z takim trudem zmierzał. Westchnąwszy więc pobożnie, rzekła:

— Niestety! widzę ja sama, że będziesz musiał przyjść do tej ostateczności. Ale nie lepiej-że spróbować pierwój, czy samo zagrożenie jej tym okrutnym środkiem, gdyby nie usłuchała surowego głosu perswazyi, nie będzie skuteczniejszém? List, mojem zdaniem, będzie lepszy, szczególniej przez to, że da jej czas do namysłu, czego jej nie da twoja obecność, twoje groźne i zbolale lice, twój głos rozżalony. Bronisia zbłąkała się, to prawda; ależ to twoje dziecko, mój mężu, i dziecko z chorą głową, z sercem uderzoném gorączką. Jeśli sam osobiście będziesz wymagał posłuszeństwa, i to natychmiast, jak powinienes, choroba jej może się wzmódz, ta gorączka da jej sztuczne siły, może ci się oprzeć, nie usłucha cię; cóż wtenczas zrobisz? Lepiej niech ma czas pomyśleć, co odpowiedzieć, gdy jej stanowczo wolę swą objawisz,

— Masz racya, masz racya — mówił pan Tomasz chodząc po pokoju.

— Radziłabym ci nawet — rzekła dalej — abyś nie do niej napisał, ale do siostry. Bo jużciż siostra twoja więcej winna w tém nieszczęściu, niż Bronisia sama. Kobieta doświadczona powinna była przeniknąć od razu, co to za człowiek, powinna była przewidzieć, jakie ze zbliżenia tego wyniknąć mogą skutki. Uzna ona, że twoje zarzuty są słuszne, żal sprawiedliwy, i radę swoją i namowę zechce błąd swój i niedbałość naprawić. Jej więc daj poznać, co wiesz, jak to uważasz, i że dajesz do wyboru córce albo dom, albo klasztor. Obaczysz, drogi mężu, że za kilka dni ujrzysz tu Bronisję, spłakaną i żalującą. Biedne dziecko! — dodała żałośnie — biedne my kobiety! jak ryzykowna to gra, na którą niedoświadczone serce nasze puszcza się w tém życiu!

Pan Tomasz usłuchał rady żony, która pozornie miała racya, a w gruncie niczego bardziej nie obawiała się, jak widzenia się ojca z córką, jak tej chwili, w której serce zbolale Bronisi uderzy przy piersi ojcowskiej, coby pewnie zrozumiała jęk dziecka, i przebaczyw.

szy wszystko, dawną odpowiedziałyby miłością. W pierwszynie więc żalu i rozdrażnieniu, napisał do siostry list następujący:

„Pierwszy raz w życiu piszę do ciebie z goryczą i wymówką, bo też raz pierwszy w życiu doznaję takiego cierpienia, jakie z twojej przyczyny serce moje udręcza. Nie miałem ci tego za złe, żeś przyjęła pod swój dach rozkapryszoną Bronisję. Nie posądzałem cię, że podniecasz jej niechęć i upór, zamiast objaśnić ją, w jej powinności, zamiast dla reflektowania jej użyć tej powagi, jaką ci dawały nad jej sercem macierzyńskie twe starania. Możesz jej nie mogła skłonić, aby uznała, co nam winna, aby nas nie zasmucała bez potrzeby, aby za starania nasze odpłaciła nam uszanowaniem i miłością. Ale podjąwszy się czuwać nad nią, mogłaś, moja siostró, i powinnaś była lepiej to wykonać, niźś wykonała. Zastanawiając się nad powodami jej kaprysu, i tak dziwaczego postanowienia, sądziłem, że może Michaś jest tego powodem, i pisałem ci o tém niedawno. Na nieszczęście pomyliłem się, i pomyliłem okropnie. Teraz wiem o wszystkim. Przyjazny głos oświecił mnie i pokazał, nad jaką przepaścią postawiłaś tę, którą wychowała, dla której okazywałaś tyle miłości, a którą grzeszna niedbałość twoja i zaślepienie, którego sobie wytłómaczyć nie umiem, może zgubiły bez ratunku. Nie dziw się, że słowa moje tak gorzkie, bo wina twoja wielka. Anno! ty, kobieta pełna rozumu i doświadczenia, otworzyłaś dom swój włóczędze, miasteczkowemu aktorowi, człowiekowi bez obyczajów, który przez całą młodość swą grzązł w najbrudniejszej rozpucie, i w pijaństwie szukał zapomnienia tej nędzy, z której nie chciało mu się wyjść użyteczną pracą. Mogłaś tego nie przeniknąć?... Ty, któraś strzegła Bronisi, jak oka w głowie, gdy była dzieckiem, teraz, gdy dorosła, gdy serce jej zrobiło się tak samowolnym, a głowa tak dziwnie rozbijała, dopuściłaś, aby taki łajdak, mający przy tém rozum i powab powierzchowny, zbliżył się do osamotnionej dziewczyny, aby z nią rozmawiał tak swobodnie, aby się z nią upędzał konno po lasach i po górach, aby, zataiwszy się przed jej niedoświadczeniem, czém był, odurzył jej głowę i oczarował serce!... Mogłaś tego nie dostrzedz i na to pozwolić?.. O! jeżeli i teraz jeszcze nic nie widzisz, jeżeliś dotąd tak ślepa, tak w twoim wieku niebaczna i łatwowierna, to dowiedz-że się, jak wielki popełniłaś błąd, jaką w serce me wlałaś boleść. Wejdz w to natychmiast, zaklinam cię na Boga i sumienie, zamknij dom swój nikczemnemu komedyantowi, którego do innej pociągnę odpowiedzialności, jeżeli jako człowiek bez charakteru i honoru, zechce korzystać z odurzenia nie zależącej od siebie dziewczyny i jakiegokolwiek przyjmie od niej zobowiązania. Bronisi zaś objaw moje niezmiennie postanowienie, że jej daję do wyboru, albo dom ojcowski, dozór ojca i opiekę ojca, która mu służy z natury i z prawa, albo klasztor, gdzie

zostanie póty, póki o głupim romansie swym nie zapomni, jeżeli się woli mojej sprzeciwi i za trzy dni pod dachem moim nie stanie.“

Pani Mikoszevska, przeczytawszy ten list, gorzkiemi się załazała łzami, a Bronisia, która przez cały ten czas była spokojną, poważną, która większą część dnia i nocy przepędziła na modlitwie, przeczytawszy go także z uwagą, upadła na kolana przed ciotką płaczącą, przepraszała ją za tę boleść, jaką jej sprawiła, i łagodząc ciężkie to zmartwienie, rzekła:

— Ciociu! przestań płakać. To list podyktowany. Powinnaś go przyjąć tak, jak gdyby nie był ręką biednego ojca mego pisanym. Tłómaczyć się nie masz z czego, boś najmniejszego nie popełniła błędu, a wymówki ucieszyłyby ją tylko, bo spostrzegłaby, jak cię głęboko zraniła. Cała tu wina moja, całe nieszczęście moje, wszystko, co z tych słów wynika, na mnie tylko splywa. Pozwól więc, że ja na twojem miejscu odpiszę.

I usiadła tamże, przy stoliku ciotki, i taką ojcu przesłała odpowiedź:

„Najdroższy ojczel! na miejscu cioci choréj i płaczącéj, ja ci odpisuję, i uwiadamam cię, że wybór mój już zrobiony. Wybrałam klasztor, mój ojczel, gdzie zamieszkam póty, póki Bóg innego przytułku bolącemu sercu memu nie przeznaczy. Dla czego wybrałam klasztor, a nie twój dom, nie to miejsce, gdzie się urodziła, gdzie leżą kości mojej matki, to niech ci powie ta, która cię zapewne oświeciła o stanie mojej duszy, i o przeszłości zacnego człowieka, którego serdecznie kochała, a którego dziś niemniej serdecznie szacuję. Z miłości mojej nie tłómaczę się. Dla czego pokochałam go, to może powiedzieć tylko Ten, który jako ozdobę i pociechę życia ziemskiego zesłał miłość do serca. Ale dla czego go szacuję, to ci powiem. Spostrzegł on, mój ojczel, choć się o to nie starał, że mu oddała całą swą duszę, i przyszedł sam odkryć mi plamy i skazy swego serca, aby mi pokazać, że źle miłość moją umieściła. Uczułam całą zacność téj spowiedzi, pokochałam go w dwójnasób za tę szczerłość, przyjąłam go z całą jego przeszłością, dawałam mu życie me i rękę, i gdyby był chciał, znasz mnie za nadto dobrze, mój ojczel, i wiesz, że bądź co bądź, byłabym obietnicy mej dotrzymała. Ale ten miasteczkowy komedyant, ten włóczęga, ten łajdak, jak go nazywasz, odrzucił moją rękę i mój posag, poświęcenia mego nie przyjął, bo się czuł miłości mojej niegodnym, bo brudną przeszłością swą dni moich zbrudzić i skałać nie chciał. To jest cała prawda, mój ojczel, a nie to, czém serce twoje zastraszone. Żona twoja uwierzy zapewne, że tak jest istotnie. Ja na usprawiedliwienie moje nic więcej nie powiem, choćbym mogła. Dodam tylko, żeś nie usłuchał sam siebie, mój ojczel, i nie postępował według natchnie-

nia swęj miłości; żeś się stał dla siostry swęj niesprawiedliwym, a dla mnie... ale daruj, padam na twarz przed tobą, ściskam twe nogi i błagam cię, abys mi przebaczył, że mi to mogło przyjsć na myśl, com wymówić chciała. A teraz żęgnam cię ojcze! zostaw mnie memu losowi, i nie postanawiaj względem mnie nic, bo nic nie przyjmę; bo wszystko, cokolwiekby miłość twoja dla mnie obmyśliła, przyjdzie już za późno. Co się stać miało, stało się. Wskazałeś mi miejsce, gdzie mam szukać zapomnienia mojego nieszczęścia, i pójdę tam, i czekać będę, jak mnie Bóg natchnie.“

W tydzień potęm Bronisia zamieszkała u panien Wizytek w Lublinie, gdzie ją otwartemi przyjęto rękami, dano najlepszy pokoił, gdzie dobre zakonnice, nie wchodząc w powody jęj smutku i żaloby, starały się dawać jęj przykład poddania się woli bożęj, i zostawić jak najwięcej czasu do rozmyślania i modlitwy.

Rok już upłynął od tych wypadków, które tak stanowczo na los interesujących nas osób wpłynęły, a nie przyprowadził ich jeszcze do tego kresu, na któryin już człowiek innych ludzi interesować przestaje, za którym nie ma już tych fal, rzucających łódką jego życia i budzących ciekawość, za którym jest tylko port, a w nim albo jednostajność zwyczajnego szczęścia, którego nikt przenikać nie lubi, albo tajemnicza cichość grobu, której nikt przeniknąć nie może. Bronisia zawsze mieszkała w klasztorze w Lublinie, kochana od wszystkich, wielbiona za to poddanie się, jakie okazywała w nieszczęściu, za ten spokój, który objawił moc jęj duszy, za tę pracowitość, która dawała zakonnikom nadzieję, że jeżeli ją Bóg tak natchnie, iż z niemi zostanie na zawsze, będą miały siostrę i towarzyszkę, która się stanie wzorem dla ich domu i ozdobą ich cichego i zamkniętego kółka. Przez cały ten czas, ojciec raz tylko ją odwiedził. Okazał jęj wprawdzie dosyć przywiązanie, z troskliwością zapytywał, co zamysła; ale Bronisia spostrzegła że ściśnionęm sercem, że oglądał się po za siebie, jakby się bał za nadto być dla nięj czułym, i zmiarkowała ze smutkiem, że nie wzbraniałby jęj wcale, gdyby okazała chęć wyrzeczenia się świata na zawsze. Ż żalem więc prawie pożęgnawszy ojca, nic mu stanowczego nie odpowiedziała.

Edmund, zaraz na drugi dzień po rozmowie swęj z Bronisią, pożęgnął wuja listownie i poszedł w świat, i dotąd stary samotnik, którego spokój się zamącił i życie tak dobrze uorganizowane zępsuło się, nie wiedział wcale, gdzie się obraca. Jeździł on umyślnie do Karola, żeby się czegoś dowiedzieć, poznał z panią Mikoszewską w tymże samym celu, ale nikt nie mógł go oświecić. Wypadek ten wpłynął stanowczo na jego humor i dał mu przeczucie, że i jego termin niedaleki. Zrobił więc testament, na którym się przyjaciół jego Załeski i proboszcz miejscowy podpisali, którym cały swój majątek prze-



kazał Edmundowi. Dowiedziawszy się od pani Mikoszewskiej, jak Bronisia kochała Edmunda, w testamencie swym dodał: że gdyby w rok po jego śmierci, siostrzeniec jego nie wynalazł się, cały fundusz swój oddaje do jój dyspozycyi, prosząc, aby go według swego serca i rozumienia na dobre uczynki obróciła.

Michał, przybywszy do Warszawy, zamknął się w akademii duchownej, przywdział sukienkę, i okazawszy swoje uniwersyteckie świadectwa, przypuszczonym był od razu do słuchania kursów teologicznych. Oddany całkiem tej nowej pracy, którą uważał za jedyny dla serca swego przytułek, przygotowany tak dobrze we wszystkich przedwstępnych naukach, szedł nadzwyczajnie szybko na tej drodze, cieszył swoich professorów pojętnością i zdawaniem sprawy z przedmiotów, które extra lekcyj, prywatnie zgłębiał, a serca równie ich, jak i starszego duchowieństwa, zyskiwał skromnością, życiem cichém i pokorném, a nadewszystko tym melancholicznym wyrazem pięknej swój twarzy, w której każdy czytał wielką jakąś boleść i większą jeszcze w znoszeniu jój siłę.

Przy końcu tegoż roku, Bronisia odebrała od ojca list, który pokazuje, pod jakim wpływem był napisany, i jakimi staraniami zajęta była przez ten czas pani Tomaszowa, kiedy zdołała męża swego do napisania go przyprowadzić. List ten krótki i jakby wymuszony, zamykał w sobie następujące słowa:

„Droga Bronisiu! Odbieram z Lublina listy od rozmaitych osób, które mi donoszą, żeś zdrowa, daleko spokojniejsza, ale że im się zdaje, iż Bóg natchnął cię myślą i chęcią wyrzeczenia się świata zupełnie i wykonania ślubów zakonnych. Moje dziecię! jeżeli tak jest w rzeczy samój, jeżeli taka jest intencya twego serca, i myśl tę uważasz na seryo za natchnienie Boże, czemuż mi o tém nie napiszesz sama? Zapewne, inne zupełnie miałem nadzieje, inne kołysały mnie rojenia, gdyś pod okiem mojem wzrastała, gdym patrzył na rozwijający się twój rozum i piękność. Nie taję ci, że i dziś wołałbym cię widzieć otoczoną szczęściem ziemskiém; a choć wiem, jak to jest ślizka droga, pewny jestem, że dochowałabyś na niéj wszystkie te zasady, jakie starałem się w ciebie wpoić. Ale gdy posięgnąwszy tylko ręką po ten wieniec, jakim życie przywabia do siebie, trafiłaś od razu na ostry cień, który cię tak głęboko skalęczył; gdy zwątpiłaś, że znajdziesz tę radość, jaką dla ciebie marzyłem; gdy sądzisz, że w oddaniu się Bogu i zupełném oddaleniu od świata, jest ten spokój, który cię tu na wstępie samym odbiegał, czemuż nie mówisz? Myślałażbyś, iżbym ci wzbraniał szukać tej ulgi, którą uważasz za jedyną? iżbym żądał od ciebie, żebyś kosztem własnego serca dogadzała mojemu, i ziściła moje nadzieje, kiedy sama nie masz żadnej? Nie oskarżaj mnie, moja Bronisiu, o taki egoizm, i wierz, że choć ze

łzą w oku, pobłogosławię temu powołaniu twemu, jeżeli mi napiszesz, że je masz, jeżeliś dobrze serce swe zbadła, i wierzysz, że to nie jest przemijający żal, nie chwilowa niechęć do świata, jego uciech, cierpień i powinności, ale postanowienie stałe, święte i przez Boga natchnione.“

Z jakim uczuciem Bronisia czytała te słowa, jakimi oblała je łzami, czyje w nich czuła natchnienie, to łatwo odgadnąć. Wszakże słowa te, jakkolwiek żadnym objawieniem woli z jej strony nie wywołane, zrobiły zamierzony skutek, i w kilka tygodni potem, pan Tomasz czytał ze drżeniem i zapewne z tajemnym wyrzutem sumienia, następujące od córki swój pożegnanie:

„Kochany ojcze! dziękuję ci, żeś wahającą się duszę moją umocnił i pokazał jej, co dla niej potrzebne, aby znalazła ulgę prawdziwą i tę radość trwałą i nie mącąca się, której na świecie znaleźć nie mogła. Usłuchałam głosu mego serca, twojej rady, i natchnienia Najświętszej Panny, u której stóp, w śnie słodkim, matkę moją widziałam. Wczoraj tedy odbyły się obłóczyny moje; przyjęłam habit, uprosiłam sobie u Boga, abym w tym domu Pańskim przemieszkiwała po wszystkie dni żywota mego, i mam nadzieję w jego dobroci, że się odtąd serce moje żadnej nie złęknie pokusy. Wraz z suknią światową, którą rada zrzuciłam, odpadła od duszy mojej wszelka próżność, wszelka nienawiść, wszelka gorycz, jaką świat karmi tych, co do stołu jego siadają. Teraz jestem inną wcale, a jeżeli kto miał przeciwko mnie złą wolę, niech będzie spokojnym, już mu przebaczyłam zupełnie. Pokój panuje w mej duszy i dziwna się na nią zlała światłość. Teraz, gdy z okna mojej celi patrzę na to niebo, w które tak lubiłam wpatrywać się w dzieciństwie, widzę dobrze, że to nie było na próżno, że tam był mój dom, moje bogactwo, mój wianek ślubny, mój nieśmiertelny oblubieniec. Żegnam cię więc, ojcze drogi, pobłogosław raz jeszcze twemu dziecku, niegdyś twojej Bronisi, dziś słudze Najświętszej Panny i syna Jój, Zbawiciela świata — pokornej siostrze Teressie.“

„P. S. Przy tém pożegnaniu przesęłam ci, kochany ojcze, moją ostatnią wolę i rozporządzenie tém, co mi Bóg dał po matce, a co przy staraniu twém i rozumnym rządzie, utrzymało się w całości, i może wzrosło. Jeżeli potrzeba będzie jakiej formy prawnej, aby ta wola moja mogła być wykonaną, racz mi donieść, i naucz, jak trzeba zrobić.“

Tém rozporządzeniem Bronisia przeznaczyła siedmdziesiąt pięć tysięcy, jako swój posąg dla klasztoru, resztę po równej części dla dzieci pani Tomaszowej. Bibliotekę swą oddała Stasiowi, klejnoty swe Tereni. Z rzeczy swych oznaczyła rozmaite podarunki dla księdza Studzińskiego, dla siostry Teofili, dla ciotki i Michasia. Nawet o panu Macieju nie zapomniała, któremu na pamiątkę ich widzenia się, darowała swego siwosza. Drobne legata i dary, przeznaczone były

dla wszystkich sług i małe posagi dla kilkunastu dziewcząt w Rudnicy, które znała i lubiła.

Tym to sposobem pani Tomaszowa stanęła u celu, do którego z taką wytrwałością, z taką sztuką, z taką umiejętnością korzystania ze wszystkiego, co jój pomagało, przez lat kilka dążyła. Ale Bóg zwykle nie to daje sercu, czego się to serce spodziewa, gdy cel gorących życzeń swych osiągnie. Pani Tomaszowa, która myślała, że dopiero wtedy odetchnie całą piersią, gdy się tak zrobi, jak dzień i noc układała, przeczytawszy to wszystko, poszła do swęgo pokoju, zamknęła się, upadła na kolana, zaczęła się modlić, płakać i bić się w piersi. I pierwszy raz od lat wielu modlitwa jój była szczerą, ły prawdziwą, a poczucie grzechu pełne rzeczywistęj skruchy i żalu. Zamiast radości więc i uniesienia, że skutek przewyższył jój oczekiwanie, niewypowiedziany strach ją ogarnął; postać Bronisi odejść od nięj nie chciała, jój habit szeleścił w jej uszach, jój twarz blada i poważna smutkiem i poddaniem się, ścigała ją wszędzie, a choć powtarzała sobie w duchu słowa przebaczenia, które w liście jój wyczytała, zdawało się jój, że w jój oczach, które na nią ciągle i przenikliwie patrzyły, jest groźba, groźba straszliwa, nie tylko jój, ale i jój dzieciom. I odtąd spokój znikł z jój serca. Marzyła tylko o przypadkach, przygodach i klęskach, które ich dotknąć mogą. Każdego rana szła z trwogą do łóżecka Stasia i Tereni; najleksza zmiana ich twarzy budziła w nięj śmiertelne obawy; każdy krzyk, który ją z drugiego pokoju doszedł, gdzie się dzieci bawiły, przerażał ją, biegła na ich ratunek, i widząc je wesole i zdrowe, dziękowała w duszy Bogu, że tą razą trwoga jój była daremną. Pan Tomasz nawet postrzegł ten stan jój nadzwyczajny i nienaturalny, i martwił się niezmiernie. A ta kobieta tak zręczna, której twarz wszystko umiała ukryć i wszystko pokazać, co jój tylko było potrzeba, teraz, gdy grzech dorósł do swojej pory i wydał swój owoc, przed mężem nawet, tak łatwym do oszukania, nie mogła utaić niepokoju i schować tych zgryzot, które sercem jój miotaly.

W takim stanie przeżyła kilka miesięcy. Jój trwogi, jój roztargnienia, jój zamyslenia się, w których często po parę godzin trawiła, zaczęły oddziaływać na męża. Nie mogąc dopytać się o prawdziwą stanu tego przyczynę, zaczął się jój domyslać, zaczął jój szukać we własném swém sercu, i tam znajdując głos, który mu także mówił, że postępowanie jego z córką nie było takie, jakim byłoby niewątpliwie, gdyby żadnemu nie ulegał był wpływowi, pilnięj i z ciężkięm nieraz westchnieniem rozpatrywał, jak i przez kogo stanął na tęj drodze, co go do tak smutnego doprowadziła rezultatu. Przejierając częścicęj teraz niż dawnięj listy Bronisi, i znajdując w nich słowa, na które pierwęj nie zważał, lub się niemi oburzał, przekonywał się, że jój

wstręt do żony jego nie mógł być bezzasadny, że przebaczenie, które w ostatnim jej liście znajdował, nie mogło się do kogo innego stosować, tylko do niej, że zatem Bronisia widziała lepiej, niż on, z jaką wytrwałą zrećnością starała się ona rugować ją z jego serca, jak pomogła do usunięcia jej z domu, jak widocznie przyczyniła się do usunięcia jej ze świata. Uwagi te rzucały przykre światło na całe przeszłe postępowanie Hieronimy, i szczerść jej podawały mu w podejrzenie. Odwracał wprawdzie pan Tomasz oczy od tego blasku, który go raził, ale od tego czasu słowo to: macocha, często nasuwało mu się na myśl, ciężko jakos padało na jego serce, i zaostrzało te groty, któremi własne kłóło go sumienie. Nie dał on żonie swęj poznać swego stanu, ale nie wypytywał jej więcej o przyczynę zmiany, jaką w niej widzi, czując, że się sam zmienił, i inném na nią pogląda okiem.

Tym to sposobem coraz bardziej zasepiał się horyzont ich małżeńskiego pożycia. Pan Tomasz postrzegał przymus w uśmiechu żony, w jej karesujących słowach, i często nawet odwracał się od tych pieaszczot, które go dawniej tak mocno ciągnęły. Doszło nawet do tego, że gdy Hieronima, dla pokazania, że nie poczuwa się do żadnej względem Bronisi winy, sama o niej wszczyniała rozmowę, pan Tomasz powstawał, czoło się jego zachmurzało, i albo wychodził, albo tonem prawie surowym mówił:

— Proszę cię, nie zaczynajmy już o tém.

Widząc tak wyraźne oziębienie męża, który, chociaż żadnych jej nie robił wymówek, ale częściej szukał samotności, niż jej towarzystwa; czując, że to jego względem niej postępowanie jest aż nadto dobrze zasłużone; dręczona ustawiczną trwogą i niepokojem, który jej nie dawał folgi, postanowiła opuścić dom na czas niejaki, przyprowadzić pana Tomasza do tego, żeby za nią zatęsknił, dla siebie zaś szukać gdzie indziej roztargnienia, patrzeć na inne twarze, przebywać wśród innych ścian, któreby mniej wiedziały, niż ściany domowe, i nie tak głośno, jak te, oskarżały ją o obłudę względem człowieka, który ją tak kochał, i o zatrucie mu starości tym ciężkim wyrzutem, malującym się już na jego czole, że przez nią dla dziecka swego złym stał się ojcem. Przyszła więc raz do męża i prosiła go, żeby jej pozwolił na dwa lub na trzy tygodnie wyjechać do matki.

— Jedź — odpowiedział pan Tomasz spokojnie, i nie zapytując wcale, zkąd jej ta myśl przyszła, jakie skłaniają ją powody, zadzwonił i kazał do drogi potrzebne robić przygotowania. Na taką obojętność lice jej pobladło i serce wielkim ścisnęło się bólem. Sądząc więc, że dalszą prośbą swą wywoła, jeżeli nie opór, to przynajmniej perswazyę, jakieś przełożenie i zapytanie, w którymby dawniejszą postrzegła troskliwość, i któreby zwalczyć mogła przymileniem się, uśmiechem, pieaszczotą, które dawniej były tak potężne, rzekła:

— Dziękuję ci, mój Tomasz, że mi nie bronisz. Ale widzisz moje rozdrażnienie, mój stan jakiś dziwny, którego sobie wytłómaczyć nie mogę. Ja koniecznie potrzebuję widzieć moją matkę, ale nie miałabym i chwili pokoju, i stan ten pogorszyłby się jeszcze, gdybyś mi nie pozwolił wziąć dzieci.

— Weź — odpowiedział pan Tomasz takim samym tonem, jak i pierwej.

Wtedy Hieronima popatrzyła na niego z podziwieniem, żal i duma ogarnęły jej serce; a choć żal był silny, i łzy, tą razą prawdziwe, wyrwały się z jej oczu, duma jednak przemogła. Zaciśnęła więc tylko usta, i nic nie powiedziawszy, wyszła.

Nazajutrz pani Tomaszowa wyjechała. On zęgnął dzieci ze łzami, tulił je ze łzami, tulił je do łona i błogosławił, a ją pożegnał ze ściśnioném sercem, z twarzą dziwnie smutną i poważną, w której widzieć jeszcze mogła całą jego miłość, ale w której razem czytała, że ma jej wiele do zarzucenia, i, że żal, jaki ma do niej, walczy z tą miłością, która tak długo była największém jego dobrem.

Choć pora była jeszcze miłą, dzień wrześnieowy pogodny i prawie ciepły, droga na Chęciny, Kielce, Suchedniów i Szydłowiec, tak piękna; chociaż dzieci uszczęśliwione podróżą szczebiotały, swawoliły i w radości swój całowały ręce i nogi matki, że je z sobą wzięła, nie mogło wyprowadzić pani Tomaszowej z tego bolesnego stanu, z jakim wyjechała z domu. Ten dom, który opuściła z żalem, w którym mogła być tak szczęśliwą, kochaną i poważaną, gdyby chciała była miłością i prawdą odpowiedzieć na miłość i prawdę tych, co ją w nim przyjęli, stał jej ciągle na myśli smutny i pusty. Zamiast radości i wesela, jakimi powinna go była ożywić, widziała w nim tylko wałęsające się postaci, blade i z pochyloną głową; przed wytężoną jej myślą snuła się tam, to Bronisia w habicie, to mąż w żałobie, to dzieci w czarnych sukienkach, to siebie w sukni obszytej białą tasiemką widziała na kolanach, na progu tego domu, a przed sobą starego księdza, którego twarz groźna i surowa nie obiecywała jej miłosierdzia. W takich męczących myślach, które, choć na czas jakiś pokonane siłą woli ustępowały, ale za lada okazyją z tém większém powracały natężeniem, dojechała do Radomia, z kąd idzie droga do Lublina, którą się udać miała. Ale raptem, ni ztąd ni z owąd przyszła jej myśl zupełnie inna, ogarnęła silnie jej głowę i zajęła jej władze, jak gorączka, której oprzec się żadna wola i żaden rozum nie może.

Pełni cudnej fantazyi Grecy, każdemu pojęciu, które z uwagi życia wyciągnęli, nadawali byt rzeczywisty, formy zmysłowe, i jako nową, żywą istotę w toż życie wprowadzić umieli. Między innemi mitologicznymi postaciami, utworzyli boginię Nemezys, kochankę Jowisza i matkę Heleny. Funkcyą jej było stać przy boku każdego, któremu

się wszystkie udawały zamiary, i czuwać nad tém, aby plany jego zupełnem i bezwarunkowem powodzeniem uwieńczone nie były. Skoro więc postrzegła w sercu taką nadzieję, a ztąd zbytek zaufania i dumę, odwracała koło, dorzucała do wagi błędy, pomyłki, zaslepienie, mąciła kroki tego, który dotąd szedł z taką rozważą i pewnością, aby szczęście jego nie doszło do tej miary, jaka tylko służy bogom, a ziemskiemu życiu jest niewłaściwa.

Nie taka zapewne Nemezys, jak ją Fidyasz z paryjskiego marmuru wyrobił, piękna i groźna, a w prawej ręce swęj wagę ową trzymająca, stała od dawna przy boku pani Tomaszowej; ale ta sama siła tajemnicza i niewidoma, którą Grecy pod jęj postacią uosobili, nie dopuszczająca bezwarunkowęj i w naszém życiu pomysłności, spletała tę głowę tak jasną, napełniła serce tak zimne gorączką trwogi i niepokojów, aby błędy, niekonsekwencye i przygody zakończyły zawód, który dotąd był tylko pasmem powodzenia, wyrobionego przez wytrwanie, namysł i sztukę.

Tą zapewne popchnięta siłą, pani Tomaszowa zamiast do matki, pojechała do Warszawy. Przyszła jęj na myśl ciotka, i niby chęć obaczenia się z nią raz jeszcze, i pokazania jęj dzieci; przyszła jęj na myśl szambelanowa, konieczność wydobycia od nięj swych listów, które ją teraz więcj, niż kiedykolwiek, śmiertelnym przejmowały strachem; ztąd, przez naturalne kojarzenie się wyobrażeń, przyszedł jęj na myśl hrabia, o którego wznowionęj dla siebie grzeczności prezesowa w ostatnim uwiadomiła ją liście. Grzeczności tęj hrabiego Hieronima właściwą naznaczyła przyczynę, przestraszyła się nią, chciała więc jeszcze raz z nim się widzięć, aby mu wyperswadować na zawsze wszelkie nadzieje, i zabezpieczyć się od jakiego bądź ze strony jego kroku, któryby ją mógł skompromitować. Przychodziło jęj wprawdzie do głowy, że mąż zadziwiłby się tęp nagłęm postanowieniem, o któręp żadnęj nie zrobiła mu wzmianki; że w takim stanie zobojętnienia i smutku, mógłby sobie krok ten fałszywie wytłómaczyć; ale zapomniawszy o tęp, zbląkana kobieta, że Warszawa nie za górami, że bytność jęj, choćby najkrótsza ukryć się nie zdoła, zaniedbała natychmiast donięć mu o tęp sama, w tęp nadziei, że zabawi tylko parę dni, że mąż nie dowię się wprzód, nim ona, przyjechawszy już do matki, na usprawiedliwienie postępku, który rzeczywiście potrzebował usprawiedliwienia, wynajdzie dostateczne i zaspakajające przyczyny.

Gdy przybyła do Warszawy, zgiełk i ruch wielkiego miasta zagłuszył cokolwiek w jęj sercu te dręczące trwogi, co ją przez całą drogę trapiły, i do naturalniejszego przyprowadził ją stan. Radość dzieci, że zobaczą tyle pięknych rzeczy, o których dotąd tylko słyszały, że pójda do warszawskięj babuni, która je tak kocha, i co roku tak śliczne przysęła im wiązania, serdeczne ich i żywe prosby do matki,

aby je zawiozła na teatr, skłoniły panią Tomaszową, że rozrywki téj dzieciom odmówić nie mogła, i sama jej zapragnęła. Kontenta nawet była, że jej dzieci dały powód do znajdowania się w tém miejscu, gdzie spodziewała się obaczyć hrabiego, i być od niego widzianą. Chciała bowiem koniecznie jak najprędzej z nim się widzieć, a uwiadomienie go o swém przybyciu uważała za rzecz zbyt ośmielającą i niebezpieczną. Tego samego więc dnia posłała po lożę.

Hrabia rzeczywiście znajdował się w teatrze, spostrzegł Hieronimę, a ona ze swój strony widząc i jego zadziwienie i radość, rozpromieniającą jego piękną twarz na widok kobiety, której zapomnieć nie mógł, była pewną, że w pierwszym zaraz międzyakcie do loży jej zapuka. Gdy zasłona zapadła i hrabia powstał i wyszedł, wyglądała go niecierpliwie, a gdy się we drzwiach jej pokazał, przyjęła go milej i serdeczniej, niż sobie obiecywała sama, niż dozwalały wszystkie te zamiary nawrócenia na drogę prawdy i obowiązków, które jej ustawiczna podszeptowała trwoga. Przyjęcie to dało hrabiemu piękne nadzieje; musiał się jednak w radości swój miarkować, gdyż dzieci patrzyły na niego pilnie i ciekawie, i nie traciły ani jednego słowa, które z ust jego wychodziło. Rozmowa więc ich stała się zwyczajną, ogólną, i z położeniem ich wzajemném żadnego nie mającą związku. Tyle tylko zdołała mu powiedzieć ciszej i sekretniej, że go prosi, aby jutrzejszy wieczór przepędził z nią u prezesowej. Gdy hrabia uradowany, czulej niż kiedykolwiek rękę jej ścisnął i dłużej w dłoni swój trzymał, przestraszona Hieronima dodała, że tam, tam jedynie może się z nim widzieć, i koniecznie rozmówić się pragnie.

Czując coraz bardziej, jak źle zrobiła, że przyjechała, jak nieodpowiednio zamiarom swym i postanowieniom przyjęła tego, któremu wszelkie odjąć chciała nadzieje, biedna kobieta całą noc oka zamknąć nie mogła, a gdy nazajutrz uderzyła dziesiąta, chcąc jak najprędzej pozbyć się téj drugiej obawy i usunąć z nad głowy swojej ów miecz, który na tém cieńszym teraz włosku nad nią wisiął, poszła do szambelanowej. Szambelanowa przyjęła ją niezmiernie kordyalnie, ale widząc w twarzy jej wielką zmianę, wyczytawszy w jej oczach, w jej głosie, i całym ułożeniu jakiś dziwny niepokój, wiedząc dobrze, że hrabia zerwał stosunki swe z księżną Kalikstą i częściej niż poprzednio odwiedza prezesowę, z naglącej zaś prośby Hieronimy, tak niepolitycznej i niewczesnej, wnosząc, że pragnie jedynie zabezpieczyć się odebraniem swych listów, aby zejść tém śmielej z téj drogi, na której ją tylko strach utrzymywał, wykręciła się naturalnie od zadość uczynienia jej żądaniu, i odprawivszy ją z niczém, postanowiła mieć oczy otwarte, i każdy krok jej śledzić. Poszła więc Hieronima zawstydzona, upokorzona, a widząc po niewczasie, jak wielki znowu

błąd popełniła, z sercem tém bardziej ścieszonym oczekiwała wieczoru.

Koło godziny dziewiątej pani Tomaszowa znalazła się w salonie prezesowej, prawie sam na sam z hrabią. Dzieci bawiły się w drugim pokoju cackami, których im babunia nakupiła; prezesowa, zajęta przyjęciem gościa, którego życzliwość, większa niż dawniej, napełniała ją radością i dumą, co moment oddalała się do gospodarstwa, lub odchodziła do dzieci, które ją serdecznie cieszyły; a prezes sądząc, że się już nakłaniał dostatecznie i odbył obowiązek gospodarza, wrócił do swych właściwych gości, którzy stanowili jego codzienną partyę, i usiadł do wista. Mimo téj swobody, rozmowa nie szła tak, jak się hrabia spodziewał. On przyszedł pełen nadziei, że nareszcie życzenia jego tak żywe, tak długo karmione, uwieńczone zostaną; zaczął od oświadczeń, prośb i gotowości do wszystkich ofiar, jakichby tylko od niego żądać mogła; a ona drżąca i blada, miała na ustach tylko perswazyę, żądała tylko zapomnienia, okazywała tylko chęć zerwania téj nici, co ich wiązała, przez nikogo wprowadzić do utraty całego owocu życia, które ją tyle pracy i myślenia kosztowało. Prędzej więc, niż się oboje spodziewali, skończyła się ta stanowcza rozmowa. Zaledwie przeminęła dziesiąta, gdy hrabia już zniecierpliwiony i niekontent, że się przez kilkanaście godzin tak słodko łudził, zmarszczywszy się, rzekł:

— Z tą stałością uczuć, jakie mam dla pani, śmiesznym jestem doprawdy w moich własnych oczach. Od pierwszego razu, gdy cię obaczył w teatrze, od pierwszego słowa, którem tu z ust twoich usłyszał, nie zmierilem się ani na włos, tak mi zawsze jesteś miłą i drogą. Nadaremnie starałem się panią zapomnieć, napróżno przeniewierzałem ci się osobą moją, choć nigdy sercem, z czém się wcale nie taję.... nic mi to nie pomogło. Kocham panią dziś, jak kochałem zawsze, i niestety! ja — dodał ruszając ramionami — muszę cię kochać, jak jaki pasterz sielankowy, samą tylko myślą, samém westchnieniem. Wierz mi pani, że za to samo upokorzenie, za to samo zaparcie się mojej natury, i odstępstwo od wszystkich nawyków i zwyczajów, które nam czynią życie tak łatwem, winnaś mi cokolwiek więcej, niż tę życzliwość, o której mówisz, i tę wdzięczność, którą mi obiecujesz, wdzięczność za to, że się wyrzeknę jedynego uczucia, które przesyconemu życiu memu dawało jeszcze jakikolwiek powab.

— Widzisz, hrabio — odpowiedziała Hieronima drżącym głosem — jak jesteś niesprawiedliwym. Nie byłoż to dowodem, jak ceniałam przywiązanie twoje, kiedym pragnęła, aby zawsze trwało. A trwałobyżby dotąd, gdybyś mnie nie szacował, gdybym była zapo-



mniała, że jestem żoną innego, któremu winnam spokój, że jestem matką córki, której winnam przykład.

Hrabia ruszył ramionami, a ona, widząc, że nie ma nikogo w pokoju, przysunęła się i mówiła ze wzruszeniem:

— Choć nie zgrzeszyłam, tylko myślą, tylko chęcią okazania ci, że słabość twoją dla mnie widzę, że mi nie jest przykrą, że mnie nawet cieszy, jako użyteczna twemu sercu, to jednak największa boleść, największe upokorzenie, jakiego w życiu mojem doznałam, przyszły mi przez ciebie.

— Przemennie? — zawołał — czyż nie milczałem, nie strzegłem się, nie kryłem się z moją miłością, jak jaki student zawstydzony, że się zakochał?

— Tak — odpowiedziała — a jednak są oczy, które na nas patrzą. Cóżby to było, gdybym upadła, gdybym się poniżyła w oczach własnych i twoich. Wtedy i tybys nie milczał, nie ukrywałbys się pewnie, i ten wzrok, który mnie ściga, przeniknąłby do gruntu mego serca. A i tak nie mam spokoju; straciłam go, straciłam na zawsze!

— Czy także przemennie? — zapytał z podziwieniem.

— O! nie, tego ci zarzutu nie robię — odpowiedziała spuszczać oczy. — Dla czego, jak go straciłam, to tylko Bóg jeden wie i widzi. Ale chciałżebyś, abym i téj nie miała pociechy, żem przeszła bez skazy tą wąską ścieżką, na której mnie miłość twoja postawiła?

— Nie pojmuję pani — rzekł hrabia, przypatrując się jój pilnie.

— To tylko pojmij — odpowiedziała prędko i z drżeniem — że jestem teraz w dziwném położeniu, że sama siebie nie poznaję, żem zupełnie inna kobieta, niż byłam. Wszystko mnie trwoży i przeraża, a nie tak bardzo, jak ta myśl, że mnie możesz jeszcze kochać, że możesz się odemnie spodziewać podziału twych uczuć, że jakimkolwiek krokiem dasz mi poznać swoje nadzieje.

— Więc po to tylko wezwałaś mnie tu pani? — rzekł hrabia, gładząc swój kapelusz.

— Po to jedynie przyjechałam tu — odpowiedziała z błagalnym wejrzeniem — aby ci otworzyć stan mojej duszy, aby cię zakląć na wszystko, abyś mi przebaczył, żem z samego początku nie mówiła tak, jak dziś mówię, abyś zapomniał o tej miłości, która ci nie może nic obiecywać, a zostawił mi tylko przyjazne wspomnienie i twój szacunek, których jedynie pragnę.

Hrabia powstał, i kiwając głową patrzył na nią, chcąc przeniknąć, co znaczyła ta spowiedź, wymówiona głosem cichym, ale szybkim i przeniknionym. Tylko co miał jój ostatnie rzec słowo i pożegnać, gdy w drugim pokoju Terenia przeraźliwie krzyknęła. Pani Tomaszowa zbladła jak ściana, zadrżała w głębi duszy, i porwawszy się

z miejsca, pobiegła obaczyć, co się stało. Przypadek był bardzo zwyczajny między dziećmi. Staś wziął jęj zabawkę i nie chciał oddać. Ona mu ją wydzieraa. Staś z przywłaszczonem sobie dobrem zaczął uciekać; Terenia zaczęła gonić go, potknęła się, upadła i rozcięła sobie czoło do krwi. Wszystko to stało się wtedy, gdy matka rozmawiała z tym, co ją od lat kilku kochał, którego miłość kilka lat podniecała, i którego dziś raptem z uczuć tych niepowstrzymanych i nieodrzuconych od razu wyleczyć chciała. Uczuła to pani Tomaszowa, jak jest winną, i tuląc przy sobie płaczącą dziewczynkę, na widok jęj krwi i leż takiem przejęła się drżeniem, tak osłabła, że kroku zrobić nie mogła i słowa przemówić nie była zdolną.

Hrabia patrzył na nią z prawdziwem współczuciem, a gdy prezesowa odwinęła się za chusteczką i wodą kolońską, zbliżył się do nięj i rzekł ciszej:

— Uspokój się pani. Przrzekam ci wszystko, czego po mnie żadasz, choć wierz mi, żadna ofiara nie była mi tak ciężką.

Hieronima ścisnęła tylko rękę jego na podziękowanie, i wdzięcznem pożegnała go wejrzeniem.

Tymczasem Terenia napierała się do domu, Staś także; ona sama rada już była być u siebie, tak się czuła znękaną i przestraszoną, a tu nie było czém odjechać. Jeszcze nie było jedenastęj, karecie najetęj kazała przyjsć koło północy, prezesowa koni nie trzymała, a dorożką brzydziła się pani Tomaszowa, i dziecka swego na deszcz, który padał, wystawiać nie chciała. Wtedy hrabia zaproponował, że jego kareta jest przededrzwiami i na jęj rozkazy. Prezesowa, uczepliła się tej myśli, i Hieronima, nie mając nic innego do wyboru, spokojna w swém sumieniu, że może przyjąć grzeczność od przyjaciela, który już przestał być kochankiem, wsiadła z dziećmi do powozu hrabiego i pojechała do domu. Hrabia został jeszcze i miał czekać powrotu swych koni. Ale, że odległość mieszkania prezesowej od hotelu Wileńskiego była znaczna, dom hrabiego blizki i deszcz niewielki, znudziwszy się z prezesową, do której przychodził nie dla nięj samęj, pożegnał się prędko i poszedł piechotą.

Okoliczność to mała, drobna, ale z drobnych ogniów składa się ten łańcuch, na którym wielkie wiszą ciężary.

Nazajutrz szambelanowa odwiedziła z rana prezesową, spodziewając się, że się kobiecina z czémścis wygada. Jakoż, skoro usiadły, wszczął się dyskurs o Hieronimie, i prezesowa nie miała nic pilniejszego, jak pochwalić się tęp, że hrabia tu cały wieczór u nich przepędził, że taki kochany i łaskaw, że nie tylko jego kareta Hieronima odjechała, ale sam nawet, mimo deszczu, piechotą poszedł do domu. Szambelanowej nie potrzeba było więcj. Prędko pożegnała prezesową, a śpiesząc do siebie, mówiła sobie w duchu:

— Więc do tego już przyszło? to już pani jego powozami jeździsz, a on niby to piechotą do domu odchodzi. Znamy się na tych sztukach. I my tak robiliśmy kiedyś. Mogła się karetą na pierwszym zakręcie ulicy zatrzymać, i pan hrabia dopędził ją, niby przypadkiem, i pani zlitowałaś się nad nim, żeby nie szedł piechotą i nie mókł na deszczu. To zanadto. Czas cię ratować, dobrodziejko!... inaczey mogłabyś doprawdy żartować sobie ze mnie... i miałabyś rację.

I wróciwszy do domu, wydobyla z ukrycia listy pani Tomaszowej, usiadła przy swoim biurku, i zmieniawszy jak tylko mogła rękę, napisała po francuzku karteczkę następującą:

„Szauuję cię i żałuję, chociaż, jak wszyscy prawie mężowie, jesteś ślepy i łatwowiernym. Wkrótce jednak nikt cię żałować nie będzie, i jak wszyscy mężowie zbyt ślepi i zbyt łatwowierni, staniesz się przedmiotem pośmiewiska. Jeszcze jest czas, przyjeżdżaj, i nie daj upaść swęj żonie, która jest na drodze niebezpiecznej i kompromituje się tu widocznie. Romans ten, który ją może zgubić, nie od dziś datuje. Na dowód masz tu jęj własnoręczne listy. Do kogo są pisane, to ci się na nic nie przyda; dosyć, że z nich poznasz, że nietylko od ciebie przyjmuje holdy, które jęj składają. Wiész o tém, jak jest i piękną i rozumną, ale może o tém nie wiész, jak jest zręczną i jak zdolną wmówić w ciebie wszystko, co zechce. Nie wierz jęj uśmiechowi, jęj słodkiemu wejrzeniu i jęj rękomi złożonym. W tych listach masz próbkę jęj biegłości. Nie staraj się dojść, kto cię ostrzega, bo się o tém nie dowiész. Wierz tylko, że to jest ręka życzliwa.“

Zapieczętowawszy wszystko, położyła adres także znayślonym charakterem i sama odniosła na pocztę. I gdy pani Tomaszowa była u Kapucynów, gdy klęcząc przy konfesyonale poważnego kapłana spowiadała się serdecznie z przewinień całego życia, gdy się zalewała łzami i biła się w piersi ze skruchą, w tym samym czasie list obwiniający ją o zdradę szedł do pana Tomasza. Takie są sądy ludzkie!

Samotność zupełna, w jakiej się pan Tomasz po wyjeździe żony i dzieci znalazł, tém bardziej obudziły jego sumienie. Chodząc po pustych pokojach, w ciszy podnoszącej wszystkie władze jego duszy, zaczął jeszcze częściej rozmyślać o Bronisi, przypominać ją sobie w różnych epokach jęj życia, przypominać sobie tych wszystkich, którzy ją kochali, i jak im ich miłość dla nięj wynagrodził. Wtedy stanęła mu przed oczami siostra, z którą, usłuchawszy insynuacyi żony, tak twardo się obszedł, tak gorzkiemi, a może niezasłużonemi zranił ją wymówkami. Ciężkim więc, choć późnym przejęty żalem, pojechał do pani Mikoszewskiej, chcąc ją przebłagać, i odkrywszy jęj tajemne swe cierpienia, szukać w jęj miłości pociechy, a może i rady, jak naprawić to złe, którego stał się przyczyną. Siostra pojęła stan jego,

przebaczyła swoją krzywdę, ale tłómacząc się przed bratem z tej mniemananej niedbałości, którą jęj zarzucał, w słusznym swym żalu niezupełnie oszczędzała Hieronimę, której wyłącznie i bezwarunkowo przypisywała los Bronisi, i ten stan, w jakim się wszyscy, co ją kochali, znajdują. Te to rozmowy, w których pani Mikoszevska nie-rzaz może więcej powiedziała, niżby dla spokoju brata było potrzeba i niż sama chciała, tém bardziej, że samo położenie obejga już im rozwiązało języki i tajemne myśli wydobywało na jaw, otwarły oczy panu Tomaszowi. Przez nie dowiedział się on, że żona jego znała doskonale Edmunda, że on ją kiedyś kochał namiętnie, że musiała się z nim obejść nieludzko, kiedy rozpacz wtrąciła go na to bezdroże, po którym błąkał się lat kilka; że niedarmo taką w nim o sobie zostawiła pamięć; że Bronisia nie u nięj, ale w Warszawie poznała Edmunda i pod okiem żony jego pokochała go; że musiało tam coś zająć między obiema kobietami, kiedy już z Warszawy Bronisia chciała wprost do nięj przyjechać, tylko jęj na to macocha nie pozwoliła; że to wszystko, co Bronisia pisała do ojca o rozstaniu się jęj z Edmundem, jest istną prawdą, bo szlachetności jego, niepospolitemu charakterowi i przymiotom zupełne może oddać świadectwo; że on nie starał się o miłość Bronisi, ale owszem, chciał szczerze, aby Michaś mógł jęj serce pozyskać; że wszystko to dziś już naprawić się nie da, bo, jak świadczą listy Bronisi, nic na świecie nie zdoła jęj skłonić do opuszczenia murów klasztornych, w których zaczyna znajdować ulgę i utulenie w swym bólu.

Okropne światło padło na charakter, cele i postępowanie Hieronimy. Gdy pan Tomasz przypomniał sobie wszystkie fałsze listu pana Seweryna, zmartwienie żony tak dobrze udane, jak gdyby pierwszy raz o tém wszystkiém słyszała, zatajenie téj okoliczności, że nieszczęśliwa miłość ta zawiązała się w Warszawie, przy nięj, i może za jęj wiedzą; gdy mu przyszedł na myśl teatr w Kielcach, o którym mu sama tak sztuczną zrobiła wzmiankę, słowa Edmunda, jego wyrzuty tak poniżające, i obojętność jego żony, do której oczywiście, jak teraz widzi, wszystkie jego giesta i słowa były wymierzone: przejął się niezmiernym bólem; a nie mogąc w sobie zataić, że to była sieć zastawiona na jego serce, że przez lat tyle był ofiarą takiej komedyi, tém bardziej wyrzucał sobie zaślepienie, przez które dopuścił zgubę swego dziecka. Długo więc chodząc po pokoju, w ciężkich pograżony myślach, stanął wreszcie przed siostrą, ścisnął jęj rękę, i ze łzami w oczach, rzekł:

— Szkoda, droga Anno, żeś mi tak okropnie otwarła oczy. Ale nie mam do ciebie żalu. Widać, byłem już na téj drodze; sam zaczynałem przezierać, i nie dziś, to jutro, byłby mnie ten cios spo-

tkał. Bo życie moje już zwichnięte, spokój przepadł, i nieszczęście, gorsze niż śmierć, zawitało w progi moje.

Rzeczywiście, i dla miłości i szczęścia pana Tomasza był to cios śmiertelny, ale nie ostatni. Taki bowiem jest porządek rzeczy na świecie, że gdy kto sam przyrzadzi sobie kielich goryczy i pić go znacznie, musi pić go póty, póki go nie wychyli do dna.

Na drugi dzień po powrocie do domu, który mu się teraz wydał zupełnie innym, i stracił ten blask i barwy raj, jakimi długo w oczach jego jaśniał, odebrał pan Tomasz owe bezimienne ostrzeżenie wraz z listami żony, pełnemi czułości, a pisanemi nie do niego. Trudno opisać, w jakim znalazł się stanie. Dotąd czuł ból niewymowny, żal głęboki, że istota tak doskonała, do której miłości całe przywiązał życie, poniżyła się do fałszu, kopała dół pod jego ojcowskiem sercem, i wyobrażeniu temu, jakie miał o niej, odebrała tę cześć, która dwoiła jego miłość. Ale przynajmniej wierzył jeszcze, że go kochała, że te wszystkie dowody przywiązania, które od niej odbierał, były prawdą, płynęły z jej serca, podnosiły jej uczucia dla niego do namiętności, i ta myśl stawała się jeszcze jaką taką dla niego pociechą. Ale gdy przeczytał to ostrzeżenie, którego każde słowo przesyłało go jak sztylet, gdy prawdę tego ostrzeżenia potwierdzało i to, że zamiast do matki, pojechała do Warszawy, gdy przejrzał jej listy, pisane oczywiście jej własną ręką, zamykające takie rzeczy, które się do niego stosować nie mogły, pisane do kogoś, któremu dalekie czyniła obietnice, którego oświadczenia przyjmowała bez wstępu, owszem z rozczuleniem, z przyznaniem się do słabości, której cały powab czuje, i to wtedy, kiedy go upajała rozkoszą, kiedy sądził się jedynym przedmiotem jej myśli, jej uczuć, jej żądź uprawnionych obowiązkiem żony i obowiązek ten złocących, wtedy obraza męża, duma mężczyzny, gniew rozumnego człowieka, który lat tyle dał się wodzić za nos, jak jaki głupiec, takim napełniły go oburzeniem, taką dały mu wściekłość, że ryknął jak lew przebudzony ze snu śmiertelną raną, i porwał się do ukarania tych, co go zranili. Przygotowawszy więc sobie broń na zuchwalca, do którego wymienienia postanowił ją zmusić, przyrzekł sobie rozłączyć się na zawsze z kobietą, która go tak okropnie oszukała, i odebrać zrak jej dzieci, jako niegodnej ich wychowywać. W tym celu, zrobiwszy na prędcę ostateczne rozporządzenie, tyczące się interesów i fortuny, oddawszy dzieci pod opiekę siostry, z wyłączeniem matki, która na to nie zasługuje, pewny prawie, i skrycie proszący o to Boga, aby ten, co mu odebrał spokój i honor, odebrał mu jeszcze i życie, testament ten opieczętowałszy, księdzu Studzińskiemu go wręczył, a sam ruszył co tchu do pierwszej poczty, a ztamtąd dzień i noc pędził do Warszawy.

Nic nie może dziwniej wyglądać w oczach człowieka, w którego

sercu jest rozpacz, jak widok ulicy wielkiego miasta i snujących się na nim ludzi. Jego myśl jest zupełnie na innym świecie; jego dusza upadła, rozdartą, widzi całą marność życia, całą nieprawdę jego uciech i pomyślności, całą nicość starań i zabiegów na przyszłość; a tu jedni idą sobie powoli na spacer, z pokojem na czole, z uśmiechem na ustach; a tu inni wystrojeni, zajęci tylko swém ubraniem, troszczą się o to, aby ich widzieli ci, których nie znają, których to ani zadziwi, ani zasmuci, ani ucieszy; a tu, tamci śpieszą, rachują w myśli, kalkulują w sercu całą duszę i żywot zamykając w pugilaręsie, aby w nim po pewnym przeciągu czasu znalazło się kilka papierków więcej. Pan Tomasz rzucił na to wszystko okiem, ruszył ramionami, zasunął się w głęb' koczka i kazał poczytliwoni pośpieszać i przed hotelem Wileńskim stanąć.

Gdy się powóz zatrzymał i szwajcar przystąpił drzwiczki otworzyć, poznał on nowego gościa i powitał uśmiechem. Pan Tomasz wyczytał w tym uśmiechu te słowa: — Dobrze żeś przyjechał, szkoda tylko, że za późno — i zmarszczywszy czoło i zsunąwszy brwi zapytał go, gdzie stoi jego żona.

— Pani Łuniewicka stała tu u nas — odpowiedział szwajcar — ale przed pięciu dniami wyjechała na trakt Lubelski. Czy każe jany pan dać numer?

— Na parę godzin — odpowiedział pan Tomasz, i oddawszy szwajcarowi swoje świadectwa i pieniądze na opłacenie poczty do Lublina, rozkazał mu zająć się tém, a sam pobiegł na górę. Tam usiadł, i rozmyślał co robić, gdzie się udać po światło i objasnienie. Rzuciwszy okiem na karteczkę szambelanowej, widział dobrze, że to nie jest pismo prawdziwe, zwyczajne, ale udane i przekręcone. Któż więc to pozna, i wreszcie komuż pokaże swoją hańbę, kogo się zapyta o sprawcę téj plamy na jego honorze, tak widnej dla obcych, a której on dotąd nie widział? Odrzucił więc tę myśl i daremną i krzywdzącą. Przejrzawszy raz jeszcze listy żony, wpadł na podejrzenie, czy nie do hrabiego są adresowane. Szukał więc w nich jakich śladów, coby jakiegokolwiek światła na nieszczęście jego rzuciły. Ale szukał napróżno. Żadne słowo nie zdradzało osoby, żadna okoliczność nie okazywała ani jój stanu, ani czasu kiedy, ani miejsca gdzie związki te zawiązać się mogły. Była tylko mowa o człowieku z edukacją, z delikatnemi uczuciami, z wysokimi przymiotami duszy. A ileż takich być mogło? Wszakże gdy sobie przypomniał okoliczności ich poznania się, ich zaprzyjaźnienia, przebywanie hrabiego w Krakowskiem, tak częste odwiedziny, podejrzenia siostry, o których mu sama Hieronima mówiła, prawie był pewnym, że to nie kto inny, tylko on, nastawał na jego honor i wydrzeć mu chciał, co tylko miał najdroższego w życiu. I wtedy krew uderzyła mu do

głowy, gniew i oburzenie zagłuszały wszelkie względy, chciał wszystko skończyć od razu, pójść do hrabiego, pokazać mu te listy, domagać się, jako od człowieka z honorem, aby się przyznał, i stanął do odpowiedzi za tę krzywdę, jaką mu wyrządził. Ale wstyd ślepoty, łatwowierności, wstyd tego plastra, który mu, jak mazgajowi jakiemu, tak długo zakrywał oczy, ochłodził jego zapał. A nuż to nie on? — pomyślał — wydam się za głupstweim, stanę przed człowiekiem światowym, jak jaki rzucający się mąż z komedyi, aby mnie okrył śmiesznością i uczynił gadką całego miasta. A jeżeli i on, dowodu w listach tych nie ma, może się nie przyznać, może chcieć ją oszczędzać, może mi się zaśmiać w oczy i powiedzieć: — czyżeś na nas nie patrzył? czyżeś co widział? — Odrzucił więc to postanowienie, i gdy trąbka odezwała się przededrzwiami, i dano mu znać że konie gotowe, nie odwiedzwszy nawet prezesowej, od której wiedział, że usłyszy tylko słowa admiracyi i miłości, gnany chęcią wyświecenia tej sprawy, od której życie jego zależało, przekonany, że jakkolwiek Hieronima chytrą jest i zręczną, nie zdoła przed nim ukryć nazwiska tego, któremu pozwalała sięgać po jego dobro, rzucił się do powozu i ruszył do Lublina.

Nazajutrz popołudniu przejeżdżał przez to miasto. Gdy obaczył zdaleka mury klasztoru Wizytek, kazał stanąć i patrzył po oknach tego schronienia, czy w którym z nich nie ujrzy twarzy Bronisi, bladej i zasmuconej, patrzącej w niebo tak, jak niegdyś dzieckiem będąc wpatrywała się. Ale wszystkie okna były zamknięte i milczące. Nie oko i łza Bronisi, ale promienie chylącego się słońca, migwały po szybach, i przykrym od nich odbijały się blaskiem. Wzruszył się pan Tomasz do głębi serca, wyciągnął z daleka ręce do dziecka, którego serce złamało się przez jego zaślepienie: ale choć te gryzące uczucia, jakie miał w swych piersiach, złagodziły się samém jej przypomnieniem, samém zbliżeniem do jej przytułku, nie śmiał jednak z niemi stanąć przed tą, która go ostrzegła swym wstrętem, i pojechał dalej.

Już było szaro, gdy się zbliżał do wsi pani Tączyńskiej. Zdaleka chwiały się topole okrażające dom, komin bielił się na tle ciemnym drzew, rozłożonych za domem; widział już pan Tomasz ten dach, pod którym szukał dobroci, bogobożności, prawdy, miłości i wiary, a znalazł fałsz względem ludzi i Boga, kłamstwo w uśmiechu i pieszczotach, wiarołomstwo w chęciach i czynie. Łatwo pojąć i zrozumieć, co się działo w jego piersiach i głowie, i dla czego krzyknął na pocztylioną, aby jechał stępo. Ale jakkolwiek konie szły wolno, zbliżały go jednak, zbliżały do tej chwili, co miała rozerwać wszystkie nici, jakie wiązały go z życiem.

Gdy już był na półtory wersty od dworu, zobaczył wychodzące z bramy jego światła, które dość długim szeregiem zwróciły się na

lewo, drogą wysadzoną niewielkimi drzewami, i prowadzącą prosto przez pole do ustronnego kościółka, przy którym był omentarz. W orszaku, od którego pienia żałobne już go dochodziły, widział wieś całą, a przy trumnie, niesionej przez sługi, która mu się zdawała niewielką, spostrzegł osoby nie po wiejsku ubrane. Widok ten przeszył go śmiertelnym strachem, kazał ruszać co prędzej, w kilka minut dopędził pogrzeb, wyskoczył z powozu, i wkrótce dowiedział się ten nieszczęśliwy ojciec, że to był pogrzeb jego syna.

Następujący przypadek ściągnął na głowę pana Tomasza tę straszliwą, niespodziewaną klęskę, która mu pokazała, że w życiu ludzkim jest daleko więcej przepaści, aniżeli się człowiek spodziewa.

Trzeciego dnia po przybyciu pani Tomaszowej do matki, po obiedzie, gdy słońce wrześnie błysnęło i ogrzało powietrze, wyszła ona do ogrodu w towarzystwie stryja, i trzymając za rękę Terenię. Staś z bratem jój Henrykiem pobiegł przodem nad staw, który wchodził w ogród, i zdobył go niewielkim, ale przejrzystym zwierciadłem. Tam obaczywszy do brzegu przywiązane czółno, chłopczyzna wskoczył w nie, zaczął się bujać, i tyle wymógł na wujciu swym prośbą, płaczem i napieraniem się, że Henryk widząc, że siostra poszła w inną stronę i o niczym się nie dowie, dla dogodzenia chłopcu, którego bardzo pokochał, kazał ogrodnikowi odwiązać czółno, podać wiosło, i postanowił przewieźć go kawałek mały, żeby go tylko zaspokoić. Wsiedli więc obaj i odpłynęli. Pani Tomaszowa, którą stryj odciągnął gdzie indziej, swoim sposobem perswadował dręczące ją trwogi i winszował, że się wszystko tak dobrze powiodło. Obejrzawszy się, że Stasia koło niej nie ma, tknięta jakimś niepokojem, zawróciła się, i gdy wyszli na wzgórek, z którego widać było wodę, spostrzegła, może na trzydzieści kroków od brzegu, syna swego w czółnie, klaszczącego w ręce i radującego się téj rozrywce, tak dla niego nowój. Krzyknęła więc przeraźliwie, wyrwała rękę z pod ramienia pana Seweryna, i pędem strzały przybiegłszy nad staw, wołać zaczęła na brata, aby natychmiast wrócił. Staś ze swój strony zaczął płakać, prosić, upierać się, żeby dalej jechali. I gdy pani Tomaszowa łamała ręce i wołała, Henryk obracał czółno, a Staś wrzeszczał, szamotał się i powstawał, czółno się chybnęło, i chłopiec, który się tego nie spodziewał i zupełnie o czém inném myślał, stracił równowagę i wpadł w wodę. Pani Tomaszowa jęknęła tym jękiem, jaki się tylko z serca matki wydobyć może, i nie namyślając się ani jednej chwili, rzuciła się także w wodę na ratunek swego dziecka. W kilka minut dopięro, ogrodnik zdołał utrzymać brnącą już prawie poszyję, ujął ją, i pozbawioną zmysłów na widok próżnego czółna, bo i Henryk wskoczył za Stasiem, wyniósł na brzeg. Miejsce to, gdzie Staś upadł, nie było zbyt głębokie; ale że Henryk trochę tylko umiał pływać, a wielkim nurkiem



nie był, nie mogąc znaleźć od razu siostrzeńca swego, choć tego z całej duszy pragnął, naturalnym instynktem własnego ocalenia wiedziony, wyskoczył tym razem z próżnymi rękami i zaledwie się sam do płytszego miejsca dostał. Tak więc w pół godziny dopiero, ogrodnik z pomocą ludzi, których pan Seweryn krzykiem swym zwołał, wydobyto biednego chłopczyka, któremu żaden już ratunek nie pomógł. Staś żyć przestał.

Pani Tomaszowa, uderzona tak straszliwym ciosem, którego się od kilku miesięcy ciągle bała, przeziębiona w wodzie zupełnie zimnej, śmiertelnie, dotknięta widokiem zwłok dziecka, które przynieść jej musieli, straciła zupełnie przytomność, i pochwycona była tak gwałtownym zapaleniem mózgu, że mimo ratunku, jaki miała, życie jej było ciągle na włosku.

Odurzony tém wszystkiém, co się w koło niego działo, słuchając i nie słysząc szczegółów przypadku, który biednemu dziecku jego odjął życie, patrzył pan Tomasz obłąkanym wzrokiem na matkę Hieronimy, na jej stryja, na brata, na Terenię, która z płaczem tuliła się do niego i wyciągała rączki, a nie widząc w tym orszaku żony swój, tarł ręką głowę, której się wszystko mąciło, i wołał ponurym głosem:

— Więc ona i dzieci swych nie kocha!

— Ona umiera — odpowiedział mu na to surowo pan Seweryn, który jeden znaczenie słów jego zrozumiał. Pan Tomasz popatrzył na niego z wyrazem wstrętu i pogardy, wziął na ręce Terenię, która go objęła za szyję, główkę swą na jego ramieniu położyła, i tak szedł już milcząc, i milcząc rzucił grudkę ziemi na trumienkę Stasia, od której odbite echo dziwnie rozległo się w jego sercu.

W takim samym usposobieniu stanął przy łożu śmiertelném żony, którą już zaledwie mógł poznać. Na głowie jej, obnażonej z tych pięknych włosów, które tak lubił pieścić, leżał lód i przygaszał straszliwe jej pozary; usta jej, co się tak pięknie uśmiechały, spieczone i wykrzywione, domagały się tylko ochłody poruszeniem, ale żadne zrozumiałe słowo już z nich wyjść nie mogło; oczy, niegdyś tak pełne blasku i życia, w pół otwarte i prawie białe, nic już nie widziały, a ręce poruszały się niespokojnie, jakby coś chwytając, czego ująć nie mogły.

Pan Tomasz nie odstąpił jej, póki nie skoła. Trwało to prawie dwa dni. Napróżno radzono mu odpocznienie, sen lub posiłek. Nikt nie mógł dopytać od niego ani jednego słowa, nie obaczył ani jednej łzy, nie słyszał ani jednego jęku. Siedział tylko w milczeniu i patrzył nieprzerwanie na gasnące życie tej rzadkiej istoty, od której doznał tyle szczęścia i bólu, a co myślał, to tylko jednemu Bogu wiadomo. Dopiero, gdy ostatni nadszedł moment, przybliżył się, szepnął

jęj do ucha, które już nie słyszało przebaczenia, i odszedł w milczeniu.

Taki był koniec pani Tomaszowej. Ostatni miesiąc jęj pobytu na ziemi, męczarnie przez jakie przeszła, jęj żal i śmierć, okupiły pewnie grzechy jęj żywota.

Jakkolwiek straszném było położenie pana Tomasza, oddać mu należy tę sprawiedliwość, że je zniósł po mężku i z religijném poddaniem się. Nie złorzeczył on pamięci tęj, któręj przebaczył, i którą już stała przed Bogiem; ale sobie tylko i swemu zaślepieniu przypisując całą winę, wszystko to, czego doznawał, uważał za karę, iż nie tak, jak był powinien, dopełnił powinności ojca, i szczęście swojego dziecka własnemu szczęściu poświęcił. Spaliwszy więc wszystkie papiery żony, na które nawet nie rzucił okiem, aby mu jakie słowo, przypadkiem dojrzane, win jęj nie przypomniało, napisał do siostry, prosząc ją, aby przybyła, i wzięła pod opiekę swą Terenię, a sam pojechał do Lublina w tęj nadziei, że póki jeszcze czas, może zdoła obrazem swego sieroctwa i bólu skłonić Bronisię do opuszczenia klasztoru, do powrócenia do domu, do zagojenia tęj rany, jaką sam sobie zadał, do opromienienia na nowo głowy jego tą radością, jakięj się sam wyrzekł. Ale napróżno ją błagał; Bronisia nie zachwiała się w swém postanowieniu.

— Biedny ojcze! — mówiła mu ze łzami — znam ja dobrze stan twojego serca; wiem, jakąbyś mnie teraz otoczył miłością, jakbyś mi wynagrodził to zaniedbanie, do którego cię wielki ów błąd twojego zacnego życia doprowadził. Lecz możesz-że wymagać po mnie, abym dla dogodzenia woli twojęj złamała ślub, który już w duszy męj uczyniłam Bogu? Był czas, kiedy zranione serce moje rwało się do ciebie, kiedy przy piersi twęj i pod skrzydłem twęj miłości chciało szukać ulgi i zapomnienia. Ale przypomnij sobie, tyś mi sam wskazał, gdzie mam szukać pociechy, i znalazłam ją, i żadna inna już mi wystarczyć nie może. Nie psuj więc, ojcze, tego spokoju, jaki mam. Odwrócenie się moje od Boga, który mię tak skutecznie utulił, byłoby grzechem. Nie wyjdę więc ztąd za nic. Tu mój świat i lepszy od tamtego. Tamten dla mnie oniemiał, i nie zdoła już przemówić żadnym głosem, któręby dusza moja rozumiała.

Pan Tomasz płakał, a Bronisia, wzięwszy jego rękę i tuląc ją w swoich dłoniach, dodała:

— Bądź mężnym, mój ojcze! jeszcze ci Bóg nie wszystko odebrał. Zostało ci miłe i dobre dziecię, któremu poświęcić się powinieneś, a które ci wynagrodzi wszystkie straty, wszystkie zawody, jakich w życiu swém doznałeś. Przywieź mi ją, drogi ojcze, jak podrośnie, ja ci ją wychowam sama, i wychowam tak, aby wiedziała, czém jest dla ciebie i jakie Bóg włożył na nią obowiązki. Tę jednę pociechę

przrzekam ci, i dopełnię ję święcie; żadnej innej dać ci już nie mogę. — I upadłszy przed nim na kolana, ucałowała jego nogi i poszła.

Gdy nadszedł czas uczynienia Professyi świętej i wykonania ślubu, Bronisia zażądała od wszystkich, których kochała, aby ceremonii tęg byli obecni. W liście jęg do Michasia były wyraźnie te słowa: „Oficyantem będzie ksiądz Studziński. Ojciec mi przrzekł, że na to pozwolenie księdza biskupa wyrobi, a drogi mój dziadek nie odmawia mi tęg posługi w tak ważnej, a najszczęśliwszej chwili mojego życia. Wiem, że jesteś już kapłanem, a z rytuału naszego, który już mam w sercu i pamięci, widzę, że oficyant może mieć assystenta. Najmilszy bracie! gorąco pragnę, abys mi przrzekł, że ty nim będziesz. Chcę cię jeszcze raz w życiu widzieć, chcę się przekonać z widoku twojej twarzy, z brzmienia twego głosu, czy masz tę moc, jakąś mnie obdarzył; czy ten stan, któryś obrał, tak zagoił twoje rany; jak się zagoiły moje, czyś mi przebaczył, że nie mogła zataić przed tobą prawdy, która rozbiła wszystkie twoje nadzieje. Przybądź więc, jeżeli chcesz, aby spokój, jakiego się spodziewam, był zupełny, aby to życie, jakie rozpoczynam, rozpoczynało się bez wyrzutów sumienia, że nie miała dość siły poświęcić się twemu szczęściu, kiedyś na to miłością swą zasługiwał.“

W dniu na obrzęd ten naznaczonym, o godzinie 10 rano, kościół Panien Wizytek już był pełny. W ławkach bliższych kraty siedział pan Tomasz z Terenia, pani Mikoszevska i pan Maciej Łąguna, który jęg w podróży do Lublina towarzyszył. Na stopniach ołtarza w białej kapie klęczał ksiądz Studziński, a przy nim ksiądz Michał Mikoszevski w komży i stule. Gdy odśpiewano *Veni Creator*, otwarła się krata, ujrzano zakonnice ze spuszczoneimi zasłonami, siedzące po obu stronach chóru, i złożone na poręczy kraty, z jednej strony Velum czarne i krzyż do zawieszenia na szyi, a z drugiej bogatą suknią, z kosztownemi ozdobami i zielonym wieńcem na głowę. Wtedy ksiądz Studziński przybliżył się do krzesła, które dla niego było przygotowane, i usiadł, a ksiądz Michał przykląkł, wziął od niego benedykcję, i powstawszy, nim mówić zaczął, podniósł jeszcze oczy na ołtarz, jakby prosił Boga, aby głos jego umocnił i odebrał mu to drżenie, któreby zaniosło niepokój do jęg duszy. Twarz jego była biała, ale spokojna, a jęg wyraz wzruszał nawet tych, co nie wiedzieli, jak wielka to jest dla młodego kaznodziei chwila. Odezwał się wreszcie. Głos jego, z początku cichy i powolny, wzmacniał się coraz, ustalał się, rozwijał, i wkrótce wszystkich słuchaczów opanował. Dawszy poznać ważność obrzędu, który się odbywa, uroczystość chwili takiej dla tęg, która do duchownego ślubu ze Zbawicielem świata przystępuje, przeszedł do wytłómaczenia tych słów Pańskich: „Jeśli kto chce iść ze

mną, niechaj się zaprze samego siebie, i weźmie krzyż swój i za mną idzie.“ Okazawszy potem, że chociaż się zdaje, iż łatwiej jest sercu iść za Panem w tym domu świętym, gdzie jest świętobliwość wszelka, gdzie spokój i cisza, praca i modlitwa, gdzie każdy czyn i słowo ułatwiają tę drogę, którą świat zawala przeszkodami, ale z drugiej strony tu właśnie, gdzie wszelka grzechowi odjęta jest łatwość, tém mocniej trzeba krzyżować zewnętrznego człowieka, aby wewnętrzny był czystym, i tém usilniej waleczyć z swém ciałem, aby dusza śladów Zbawiciela nie straciła. Trudność więc jest rzeczywiście większa, ale téż za to i zasługa stokrotnie większa, i wdzięczność nieskończona należy się tym, którzy taką drogę dla serc żadnych pociechy i zbawienia obmyślili. Ztąd przeszedł do zasług założyciela zakonu Nawiedzenia Najświętszej Panny, S-go Franciszka Salezjusza, mówił o słubych tak zbawiennej instytucyi początkach, o wytrwałości pierwszych świętych kobiet, które na wezwanie założyciela do walk i trudów stanęły, i przebiegłszy w krótkości dzieje zgromadzenia, wspomniął o zasłudze królowej, której starania i opieka dały początek u nas tym domom bożym, gdzie dziś każde młode serce, chcące się uleczyć spokojem, zabezpieczyć krzyżem, podnieść się pokorą, zasłużyć walką z sobą samém, znaleźć może wszystkie te skarby, których na świecie na próżno szukało. — W takim to domu, najmilsza siostró — dodał ze wzruszeniem, obracając się ku kracie — masz umrzeć sobie samą, abys odżyła w Bogu. Przystąp więc odnowić się duchem i oblec się w nowego człowieka, który według Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świętości prawdy; przystąp, pamiętając, że śluby twoje oddajesz Panu, w obecności wszystkiego ludu Jego, w przysionkach Jego domu, w pośrodku Jego Jeruzalem. A jeżeli ofiara, jaką niesiesz, dobrowolną jest, jeżeli ją usta twoje ofiarują Panu z głębokości serca twego, przystąp śmiało, najmilsza siostró moja, bo Pan ją przyjmie, i nauczy cię przykazania swego. Amen.

Gdy tak zakończył, wtedy ksiądz Studziński powstał, zbliżył się do kraty, ksiądz Michał przysunął mu krzesło i stanął przy nim, a staryzec, obrócony częścią do chóru, częścią do obecnych w kościele, aby go tu i tam wszyscy słyszeć mogli, rozpoczął obrzęd według ceremoniarza od dawna przy obłóczynach i Professyi panien zakonnych Nawiedzenia Najświętszej Panny przepisanego, \*) według którego i my rozrzewniający ten, pełen powagi i znaczenia obrzęd, nie dodając ani jednego słowa, opisujemy.

Gdy siostra Teresa, wezwana ostatniemi słowy kaznodziei, mając jeszcze na sobie Velum białe nowicyuszki, przystąpiła i uklękła po-

\*) Sposób ceremonii i t. p. w Krakowie w drukarni Akademickiej, roku Pańskiego 1682.

śród chóru na trzy stopy od kraty, między przełożoną i assyistentką, ksiądz Studziński zapytał jęj:

— Córko moja! czego chcesz? opowiedz intencją i zamysł twój przed tém wszystkiém zgromadzeniem.

— Ja, niegdyś Bronisława, dziś Teressa — odpowiedziała głosem czystym i rzewnym — proszę dla miłości Bożej i Zbawiciela naszego, abym przyjęta była do świętej Professyi w zgromadzeniu Nawiedzenia Najświętszej Panny, żebym się w niem ćwiczyła po wszystkie dni żywota mego w służbie Pańskiej, przez posłuszeństwo, czystość i ubóstwo.

— A postanowiłaś-że mocno w sercu twém — mówił dalej oficyant — nie z przymuszenia, ale dobrowolnie, posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, Chrystusowi Jezusowi Panu naszemu dochować? Albowiem, najmilsza córko moja, masz tu przed sobą szaty swoje świeckie i pospołu welum zakonne, abys sobie z tego dwojga wziąć i obrać mogła, co ci się będzie podobało.

— Zwlokłam z siebie dobrowolnie — odpowiedziała — świeckie szaty, i nigdy ich za pomocą Bożą więcej nie wezmę; odwróciłam się od próżności, umyłam sobie nogi od niej, i nigdy się do niej nie powrócę.

— Postanowiłaś tedy, córko moja, mocno, Panu Bogu się ofiarować i w tym zakonie wieku swego dokończyć?

— Postanowiłam w sercu mojem — odpowiedziała mocniejszym głosem — bo widzę, iż mi tak dobrze być.

— Prawda — rzekł na to starzec z powagą — iż ci dobrze będzie tak być, i ostatecznie trwając, dostąpisz błogosławieństwa Pańskiego i miłosierdzia Pana Boga, Zbawiciela naszego.

— O Panie Boże! — zawołała wówczas z przeniknięciem, i składając ręce — umocnij mię w tej godzinie, abym to uczyniła, co widzę iż może być za łaską Twoją. Oto, o Boże mój! do Ciebie idę, iżes mię powołał. Racz mnie przyjąć według słowa Twego i będę żyła, a nie oddalaj mię od nadziei mojej!

Po odśpiewaniu pieśni przez chór i odmówieniu przepisanej modlitwy w języku łacińskim, po wybadaniu przełożonej, czy nowicyuszka ma na to, o co prosi, pozwolenie wszystkich siostr, ksiądz Studziński poświęcił Welum i Krzyż, i wezwawszy nowicyuszkę do uczynienia ślubu Professyi Świętej, sam usiadł. Wtedy siostra Teressa uklękła na gradusie przy samej kracie, przełożona i assyistentka przyklękły przy niej, a ona, złożwszy ręce i podniósłszy głos tak, że wszędzie był słyszany, odezwała się w te słowa:

— Słuchajcie, o Niebiosa, co ja mówię! niech słucha ziemia mowy ust moich! Do ciebie, o Jezu, Zbawicielu mój, serce moje mówi, lubo niezem nie jestem, tylko prochem i popiołem. O Boże mój! słu-

bując, że będę żyła aż do śmierci w czystości, posłuszeństwie i ubóstwie. według reguły S-go Augustyna i ustaw zakonu Nawiedzenia Najświętszej Panny, dla których zachowania osobę moję i żywot mój Majestatowi Twemu Boskiemu, Błogosławionej Pannie Maryi Matce Twojej i pomienionemu zakonowi ofiaruję i poświęcam.

Słowa jej brzmiały wyraźnie i dobitnie, aż do końca tej przysięgi, której w całości nie wypisujemy. Ksiądz Studziński słuchał ich, patrząc na nią z wyrazem miłości, i współcześnie z nią modlił się; ksiądz Michał miał ręce złożone, i z ocz jego spuszczonech w ziemię padały łzy ciche i święte, a w kościele słychać było płacz tłumiony i westchnienia, które pewnie wraz ze słowami przysięgającej unosiły się do nieba.

Po oddaniu takim słubów i chwili, uroczystego milczenia, która potem nastąpiła, chór powstał i odśpiewał psalm: *Exaudiat te Dominus in die visitationis*. Co gdy się skończyło, wzruszony starzec, powstawszy z krzesła z pomocą assystenta swego, przystąpił do kraty, włożył krzyż na szyję nowej profeski, jako najmocniejszą obronę, oddał jej Velum, aby był na jej oczach przeciw wszelkiemu spojrzeniu ludzkiemu, i odmówiwszy przepisaną modlitwę, rzekł do niej uroczystym głosem:

— Siostró! umarłaś światu i sobie samęj, abys nie żyła tylko Panu Bogu.

— Błogosławieni umarli, którzy umierają w Panu — odpowiedziała siostra Teressa, padła na twarz w chórze, a zakonnice przykryły ją całunem.

Gdy jedna z sióstr odmówiła nad nią modlitwę za umarłych, a chór odśpiewał psalm: *De profundis*, ksiądz Studziński pokropił ją święconą wodą i rzekł:

— Wstań ty, co śpisz; powstań z pośrodku umarłych, a Chrystus cię oświeci.

Wtedy assystryntki podniosły całun, ona powstała blada, głęboko zamysłona, i jakby nie widząca tych, co byli przed nią i koło niej. Starzec, patrząc na nią ze wzruszeniem, jakby tę pieścioszkę swą, której duszę wykołysał, raz ostatni już widział, podał jej świecę, aby ścieżka jej postępowała, jak jutrzienka jasna, potem krucyfiks na znak, że żywot jej zakryty jest z Jezusem Chrystusem, i nareszcie drżącym głosem tak pożegnał:

— Idź tedy, córko moja, abyć Pan Bóg był miłościwym; zostań w swoim mieszkaniu, boć wielką okazał łaskę.

Wejrzeniem, w którym starzec postrzegł niezmienną miłość i wdzięczność dawniej swęj Bronisi, pożegnała go siostra Teressa, i odeszła z przełożoną i assystryntką pomiędzy inne siostry, gdzie podczas Psalmu, który chór zaintonował, przewiązано jej czoło bindalem, dano około twarzy biały barbet, i upięto na głowie jej czarne Velum. Tym-

czasem ksiądz Studziński usiadł w krześle i modlił się, a po chwili ksiądz Michał wyszedł ze mszą świętą.

Pan Tomasz, pani Mikoszevska i pan Maciej słuchali tej mszy na kolanach, zasyłając gorące modły do Boga za spokój tej, co już nie żyła dla świata. A gdy ksiądz Michał wyrzekł: *Ite missa est*, i przeżegnał obecnych, zamknięto kratę, zaciągnięto wewnątrz chóru ciemną zasłonę — i tak się wszystko skończyło.

I potem lata szły zwyczajnym biegiem. Ksiądz Studziński wkrótce spoczął w Bogu. Ksiądz Michał zajął jego miejsce na probostwie w Rudnicy. Pani Mikoszevska strzegła Tereni, jak dawniej Bronisi, póki dziewczynka nie podrosła. A gdy miała lat dziesięć, odwiozła ją do Lublina, gdzie ją siostra Teresa, już wówczas ochmistrzyni szkoły miejscowej, przyjęła z miłością, i młodą jej duszę pod swój wzięła kierunek. Pan Tomasz uspokajał się stopniami; ale głowa jego zupełnie pobieliała, i na czole widać było ciągle zamyslenie. Nauczony nieszczęściem, przez które przeszedł, postanowił umrzeć wdowcem, a wiele razy myślał o Tereni, czuł, że ją ma z nieograniczonego miłosierdzia Boga, który się nad sercem jego zlitował. Pan Maciej szperał jak dawniej w Atenach, polował i rozprawiał z panem Andrzejem; ale ile razy karmił i poił swego siwosza, co najczęściej sam robił, przypominał sobie piękne to widziadło, które postrzegł niespodzianie pod swą bramą, i potem ze łzą w oczach powtarzał sobie te słowa: Słuchajcie mię, o niebiosia! niech słucha ziemia mowy ust moich! — O Edmundzie tylko wieść zupełnie zginęła. Napróżno Karol pisał do Petersburga, do Moskwy i do Charkowa, sądząc, czy się tam gdzie nie zabłąkał; napróżno pan Tomasz starał się odszukać go w kraju, aby mieć przy sobie człowieka, którego w myśli swój tak skrzywdził, a którego Bronisia tak mocno kochała; wszystkie te poszukiwania były daremne, a na wielokrotne odezwy publiczne, któremi pan Maciej spadkobiercę swego przyzywał, żaden głos nie odpowiedział.



150  
Przyjaciel  
M. ... 102

Szanujcie i rozprowadzajcie  
DOBRA KSIĄŻKĘ DLA WSZYSTKICH

104  
Biblioteka  
Lwowska









Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0472238 ·

WYDZIAŁ  
KRAJOWY